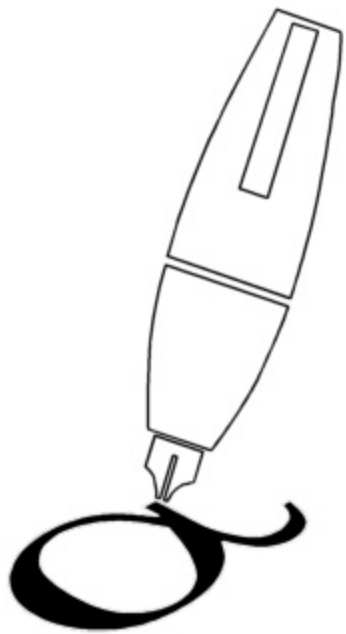


JOHN GRISHAM WSPÓLNIK





01011101
01000100
01010100
10101011
01010011
01001110
11110100
00110111

JOHN GRISHAM

Wspólnik

Przełożył: Andrzej Leszczyński

Tytuł oryginału:

The Partner

Data wydania polskiego: 1997 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1997 r.

Davidovi Gernertowi

przyjacielowi, redaktorowi, wydawcy

Rozdział 1

Odnaleźli go w Ponta Pora, uroczym niewielkim miasteczku brazylijskim, położonym przy granicy z Paragwajem, w strefie wciąż określanej powszechnie mianem Pogranicza.

Mieszkał w skromnym ceglany domu przy Rua Tiradentes, szerokiej alei ocienionej dwoma szeregami drzew, gdzie bosonodzy chłopcy zawzięcie kopali piłkę na rozpalonych słońcem chodnikach.

Żył samotnie, w każdym razie w ciągu ośmiu dni wnikliwych obserwacji nikt go nie odwiedzał, poza przychodzącą nieregularnie gospodynią.

Wiódł życie dostatnie, ale pozbawione luksusów. Dość nowy, lecz niezbyt duży dom mógł należeć do któregoś z miejscowych właścicieli nieruchomości. Jeździł czerwonym, czyściutkim i wywoskowanym na połysk volkswagenem

„garbusem” z roku 1983, których miliony schodziły z taśm montażowych fabryki w Sao Paulo. Pierwsze zdjęcie, jakie udało im się zrobić, przedstawiało go właśnie w trakcie polerowania karoserii auta na końcu krótkiego podjazdu, oddzielonego od ulicy kutą bramą.

Był znacznie szczuplejszy, musiał sporo schudnąć, bo przed swoim nagłym zniknięciem ważył sto pięć kilogramów. Teraz miał ciemniejszą cerę i włosy. Wyraźnie skrócona i zaokrąglona broda oraz prostszy i bardziej spiczasty nos nieco odmieniły rysy jego twarzy. Byli jednak na to przygotowani. Sporo pieniędzy kosztowało ich uzyskanie dokładnych informacji od chirurga z Rio, który dwa i pół roku wcześniej przeprowadził operację plastyczną.

Odnaleźli go po czterech latach zmudnych i uporczywych poszukiwań, wypełnionych skrzętnym sprawdzaniem mylnych informacji oraz identyfikowaniem zatartych śladów, po czterech latach, jak jeszcze do niedawna można było sądzić, wyrzucania w błoto pieniędzy zleceniodawcy.

W końcu jednak go znaleźli. Rozpoczęło się nudne oczekiwanie. Logika nakazywała porwać go jak najprędzej, oszołomić narkotykami i przewieźć do przygotowanej kryjówki w pobliskim Paragwaju, zanim on ich rozpozna czy ktokolwiek z sąsiedztwa nabierze jakichś podejrzeń. Zdołali jednak zapanować nad emocjami i po dwóch dniach zażartych dyskusji podjęli decyzję, żeby poczekać. Wyznaczy-4

li sobie posterunki obserwacyjne wzdłuż Rua Tiradentes i ubrani na podobień-

stwo mieszkańców miasteczka kręcili się po okolicy, w ocienionych ulicznych kawiarenkach popijali

herbatę albo jedli lody, czy też wdawali się w pogawędki z grającymi w piłkę dziećmi, bez przerwy obserwując jego dom. Wyruszeni za nim do centrum po zakupy, zdołali go nawet sfotografować, kiedy wychodził

z apteki. Na targu udało im się zbliżyć do niego na tyle blisko, by stwierdzić, że rozmawia ze sprzedawcą nadzwyczaj płynnie po portugalsku, tylko wprawne ucho mogło rozpoznać lekki akcent angielski bądź niemiecki. Krótko przebywał

w mieście, pospiesznie robił zakupy, wracał do domu, wstawiał wóz do garażu i zamykał bramę od ulicy. Niemniej nawet te błyskawiczne wypadki umożliwiły im wykonanie z ukrycia kilkunastu zdjęć.

W swym poprzednim życiu intensywnie uprawiał jogging, chociaż ostatnio, w miarę jak przybierał na wadze, wyraźnie skracał trasy porannych biegów. Skoro schudł aż tak bardzo, wcale ich nie zdziwiło, że znów zaczął intensywnie ćwiczyć.

Wychodził z domu, starannie zamykał za sobą bramę i ruszał truchtem wzdłuż Rua Tiradentes. Pierwsze półtora kilometra pokonywał w ciągu dziewięciu minut i docierał do punktu, gdzie asfalt ustępował miejsca żwirowi, a zabudowania na skraju miasta wyraźnie rzedyły. Po przebiegnięciu dwóch kilometrów przyspieszał.

Teraz, w połowie października, temperatura w południe dochodziła do dwudziestu sześciu stopni, mimo to Danilo przyspieszał nadal, mijając niewielką prywatną klinikę położniczą oraz kościółek baptyistów. I kiedy docierał do końca żwirowej alejki, skąd bita droga wiodła między pola uprawne, pokonywał już kilometr w ciągu czterech minut.

Najwyraźniej traktował jogging bardzo poważnie, z czego niezmiernie się ucieszyli. Poza miastem znacznie łatwiej było go porwać.

Już następnego dnia, po namierzeniu poszukiwanego, Brazylijczyk imieniem Osmar wynajął mały zaniedbany dom na przedmieściu Ponta Pora i wkrótce cała ekipa niepostrzeżenie się w nim rozlokowała. Składała się po połowie z Brazylijczyków i Amerykanów. Tym pierwszym rozkazy po portugalsku wydawał Osmar, angielskie polecenia rzucał stanowczym głosem Guy. A ponieważ jedynie Osmar władał biegle obydwojema językami, pełnił zarazem rolę tłumacza.

Guy pochodził z Waszyngtonu, gdzie wcześniej pracował w jakiejś agencji rządowej, i to on otrzymał zlecenie odnalezienia Danny'ego Boya, jak przezwano poszukiwanego. Wśród znajomych Guy uchodził pod wieloma względami za geniusza, mówiono o jego rozlicznych talentach, ale utrzymywał swą przeszłość w najściślejszej tajemnicy. Realizował już piąty z kolei jednoroczny kontrakt na wytropienie zbiega, zawierający klauzulę o sowej nagrodzie za pomyślne ukoń-

czenie zadania. Nic więc dziwnego, że dotychczasowe niepowodzenia odbierał

jak prawdziwą klęskę, chociaż usilnie się starał niczego po sobie nie okazywać.

no.

Ostatecznie jednak znaleźli zbiega.

Ani Osmar, ani nikt inny z gromady wynajętych Brazylijczyków nie miał najmniejszego pojęcia o grzeszkach Danny'ego Boya, musieli się jednak domyślać, że poszukiwany zwiął ze Stanów Zjednoczonych z kupą forsy. Ale mimo swego autentycznego zainteresowania postacią Danny'ego Boya Osmar doskonale wiedział, iż nie należy o nic pytać. A Guy i jego amerykańscy kumple trzymali sprawę w tajemnicy.

Wykonane zdjęcia poszukiwanego zostały powiększone do formatu dwadzie-

ścia na dwadzieścia pięć centymetrów i porozwieszane na ścianie w kuchni za-

śmieconego domku. Z uwagą przyglądali się im mężczyźni o twardych spojrzeniach, którzy z niedowierzaniem kręcili nad nimi głowami, niemal bez przerwy kopiąc mocne papierosy bez filtra. Porozumiewali się szeptem, ciągle porównując fotografie z innymi, starszymi, zrobionymi jeszcze przed zniknięciem tamtego.

Dyskutowali nad zmienioną sylwetką Danny'ego Boya, skorygowanym kształtem brody oraz nosa, wyraźnie ciemniejszymi włosami i śniadą cerą. Nie byli pewni, czy to ten sam człowiek.

Przechodzili już przez to wszystko dziewiętnaście miesięcy wcześniej, w Recife na północno-wschodnim wybrzeżu Brazylii. Tam też wynajęli mieszkanie, porozwieszali zdjęcia na ścianie i przyglądali się im uważnie, dopóki nie zapadła decyzja, że trzeba porwać Amerykanina i sprawdzić odciski jego palców. Ale te się nie zgadzały. To nie był ich obiekt. Naszprycowali go więc narkotykami i zostawili w przydrożnym rowie.

Nie mogli przejawiać zbytniego zainteresowania trybem życia Danilo Silvy.

Jeśli to jego szukali, facet powinien mieć kupę forsy, a zielone banknoty zawsze oddziaływały magicznie na przedstawicieli miejscowych władz. W minionych dziesięcioleciach właśnie dzięki pieniądзом bezpieczeństwo w Ponta Pora zapewniło sobie wielu Niemców, w tym także hitlerowców.

Osmar chciał jak najszybciej porwać Danilo, Guy postanowił jednak zaczekać.

Tymczasem obiekt zniknął czwartego dnia i na długie trzydzieści sześć godzin w zapuszczonym domku zapanował chaos.

Obserwatorzy zameldowali, iż poszukiwany w pośpiechu wyjechał swoim czerwonym „garbusem”. Popędził przez całe miasto w kierunku lotniska, wskoczył w ostatniej chwili do niewielkiego samolotu lokalnych linii lotniczych i tyle go widzieli. Podjęto uważną obserwację auta pozostawionego na jedynym placu parkingowym przed budynkiem lotniska. Sprawdzili, że samolot odleciał do Sao Paulo, ale po drodze miał lądować w czterech mniejszych miastach.

Naprawdę powstał plan włamania do domu Danilo i spisania wszystkich przedmiotów. Podejrzewano, że musi się znaleźć jakiś dowód zmiany tożsamości, może nawet świadectwo lokaty pieniędzy. Guy marzył o odkryciu wyciągów banko-6

wych, potwierdzeń dokonanych przelewów czy jakichś transakcji finansowych.

Wierzył, że tego typu dokumentacja, dobrze ukryta gdzieś w domu, pozwoliłaby mu błyskawicznie zlokalizować zaginioną fortunę.

Ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że jeśli Danny Boy rzeczywiście nawiązał z forszą, to z pewnością nie trzymał w domu żadnych papierów z nią związanych.

A jeżeli Danilo był rzeczywiście poszukiwanym przez nich człowiekiem, to na pewno nieźle zabezpieczył dom przed włamaniem. Toteż tego dnia Guy w ponu-rym nastroju zadzwonił do Waszyngtonu, żeby złożyć swój codzienny meldunek.

Bez przerwy obserwowali samochód. Po wylądowaniu każdego samolotu powiadomiali telefonicznie resztę ekipy i przyglądali się przez lornetki wysiadającym pasażerom. Pierwszego dnia przybyło sześć maszyn, drugiego pięć. Atmosfera w domu robiła się nie do zniesienia, a z powodu upału wszyscy chętnie spędzali czas na powietrzu — Amerykanie najczęściej drzemali w cieniu rozłożystego dę-

bu na tyłach, Brazylijczycy zaś grywali w karty tuż przy ogrodzeniu podwórka od ulicy.

Guy i Osmar wyruszali na dłuższe eskapady i rozplanowywali szczegóły porwania. Brazylijczyk był pewien, iż Danilo wróci. Powtarzał, że zapewne wyjechał z miasta w jakichś pilnych sprawach. Chciał powtórzyć wcześniejszą akcję

— porwać tamtego, sprawdzić odciski palców, a gdyby się okazało, że zaszła po-myłka, porzucić zwłoki w przydrożnym rowie.

Danilo wrócił piątego dnia. Obserwatorzy przejechali za jego „garbusem” całą drogę z lotniska na Rua Tiradentes. Zapanowało radosne podniecenie.

* * *

Ósmego dnia domek na przedmieściu opustoszał, Brazylijczycy i Amerykanie zajęli wyznaczone wcześniej posterunki.

Trasa biegowa Danilo liczyła dziesięć kilometrów długości. Tyle w każdym razie przebiegał dotąd każdego dnia. Zawsze wychodził z domu o tej samej porze, nieodmiennie ubrany w granatowo-pomarańczowe elastyczne spodenki, podniszczone adidas-y oraz grube zrolowane nad kostkami skarpety. Nie nosił podkoszulków.

Za najlepszy punkt na zasadzkę uznali miejsce oddalone o cztery kilometry od domu, gdzie wysypana żwirem droga wspięła się na niewielkie wzniesienie i skąd było już widać jej koniec. Tam Danilo

zwykle zwracał. Dotarł do tego miejsca po dwunastu minutach biegu, o kilkanaście sekund wcześniej niż zazwyczaj. Z jakiegoś powodu tego dnia narzucił sobie szybsze tempo. Być może przestraszył się nadciągających chmur.

7

Na szczycie wzniesienia stał niewielki stary samochód z przebitą dętką, blokując niemal całą szerokość drogi. Bagażnik był otwarty, tył wozu uniesiony na podnośniku. Kierowca, młody kudłaty mężczyzna, zrobił zdumioną minę na widok zbliżającego się półnagiego biegacza. Danilo zwolnił, a po chwili namysłu skierował się na prawe pobocze.

— *Bom dia* — przywitał go nieznajomy, robiąc krok w jego stronę.

— *Bom dia* — odpowiedział Danilo, zamierzając wyminąć zepsuty samochód.

Kierowca błyskawicznie wyjął z bagażnika olbrzymi, połyskujący białym me-talem pistolet i wymierzył go w twarz zadyszanego biegacza. Danilo zatrzymał się nagle, z szeroko rozwartymi ustami, wybałuszywszy oczy na widok broni. Ob-cy miał bardzo długie ręce z dłońmi wielkimi jak bochny, toteż bez większego trudu chwycił go za kark, przyciągnął do siebie i przycisnął kolanami do zderzaka. Schował pistolet do kieszeni spodni, niczym szmacianą lalkę zgiął Danilo i wepchnął do bagażnika. Tamten za późno się zorientował. Próbował się bronić, zaczął wierzgać nogami, ale nie miał żadnych szans.

Po paru sekundach kierowca zatrzasnął klapę bagażnika, opuścił podnośnik, cisnął go do rowu i odjechał. Jakies półtora kilometra dalej skręcił w wąską polną drogę, gdzie już czekała z niecierpliwością reszta ekipy.

Ręce i nogi Danny'ego Boya skrupowali cienką nylonową linką, oczy przewiązali mu czarną opaską, po czym przenieśli go do furgonetki. Osmar usiadł

z jego prawej strony, drugi Brazylijczyk z lewej. Ktoś inny pospiesznie z saszet-ki umocowanej przy jego pasie wyciągnął klucze od domu. Danilo nie odezwał

się jednym słowem nawet wtedy, kiedy samochód ruszył. Wciąż ciężko dyszał, a pocił się chyba jeszcze bardziej niż podczas biegu.

Dopiero gdy furgonetka stanęła przed zabudowaniami starego opuszczonego gospodarstwa, wydusił z siebie po portugalsku:

— Czego chcecie?

— Nic nie mów — rzucił Osmar po angielsku.

Brazylijczyk siedzący po drugiej stronie szybko wyjął z metalowego pudełka strzykawkę i napełnił ją bezbarwną cieczą z fiolki. Osmar przycisnął ręce więźnia do brzucha i tamten błyskawicznie wbił mu igłę w przedramię. Danilo szarpnął

się tylko raz, po czym naprężył mięśnie, jakby zrozumiął, że wszelki jego opór będzie daremny. Zanim jeszcze strzykawka została do końca opróżniona, rozluźnił

się ponownie i zaczął wolniej oddychać. Kiedy po paru sekundach głowa opadła mu na piersi, Osmar jednym palcem ostrożnie zsunął nieco nogawkę elastycznych spodnek z jego uda. Ujrzeni dokładnie to, czego się spodziewali: odsłonięta skóra była biała.

Dzięki regularnym biegom nie tylko utrzymywał szczupłą sylwetkę, lecz także się opalał.

Porwania w strefie przygranicznej nie należały do rzadkości, Amerykanie zaś stanowili najłatwiejszy cel. Tylko dlaczego wybrali mnie? — zapytywał siebie 8

w duchu Silva, próbując walczyć z wszechogarniającą sennością. Nie wiedział, że uśmiecha się głupkowato, gdyż w tym czasie jego umysł mknął poprzez kosmiczną pustkę. Danilo ścigał meteory oraz komety i rozpychał księżycy, kierując się ku odległym galaktykom.

Ukryli go między kartonami pełnymi arbuzów i truskawek. Celnik na przej-

ściu granicznym tylko skinął głową, nie ruszając się nawet z miejsca, i w ten sposób Danny Boy znalazł się w Paragwaju, chociaż w najmniejszym stopniu nie zdawał sobie z tego sprawy. Uśmiechnięty szeroko, turlał się po podłodze furgonetki, w miarę jak teren stawał się coraz bardziej pofałdowany, a drogi coraz gorsze. Osmar przypalał jednego papierosa od drugiego i w milczeniu pokazywał kierowcy, którą ma jechać. Godzinę po porwaniu skręcili po raz ostatni.

W wąskiej kotlinie między dwoma spiczastymi wzgórzami stały tu samotne zabudowania, prawie niewidoczne z biegnącej dnem doliny bitej, wyboistej drogi.

Przenieśli go jak worek kartofli i rzucili na stół w kuchni, gdzie pod czujnym okiem Guya specjalista od daktyloskopii natychmiast przystąpił do zdejmowania odcisków palców.

Danny Boy pochrapywał cicho, całkiem nieświadom tego, że każdy jego palec jest kolejno zwilżany tuszem i starannie przykładany do kartki papieru. Cała amerykańsko-brazylijska ekipa zgromadziła się wokół stołu, śledząc z przejęciem wszystkie czynności. W pudle przy drzwiach czekały już butelki whisky, specjalnie przygotowane na wypadek, gdyby porwany mężczyzna okazał się tym, którego poszukiwali.

Daktyloskopista ukończył pracę i zamknął się w jednym z pokojów, gdzie na blacie, w strumieniu silnego światła z lampy, leżały już przygotowane materiały do identyfikacji. Obok świeżego zestawu odcisków znalazł się starszy, pozostawiony przez Danny'ego Boya dobrowolnie, kiedy był on znacznie młodszy, po-sługiwał się jeszcze imieniem Patrick i występował o przyjęcie do palestry adwokackiej stanu Luizjana. Aż dziw, że prawnikom, podobnie jak więźniom, pobiera się odciski palców — pomyślał specjalista.

Oba zestawy były bardzo czytelne, toteż zaledwie po paru minutach stało się jasne, iż należą one do tego samego człowieka. Mimo to daktyloskopista sumiennie porównał odciski poszczególnych palców. Nie musiał się spieszyć, tamci mogli zaczekać. Niemalże delektował się świadomością

targających nimi wątpliwo-

ści. Wreszcie wyszedł z pokoju i zmarszczył brwi na widok wpatrującej się w niego z napięciem gromady mężczyzn. Uśmiechnął się szeroko i rzekł po angielsku:

— To on.

Odpowiedziały mu chóralne owacje.

Guy zgodził się na otwarcie butelki whisky, ale nakazał umiar. Czekają ich jeszcze sporo pracy. Wciąż nieprzytomny Danny Boy otrzymał kolejną dawkę 9

środką nasennego i został przeniesiony do pozbawionej okien sypialni o specjalnie wzmocnionych drzwiach otwieranych jedynie z zewnątrz. Tam właśnie miał być przesłuchiwany, a nawet torturowany, gdyby zaszła taka konieczność.

Bosonodzy chłopcy na ulicy byli zbyt zajęci grą w piłkę, by zwrócić uwagę na obcego. W komplecie Danny'ego Boya znajdowały się tylko cztery klucze, toteż dopasowanie jednego z nich do zamka bramy nie przysporzyło większych trudności. Drugi członek ekipy zaparkował wynajęty samochód pod rozłożystym drzewem, cztery domy dalej, następny ustawił motocykl po przeciwnej stronie i zaczął majstrować przy naciągu linki hamulcowej.

Gdyby włączył się system alarmowy, włamywacz miał szansę, by błyskawicznie stamtąd uciec, wręcz nie zauważony przez nikogo. W przeciwnym razie mógł

się zamknąć w domu i dokonać szczegółowego przeszukania.

Otwarcie drzwi nie spowodowało wycia syreny. W ścianie korytarzyka znajdował się pulpit urządzenia alarmowego, lecz było ono wyłączone. Mężczyzna odetchnął z ulgą. Postąpił przez chwilę tuż za drzwiami, dopiero później ruszył

w głąb mieszkania. Pospiesznie wymontował twardy dysk z komputera i spakował

wszystkie dyskietki. Przejrzał dokumenty leżące na biurku, lecz oprócz sterty rachunków, tylko w części zapłaconych, nie znalazł niczego ciekawego. Obok komputera stał tani, zdezelowany telefaks, który po włączeniu zasygnalizował jakąś usterkę. Wywiadowca przystąpił zatem do fotografowania mebli, półek z książkami, ubrań w szafie, zapasów żywności oraz czasopism leżących na stoliku.

Pięć minut po otwarciu drzwi domu włączył się automat ukryty w piwnicy, który drogą telefoniczną uruchomił sygnalizację alarmową w biurze niewielkiej firmy ochroniarskiej mieszczącej się kilkaset metrów dalej w kierunku centrum Ponta Pora. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na mrugającą lampkę, gdyż w tym czasie pełniący dyżur pracownik drzemał sobie smacznie w hamaku rozciągnię-

tym na tyłach budynku. Tymczasem automatyczna sekretarka utrwaliła nagraną wcześniej przez Danilo wiadomość o włamaniu do jego domu. Dopiero kwadrans później przekaz ten został odtworzony przez innego ochroniarza. Zanim jednak dojechał on do domu Silvy, włamywacz zdążył już stamtąd uciec. Z ulicy wszystko wyglądało normalnie, na podjeździe za zamkniętą bramą stał

czerwony „garbus”. Drzwi domu także były zamknięte na klucz.

Zalecenia pozostawione przez właściciela na wypadek alarmu okazały się dość nietypowe. Ochroniarzom zabraniano powiadamiać policję, mieli rozpocząć intensywne poszukiwania Danilo Silvy, a gdyby nie zdołali go nigdzie znaleźć, powinni przekazać wiadomość pod określony numer telefonu w Rio, kobiecie 10

o nazwisku Eva Miranda.

Tym razem Guy składał telefoniczny meldunek, ledwie mogąc opanować silne podniecenie. Uzyskawszy połączenie z Waszyngtonem, zamknął oczy, uśmiechnął się szeroko i rzucił do słuchawki:

— To on.

Mimo woli jego głos zabrzmiał o kilka tonów wyżej niż zazwyczaj.

— Jesteś pewien? — zapytał rozmówca po długim, kilkusekundowym milczeniu.

— Tak. Odciski palców nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Ponownie zapadła cisza, jakby Stephano, zwykle reagujący błyskawicznie, tym razem nie mógł zebrać myśli.

— A pieniądze?

— Jeszcze o nic go nie pytaliśmy. Wciąż śpi.

— Kiedy chcesz to zrobić?

— Dziś wieczorem.

— Będę czekał przy aparacie.

Stephano odłożył słuchawkę, chociaż do głowy cisnęły mu się setki pytań.

Guy znalazł sobie zaciszny kącik na tyłach zabudowań. Usiadł na potężnym pniaku wśród gęstych zarośli, w cieniu, gdzie powietrze było wilgotne i rześkie.

Ledwie docierały tu stłumione głosy świętujących agentów. Wcale im się nie dziwił, najważniejsza część zadania została wykonana.

On zaś wzbogacił się o dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Odnalezienie zaginionych pieniędzy oznaczałoby kolejną sowitą premię, a Guy był prawie pewien, że teraz przyjdzie im to bez większych trudności.

Rozdział 2

W niewielkim, lecz przytulnym gabinecie na dziewiątym piętrze wieżowca w centrum Rio de Janeiro Eva Miranda powoli odłożyła słuchawkę i szeptem powtórzyła słowa odebranej przed chwilą wiadomości. Zadziałało automatyczne urządzenie alarmowe. Ochroniarze stwierdzili, że Danilo Silvy nie ma w domu, samochód stoi zaparkowany na podjeździe, a drzwi i brama są zamknięte na klucz.

Zatem ktoś musiał się włamać do środka, uruchamiając zamaskowaną instalację ostrzegawczą. I nie był to fałszywy alarm, gdyż ochroniarze po wejściu do domu sprawdzili, że urządzenie działa prawidłowo.

Danilo zniknął.

Niewykluczone, iż wyruszył na trasę biegu, zapomniawszy dopełnić rutyno-wych czynności. Według ochroniarzy alarm włączył się godzinę i dziesięć minut temu, a Silva biegał przecież krócej — dziesięć kilometrów pokonywał w ciągu mniej więcej pięćdziesięciu minut. Miał stałą trasę, nigdy jej nie zmieniał.

Pospiesznie zadzwoniła pod numer domu przy Rua Tiradentes, ale nikt nie odebrał. Następnie wybrała numer aparatu komórkowego, który czasami zabierał

ze sobą, lecz na tej linii także się nie zgłosił.

Zdarzyło się to już przed trzema miesiącami. Danilo sam nieopatrznie uruchomił system alarmowy, przez co narobił straszliwego popłochu. Ale wówczas wystarczyła krótka rozmowa telefoniczna i nieporozumienie zostało wyjaśnione.

Silva zanadto zwracał uwagę na swoje bezpieczeństwo, by zachowywać się tak lekkomyślnie. A więc musiało się za tym coś kryć.

Miranda zadzwoniła po raz drugi, lecz również bez efektu. Powinno być jakieś wyjaśnienie tej zagadkowej sytuacji — powtarzała sobie w duchu.

Po namyśle wybrała numer mieszkania w Kurytybie, półtoramilionowej stolicy stanu Parana. Była pewna, że nikt nie wie, iż Silva z niego korzystał. Niewielki lokal, wynajęty na fałszywe nazwisko, służył im za miejsce sporadycznych spotkań oraz skrzynkę kontaktową. Od czasu do czasu spędzali tam weekendy — z jej punktu widzenia zdecydowanie za rzadko.

Nie spodziewała się, że ktoś tam odbierze telefon, toteż rezultat wcale jej nie zdziwił. Danilo z pewnością zawiadomiłby ją wcześniej o wyjeździe do Kurytyby.

12

Kiedy wyczerpała możliwości poszukiwań telefonicznych, zamknęła drzwi swego gabinetu na zasuwkę, oparła się o nie plecami i zacisnęła powieki. Z korytarza dolatywał stłumiony szmer rozmów. Firma adwokacka zatrudniała trzydziestu trzech prawników, była drugą co do wielkości w Rio de Janeiro, miała filie w Sao Paulo oraz Nowym Jorku. Dzwonki telefonów, postukiwanie faksów i terkot dru-karek komputerowych zlewały się w jednostajne tło dźwiękowe biura.

Trzydziestojednoletnia Miranda już od pięciu lat była współnikiem firmy, a ta pozycja często zmuszała ją do pracy późnymi wieczorami czy w soboty. Aż czternaścioro prawników w kancelarii miało tę samą rangę, lecz były wśród nich tylko dwie kobiety. Eva gorąco pragnęła odmienić tę sytuację. Spośród dziewiętnastor-ga mniej doświadczonych adwokatów dziesięć stanowiły kobiety, co dowodziło, że w Brazylii, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, prawo przestawało być wyłączną domeną mężczyzn. Ukończyła katolicki uniwersytet w Rio, według niej jedną z najlepszych brazylijskich uczelni. Jej ojciec wykładał tam filozofię.

Namówił ją, aby po uniwersytecie podjęła prawnicze studia podyplomowe w Georgetown, gdzie i on wcześniej studiował. To dzięki jego wpływom, swoim imponującym wynikom, ujmującemu wyglądowi oraz biegłej znajomości angielskiego zdołała dostać tak ciekawą pracę.

Stała teraz przy oknie, nakazując sobie w duchu zachowanie spokoju, chociaż liczyła się każda minuta. Ale to, co musiała w tej sytuacji zrobić, wymagało całkowitego opanowania. Później i ona powinna zniknąć bez śladu. Za pół godziny czekało ją ważne posiedzenie, teraz jednak powinna o nim zapomnieć.

Dokumenty trzymała w ognioodpornej kasetce, w kasie pancерnej. Wyjęła je i po raz kolejny zaczęła czytać szczegółowe instrukcje, które wraz z Danilo omawiali niejednokrotnie.

On bowiem podejrzewał, że wcześniej czy później ktoś go zidentyfikuje. Eva do tej pory wolała nie brać pod uwagę takiej możliwości. Na krótko zastanowi-

ła się nad własnym bezpieczeństwem. Niespodziewanie zadzwonił telefon, a jego terkot sprawił, że aż podskoczyła w fotelu. Ale nie był to Danilo. Sekretarka za-wiadamiła, że umówiony klient już czeka i bardzo się spieszy. Miranda poleciła, aby przeprosić go serdecznie i umówić na spotkanie w innym terminie, gdyż jest teraz bardzo zajęta.

Pieniądze były ulokowane w dwóch instytucjach, w pewnym panamskim banku oraz znanym truście holdingowym, mającym siedzibę na Bermudach. Pierwszy wysłany przez nią faks zlecał natychmiastowe przelanie całej sumy z banku panamskiego na Antiguę i likwidację konta. Następny polecał rozdzielić tę kwotę między trzy różne banki na Kajmanach. Trzeci nakazywał likwidację pakietu holdingowego na Bermudach i transfer pieniędzy na Bahamy.

W Rio dochodziła druga po południu, zatem większość europejskich banków była już zamknięta. Eva musiała więc chwilowo ograniczyć się do przelewów w rejonie karaibskim i zaczekać, aż rozpoczną działalność instytucje finansowe 13

na Dalekim Wschodzie.

Instrukcje pozostawione przez Silvę były jasne, lecz ogólnikowe. O wielu szczegółach musiała decydować sama. W jej gestii pozostało dzielenie pienię-

dzy na mniejsze kwoty oraz wybór banków, w których je chwilowo lokowała.

Znacznie wcześniej przygotowała długą listę fikcyjnych przedsiębiorstw, jakoby obracających tym kapitałem. Danilo nawet nie widział jej na oczy. Zapamiętała dzieliła więc teraz pieniądze i bezustannie przelewała je z jednego konta na drugie. Wielokrotnie ćwiczyli ten element wspólnego planu.

Danilo po prostu nie mógł wiedzieć, jakimi drogami wędrują pieniądze. To było jej zadanie, miała całkowicie wolną rękę. Specjalizowała się w prawie handlowym. Jej klientami byli Brazylijczycy pragnący rozwijać kontakty ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą. Świetnie знаła podstawy handlu zagranicznego, bankowości oraz reguły transferów kapitałowych. A to, czego nie wiedziała na temat współzależności finansowych różnych krajów świata, przekazał jej Danilo.

Od czasu do czasu spoglądała na zegarek. Od chwili odebrania alarmującej wiadomości z Ponta Pora minęła godzina.

Kiedy czekała na potwierdzenie kolejnego faksu, znowu zadzwonił telefon.

No, tym razem to już musi być Silva — pomyślała. Zapewne wyjaśnią się zaraz powody tego zamieszania. Żywiła uzasadnione podejrzenia, iż Danilo chciał ją tylko wypróbować, sprawdzić jej działania w krytycznej sytuacji. Bo przecież nie chodziło o głupi żart.

Ale dzwonił jeden ze współników firmy, zaniepokojony jej nieobecnością na zebraniu. Przeprosiła go zdawkowo i wróciła do przerwanej pracy.

Z każdą minutą odczuwała nasilającą się presję. Niepokój wzbudzał brak jakichkolwiek wieści od Silvy. W jego domu nikt nie podnosił słuchawki. A przecież gdyby rzeczywiście został pojmany przez jakichś agentów, tamci już dawno musieliby go nakłonić do wyjawienia tajemnicy. Wszak tego obawiał się najbardziej. I z tego powodu kazał jej jak najszybciej zniknąć.

Minęło półtorej godziny. Coraz bardziej dawały jej się we znaki złe przeczucia. Danilo nigdy nie wyjeżdżał, nie powiadomiwszy jej zawczasu. Bardzo starannie planował każdy swój krok i zawsze oglądał się za siebie. Czyżby jednak miało się ziścić to, co dręczyło go w nocnych koszmarach?

Z automatu telefonicznego w holu wieżowca Eva przeprowadziła jeszcze dwie ostatnie rozmowy. Najpierw zadzwoniła do dozorczy budynku w Leblon — południowej, bogatej i eleganckiej dzielnicy Rio, gdzie mieszkała — żeby sprawdzić, czy nikt o nią nie pytał. Nie, nikt jej nie szukał. Mężczyzna obiecał, że zwróci baczną uwagę na mieszkanie. Następnie skontaktowała się z okręgowym biurem FBI w Biloxi, w stanie Missisipi. Usiłując nie zdradzić swego południowego ak-centu, oznajmiła, że ma wyjątkowo pilną sprawę, i poprosiła o połączenie z szefem placówki. Czekaając na zgłoszenie się rozmówcy, pomyślała, że od tej chwili nie ma już odwrotu.

14

Ktoś musiał rzeczywiście zidentyfikować Danilo. Jego mroczna przeszłość dała o sobie znać.

— Słucham — odezwał się w końcu mężczyzna. Słyszała go tak wyraźnie, jakby przebywał razem z nią w pokoju.

— Agent Joshua Cutter?

— Tak.

Zawahała się na moment.

— Czy to pan prowadzi śledztwo w sprawie zniknięcia Patricka Lanigana? —
spytała, choć dobrze wiedziała, że tak jest.

Nie odpowiedział od razu.

— Owszem. A kto mówi?

Była pewna, iż FBI zacznie teraz gorączkowo sprawdzać jej numer telefonu, co powinno im zająć około trzech minut. Nie wątpiła jednak, że namierzanie utknie w martwym punkcie na automatycznej centrali międzynarodowej dziesię-

ciomilionowego miasta. Mimo to nerwowo rozejrzała się po holu.

— Dzwonię z Brazylii — powiedziała, realizując przygotowany na tę okoliczność scenariusz. —
Złapali Patricka.

— Kto? — zapytał szybko Cutter.

— Mogę podać panu nazwisko.

— Słucham uważnie — rzekł, starając się ukryć podniecenie.

— Jack Stephano. Zna go pan?

Przez chwilę panowała cisza.

— Nie. Kto to taki?

— Waszyngtoński prywatny detektyw. Poszukiwał Patricka przez cztery lata.

— I twierdzi pani, że go odnalazł. Zgadza się?

— Owszem. Jego ludzie dokonali porwania.

— Gdzie?

— Tutaj, w Brazylii.

— Kiedy?

— Dzisiaj. Podejrzewam, że będą chcieli go zabić.

Cutter namyślał się przez parę sekund, wreszcie spytał:

— Co jeszcze może mi pani powiedzieć w tej sprawie?

Eva podyktowała waszyngtoński numer telefonu Jacka Stephano, po czym odwiesiła słuchawkę i wyszła z budynku.

Guy dokładnie przejrzał papiery zabrane z domu Danny'ego Boya, ale nie znalazł w nich tego, czego szukał. Comiesięczne wyciągi z lokalnego brazylijskiego banku wskazywały, że stan konta pojmanego oscyluje wokół trzech tysięcy dolarów, a przecież nie o takie pieniądze im chodziło. Jedyne figurujący w zestawie przychód wynosił tysiąc osiemset dolarów, miesięczne wydatki nie przekraczały 15

tysiąca. Danny Boy żył więc dość skromnie. Rachunki za prąd i telefon nie były uregulowane, ale termin zapłaty jeszcze nie minął. Kilkanaście innych, drobnych należności zostało uiszczonych.

Jeden z jego ludzi sprawdził wszystkie numery telefonów zapisane w notesie Amerykanina, lecz także nie znalazł niczego interesującego. Inny zajął się twardym dyskiem wymontowanym z komputera i dość szybko zdołał przełamać prymitywne zabezpieczenia plików. Były to jednak wyłącznie zapisy tekstowe, obejmujące wyrywkowe opisy wycieczek w głąb brazylijskiej głuszy. Najnowszy fragment dziennika pochodził niemal sprzed roku.

Znalezione w domu papiery budziły podejrzenia. Dlaczego był wśród nich tylko ostatni wyciąg bankowy? Z jakiego powodu wyrzucono wszystkie poprzednie?

Wszak miesiąc wcześniej bank musiał przysłać pocztą analogiczne zestawienie.

Wyglądało więc na to, iż Danny Boy trzymał starsze dokumenty w ukryciu, co tylko potwierdzało, że miał coś na sumieniu.

O zmroku wciąż nieprzytomnego więźnia rozebrano do samych spodenek. Po zdjęciu zniszczonych adidasów i przepoconych bawełnianych skarpetek okazało się, że jego stopy są również tak białe, iż wyraźnie odcinają się w ciemnościach.

Zatem jego śniada cera była tylko i wyłącznie silną opalenizną. Ułożono go na dużej płycie dwucentymetrowej sklejki, w której pospiesznie nawiercono otwory, i przywiązano do niej człowieka nylonową linką w kostkach, kolanach, biodrach, pasie, ramionach i nadgarstkach. Głowę unieruchomiła szeroka czarna elastyczna taśma biegnąca przez środek czoła. Na stojaku obok pojmanego zawieszono woreczek z płynem fizjologicznym, który plastikową rurką był połączony z igłą wbitą w żyłę.

W lewe przedramię dostał drugi zastrzyk, mający go obudzić. Po chwili zaczął szybciej oddychać, wreszcie otworzył oczy, przekrwione i błyszczące, po czym utkwiał spojrzenie w zawieszonym na stojaku woreczku z płynem. Brazylijski lekarz poświecił mu w źrenice, a następnie bez słowa zaaplikował jeszcze jeden zastrzyk. Tym razem był to roztwór tiopentalu sodu, środka stosowanego dość powszechnie do rozwiązywania ludziom języków, znanego także jako „se-rum prawdy”.

Najlepiej spełniał swą rolę, kiedy więzień był już gotów wyjawić sekrety. Niestety, nie wynaleziono jeszcze leku, który zmuszałby do mówienia w każdej sytuacji.

Minęło dziesięć minut. Danny Boy próbował przekręcić głowę, ale bez powodzenia. Więzy pozwalały mu jedynie patrzeć prosto przed siebie. W pokoju panował półmrok, tylko gdzieś w kącie, poza zasięgiem jego wzroku, paliła się słaba lampka.

Rozległ się odgłos otwieranych, a następnie zamykanych drzwi. Guy wszedł

do środka sam. Zbliżył się do więźnia, oparł dłonie na krawędzi płyty ze sklejki i rzekł:

— Witaj, Patricku.

16

Ten zamknął oczy. Doskonale wiedział, że nie ma sensu dłużej udawać, iż nazywa się Danilo Silva. Odebrał to tak, jakby nagle stracił wiernego przyjaciela.

A wraz z tożsamością Silvy przepadło także zwyczajne, proste życie, jakie wiódł

w domu przy Rua Tiradentes. To krótkie powitanie w jednej chwili kazało mu zapomnieć o starannie przygotowanym kamuflażu.

Przez długie cztery lata zastanawiał się, jak to będzie, kiedy zostanie w koń-

cu pojmany. Nie potrafił ocenić, czy przyniesie mu to ulgę, czy będzie umiał to przyjąć jak akt sprawiedliwości. Domyślał się tylko jednego: zostanie zmuszony do powrotu i wypicia tego piwa, którego nawarzył.

Ale w tej chwili odczuwał jedynie skrajne przerażenie. Leżał niemal nagi, skrępowany niczym dzikie zwierzę i wszystko wskazywało na to, że w ciągu najbliższych paru godzin będzie musiał przejść przez istne piekło.

— Słyszysz mnie, Patricku? — spytał Guy, pochylając się nad nim.

Lanigan uśmiechnął się przyjaźnie. Nie miał na to najmniejszej ochoty, ale coś w głębi duszy, jakiś impuls, nad którym nie umiał zapanować, podpowiadał mu, że cała ta sytuacja jest zabawna.

Guy natychmiast zyskał dowód, że środek skutkuje. Tiopental sodu należy do grupy barbituranów o krótkotrwałym działaniu i powinno się go dawkować pod ścisłą kontrolą. Niezwykle trudno jest wywołać taki stan świadomości, w którym przesłuchiwany ujawnia wszelkie tajemnice. Zbyt mała dawka tylko nasila opór psychiczny, zbyt duża zaś błyskawicznie pozbawia człowieka przytomności.

Drzwi ponownie się otworzyły i zamknęły. Do pokoju wśliznął się widocznie drugi Amerykanin, ciekaw przebiegu rozmowy, lecz Patrick nie mógł go dojrzeć.

— Spałeś jak kamień przez trzy doby — rzekł Guy. W rzeczywistości nie minęło nawet pięć godzin,

ale to już nie miało większego znaczenia. — Chcesz może jeść albo pić?

— Pić — odparł.

Guy odkręcił butelkę i ostrożnie wlał nieco wody mineralnej między rozchyłone wargi więźnia.

— Dzięki — mruknął Patrick z uśmiechem.

— Jesteś głodny?

— Nie. Czego ode mnie chcecie?

Guy powoli odstawił butelkę na brzeg stołu i pochylił się nisko nad leżącym.

— Ustalmy kilka rzeczy na początku. Kiedy spałeś, zdjęliśmy twoje odciski palców. Dokładnie wiemy, kim jesteś. Darujmy więc sobie jakiekolwiek zaprzeczenia, dobrze?

— A kim jestem? — zapytał wciąż uśmiechnięty Patrick.

— Nazywasz się Patrick Lanigan.

— I skąd pochodzę?

— Z Biloxi w stanie Missisipi. Urodziłeś się w Nowym Orleanie, ukończyłeś prawo na uniwersytecie Tulane. Masz żonę i sześciolletnią córkę. Opłakują cię już 17

od czterech lat.

— Strzał w dziesiątkę. Wszystko się zgadza.

— Powiedz mi, Patricku, czy widziałeś swój własny pogrzeb?

— To chyba nie jest przestępstwem?

— Nie. Zapytałem z ciekawości.

— Tak, widziałem. I byłem wzruszony. Nie sądziłem nawet, że miałem tylu przyjaciół.

— No proszę. A gdzie się ukrywałeś po pogrzebie?

— Tu i ówdzie.

Pod lewą ścianą przesunął się jakiś cień, w zasięgu wzroku więźnia ukazała się ręka, mężczyzna odkręcił delikatnie kranik umieszczony u wylotu woreczka z płynem.

— Co to jest? — spytał Patrick.

— Koktajl — odparł Guy, pospiesznie dając głową znak temu drugiemu, który wycofał się w kąt

pomieszczenia.

— Gdzie są pieniądze, Patricku? — zapytał.

— Jakie pieniądze?

— Te, które ze sobą wywiozłeś.

— Ach, te. . .

Więzień nabrał głęboko powietrza, zamknął oczy i rozluźnił wszystkie mięśnie. Mijały długie sekundy. Jedyłą jego reakcją na środek było wyraźne spowolnienie oddechu.

— Patricku! — Guy nerwowo szarpnął leżącego za ramię, ale nie przyniosło to żadnego efektu.

Lanigan zapadł w głęboki sen.

Lekarz natychmiast zmniejszył dawkę specyfiku.

Na nowo rozpoczęło się nudne oczekiwanie.

Znajdujące się w archiwum FBI akta Jacka Stephano nie zawierały niczego szczególnego. Detektyw rozpoczynał karierę w Chicago, ukończył studia kryminologiczne, był strzelcem wyborowym, przez pewien czas pracował na zlecenia jako łowca nagród, później ukończył kursy w zakresie prowadzenia obserwacji oraz przeszukań, obecnie prowadził w Waszyngtonie podejrzaną agencję detektywistyczną i zarabiał grubą forszę na poszukiwaniu zaginionych osób oraz prowadzeniu różnorodnych dochodzeń.

Akta FBI dotyczące Patricka Lanigana zajmowały osiem dużych pudeł. Dokumenty były ze sobą ściśle powiązane, ale nikt nie wpadł na pomysł napisania jakiegoś pobieżnego streszczenia, które znacznie ułatwiłoby życie ludziom zajmującym się tą sprawą. Jak wynikało z akt, agencja Stephano rzeczywiście otrzymała zlecenie odnalezienia Lanigana.

18

Firma Edmund Associates mieściła się na poddaszu starej kamienicy przy ulicy K, sześć przecznic od Białego Domu. Dwaj agenci zajęli posterunki przy windzie, podczas gdy dwaj inni bezpardonowo wtargnęli do gabinetu Stephano. Omal nie stratowali po drodze sekretarki, powtarzającej w kółko, że szef jest teraz bardzo zajęty. Ten był jednak w pokoju sam, siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon. Uśmiech natychmiast zniknął z jego warg na widok odznak funkcjonariuszy FBI.

— O co chodzi, do cholery?! — wrzasnął.

Wisząca za jego plecami ogromna mapa świata upstrzona była miniaturowymi fotodiodami, kilka z nich błyszczało czerwono na tle ciemnozielonych kontynentów. Ciekawe, która z nich oznacza Lanigana — pomyślał agent dowodzący akcją.

— Kto panu zlecił poszukiwanie Patricka Lanigana? — zapytał.

— To poufna informacja — warknął Stephano, który przed laty pracował krótko w policji i znał odpowiednie procedury.

— Dziś po południu odebraliśmy telefoniczne zgłoszenie z Brazylii — wtrącił drugi agent.

I ja też — dodał w duchu Stephano, który mimo pierwszego zaskoczenia zdołał zachować zimną krew. Ale ta wiadomość sprawiła, że mimowolnie rozdziawił

usta i przygarbił się w fotelu. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, jakim sposobem ci dwaj poznali jego tajemnicę. Na temat Lanigana rozmawiał jedynie z Guyem, a jego darzył pełnym zaufaniem. Nie odważyłby się nikomu ujawnić szczegółów prowadzonego dochodzenia, a już na pewno nie funkcjonariuszom FBI.

Nawet teraz przebywający w górach wschodniego Paragwaju Guy składał mu telefoniczne meldunki, korzystając z aparatu komórkowego. W żadnym wypadku ich rozmowy nie mogły zostać przez nikogo przechwycone.

— Jest pan tu jeszcze? — zapytał drugi agent, siląc się na dowcip.

— Owszem — rzekł odruchowo Stephano, w rzeczywistości błędząc myślami bardzo daleko.

— No to gdzie jest Patrick? — rzucił pierwszy intruz.

— Możliwe, że w Brazylii.

— A dokładnie gdzie?

Stephano zdobył się na lekceważące wzruszenie ramionami.

— Nie mam pojęcia. To wielki kraj.

— Lanigan jest poszukiwany listem gończym. Należy do nas.

Detektyw po raz drugi wzruszył ramionami, czując powracający spokój.

— Też coś.

— Chcemy go dostać — rzekł ostro drugi agent. — I to jak najszybciej.

— Niestety, nie mogę wam pomóc.

— Kłamiesz! — warknął pierwszy.

Podeszli nieco bliżej, stanęli ramię przy ramieniu i złowrogo popatrzyli na Stephano z góry. Po chwili odezwał się drugi agent: 19

— Rozstawiliśmy ludzi w holu na dole, przed budynkiem, przy najbliższym skrzyżowaniu i przed twoim domem w Falls Church. Będziemy obserwować każ-

dy twój krok, dopóki nie złapiemy Lanigana.

— Świetnie. Więc teraz możecie już sobie iść.

— Tylko nie zrób mu krzywdy, jasne? Z przyjemnością dobierzemy ci się do tyłka, jeśli cokolwiek mu się stanie.

Wyszli pospiesznie i Stephano zniknął za nimi drzwiami gabinetu. W pokoju nie było okna. Stał przed mapą świata i popatrzył na trzy czerwone diody znajdujące

ce się w granicach Brazylii. Niewiele znaczyły dla kogoś postronnego. Wreszcie, nadal zdumiony, pokręcił głową do swoich myśli.

Wydawał kupę forsy na staranne zacieranie śladów.

W określonych kręgach jego agencja cieszyła się sławą firmy, która szybko załatwia sprawy, inkasuje pieniądze i zapomina o wszystkim. Nigdy dotąd nie został na niczym przyłapany. Nikt z zewnątrz nie mógł się nawet domyślać, jakie zlecenia wykonują jego ludzie.

Rozdział 3

Kolejny zastrzyk wyrwał go ze snu. Następny błyskawicznie pobudził.

Trzasnęły zamykane drzwi, w pokoju niespodziewanie zapaliło się górne światło. Wokół niego wszczął się ruch, ludzie szurali nogami, tupali, porozumiewali się półgłosem. Guy wydawał rozkazy, ktoś tłumaczył je na portugalski.

Patrick otworzył oczy, lecz szybko je zamknął. Po chwili, gdy środek zaczął

działać, zamrugał energicznie. Mężczyźni tłoczyli się wokół niego, wyciągali rę-

ce. Bez ceregieli rozcięto mu spodenki i je zerwano. Leżał teraz nagi, wystawiony na ich spojrzenia. Zabrzęczała elektryczna maszynka do golenia. Poczuł jej do-tknięcia w pewnych miejscach na piersi, udach, łydkach i w kroczu. Przygryzł

wargi i skrzywił się boleśnie, chociaż nie odczuwał jeszcze żadnego cierpienia.

Guy wszystko nadzorował. Stał nad nim z rękoma założonymi na piersi, obserwując uważnie każdą czynność.

Patrick nawet nie jęknął, ale chyba na wszelki wypadek ktoś zakleił mu usta kawałkiem szerokiej,

połyskującej srebrzyście taśmy. W ogolonych miejscach poczuł uszczypnięcia, kiedy do skóry przyczepiono mu elektrody zakończone kro-kodylkowymi uchwytami. Ktoś w kącie pokoju powiedział coś głośniej, wyraźnie dotarło do niego słowo „prąd”. Elektrody zabezpieczono taśmą samoprzylepną.

Wydawało mu się, że zostały podłączone aż w ośmiu miejscach na jego ciele, może nawet dziewięciu. Nerwy miał napięte jak postronki. Mimo oszołomienia bardzo wyraźnie czuł dotyk szykujących go na tortury ludzi. Taśma silnie ściąga-

ła skórę wokół elektrod.

Dwaj lub trzech mężczyźni w rogu pokoju szykowali jakąś aparaturę, której Patrick nie mógł dostrzec. Po kilku minutach czuł, że przewody elektryczne oplatają go niczym choinkę ustrojoną na Boże Narodzenie.

Powtarzał sobie w duchu, iż tamci wcale nie zamierzają go zabić, chociaż podejrzewał, że już za kilka godzin będzie gorąco pragnął śmierci. W ciągu ostatnich czterech lat wielokrotnie przeżywał podobne chwile w sennych koszmarach.

Modlił się, aby nigdy do tego nie doszło, ale w głębi ducha przeczuwał, że to nieuniknione. Domyślał się, że płatni agenci wciąż węszą jego trop, sprawdzają wszelkie kryjówki, niemal zaglądają pod kamienie.

21

Był przekonany, że do tego dojdzie. Tylko Eva nie wierzyła.

Zamknął oczy i zaczął głębiej oddychać, próbując powstrzymać paniczne my-

śli oraz przygotować swe ciało na zbliżające się katusze. Ale środki farmakologiczne podtrzymywały szybsze bicie serca i powodowały mimowolne napięcie mięśniowe.

Nie wiem, gdzie są pieniądze! Nie wiem, gdzie są pieniądze!

Omal nie wykrzyknął tego na głos. Dzięki Bogu, że mam usta zaklejone taśmą

— pomyślał. Nie wiem, gdzie są pieniądze.

Dzwonił do Ewy codziennie między czwartą a szóstą po południu. Czynił to zawsze, w dni powszednie i święta, bez wyjątków, chyba że wcześniej zaplanowali inaczej. W głębi ducha miał pewność, że Miranda zdążyła do tej pory przelać pieniądze na inne konta, ukryte bezpiecznie w którymś z tysięcy banków na całym świecie. A on rzeczywiście nie miał pojęcia, dokąd zostały przesłane.

Obawiał się jednak, że tamci mu nie uwierzą.

Drzwi otworzyły się ponownie, kilka osób wyszło. Stopniowo krzątania wokół jego drewnianego

leża zamierała. Wreszcie zapadła cisza. Patrick otworzył

oczy i spostrzegł, że zniknął stojak z zawieszonym plastikowym woreczkiem.

Guy popatrzył mu w twarz. Ostrożnie chwycił za róg połyskliwej taśmy klejącej i szarpnięciem zerwał ją z ust więźnia, aby ten mógł swobodnie mówić.

— Dzięki — mruknął Lanigan.

Znowu po jego lewej stronie zjawił się brazylijski lekarz i wbił mu igłę w przedramię. Tym razem zrobił duży zastrzyk z lekko zabarwionej wody, ale pojmany nie mógł się tego domyślić.

— Gdzie są pieniądze, Patricku? — spytał Guy.

— Nie mam żadnych pieniędzy.

Odczuwał narastający ból z tyłu głowy przyciśniętej więzami do sztywnego podłoża. Miał wrażenie, że elastyczna taśma biegnąca przez czoło pali mu skórę prawdziwym żarem. Leżał bez ruchu już od paru godzin.

— Powiesz mi prawdę, Patricku. Obiecuję ci to. Równie dobrze możesz mi wyznać wszystko teraz, jak i za dziesięć godzin, kiedy będziesz już w stanie ago-nalnym. Pomyśl, czy nie warto sobie ułatwić życia.

— Nie chcę umierać, jasne? — wycedził Patrick, a jego źrenice rozszerzyły się pod wpływem przerażenia.

Przecież nie możecie mnie zabić — dodał w myślach.

Guy uniósł ze stołu i podetknął mu pod nos odrapane metalowe pudełko z wy-stającą chromowaną dźwignią zakończoną czarną gumową gałką. Wychodziły z niego dwa grube przewody i ginęły gdzieś poza zasięgiem wzroku.

— Przyjrzyj się dobrze — powiedział, jak gdyby skrupowany Patrick mógł

robić cokolwiek innego. — Kiedy ta dźwignia znajduje się w górze, obwód jest przerwany. — Guy delikatnie ujął gałkę dwoma palcami i zaczął ją powoli prze-

suwać w dół. — Ale kiedy opadnie do tej czarnej kreski, zewrą się styki i przewo-dami do elektrod zamocowanych na twoim ciele popłynię prąd.

Zatrzymał dźwignię parę milimetrów przed kreską namalowaną na obudowie.

Patrick wstrzymał oddech. W pokoju zapanowała martwa cisza.

— Chcesz zobaczyć, co się stanie, kiedy zamknę obwód?

— Nie.

— Gdzie są pieniądze?

— Nie wiem. Przysięgam.

Dwadzieścia centymetrów przed jego twarzą Guy przesunął dźwigienkę do kreski. Wstrząs okazał się paraliżujący. W miejscach przymocowania elektrod jak gdyby rozżarzone ostrza wbiły się głęboko w jego ciało. Patrick szarpnął

się w więzach, mimowolnie zamknął oczy i zacisnął zęby, usiłując powstrzymać okrzyk bólu, ale już po sekundzie nie wytrzymał i zawył, aż jego głos odbił się echem od ścian pokoju.

Guy wyłączył prąd, odczekał chwilę, dając więźniowi czas na złapanie oddechu, wreszcie oznajmił:

— To był zaledwie pierwszy stopień, najslabszy prąd. Mam do dyspozycji pięć poziomów, które wykorzystam bez wahania, jeśli mnie do tego zmusisz.

Osiem sekund pełnej mocy generatora na pewno cię zabije, więc zostawiam sobie tę ewentualność na koniec. Słyszysz mnie, Patricku?

Całe ciało, od szyi po kostki nóg, wciąż piekło go niemiłosiernie. Serce łomotało jak oszalałe. W piersiach brakowało tchu.

— Słyszysz? — powtórzył głośniejszym głosem Guy.

— Tak.

— Twoja sytuacja jest dosyć klarowna. Jeśli powiesz mi, gdzie są pieniądze, wyjdiesz z tego pokoju żywy. Odwieziemy cię z powrotem do Ponta Pora i bę-

dziesz mógł dalej żyć tak, jak ci się podoba. Nie zamierzamy powiadamiać FBI.

— Teatralnie zawiesił głos, muskając palcami chromowaną dźwigienkę. — Lecz jeśli odmówisz wyznania prawdy, nie ujrzysz już więcej światła dziennego. Rozumiemy się, Patricku?

— Tak.

— Doskonale. Więc gdzie są pieniądze?

— Przysięgam, że nie wiem. Powiedziałbym, gdybym wiedział.

Guy bez słowa przesunął dźwignię w dół. Ukłucia prądu ponownie wgrzyły się w ciało więźnia niczym żrący kwas.

— Nie wiem! — krzyknął rozpaczliwie Lanigan. — Przysięgam! Nie wiem!

Guy wyłączył urządzenie i odczekał kilka sekund, aż więzień złapie oddech.

Wreszcie powtórzył pytanie:

— Gdzie są pieniądze?

— Przysięgam, że nie wiem.

23

Po raz kolejny dziki wrzask torturowanego wypełnił niewielki pokój, wydostał

się przez otwarte okna budynku i wypełnił echem górską kotlinę, dopóki ostatecznie nie zamilkł w gąszczu tropikalnej dżungli.

Mieszkanie w Kurytybie znajdowało się niedaleko lotniska. Eva poleciła taksówkarzowi zaczekać przed wejściem. Zostawiła swoją walizkę w bagażniku, zabrała ze sobą jedynie aktówkę.

Wjechała windą na ósme piętro. W mrocznym korytarzu panowała cisza. Dochodziła godzina dwudziesta trzecia. Miranda na palcach zbliżyła się do drzwi, lękliwie zerkając na wszystkie strony. Szybko otworzyła zasuwę i specjalnym klu-czykiem wyłączyła urządzenie alarmowe.

Tutaj także nie było Danilo. I chociaż nie spodziewała się go tu zastać, poczuła rozczarowanie. Na automatycznej sekretarce nie została nagrana żadna wiadomość. Wszystko wskazywało na to, że nikt nie korzystał z tego mieszkania od dłuższego czasu. A zatem zniknięcie Silvy pozostawało tajemnicą.

Nie mogła zostać dłużej, podejrzewała bowiem, że prześladowcy Danilo mogą w każdej chwili się tu zjawić. Wiedziała dokładnie, co powinna zrobić, ale w duchu nakazywała sobie, żeby zachować spokój. W mieszkaniu były tylko trzy pokoje, toteż przeszukanie ich nie zajęło jej zbyt wiele czasu.

Dokumenty, których szukała, znajdowały się w biurku stojącym w gabinecie.

Wyciągnęła trzy ciężkie szuflady, wyjęła papiery i ułożyła je starannie w eleganckim skórzanym neseserze, trzymanym na taką okazję w szafie. Głównie przechowywali tu sprawozdania finansowe, choć jak na tak okazałą fortunę było ich stosunkowo niewiele. Starali się ograniczać dokumentację do niezbędnego minimum. Silva raz w miesiącu przyjeżdżał do Kurytyby z bieżącą korespondencją i z taką samą częstotliwością przeglądał wcześniejsze papiery.

Obecnie zaś nie mógł się nawet domyślać, gdzie jest ta cała dokumentacja.

Przed wyjściem Eva włączyła ponownie system alarmowy. Chyba nikt z mieszkańców nie zauważył jej krótkiej wizyty. Następnie wynajęła pokój w skromnym hoteliku w centrum miasta, niedaleko Muzeum Sztuki Współczesnej. Banki wschodniej Azji były już otwarte, a w Zurychu dopiero dochodziła czwarta nad ranem. Wypakowała przenośny telefaks i podłączyła go do gniazdka telefonicznego. Wkrótce cały tapczan jednoosobowego pokoiku został zasłany wstęgami wydruków, pisemnych zleceń przelewów oraz bankowych potwierdzeń operacji.

Odczuwała narastające zmęczenie, lecz nie mogła sobie pozwolić na luksus choćby krótkiej drzemki. Danilo powtarzał, że agenci z pewnością zaczną jej szukać. Nie miała więc po co wracać do domu. Zresztą jej głowę zaprzętały nie pieniądze, lecz myśli o Silvie. Czy jeszcze żył? A jeśli tak, to czy bardzo cierpiał?

Ile im do tej pory powiedział i jak wiele go to kosztowało?

24

Przetarła zaczerwienione oczy i zaczęła porządkować papiery. Nie miała nawet czasu na łzy.

Tortury przynoszą najlepsze rezultaty trzeciego dnia bezustannych cierpień.

Nawet najtwardsze charaktery wówczas powoli topnieją. Udręka bez reszty wypełnia sen oraz jawę, oczekiwanie na kolejną porcję bólu przeradza się w majaczenie. Trzy dni tortur niszczą wszelkie psychiczne bariery człowieka.

Ale Guy chciał uzyskać efekty wcześniej. Jego więzień nie był wrogiem schwytanym podczas działań wojennych, lecz obywatelem amerykańskim poszukiwanym przez FBI.

Tuż przed północą zostawił Patricka na kilka minut samego, aby mógł się zastanowić nad swoim dalszym postępowaniem. Tamten był cały zlany potem, skóra wokół elektrod poczerwieniała mu silnie od oparzeń. Spod samoprzylepnej taśmy na piersiach pociekła strużka krwi, gdyż w tym miejscu zaciski krokodylkowe założono zbyt mocno i ich ząbki powbijały się w ciało. Lanigan spazmatycznie łapał ustami powietrze i oblizywał spierzchnięte, popękane wargi. Nylonowa linka krępująca mu ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach przecierała skórę do żywego.

Po powrocie Guy usiadł na stołku obok prowizorycznego miejsca tortur. Przez chwilę trwał w milczeniu, w pokoju rozlegał się tylko chrapliwy oddech więźnia, który usiłował nad sobą zapanować. Z całej siły zaciskał powieki.

— Jesteś bardzo uparty — odezwał się w końcu agent.

Lanigan nie odpowiedział.

Pierwsze dwie godziny kaźni nie przyniosły rezultatów. Każde pytanie dotyczyło pieniędzy i na każde padała powtarzana setki razy odpowiedź: „nie wiem”.

— Nie mam żadnych pieniędzy — twierdził stanowczo Patrick.

— Więc co się z nimi stało?

— Nie wiem.

Guy nie miał specjalnego doświadczenia w wydobywaniu zeznań siłą. Wcze-

śniej przeprowadził długą rozmowę z fachowcem, pewnym szaleńcem, który uwielbiał zadawać ból

innym. Przeczytał też dość obrzydliwy podręcznik z tego zakresu. Niemniej prowadzenie tortur wcale nie przychodziło mu z łatwością.

Postanowił jednak zastosować się do rad i teraz, kiedy więzień już dobrze wiedział, co go czeka, przeznaczyć trochę czasu na luźniejszą rozmowę.

— Gdzie byłeś w czasie własnego sfingowanego pogrzebu? — spytał.

Patrick wyraźnie się rozluźnił. Po raz pierwszy od dłuższego czasu padło pytanie nie związane z pieniędzmi. Zawahał się jednak, rozmyślając gorączkowo. O co mu chodzi? Ostatecznie został schwytany, tak czy inaczej cała prawda musiała wyjść na jaw. Może więc okazać trochę pokory i zaoszczędzić sobie cierpień?

— W Biloxi — odpowiedział.

25

— Ukrywałeś się?

— Tak, oczywiście.

— Ale obserwowałeś przebieg pogrzebu?

— Tak.

— Skąd?

— Siedziałem na drzewie, z lornetką.

Nadal jednak zaciskał powieki i kurczowo zwierał palce dłoni.

— Dokąd później wyjechałeś?

— Do Mobile.

— Miałeś przygotowaną kryjówkę?

— Tak. Jedną z kilku.

— Jak długo tam przebywałeś?

— Parę miesięcy. . . Z przerwami.

— To dość długo, no nie? A gdzie dokładnie mieszkałeś w Mobile?

— Wynajmowałem pokoje w tanich hotelach. Przenosiłem się z miejsca na miejsce, krążyłem po całym wybrzeżu zatoki. Destin, Panama City Beach, znów Mobile. . .

— I pewnie odmieniłeś swój wygląd?

— Owszem. Zgoliłem brodę, ufarbowałem włosy, zrzuciłem dwadzieścia pięć kilogramów.

— Uczyłeś się jakichś języków obcych?

— Portugalskiego.

— Zatem musiałeś planować przyjazd tutaj?

— Tutaj? To znaczy gdzie?

— Powiedzmy, że do Brazylii.

— Tak, planowałem. Doszedłem do wniosku, że łatwo się tu ukryć.

— Dokąd się przenieśliś z Mobile?

— Do Toronto.

— Dlaczego właśnie do Toronto?

— Dokądś musiałem wyjechać. To ładne miasto.

— Tam wyrobiłeś sobie fałszywe dokumenty?

— Zgadza się.

— Już w Toronto przyjąłeś nazwisko Danilo Silvy?

— Tak.

— Nadal uczyłeś się portugalskiego?

— Owszem.

— I jeszcze bardziej schudłeś?

— Tak, dalsze dziesięć kilogramów.

Ciągle nie otwierał oczu. Usilnie starał się nie myśleć o bólu, bo przynajmniej w tej chwili jego sytuacja była znośna. Pieczęta go skóra na piersi, gdzie silnie rozgrzane elektrody niemal wtapiały mu się w ciało.

26

— Ile czasu spędziłeś w Toronto?

— Trzy miesiące.

— A więc mieszkałeś tam jeszcze w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku?

— Raczej tak.

— Dokąd później wyjechałeś?

— Do Portugalii.

— Dlaczego do Portugalii?

— Gdzieś musiałem się ukryć. A to piękny kraj. Nigdy wcześniej tam nie byłem.

— Jak długo przebywałeś w Europie?

— Kilka miesięcy.

— A co potem?

— Zamieszkałem w Sao Paulo.

— Z jakiego powodu?

— Łatwo zniknąć w dwudziestomilionowym mieście.

— Ile czasu tam spędziłeś?

— Rok.

— Powiedz mi, czym się wtedy zajmowałeś.

Patrick zaczerpnął głęboko powietrza, poruszył się nerwowo, po czym skrzywił z bólu i szybko znieruchomiał.

— Zapoznawałem się z życiem w tym mieście. Wynająłem prywatnego nauczyciela i szlifowałem znajomość języka. Straciłem parę dalszych kilogramów.

Przenosiłem się z jednego mieszkania do drugiego.

— A co zrobiłeś z pieniędzmi?

Cisza. Kolejne delikatne szarpnięcie. Gdzie jest to cholerne pudełko z chromowaną dźwignią? Dlaczego nie można by jeszcze porozmawiać swobodnie na inne tematy, zapomniawszy o tej przeklętej forsie?

— Jakimi pieniędzmi? — spytał, usiłując za wszelką cenę zachować spokój.

— Dobrze wiesz, Patricku. Z tymi dziewięćdziesięcioma milionami, które zabrałeś z konta swojej kancelarii adwokackiej, okradając w ten sposób klientów.

— Już mówiłem. To jakaś pomyłka.

Guy niespodziewanie krzyknął coś głośno. Otworzyły się drzwi pokoju i do środka wpadła gromada agentów. Brazylijski lekarz pospiesznie zrobił kolejne dwa zastrzyki i wyszedł. Trzech Amerykanów coś majstrowało przy urządzeniu stojącym w rogu pokoju. Włączony został duży magnetofon kasetowy. Guy znowu podetknął leżącemu pod nos pudełko z połyskującą dźwigiem i wściekle cedząc słowa przez zęby, zaczął powtarzać groźby, że nie zawaha się porazić go śmiertelnie prądem, jeśli zostanie do tego zmuszony.

— Pieniądze wpłynęły na konto twojej kancelarii w bahamskim banku w Nassau dokładnie o dziesiątej piętnaście dwudziestego szóstego marca tysiąc 27

dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, czterdzieści pięć dni po twojej sfigowanej śmierci. I ty byłeś tam wtedy, Patricku, opalony, uśmiechnięty, try-skający życiem. Dysponujemy odbitkami z klitek filmu zarejestrowanego przez kamery systemu alarmowego banku. Posługiwałeś się świetnie podrobionymi dokumentami. Niedługo po wpłynięciu tych pieniędzy wycofałeś całą sumę, przela-

łeś ją do banku na Malcie. Ukradłeś ją, Patricku. Więc teraz musisz mi powiedzieć, co zrobiłeś z pieniędzmi. Kiedy wyznasz prawdę, pozostawię cię przy życiu.

Więzień przez chwilę zerkał nerwowo to na swego prześladowcę, to na chromowaną dźwignię urządzenia, wreszcie zamknął oczy, napiął wszystkie mięśnie i odparł cicho:

— Przysięgam, że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Patricku. . .

— Proszę, nie rób tego! — jęknął Lanigan. — Błagam!

— To dopiero trzeci poziom. Nie znałeś jeszcze nawet połowy możliwych cierpień.

Guy ściągnął dźwignię w dół, spoglądając, jak ciałem leżącego wstrząsają konwulsyjne dreszcze.

Nie próbował już stawiać oporu. Wrzeszczał tak przeraźliwie, że siedzący na werandzie przed domem Osmar popatrzył ze strachem w twarze swoich brazylijskich kolegów. Toczona półgłosem w ciemnościach rozmowa urwała się nagle.

Ktoś zaczął szeptem odmawiać modlitwę.

Sto metrów od zabudowań trzymający straż przy polnej drodze Brazylijczyk obserwował z uwagą przejeżdżające w oddali samochody. Nie spodziewali się żadnych gości. Najbliższe siedziby ludzkie oddalone były o parę kilometrów. To-też i on zaczął pod nosem odmawiać modlitwę, kiedy do jego

posterunku doleciały stłumione, przerażające krzyki torturowanego człowieka.

Rozdział 4

Czwarty bądź piąty telefon od sąsiadów całkowicie wytrącił panią Stephano z równowagi. Ostрым tonem nakazała Jackowi wyznać prawdę. Chcąc nie chcąc, przyznał więc, że trzech mężczyźni w ciemnych garniturach, siedzący w samochodzie zaparkowanym przed ich domem, są agentami federalnymi. Pobieźnie wyjaśnił żonie powód ich obecności, opowiedział w skrócie historię Patricka Lanigana, zaznaczając przy tym, że łamie reguły etyki zawodowej. Pani Stephano nigdy dotąd nie zadawała żadnych pytań.

Nie obchodziło jej, czym mąż się zajmuje w godzinach pracy. Dręczyły ją jednak przeczucia na temat tego, co o nich myślą sąsiedzi. Doskonale zdawała sobie sprawę, że w takim miasteczku jak Falls Church ludzie żyją różnymi plotkami.

Położyła się spać o północy. Jack drzemał na sofie w saloniku, mniej więcej co pół godziny zerkając przez szczelinę między zasłonami na ulicę, jakby sprawdzał, co porabiają agenci FBI. Zasnął na dobre około trzeciej nad ranem, ale szybko zerwał go na nogi dzwonek do drzwi.

Otworzył w samym podkoszulku. Przyjechało ich czterech, a Stephano natychmiast rozpoznał wśród nich Hamiltona Jaynesa, wicedyrektora biura federalnego, a więc drugiego z najważniejszych ludzi w hierarchii służbowej FBI. Tak się składało, że Jaynes mieszkał zaledwie cztery przecznice dalej i należał do tego samego klubu golfowego co on, chociaż nigdy dotąd się nie spotkali.

Zaprosił gości do obszernego salonu. Przedstawili się oficjalnie i rozsiedli, kiedy pani Stephano zjawiała się na schodach w szlafroku, lecz na widok tyłu męż-

czyn w urzędowych, ciemnych garniturach pospiesznie zawróciła do sypialni.

— Liczna grupa ludzi zajmuje się bez przerwy sprawą Lanigana — zaczął

Jaynes. — Otrzymaliśmy wiadomość, że pańscy ludzie go porwali. Czy może pan potwierdzić bądź zdementować tę informację?

— Nie — syknął rozwścieczony Stephano.

— Mam przygotowany nakaz pańskiego aresztowania.

To zmieniało sytuację. Detektyw omiół niepewnym spojrzeniem twarze pozostałych funkcjonariuszy.

— Pod jakim zarzutem?

— Ukrywania osoby poszukiwanej przez biuro federalne i utrudniania śledztwa. Ale w każdej chwili można zmienić te zarzuty, nie mają większego znaczenia. Nie zależy mi na wysuwaniu wobec pana oficjalnych oskarżeń. Ważne, żeby zamknąć pana w areszcie, a następnie zgarnąć wszystkich pańskich

ludzi oraz klientów. Nie zajmie to więcej niż dobę. Wystarczy nam czasu, żeby się zastanowić nad sformułowaniem zarzutów, a będzie to zależało wyłącznie od tego, czy dostaniemy Lanigana. Wyrażam się jasno?

— Tak. Raczej tak.

— Więc gdzie on jest?

— W Brazylii.

— Muszę go mieć. I to jak najszybciej.

Stephano zamrugał energicznie, uzmysłowiwszy sobie, że w tych okoliczno-

ściach przekazanie zbiega FBI wcale nie jest najgorszym rozwiązaniem. Gliniarze mieli swoje sposoby, aby go zmusić do mówienia. A mając w perspektywie długi pobyt w więzieniu, Lanigan mógł o wiele chętniej wyjawić, gdzie są pieniądze.

W każdym razie znalazłby się pod znacznie silniejszą presją.

Poszukiwanie odpowiedzi na dręczące pytanie, w jaki sposób FBI dowiedziało się o odnalezieniu Lanigana przez jego wysłanników, należało odłożyć na później.

— W porządku, możemy zawrzeć taką umowę — rzekł. — Proszę mi dać czterdzieści osiem godzin, a dostarczę panu Lanigana. W zamian spali pan ten nakaz aresztowania i wycofa wszelkie stawiane mi zarzuty.

— Zgoda.

Zapadła cisza, jak gdyby obie strony w milczeniu świętowały odniesione zwycięstwo.

— Musimy ustalić, gdzie przejmujemy zbiega — rzekł Jaynes.

— Proszę wysłać samolot do Asunción.

— Do stolicy Paragwaju? Czemu nie do Brazylii?

— Ma tam zbyt wielu przyjaciół.

— Jak pan woli.

Dyrektor przekazał coś szeptem jednemu z agentów i ten szybko wyszedł z do-mu.

— Nic mu się nie stało? — zwrócił się do Stephano.

— Nic.

— Lepiej, żeby tak pozostało. Jak znajdziemy jednego siniaka na jego ciele, zgotuję panu istne

piekło.

— Muszę zadzwonić.

Jaynes uśmiechnął się ironicznie. Powiódł wzrokiem po ścianach saloniku, po czym mruknął:

— Jest pan u siebie.

— Założyliście tu podsłuch?

— Nie.

30

— Może pan to zagwarantować?

— Powiedziałem prawdę.

— Przepraszam na chwilę.

Stephano przeszedł do kuchni i z najwyższej półki spiżarni wyciągnął ukryty aparat komórkowy. Wyszedł z nim na patio na tyłach domu. W blasku lampy pokryta rosą trawa wyglądała jak polana oliwą. Pospiesznie wybrał numer Guya.

Przerażający krzyk umilkł na chwilę, toteż trzymający straż przed domem Brazylijczyk złowił cichy brzęczyk telefonu satelitarnego. Aparat wraz z ciężkim za-silaczem leżał na przednim siedzeniu furgonetki, ponad jej dachem kołysała się pięciometrowej długości antena. Odpowiedział po angielsku i już po wysłuchaniu paru słów pobiegł do środka, aby przywołać szefa amerykańskiej grupy.

Guy podszedł do auta i z wściekłością chwycił słuchawkę.

— Powiedział już coś? — zapytał Stephano.

— Niewiele. Złamaliśmy go dopiero przed godziną.

— Czego się dowiedziałeś?

— Nie roztrwoniał forsy, ale nie wie, gdzie ona teraz jest. Funduszem obraca pewna kobieta z Rio, prawniczka.

— Wyjawiał jej nazwisko?

— Tak. Właśnie ogłosiliśmy alarm. Osmar uruchamia swoich ludzi w Rio.

— Zdołasz coś jeszcze z niego wyciągnąć?

— Nie sądzę. On już ledwo się trzyma, Jack.

— Daj mu spokój. Macie tam lekarza?

— Oczywiście.

— Więc postaraj się błyskawicznie postawić go na nogi i przewieź szybko do Asunción.

— Po co?

— Nie zadawaj pytań. Nie mamy czasu na dyskusję. FBI depcze nam po pię-

tach. Rób, co mówię, i uczynь wszystko, żeby Lanigan był w jak najlepszej formie.

— Nic z tego nie wyjdzie. Przez ostatnie pięć godzin systematycznie powoli go zabijałem.

— Mniejsza z tym. Zrób wszystko, co w twojej mocy. Naszprycuj go lekami i ruszaj w drogę do Asunción. Dzwonь do mnie regularnie, o pełnej godzinie.

— Jak sobie życzysz.

— I znajdź tę kobietę.

Delikatnie uniesiono głowę Patricka i zwilżono mu wargi chłodną wodą. Ny-lonowe pęta zostały rozcięte, błyskawicznie pozdejmowano samoprzylepne taśmy mocujące elektrody. Więzień szarpał się bezwolnie, mamrocząc coś niezrozumia-le. Chemiczną wojnę w jego organizmie uzupełniły spore dawki morfiny oraz środka uspokajającego. Zapadł w głęboki sen.

31

O świcie Osmar zjawił się na lotnisku w Ponta Pora, by złapać samolot, z któ-

rego przed wieczorem miał wsiąść w Rio de Janeiro. Wcześniej wydał odpowiednie polecenia swoim ludziom. Powyciągał ich z łóżek, kusząc obietnicą so-witego zarobku. Kazał natychmiast rozpocząć poszukiwania.

Najpierw, tuż po wschodzie, zadzwoniła do swego ojca. Pamiętała, jak bardzo lubił tę porę dnia, kiedy nieodmiennie zasiadał nad gazetą przy filiżance kawy na balkonie. Mieszkał sam w skromnym lokalu w dzielnicy Ipanema, zaledwie kilkadziesiąt metrów od plaży, niedaleko od swojej ukochanej Evy. Kamienica miała ponad trzydzieści lat i była jednym z najstarszych budynków w tej eleganckiej dzielnicy.

Od razu rozpoznał po brzmieniu jej głosu, że coś się stało. Zapewniła go, iż nic jej nie grozi, lecz musi wyjechać na dwa tygodnie do Europy w pewnej pil-nej sprawie. Obiecała codziennie dzwonić. Uprzedziła, że zajmuje się interesami tajemniczego i podejrzliwego klienta, który może zatrudnić prywatnych detektywów w celu wysondowania jej przeszłości. Podkreśliła z naciskiem, żeby się tym nie przejmował. Ostatecznie w tej branży podobne rzeczy nie były niczym niezwykłym.

Na szczęście ojciec powstrzymał się od zadawania pytań, na które nie mogłaby szczerze

odpowiedzieć.

Telefoniczna rozmowa z szefem kancelarii okazała się znacznie trudniejsza.

Nieźle przyjął jej wysrane z palca wyjaśnienia, chociaż niezbyt trzymały się kupy.

Powiedziała, że poprzedniego dnia późnym wieczorem zgłosił się nowy klient i powołując się na znajomość z amerykańskim kolegą, z którym razem studiowała, poprosił ją o natychmiastowy przyjazd do Hamburga. Zarezerwowała już bilet na poranny samolot. Tenże klient, działający w branży telekomunikacyjnej, planował

wielkie inwestycje w Brazylii.

Szef był jeszcze zaspany. Nakazał jej zadzwonić później i wyjaśnić szczegóły sprawy.

Swojej sekretarce przedstawiła tę samą historyjkę i poprosiła ją o odwołanie wszystkich spotkań do czasu jej powrotu z Europy.

Z Kurytyby poleciała do Sao Paulo, tam zaś udało jej się dostać bilet na samolot Aerolineas Argentinas, udający się bezpośrednio do Buenos Aires. Po raz pierwszy skorzystała z nowego paszportu, który Danilo załatwił dla niej rok wcze-

śniej. Trzymała go w skrytce w wynajętym mieszkaniu, wraz z dwoma nowiutkimi kartami kredytowymi oraz ośmioma tysiącami dolarów w gotówce.

Nazywała się teraz Leah Pires. Nie zmieniła swego wieku, choć data urodzenia w paszporcie była fałszywa. Nawet Silva nie znał jej personaliów. Nie mógł ich znać.

Czuła się nieswojo w obcej sobie roli.

32

Przygotowali na taką okoliczność kilka różnych scenariuszy. Brali również pod uwagę śmierć Danilo z rąk bandytów krążących po bezdrożach Brazylii, szczególnie aktywnych na terenie Pogranicza. Rozpatrywali różne warianty jego pojmania, torturowania i ewentualnie zabicia przez amerykańskich najemników, a jej postępowanie miało zależeć od tego, czy zostanie zmuszony do ujawnienia prawdy. Nie wykluczali, że Eva będzie musiała się ukrywać do końca życia, w każdym razie Silva zawczasu ją uprzedzał o istnieniu takiej ewentualności. Ale była też szansa na to, że prześladowcy nic z niego nie wycisną i ona będzie mogła pozostać sobą.

Wciąż wierzyła, że Danilo jeszcze żyje. Obiecywał jej przecież, że nie da się tak łatwo zabić. Powtarzał, że prawdopodobnie będzie błagał o szybką śmierć, lecz tamtym zależy na czymś zupełnie innym. A gdyby został zidentyfikowany przez wysłanników władz amerykańskich, groziła mu najwyżej ekstradycja. On zaś osiedlił się właśnie w Ameryce Południowej, gdyż tutejsze kraje niechętnie udzielały zgody na ekstradycję.

Jeśli zaś dopadli go płatni agenci, z pewnością czekały go tortury, mające na celu wydobycie

informacji o pieniądzach. Właśnie tego się najbardziej obawiał: bicia.

Na lotnisku w Buenos Aires próbowała się zdrzemnąć, ale była zbyt zdenerwowana. Po raz kolejny zadzwoniła do domu Silvy w Ponta Pora, później pod numer jego aparatu komórkowego, wreszcie do mieszkania w Kurytybie.

Wykupiła bilet na lot do Nowego Jorku, gdzie musiała znowu czekać przez trzy godziny. W końcu znalazła się na pokładzie samolotu SwissAir, lecącego do Zurychu.

* * *

Ułożyli go na tylnym siedzeniu furgonetki volkswagena i przypięli ciasno pasami, żeby się nie stoczył na podłogę. Czekala ich podróż wyboistymi drogami.

Z powrotem został ubrany w strój do joggingu. Lekarz solidnie opatrzył mu rany.

Było to osiem niezbyt groźnych, jak im się wydawało, poparzeń. Grubo pokrył

miejsca środkiem antyseptycznym i zaaplikował Patrickowi sporą dawkę anti-biotyków. Następnie zajął miejsce obok swego pacjenta i upchnął pękata torbę lekarską pod siedzeniem. Doskonale rozumiał, że więzień dość się już wycierpiał

i teraz należało go otoczyć troskliwą opieką.

Był pewien, że wystarczą dwa dni solidnego odpoczynku i garść środków przeciwbólowych, a Lanigan zacznie szybko wracać do zdrowia. Po skalecze-niach powinny zostać tylko szramy, błyskawicznie zanikające w miarę upływu 33

czasu.

Odwrócił się jeszcze na siedzeniu i poklepał Amerykanina po rękę. Bardzo się cieszył, że przesłuchanie nie doprowadziło do jego śmierci.

— Jest gotów — oznajmił Guyowi, zajmującemu miejsce obok kierowcy.

Brazylijczyk uruchomił silnik i wycofał wóz na pełną drogę.

Zatrzymywali się dokładnie co godzinę i wyciągali antenę na całą długość, aby w górzystym terenie nawiązać łączność telefoniczną. Guy dzwonił do Stephano, który siedział w swoim waszyngtońskim gabinecie w towarzystwie Hamiltona Jaynesa oraz jakiegoś wysoko postawionego urzędnika z Departamentu Skarbu.

Informacja o odnalezieniu Lanigana dotarła nawet do Pentagonu.

Guy miał wielką ochotę zapytać wprost, co tam się dzieje, do cholery. Skąd FBI dowiedziało się o ich akcji?

W ciągu pierwszych sześciu godzin pokonali zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów. Na niektórych odcinkach droga okazywała się ledwie przejezdna. Parę razy mieli też olbrzymie trudności z uzyskaniem połączenia satelitarne. W końcu wydostali się z gór i około drugiej po południu skręcili w równą, bitą drogę.

Oficjalne uzyskanie zgody na ekstradycję było niezwykle wątpliwe, toteż Jaynes postanowił za wszelką cenę ominąć formalności. Zaangażował w sprawę dyplomatów najwyższego szczebla, a poprzez dyrektora generalnego FBI skontaktował się z Szefostwem Połączonych Sztabów. Mediacje powierzono amerykań-

skiemu ambasadorowi w Paragwaju. Posypały się obietnice i groźby.

Gdyby wyszło na jaw, że sprawa dotyczy olbrzymich pieniędzy i człowieka mającego liczne powiązania, sprawa o ekstradycję z Paragwaju ciągnęłaby się latami. Ale Lanigan nie miał przy sobie żadnej gotówki, w tej chwili nie wiedział

nawet, gdzie się znajduje.

Dlatego też władze Paragwaju z ociąganiem wyraziły zgodę na pominięcie procedury ekstradycyjnej.

O szesnastej Stephano poinstruował Guya, by udali się na lotnisko w Concepción, niewielkim okręgowym mieście oddalonym o trzy godziny jazdy od Asunción. Brazylijski kierowca zaklął głośno po portugalsku, kiedy się dowiedział, że ma zawrócić i skierować wóz na północ.

Zapadał zmrok, kiedy wjeżdżali do miasta, a było już całkiem ciemno, gdy w końcu odnaleźli lotnisko. Składał się na nie ceglany barak stojący tuż obok długiego i wąskiego pasa asfaltu. Guy po raz kolejny zadzwonił do Waszyngtonu, a Stephano rozkazał mu zostawić furgonetkę obok budynku, z kluczykami tkwiącymi w stacyjce oraz więźniem leżącym na tylnym siedzeniu, i oddalić się jak najprędzej. Mimo to Guy oraz towarzyszący mu doktor, kierowca i jeszcze 34

jeden agent z ekipy amerykańskiej niechętnie rozstawali się z Patrickiem, Guy odchodził sprzed lotniska, bez przerwy oglądając się przez ramię. Jakieś sto metrów dalej znalazł dogodny punkt obserwacyjny pod rozłożystym drzewem i tam postanowił zaczekać. Minęła godzina.

Wreszcie na pasie osiadł niewielki turbośmigłowy King Air z amerykańską rejestracją i podkołował do budynku. Wsiedli dwaj piloci i zniknęli w sali odpraw, ale już po minucie zjawili się z powrotem na zewnątrz, podeszli do furgonetki, wsiedli i podjechali na pas startowy.

Ostrożnie przenieśli Patricka z volkswagena do samolotu, gdzie czekał już wojskowy lekarz, który natychmiast roztoczył nad nim opiekę. Piloci odstawili furgonetkę na parking, zajęli miejsca w kabinie i parę minut później turbośmigłowiec wystartował.

Kiedy wylądowali w Asunción w celu zatankowania paliwa, więźniów zaczął

stopniowo odzyskiwać przytomność. Był jeszcze zbyt słaby, żeby usiąść, toteż lekarz troskliwie napoił go zimną wodą i nakarmił krakersami.

Po drodze musieli jeszcze tankować w La Paz oraz Limie. Dotarli w końcu do Bogoty, gdzie przesiadli się do odrzutowego leara, rozwijającego dwukrotnie większą prędkość od turbośmigłowca. Wylądowali jeszcze tylko raz, na Arubie u wybrzeży wenezuelskich. Bez przeszkód pokonali ostatni odcinek trasy do bazy marynarki wojennej na przedmieściu San Juan, w Portoryko. Karetką pojechali z lotniska do szpitala wojskowego.

Tak oto, po czterech z górą latach, Patrick Lanigan znalazł się z powrotem na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Rozdział 5

Kancelaria adwokacka, w której pracował przed swą pozorowaną śmiercią, rok po jego pogrzebie wystąpiła do sądu z wnioskiem o ogłoszenie bankructwa. Początkowo zgon jednego ze współników wywarł tylko taki skutek, że na firmowym papierze kancelarii jego nazwisko, umieszczone w prawym górnym rogu pod nazwiskami pozostałych, wydrukowano w czarnej ramce oraz dodano daty: Patrick Lanigan, 1954–1992. Wkrótce jednak zaczęły się rozchodzić róż-

ne plotki i trzy miesiące później chyba już wszyscy mieszkańcy wybrzeża Zatoki Meksykańskiej byli przekonani, że Lanigan ukradł pieniądze firmy i uciekł. Jego nazwisko błyskawicznie zniknęło z papierów kancelarii, a do sądów cywilnych popłynęła lawina wniosków o zwrot należnych roszczeń.

Czterej pozostali adwokaci trzymali się jeszcze razem, pragnąc jak najdłużej odsuwać widmo nieuchronnego bankructwa kancelarii. Ich nazwiska nieodmiennie figurowały obok siebie na wszelkich dokumentach oraz czekach jeszcze wtedy, gdy wszyscy mogli już tylko marzyć o dostatnim życiu. Od chwili zniknięcia Patricka występowali zaledwie parę razy jako obrońcy posiłkowi w sprawach nie rokujących większych nadziei na wygraną. Ostatecznie podjęli decyzję o ogłoszeniu bankructwa. Każdy na swój sposób próbował się uwolnić od współników, ale nic z tego nie wychodziło. Dwaj z nich byli alkoholikami, pili po całych dniach za zamkniętymi drzwiami swych gabinetów. Dwaj pozostali przeszli skuteczne kuracje odwykowe, chociaż nadal pozostawali na krawędzi nałogu.

On zaś skradł ich pieniądze, miliony dolarów. A te rozdysponowali na długo przed wpływieniem na konto kancelarii, jak to prawnicy mają w zwyczaju. Odnowili starą kamienicę w centrum Biloxi, gdzie mieściła się firma, pobudowali sobie nowe wille i domki letniskowe na Karaibach, pokupowali jachty. Wszak pieniądze były w drodze, dokumenty zatwierdzone, zapadły odpowiednie decyzje. Wszyscy czuli już zapach forsy, w myślach przeliczali banknoty, a tu w ostatniej chwili ich jakoby zmarły partner zwędził całą sumę.

Nie żył przecież, pochowali go wspólnie jedenastego lutego 1992 roku. Zło-

żyli wdowie kondolencje i postanowili umieścić nazwisko Lanigana w żałobnej ramce. A on, sześć tygodni później, jakimś cudem ogołocił ich do cna z pieniędzy.

dził żelazną ręką — uparł się, aby całą kwotę zdeponować na nowo otwartym koncie w banku na Bahamach, co zresztą po krótkiej dyskusji zostało zaakceptowane przez pozostałych. Chodziło wszak o dziewięćdziesiąt milionów dolarów, z których trzecią część kancelaria miała zachować dla siebie. Nie sposób było ukryć takiego bogactwa w pięćdziesięciotysięcznym Biloxi. Pracownicy lokalnego banku z pewnością rozpuściliby plotki. A wszyscy czterej woleli zachować tajemnicę, chociaż po cichu czynili już przygotowania do znacznego podwyższenia swego standardu życiowego. Rozważali nawet możliwość kupna służbowego, sześciomiejscowego odrzutowca.

Zatem czterdziestodwuletni, zarazem najlepiej sytuowany Bogan musiał wziąć na siebie sporą część winy. To on również był odpowiedzialny za włą-

czenie Patricka do zespołu dziewięć lat wcześniej. Więc także z tej przyczyny musiał wysłuchać wielu przykrych słów od kolegów.

Doug Vitrano, najczęściej z nich występujący na salach sądowych, złożył póź-

niej wniosek o przyjęcie Lanigana na piątego wspólnika firmy. Pozostali trzej się zgodzili, nie biorąc w ogóle pod uwagę tego, że jako współwłaściciel kancelarii Patrick zyskiwał dostęp do wszystkich dokumentów bez wyjątku. I tak oto narodziła się spółka Bogan, Rapley, Vitrano, Havarac i Lanigan, Kancelaria Adwokacka i Biuro Doradztwa Prawnego. W ogłoszeniach prasowych reklamowali się jako „specjaliści od wypadków morskich”. Ale w gruncie rzeczy przyjmowali każde zlecenie, a jedynym wyznacznikiem była wysokość honorarium. Rozwijali się błyskawicznie, zatrudnili gromadę sekretarek i aplikantów. Świetlaną przyszłość miały też zapewnić silne powiązania z miejscowymi politykami.

Wszyscy wspólnicy byli między czterdziestką a pięćdziesiątką. Wyróżniał się wśród nich Havarac, którego studia prawnicze sfinansował ojciec pracujący przy połowie krewetek. Syn zresztą także od pracy fizycznej miał zgrubiałą i popękaną skórę na palcach, te zaś z przyjemnością zacisnęłyby na gardle Lanigana. W odróżnieniu od niego Rapley popadł w skrajną depresję, bardzo rzadko wychodził

z domu, a konieczną pracę wykonywał najczęściej w swoim gabinecie urządzonym w rozległej przybudówce.

Bogan i Vitrano byli w swoich pokojach, kiedy parę minut po dziewiątej agent Cutter wkroczył do zabytkowej kamienicy przy Vieux Marche, w samym centrum miasta. Uśmiechnął się przyjaźnie do recepcjonistki i spytał, czy przypadkiem zastał w kancelarii któregoś ze wspólników. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż czwórkę adwokatów znano w mieście jako niepoprawnych pijaczków, których rzadko można spotkać w biurze.

W ciągu pierwszych miesięcy, po zagadkowym zniknięciu Lanigana oraz wszystkich pieniędzy z konta, Cutter co jakiś czas zaglądał do kancelarii, by 37

zdać sprawozdanie z postępów toczzonego śledztwa. Był przyjmowany serdecznie, mimo że ani razu nie przyniósł dobrych wiadomości. W miarę upływu czasu te spotkania stawały się coraz rzadsze, zresztą najważniejsza informacja brzmia-

ła ciągle tak samo: Lanigan zniknął bez śladu. I po raz ostatni Cutter odwiedził

siedzibę firmy mniej więcej przed rokiem.

Stąd też adwokaci byli przekonani, że i tym razem jego wizyta ma charakter przyjacielski. Zapewne znalazł się przypadkiem w śródmieściu i postanowił

wstąpić na filiżankę kawy. Pomyśleli więc, że nie zabawi długo.

Ale Cutter oznajmił od progu:

— Aresztowaliśmy Patricka.

Charlie Bogan zamknął oczy, odchylił głowę do tyłu i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Mój Boże! — wykrzyknął i ukrył twarz w dłoniach. — Mój Boże!

Natomiast Vitrano wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta. Teatralnie uniósł

wzrok ku górze, po czym wydusił z siebie:

— Gdzie on jest?

— W bazie wojskowej na Portoryko. Został schwytany w Brazylii.

Bogan wstał szybko z fotela, przeszedł w róg pokoju i stanął przed regałem z książkami, usiłując powstrzymać łzy cisnące się pod powieki.

— Mój Boże! — powtórzył ciszej.

— Jesteście pewni, że to on? — spytał z niedowierzaniem Vitrano.

— Całkowicie.

— Proszę powiedzieć coś więcej.

— Na przykład?

— Jak go zidentyfikowaliście? I gdzie? Co robił w Brazylii? Jak teraz wyglą-

da?

— To nie my go zidentyfikowaliśmy. Ktoś go przekazał w nasze ręce.

Bogan usiadł z powrotem za biurkiem, wycierając nos chusteczką.

— Przepraszam — bąknął w zakłopotaniu.

— Czy znacie niejakiego Jacka Stephano?

Obaj z widocznym ociąganiem przytaknęli ruchem głowy.

— Macie coś wspólnego z jego niewielkim konsorcjum?

Tym razem obaj energicznie pokręcili głowami przecząco.

— Wasze szczęście. To właśnie agenci Stephano go odnaleźli, porwali i torturowali, aż w końcu półżywego przekazali nam.

— Oho! Zaczyna mi się to podobać — rzekł Vitrano. — Chciałbym usłyszeć coś więcej o tych torturach.

— Bez żartów. Wczoraj wieczorem przejęliśmy go na terenie Paragwaju i przerzuciliśmy do Portoryko. Przebywa obecnie w szpitalu. Wyjdzie za kilka dni i wtedy przywieziemy go tutaj.

— A co z pieniędzmi? — spytał Bogan zachrypniętym głosem.

38

— Ani śladu. Nie wiemy jeszcze, ile Stephano zdołał z niego wydusić.

Vitrano smętnie spuścił głowę. Lanigan przed czterema laty skradł dziewięć-

dziesiąt milionów dolarów. W żaden sposób nie mógł ich wszystkich wydać. Gdyby nawet żył w luksusie, zbudował pałac, podróżował prywatnym helikopterem i każdego dnia sprowadzał sobie najdroższe dziwki, to i tak powinna mu jeszcze zostać olbrzymia fortuna. Z pewnością pieniądze musiały się również odnaleźć.

A w takim wypadku kancelarii nadal przysługiwałyby trzecia część sumy.

Nie było to jednak całkiem pewne.

Bogan przez cały czas siąkał w chusteczkę i rozmyślał o swojej byłej żonie, prawdziwie wspaniałej kobiecie, która okazała się istną wiedźmą, gdy niebo zwa-liło im się na głowy. Nie wytrzymała poniżenia, za jakie uznała bankructwo firmy.

Zabrała więc najmłodsze dziecko i wyjechała do Pensacoli, tam złożyła wniosek rozwodowy, motywując go stertą bezpodstawnych oskarżeń. On w tym czasie nie tylko sporo pił, ale w dodatku zażywał kokainę, ona zaś znała wszystkie jego drobne sekrety. Niewiele znalazł na swą obronę. Nie bez trudu zerwał z nałogami, lecz nadal nie pozwalano mu się widywać z dzieckiem.

Mimo wszystko wciąż kochał swoją żonę, wciąż marzył o jej powrocie. Rozważał zatem, czy odnalezienie pieniędzy ją do tego skusi. Nieoczekiwanie ujrzał jeszcze dla siebie nadzieję. Głównie z powodu żony gorąco pragnął odzyskać skradzioną forszę.

— Stephano znalazł się w nie lada kłopotach — przerwał milczenie Cutter. —

Po torturach na ciele Patricka zostały liczne rany i oparzenia.

— I bardzo dobrze — wtrącił z uśmiechem Vitrano.

— Chyba nie oczekujesz współczucia z naszej strony? — rzekł Bogan.

— Nie. Chciałem tylko powiedzieć, że Stephano może nas naprowadzić na trop skradzionej forsy. Będziemy go uważnie obserwowali.

— Pieniądze powinny się znaleźć bez większych kłopotów — zauważył Vitrano. — Jest kwestia pochowanych zwłok. Niewykluczone, że Patrick kogoś zamordował, a w takim razie zostałby oskarżony na podstawie kodeksu karnego.

Byłoby to morderstwo na tle rabunkowym. Powinien zatem wyznać prawdę, jeśli go dostatecznie mocno przyciśniesz.

— A może lepiej oddajcie go w nasze ręce — dodał ze śmiertelną powagą Bogan. — Wystarczy dziesięć minut, a wszystkiego się dowiemy.

Cutter spojrzał na zegarek.

— Muszę lecieć. Jadę teraz na Point Clear. Muszę przekazać Trudy te rewelacyjne wieści.

Obaj adwokaci jak na komendę parsknęli pogardliwie i zaczęli chichotać.

— To ona jeszcze o niczym nie wie? — zapytał Bogan.

— Nie.

— Powinieneś wziąć ze sobą kamerę wideo — powiedział Vitrano, śmiejąc się coraz głośniej. — Chętnie zobaczyłbym jej minę.

39

— Sam nie mogę się doczekać tej przyjemności — odparł rozbawiony Cutter.

— Suka — mruknął Bogan.

Agent FBI wstał i rzekł na pożegnanie:

— Powiadomcie swoich współników, ale poza tym trzymajcie język za zębami. O dwunastej szef biura organizuje konferencję prasową. Będę w kontakcie.

Jeszcze długo po jego wyjściu w gabinecie panowała martwa cisza. Obaj adwokaci nie mogli się uwolnić od natarczywych pytań. Gorączkowo rozpatrywali w myślach różnorodne ewentualności,

snuli plany.

Jedenastego lutego 1992 roku Trudy pochowała swego ukochanego męża, ofiarę tragicznego wypadku samochodowego, jaki wydarzył się, bez świadków, na poboczu autostrady, z dala od siedzib ludzkich. Uderzająco piękna wdowa, w eleganckim czarnym kostiumie z salonu Armani, w myślach wydawała już pieniądze, jeszcze zanim trumna Patricka zniknęła pod pierwszą warstwą ziemi.

W testamencie wszystko zapisał jej. Skrótową ostatnią wolę niewiele wcze-

śniej zarejestrowano u rejenta. Kilka godzin przed pogrzebem Doug Vitrano w jej obecności otworzył pancerną kasetkę spoczywającą w biurku zmarłego. Wewnątrz znaleźli kopię testamentu, akty własności dwóch samochodów, dokumenty hipo-teczne domu Laniganów, polisę ubezpieczenia na życie na pół miliona dolarów, o której Trudy wcześniej wiedziała, a także drugą, nikomu nie znaną, opiewającą na kwotę dwóch milionów.

Vitrano pospiesznie sprawdził, że ową tajemniczą drugą polisę Patrick wykupił osiem miesięcy wcześniej. Zgodnie z jej warunkami całe odszkodowanie miało przypaść Trudy. Co dziwniejsze, oba ubezpieczenia zostały wystawione przez to samo towarzystwo.

Kobieta przysięgła, iż nie wiedziała o jej istnieniu, a chytry uśmieszek na jej ustach przekonał adwokata, że mówi prawdę. Niezależnie od okoliczności Trudy bardzo się cieszyła ze swego niespodziewanego bogactwa. Nic więc dziwnego, że bez większych kłopotów zapomniała o bólu po stracie męża i zdołała nadzwyczaj dzielnie znieść smutną ceremonię pogrzebową.

Towarzystwo ubezpieczeniowe, jak można było oczekiwać, początkowo za-kwestionowało warunki obu polis, wystarczyło jednak parę ostrych grózb ze strony Vitrano, a cała suma odszkodowania została wypłacona wdowie. Miesiąc po pogrzebie Trudy stała się szczęśliwą posiadaczką dwóch i pół miliona dolarów.

Już tydzień później zaczęła jeździć po Biloxi luksusowym czerwonym rolls-royce'em, szerząc powszechną zawiść. A potem przepadło bez śladu dziewięć-

dziesiąt milionów dolarów i po mieście rozeszły się bardzo nieprzyjemne dla niej plotki.

Nie było pewne, czy Trudy Lanigan rzeczywiście jest wdową.

Podjeżenia natychmiast padły na Patricka, wkrótce zaś stał się on jedynym 40

podejrzany o kradzież. Atmosfera stała się nie do zniesienia, toteż Trudy wsadziła do rolls-royce'a swą córeczkę oraz kochanka, Lance'a, którego znała jeszcze z czasu nauki w szkole średniej, po czym bez żalu przeniosła się do Mobile, le-

żąc go godzinę drogi na wschód od Biloxi. Szybko też znalazła przebiegłego adwokata i zleciła mu troskliwą opiekę nad swą małą fortuną. Kupiła piękny stary dom w dzielnicy Point Clear, nad zatoką Mobile Bay, ale zapisała go na nazwisko Lance'a.

Ten silnie zbudowany i przystojny utracjusz był zarazem jej pierwszym chłopakiem, z którym utraciła dziewictwo w wieku czternastu lat. Po ukończeniu szko-

ły dziewiętnastoletni Lance został oskarżony o przemyt narkotyków i spędził trzy lata w więzieniu, podczas gdy ona hojnie korzystała z uroków życia podczas nauki w college'u, była cheerleaderką, uwodziła kolejno wszystkich zawodników drużyny futbolowej, cieszyła się opinią prawdziwej gwiazdy każdego przyjęcia, lecz mimo to zdołała uzyskać dyplom z wyróżnieniem. Wyszła za bogatego py-szałka z dobrej rodziny i rozwiodła się po dwóch latach. Przez pewien czas mogła się znowu cieszyć urokami panińskiego życia, aż wreszcie poznała Patricka, obiecującego młodego adwokata, rozpoczynającego dopiero karierę na wybrzeżu.

Połączyła ich krótka, acz gorąca namiętność, zakończona ślubem.

Ale przez cały okres nauki w college'u i trwania obu małżeństw, mimo rozlicznych przelotnych romansów, Trudy utrzymywała zażyłe stosunki z Lance'em.

Był dla niej jak narkotyk, którego nigdy nie ma się dosyć. Nieodmiennie budził

w niej dzikie żądze. Już w wieku czternastu lat uświadomiła sobie, że nigdy nie będzie umiała żyć bez niego.

* * *

Drzwi otworzył Lance — nagi do pasa, z długimi czarnymi włosami zebranymi z tyłu głowy w obowiązkowy kucyk i z dużym brylantowym kolczykiem w lewym uchu. Nie powiedział ani słowa, tylko skrzywił się, ujrawszy Cuttera, jakby chciał mu okazać swą bezgraniczną pogardę do całego świata.

— Czy zastałem Trudy? — spytał agent.

— Może.

Widok odznaki FBI jedynie na chwilę stał z jego twarzy wyraz pogardy.

— Agent federalny Cutter. Rozmawiałem już wcześniej z panią Lanigan.

Lance przerzucał marihuanę z Meksyku wielką i szybką motorówką, którą kupiła mu Trudy. Sprzedawał towar miejscowemu gangowi z Mobile. Interes nie szedł jednak najlepiej, gdyż funkcjonariusze DEA mieli go na oku.

— Jest w sali ćwiczeń — mruknął, ruchem głowy wskazując Cutterowi kieru-41

nek. — Czego pan od niej chce?

Agent nie odpowiedział. Minał asfaltowy podjazd i ruszył w stronę przebudowanego garażu, skąd dobiegała głośna, dudniąca muzyka. Lance poszedł za nim.

Trudy była właśnie w trakcie wykonywania energicznych ćwiczeń aerobiku, których tempo dyktowała zgrabna piękność z ekranu olbrzymiego telewizora stojącego pod ścianą. Robiła głębokie skłony, bezgłośnie powtarzając słowa nada-wanej piosenki, i nieźle jej to wychodziło. W obcisłym żółtym kostiumie, z blond włosami zebranymi w gruby koński ogon prezentowała się wspaniale. Nie miała chyba ani grama zbędnego tłuszczu. Cutter pomyślał, że mógłby się jej przyglądać godzinami. Nawet bijący od niej zapach potu wydawał mu się kuszący.

Ćwiczyła aerobik po dwie godziny dziennie. W wieku trzydziestu pięciu lat nadal miała sylwetkę ponętej licealistki.

Lance sięgnął po pilota i wyłączył magnetowid. Trudy obróciła się gwałtownie i obrzuciła Cuttera spojrzeniem zdolnym w jednej chwili roztopić górę lodową.

— O co chodzi? — warknęła w stronę Lance’a.

Nie ulegało wątpliwości, że nikt nie miał prawa jej przeszkadzać w codziennych ćwiczeniach.

— Agent specjalny FBI, Cutter — rzekł, okazując swoją odznakę. — Poznaliśmy się już parę lat temu.

Trudy otarła twarz żółtym ręcznikiem o odcieniu starannie dobranym do koloru kostiumu. Dyszała ciężko. Po chwili jednak uśmiechnęła się uprzejmie.

— Czym mogę panu służyć?

Lance stanął obok niej. Oboje mieli kucyki niemal tej samej długości.

— Przywożę pani wspaniałe nowiny — zaczął Cutter z szerokim uśmiechem.

— Jakie?

— Odnaleźliśmy pani męża, Patricka Lanigana. Jest żywy i zdrow.

Na parę sekund zapadła grobowa cisza.

— Patricka? — powtórzyła Trudy bezwiednie.

— Nie inaczej.

— To kłamstwo — wyskoczył Lance.

— Obawiam się, że nie. Trzymamy go w areszcie na Portoryko. Mniej więcej za tydzień powinien wrócić do Stanów. Przyszło mi więc do głowy, że wolałaby pani usłyszeć te rewelacyjne wieści ode mnie niż przeczytać je w gazetach.

Wyraźnie oszołomiona, cofnęła się o kilka kroków i klapnęła ciężko na ła-weczkę stojącą obok dużej wagi lekarskiej. Silnie pobladła, ramiona jej opadły.

Lance ruszył energicznie, aby ją pocieszyć.

— Mój Boże! — jęknęła Trudy.

Cutter wyciągnął w jej kierunku swoją wizytówkę.

— Oto mój numer telefonu, gdybym mógł być w czymś pomocny.

Nie odpowiedziała, toteż odwrócił się i wyszedł.

42

Był całkowicie pewien, że Trudy nawet za grosz nie ma żalu do człowieka, który wyprowadził ją w pole, pozorując własną śmierć. I zarazem ani trochę nie ucieszyła jej wiadomość o jego odnalezieniu. Zapewne nie odczuwała także ulgi z powodu wyjaśnienia rodzącej liczne plotki tajemnicy.

Przede wszystkim obleciał ją strach, paniczny lęk przed utratą wszystkich pieniędzy. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że towarzystwo ubezpieczeniowe czym prędzej wystąpi o zwrot niesłusznie wypłaconych odszkodowań.

Podczas gdy Cutter przebywał w Mobile, inny agent FBI z Biloxi odwiedził

mieszkającą w Nowym Orleanie matkę Patricka, żeby przekazać jej te same wie-

ści. Pani Lanigan wzruszyła się do łez i poprosiła funkcjonariusza, by został na herbacie i odpowiedział na dziesiątki pytań. Zatrzymała go przez godzinę, mi-mo że niewiele umiał wyjaśnić. Przez cały czas popłakiwała ze szczęścia, a po jego wyjściu obdzwoniła wszystkich znajomych, przekazując elektryzującą wiadomość, że jej jedyny syn jakimś cudem wcale nie zginął w wypadku samochodowym.

Rozdział 6

Jack Stephano został aresztowany w swoim waszyngtońskim biurze. Spędził

za kratkami tylko pół godziny, po czym doprowadzono go na zamknięte przesłuchanie przed komisją federalną w małej sali konferencyjnej magistratu. Sędzia poinformował go, iż może być natychmiast zwolniony, jeśli obieca, że nie wyje-dzie z miasta i pozostanie do dyspozycji FBI, którego agenci będą go bez przerwy obserwować. W tym czasie liczny oddział funkcjonariuszy wpadł do biura, zwolnił wszystkich pracowników do domu i spakował całą dokumentację.

Po zwolnieniu z aresztu Stephano został przewieziony do gmachu Hoovera przy Pennsylvania Avenue, gdzie czekał na niego Hamilton Jaynes. Kiedy pozostali sami w gabinecie, wicedyrektor FBI zdawkowo przeprosił detektywa za to zajście. Wyjaśnił przy tym, że nie miał innego wyjścia. Nie mógł przejść do po-rządku dziennego nad potajemnym uprowadzeniem, szprycowaniem narkotykami i torturowaniem, które prawie doprowadziło do śmierci człowieka od dawna poszukiwanego przez służby federalne.

W gruncie rzeczy chodziło jednak o pieniądze, a krótkotrwały pobyt w areszcie miał stanowić ostrzeżenie dla Stephano. Ale ten przysiągł solennie, że Lanigan niczego im nie powiedział.

W czasie trwania tej rozmowy drzwi i okna biura Stephano zostały zaplombowane. Kiedy zaś pani Stephano wyszła na partię brydża, na linii jego telefonu domowego założono podsłuch.

Po krótkiej, lecz bezowocnej rozmowie z Jaynesem detektywa odwieziono do śródmieścia, w pobliżu gmachu sądu najwyższego. A ponieważ zakazano mu wstępu do biura, przywołał taksówkę i polecił się zawieźć do hotelu „Hay-

-Adams” na rogu ulic H i Szesnastej. Pochylając się nad gazetą, w zamyśleniu muskał palcami nadajnik, który wszyto mu w marynarkę w trakcie pobytu w areszcie.

Było to miniaturowe urządzenie stale emitujące sygnał radiowy, pozwalający na śledzenie drogi ludzi, samochodów bądź też wybranych sztuk bagażu. Stephano ukradkiem obmacał swe ubranie podczas rozmowy z Jaynesem, a odkrywszy pluskwę, ledwie się powstrzymał przed tym, żeby ją wyszarpnąć z marynarki i cisnąć na biurko dyrektora FBI.

44

On sam doskonale znał różne techniki śledzenia ludzi. Toteż upchnął marynarkę pod siedzeniem taksówki i energicznym krokiem wszedł do holu budynku stojącego naprzeciwko parku Lafayette’a. W hotelu nie było wolnych miejsc. Poprosił o spotkanie z menedżerem, swoim byłym klientem, i już po krótkiej rozmowie został odprowadzony do pokoju na trzecim piętrze, z którego rozciągał

się malowniczy widok na Biały Dom. Tutaj pospiesznie rozebrał się do bielizny, rozłożył ubranie na łóżku i szczegółowo je przeszukał, dokładnie obmacując każ-

dy centymetr materiału. Zamówił lunch. Później zadzwonił do żony, ale nikt nie podniósł słuchawki.

Skontaktował się z Bennym Aricią, tymże klientem, do którego należało zaginionych dziewięćdziesiąt milionów dolarów. Miał z tej sumy zatrzymać sześć-

dziesiąt milionów, trzydzieści zaś przekazać na konto kancelarii Bogana i Vitrano w Biloxi. Ale pieniądze zniknęły z banku na Bahamach, zanim Aricia zdążył wydać jakiegokolwiek dyspozycje.

Obecnie mieszkał w hotelu „Willarda”, również nieopodal Białego Domu, gdzie niecierpliwie czekał na wieści od Stephano.

Spotkali się godzinę później w hotelu „Four Seasons” w Georgetown, w którym Aricia wynajął apartament na tydzień z góry.

Benny dobiegał sześćdziesiątki, lecz wyglądał o dziesięć lat młodziej. Był

szczupły i wysportowany, a jego cera miała odcień opalenizny charakterystyczny dla bogatych emerytowanych przemysłowców z południowej Florydy, spędzają-

cych całe dnie na grze w golfa. Aricia mieszkał w rozległym domu, nad samym kanałem Miami, z młodą Szwedką, która mogłaby być jego córką.

Po zniknięciu pieniędzy adwokaci wystąpili o odszkodowanie w ramach polisy ubezpieczającej kancelarię przed defraudacją funduszy przez jej pracowników.

Takie wypadki nie należały bowiem do rzadkości w świątku prawników. Ale po-lisa, wystawiona przez towarzystwo ubezpieczeniowe Monarch-Sierra, opiewała zaledwie na cztery miliony dolarów. Toteż Aricia zaskarżył kancelarię do sądu, domagając się zwrotu całej należnej mu sumy, czyli sześćdziesięciu milionów.

Niewiele jednak mógł wskórać, a wobec perspektywy ogłoszenia przez kancelarię bankructwa zgodził się chwilowo zadowolić czteromilionowym odszkodowaniem. Prawie połowę tej kwoty wydał na poszukiwanie Patricka. Domek letniskowy w Boca kosztował go dalsze pół miliona i po rozliczeniu różnych po-mniejszych wydatków został mu już tylko milion dolarów.

Stojąc przy oknie i popijając kawę bezkofeinową, zapytał:

— Czy mnie także mogą aresztować?

— Nie sędzę. Postaram się utrzymać twoje nazwisko w tajemnicy.

Benny podszedł do stolika, postawił na nim filiżankę z kawą i usiadł naprzeciwko detektywa.

— Kontaktowałeś się już z towarzystwami ubezpieczeniowymi? — zapytał.

— Jeszcze nie. Dzisiaj do nich zadzwonię. Moim zdaniem nic wam nie grozi.

45

Northern Case Mutual, firma, dzięki której Trudy zyskała olbrzymi majątek, potajemnie przeznaczyła na poszukiwanie Lanigana pół miliona dolarów. Towarzystwo Monarch-Sierra dorzuciło milion. W sumie agenci Stephano mogli dzięki temu wydać ponad trzy miliony na wykonanie zleconego im zadania.

— Namierzyliście już tę dziewczynę? — spytał Aricia.

— Nie. Moi ludzie przeszukują Rio. Dotarli do jej ojca, ale nic z niego nie wyciągnęli. Rozmawiali też w firmie prawniczej, w której pracuje. Podobno wyjechała z miasta w interesach.

Aricia skrzyżował ręce na piersi i rzekł cicho:

— Zrelacjonuj mi dokładnie, co wam powiedział.

— Nie miałem jeszcze okazji przesłuchać nagrania. Powinno dotrzeć do mego biura dziś po południu, ale sprawy się skomplikowały. Poza tym przesyłka idzie aż z Paragwaju.

— Tyle i ja wiem.

— Według doniesień Guya, Lanigan złamał się po pięciu godzinach wstrzą-

sów elektrycznych. Podobno pieniądze są bezpieczne, rozlokowane w różnych bankach, których nie umiał wymienić z nazwy. Guy omal go nie uśmiercił, próbując poznać konkrety. W końcu doszedł do słusznego wniosku, że Lanigan rzeczywiście nie zna szczegółów, a pieczę nad funduszem sprawuje ktoś inny. Niewiele już mu trzeba było, żeby poznać nazwisko tej prawniczki. Natychmiast zadzwonił

do Rio i uzyskał potwierdzenie jej tożsamości. Ale ona wcześniej zdążyła zwać.

— Chciałbym przesłuchać tę taśmę.

— To nie będzie przyjemne, Benny. Facet miał już rozległe oparzenia i prawdopodobnie błagał głównie o litość.

Benny nie mógł sobie odmówić szerokiego uśmiechu.

— Tak się domyślałem. I dlatego chciałbym przesłuchać nagranie.

Patricka umieszczono w niewielkiej salce na samym końcu bocznego skrzydła szpitala. Pojedyncze okno nie dało się otworzyć, drzwi były zamykane od zewnątrz. Spuszczono żaluzje. W korytarzu przy wejściu na wszelki wypadek stanęło na straży dwóch wartowników.

Lanigan donikąd się nie wybierał. Długotrwałe wstrząsy elektryczne spowodowały przejściowy paraliż wielu mięśni, głównie nóg i klatki piersiowej. Ucierpiały nawet jego stawy i kości. W czterech miejscach silne oparzenia doprowadziły do powstania otwartych ran — dwóch na piersi, na udzie oraz łydce. Cztery inne lekarze zaliczyli do poparzeń drugiego stopnia.

Patrick cierpiał straszliwie, toteż opiekujący się nim doktorzy postanowili jednomyślnie utrzymać go przez pewien czas na silnych dawkach leków przeciwbó-

lowych. Nic ich nie skłaniało do pośpiechu. Nawet jedyna rzecz sporna — kwestia nagrody za ujęcie przestępcy poszukiwanego listem gończym — mogła jeszcze 46

przez parę dni pozostać nie rozstrzygnięta.

Tak więc w zaciemnionym pokoju wypełnionym cichą muzyką, w błogim stanie upojenia środkami narkotycznymi, Lanigan przesypiał kolejne godziny, cał-

kiem nieświadom burzy, jaką zapoczątkowała wiadomość o jego ujęciu.

W sierpniu 1992 roku, pięć miesięcy po zniknięciu pieniędzy, federalna komisja przysięgłych w Biloxi formalnie oskarżyła Patricka o dokonanie kradzieży.

Uznano, że istnieją wystarczające dowody jego winy, a nie ma innych podejrzanych. Skoro zaś przestępca ukrywał się prawdopodobnie za granicą, sprawę przekazano służbom federalnym.

Biuro szeryfa okręgu Harrison na polecenie prokuratora okręgowego podję-

ło śledztwo w sprawie domniemanego morderstwa, szybko utknęło ono jednak w martwym punkcie, a policja z Biloxi musiała się zająć pilniejszymi sprawami.

Ale teraz pospiesznie wyciągnięto z archiwum stare akta.

Konferencja prasowa zwołana na dwunastą opóźniła się nieco, gdyż przedstawiciele władz długo dyskutowali w biurze Cuttera na temat sposobu przedstawienia opinii publicznej niektórych szczegółów. Dyskusja była dość burzliwa, ponieważ wyszły na jaw różne sprzeczne interesy. Z jednej strony stołu zasiadł Cutter wraz z kolegami z biura, a więc ludzie bezpośrednio wykonujący polecenia Maurice'a Masta, prokuratora generalnego zachodniego dystryktu stanu Missisipi, który specjalnie w tym celu przyjechał z Jackson, z drugiej natomiast dogłębnie gardzą-

cy FBI szeryf okręgu Harrison, Raymond Sweeney, i jego zastępca, Grimshaw.

W ich imieniu głos zabierał prokurator okręgowy T. L. Parrish.

Spory wynikły na gruncie zderzenia interesów stanowych i krajowych, nisko-budżetowej policji i wszechwładnego biura federalnego, ale przede wszystkim były efektem niezaspokojonych ambicji przedstawicieli władzy, z których każ-

dy pragnął dla siebie uszczknąć jak najwięcej z zapowiadającego się wielkiego przedstawienia z Laniganem w roli gwiazdy.

— Chyba najważniejszą kwestią jest wystąpienie o karę śmierci — zakomunikował Parrish.

— Możemy o nią wystąpić na podstawie przepisów federalnych — odparł

Mast, usilnie próbując zachować swobodny ton.

Parrish uśmiechnął się pobłaźliwie i pochylił nisko głowę. Dopiero od niedawna przepisy federalnego kodeksu karnego dopuszczały karę śmierci, ale komisja senacka nie ustaliła jeszcze zakresu przewinień, za które można by ją było stosować. Wszystko wyglądało pięknie w wiadomościach telewizyjnych, komentujących podpisanie przez prezydenta uchwalonych poprawek, lecz w praktyce sprawy okazywały się znacznie bardziej skomplikowane.

Natomiast stanowe prawo karne, obowiązujące już od wielu lat, było dobrze sprawdzone i ugruntowane.

47

— Nie ulega wątpliwości, że łatwiej będzie sformułować oskarżenie na podstawie naszego kodeksu — oznajmił Parrish, który w swej dotychczasowej karierze wysłał już ośmiu ludzi do celi śmierci, podczas gdy Mast dopiero szykował

swój pierwszy akt oskarżenia o zabójstwo z premedytacją.

— Należy także rozpatrzyć kwestię ewentualnej kary więzienia — ciągnął

prokurator okręgowy. — My będziemy mogli go umieścić w Parchman, gdzie przez dwadzieścia trzy godziny na dobę pozostanie w ciasnej, dusznej i parnej celi, dostanie dwa razy dziennie nędzny posiłek, wykąpie się tylko dwa razy w tygodniu i będzie musiał się opędywać od karaluchów oraz gwałcicieli. Jeśli wpadnie pod waszą kuratelę, wyłąduje do końca życia w luksusowym klubie, a federalni strażnicy będą mu zmieniać pieluszki i wynajdować setki sposobów na utrzymanie go w należytej formie.

— Z pewnością nie będzie to jednak piknik — sparował Mast, ledwie trzymając się w ryzach.

— Ale zawsze przyjemny wypoczynek. Nie upieraj się, Maurice. Wszak chodzi przede wszystkim o wywarcie nacisku. Mamy do czynienia z dwoma tajemniczymi zagadkami, które należy rozwiązać przed postawieniem Lanigana w stan oskarżenia. Po pierwsze: pieniądze. Gdzie są? Co z nimi zrobił? Czy uda się je odzyskać i zwrócić prawowitym właścicielom? A po drugie: kto spoczywa w je-go grobie? Mam przeczucie, że tylko Lanigan może to wyjaśnić, a na pewno tego nie robi, jeśli go odpowiednio nie postraszymy. Należy obudzić w nim lęk, Maurice. Tylko wizja osadzenia w Parchman odniesie pożądaný skutek. Mogę cię zapewnić, że on modli się przez cały czas, byśmy go oskarżyli na podstawie prawa federalnego.

Mast był o tym przeświadczony, lecz nie mógł tak łatwo ustąpić. Dla niego była to zbyt ważna sprawa, aby ją przekazać w ręce władz lokalnych. Liczył na to, iż przyciągnie uwagę opinii publicznej.

— Wiesz jednak, że możemy wystąpić z innymi oskarżeniami — rzekł. —

Ostatecznie złodzieja schwytano za granicą, bardzo daleko od rejonu twojej jurysdykcji.

— Owszem, lecz poszkodowani są nadal obywatelami tego okręgu — zripo-stował Parrish.

— Sprawa wcale nie jest taka prosta.

— Co zatem proponujesz?

— Abyśmy zajęli się nią wspólnie — rzekł Mast takim tonem, jakby zrzucał

z barków olbrzymi ciężar.

Takie rozwiązanie dopuszczało możliwość ingerencji władz federalnych w dowolnym momencie, a zarazem złożenie tego rodzaju propozycji przez prokuratora generalnego wyczerpywało chyba limit oczekiwań Parrisha.

Klucz do rozwiązania zagadki stanowiło więzienie Parchman i wszyscy obecni doskonale o tym wiedzieli. Lanigan był w końcu adwokatem i musiał zdawać 48

sobie sprawę z panujących tam warunków. Toteż wizja spędzenia dziesięciu lat na pograniczu życia i śmierci powinna mu rozwiązać język.

Pospiesznie rozplanowano podział tego kawałka tortu, przy którym główne role miały przypaść pospołu Parrishowi i Mastowi. FBI powinno kontynuować śledztwo w sprawie zaginionych pieniędzy, podczas gdy czynniki lokalne musiały się skoncentrować na kwestii domniemanego morderstwa. Parrish obiecał

błyskawicznie postawić na nogi całe swoje biuro. Ale wobec opinii publicznej obie strony miały występować wspólnie. Sporne problemy, takie jak szczegóły oskarżenia oraz późniejszy proces, postanowiono na razie odłożyć. Uznano, że w tej chwili najważniejsze jest, aby każda ze stron jak najsumienniejszym zajęła się przypadającym jej dochodzeniem.

W gmachu służb federalnych trwał właśnie inny proces, toteż dziennikarzy zaproszono do budynku po drugiej stronie ulicy, gdzie na pierwszym piętrze by-

ła wolna główna sala obrad sądu okręgowego w Biloxi. Konferencja wzbudzi-

ła olbrzymie zainteresowanie. Większość zgromadzonego tłumu stanowili żądni sensacji miejscowi pismacy, lecz przybyli także reporterzy z Jackson, Nowego Orleanu oraz Mobile. Stłoczyli się wszyscy przy barierce niczym dzieci pragnące zobaczyć każdy szczegół interesującego przedstawienia.

Mast i Parrish z posępnymi minami zajęli miejsca przy stole prezydialnym, za wielką baterią mikrofonów, od których biegły grube wiązki kabli. Cutter i pozostali funkcjonariusze stanęli murem za ich plecami. Włączono światła, zamruczały kamery.

Mast odchrząknął i oznajmił głośno:

— Mamy zaszczyt powiadomić, że ujęto Patricka Lanigana, poszukiwanego listem gończym byłego mieszkańca Biloxi. Jest żywy i zdrowy, przebywa obecnie w areszcie.

Urwał na chwilę i uśmiechnął się lekko, usłyszawszy głośny szmer zdumienia wśród zgromadzonych dziennikarzy. Następnie przedstawił pokrótce szczegóły aresztowania, które odbyło się przed dwoma dniami w Brazylii, i oznajmił

z naciskiem, iż tożsamość więźnia nie pozostawia żadnych wątpliwości. Nawet jednym słowem nie wspominał, że ani miejscowa policja, ani też agenci FBI nie mieli z tym nic wspólnego. Później już zostało jedynie dodać kilka zdań na temat terminu przetransportowania więźnia do Biloxi, stawianych mu zarzutów oraz sprawności działania służb i sądownictwa federalnego.

Parrish nie mógł mu dorównać w dramaturgii wystąpienia. Obiecał jak naj-szybsze wystosowanie formalnego oskarżenia o morderstwo z premedytacją, jak również o kilka innych przestępstw, które w ostatniej chwili przyszły mu do głowy.

Posypała się lawina pytań. Mast i Parrish musieli przytaczać swe opinie prawie w każdej kwestii tej skomplikowanej sprawy. Obaj zresztą znosili to dzielnie przez 49

półtorej godziny trwania konferencji.

Trudy uparła się, aby Lance towarzyszył jej podczas rozmowy. Oznajmiła, że go potrzebuje. W obcisłych, dzinsowych szortach robił dość niezwykle wrażenie, tym bardziej że miał bardzo muskularne i silnie owłosione uda. Adwokat przyjął

to z niesmakiem, ale nie takie rzeczy już widywał w życiu.

Ona przyszła wystrojona, jakby miała wystąpić w telewizji — w krótką wąską spódniczkę i gustowną czerwoną bluzkę. Do tego miała starannie zrobiony maki-jaż i nosiła cenną biżuterię. Usiadłszy na krześle, założyła nogę na nogę, jakby chciała w ten sposób przyciągnąć uwagę prawnika. Delikatnie poklepała Lance'a po ramieniu, kiedy ten położył jej dłoń na kolanie.

Adwokat zignorował jednak te wszystkie zabiegi.

Trudy powtórzyła to, co już wcześniej wyjaśniła przez telefon. Zamierzała złożyć pozew rozwodowy. Była wściekła i rozgoryczona. Jak on mógł jej to uczynić?

Jak mógł zrobić coś takiego jedynej córce? Przecież Ashley Nicole tak bardzo go kochała. Żyli zgodnie i szczęśliwie. No i proszę!

— Uzyskanie rozwodu nie powinno stanowić większych trudności — orzekł

J. Murray Riddleton, który od wielu lat specjalizował się w sprawach rozwodowych. — Bez trudu można udowodnić porzucenie rodziny. W świetle prawa stanu Alabama powinna pani uzyskać rozwód z orzeczeniem winy męża i zachować cały swój majątek.

— Chciałabym więc złożyć pozew najszybciej, jak tylko to możliwe — powiedziała, omiatając spojrzeniem fotografie i dyplomy porozwieszane na ścianie za jego biurkiem.

— Mogę uczynić to jutro z samego rana.

— Ile czasu to zajmie?

— Trzy miesiące. Nie powinno być żadnych komplikacji.

Ale ta wiadomość w najmniejszym stopniu nie zmniejszyła jej rozgoryczenia.

— Po prostu nie potrafię zrozumieć, jak można zrobić coś takiego ukochanej osobie. Czuję się jak idiotka.

Lance pochylił się nieco w jej stronę, nie zdejmując dłoni z kolana.

W gruncie rzeczy rozwód był najmniejszym zmartwieniem Trudy, o czym adwokat doskonale wiedział. Nie dał się nabrać na teatralną pozę kobiety o złamanym sercu.

— Ile otrzymała pani odszkodowania z męża polisy na życie? — zapytał, się-

gając po dokumenty.

Trudy zrobiła taką minę, jakby samo wspomnienie o polisie ubezpieczeniowej wprawiło ją w szok.

— Czy to takie ważne? — syknęła.

50

— Oczywiście. Towarzystwo z pewnością wystąpi o zwrot pieniędzy. Pani mąż przecież nie umarł, zatem odszkodowanie zostało wypłacone niesłusznie.

— Pan chyba żartuje?

— Ani trochę.

— Nie mogą mi tego zrobić! Nie wierzę.

— Niestety, ale tak. I proszę się przygotować, że wystąpią bardzo szybko.

Lance natychmiast zabrał rękę i przygarbił się wyraźnie. Trudy zastygła z rozdziawionymi ustami, w jej oczach pojawiły się łzy.

— To niemożliwe.

Adwokat przysunął sobie notatnik i sięgnął po długopis.

— Spróbujmy podsumować pani wydatki.

Na pierwszy ogień poszedł rolls-royce za sto trzydzieści tysięcy, którego do tej pory używała. Lance jeździł porsche, Trudy kupiła mu samochód za osiemdziesiąt pięć tysięcy. Dom kosztował ją dziewięćset tysięcy w gotówce, nie był

obciążony hipoteką, ale został zapisany na nazwisko Lance'a. Sześćdziesiąt ty-sięcy pochłonął zakup przemysłowej motorówki. Sto tysięcy poszło na biżuterię.

Resztę mogli jedynie szacować, biorąc sumy z powietrza. W przybliżeniu lista wydatków zamknęła się kwotą półtora miliona dolarów. Adwokat nie miał już odwagi powiedzieć, że wszystkie nabyte rzeczy będą musiały zostać zwrócone w pierwszej kolejności.

Czuł się jak dentysta usuwający pacjentowi zęby bez znieczulenia, mimo to wydusił z Trudy szacunkową sumę miesięcznych wydatków na życie: tysiąc dolarów. Ale poza tym oboje kilkakrotnie wyjeżdżali na kosztowne wycieczki, a straconych w ten sposób pieniędzy nie było chyba w stanie odzyskać żadne towarzystwo ubezpieczeniowe.

Trudy nie pracowała, nie miała ani renty, ani emerytury, jak sama wolała okre-

ślać swój status. Natomiast Lance nie odważył się wspomnieć o dochodach z prze-myty narkotyków.

Żadne z nich nie miało też zamiaru, nawet przed swoim adwokatem, ujawniać faktu, że potajemnie wpłacili na konto banku na Florydzie trzysta tysięcy dolarów.

— Kiedy, według pana, towarzystwo może wystąpić o zwrot odszkodowania?

— spytała na koniec Trudy.

— W ciągu tygodnia — odparł stanowczo.

Stało się to jednak o wiele szybciej. Jeszcze w czasie trwania konferencji prasowej, kiedy tylko została ujawniona informacja o ujęciu Patricka, prawnicy towarzystwa Northern Case Mutual w kancelarii tego samego sądu okręgowego w Biloxi złożyli pozew przeciwko Trudy Lanigan o zwrot odszkodowania w wysokości dwóch i pół miliona dolarów, powiększonego o należne odsetki oraz honoraria adwokatów. Jednocześnie został sformułowany wniosek o natychmiasto-51

we podjęcie przez komornika działań uniemożliwiających pozwanej jakiegokolwiek rozporządzenie posiadanym majątkiem.

Prawnicy natychmiast przedłożyli tenże wniosek dyżurującemu sędziemu —

któremu wcześniej całą sprawę przedstawiono telefonicznie — i po krótkiej, zwo-

lanej w trybie pilnym naradzie sędziego zgodził się na proponowane środki zabezpieczające, po czym wydał stosowne dyspozycje. Nie było w tym niczego dziwnego, gdyż jako uważny obserwator bieżących wydarzeń doskonale znał sprawę Patricka Lanigana. Co więcej, jego żona została bardzo niegrzecznie potraktowana przez Trudy już kilka dni po zakupie czerwonego rolls-royce'a.

W tym samym czasie, gdy Trudy i Lance naradzali się ze swoim adwokatem, kopię decyzji sędziego z Biloxi dostarczono do kancelarii sądu okręgowego w Mobile. Dwie godziny później, kiedy ta sama para raczyła się drinkami na tarasie domu nad zatoką Mobile Bay, do drzwi zadzwonił goniec, aby doręczyć Trudy kopię pozwu wystosowanego przez towarzystwo Northern Case Mutual, wezwanie do stawienia się przed okręgowym sądem cywilnym w Biloxi oraz po-

świadczoną kopię decyzji w sprawie komorniczego nadzoru nad jej majątkiem.

Na pierwszym miejscu długiej listy rzeczy zabronionych znalazł się zakaz wystawiania czeków bez pisemnej zgody sądu.

Rozdział 7

Mecenas Ethan Rapley wziął kąpiel, ogolił się, zapuścił krople do przeme-

czonych oczu, wypił bardzo mocną kawę i wykopał z dna szafy w miarę czysty ciemnograny sweter, w którym postanowił pojechać do miasta. Nie był

w biurze od szesnastu dni, ale nie tęsknił za pracą, a już z pewnością nie tęsknił

za widokiem współpracowników. Jeśli go potrzebowali, przesyłali mu materiały faksem, on zaś odsyłał je tą samą drogą. Robił sprawozdania, streszczenia i plany niezbędne dla przetrwania firmy, szykował także różne dokumenty dla ludzi, któ-

rymi gardził. Z rzadka zmuszony był wkładać krawat oraz marynarkę i jechać na spotkanie z jakimś klientem czy też na nudną naradę z udziałem swoich wspólników. Nie cierpiał pracy w biurze; nienawidził ludzi, nawet jeśli wcale ich nie znał; z niechęcią patrzył na każdy papierek, jaki trafiał mu do rąk. Tak samo pogardzał

fotografiami i dyplomami wiszącymi na ścianie jego gabinetu, jak i biurowymi zapachami: cierpkim odorem kawy w recepcji, wonią chemikaliów unoszącą się wokół kserokopiarki, duszącymi aromatami kosmetyków sekretarek. Nienawidził

wszystkiego.

Niemniej tego dnia podczas całej trasy przejazdu drogą wzdłuż plaży z jego warg nie zniknął tajemniczy uśmiešek. Na Vieux Marche Rapley skinął nawet głową na powitanie dwóm starym znajomym. Zamienił parę słów z recepcjonistką, którą kiedyś przyjmował do pracy, choć teraz nie pamiętał jej nazwiska.

W sali konferencyjnej było tłoczno. Oprócz adwokatów z różnych miejscowych kancelarii znalazło się w niej również kilku sędziów oraz parę dziwnych typków, stałych bywalców sal sądowych. Minęła już siedemnasta. Głośny gwar rozmów świadczył o luźnej, radosnej atmosferze. Powietrze było ciężkie od dy-mu cygar.

W rogu sali na składanym stoliku urządzono prowizoryczny barek, toteż Rapley nalał sobie porcję whisky. Przywitał się ze stojącym nieopodal Vitrano, usiłując sprawiać wrażenie pogodnego i zadowolonego. Zwrócił uwagę, że rozstawione na drugim stoliku napoje gazowane były prawie nietknięte.

— Świętujemy tak już od lunchu — oznajmił Vitrano, spoglądając na pogrą-

żone w rozmowach grupki mężczyzn. — Kiedy tylko rozeszły się nowiny, bez 53

przerwy przyjmujemy gości.

Wiadomość o ujęciu Lanigana zelektryzowała cały lokalny światek prawniczy. Adwokaci znani są z upodobania do plotek, rozpuszczają je z prawdziwą przyjemnością, wielu specjalizuje się w ich gromadzeniu i upiększaniu. Mówiono więc o tym, że Patrick waży teraz zaledwie sześćdziesiąt kilogramów i włada biegle pięcioma językami. Jedni twierdzili, że już odnaleziono skradzione pieniądze, inni utrzymywali, iż przepadły bez śladu. Podobno Lanigan żył przez cztery lata w skrajnej nędzy, chociaż niewykluczone, iż mieszkał w prawdziwym pałacu. We-dług jednych prawie został pustelnikiem, według innych miał troje dzieci z drugą żoną. Właśnie ta nowa rodzina powinna wiedzieć, co się stało z pieniędzmi. Być może jednak i ona nie miała o niczym pojęcia.

Wszystkie plotki koncentrowały się wokół zaginionych pieniędzy. W każdym gronie, czy to dawnych

przyjaciół Patricka, czy też osób całkowicie mu obcych, wcześniej czy później nawiązywano do sprawy kradzieży. W tym środowisku nie dało się utrzymać tajemnic, wszyscy od dawna wiedzieli, że kancelaria straciła trzecią część z dziewięćdziesięciu milionów dolarów. A nawet najślabsze podejrzenie, że teraz adwokaci mogą odzyskać owe pieniądze, skłaniało różne osoby do odwiedzenia biura, wypicia paru drinków, podzielenia się plotkami i wypowiedzenia wręcz obowiązkowego zdania:

— Do diabła! Mam nadzieję, że ta forsa się odnajdzie.

Z drugą szklaneczką whisky Rapley dał nura w tłum gości. Bogan rozdzielał

kostki lodu i głośno dyskutował z sędzią. Vitrano krążył między grupkami ludzi i potwierdzał bądź dementował rozliczne pogłoski. Natomiast Havarac rozmawiał

w kącie z podstarzałym reporterem sądowym, który nieoczekiwanie postanowił

przeprowadzić z nim wywiad.

Zapadł zmierzch, dostarczono kolejne butelki alkoholu. Plotkom nie było koń-

ca. Atmosferę w sali konferencyjnej zdominowała nadzieja.

Patrick stał się również głównym tematem lokalnych dzienników radiowych i telewizyjnych, inne wiadomości zeszyły na dalszy plan. Na wszystkich kanałach pokazywano Masta i Parrisha, na wpół ukrytych za wielką baterią mikrofonów i mających tak zbolale i posępne miny, jakby kijami zostali zapędzeni do pełnienia nieprzyjemnych obowiązków. Pokazywano fronton kamienicy, w której mie-

ściła się kancelaria, chociaż reporterzy nie nagrali żadnej rozmowy z którymkolwiek ze współników. Przedstawiono pokrótce karierę i nagłą śmierć adwokata, nie omieszkawszy postawić kłopotliwego pytania, dotyczącego tożsamości prochów spoczywających w grobie Lanigana. Wyciągnięto z archiwum fotografie z tragicznego wypadku samochodowego sprzed czterech lat, nie szczędząc widzom ujęcia przedstawiającego zwęglone zwłoki w spalonym i pogruchotanym sportowym wozie Patricka. Nie uzupełniono jednak tych zdjęć komentarzami żo-54

ny adwokata czy też kogokolwiek z FBI lub biura szeryfa. Zamiast tego uraczono odbiorców dziesiątkami różnorodnych dziennikarskich spekulacji.

Takie same wiadomości emitowano w Nowym Orleanie, Mobile, Jackson, a nawet w Memphis. Późnym wieczorem CNN przedstawiła godzinny reportaż w programie krajowym, następnego dnia jego skróconą wersję włączono do serwisu międzynarodowego. Bulwersujące wieści rozeszły się po świecie.

Tuż przed siódmą rano czasu europejskiego Eva obejrzała ten reportaż w swoim pokoju hotelowym w Szwajcarii. Usnęła przed włączonym telewizorem po północy, lecz budziła się kilkakrotnie, śledząc wiadomości CNN, gdyż czekała właśnie na informacje o Patricku. Była zmęczona i przerażona. Bardzo pragnęła wrócić do domu, lecz zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe.

Patrick żył nadal, tak jak jej to obiecywał setki razy, kiedy rozważali róż-

ne warianty wydarzeń po jego schwytaniu. I dopiero teraz, po raz pierwszy, Eva uwierzyła w jego przepowiednie.

Zachodziła w głowę, ile zdradził swoim prześladowcom.

Czy bardzo cierpiał? Jak długo był dręczony, zanim w końcu wyznał prawdę?

Odmówiła krótką modlitwę, dziękując Bogu za to, że Patrick wciąż żyje.

Następnie szybko przystąpiła do pracy.

Pod czujnym wzrokiem dwóch umundurowanych strażników, przy wydatnej pomocy starego portorykańskiego sanitariusza o imieniu Luis, Lanigan w samych tylko wojskowych białych spodenkach, na bosaka, zdołał przejść korytarzem do wyjścia. Musiał wystawić swoje oparzenia na świeże powietrze. Zdjęto mu opatrunki, rany zasypano środkami dezynfekcyjnymi i zalecono krótki spacer. Najbardziej dokuczały mu pęknięcia skóry na udach i klatce piersiowej. Nie mógł też ścierpieć, że nogi uginają się pod nim przy każdym kroku.

Jemu samemu zależało przede wszystkim na uwolnieniu się z narkotycznej ospałości. Z ulgą witał ukłucia bólu wokół otwartych ran, gdyż w ten sposób szybciej powracała klarowność umysłu. Wszak nikt nie wiedział, jakie środki odurzające pompowano mu do żył w ciągu ostatnich trzech dni.

Cierpienia wywołane torturami stopniowo rozmazywały się w jego pamięci w jedno mgliste, niewyraźne pasmo udręki. Ale w miarę jak słabło działanie farmaceutyków, w uszach rozbrzmiewały mu coraz wyraźniejsze histeryczne błagania o litość. Nie potrafił jednak ocenić, jak wiele zdradził oprawcom.

Kiedy sanitariusz odszedł, żeby przynieść szklanekę soku, Patrick oparł się bezsilnie o parapet okna w kantynie. Plaża znajdowała się nie dalej jak kilometr od koszar, lecz morze widać było tylko w wąskiej przerwie między rzędami identycznych baraków. Jedynie dzięki temu rozpoznał, że trzymają go w jakiejś bazie wojskowej.

Niemniej pamiętał dobrze, iż wyznał, że pieniądze nie przepadły. Utkwiło mu 55

to w pamięci, gdyż cenna informacja spowodowała dłuższą przerwę w bezustannym ciągu wstrząsów elektrycznych. Później zaś chyba stracił przytomność, ponieważ następnym odczuciem, jakie wypłynęło z chaosu wspomnień, był strumień zimnej wody chluśniętej prosto w twarz, który przywrócił mu świadomość. Przypominał sobie, jak wielką, choć krótkotrwałą ulgę przyniósł mu ten orzeźwiający strumień wody, mimo że nie pozwolili mu się napić. A potem znów wróciły dręczące ukłucia prądu.

Omal nie pozbawili go życia dla tych kilku nazw jakichś parszywych banków.

Pamiętał jak przez mgłę, że chcąc uniknąć dalszych cierpień, wyjawiał całą drogę wykonywanych

przez siebie przelewów, począwszy od Zjednoczonego Banku Walijskiego na Bahamach, poprzez instytucje finansowe na Malcie, aż do prywatnego banku w Panamie, gdzie nikt już nie mógł wysledzić skradzionych pieniędzy.

Nie miał jednak żadnego pojęcia, gdzie one teraz się znajdują. Przypominał

sobie, że w pewnym momencie doszedł do wniosku, iż skoro już został zidentyfikowany, a prześladowcy — pewni, że nie mógł wydać dziewięćdziesięciu milionów w ciągu czterech lat — wydobyli z niego informację o istnieniu całego funduszu, może im również przytoczyć znane sobie fakty, podać wielkości lokat kapitałowych czy sumy odsetek. Ale nawet przypalanie mu żywcem skóry nie doprowadziło do ujawnienia konkretnych nazw banków, ponieważ tych rzeczywiście nie znał.

Sanitariusz podał mu szklanę jakiegoś gazowanego napoju. Patrick podzię-

kował po portugalsku:

— *Obrigado.*

Nie umiał nawet powiedzieć, dlaczego tak postąpił. W jego wspomnieniach znów wystąpiła większa luka, aż wreszcie wszystko ustało.

— Dość! — zawołał przesiadujący w kącie pokoju mężczyzna, którego on ani razu nie widział na oczy.

Zapewne pomyśleli, że ciągłe porażenia prądem już go zabiły.

Nie potrafił ocenić, jak długo był nieprzytomny. W pewnym momencie ocknął

się pozbawiony wzroku, nie wiedział jednak, czy panowały całkowite ciemności, czy też oślepił go ból bądź końskie dawki narkotyków. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że być może transportowano go z zawiązanymi oczyma. Wówczas poraziła go myśl, iż oprawcy planują jeszcze gorsze tortury, na przykład amputację jakichś części ciała. Wiedział tylko, że wciąż leży nagi.

Wyraźniej przypominał sobie kolejny zastrzyk, po którym serce zaczęło mu bić szybciej, a po skórze przebiegły ciarki. Znowu mógł widzieć i znów pojawił się zbir z tym przeklętym urządzeniem elektrycznym. Zatem kto teraz obraca pieniędzmi?

Pociągnął łyk napoju ze szklanki. Sanitariusz stał naprzeciwko niego i uśmiechał się przyjaźnie, pewnie tak samo jak do każdego pacjenta. Patrickowi zrobiło się niedobrze, chociaż niewiele ostatnio jadł. Czuł narastające zawroty głowy, po-56

stanowił jednak zostać na nogach, mając nadzieję, że wymuszając szybszy obieg krwi, odzyska jasność myśli. Skupił wzrok na kutrze rybackim, widocznym daleko na linii horyzontu.

Dalej przypiekali go żywcem, domagając się ujawnienia nazwisk. Chrapliwy-mi wrzaskami powtarzał, że ich nie zna. Później przytwierdzili mu elektrody do jąder, przez co wstrząsy elektryczne

stały się jeszcze bardziej dotkliwe. Wielokrotnie tracił przytomność.

Nie mógł sobie przypomnieć, co im jeszcze powiedział. W ogóle nie pamiętał ostatniego etapu tortur. Paliło go całe ciało, był bliski śmierci. Wykrzykiwał nazwisko Evy, nie wiedział jednak, czy rzeczywiście czynił to na głos. Nie miał pojęcia, czy cokolwiek jej zagraża.

Odstawił szklanę i wyciągnął rękę do sanitariusza.

Dopiero o pierwszej w nocy Stephano zdecydował się wyjść z domu. Wziął samochód żony, a wyjechawszy na ulicę, przyjaźnie pomachał ręką dwóm agentom czuwającym w furgonetce przed skrzyżowaniem. Prowadził powoli, dając im czas na zawrócenie i skierowanie auta jego śladem. Zanim dotarł do mostu Arlington Memorial, podążały za nim co najmniej dwa samochody FBI.

Niewielki konwój przedostał się opustoszałymi ulicami do Georgetown. Nad śledzącymi go agentami Stephano miał tylko tę przewagę, że wiedział, dokąd jedzie. Na ulicy K nieoczekiwanie skręcił gwałtownie w prawo, w Wisconsin, a następnie w lewo, w ulicę M. Zaparkował pod zakazem postoju, wysiadł i energicznym krokiem pokonał ostatnich kilkadziesiąt metrów do hotelu „Holiday Inn”.

Wjechał windą na drugie piętro, gdzie w wynajętym pokoju czekał już na niego Guy. Wrócił do Stanów po kilkumiesięcznej nieobecności, ale i tu w ciągu trzech dni niewiele miał okazji, aby zmrużyć oczy. Stephano nic to jednak nie obchodziło.

W sumie zapisano sześć kaset, które teraz, szczegółowo oznakowane, leżały na stoliku obok przenośnego bateryjnego magnetofonu.

— Sprawdziłem, sąsiednie pokoje są puste — rzekł Guy, wskazując przeciwległe kierunki. — Zatem możesz przesłuchać nagrania na miejscu.

— Zapewne nie są miłe dla ucha, ale jakoś muszę to ścierpieć. — Szef agencji sięgnął po pierwszą kasetę.

— Mrożą krew w żyłach. Nigdy więcej się nie zgodzę na taką robotę.

— Nie musisz tego wysłuchiwać ze mną.

— Bardzo się cieszę. Będę na dole w barze, gdybyś mnie potrzebował.

Guy wyszedł z pokoju. Stephano skorzystał z telefonu i już po minucie do drzwi zapukał Benny Aricia. Zamówili gorącą mocną kawę i przez resztę nocy wysłuchiwali wspólnie przerażających wrzasków Lanigana nagranych w głębi paragwajskiej dżungli.

Benny przeżywał niezapomniane chwile radości.

Rozdział 8

Następnego ranka, oględnie rzecz biorąc, miejscowa prasa zgotowała Patrickowi jego wielki dzień. Wszystkie gazety na pierwszych stronach nie pisały o niczym innym, jak o ujęciu zbiega. Dominowały złożone tłustym drukiem krzykliwe nagłówki typu:

PATRICK LANIGAN POWRÓCIŁ ZZA GROBU!

W tytułowych kolumnach poupychano po kilka różnych tekstów i co najmniej sześć fotografii, przy czym większość artykułów miała ciąg dalszy na kolejnych stronach. Nie pozostały w tyle gazety z Nowego Orleanu, rodzinnego miasta Patricka, jak też z Jackson i Mobile. Prasa z Memphis, Birmingham, Baton Rouge oraz Atlanty zamieściła skromniejsze notatki, lecz także ze starymi zdjęciami adwokata.

Przez całe przedpołudnie dwie telewizyjne furgonetki czatowały przed domem matki Patricka w Gretnie, podmiejskiej dzielnicy Nowego Orleanu. Kobieta nie chciała jednak rozmawiać z reporterami, a jej spokoju strzegły dwie energiczne sąsiadki, ostentacyjnie przechadzające się wzdłuż ulicy i obrzucające wrogimi spojrzeniami dziennikarskie hieny.

Przedstawiciele prasy zgromadzili się również przed domem Trudy w Point Clear, ale i tu byli trzymani na dystans przez Lance'a, siedzącego w cieniu drzewa z karabinem na kolanach. Osilek miał na sobie smoliście czarną bawełnianą koszulkę, czarne wojskowe buty i tegoż koloru spodnie, wyglądał więc jak najemnik z doborowego oddziału do zadań specjalnych. Co śmielsi przyjezdni z daleka zadawali mu różne pytania, lecz odpowiadał wrogimi okrzykami. Trudy nie wychylała nosa na zewnątrz, siedziała w domu z sześciolletnią Ashley Nicole, która wyjątkowo tego dnia nie poszła do szkoły.

Inna grupa dziennikarzy w śródmieściu Biloxi usiłowała się dostać do siedziby kancelarii, została jednak zatrzymana przed wejściem przez dwóch potężnie zbudowanych ochroniarzy, naprędce wynajętych specjalnie w tym celu.

W obleżeniu znalazły się też biura szeryfa oraz agenta Cuttera. Dziennikarze próbowali szczęścia wszędzie, gdzie tylko mogli się czegokolwiek dowie-

dzieć. W pewnej chwili ktoś rozpuścił wiadomość i liczna grupa biegiem udała się do kancelarii sądu okręgowego, dziwnym trafem zdążywszy na moment zło-

żenia przez Vitrano grubego pliku dokumentów. Adwokat, wystrojony w elegancki ciemnoszary garnitur, oznajmił prasie, że czterej wspólnicy wystosowali wła-

śnie pozew sądowy przeciwko Patrickowi Laniganowi. Firma domagała się zwrotu skradzionych pieniędzy, a Vitrano był gotów udzielić dziennikarzom wszelkich możliwych wyjaśnień.

Zapowiadał się dzień niezwykle bogaty w wystąpienia prawników, jako że adwokat Trudy już

wcześniej rozgłosił, że dokładnie o dziesiątej złoży w kancelarii sądu okręgowego w Mobile pozew rozwodowy. On również miał wiele do powiedzenia reporterom. Co prawda, dotychczas setki razy występował o rozwód w imieniu swoich klientów, ale jeszcze nigdy nie czynił tego przed obiektywami kamer telewizyjnych. Z udawanym ociąganiem zgodził się odpowiedzieć na kilka pytań. Pani Lanigan występowała o rozwód wobec porzucenia jej przez męża, przy czym pozew obejmował długą listę obraźliwych występków Patricka. Zdecydowanie bardziej ochoczo Riddleton zgodził się pozować do zdjęć w korytarzu gmachu sądu.

Wkrótce też rozeszła się wieść o kolejnym pozwie złożonym dnia poprzedniego, w którym towarzystwo Northern Case Mutual występowało przeciwko Trudy Lanigan o zwrot niesłusznie pobranego odszkodowania w wysokości dwóch i pół

milionów dolarów. Zaczęto nagabywać pracowników kancelarii sądu oraz wszystkich zaangażowanych w sprawę adwokatów. I niewiele było trzeba, żeby z wyrywanych informacji dojść do prawdy, iż Trudy Lanigan nie będzie mogła nawet zrobić podstawowych zakupów bez pisemnej zgody sędziego.

Również towarzystwo Monarch-Sierra upomniało się o zwrot czteromilionowego odszkodowania, rzecz jasna powiększonego o należne odsetki oraz honoraria adwokatów, którzy pospiesznie zebrali się w Biloxi, aby sformułować dwa pozwy: przeciwko kancelarii oraz biednemu Patrickowi. I jak należało oczekiwać, przedstawiciele prasy zainteresowali się także tą sprawą. Już parę minut po złożeniu dokumentów w sądzie kserokopie obu pozwów zostały udostępnione dziennikarzom.

Oczywiście w pierwszej kolejności Benny Aricia zażądał zwrotu swoich dziewięćdziesięciu milionów dolarów. Jego nowy adwokat, gogusiowaty krzykacz, zdecydowanie inaczej potraktował jednak reporterów. Po prostu zwołał konferencję prasową o dziesiątej rano w swoim biurze, żeby przedstawić wszystkim chętnym wszelkie aspekty sprawy jeszcze przed formalnym wystąpieniem na drogę sądową. A po jej zakończeniu wyruszył wraz z tłumem dziennikarzy do kancelarii, aby złożyć pozew. Przez całą drogę gadał jak najęty.

Można było odnieść wrażenie, że ujęcie Patricka Lanigana wywołało znacznie większe poruszenie w środowisku prawników na wybrzeżu Zatoki Meksykań-

60

skiej, niż jakiegokolwiek inne wcześniejsze wypadki.

Podczas gdy w gmachu sądu okręgu Harrison huczało jak w ulu, siedemnastu członków komisji przysięgłych niepostrzeżenie zebrało się w nie oznakowanej sali narad na pierwszym piętrze. Wszyscy późnym wieczorem zostali zaalarmowani telefonicznie przez prokuratora okręgowego, Parrisha. Wiedzieli zatem, co będzie przedmiotem dyskusji. Poczęstowali się kawą i zajęli swe miejsca wokół

stołu konferencyjnego. Fakt, że znaleźli się w samym centrum bulwersujących wydarzeń, wprowadził ich w stan podniecenia.

Parrish powitał wszystkich uprzejmie, przeprosił za ten nagły tryb zwołania posiedzenia, po czym

przedstawił gości, szeryfa Sweeneya, jego zastępcę i zarazem szefa grupy dochodzeniowej, Teda Grimshawa, oraz agenta specjalnego Joshuę Cuttera.

— Wygląda na to, że będziemy rozpatrywać sprawę morderstwa — rzekł, rozkładając przed sobą poranną gazetę. — Na pewno wszyscy państwo czytali ten artykuł.

Zebrani pokiwali głowami.

Przechadzając się z wolna wzdłuż ściany, z notatnikiem w rękach, prokurator przedstawił główne fakty: pozycję Patricka w kancelarii, która prowadziła sprawy finansowe Benny'ego Aricii, jego sfingowaną śmierć i pogrzeb. O większości z tych rzeczy można się było dowiedzieć z rozpostartej na stole gazety.

Następnie rozdał zebrany fotografii wraka ze zwęglonymi zwłokami oraz zdjęcia miejsca wypadku po zabraniu auta, ukazujące w zbliżeniach okaleczone pnie młodych drzewek, stratowane krzewy i zrytą ziemię. Wreszcie, po krótkim ostrzeżeniu, rozdał powiększone kolorowe odbitki, przedstawiające z bliska spalone szczątki człowieka wewnątrz samochodu.

— Co zrozumieliśmy, sądziliśmy dotąd, iż są to zwłoki Patricka Lanigana —

rzekł. — Ale teraz już wiemy, że byliśmy w błędzie.

Na podstawie tego zdjęcia trudno było nawet ocenić, czy zwęglona kupka prochów jest szczątkami człowieka. Nie dało się wyróżnić żadnych części ciała. Jedynym odcinającym się elementem był fragment bielejącej kości, biodrowej, jak pośpiesznie wyjaśnił Parrish.

— Z pewnością to miednica szkieletu ludzkiego — rzekł prokurator, jak gdyby przeczuwając, że wśród członków komisji mogą się zrodzić podejrzenia, iż Patrick zamarkował swą śmierć, podpalając zabitą świnie czy jakieś inne zwierzę.

Przysięgli dzielnie znieśli tę prezentację, ale też na zdjęciu nie było niczego szczególnie przykrego dla oka, żadnej krwi, wnętrzości czy zmiądzonych tkanek. Taki widok nie przyprawiał jeszcze o mdłości. Była to po prostu sterta zwęglonych szczątków wewnątrz auta wypalonego do samych metalowych ram.

61

— Pożar spowodowało zapalenie się rozlanej benzyny — tłumaczył prokurator. — Wiemy, że Lanigan tankował wóz piętnaście kilometrów wcześniej, zatem w chwili zderzenia eksplodowało sześćdziesiąt litrów paliwa. Niemniej w sprawie dochodzeniowej znalazł się zapis, iż zdaniem fachowców pożar był zbyt gwałtowny, a temperatura nazbyt wysoka, jak na takie okoliczności zdarzenia.

— Czy we wraku znaleziono jakiegokolwiek pozostałości kanistra bądź dużej butelki? — zapytał jeden z sędziów.

— Nie. Zresztą zazwyczaj w podobnych wypadkach używa się pojemników z tworzyw sztucznych.

Podpalacze najchętniej korzystają z plastikowych butli po mleku bądź po płynach do chłodziń. Tak przynajmniej wykazują statystyki, chociaż bardzo rzadko dotyczą one podpaień aut.

— Zwłoki zawsze są w tak kiepskim stanie? — spytał drugi.

— Nie — odparł szybko Parrish. — Mówiąc szczerze, nigdy dotąd nie zetknąłem się z tak doszczętnie zwęglonym ciałem. Oczywiście już dawno zarzą-

dzilibyśmy ekshumację, ale jak się państwo domyślają, zwłoki zostały poddane kremacji.

— Czy są jakieś wskazania, kto to mógł być? — odezwał się Ronny Burkes, pracownik portowy.

— Owszem, mamy pewne podejrzenia, ale to jedynie spekulacje.

Padło jeszcze kilka mniej ważnych pytań, w zasadzie jedynie nieśmiały prób poznania jakichkolwiek szczegółów, o których nie pisała dotąd prasa. Wkrót-ce zarządzone głosowanie i komisja przysięgłych jednogłośnie zdecydowała, aby oskarżyć Patricka Lanigana o morderstwo z premedytacją, popełnione w ramach przygotowań do innej zbrodni, gigantycznego oszustwa finansowego. Na podstawie tej decyzji można było wystąpić o karę śmierci dla oskarżonego, a jeszcze wcześniej postraszyć go wizją zastrzyku trucizny, gdyż tą właśnie metodą wykonywano najwyższe kary w więzieniu Parchman.

Tak oto, w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin, Patrickowi wytoczono zarzut popełnienia morderstwa z premedytacją, żona wystąpiła o rozwód, Aricia zaskarżył go o zwrot dziewięćdziesięciu milionów dolarów, pomijając odszkodowanie za straty moralne, dawni przyjaciele z kancelarii adwokackiej wystąpili o oddanie trzydziestu milionów, także powiększonych o stosowne odszkodowanie, a towarzystwo ubezpieczeniowe Monarch-Sierra wystosowało pozew o zwrot czterech milionów, domagając się jednocześnie dziesięciomilionowej rekompensaty, której głównym celem byłoby przykładowe ukaranie oszusta.

O tym wszystkim Lanigan dowiedział się za pośrednictwem sieci telewizyjnej CNN.

62

* * *

Obaj prokuratorzy, Parrish i Mast, po raz kolejny musieli wystąpić razem na konferencji prasowej. Wyjaśnili szybko, że choć władze federalne nie rozpatrywa-

ły w ogóle tej kwestii, to jednak praworządni obywatele okręgu Harrison, wybrani do sądowej komisji przysięgłych, postanowili jednogłośnie oskarżyć Patricka Lanigana o popełnienie morderstwa. Obaj sprytnie zbywali milczeniem kłopotliwe pytania, unikali odpowiedzi na inne, kiedy tylko było to możliwe, podkreślali jednak z naciskiem, że na tym się nie skończy lista zarzutów postawionych byłemu adwokatowi.

Po zakończeniu konferencji prokuratorzy spotkali się prywatnie z mecena-sem Karlem Huskeyem, jednym z trzech sędziów sądu okręgowego, a zarazem dawnym bliskim przyjacielem Patricka. W

okręgu Harrison przydzielano sędziom sprawy według kolejności ich napływania, ale każdy z nich doskonale wiedział, jak załatwić z pracownikami kancelarii, aby właśnie jemu przypadła w udziale ta, a nie inna sprawa. Huskey zaś bardzo pragnął przewodniczyć rozprawie wytoczonej Laniganowi.

Szykując sobie w kuchni kanapkę z pomidorem, Lance dostrzegł jakieś poruszenie na tylnym podwórku, w zaroślach za basenem kąpielowym. Chwycił

strzelbę, po cichu wykradł się z mieszkania, okrążył patio i zauważył fotoreportera czającego się za węglem szopy z narzędziami, uzbrojonego w trzy wielkie aparaty zawieszane na szyi. Zaszedł go na palcach od tyłu i niepostrzeżenie zajął pozycję dwa metry za plecami intruza. Wyciągnąwszy karabin daleko przed siebie, wypalił w niebo tuż nad jego głową.

Reporter padł twarzą na ziemię i narobił dzikiego wrzasku, natomiast Lance wymierzył mu solidnego kopniaka w jaja, po czym bezceremonialnie obrócił go na plecy i zajrzał w twarz.

Po chwili zerwał mu z szyi aparaty fotograficzne, cisnął je do wody w basenie i krzyknął na przerażoną Trudy, kryjącą się za barierką tarasu, żeby wezwała policję.

Rozdział 9

— Mam zamiar zdjąć warstwę poparzonego, martwego naskórka — rzekł lekarz, delikatnie badając jakimś tęnym narzędziem rozległą ranę na jego piersi. —

Powinien się pan zgodzić przynajmniej na niewielką dawkę środka przeciwbólowego.

— Nie, dziękuję — odparł Lanigan.

Siedział na łóżku, całkiem nagi, podczas gdy wokół niego krzątał się lekarz, dwie pielęgniarki i ten sam portorykański sanitariusz, Luis.

— Ale to z pewnością będzie bolało.

— Nie takie rzeczy już przeszedłem. Poza tym, gdzie chciałby pan wkuć igłę?

— zapytał, pokazując przedramię gęsto pokryte czerwonymi i fioletowymi krwiami, pozostałościami intensywnej „kuracji narkotykowej”, jaką zaaplikował mu brazylijski doktorek. Zresztą niemal całe ciało miał pokryte siniakami i zadrapaniami. — Nie chcę więcej żadnych narkotyków.

— Rozumiem. Jak pan sobie życzy.

Patrick usadowił się wygodniej i zacisnął dłonie na poręczach przy łóżku. Pielęgniarki przy pomocy Luisa unieruchomiły mu nogi w kolanach i lekarz przystą-

pił do zdejmowania grubej warstwy żółtego, spękanego naskórka, pokrywającego oparzelinę trzeciego stopnia. Zręcznie operując skalpelem, podważył, a później odciął wielki strup.

Pacjent siedział z zamkniętymi oczyma i tylko krzywił się z bólu.

— Nadal nie chce pan nic na złagodzenie cierpienia?

— Nie — syknął Patrick przez zęby.

Skalpel znów poszedł w ruch, martwa skóra spadała płatami.

— Ta rana całkiem ładnie się goi. Nie jestem wcale pewien, czy trzeba będzie robić przeszczepy skóry.

— To dobrze — mruknął Lanigan, zaciskając zęby.

Cztery spośród dziewięciu dużych ran okazały się na tyle głębokie, by je zaliczyć do oparzelin trzeciego stopnia: dwie na piersiach, jedna na prawym udzie i ostatnia na lewej łydce. Groźnie wyglądały też otarcia od nylonowych linek na kostkach nóg, nadgarstkach oraz łokciach, nadal trzeba było je opatrywać.

64

Doktor zakończył działalność po upływie pół godziny i wyjaśnił, że pacjent wciąż powinien wiele odpoczywać, przy czym nie wolno mu wkładać ubrania ani czymkolwiek zakrywać ran. Posmarował oparzelinę jakimś przyjemnie chłodnym środkiem dezynfekcyjnym i po raz kolejny zaproponował leki przeciwbólowe. Ale Patrick znowu stanowczo odmówił. Wreszcie wyszedł z pokoju wraz z pielęgniarkami. Luis udawał, że poprawia pościel, w końcu zamknął drzwi i opuścił żaluzje. Odchylił połę fartucha i z kieszeni spodni wyjął miniaturowy aparat kodaka z wbudowaną lampą błyskową.

— Stań tam — rzekł Lanigan, wskazując miejsce w nogach łóżka. — Najpierw zrób mi zdjęcie w pościeli tak, żeby było widać całą twarz.

Luis uniósł aparat do oczu, obrócił się nieco, oddalił o krok, wreszcie nacisnął spust migawki. Flesz błysnął oślepiająco.

— A teraz z tej strony — polecił Patrick.

Sanitariusz posłusznie zrobił zdjęcie pod innym kątem. Początkowo w ogóle nie chciał słyszeć o udzieleniu więźniowi pomocy, zasłaniając się perspektywą srogiej kary ze strony przełożonych. W trakcie pobytu na pograniczu brazylijsko-

-paragwajskim Patrick nie tylko biegle opanował portugalski, ale nauczył się też trochę hiszpańskiego. Rozumiał wszystko, co mówi Luis, chociaż sanitariuszowi musiał każdą rzecz tłumaczyć po kilka razy.

Zadecydowała wizja sówitej zapłaty. Skuszony obietnicą dostania pięciuset dolarów amerykańskich, Luis zgodził się w końcu wystąpić w roli fotografa. Zainwestował nawet swoje pieniądze w zakup

trzech tanich, automatycznych aparatów, za pomocą których wykonał prawie sto fotografii. Miał zamówić odbitki w punkcie usługowym, po czym ukryć je do czasu, aż będą potrzebne.

Patrick nie miał przy sobie nawet jednego dolara, zdołał jednak przekonać Portorykańczyka, że wbrew pozorom jest człowiekiem uczciwym i przyśle mu obiecane pieniądze, kiedy tylko wróci do domu.

Luis nie był wprawnym fotografem, nie umiał się też specjalnie obchodzić z aparatami, toteż Patrick musiał mu bez przerwy udzielać szczegółowych instrukcji. Poleciał zrobić dokładne zbliżenia rozległych oparzeń na piersiach i udzie, wielkich siniaków na nogach i rękach, jak również zdjęć całego obnażonego ciała pod różnymi kątami. Działali w pośpiechu, żeby nikt ich nie przyłapał. Mimo to skończyli dopiero tuż przed przerwą na lunch, kiedy z korytarza zaczął dolatywać coraz głośniejszy gwar zmieniających się na dyżurze pielęgniarek.

Luis, jak zawsze, wyszedł ze szpitala podczas przerwy i oddał filmy do wywołania w pobliskim punkcie usługowym.

Tymczasem w Rio de Janeiro Osmar zdołał przekonać jedną z najgorzej opłacanych sekretarek, aby przyjęła tysiąc dolarów w zamian za udostępnienie wszelkich plotek krążących po biurze, w którym pracowała Eva. Niewiele mu to dało, 65

gdyż współwłaściciele firmy adwokackiej zachowywali daleko posuniętą dyskrecję. Niemniej spis połączeń telefonicznych ujawnił, że ostatnio dwukrotnie dzwoniło do biura aż z Zurychu. W Waszyngtonie Guy zdołał sprawdzić, iż podany numer należy do hotelu, nie uzyskał jednak żadnych bliższych informacji. Szwajcarscy pracownicy recepcji nie chcieli w ogóle rozmawiać na temat hotelowych gości.

Prawnicy z biura zaczęli się coraz bardziej niepokoić zniknięciem Mirandy.

W końcu zwołali zebranie, aby ustalić, jak dalej postępować. Zaraz po wyjeździe Eva dwukrotnie dzwoniła w jednodniowych odstępach, ale później słuch o niej zaginął. O tajemniczym kliencie, z którym miała się jakoby spotkać w Europie, także nikt nie słyszał. Tymczasem Brazylijczycy, których sprawami się do tej pory zajmowała, formułowali już jawne pogróżki pod adresem firmy. Zarzucali, że się ich lekceważy.

Ostatecznie prawnicy zdecydowali się na razie odebrać Mirandzie prowadzone przez nią sprawy i rozmówić się z nią ostro po powrocie.

Tymczasem Osmar i jego ludzie do tego stopnia nękali ojca Ewy, że biedny profesor nie mógł spać po nocach. Bez przerwy obserwowali jego mieszkanie i jeździli za nim po zatłoczonych ulicach Ipanemy. Rozpatrywali nawet ewentualność porwania go i zmuszenia do wyznania prawdy, ale mężczyzna zachowywał

wzmoczoną czujność i zawsze starał się przebywać w czyimś towarzystwie.

Dopiero za trzecim razem Lance zastał otwarte drzwi sypialni. Po cichu wszedł do środka z fiolką

valium oraz butelką ich ulubionej irlandzkiej wody gazowanej, za którą musieli płacić po cztery dolary od sztuki. Usiadł na brzegu łóżka Trudy i bez słowa wyciągnął proszki w jej stronę. Połknęła je w milczeniu, chociaż była to już druga porcja w ciągu godziny, po czym popiła lekarstwo wodą.

Wóz policyjny z wścibskim fotoreporterem odjechał godzinę wcześniej. Dwaj gliniarze kręcili się po domu przez jakieś dwadzieścia minut, zadając różne pytania. Nie byli szczególnie skłonni do spisania protokołu, bo choć zaszedł wypadek wdarcia się na teren prywatny, a dziennikarzom wcześniej nakazano trzymać się z dala od domu Trudy Lanigan, to jednak chodziło tym razem o łowcę sensacji z daleka, z głębi kraju, zasłaniającego się nieświadomością. Policjanci z uśmiechami, lecz i z respektem wysłuchali relacji Lance'a z przebiegu wydarzeń. Zapisali nazwisko adwokata Trudy na wypadek, gdyby bezczelny dziennikarz chciał

złożyć skargę. Na koniec Lance zagroził, że wystąpi na drogę sądową, jeśli ich spokój będzie dalej zakłócany.

Po odjeździe policji Trudy dostała ataku wściekłości. Z taką furią zaczęła ciskać poduchami z sofy w stronę kominka, że opiekunka ledwie zdążyła uciec z sześciolletnią Ashley Nicole z salonu. Później obrzuciła Lance'a wulgarnymi przekleństwami, tylko dlatego, że nawinął jej się pod rękę. Miała już wszystkiego 66

dosyć: nieoczekiwanego zmartwychwstania Patricka, pozwania jej do sądu przez towarzystwo ubezpieczeniowe, ciągłego napięcia, hordy dziennikarskich sępów przed domem oraz brutalności, z jaką Lance potraktował wścibskiego fotoreportera.

W końcu jednak się uspokoiła. On także zażył valium, odetchnąwszy z ulgą, że wszystko wróciło do normy. Bardzo chciał jakoś pocieszyć Trudy, przytulić ją czy chociażby położyć dłoń na jej kolanie i powiedzieć coś miłego, ale wiedział

aż nazbyt dobrze, iż takie gesty odnoszą wręcz przeciwny skutek, kiedy jest zdenerwowana. A jakikolwiek fałszywy ruch mógł spowodować nawrót wściekłości.

Trudy musiała mieć czas na odzyskanie równowagi, a było to możliwe tylko na jej własnych warunkach.

Leżała na wznak, z zamkniętymi oczyma i dłonią przytkniętą do czoła. W sypialni panował półmrok, podobnie jak w całym domu — żaluzje i zasłonki zacią-

gnięte, światła zgaszone bądź przyciemnione. Na ulicy przed domem kręciło się ze sto osób czekających na sposobność zrobienia jakiegoś zdjęcia, którym dałoby się okraszyć kolejny pikantny artykuł na temat Patricka. W południowych wiadomościach pokazany został ich dom, a na jego tle jakaś brzydka komentatorka o pożółkłej cerze i wielkich zębach wyliczała rytmicznie, że Lanigan zrobił to i popełnił tamto, dlatego też jego żona tego ranka wystąpiła z pozwem rozwodowym.

Żona Patricka Lanigana! Trudy za żadne skarby nie mogła się z tym pogodzić.

Wszak od czterech i pół roku nie była już jego żoną. Pochowała męża jak przystało, po czym usilnie

starala się o nim zapomnieć, korzystając z dobrodziejstw wypłaconego jej odszkodowania. I nawet jeszcze zanim dostała należne pieniądze, Patrick bez śladu zniknął z jej pamięci.

Jedyną bolesną chwilą, jaką przeżyła od tamtej pory, była krótka rozmowa z Ashley Nicole, podówczas dwuletnią, kiedy to próbowała jej wytłumaczyć, że tatusia już nigdy z nimi nie będzie, że poszedł do nieba, gdzie powinien zaznać wieczystego szczęścia. Mała tylko przez parę dni chodziła naburmuszona, szybko jednak odzyskała dobry nastrój. Od tamtej pory nikomu w jej obecności nie wolno było wymieniać imienia Patricka. Należało chronić dziecko przed niepotrzebnym stresem — jak powtarzała Trudy. A ponieważ dziewczynka nie pamiętała ojca, w ogóle nie powinno się jej o nim przypominać.

Wyłączywszy ten drobny epizod, Trudy znosiła swoje wdowieństwo z wyjątkową wręcz pogodą ducha. Robiła zakupy w Nowym Orleanie, zamawiała zdrową żywność z Kalifornii, pociła się obficie po dwie godziny dziennie podczas aerobiku i nie żałowała sobie najlepszych kosmetyków. Najęła opiekunkę do dziecka, by móc wraz z Lance'em swobodnie podróżować. Oboje lubili wypoczywać na Karaibach, a zwłaszcza w Saint Barts słynącym z plaż dla nudystów, gdzie z dumą udawali parę Francuzów.

Boże Narodzenie spędzali w nowojorskim hotelu „Plaza”, w styczniu zazwy-67

czaj wyjeżdżali do Vail, gdzie mogli się obracać w gronie najbogatszych, w maju zaś robili wycieczki do Europy, Paryża lub Wiednia. Marzyli o zakupie własnego odrzutowca, bo przecież tylko takimi środkami podróżowali ludzie ze śmietanki towarzyskiej. Przymierzali się już nawet do nabycia niewielkiego używanego leara za milion dolarów, ale teraz trzeba było zapomnieć o tych planach.

Co prawda Lance przysiągł, że zapewni im środki na godziwe życie, ale ona z niepokojem przyjmowała perspektywę jego zaangażowania się w przemytniczy proceder. Doskonale wiedziała, iż w tajemnicy szmugluje narkotyki z Meksyku, ale dotychczas przewoził jedynie małe ilości trawy, co nie wiązało się z większym ryzykiem. Z drugiej strony nadzwyczaj potrzebowali teraz pieniędzy, a nie byłoby także źle, gdyby Lance co jakiś czas zniknął na parę dni z domu.

Nie czuła nienawiści do Patricka, ale tylko dlatego, że dotąd uważała go za zmarłego. Nienawidziła natomiast samej myśli o tym, iż pojawił się jak grom z jasnego nieba, wręcz zmartwychwstał, aby jej skomplikować życie. Spotkali się po raz pierwszy na przyjęciu w Nowym Orleanie, kiedy ona musiała na pewien czas zapomnieć o spotkaniach z Lance'em i poszukać sobie kogoś innego, najlepiej bogatego i atrakcyjnego. Miała wówczas dwadzieścia siedem lat, cztery lata wcześniej zakończyła rozwodem nieudane małżeństwo i bardzo zależało jej na osiągnięciu stabilnej pozycji społecznej. A trzydziestotrzyletni Lanigan był wciąż kawalerem i także pragnął się ożenić. Od niedawna pracował w obiecującej kancelarii adwokackiej w Biloxi, gdzie ona właśnie szczęśliwym trafem mieszkała.

Po czterech miesiącach żarliwych uniesień pobrali się na Jamajce. Trzy tygodnie po zakończeniu miesiąca miodowego, kiedy Patrick wyjechał w podróż służbową, Lance po raz pierwszy wśliznął się do małżeńskiej sypialni.

Trudy za żadne skarby nie mogła pozwolić, aby odebrano jej majątek. Adwokat musiał znaleźć jakiś kruczek prawny bądź lukę w przepisach, dzięki czemu reszta odszkodowania pozostałaby jej własnością. Ostatecznie za to brał grube pieniądze. A już w ogóle Trudy nie umiała sobie wyobrazić, iż towarzystwo ubezpieczeniowe mogłoby zająć jej dom, meble, samochody, ubrania czy motorówkę, wszystkie te wspaniałe rzeczy, na które wydała forszę z odszkodowania. To było nie do pomyślenia. Przecież Patrick się zabił, a ona go pochowała. Od czterech lat była wdową. Czyż to nie miało żadnego znaczenia?

Nie było przecież jej winy w tym, iż wszystkich oszukał.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli go zabić — mruknął

Lance.

Przeniósł się na fotel stojący między łóżkiem a oknem, oparłszy bosc stopy na skraju otomany.

Trudy nie drgnęła nawet, wciąż leżała nieruchomo i dopiero po kilkusekundowym namyśle odparła:

— Nie gadaj bzdur.

Powiedziała to jednak bez przekonania.

68

— Zrozum, że nie mamy innego wyjścia.

— I bez tego spadło na nas wystarczająco wiele kłopotów.

Oddychała płytko, oczy miała nadal zamknięte, dłoń przytykała do czoła.

W duchu cieszyła się, że to on poruszył ten temat. Jej bowiem pomysł zabójstwa przyszedł do głowy już wcześniej, gdy się dowiedziała, że Patrick żyje i został

ujęty. Zdążyła rozpatrzeć parę różnych scenariuszy, przy czym nieodmiennie wychodziła z założenia, że jeśli chce zatrzymać pieniądze, musi wyprawić męża na tamten świat. Bo w końcu jej dostatek zapewniało odszkodowanie z jego polisy na życie.

Ale ona nie mogła go zabić, od początku uważała takie rozwiązanie za śmiesznie głupie. Pamiętała jednak, iż Lance ma wielu podejrzanych przyjaciół.

— Chyba chcesz zatrzymać te pieniądze, prawda? — zapytał w półmroku.

— W tej chwili mam pustkę w głowie, Lance. Porozmawiamy później.

Raczej niedługo — dodała w myślach. Wolała nie okazywać swego zapału, żeby nie zarazić nim Lance'a. Zamierzała jak zwykle wciągnąć go w intrygę i tak popchnąć do działania, aby niepostrzeżenie znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

— Nie możemy jednak zwlekać zbyt długo, kochanie. Do diabła, towarzystwo ubezpieczeniowe już nas złapało w sidła.

— Proszę, daj mi spokój, Lance.

— Naprawdę nie mamy wyboru. Jeśli chcesz zachować ten dom, pieniądze i wszystko, co mamy, Patrick musi umrzeć.

Nie odpowiedziała. Przez dłuższy czas leżała bez ruchu, delektując się brzmieniem jego głosu. Odznaczał się wieloma wadami i nie był szczególnie bystry, lecz tylko jego naprawdę kochała. Dobrze wiedziała, że potrafi się odpowiednio zachować z Patrickiem, nie była tylko pewna, czy wystarczy mu sprytu, żeby nie dać się złapać.

Agent FBI nazywał się Brent Myers, pochodził z Biloxi i na polecenie Cuttera przyleciał do Portoryko, by roztoczyć opiekę nad więźniem. Przedstawił się od drzwi i pokazał swą odznakę, lecz Lanigan tylko przelotnie rzucił na nią spojrzeniem, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora.

— Miło mi — mruknął, podciągając wyżej prześcieradło, którym był przykryty do pasa.

— Specjalnie przyleciałem tu z Biloxi — rzekł uprzejmie agent, próbując nawiązać bliższy kontakt z Laniganem.

— Tak? A gdzie to jest? — burknął tamten z kamienną twarzą.

— No cóż, myślałem, że porozmawiamy chwilę i choć trochę się poznamy.

Zapewne będziemy się często widywali w ciągu kilku najbliższych miesięcy.

— Nie byłbym tego taki pewien.

— Czy ma pan adwokata?

69

— Jeszcze nie.

— Ale zamierza pan kogoś wynająć?

— To nie pański interes.

Myers w żadnej mierze nie był tak wygadany jak Patrick, doświadczony prawnik. Stał więc w nogach łóżka, położył ręce na poręczy i przez chwilę wpatrywał się tępo w więźnia, zbierając myśli.

— Lekarze mówią, że za dwa dni będzie pan mógł odbyć podróż samolotem

— zakomunikował w końcu.

— Mogę lecieć już dzisiaj.

— W Biloxi czeka na pana dość liczne grono wierzycieli.

— Widziałem — odparł Lanigan, ruchem głowy wskazując telewizor.

— Domyślam się, że nie zechce pan odpowiedzieć na żadne pytania.

Patrick tylko się skrzywił i parsknął pogardliwie.

— No właśnie — bąknął Myers, cofając się do drzwi. — W każdym razie to ja będę pana eskortował. — Rzucił swą wizytówkę na łóżko. — Zapisałem numer telefonu pokoju hotelowego na wypadek, gdyby zechciał pan jednak porozmawiać.

— Lepiej proszę nie czekać przy aparacie.

Rozdział 10

Sandy McDermott z wielką uwagą i zainteresowaniem przyjmował wszystkie nowiny dotyczące zdumiewającego odnalezienia dawnego kolegi ze studiów.

Przez trzy lata bowiem nie tylko przyjaźnił się z Patrickiem, ale i mieszkał z nim razem w akademiku uniwersytetu Tulane. Po zdaniu egzaminów kwalifikacyjnych do palestry obaj praktykowali u tego samego sędziego, spędzając wspólnie mnó-

stwo czasu w ich ulubionym pubie przy ulicy Saint Charles, gdzie najczęściej dyskutowano o różnych aspektach prawa. Snuli razem marzenia o założeniu własnej kancelarii, zatrudniającej błyskotliwych obrońców w sprawach cywilnych, ściśle trzymających się reguł etyki zawodowej. Chcieli się szybko wzbogacić, aby móc później poświęcać dziesięć godzin miesięcznie dla klientów, których nie stać na wynajęcie własnego adwokata. Czynili szczegółowe plany na przyszłość.

Ale życie ich rozdzieliło. Sandy podjął pracę asystenta prokuratora federalnego, przede wszystkim dlatego, że oferowano stosunkowo wysokie dochody jak dla takiego żółtodzioba. Natomiast Patricka pochłonął prawniczy moloch, największa firma z Nowego Orleanu, zatrudniająca dwustu specjalistów. Zerwał nawet zarę-

czyny, ponieważ był zmuszony pracować po osiemdziesiąt godzin tygodniowo.

Rozmawiali jeszcze o swoich wspólnych planach mniej więcej do czasu, gdy skończyli trzydziestkę. Początkowo spotykali się podczas krótkich przerw, czy to na lunch, czy na drinka, próbowali utrzymywać ze sobą kontakt, kiedy tylko było to możliwe. Ale z biegiem czasu nawet telefoniczne rozmowy stawały się coraz rzadsze. Wreszcie Patrick wybrał znacznie spokojniejszy tryb życia w Biloxi i od tej pory udawało im się zamienić po kilka słów mniej więcej raz do roku.

Wreszcie i w życiu Sandy'ego nadszedł wielki przełom. Kolega jego kuzyna doznał poważnych obrażeń podczas pracy na platformie wiertniczej w Zatoce Meksykańskiej. McDermott postanowił zaryzykować, pożyczył dziesięć tysięcy dolarów, zarejestrował własną firmę i w jego imieniu

wystąpił do sądu przeciwko spółce Exxon. Wywalczył odszkodowanie w wysokości trzech milionów dolarów, z czego jedną trzecią mógł zatrzymać jako honorarium. Błyskawicznie wszedł na rynek adwokacki. Bez udziału Lanigana założył małą kancelarię, zatrudniającą obecnie trzech prawników i specjalizującą się w sprawach cywilnych dotyczących 71

wypadków na morzu.

Po śmierci Patricka Sandy pogрузzył się w smutku, szybko obliczył, że po raz ostatni rozmawiał z przyjacielem przed dziewięcioma miesiącami. Było mu bardzo przykro, że los ich rozłączył, wytłumaczył sobie jednak racjonalnie, iż zwykle tak się dzieje ze znajomościami ze studiów.

Siedział obok Trudy w czasie uroczystości pogrzebowej, następnie pomagał

nieść trumnę.

Kiedy sześć tygodni później zniknęły pieniądze i rozeszły się plotki, Sandy przyjął to z radością, w duchu życząc przyjacielowi powodzenia. W ciągu minionych czterech lat niejednokrotnie z uśmiechem powtarzał w myślach: „Uciekaj, Patricku! Uciekaj!”

Jego biuro mieściło się przy ulicy Poydras, kilkaset metrów od centrum handlowego, naprzeciwko nowoczesnej hali „Magazine”, w pięknej dziewiętnasto-wiecznej kamienicy, którą McDermott kupił za uzyskane honorarium. Podnajął

pierwsze i drugie piętro, zostawiając dla kancelarii cały parter. Oprócz niego urzę-

dowali tam dwaj jego wspólnicy, trzech aplikantów oraz sześć sekretarek.

Ślęczał nad papierami, gdy jego sekretarka zajrzała do gabinetu i oświadczyła z posępną miną:

— Jakaś pani chce się z tobą widzieć.

— Była umówiona? — zapytał, spoglądając do obszernego terminarza.

— Nie, ale twierdzi, że ma pilną sprawę. Chce koniecznie rozmawiać już teraz.

Podobno chodzi o Patricka Lanigana.

Sandy zmarszczył brwi ze zdumienia.

— Mówi, że jest jego doradcą prawnym — dodała szybko sekretarka.

— Skąd przyjechała?

— Z Brazylii.

— Z Brazylii?

— Owszem.

— I wygląda jak. . . Brazylijka?

— Raczej tak.

— Wprowadź ją.

Sandy podszedł do drzwi i uprzejmie powitał gościa. Eva przedstawiła się jako Leah, poprzestając na samym imieniu.

— Przepraszam, ale nie dosłyszałem pani nazwiska — rzekł McDermott z szerokim uśmiechem.

— Nie używam nazwiska — odparła. — W każdym razie nie tutaj.

Aha, to chyba taki brazylijski zwyczaj — pomyślał Sandy. Pele, ten piłkarz, także w ogóle nie używał nazwiska.

72

Wskazał kobiecie krzesło i poprosił sekretarkę o kawę. Leah usiadła i założy-

ła nogę na nogę. Mimo woli Sandy zerknął na jej kolana. Brazylijka była ubrana dość elegancko, lecz nazbyt klasycznie. Uwagę przyciągały jej oczy, pięknie osadzone, duże, piwne, ale zaczerwienione i lekko podkrążone, co mogło świadczyć o przemęczeniu. Ciemne włosy luźno opadały na ramiona.

No cóż, Patrick zawsze miał szczęście do takich piękności — pomyślał. Trudy nie należała do szczególnie bystrych, lecz na jej widok kierowcy zatrzymywali się na ulicy.

— Przybyłam tu w imieniu Patricka — powiedziała Leah z ociąganiem.

— To on panią do mnie skierował?

— Tak, oczywiście.

Mówiła powoli, niemalże cedząc słowa. Obcy akcent był ledwie wyczuwalny.

— Studiowała pani w Stanach Zjednoczonych? — spytał Sandy.

— Tak. Ukończyłam prawo w Georgetown.

To wyjaśniało jej wręcz nienaganną angielszczyznę.

— A gdzie pani praktykuje?

— W pewnej firmie w Rio de Janeiro. Specjalizuję się w handlu zagranicznym.

Przez cały czas zachowywała śmiertelną powagę, co trochę go zaniepokoiło.

Przyjechała z daleka i była urzekająco piękna, reprezentowała rzadki typ kobiety inteligentnej i jednocześnie zgrabnej. Bardzo mu zależało na tym, aby czuła się swobodnie w jego gabinecie. Nie należało zapominać, że byli w Nowym Orleanie.

— I tam poznała pani Patricka? — zapytał.

— Owszem, w Rio.

— Rozmawiała pani z nim od czasu. . .

— Nie, w ogóle go nie widziałam od chwili pojmania.

Eva ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć, jak bardzo się martwi o Lanigana. Byłoby to nie na miejscu. Poza tym nie przyjechała z towarzyską wizytą, nie chciała rozmawiać o tym, co ją łączy z Patrickiem. Pamiętała, że Sandy McDermott jest w pełni godzien zaufania, ale trzeba go stopniowo wprowadzać w ich sprawy.

Przez chwilę oboje w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Sandy od razu się do-myślił, iż życie Patricka kryje wiele tajemnic, których nigdy nie będzie mu dane poznać. Przełykał więc cisnące mu się na język pytania, choć tak bardzo chciał

się dowiedzieć, jakim sposobem przyjaciel zwędził tak olbrzymią sumę, czym się zajmował w Brazylii i jak nawiązał bliższą znajomość z tą piękną prawniczką.

A przede wszystkim nurtowało go to najważniejsze: gdzie są pieniądze?

— Zatem czym mogę pani służyć?

— Chcę, żeby reprezentował pan Patricka.

— Jestem do dyspozycji.

— W tej sprawie najważniejsze jest zachowanie całkowitej tajemnicy.

73

— Jak zwykle.

— To nie jest jednak zwykła sprawa.

Rzeczywiście nie była zwykła, chodziło wszak o dziewięćdziesiąt milionów dolarów.

— Mogę zapewnić, że wszystko, co usłyszę od pani bądź Patricka, pozostanie tajemnicą — rzekł, uśmiechając się przymilnie.

Tym razem Eva również odpowiedziała delikatnym uśmiechem.

— Niewykluczone, że będzie pan przymuszany do ujawnienia tajemnic swego klienta.

— O to proszę się nie martwić. Potrafię zadbać o siebie.

— Może się pan zetknąć z pogrózkami.

— To nie pierwszozna.

— I zapewne będzie pan śledzony.

— Przez kogo?

— Dosyć niesympatycznych ludzi.

— To znaczy?

— Tych samych zbirów, którzy węższą tropem Patricka.

— Wydawało mi się, że on został ujęty.

— To prawda, lecz nie odnaleziono jeszcze pieniędzy.

— Rozumiem.

A więc, jak można się było spodziewać, forsa nie została roztrwoniona. Sandy już wcześniej był przeświadczony, że ktoś taki jak Lanigan nie mógł wydać olbrzymiej kwoty w ciągu czterech lat. Ciekawiło go jednak, ile z tego zostało.

— A gdzie są pieniądze? — zapytał, choć wcale nie liczył na to, iż uzyska odpowiedź.

— Nie powinien pan o to pytać.

— Proszę uznać, że mi się wyrwało.

Leah uśmiechnęła się szerzej i pospiesznie przeszła do rzeczy:

— Ustalmy najpierw pewne szczegóły. Jakiego honorarium pan żąda?

— To zależy, czym miałbym się zająć.

— Już mówiłam, obroną Patricka.

— Ale przed jakimi zarzutami? Jeśli wierzyć temu, co piszą w gazetach, potrzebna byłaby cała armia prawników, aby sprostać temu zadaniu.

— Sto tysięcy dolarów?

— Na początek może być. Czy w grę wchodzi tylko sprawy cywilne, czy również karne?

— Wszystkie.

— I sam miałbym się nimi zająć?

— Tak. Patrick nie chce żadnego innego adwokata.

— Czuję się zaszczycony — odparł Sandy, zresztą całkiem szczerze.

74

Doskonale zdawał sobie sprawę, iż Lanigan mógłby z łatwością nająć ko-goś innego, sławniejszego, mającego znacznie większe doświadczenie w sprawach karnych i rozległe kontakty w świecie prawniczym, kogoś ze znanej firmy dysponującej ogromnymi funduszami, może nawet jednego z przyjaciół, których przecież musiał zyskać w ciągu ostatnich ośmiu lat.

— Zgoda — odparł stanowczo. — Nie mógłbym odmówić staremu znajome-mu.

— Byłam tego pewna.

Ciekawe, ilu rzeczy jeszcze jesteś pewna? — pomyślał Sandy. Czy rzeczywi-
ście łączą cię z Patrickiem tylko interesy?

— Chciałabym już dzisiaj przekazać pieniądze. Będzie mi do tego potrzebny numer pańskiego konta.

— Oczywiście. Zaraz każę przygotować umowę.

— Patricka niepokoją jeszcze inne kwestie, przede wszystkim opinia publiczna. Pragnie, aby pan w ogóle nie rozmawiał z dziennikarzami. Pod żadnym pozorem. Jakiegokolwiek wywiady czy konferencje prasowe są możliwe wyłącznie za jego aprobatą. Proszę unikać nawet tradycyjnej formułki: „Bez komentarza”.

— Nie ma sprawy.

— I nie będzie pan mógł napisać później książki na ten temat.

Sandy wybuchnął śmiechem, Leah pozostała jednak całkowicie poważna.

— Nawet mi to nie przyszło do głowy — odparł.

— Patrick chciałby, aby w umowie znalazło się odpowiednie zastrzeżenie.

Spoważniał i zapisał tę uwagę w notatniku.

— Coś jeszcze?

— Tak. Jest bardzo prawdopodobne, że pańskie telefony, biurowe i domowe, znajdą się na podsłuchu. Powinien pan skorzystać z usług fachowca, który zająłby się tym problemem. Koszty

również pokryje Patrick.

— Załatwione.

— Będzie też lepiej, jeśli nie spotkamy się więcej w pańskim biurze. Agenci podążają moim tropem, ponieważ sądzą, że doprowadzę ich do pieniędzy. Dlatego będziemy się spotykać w innych miejscach.

Sandy nie odpowiedział. Z całego serca chciał pomóc tej kobiecie, zaoferować jej ochronę, wypytać, dokąd ma zamiar się udać i gdzie ukryć. Doszedł jednak do wniosku, że Leah chyba nie potrzebuje żadnej pomocy i w pełni panuje nad sytuacją.

Spojrzała na zegarek.

— Za trzy godziny odlatuje samolot do Miami. Zarezerwowałam dwa bilety w przedziale pierwszej klasy. Porozmawiamy w czasie podróży.

— A co ja miałbym robić w Miami?

— Polecą pan dalej, do San Juan, żeby się zobaczyć z Patrickiem. Wszystko zostało już przygotowane.

75

— A pani?

— Udam się w innym kierunku.

Sandy zamówił jeszcze kawę i pączki, musieli bowiem poczekać na sfinalizowanie przelewu pieniędzy. Poleciał sekretarce odwołać wszelkie swoje spotkania w ciągu najbliższych trzech dni. Powiadomiona telefonicznie żona przywiozła mu do biura rzeczy niezbędne w podróży.

Jeden z aplikantów odwiózł ich na lotnisko. Dopiero w samochodzie McDermott stwierdził ze zdumieniem, że Leah nie ma żadnego bagażu poza niewielką brązową aktówką, dość elegancką, ale podniszczoną.

— Gdzie chce się pani zatrzymać? — spytał, wyglądając przez okno.

— Tu i ówdzie — odparła wymijająco.

— Więc jak mam się z panią kontaktować?

— Później ustalimy jakiś system łączności.

W samolocie usiedli obok siebie, w trzecim rzędzie foteli przedziału pierwszej klasy. Przez dwadzieścia minut po starcie Brazylijka zachowywała milczenie, przeglądając jakiś magazyn mody. On próbował się więc skupić na lekturze opasłego sprawozdania. Nie miał na to najmniejszej ochoty,

sprawa nie była pilna.

Palił się do rozmowy, chciał wreszcie wyrzucić z siebie natrętne pytania, zapewne te same, które teraz dręczyły wiele osób.

Ale między nimi jak gdyby wyrósł mur niechęci, całkiem zbędny, nawet jeśli wzajemne kontakty musiały do końca pozostać czysto formalne. Leah mogła mu przecież sporo wyjaśnić, lecz widocznie wcale jej na tym nie zależało. Sandy postanowił zatem dostosować się do narzuconych przez nią warunków gry i także udawał obojętność.

Stewardesa przyniosła im solone orzeszki i precelki. Stuknęli się kieliszkami szampana. Później opróżnili butelkę wody mineralnej.

W końcu McDermott zapytał swobodnym tonem:

— Od jak dawna zna pani Patricka?

— Czemu pan pyta?

— Z czystej ciekawości. Czyżby nie zamierzała mi pani powiedzieć ani słowa na temat tego, co się z nim działo przez ostatnie cztery lata? Ostatecznie jestem jego starym przyjacielem, a teraz w dodatku będę go reprezentować. Proszę więc nie mieć mi za złe, że jestem ciekawy.

— O wszystko proszę pytać jego — odparła z wyczuwalną ulgą w głosie, po czym wróciła do przerwanej lektury.

Sandy przysunął sobie miseczkę z solonymi orzeszkami.

Dopiero gdy samolot zaczął schodzić do lądowania, Leah zabrała głos. Pospiesznie wyrzuciła z siebie szereg słów, jakby przytaczała wykutą na pamięć formułkę.

76

— Nie zobaczymy się przez kilka następnych dni. Muszę stale zmieniać miejsca pobytu, gdyż szukają mnie pewni ludzie. Patrick przekaże panu dalsze instrukcje, a przez jakiś czas będę musiała się z nim kontaktować za pańskim pośrednictwem. Proszę zachować ostrożność i uważać na przypadkowe telefony, ludzi chodzących za panem po ulicach czy kręcących się wokół biura. Kiedy tylko się rozejdzie, że jest pan jego adwokatem, natychmiast zainteresują się panem ci sami agenci, którzy szukają mnie.

— Co to za ludzie?

— Patrick wszystko wyjaśni.

— Pani wie, gdzie są pieniądze, prawda?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Popatrzył za okno, na koniec skrzydła samolotu z wolna ginący w pierzastych chmurach. Nie miał wątpliwości, że suma jeszcze się powiększyła, Lanigan nie był głupcem. Zapewne rozlokował pieniądze w jakichś bankach, gdzie zaopiekowali się nimi specjaliści finansowi. Przy właściwym gospodarowaniu kapitałem można go było powiększyć co najmniej o dwadzieścia procent rocznie.

Do końca podróży nie zamienili już ani słowa. Razem poszli w kierunku punktu odpraw pasażerów odlatujących do Portoryko. Na pożegnanie Leah po męsku uściśnęła mu dłoń i powiedziała:

— Proszę przekazać Patrickowi, że nic mi nie jest.

— Zapewne spyta, gdzie się pani teraz ukrywa.

— W Europie.

Spoglądając za Brazylijką odchodzącą energicznym krokiem w głąb hali, po raz kolejny powtórzył w duchu słowa podziwu dla starego przyjaciela. Wszak tamten nie tylko zdobył gigantyczną fortunę, ale w dodatku pozyskał współpracę pięknej i sprytniej kobiety o egzotycznej urodzie.

Zapowiedź odlotu samolotu do San Juan przywróciła go do rzeczywistości.

Pokręcił głową do własnych myśli, formułując jasno pytanie: jak można darzyć podziwem człowieka stojącego wobec perspektywy spędzenia dziesięciu lat w celi śmierci i oczekiwania na egzekucję? Co gorsza, wcześniej trzeba się było zmierzyć z dziesiątkami przebiegłych adwokatów, gotowych obdrzeć jego klienta ze skóry, byle tylko uszczknąć coś dla siebie ze sprzeniewierzonych pieniędzy.

A jednak! Zajmując miejsce w samolocie, Sandy odczuwał coraz silniejszy dreszcz emocji wynikający z faktu reprezentowania Patricka Lanigana.

Eva wysiadła z taksówki na tyłach podrzędnej hoteliku w South Beach, gdzie miała spędzić noc. W gruncie rzeczy zamierzała zostać tu przez kilka dni, uzależniając długość pobytu od rozwoju wydarzeń w Biloxi. Pamiętała, że Patrick nakazywał jej ciągle podróże i niezatrzymywanie się w jednym miejscu na dłużej niż cztery dni. Zameldowała się jako Leah Pires, według paszportu mieszkająca na 77

stałe w Sao Paulo. Mogła się nawet posługiwać złotą kartą kredytową wystawioną na to nazwisko.

Przebrała się pospiesznie i poszła na plażę. Było wczesne popołudnie, nad morzem kręcił się tłum wczasowiczów i to jej bardzo odpowiadało. Plaża w Rio była tak samo wiecznie zatłoczona, ale tam zawsze Eva mogła liczyć na pomoc przyjaciół. Tutaj nikogo nie знаła, musiała więc wcielić się w rolę anonimowej turystki w bikini, zażywającej kąpieli słonecznych. Bardzo pragnęła znowu znaleźć się w domu.

Rozdział 11

Całą godzinę zajęło Sandy'emu przedostanie się na teren bazy marynarki wojennej. Jego nowy klient nie zamierzał mu ułatwiać życia. Wyglądało na to, że nikt go tu nie oczekiwał. W końcu został zmuszony do sięgnięcia po klasyczny reper-tuar adwokacki: groźbę wystąpienia z pozwem,

natychmiastowego powiadomienia senatorów lub innych ważnych osobistości, a przede wszystkim ostre i głośne uwagi na temat łamania podstawowych praw obywatelskich. Dopiero o zmierzchu dotarł do recepcji szpitala, a i tu napotkał kolejną linię obrony. Tym razem jednak pielęgniarka po prostu skontaktowała się z Patrickiem.

Pokój tonął w półmroku, oświetlony jedynie błękitną poświatą ekranu niewielkiego telewizora stojącego pod ścianą. Transmitowano jakiś mecz piłkarski z Brazylii. Dwaj starzy przyjaciele uścisnęli sobie dłonie z pewną rezerwą. Nie widzieli się przez sześć lat. Lanigan nakrył się prześcieradłem aż pod brodę, za-słaniając w ten sposób rozległe rany. Był bardzo szczupły, niemal wychudzony, no i miał wyraźnie odmieniony kształt nosa oraz brody. Mógłby nawet uchodzić za kogoś innego, gdyby nie oczy. Zdradzało go również brzmienie głosu.

— Dzięki, że przyleciałeś — mruknął na powitanie.

Mówił bardzo cicho, miękkim głosem, jak gdyby sprawiało mu to wiele kłopotów i wymagało olbrzymiego wysiłku.

— Nie ma za co. Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie miałem specjalnie wyboru. Twoja przyjaciółka potrafi być nadzwyczaj przekonująca.

Patrick zamknął oczy i przygryzł wargi. W duchu zmówił szybko krótką modlitwę. Wiedział już bowiem, że Evie nic się nie stało.

— Ile ci zapłaciła do tej pory? — spytał.

— Sto tysięcy.

— Doskonale — skwitował Lanigan.

Na dłużej zapadło milczenie, które zasygnalizowało Sandy'emu, że cała ta rozmowa nie będzie łatwa i upłynie pod znakiem podobnych przerw.

— Czuje się dobrze — dodał McDermott. — To piękna kobieta i piekielnie sprytna. W pełni panuje nad sytuacją, jak zapewne tego po niej oczekiwałeś. Mówię

na wypadek, gdybyś się o nią niepokoił.

79

— Miło z twojej strony.

— Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

— Parę tygodni temu. Straciłem poczucie upływu czasu.

— Jest twoją żoną, przyjaciółką, kochanką, znajomą czy. . .

— Adwokatem.

— Tylko adwokatem?

— Zgadza się.

Sandy uśmiechnął się nieznacznie. Patrick ponownie zamilkł na dłużej, leżał

na wznak, całkiem nieruchomo. Upływały minuty. W końcu McDermott usiadł

na jedynym stojącym w pokoju krześle, chcąc dać przyjacielowi czas do namysłu.

Dobrze wiedział, że Lanigan jak gdyby na nowo wkracza do realnego świata, gdzie wszędzie dookoła czają się wygłodniałe wilki. Jeśli więc zamierzał jeszcze przez jakiś czas poleżeć w łóżku, gapiąc się w sufit, Sandy nie miał nic przeciwko temu. I tak zapewne czekały ich wielogodzinne rozmowy. Nie było się dokąd śpieszyć.

Ważne, że tamten był żywy i wracał do zdrowia, nic więcej się na razie nie liczyło. Sandy nie zdołał ukryć rozbawienia, kiedy przypomniał sobie ceremonię pogrzebową owego pochmurnego i zimnego dnia sprzed czterech lat, skromną urnę składaną do grobu, ostatnie słowa pastora i wymuszone z widocznym wysił-

kiem łyzy Trudy. Zapewne wybuchnąłby wtedy gromkim śmiechem, gdyby wiedział, że Patrick, cały i zdrowy, obserwuje z ukrycia tę podniosłą uroczystość, o czym głośno mówiono od trzech dni.

Nie ulegało wątpliwości, że znalazł sobie dobrą kryjówkę, a potem zgarnął

pieniądze. Niektórzy mężczyźni dostają fioła około czterdziestki. Tak zwany syn-drom wieku średniego popycha ich do rzucenia rodziny, szukania sobie kochanki czy podjęcia nauki w college'u. Patrick chyba pobił w tym względzie rekord.

Upozorował własną śmierć, skradł dziewięćdziesiąt milionów dolarów i zniknął

w brazylijskiej dżungli.

Wspomnienie zwęglonych zwłok w samochodzie błyskawicznie odeгнаło resztki wesołości. Sandy zapragnął poznać prawdę.

— Na twój powrót czeka dość okazały komitet powitalny, Patricku — rzekł.

— Kto wziął na siebie rolę przewodniczącego?

— Trudno powiedzieć. Dwa dni temu Trudy wystąpiła o rozwód, podejrzewam jednak, że to dla ciebie najmniejszy powód do zmartwienia.

— Masz rację. Jeśli wolno mi zgadywać, Trudy domaga się połowy pieniędzy.

— Lista jej pragnień jest o wiele dłuższa. Komisja przysięgłych jednogłośnie zdecydowała wytoczyć przeciwko tobie zarzut popełnienia morderstwa z premedytacją. Ale oskarżają cię według kodeksu stanowego, a nie federalnego.

— Widziałem reportaż w telewizji.

— Świetnie. Zatem wiesz także o innych pozwach.

80

— Owszem. CNN stanęło na wysokości zadania i poinformowało mnie ze wszelkimi możliwymi szczegółami.

— Trudno dziennikarzy o cokolwiek winić, Patricku. Przecież twoje sprawa to prawdziwa sensacja.

— Dzięki.

— Kiedy zamierzasz uchylić rąbka tajemnicy?

Lanigan przekręcił się na bok i utkwiał wzrok w ścianie. McDermott zerknął

przez ramię. Nie było tam niczego, jedynie monotonna biała płaszczyzna. On widocznie miał przed oczyma coś zupełnie innego.

— Torturowali mnie, Sandy — rzekł po chwili, jeszcze ciszej, niepewnym, łamiącym się głosem.

— Kto?

— Przyczepili mi elektrody do ciała i dawkowali silne wstrząsy elektryczne, dopóki nie zacząłem mówić.

Sandy wstał, podszedł do brzegu łóżka i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

— Co im powiedziałaś?

— Sam nie wiem. Nie wszystko pamiętam. Szprycowali mnie narkotykami.

O, zobacz.

Wyjął spod prześcieradła lewą rękę i pokazał skłute, poznaczone krwiami przedramię.

McDermott znalazł włącznik lampki stojącej na nocnym stoliku i zapalił światło.

— Mój Boże! — szepnął.

— Chcieli wiedzieć, co zrobiłem z pieniędzmi. Traciłem przytomność, a kiedy ją odzyskiwałem, znowu włączali prąd. Obawiam się, że zdradziłem im wszystko, także nazwisko dziewczyny.

— Tej prawniczki?

— Tak. Jakim imieniem ci się przedstawiła?

— Leah.

— W porządku, będę ją zatem tak nazywał. W każdym razie chyba im o niej powiedziałem. Mówiąc szczerze, jestem tego niemal pewien.

— Kto cię torturował, Patricku?

Lanigan zamknął oczy i skrzywił się boleśnie, poruszywszy nogą. Mięśnie nadal miał zeszywniałe, często powracał okresowy paraliż. Obrócił się ponownie i ułożył na wznak, a po chwili zsunął prześcieradło do pasa.

— Tylko popatrz — mruknął, wodząc dłonią ponad olbrzymią raną oparzeniową na piersi. — Oto dowód.

Sandy pochylił się i obejrzał dokładnie zaczerwienienie obrzeżone żółtawymi strupkami w tych miejscach, gdzie lekarz naciął martwą skórę.

— Kto ci to zrobił? — zapytał po raz drugi.

— Nie wiem. Było ich wielu. Niekiedy wokół mnie robił się ścisk.

81

— Gdzie to było?

Patricka ogarnął żal z powodu nienasyconej ciekawości przyjaciela. Sandy chciał jak najszybciej poznać wszelkie szczegóły, zresztą nie tylko dotyczące tortur. Jak wszystkich, interesowały go również pozostałe aspekty sprawy. To rzeczywiście była sensacja. Ale on nie miał jeszcze pewności, do jakiego stopnia może Sandy'emu zaufać. Wszak nikt nie umiał wyjaśnić przyczyn katastrofy samochodowej, w której zginął nieznanый człowiek. Dlatego też Lanigan postanowił

na razie opowiedzieć tylko o swoich cierpieniach i torturach. Jeszcze raz ułożył

się wygodnie i z powrotem podciągnął prześcieradło pod brodę. Od dwóch dni świadomie nie brał żadnych leków, powracała mu więc jasność myśli, lecz zarazem ból dotkliwie dawał się we znaki.

— Przysuń sobie bliżej krzesło i siadaj, Sandy. Jeśli możesz, wyłącz także lampkę. Światło mi przeszkadza.

Adwokat pospiesznie zgasił lampkę i usiadł tak blisko łóżka, jak tylko było to możliwe.

— Teraz już wiesz, co mi zrobili — mruknął Patrick.

Rozpoczął swą opowieść od opisu domu w Ponta Pora, swej codziennej porcji joggingu oraz samochodu z przebitą oponą, użytego później do porwania.

Ashley Nicole miała zaledwie dwa lata i miesiąc, kiedy pochowano jej ojca. W ogóle go nie pamiętała. Jedyńm mężczyzną, którego widywała w domu i który nieustannie towarzyszył mamie, był Lance. Niekiedy odwoził ją do szkoły.

Czasami też jadali razem obiady, jak typowa rodzina.

Po pogrzebie Trudy ukryła fotografie i wszelkie przedmioty mogące przypominać małej ojca. W domu nigdy nie wymawiano nawet imienia Patricka.

Ale trzeciego dnia po zjawieniu się wokół posesji dziennikarzy dziewczynka poczęła zadawać trudne pytania. Nurtowało ją, że matka zachowywała się dziwnie, była bowiem pod tak silną presją, iż nawet sześcioletnia córka to zauważyła.

Dlatego też Trudy wybrała moment, kiedy Lance pojechał na spotkanie z adwokatem, i wieczorem przysiadła na brzegu łóżka Ashley Nicole, by wszystko jej wyjaśnić.

Zaczęła ostrożnie od informacji, że kiedyś była mężatką. Ściśle rzecz biorąc, miała nawet dwóch mężów, doszła jednak do wniosku, iż o pierwszym córka nie musi na razie nic wiedzieć. W tej chwili najważniejsze było tylko to, co się stało z drugim.

— Patrick i ja byliśmy małżeństwem przez cztery lata. Później on postąpił bardzo brzydko.

— Co zrobił? — spytała Ashley Nicole, z zaciekawieniem spoglądając na matkę.

— Zabił człowieka i upozorował wszystko tak, żeby wyglądało na wypadek 82

drogowy. . . tragiczny wypadek, po którym wybuchł pożar. Podpalił swój samochód, a kiedy następnie policja odnalazła we wraku ciało, myślała, że to zginął

Patrick. Wszyscy tak myśleli. Jego nigdzie nie było, został tylko spalony samochód. Ogarnął mnie smutek. Patrick był przecież moim mężem, nagle go straci-

łam. Zwłoki pochowano na cmentarzu. Ale teraz, po czterech latach, wyszło na jaw, że Patrick tylko się ukrywał z dala od całego świata. Uciekł i się ukrywał.

— Dlaczego?

— Ponieważ ukradł swoim przyjaciółom bardzo dużo pieniędzy. Był bardzo złym człowiekiem i chciał zatrzymać te pieniądze tylko dla siebie.

— Zabił człowieka i ukradł pieniądze?

— Zgadza się, skarbie. Patrick to naprawdę bardzo zły człowiek.

— Przykro mi, że był twoim mężem, mamo.

— Chciałabym, kochanie, żebyś dobrze to pojęła. Przyszłaś na świat właśnie wtedy, kiedy ja i Patrick byliśmy małżeństwem. — Zawiesiła głos i spojrzała cór-ce prosto w oczy, wypatrując jakiegoś błysku zrozumienia, ale niczego takiego nie zauważyła. Dlatego położyła małej dłoń na kolanie i dodała: — Patrick jest twoim ojcem.

Ashley Nicole popatrzyła na matkę oczyma rozszerzonymi ze zdumienia.

— Ja nie chcę, żeby on był moim. . .

— Przykro mi, skarbie. Chciałam ci to powiedzieć, kiedy będziesz starsza, ale właśnie teraz Patrick wraca do kraju, uznałam więc, że powinnaś znać prawdę.

— A co z Lance'em? On nie jest moim ojcem?

— Nie. Lance tylko mieszka z nami, nic więcej.

Trudy nawet nie pozwoliła dotąd małej odnosić się do Lance'a jak do własnego ojca. Jemu zresztą ta sytuacja była na rękę, gdyż wcale nie zamierzał budzić w sobie uczuć rodzicielskich. Trudy wolała grać rolę samotnej matki, ostatecznie Ashley Nicole straciła ojca. Nie było w tym niczego niezwykłego.

— Lance i ja przyjaźnimy się od dawna — podjęła wyjaśnienia, obawiając się niewygodnych pytań. — Jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. On cię bardzo kocha, ale nie jest twoim ojcem. Niestety, jest nim Patrick. Nie chciałabym jednak, abyś się tym martwiła.

— Czy on będzie chciał się ze mną zobaczyć?

— Nie wiem, ale zrobię wszystko, by do tego nie dopuścić. To bardzo zły człowiek, skarbie. Porzucił ciebie, kiedy miałaś dwa latka. Zostawił także mnie.

Ukradł bardzo dużo pieniędzy i zniknął. Nawet przez chwilę o nas nie pomyślał, więc chyba i teraz nie będziemy go obchodziły. Wcale by tu nie wracał, gdyby go nie schwytała policja. Tak więc nie martw się o niego, nie powinien nam szkodzić.

Mała wysunęła się spod kołdry i zanurkowała w objęcia matki. Trudy przytuliła ją i delikatnie poklepała po plecach.

— Wszystko będzie dobrze, skarbie. Obiecuję. Nie chciałam ci tego wszystkiego mówić, lecz skoro przed naszym domem zebrali się dziennikarze i krążą 83

ekipy telewizyjne, pomyślałam, że tak będzie lepiej.

— A na co ci ludzie czekają? — zapytała Ashley Nicole, mocniej tuląc się do matki.

— Nie wiem. Wolałabym, żeby odjechali.

— Czego od nas chcą?

— Zrobić zdjęcia, tobie i mnie, żeby później wydrukować je w gazetach, obok artykułów opisujących te wszystkie straszne rzeczy, których dokonał Patrick.

— Przyjechali tu z powodu Patricka?

— Tak, kochanie.

Dziewczynka odsunęła się, spojrzała matce w oczy i powiedziała:

— Nienawidzę go.

Trudy karcąco pokiwała głową, jakby córka coś przeszkrobała, ale zaraz z uśmiechem przytuliła ją z powrotem do siebie.

* * *

Lance urodził się i wychował w Point Cadet, wśród starej rybackiej społeczno-

ści zamieszkującej półwysep wysunięty w głąb zatoki Biloxi. W robotniczym środowisku ciągle pojawiali się nowi emigranci, a nieźle wiodło się jedynie poławiaczom krewetek. Do dzisiaj miał wielu przyjaciół w Point Cadet, a jednym z nich był Cap. To właśnie Cap siedział za kierownicą furgonetki wyładowanej szmuglowaną marihuaną, kiedy zatrzymali ich agenci DEA. Obudzili Lance'a, który spał między pakami towaru ze strzelbą przyciśniętą do piersi. Później Cap i Lance wynajęli wspólnie jednego adwokata, otrzymali takie same wyroki i w wieku dziewiętnastu lat razem wyładowali w więzieniu.

Cap prowadził obskurny bar i na lichwiarski procent pożyczał pieniądze robotnikom z fabryki konserw. Spotkali się przy drinku w pokoiku na tyłach lokalu, jak kiedyś mieli zwyczaj to czynić co najmniej raz w miesiącu, chociaż częstotliwość wizyt znacznie zmalała od czasu, gdy Lance wyprowadził się z Mobile i zamieszkał z Trudy. Ale teraz znalazł się w kłopotach. Cap czytywał gazety, to-też już od kilku dni oczekiwał spotkania ze starym przyjacielem i jak zwykle był gotów go pocieszyć.

Przy pierwszym piwie omówili najświeższe plotki — kto ile wygrał w kasynie, gdzie powstał nowy punkt dystrybucji narkotyków, kogo agenci DEA mają teraz na oku. Były to normalne rozmowy wśród młodych ludzi, którzy jeszcze marzyli o łatwym i szybkim zdobyciu bogactwa.

Cap nie znosił Trudy i w przeszłości wielokrotnie wykpiwał przyjaciela, że ten trzyma się babskiej kiecki i łązi jak cielę za krową.

— A jak tam twoja dupa? — zapytał.

— W porządku. Bardzo się martwi od czasu, jak go złapali.

— A niech się martwi. Ile szmalu zgarnęła z odszkodowania?

— Milion z okładem.

— W gazetach pisali, że dwa i pół. Wiem, jak ta suka potrafi szastać forszą, więc się domyślam, że niewiele już z tego zostało.

— Pieniądze są bezpieczne.

— Gadka szmatka. Czytałem, że firma ubezpieczeniowa już wystąpiła do sądu o zwrot odszkodowania.

— My także najęliśmy adwokata.

— Jasne, nie przyjechałeś jednak do mnie po to, żeby się na niego wyżalić, prawda? Nie trzeba mi tłumaczyć, że potrzebujesz pomocy. Adwokaci nie wszystko potrafią załatwić.

Lance uśmiechnął się i pociągnął łyk piwa, a następnie zapalił papierosa. Trudy nie pozwalała mu palić w domu.

— Gdzie jest Zeke?

— Byłem pewien, że zechcesz się z nim spotkać — syknął ze złością Cap. —

Baba wpada w kłopoty, grozi jej utrata całego majątku, więc wysyła ciebie, żebyś poszukał Zeke'a albo jakiegoś innego świra i zaplanował z nim coś głupiego. Jak on zostanie złapany, to złapią i ciebie, a gdy tobie się noga powinie, ona w jednej chwili o tobie zapomni. Jesteś ostatnim dupkiem, Lance, i dobrze o tym wiesz.

— Zgadza się. Więc gdzie znajdę Zeke'a?

— W pace.

— Gdzie?

— W Teksasie. Federalni przyłapali go na handlu bronią. Postępujesz głupio. Zastanów się lepiej. Kiedy tylko przywiozą tego faceta do Stanów, bez przerwy będą go trzymać pod ścisłą ochroną. Nawet rodzonej matce nie pozwolą się z nim zobaczyć. Przecież tu chodzi o bardzo grubą forszę, Lance. Zatrzymają go w areszcie do chwili, aż wszystko wyśpiewa. Jeśli spróbujesz się do niego dobrać, będziesz musiał zabić kilku gliniarzy. I zginiesz na miejscu.

— To zależy. Sprawę można załatwić na różne sposoby.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Czyżby nagle odbiła ci woda sodowa?

Od kiedy to stałeś się taki przebiegły?

— Mogę wynająć fachowców.

— Za ile?

— Tyle, ile będzie potrzeba.

— Masz pięćdziesiąt kawałków?

— Owszem.

Cap westchnął głośno i rozejrzał się na boki. Pochylił się nisko nad stolikiem i mruknął:

85

— Powtórzę jeszcze raz, że to bardzo kiepski pomysł, Lance. Nigdy nie miałeś smykałki do takich rzeczy. Dziewczyny zawsze kręciły się przy tobie, bo myślały, że jesteś sprytny. Ale tak naprawdę nie jesteś zanadto bystry.

— Dzięki, przyjacielu.

— Wszystkim bardzo zależy na tym, żeby postawić faceta przed sądem. Tylko się zastanów. Pragną tego i federalni, i adwokaci, i gliniarze, i ci, którym zwędził

forse. Absolutnie wszyscy. Z wyjątkiem, rzecz jasna, tej zdiry, która pozwala ci mieszkać w swoim domu. Tylko ona chce jego śmierci. Jeśli zrealizujesz swój plan i komuś się uda wyłączyć gościa z gry, gliniarze natychmiast skierują podejrzenia na nią. Ale ona nie będzie niczemu winna, bo to ty nagrałeś robotę. Odegrasz rolę marionetki. Facet kipnie, ona zgarnie forse, a obaj dobrze wiemy, że nie zależy jej na niczym innym. Ty zaś wylądujesz w Parchman. Nie zapominaj, że jesteś notowany. I zapuszczają cię na resztę życia. A ona nie przyśle ci nawet jednego listu.

— Mam rozumieć, że jesteśmy umówieni na pięćdziesiąt kawałków?!

— My?!

— No tak. Ty i ja.

— Mogę ci tylko podać namiary, nic więcej. Nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego. Nie widzę żadnych szans powodzenia, a ja nie wchodzę w takie interesy.

— Do kogo mam się zwrócić?

— Jest pewien gość w Nowym Orleanie. Kręci się tu od czasu do czasu.

— Możesz mnie z nim umówić?

— Dobra. Ale nie oczekuj niczego więcej. I pamiętaj, że szczerze radziłem, abys się w to nie pakował.

Rozdział 12

Eva poleciała z Miami do Nowego Jorku, tam zaś weszła na pokład concorde'a odlatującego do Paryża. Podróż ekskluzywnym odrzutowcem była ekstrawagancją, ale teraz Miranda mogła się uważać za bogatą. Z Paryża poleciała do Nicei, stamtąd zaś pojechała samochodem do Aix-en-Provence, dokładnie powtarzając tę samą trasę, którą z Patrickiem pokonała rok wcześniej. Był to ich jedyny wspólny wyjazd od czasu, kiedy zamieszkał w Brazylii. Bardzo się obawiał odpraw na granicy, mimo że miał doskonale podrobiony paszport.

Brazylijczycy uwielbiają wszystko, co się wiąże z Francją, niemal każdy od dzieciństwa uczy się francuskiego i zapoznaje z kulturą tego kraju. Przed rokiem Eva i Patrick wynajęli pokój w Villa Gallici, przepięknej starej gospodzie na obrzeżu miasta, i przez tydzień spacerowali po wąskich uliczkach, robili zakupy, jedli tutejsze specjały i zwiedzali okoliczne wioski leżące między Aix i Avignon.

Ale przede wszystkim, jak nowożeńcy, spędzali większość czasu w pokoju. Któ-

regoś dnia, po kolacji obficie zakropionej winem, Patrick wyraził się, że jest to ich miesiąc miodowy.

Wynajęła jednoosobowy pokój w tej samej gospodzie i po krótkiej drzemce wyszła w szlafroku na taras, żeby się napić herbaty. Później włożyła dzinsy i wyruszyła na spacer po mieście, wzdłuż Cours Mirabeau, głównej ulicy Aix. W przytulnej kawiarence wypła kieliszek czerwonego wina, przyglądając się przez okno grupkom licealistów. Zawsze lubiła patrzeć na zakochane pary, trzymające się za ręce i spacerujące beztrosko ulicami. Ona z Patrickiem również chodziła po tych samych ulicach, tak samo trzymali się za ręce, szeptali sobie do ucha i śmiali się beztrosko, jak gdyby uwolnieni nagle od dręczących koszmarów z przeszłości.

To właśnie tu, w Aix, podczas tego cudownego tygodniowego wypoczynku, po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak niewiele on sypia. Kiedykolwiek otwierała oczy, już nie spał, leżał nieruchomo, na boku, i spoglądał na nią wzrokiem pełnym głębokiej troski. Zawsze paliła się nocna lampka. Gasili światło, kładąc się do łóżka, ale gdy ona się budziła, lampka zawsze była włączona. Patrick za-87

zwyczaj gasił ją szybko, gładził Evę po policzku, a kiedy zasypiała, najdalej po upływie pół godziny z powrotem zapalał światło. Wstawał na długo przed świtem.

Kiedy ona wychodziła w szlafroku na taras, on najczęściej siedział nad gazetą bądź kieszonkowym wydaniem jakiegoś kryminału.

— Nigdy nie sypiam więcej niż dwie godziny na dobę — odparł, gdy go o to spytała.

Nigdy też nie zapadał w drzemkę. Kładł się do łóżka dopiero późną nocą.

Nie nosił przy sobie broni i nie oglądał się trwożliwie przez ramię. Nie był nawet podejrzliwy wobec nieznanym. Rzadko jednak mówił o swoim wiecznym ukrywaniu się. Poza niezwykłym rytmem snu i czuwania sprawiał wrażenie cał-

kiem normalnego mężczyzny, Eva często przy nim zapominała, że jest jednym z ludzi ściganych przez policję całego świata.

Unikał też rozmów na temat swojej przeszłości, ale niekiedy przy innych okazjach wychodziły na jaw fakty z jego poprzedniego życia. W końcu byli razem tylko dlatego, że on się ukrywał, zmieniając swoją tożsamość. Najczęściej wracał pamięcią do dzieciństwa spędzonego w Nowym Orleanie, z wyraźną niechęcią wspominał późniejsze czasy. Prawie nigdy nie mówił o swojej żonie, Eva wiedzia-

ła tylko, że dogłębnie ją gardzi. Wyglądało na to, że nieudane małżeństwo było jednym z powodów, które popchnęły go do desperackich czynów.

Czasami natomiast próbował mówić o Ashley Nicole, ale najczęściej wspomnienie małej córki wyciskało mu łzy z oczu. Jego głos się łamał, więc milkł

pospiesznie, przeprasząc za swoje zachowanie. Ten temat był dla niego szczególnie bolesny.

Zatem Eva, nie znając całej przeszłości Patricka, nie mogła też wyciągać wniosków w sprawie przyszłości. Wolła nie układać żadnych planów, dopóki płatne zbiry podążały jej tropem. Usiłowała w ogóle nie myśleć tym, co ją czeka, koncentrując się na dniu dzisiejszym.

Wiedziała jednak, że bezsenność Patricka jest spowodowana koszmarami z przeszłości, których ona w ogóle nie dostrzega. Wyczuwała jednak ich obecność.

* * *

Dwa lata wcześniej poznali się w jej biurze, kiedy to Patrick przedstawił się jako kanadyjski biznesmen mieszkający ostatnio w Brazylii. Oznajmił, że potrzebuje rady dobrego prawnika w zakresie cel importowych oraz stawek podatku.

Przyszedł ubrany w elegancki lniany garnitur i nakrochmaloną białą koszulę. Był

szczerzy, przystojny, mocno opalony i tryskał humorem. Świetnie mówił po por-88

tugalsku, chociaż ona zdecydowanie lepiej władała angielskim. Wbrew jej sugestiom wołał jednak posługiwać się tutejszym językiem. Umówili się na rozmowę podczas lunchu, który w efekcie trwał trzy godziny. Oboje uzmysłowili sobie wówczas, że nie skończy się na tym jednym spotkaniu. Kolejną rozmowę przeprowadzili podczas równie długiego obiadu, a następną już w trakcie spaceru boso wzdłuż plaży Ipanema.

Jej mąż, o wiele od niej starszy, zginął w katastrofie samolotowej w Chile.

Nie mieli dzieci. Patrick — a raczej Danilo, gdyż wtedy posługiwał się tylko tym imieniem — ujawnił, że jest rozwiedziony, a jego żona mieszka nadal w Toronto.

W ciągu pierwszych dwóch miesięcy spotykali się po kilka razy w tygodniu, szybko nawiązując bliższą znajomość. Dopiero później wyznał jej całą prawdę.

Któregoś dnia, po obiedzie z francuskim winem, jaki zjedli w jej mieszkaniu, Danilo wprost opowiedział o swoim występku, otwierając przed nią duszę.

Mówił bez przerwy niemal do świtu, przeistoczywszy się nagle z pewnego siebie biznesmena w przerażonego, ukrywającego się zbiega. Mimo wszystko trzymał się całkiem nieźle.

Wyznanie prawdy przyniosło mu tak wielką ulgę, że omal się nie popłakał.

Jakoś powstrzymał łzy, stwierdziwszy, iż znajdują się przecież w Brazylii, gdzie mężczyźni nigdy nie płaczą. A już z pewnością nie w towarzystwie pięknej kobiety.

Ujął ją tym podejściem. Objęła go wówczas i pocałowała, po czym sama wybuchnęła szlochem, jakby chciała mu w ten sposób pomóc. Obiecała też uczynić wszystko co w jej mocy, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo.

W ciągu następnych kilku tygodni wyjawiał jej miejsca ukrycia pieniędzy i nauczył szybko, jak dokonywać błyskawicznych przelewów między bankami całego świata. Wspólnie sporządzili spis najatrakcyjniejszych zagranicznych lokat i po-czynili bezpieczne inwestycje.

Zanim się poznali, Patrick już mieszkał w Brazylii od dwóch lat. Początkowo wynajął mieszkanie w Sao Paulo, później przeniósł się do Recife, Minas Gera-is i kilku innych mniejszych miast. Przez dwa miesiące pracował w amazońskiej dżungli i sypiał na barce pod moskitierą, gdyż krwiożerczych owadów było tam tak dużo, że ich chmary często przesłaniały księżyc. Zajmował się oprawianiem dzikiej zwierzyny upolowanej przez bogatych Argentyńczyków w Pantanal, gigantycznym rezerwacie dorównującym powierzchnią Wielkiej Brytanii, leżącym na pograniczu stanów Mato Grosso oraz Mato Grosso do Sul. Znacznie więcej podróżował po Brazylii niż ona, bywał w miejscach, o których nigdy nawet nie słyszała. Wreszcie postanowił osiąść w Ponta Pora. Przeważył argument, że to niewielkie miasteczko na południu jest idealnym przeciwieństwem wielkich ro-jowisk ludzkich, w których ukrywają się podobni jemu zbiegowie. Nie bez znaczenia był też fakt bliskiej granicy z Paragwajem, co stwarzało możliwość łatwej ucieczki w wypadku rozpoznania.

89

Eva nawet nie próbowała go od tego odwoznić. Całym sercem wolałaby, żeby został w Rio, przy niej, ale nie miała pojęcia, czym jest życie zbiega, toteż przyjęła jego decyzję w spokoju. Wielokrotnie jej obiecywał, że któregoś dnia wreszcie zamieszkają razem. Tymczasem jednak mogli się tylko sporadycznie widywać w wynajętym mieszkaniu w Kurytybie, ale te ich skromne „miodowe miesiące”

nigdy nie trwały dłużej niż kilka dni. Bardzo jej zależało na zmianie tego stanu rzeczy, on nie chciał jednak czynić żadnych planów.

W miarę upływu czasu Danilo — gdyż wówczas nigdy nie nazywała go Patrickiem — stawał się coraz bardziej pewien, że zostanie schwytany. Ona nie chciała w to uwierzyć, biorąc pod uwagę wszelkie środki ostrożności, jakie stosował. On zaś się zamartwiał, coraz mniej sypiał i coraz częściej tłumaczył, jak powinna postąpić w takich bądź innych okolicznościach. W ogóle przestał się troszczyć o pieniądze, całkowicie zaprzętały go środki bezpieczeństwa.

Eva postanowiła zostać w Aix przez kilka dni, uważnie śledzić serwisy informacyjne CNN i czytać wszystkie amerykańskie gazety, jakie zdoła tu kupić.

Domyślała się, że Patrick wkrótce zostanie przewieziony do ojczyzny i osadzony w areszcie, w oczekiwaniu na szykujące się liczne rozprawy sądowe. Przewidział

taką sytuację, zapewniał ją jednak, że nic mu nie grozi. Podejrzewał, że będzie torturowany i szprycowany narkotykami, ale obiecywał, że dzielnie to zniesie, jeśli tylko ona przyrzeknie na niego czekać.

W końcu i tak musiała wrócić do Zurychu, żeby na nowo zająć się sprawami finansowymi. Tylko tego była pewna. Powrót do domu w ogóle nie wchodził

w rachubę i ta świadomość niezwykle jej ciążyła. Dotychczas trzy razy rozmawiała telefonicznie z ojcem, przy czym zawsze dzwoniła z automatów na lotniskach.

Powtarzała, że nic jej nie jest, czuje się dobrze, tylko na razie nie może wrócić do Brazylii.

Nawiązanie kontaktu z McDermottem umożliwiło jej łączność z Patrickiem za pośrednictwem adwokata. Zdawała sobie jednak sprawę, że minie długi czas, zanim znów będzie mogła go zobaczyć.

Poprosił o pierwszą pigułkę tuż przed drugą w nocy, kiedy obudził go ostry atak bólu. Miał wrażenie, że do obu nóg znowu podłączono mu elektrody pod napięciem. Prześladowały go też natrętne głosy jego oprawców, demoniczny chór w majakach bez przerwy powtarzał pytanie: „Gdzie są pieniądze, Patricku? Gdzie są pieniądze?”

Środek przeciwbólowy dostarczył mu na tacy zaspany starszy sanitariusz, zapomniawszy oczywiście o wodzie do popicia. Lanigan stanowczo zażądał szklanki, gdy ją zaś otrzymał, przelał resztkę wody sodowej z puszki i dopiero wtedy 90

połknął pigułkę.

Minęło dziesięć minut, a lek nie skutkował. Pot wystąpił mu na całym ciele, pościel była nim całkiem przesiąknięta. Sól z wysychającego potu coraz mocniej szczypała poranioną skórę. Minęło następne dziesięć minut. W końcu Patrick włączył telewizor.

Ludzie, którzy go porwali, skrupowali i torturowali prądem, zapewne wciąż przebywali w Brazylii, szukali skradzionych pieniędzy. Bez wątpienia dobrze wiedzieli, gdzie jest przetrzymywany. Dlatego też Lanigan oddychał z ulgą, kiedy wreszcie wstawał świt. Mrok nocy i koszmary senne od nowa przypominały mu o zagrożeniu. Minęło pół godziny. Zniecierpliwiony, po raz drugi zadzwonił na pielęgniarkę, ale nikt nie przyszedł.

Ostatecznie zapadł w sen.

O szóstej obudziło go stuknięcie drzwi. Lekarz był tego dnia nadzwyczaj po-ważny. Starannie obejrzał jego rany, po czym oznajmił:

— Może pan lecieć. Na miejscu zaopiekują się panem lepsi ode mnie fachowcy.

Zapisał coś na karcie i wyszedł bez pożegnania.

Pół godziny później do sali wkroczył agent Brent Myers. Ten dla odmiany był szeroko uśmiechnięty. Machnął w powietrzu służbową odznaką, jakby wciąż jeszcze ćwiczył odpowiednie procedury.

— Dzień dobry — rzekł od drzwi.

Patrick, nawet nie spojrzawszy w jego kierunku, burknął:

— Nie nauczono pana pukać?

— Przepraszam. Właśnie rozmawiałem z lekarzem, Patricku. Przynoszę wspaniałe wieści. Możemy wracać do domu. Jutro zostaniesz wypisany ze szpitala, ja zaś odstawię cię do Stanów. A więc już jutro odlecimy. Nasz rząd postanowił

cię przetransportować do Biloxi specjalnym wojskowym samolotem. Czy to nie fascynujące? A ja polecę z tobą.

— Świetnie. Czy mógłbym teraz zostać sam?

— Oczywiście. Zobaczymy się zatem jutro rano.

— Proszę wyjść.

Myers odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju. Później zjawił się Luis, przyniósł filiżankę kawy, sok pomarańczowy i pokrojony w plasterki owoc mango. Ukradkiem wsunął pod materac niewielką paczuszkę, po czym zapytał

głośno, czy pacjent niczego więcej nie potrzebuje. Patrick podziękował mu uprzejmie.

Godzinę później przyszedł Sandy. Miał nadzieję, że czeka ich długi dzień od-grzebywania wspomnień z minionych czterech lat, które pozwolą mu uzyskać odpowiedzi na wiele nurtujących pytań. Telewizor był wyłączony, żaluzje pod-niesione, szpitalny pokój zalewało światło słoneczne.

— Chcę, żebyś jak najszybciej wracał do Stanów — oznajmił Patrick — i zabrał ze sobą to.

Wręczył przyjacielowi paczuszkę. Sandy usiadł na krześle i bez pośpiechu zaczął przeglądać fotografie.

— Kiedy te zdjęcia zostały zrobione? — spytał.

— Wczoraj.

McDermott zaczął sporządzać notatki.

— Przez kogo?

— Luisa, tutejszego sanitariusza.

— Kto ci zadał takie rany?

— A kto mnie uwięził, Sandy?

— FBI.

— Mam zatem prawo przypuszczać, że to sprawka FBI. Nie kto inny, tylko moi rodacy, stróże prawa, wysłedzili mnie, porwali i torturowali, a teraz zabierają z powrotem do kraju. To agenci służb federalnych, FBI, Departamentu Sprawiedliwości oraz wydziału skarbowego szykują mi owacyjne przyjęcie. Przyjrzyj się dobrze, co mi zrobili.

— Powinno się ich za to podać do sądu — oświadczył Sandy.

— I to o grube miliony. Jak najszybciej. Plan jest następujący: zabierają mnie jutro rano specjalnie podstawionym samolotem wojskowym do Biloxi. Wyobra-

zasz sobie, jakie mnie tam spotka przyjęcie? Musimy ich uprzedzić.

— Uprzedzić?

— Nie inaczej. Trzeba wystąpić z pozwem jeszcze dzisiaj po południu, żeby jutro rano pojawiły się o tym wzmianki w prasie. Po cichu zawiadom dziennikarzy, pokaż im te dwa zdjęcia, które zaznaczyłem krzyżykami na odwrocie.

Sandy przerzucił plik fotografii i wyłowił zaznaczone ujęcia. Pierwsze przedstawiało z bliska rozległą ranę na piersiach Patricka, przy czym widoczne były także rysy jego twarzy. Drugie ukazywało najbrzydszą oparzelinę trzeciego stopnia na lewym udzie.

— Naprawdę chcesz, żebym przekazał te zdjęcia do prasy?

— Tylko do gazet lokalnych, bo inne mnie mało obchodzą. A dzienniki wydawane w Biloxi czytują osiemdziesiąt procent mieszkańców okręgu Harrison, spośród których zostanie wybrana ława przysięgłych do mojego procesu.

Sandy uśmiechnął się szeroko, lecz zaraz spoważniał.

— Chyba krótko spałeś tej nocy, prawda?

— Nawet nie pamiętam, kiedy się porządnie wyspałem w ciągu tych czterech lat.

— To prawdziwa rewelacja.

— Nic podobnego. Jedynie drobny wybieg w celu uzyskania przewagi nad hienami krążącymi wokół moich zwłok. W ten sposób powinniśmy nieco pohamować ich zapędy, może nawet uda się wzbudzić odrobinę współczucia. Zastanów 92

się, Sandy. Przecież chodzi o agentów FBI torturujących poszukiwanego obywatela amerykańskiego.

— Powtarzam, że to rewelacja. Chcesz zaskarżyć tylko FBI?

— Tak, wystarczy. Nie będziemy się rozdrabniać. Przecież wystąpienie przeciwko FBI to jak pozwanie amerykańskiego rządu za spowodowanie permanentnych urazów fizycznych i psychicznych podczas brutalnego torturowania i przesłuchiwania w jakiejś kryjówce, w głębi brazylijskiej dżungli.

— Dla mnie to brzmi cudownie.

— Zabrzmi jeszcze lepiej, gdy tego typu sformułowania pojawią się w prasie.

— O ile chcesz wystąpić?

— Wszystko jedno. Dziesięć milionów odszkodowania za rzeczywiste obrażenia i sto za straty moralne.

Sandy zapisał te liczby w notatniku i obrócił kartkę. Z uwagą zajrzał Patrickowi w oczy.

— W rzeczywistości to wcale nie byli agenci FBI, zgadza się?

— Owszem. Zostałem porwany przez jakichś najemnych zbirów, którzy musieli mnie śledzić od dłuższego czasu. To oni przekazali mnie FBI. I nadal węszą gdzieś w Brazylii.

— Twoim zdaniem FBI wie o tej działalności?

— Na pewno.

Zapadła cisza. McDermott czekał na dalsze wyjaśnienia, ale Patrick milczał.

Z korytarza dolatywały odgłosy krzątania pielęgniarek.

Lanigan poprawił się w pościeli. Od trzech dni prawie bez przerwy leżał na wznak i miał już tego serdecznie dość.

— Wracaj szybko do biura, Sandy. Będziemy jeszcze mieć mnóstwo czasu na rozmowy. Dobrze wiem, że nurtują cię setki pytań, ale nie czuję się na siłach udzielać ci teraz odpowiedzi.

— Nie ma sprawy.

— Złóż ten pozew i zrób wokół niego tyle szumu, ile się tylko da. Później zawsze będziemy mogli wnieść poprawki i uściślić oskarżenie.

— Jasne. Zresztą nie po raz pierwszy będę świadomie występował przeciwko tym, którzy w niczym nie zawinili.

— To tylko wybieg. Bardzo by mi się przydało choć trochę ludzkiego współczucia.

Sandy pospiesznie schował fotografie i notatnik do aktówki.

— I uważaj na siebie — dodał Lanigan. — Kiedy tylko rozejdzie się wieść, że jesteś moim pełnomocnikiem, ściągniesz na siebie uwagę gromady paskudnych typków.

— Z prasy?

— Też, ale nie ich miałem na myśli. Zdefraudowałem kupę forsy, Sandy. Pewni ludzie gotowi byłiby na wszystko, byle ją tylko odnaleźć.

93

— Ile ci zostało z tej sumy?

— Wszystko, powiększone o procenty.

— Może dzięki tym pieniądzązom zdołasz się jakoś wybronić, przyjacielu.

— Na to liczę. Mam gotowy plan.

— Tak myślałem. Zatem do zobaczenia w Biloxi.

Rozdział 13

Plotka o kolejnym pozwie w sprawie Patricka Lanigana, który miał być złożony po południu, tuż przed zamknięciem kancelarii, rozeszła się lotem błyskawicy.

Dodatkowo atmosferę elektryzowała wiadomość, że sam Lanigan nazajutrz około południa ma zostać przewieziony do aresztu miejskiego.

Sandy poprosił kilku pismaków o zjawienie się w holu sądu okręgowego w porze, kiedy będzie składał pozew. Następnie rozdał wszystkim łowcom sensacji kopie przygotowanych dokumentów. Czekala na niego gromadka dziennikarzy z miejscowej prasy, dwóch reporterów z przenośnymi kamerami i jeden sprawozdawca lokalnej rozgłośni radiowej.

Panowało powszechne przekonanie, że chodzi o kolejne wystąpienie przeciwko Laniganowi, przygotowane przez złąknionego rozgłosu adwokata, któremu głównie zależy na umieszczeniu własnego nazwiska w prasie. Sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy Sandy obwieścił zebrany, iż reprezentuje Patricka. Niemal w jednej chwili tłum zgęstniał, przybiegli urzędnicy kancelarii, miejscowi prawnicy, nawet woźni. Stanowczym tonem McDermott poinformował wszystkich, że w imieniu swego klienta złożył właśnie pozew przeciwko służbom federalnym o fizyczne znęcanie się i torturowanie pojmanego.

Sandy spokojnym, zrównoważonym tonem odczytał główne punkty skargi, po czym z namysłem, pełnymi zdaniami zaczął odpowiadać na pytania, patrząc prosto w obiektywy kamer. Najważniejsze zachował na koniec. Sięgnął do aktówki i wyjął dwie kolorowe fotografie, specjalnie do tego wystąpienia powiększone do formatu trzydzieści na czterdzieści centymetrów i przyklejone do plastikowej tabliczki.

— Oto co zrobiono Patrickowi — oznajmił dramatycznym tonem.

Kamerzyści przysunęli się bliżej, żeby wykonać zbliżenia. W całej grupie zapanowało skrajne podniecenie.

— Naszprycowano go narkotykami, a następnie podłączono mu do ciała elektrody. Był torturowany tak, że skóra niemal paliła się na nim płomieniem, ponieważ nie mógł, nie potrafił odpowiedzieć na zadawane pytania. Szanowni państwo, tak działają przedstawiciele naszych władz, w taki właśnie sposób traktuje się 95

amerykańskich obywateli. Mam tu na myśli tych funkcjonariuszy, którzy mienią się agentami FBI.

Nawet najbardziej sceptyczni dziennikarze byli zaszokowani. Prezentacja odniosła pożądany skutek.

Lokalne stacje telewizyjne przedstawiły ten materiał już o szóstej wieczorem, poprzedzając go sensacyjnymi zapowiedziami. Połowę dzienników zajmowało wystąpienie McDermotta, drugą połowę informacje dotyczącego jutrzejsze-go przyjazdu Lanigana.

Późnym wieczorem sieć CNN zaczęła co pół godziny emitować komunikat, w którym rolę gwiazdora pełnił Sandy. Sformułowane przez niego oskarżenia okazały się na tyle rewelacyjne, że nie sposób było ich pominąć.

Hamilton Jaynes właśnie raczył się z przyjaciółmi drinkami w ekskluzywnym klubie golfowym na obrzeżach Alexandrii, kiedy zwrócił uwagę na wiadomości płynące ze stojącego w rogu sali telewizora. Wcześniej rozegrał długą partię golfa na osiemnastodołkowej trasie i był w pogodnym nastroju, zdołał się bowiem oderwać od spraw biura oraz problemów, jakich przysparzała mu praca zawodowa.

Ale teraz wyniknął kolejny kłopot. Patrick Lanigan wystąpił do sądu z oskar-

żeniem skierowanym przeciwko FBI. Jaynes przeprosił znajomych, przeniósł się na stołek przy barze i zaczął ze złością wciskać klawisze przenośnego telefonu.

W głębi olbrzymiego gmachu Hoovera przy Pennsylvania Avenue znajduje się długi ciąg pozbawionych okien pokoi, w których technicy śledzą audycje telewizyjne z całego świata. W innych salach prowadzony jest nasłuch i rejestracja informacyjnych programów radiowych. W jeszcze innych pracownicy czytają gazety i czasopisma. Przez kierownictwo FBI cała ta działalność nazywana jest po prostu gromadzeniem wiadomości.

Jaynes połączył się z oficerem dyżurnym nadzorującym techników i już po kilku minutach została sporządzona kopia zapisu prezentowanego przez CNN materiału. Pospiesznie wyszedł z klubu i pojechał do swego biura, mieszczącego się na drugim piętrze gmachu Hoovera. Stamtąd zadzwonił do prokuratora generalnego, który, jak można się było spodziewać, już od pewnego czasu usiłował złapać z nim kontakt. Krótka rozmowa nie była zbyt przyjemna, Jaynes nawet nie miał

możliwości powiedzenia czegokolwiek. Zdołał jedynie zapewnić prokuratora, że FBI nie ma absolutnie nic wspólnego z domniemanym torturowaniem Patricka Lanigana.

— Domniemanym?! — ryknął prokurator. — Czyż nie pokazywano w telewizji jego ran?! Do diabła, chyba cały świat już je widział!

— Ale to nie nasza sprawka, panie prokuratorze — odparł spokojnie Jaynes, mając pełną świadomość, że tym razem nie musi się uciekać do wykrętów.

— W takim razie czyja?! Czyżbyś i tego nie wiedział?

96

— Wiem.

— To dobrze. Jutro o dziewiątej rano ma się znaleźć na moim biurku trójstro-nicowy raport w tej sprawie.

— Będzie na pana czekał.

Prokurator cisnął słuchawkę na widełki. Jaynes zaklął pod nosem i wymierzył

solidnego kopniaka swemu biurku. Pospiesznie przeprowadził następną rozmowę, w wyniku której dwóch agentów opuściło swój posterunek i zapukało do drzwi domu państwa Stephano.

Jack również oglądał wieczorne wiadomości telewizyjne, toteż wcale go nie zaskoczyła błyskawiczna reakcja służb federalnych. Zaraz po pierwszej emisji wyszedł na patio i z telefonu komórkowego skontaktował się ze swoim adwokatem. Później doszedł do wniosku, że to nawet zabawne: za czyny jego ludzi miało odpowiadać FBI. Przyznał jednak w duchu, że to posunięcie Lanigana i jego peł-

nomocnika było iście mistrzowskie.

— Dobry wieczór — rzekł uprzejmie, otworzywszy drzwi. — Pozwolę sobie zgadywać. Zapewne sprzedajecie panowie pączki na cele dobroczynne.

— FBI — rzucił pierwszy z agentów, sięgając do kieszeni.

— Daruj to sobie, synu. Od razu was rozpoznałem. Kiedy widziałem was ostatnio, siedzieliście w samochodzie zaparkowanym przed skrzyżowaniem i pochylaliście głowy, żebym was nie dostrzegł. Czy naprawdę wierzyliście przed wstąpieniem do służby, że będziecie wykonywać tak odpowiedzialne zadania?

— Dyrektor Jaynes chciałby się z panem zobaczyć.

— Po co?

— Nie wiem. Polecił nam tylko przywieźć pana do jego biura.

— Hamilton często pracuje o tak późnej porze?

— Tak. Czy zechce pan pójść z nami?

— Mam rozumieć, że znowu jestem aresztowany?

— Nie, skądże!

— Więc o co tu chodzi? Chyba wiecie, że znam wielu doskonałych adwokatów. Bezzasadne aresztowanie może być podstawą wystąpienia do sądu.

Agenci popatrzyli na siebie. Niezbyt wiedzieli, jak się zachować.

Stephano ani trochę się nie bał spotkania z Jaynesem, gotów był rozmawiać nawet z wyżej postawionymi urzędnikami. Nie lękał się żadnych oskarżeń, jakie dyrektor biura mógł mu postawić.

Przypomniał sobie jednak, że już wcześniej wysunięto przeciwko niemu zarzuty o charakterze kryminalnym. W gruncie rzeczy nie miał innego wyjścia, jak pójść na współpracę.

— Będę gotowy za pięć minut — rzekł, zamykając drzwi.

Kiedy wprowadzono go do gabinetu Jaynesa, dyrektor stał przy biurku i prze-97
glądał jakieś grube sprawozdanie.

— Siadaj — rzucił opryskliwie, wskazując krzesło.

Dochodziła północ.

— Ja również ci życzę miłego wieczoru, Hamiltonie — rzekł Stephano, uśmiechając się szeroko.

Jaynes cisnął sprawozdanie na biurko.

— Może mi wytłumaczysz, co zrobiliście temu porwanemu facetowi?

— Nie wiem. Podejrzewam, że któryś z Brazylijczyków potraktował go trochę za ostro. Wyliże się z ran.

— Kto za to odpowiada?

— Czy nie powinienem wezwać swojego adwokata? Coś mi się zdaje, że jestem przesłuchiwany.

— Sam jeszcze nie zdecydowałem, czy należy cię przesłuchać. Dyrektor naczelny siedzi w domu, przy telefonie, i naradza się z prokuratorem generalnym, który bardzo źle przyjął ostatnie wiadomości. Obaj dzwonią tu co jakieś dwadzie-

ścia minut i kawałek po kawałku obdzierają mnie ze skóry. To poważna sprawa, Jack. Jasne? Wysunięte przeciwko nam oskarżenia są śmieszne, ale teraz cały świat ogląda w telewizji te przekłete zdjęcia i na pewno się zastanawia, dlaczego torturowaliśmy obywatela amerykańskiego.

— Jest mi cholernie przykro.

— Zaraz uwierzę. Może mi jednak powiesz, kto to zrobił?

— Tamtejsi wywiadowcy. Moi ludzie po otrzymaniu poufnych wskazówek na miejscu wynajęli grupę Brazylijczyków. Nie znam ani jednego nazwiska.

— Kto dał wam cynk?

— Naprawdę chciałbyś to wiedzieć?

— Tak, chciałbym.

Jaynes poluzował krawat i przysiadł na brzegu biurka, spoglądając z góry na Stephano. Ten zaś patrzył mu w oczy śmiało, bez cienia lęku. Widocznie był go-tów pójść na każdy układ z FBI, bo z pewnością miał do dyspozycji wyśmienitych adwokatów.

— Chcę ci przedstawić pewną propozycję — zaczął Jaynes. — Podsunął ją zresztą sam naczelny.

— Zamieniam się w słuch.

— Już jutro możemy aresztować Benny'ego Aricię. Starannie przygotowali-

śmy listę zarzutów. Zwołamy konferencję prasową i ujawnimy, że to on stracił

dziewięćdziesiąt milionów dolarów, dlatego też zatrudnił twoich agentów do odnalezienia Lanigana. Ci zaś poddali schwytanego torturom, lecz i tak nie zdołali się dowiedzieć, gdzie są pieniądze.

Stephano nie odpowiedział, słuchał z kamienną twarzą.

— A później aresztujemy obu prezesów towarzystw ubezpieczeniowych, At-tersona z Monarch-Sierra Insurance oraz Jilla z Northern Case Mutual. W ten sposób

sposób zlikwidujemy całe twoje konsorcjum. W ślad za funkcjonariuszami do gabinetów wkroczą ekipy reporterskie, a my, przed kamerami, skutych kajdankami prezesów wpakujemy do czarnych furgonetek i odstawimy do aresztu. Chyba się domyślasz, jaki będzie szum w mediach. Wszystkim damy jasno do zrozumienia, że właśnie ci prezesi wydatnie wspierali finansowo zlecenie Aricii, w ramach którego twoi ludzie w Brazylii naszprycowali Lanigana narkotykami. Przemyśl to, Stephano. Twoim klientom grozi aresztowanie i osadzenie w więzieniu.

W pierwszej chwili Jack chciał zapytać, jakim to sposobem FBI zdołało tak precyzyjnie zidentyfikować skład owego „konsorcjum”, ale zaraz przyszło mu do głowy, że nie było to aż tak trudne. Wystarczyło sporządzić listę osób, które straciły najwięcej na zniknięciu Lanigana.

— Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że tym samym wyeliminujemy cię z interesu — dodał Jaynes.

— A czego chcecie?

— Warunki umowy są dość proste. Ty nam powiesz wszystko: jak go odnaleźliście, ile wam powiedział i tak dalej. A mamy mnóstwo pytań. W zamian zrezygnujemy z wysuwania oskarżeń pod adresem twoim i twoich klientów.

— Rzekłbym, iż można to nazwać szantażem.

— Owszem, ale to my dyktujemy warunki. Jeśli ujawnimy knowania twoich klientów, ty zostaniesz wyeliminowany z interesu.

— To wszystko?

— Nie. Przy odrobinie szczęścia możemy zapuszkować również ciebie.

Z rozlicznych powodów należało przyjąć proponowaną ugode, a wcale nie najbliższym z nich była postawa pani Stephano, która czuła się upokorzona ciągłą obecnością przed ich domem agentów federalnych. Denerwowały ją telefony na podsłuchu, czego natychmiast się domyśliła, zaobserwowawszy, iż mąż wszelkie sprawy służbowe załatwia przez aparat komórkowy, wychodząc z nim na tylne podwórze. Była na pograniczu załamania nerwowego. Bez przerwy powtarzała Jackowi, że są przecież uczciwymi, praworządnyymi obywatelami.

Z drugiej strony — udając, że wie znacznie więcej niż w rzeczywistości —

Stephano znalazł się dokładnie na takiej pozycji w kontaktach z FBI, na jakiej pragnął się znaleźć. Mógł bowiem bez trudu wymigać się od stawianych mu zarzutów, ochronić dobre imię swoich klientów i co najważniejsze, wykorzystać agentów federalnych do odnalezienia zdefraudowanych pieniędzy.

— Będę się musiał naradzić z adwokatem — odparł.

— Proszę bardzo. Masz czas do piątej po południu.

Patrick obejrzał swe budzące grozę rany w wieczornym serwisie informacyjnym CNN, uśmiechając się na widok Sandy'ego, który przedstawiał dziennikarzom zdjęcia z dumną miną boksera prezentującego kibicom swój nowo zdobyty-99

ty pas mistrzowski. Materiał wyemitowano mniej więcej w środku godzinnego dziennika. Przedstawiciele FBI nie chcieli wygłosić żadnego oficjalnego komentarza, jak oznajmił reporter sfilmowany na tle waszyngtońskiego gmachu Hoovera.

Akurat w tym czasie Luis robił porządki w sali. Zastygł w bezruchu i nastawił

ucha, zerkając to na ekran telewizora, to na uśmiechniętego pacjenta. Dopiero po chwili zapytał niepewnym głosem, łamaną angielszczyzną:

— To moje zdjęcia?

— Tak — odparł Lanigan, z trudem powstrzymując wybuch gromkiego śmiechu.

— Moje zdjęcia! — z dumą powtórzył sanitariusz.

Wieść o amerykańskim prawniku, który upozorował własną śmierć, okradł

swoją kancelarię z dziewięćdziesięciu milionów dolarów, a cztery lata później został odnaleziony na pograniczu Brazylii, błyskawicznie obiegła cały świat zachodni. Najświeższe wiadomości w tej sprawie Eva przeczytała w amerykańskiej gazecie, popijając z wolna kawę pod rozłożystym parasolem w „Les Deux Ga-rons”, swojej ulubionej kafejce w Aix. Tego dnia pogoda się zepsuła, opadła mgła, stoliki i krzeselka wokół niej były mokre od siąpiącego deszczu.

Początek artykułu wydrukowanego na pierwszej stronie opisywał rozległe oparzeliny trzeciego stopnia, ale nie dołączono do niego fotografii. Mimo to opis był tak wstrząsający, że Eva włożyła ciemne okulary, by zamaskować łzy cisnące się jej do oczu.

Patrick wracał do Stanów. Poraniony i skrępowany niczym dzikie zwierzę miał

wyruszyć w tę jedyną, ostatnią podróż, której nieuchronność przeczuwał od dawna. Ona zaś musiała pozostać w ukryciu i dalej robić to, czego od niej żądał, modląc się najwyżej o bezpieczeństwo ich obojga. A podczas bezsennych nocy, podobnie jak on, wpatrywać się w sufit obcego pokoju i zadawać sobie w duchu nie kończące się pytania dotyczące ich wspólnej przeszłości.

Rozdział 14

Na podróż samolotem Patrick wybrał zielony strój chirurgiczny, podniszczony i bardzo obszerny, nie chciał bowiem urazić swoich świeżych ran. Chociaż mieli lecieć bezpośrednio do Biloxi, to i tak czekała ich ponad dwugodzinna podróż, wołał więc zapewnić sobie maksymalnie komfortowe

warunki. Lekarz, na wszelki wypadek, zaopatrzył go w fiolkę środków przeciwbólowych, wręczył też kartę chorobową. Patrick uprzejmie podziękował mu za opiekę. Serdecznie uściśnął

dłoń Luisowi i pożegnał się z wszystkimi pielęgniarkami.

Przed drzwiami czekał na niego agent Myers w towarzystwie czterech umundurowanych żandarmów.

— Mam dla ciebie propozycję, Patricku — rzekł. — Jeśli obiecasz, że nie będziesz próbował żadnych sztuczek, nie założę ci teraz kajdanków i nie skuję nóg. Ale tak czy inaczej po wylądowaniu będę musiał to zrobić.

— Dzięki — mruknął Lanigan, ruszając korytarzem w stronę wyjścia.

Nogi wciąż go bolały, od czubków palców aż do bioder, w dodatku nadwę-

żone kolana uginały się pod jego ciężarem. Mimo to kroczył z dumnie uniesionym czołem, skinieniem głowy żegnając napotkany personel szpitala. Zjechali windą do holu. Na podjeździe stała granatowa furgonetka z dwoma następnymi żandar-mami w środku, uzbrojonymi i tępo rozglądającymi się po pustych samochodach na parkingu. Korzystając z pomocy żołnierzy, Patrick wgramolił się do auta i zajął

miejsce w środkowym rzędzie foteli. Jeden z żandarmów podał mu tanie, plastikowe, ciemne okulary.

— Przydadzą się panu — rzekł. — Słońce praży jak cholera.

Furgonetka nie wyjechała poza teren bazy. Kierowca bez pośpiechu skierował wóz wąskim pasem błyszczącego jak szkło asfaltu, minął budkę wartowniczą i nie rozpędzając auta powyżej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, pojechał

na pas startowy. Podczas krótkiej podróży nie padło ani jedno słowo. Patrick bez zainteresowania spoglądał poprzez ciemne okulary i przydymione szyby na szeregi identycznych baraków, wśród których wyróżniał się budynek administracyjny, a na samym końcu duży hangar. Byłem tu nie więcej niż cztery dni — rozmy-

ślał — może nawet tylko trzy. I tego nie był pewien, otępiony narkotykami stra-101

cił rachubę czasu. Dmuchawa w furgonetce pracowała pełną mocą, dzięki czemu w środku dało się wytrzymać. Mocniej zacisnął palce na szarej kopercie z kartą chorobową, jakby była to dla niego jedyna realna rzecz.

Wrócił wspomnieniami do Ponta Pora, które nauczył się już traktować jak rodzinne miasto. Ciekawiło go, co tam się teraz dzieje. Czy przeszukano jego dom?

Czy gospodyni wciąż utrzymywała w nim porządek? Chyba nie. A jego samochód, mały czerwony „garbus”, którego tak bardzo polubił? Zdążył poznać zaledwie garstkę mieszkańców miasteczka. Ciekawe, co teraz o nim mówili. Pewnie nic.

Zresztą jakie to miało znaczenie? Bez względu na rodzaj plotek krążących w Ponta Pora pewne było to, że w Biloxi aż od nich huczy. Oto powracał syn mar-notrawny, bodaj najśłynniejszy mieszkaniec tego miasta w historii. Jak go tam powitają? Na pewno kajdankami i plikiem wezwań sądowych. A nie mogliby go wsadzić do odkrytego auta i przewieźć triumfalnie autostradą numer dziewięć-

dziesiąt, biegnącą wzdłuż wybrzeża, żeby w ten sposób uczcić jego sukces? Ostatecznie umieścił Biloxi na mapach, rozślawił je na cały świat. Bo czyż ktokolwiek inny był na tyle sprytny, żeby zwędzić dziewięćdziesiąt milionów dolarów?

Omam nie roześmiał się w głos z własnej głupoty.

Ciekawe też, gdzie go umieszczą. Pracując w kancelarii, zdążył poznać wszystkie okoliczne zakłady karne: areszt miejski w Biloxi, więzienie okręgu Harrison, a nawet areszt federalny w bazie lotniczej Keeslera. Musiałyby mieć jednak wiele szczęścia, żeby tam się znaleźć.

Zaczął się też zastanawiać, czy będzie w celi sam, czy umieszczą go wraz z pospolitymi złodziejami i bandziorami. Po chwili zaświtał mu pewien pomysł.

Szybko otworzył szarą kopertę i spojrzał na zalecenia lekarskie. Wyróżniało się wśród nich napisane drukowanymi literami zdanie: *PACJENT POWINIEN POZOSTA* '

C W SZPITALU

CO NAJMNIEJ PRZEZ TYDZIE '

N.

Dzięki Bogu! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? To pewnie przez narkotyki. W ciągu ostatniego tygodnia jego biedny organizm musiał przyjąć wię-

cej środków odurzających niż w całym dotychczasowym życiu. Luki w pamięci i trudności z kojarzeniem faktów na pewno były efektem działania farmaceutyków.

Należało jak najszybciej przesłać kopię owych zaleceń Sandy'emu, aby w Biloxi przygotowano dla niego stosowny pokój, gdzie będą się nim mogły troskliwie zaopiekować pielęgniarki. Wszak o taki rodzaju aresztu chodziło. Niech sobie gliniarze siedzą przed drzwiami, to już nie miało większego znaczenia. Koniecznie trzeba było wykorzystać okazję zapewnienia sobie w miarę komfortowych warunków, z dala od pospolitych przestępców.

102

— Muszę zadzwonić — oznajmił głośno, pochylając się w stronę kierowcy.

Ten jednak nie odpowiedział.

Zatrzymali się przy olbrzymim hangarze, obok transportowego odrzutowca stojącego przed otwartymi wrotami. Żandarmi zostali przy samochodzie, w peł-

nym słońcu, podczas gdy Myers zaprowadził Patricka do niewielkiego pokoiku.

Głośno wyrażał swe wątpliwości, czy powszechnie znane prawo więźnia do skontaktowania się z adwokatem dotyczy również możliwości przesyłania faksem jakichkolwiek dokumentów.

Wystarczyło jednak, że Lanigan tylko wspomniał o ewentualnej skardze przeciwko łamaniu podstawowych praw obywatelskich, i już kilka minut później spisane na karcie zalecenia lekarza zostały przefaksowane do biura McDermotta w Nowym Orleanie.

Po dłuższym pobycie w ubikacji Patrick dołączył wreszcie do swojej eskorty i bez pośpiechu wdrapał się na pokład wojskowego transportowca.

Wylądowali w bazie lotniczej Keeslera dwadzieścia minut przed dwunastą.

Patrick doznał drobnego rozczarowania, nie czekały na nich bowiem tłumy ga-piów. Nie było ani ekip telewizyjnych, ani rzeszy dziennikarzy. Nie pojawili się też dawni przyjaciele, żeby zaoferować mu swą pomoc w tej trudnej chwili.

Zgodnie z rozkazem dowódcy bazy lotnisko zostało zamknięte na kilka godzin. Dziennikarzom odmówiono prawa wstępu. Dlatego też grupa fotoreporterów musiała pozostać przed główną bramą, dwa kilometry od pasa startowego, skąd na wszelki wypadek sfotografowano moment lądowania wojskowego transportowca. Przedstawiciele prasy również doznali zawodu.

W głębi serca Lanigan bardzo liczył na to, że jego pojawienie się w drzwiach samolotu, ubranego w obszerny kaftan chirurgiczny, i powolne zejście po schodkach na ziemię z nogami skrępowanymi łańcuchem oraz rękoma skutymi kajdankami będzie miało wielu uważnych świadków. Sądził, że stosowne fotografie opublikowane w prasie także zrobią odpowiednie wrażenie na potencjalnych sędziach przysięgłych.

Jak należało się spodziewać, lokalne gazety umieściły wiadomość o jego pozwie przeciwko FBI na pierwszych kolumnach, okraszając ją reprodukcjami dwóch kolorowych zdjęć. Tylko w najbardziej zatwardziałyh sercach ta publi-kacja nie obudziła współczucia. Jego przeciwników, czyli przedstawicieli władz, prokuratury i policji, również musiała nieco ostudzić w zapędach. Lecz mimo to nadszedł dzień triumfu całego wymiaru sprawiedliwości, oto powracał bowiem jeden z najśłynniejszych oszustów, w dodatku dyplomowany prawnik! A jednak w miejscowej siedzibie FBI telefony zostały odłączone, nikt nie chciał rozmawiać z dziennikarzami. Jedyne Cutter wychylił nos na zewnątrz, choć i tak wymknął

się tylnym wyjściem. Uważał jednak za swój obowiązek osobiście powitać Lani-103

gana na lotnisku.

Czekał w towarzystwie szeryfa Sweeneya, dwóch oficerów lotnictwa oraz Sandy'ego McDermotta.

— Jak się masz, Patricku. Witaj w domu — rzekł szeryf.

Ten wyciągnął przed siebie skute kajdankami ręce.

— Witaj, Raymondzie — odparł z uśmiechem.

Znali się doskonale, gdyż prowadzenie praktyki adwokackiej zmusza do czę-

stych kontaktów z biurem szeryfa. A przed dziewięcioma laty, kiedy Lanigan rozpoczął karierę w Biloxi, Sweeney był już zastępcą szeryfa.

Cutter wystąpił do przodu i przedstawił się uprzejmym tonem, ale na brzmienie skrótu „FBI” Patrick natychmiast odwrócił się do Sandy’ego. Nieopodal czekała na nich granatowa furgonetka, dokładnie taka sama, jaką podstawiono pod szpital na Portoryko. Wszyscy wsiedli do środka, Lanigan znalazł się na tylnym siedzeniu obok swojego adwokata.

— Dokąd jedziemy? — zapytał szeptem.

— Do szpitala na terenie bazy — wyjaśnił Sandy. — Z oczywistych powodów.

— Dobra robota.

Powoli dojechali na skraj lotniska i minęli budkę wartownika, który jedynie na moment uniósł wzrok znad gazety. Skręcili następnie w opustoszałą uliczkę przecinającą osiedle domków kadry oficerskiej.

Życie zbiega wypełniały koszmarny senne, powracające każdej nocy, bądź nie mniej koszarne wizje wypełniające na jawie chwile zamyślenia. Większość z nich budziła przerażenie, dotyczyła bowiem owych mrocznych cieni, gromadzą-

cych się wokół człowieka niczym chmury burzowe. Zdecydowanie rzadziej pojawiały się marzenia czy sny o cudownej przyszłości, wolnej od wszelkich zmartwień. Życie uciekiniera niemal całkowicie zależało od przeszłości, od której nie można się było odizolować.

Ale trafiały mu się też sny na temat powrotu w rodzinne strony. Powracały pytania: Kto może tu na niego czekać? W jakim stopniu zmieniło się życie w mie-

ście? O jakiej porze roku wypadnie ów powrót? Ilu przyjaciół będzie nadal chciało go widzieć, a ilu zacznie go unikać? On sam tęsknił zaledwie za garstką osób, nie był jednak wcale pewien, czy te same osoby będą się jeszcze chciały przyznawać do dawnej znajomości. Nie wiedział, czy zostanie uznany za trędowatego, czy jego powrót wzbudzi gorący entuzjizm. Podejrzewał jednak, że ani jedno, ani drugie.

Gdzieś w głębi duszy odczuwał ulgę, że w końcu wszystko dobiegło końca.

Piętrzyły się przed nim olbrzymie kłopoty, ale na pewno mógł już zapomnieć o koszarach z przeszłości. W gruncie rzeczy nigdy nie zdołał się całkowicie przystosować do tego życia w ustawicznym strachu. Nawet świadomość dysponowania ogromną fortuną nie tłumiała dręczących obaw. Od początku zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później musi kiedyś nadejść ten dzień.

mnóstwo pieniędzy. Gdyby chodziło o mniejszą sumę, być może poszkodowani zaniechaliby kosztownych poszukiwań.

W czasie krótkiej podróży zwrócił uwagę na parę drobnych rzeczy. Tutejsze podjazdy przed domami były wylane asfaltem, co niezmiernie rzadko spotykało się w Brazylii, a przynajmniej w Ponta Pora. Dzieci nosiły tu obuwie sportowe, podczas gdy mali Brazylijczycy kopali piłkę bosą, przez co skóra na podeszwach ich stóp stawała się twarda jak kamień. Nagle Patrickowi zamarzył się powrót na Rua Tiradentes, gdzie po chodnikach zawsze kręciły się grupki chłopców szukających przeciwników do rozegrania meczu.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Sandy.

W milczeniu skinął głową. Wciąż miał na nosie ciemne okulary.

McDermott sięgnął do aktówki i wyciągnął egzemplarz miejscowej porannej gazety. Na pierwszej stronie wielki nagłówek obwieszczał: *LANIGAN OSKAR*

ZA FBI O TORTUROWANIE

IDR

ECZENIE FIZYCZNE

Dwa powiększone zdjęcia zajmowały niemal połowę pierwszej kolumny.

Patrick spoglądał na nie przez chwilę, po czym rzekł:

— Później to przeczytam.

Cutter siedział tuż przed nim i jak można było podejrzewać, wsłuchiwał się w oddech więźnia. Wolał nie nawiązywać żadnej rozmowy, co zresztą bardzo Laniganowi odpowiadało. Furgonetka wjechała na parking przed budynkiem szpitala, kierowca zatrzymał wóz na wprost wejścia do izby przyjęć. Patrycka poprowadzono długim korytarzem ku grupie pielęgniarek, które z wyraźnym zainteresowaniem obejrzały nowego pacjenta. Towarzyszyło im dwóch techników z laboratorium analitycznego. Jeden z nich, widocznie chcąc się popisać, rzucił wesoło:

— Witamy w domu, Patricku.

Nie wypełniano jednak żadnych formularzy, nikt nie pytał, czy jest ubezpieczony lub kto zapłaci za kurację. Zawieziono go od razu na drugie piętro i umieszczono w izolatce na końcu skrzydła. Najpierw Cutter wygłosił krótką listę zakazów i ostrzeżeń, później uzupełnił ją szeryf. Posiłki miały być dostarczane do strzeżonego pokoju, więźniowi umożliwiano ograniczony dostęp do telefonu.

Okazało się, że niewiele więcej mogą dla niego zrobić. Po paru minutach wszyscy wyszli, został jedynie Sandy.

Patrick usiadł na skraju łóżka i wyciągnął przed siebie nogi.

— Chciałbym się zobaczyć z matką — powiedział.

— Jest już w drodze, powinna tu być o pierwszej.

— Dzięki.

— A co z twoją żoną i córką?

105

— Pragnąłbym się spotkać z Ashley Nicole, ale jeszcze nie teraz. Na pewno mnie nie pamięta. Obecnie chyba sądzi, że jestem jakimś potworem. A z oczywistych powodów w ogóle nie mam ochoty na spotkanie z Trudy.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Wrócił szeryf Sweeney z dość grubym plikiem papierów.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam, Patricku, ale tu chodzi o sprawy urzędowe. Wolałbym to jak najszybciej mieć za sobą.

— Oczywiście, szeryfie — mruknął Lanigan, szykując się na najgorsze.

— Przykro mi, ale to mój obowiązek. Więc przede wszystkim oto kopia zatwierdzonego przez komisję przysięgłych okręgu Harrison aktu oskarżenia o popełnienie morderstwa z premedytacją.

Patrick wziął dokumenty i nawet nie spojrzawszy, przekazał je McDermottowi.

— Tu zaś jest pozew rozwodowy złożony przez Trudy Lanigan, mieszkającą obecnie w Mobile.

— Co za niespodzianka! Jakie mi stawia zarzuty?

— Nie czytałem uzasadnienia. Tu jest kopia pozwu wystosowanego przez niejakiego Benjamina Aricię.

— Kogo? — zapytał Patrick z uśmiechem.

Szeryf zachował jednak powagę.

— Oto pozew złożony przez twoich dawnych kolegów z kancelarii adwokackiej.

— Ile żądają? — Lanigan bez wahania przyjął kolejny dokument z rąk Sweeney'a.

— Nie czytałem go. Tu mam kolejny pozew, złożony przez towarzystwo ubezpieczeniowe Monarch-Sierra.

— Ach, tak, przypominam sobie tych ludzi.

Patrick podał ostatnie papiery Sandy’emu, który obecnie trzymał cały stosik, jaki przyniósł szeryf.

— Przykro mi, Patricku — mruknął Sweeney.

— To wszystko?

— Na razie. Wracając do biura, zajrzę do kancelarii sądu i sprawdzę, czy nie wpłynęły jakieś następne skargi na ciebie.

— Możesz je od razu przekazywać Sandy’emu, to bardzo rzutki adwokat.

Lanigan nie miał już rąk skrępowanych kajdankami, więc jeszcze raz serdecznie uścisnęli sobie dłonie i szeryf wyszedł.

— Zawsze lubiłem Raymonda — oznajmił Patrick.

Wstał z łóżka, oparł pięści na biodrach i zaczął powoli robić przysiad. Szybko jednak wyprostował się z powrotem.

— Jeszcze długo nie wrócę do siebie, Sandy. Odnoszę wrażenie, że bolą mnie nawet kości.

106

— Doskonale, to nam pomoże w naszej sprawie. — McDermott przeglądał odebrane dokumenty. — Oho, Trudy musiała być naprawdę wściekła na ciebie.

Zażądała, żebyś całkowicie zniknął z jej życia.

— Sam się o to starałem. Jakie stawia zarzuty?

— Ucieczka i porzucenie. Znęcanie się psychiczne.

— To trudno jej będzie udowodnić.

— Masz zamiar się bronić przed tymi zarzutami?

— To zależy, czego się domaga.

Sandy przerzucił kartkę.

— No cóż, lista żądań jest dosyć długa. Trudy domaga się rozvodu i powierzenia jej całkowitej opieki nad córką, włącznie z pozbawieniem ciebie praw rodzicielskich, jak również prawa do okresowych spotkań z dzieckiem. Żąda przyznania jej prawa własności do całego wspólnego majątku, ruchomego i nieruchomego, jakim dysponowaliście w chwili twojego zniknięcia. . . właśnie tak to określa, wszędzie używa słowa „zniknięcie”. . . Ponadto. . . o, jest tutaj. . . stosow-

nego odszkodowania, proporcjonalnego do twoich zysków osiągniętych od czasu zniknięcia.

— No, no! Też mi niespodzianka.

— W każdym razie to wszystko, czego się domaga w uzasadnieniu pozwu.

— Dam jej rozwód, Sandy, bez większych sprzeciwów. Lecz wcale nie dostanie go tak gładko, jak podejrzewa.

— Co masz na myśli?

— Porozmawiamy o tym później. Jestem zmęczony.

— Mamy wiele spraw do omówienia, Patricku. Nie wiem, czy na pewno sobie uświadamiasz, że chodzi o sprawy niecierpiące zwłoki.

— Później. Teraz muszę odpocząć. Zresztą niedługo będzie tu mama.

— Jak sobie życzysz. Weź tylko pod uwagę, że zanim dotrę do swego biura, przebiję się przez nowoorleańskie korki i znajdę miejsce do zaparkowania, miną co najmniej dwie godziny. Może ustalmy już teraz, kiedy będziesz chciał ze mną porozmawiać.

— Przykro mi, Sandy, ale naprawdę jestem zmęczony. Co powiesz na jutrzejszy ranek? Jak się wyśpię, będziemy mogli rozmawiać choćby i cały dzień.

McDermott uśmiechnął się i wsunął dokumenty do aktówki.

— Doskonale, przyjacielu. Zatem przyjadę tu o dziesiątej.

— Dzięki, Sandy.

Po wyjściu adwokata Patrick wyciągnął się na łóżku, lecz dane mu było odpoczywać nie dłużej niż osiem minut. Do salki wtoczyła się bowiem liczna grupa kobiet z personelu szpitala.

— Dzień dobry, mam na imię Rose i jestem przełożoną pielęgniarek. Musimy pana teraz przebadać. Czy byłby pan uprzejmy zdjąć koszulę?

107

Nie czekając na odpowiedź, Rose zaczęła go pospiesznie rozbierać. Dwie in-ne pielęgniarki, o równie obfitych kształtach jak przełożona, zajęły posterunki po obu stronach łóżka, żeby jej pomóc. Wyglądało na to, że doskonale się bawią.

Jeszcze inna kobieta stanęła nad nim z termometrem i całą tacą różnych przyrzą-

dów. Laborantka w białym fartuchu puściła do niego oko ponad ramieniem koleżanki. Po chwili przy drzwiach stanął na straży sanitariusz w pomarańczowym stroju. Owa grupa działała jednak dość

sprawnie i w ciągu kwadransa zakończy-

ła szereg podstawowych badań, które pacjent znosił ze stoickim spokojem, leżąc z zamkniętymi oczyma. Wreszcie znów został sam w pokoju.

Spotkanie z matką rozpoczęło się od łez. Przeprosił ją tylko raz, krótko, za wszystko jednocześnie. Ona zaś natychmiast mu wybaczyła, okazując typowo matczyną pobłażliwość. Radość ze spotkania przyćmiła wszelkie żale czy urazy, jakie mogła do niego żywić przez ostatnie cztery dni.

Sześćdziesięcioośmioletnia Joyce Lanigan cieszyła się dobrym zdrowiem, narzekała tylko trochę na zbyt duże ciśnienie. Jej mąż, ojciec Patricka, przed dwudziestu laty porzucił ją dla znacznie młodszej kobiety, później natomiast zmarł na atak serca. Żadne z nich nie pojechało na jego pogrzeb do Teksasu. Drugą żonę pozostawił w ciąży. Jej syn, czyli przyrodni brat Patricka, w wieku siedemnastu lat zastrzelił dwóch tajnych agentów służb antynarkotykowych i obecnie czekał

na wykonanie wyroku śmierci w więzieniu Huntsville w Teksasie. O tej czarnej stronie w historii rodziny nie wiedział nikt w Nowym Orleanie czy Biloxi. Patrick nigdy o tym nie powiedział nawet swojej żonie, Trudy. Nie zdradził tego również przed Evą, bo i po co miałyby to robić?

Los okazał się przekorny, teraz bowiem i Patrickowi groził najwyższy wymiar kary. Różnica polegała jedynie na tym, że w sprawie starszego z przyrodnych braci wyrok jeszcze nie zapadł.

W chwili odejścia ojca Patrick studiował w college'u. Matka bardzo źle zniosła niespodziewany przeskok do sytuacji rozwódki w średnim wieku, nigdzie do-tąd nie pracującej i nie mającej żadnego zawodu. Warunki uzyskanego rozwodu pozwoliły jej zatrzymać dom oraz zapewniły tylko tak skromne alimenty, aby nie przymierała głodem. Znalazła sobie zajęcie jako okresowa opiekunka do dzieci w pobliskiej szkole podstawowej, nie lubiła jednak tej pracy. Zdecydowanie bardziej wolała rolę gospodyni domowej, zajmującej się ogródkiem, śledzącej wszystkie tasiemcowe seriale w telewizji i plotkującej przy herbatce ze starszymi damami z sąsiedztwa.

Tryb życia matki zawsze robił na Patricku przygnębiające wrażenie, zwłaszcza po odejściu ojca. Nie przejmował się tym jednak zanadto, gdyż nie cierpiał

ojca i w żadnej mierze nie planował pójść w jego ślady. Jakimś cudem zdołał na-mówić matkę do znalezienia sobie zajęcia, skonkretyzowania jakiegoś życiowego 108

celu i wykorzystania odzyskanej nagle swobody. Tylko dzięki niemu w jej życiu nastąpiły jakiegokolwiek zmiany.

Mimo to wciąż lubiła się wszystkim zamartwiać. Niepokoiła się, że w miarę rozwoju kariery adwokackiej syn coraz więcej czasu spędza w biurze, tym samym dla niej mając go coraz mniej. Później zaś, kiedy ożenił się z kobietą, której ona nie potrafiła zaakceptować, jej udreki sięgnęły zenitu.

Wypytywał ją o losy ciotek, wujków i dalszych kuzynów, z którymi utracił

kontakt na długo przed swą pozorowaną śmiercią i o których w ogóle nie myślał

w ciągu minionych czterech lat. Teraz pytał wyłącznie z grzeczności. Na szczęście wszyscy miewali się dobrze.

Ale nie chciał się widzieć z nikim z rodziny.

Oni jednak pragnęliby złożyć mu wizytę.

To dziwne, skoro nigdy przedtem nie wyrażali takich chęci.

Ale teraz martwili się jego losem.

To również było dziwne.

Rozmawiali tak przez dwie godziny, niezbyt sobie zdając sprawę z upływu czasu. Co zrozumiałe, matka zwróciła uwagę na jego sylwetkę.

— Wyglądasz niezdrowo — orzekła.

Dokładnie obejrzała zmieniony zarys nosa i brody, przyciemnione włosy oraz śniadą cerę. Zasypała go czułymi słowami matczynego przywiązania. Wreszcie ruszyła w powrotną podróż do Nowego Orleanu. Obiecał utrzymywać z nią bliż-

szy kontakt.

Zawsze tak samo obiecywał — pomyślała, wsiadając do taksówki — ale rzadko dotrzymywał danego słowa.

Rozdział 15

Zająwszy pokój w hotelu „Hay-Adams”, Stephano poświęcił cały ranek na wydawanie telefonicznych instrukcji swoim współpracownikom. Bez trudu przekonał Benny’ego Aricię, iż FBI zamierza go aresztować, wciągnąć do kartoteki, pobrać odciski palców i poddać szczegółowemu przesłuchaniu. Podobne przekonanie takich indywiduów, jak Paul Atterson, prezes towarzystwa Monarch-Sierra, oraz Frank Jill z Northern Case Mutual nie wymagało żadnych szczególnych umiejętności. Obaj byli typowymi przedstawicielami bogatej klasy urzędniczej, zatrudniającymi rzeszę pracowników fizycznych w celu uwalniania się od wszelkich tego typu kłopotów. Według ich punktu widzenia aresztowania i przesłuchania zdarzały się wyłącznie przedstawicielom niższych warstw społecznych.

W dodatku służby federalne bardzo mu pomogły. Hamilton Jaynes porozsy-

łał swoich ludzi do biur obu towarzystw, Monarch-Sierra w Palo Alto oraz Northern Case Mutual w Saint Paul, wydając polecenia, by agenci zasypali prezesów szczegółowymi pytaniami dotyczącymi akcji poszukiwania i porwania Patricka Lanigana.

I podczas przerwy na lunch obaj przestraszeni finansiści sami skontaktowali się ze Stephano,

stanowczo nakazując mu „odwołać swoje psy”. Poszukiwania dobiegły końca, powinien więc teraz pójść na pełną współpracę z FBI i — na miłość boską! — uczynić wszystko, by te wstrętne typki już nigdy więcej nie nachodziły ich w biurze. Przeżyli bowiem głębokie upokorzenie.

W ten sposób konsorcjum przestało istnieć. Stephano zdołał je utrzymać w całości przez cztery lata, wzbogaciwszy się tym sposobem prawie o milion dolarów.

To nic, że wydał aż dwa i pół raza więcej na poszukiwania, skoro udało się zakończyć je sukcesem. Wszak odnaleźli Lanigana. Nie wpadli jeszcze na trop dziewięćdziesięciu milionów dolarów, wiedzieli jednak, że pieniądze ciągle istnieją, nie zostały roztrwonione. Nadal była więc realna szansa na ich odzyskanie.

Przez cały ranek Benny Aricia siedział wraz z nim w pokoju hotelowym, czytał gazety i również dzwonił we własnych sprawach, zarazem uważnie śledząc 110

poczynania Stephano. W którymś momencie połączył się ze swoim adwokatem z Biloxi, chcąc usłyszeć z pierwszych ust relację na temat powrotu Lanigana.

I jego zdziwiło, że owo zdarzenie nie wywołało większej sensacji. O dwunastej obejrzeni w telewizji wiadomości lokalne, w których wreszcie podano informację o przywiezieniu Patricka, uzupełniając ją zdjęciami wojskowego odrzutowca łą-

dującego w bazie Keeslera. Ale dziennikarze nie potrafili nic więcej powiedzieć.

W krótkiej migawce szeryf Sweeney potwierdził tylko, że rzeczywiście więzień znajduje się już w Stanach Zjednoczonych.

Magnetofonowy zapis przebiegu tortur Aricia przesłuchał trzykrotnie, po wiele razy odtwarzając te fragmenty, które sprawiały mu wyjątkową przyjemność.

Ostatnio słuchał całości dwa dni wcześniej, z kasyety puszczonej na słuchawki z walkmana, w przedziale pierwszej klasy samolotu lecącego do Miami, kiedy to z szerokim uśmiechem odbierał mrozące krew w żyłach wrzaski torturowanego człowieka. Albowiem w minionych latach Aricia niewiele miał okazji do radości.

Teraz także był pewien, że Lanigan wyznał wszystko, co wie, ale to im przecież nie mogło wystarczyć. Doskonale zdawał sobie sprawę, iż pewnego dnia zostanie schwytany, dlatego też wcześniej znalazł odpowiednią lokatę dla skradzionych pieniędzy i zatrudnił fachowca do opieki nad nimi, nie życząc sobie znać jakichkolwiek szczegółów prowadzonych operacji. To było iście genialne posunięcie, Patricka należało za to jedynie darzyć podziwem.

— Ile zajmie odnalezienie tej dziewczyny? — zapytał Stephano, kiedy dostarczono im do pokoju zupę zamówioną na lunch.

Mało go obchodziło, że w ostatnich dniach to samo pytanie zadawał wielokrotnie.

— Ile zajmie czy ile będzie kosztować?

— No więc ile będzie kosztować?

— Nie umiem powiedzieć. Nie mamy pojęcia, dokąd poleciała i gdzie się ukrywa. Podejrzewam jednak, że powinna się ujawnić w Biloxi, ponieważ on wła-

śnie tam przebywa. W ten sposób ułatwi nam zadanie.

— Ile?

— Na początek, powiedzmy, sto tysięcy, i to bez żadnych gwarancji powodzenia. Wyłóż forszę, a gdy już będzie po wszystkim, błyskawicznie zwiniemy żagle.

— Jak wielkie jest niebezpieczeństwo, iż gliny się dowiedzą, że nadal prowadzimy poszukiwania?

— Znikome.

Benny w zamyśleniu pomieszał łyżką zupę pomidorową z makaronem. Do tej pory zlecenie kosztowało go milion dziewięćset tysięcy, byłoby więc głupotą zrezygnować tuż przed osiągnięciem końcowego sukcesu. Ponościł ogromne wydatki, ale u kresu mógł bardzo wiele zyskać. Zresztą należało zachować konsekwencję, prowadził tę grę już od czterech lat.

— A jeśli ją znajdziecie? — spytał.

111

— Zmusimy do mówienia.

Skrzywił się jednak na samą myśl o ewentualności poddania kobiety takim samym torturom, jakie zastosowali wobec Patricka.

— Pozostaje jeszcze adwokat Lanigana — rzekł po chwili Aricia. — Czy możesz założyć mu podsłuch telefoniczny, żebyśmy wiedzieli, o czym rozmawia ze swoim klientem? Na pewno wypłynie między nimi sprawa pieniędzy.

— To by się dało zrobić. Nie wiem tylko, czy warto.

— Czy warto? Przecież tu chodzi o dziewięćdziesiąt milionów dolarów, Jack.

Nawet odliczywszy trzecią część należną kancelarii Lanigana, i tak warto podjąć każdy wysiłek.

— Wkroczylibyśmy jednak na śliski grunt. Ten facet nie jest idiotą, a jego klient spróbuje zachować maksimum ostrożności.

— Daj spokój. Podobno jesteś najlepszy w tej branży. Na razie mogę jedynie potwierdzić, że twoje usługi są najdroższe.

— Zrobimy rozpoznanie. Poobserwujemy go przez parę dni, zbadamy możliwości. Nie ma pośpiechu, jego klient już się donikąd nie wybiera. Obecnie wolał-

bym się skoncentrować na problemie uwolnienia nas od agentów federalnych.

Najpierw muszę przeprowadzić kilka tak podstawowych rzeczy, jak ponowne otwarcie mego biura i oczyszczenie go z urządzeń podsłuchowych.

Aricia lekceważąco machnął ręką.

— A ile mnie to będzie kosztowało?

— Nie wiem, porozmawiamy o tym później. Teraz skończ zupeł. Prawnicy na nas czekają.

Stephano wyszedł pierwszy. Z daleka pomachał ręką dwóm agentom FBI czekającym w samochodzie ustawionym pod zakazem parkowania, nieopodal wej-

ścia do hotelu. Ruszył energicznym krokiem w stronę swojego biura oddalonego o kilkaset metrów. Benny odczekał dziesięć minut, po czym także wyszedł

i wsiadł do taksówki.

Popołudnie spędzili w sali konferencyjnej, w licznym towarzystwie adwokatów i aplikantów sądowych. Warunki porozumienia uzgadniano metodą przesyłania faksów między biurem detektywa a siedzibą FBI. W końcu obie strony poczu-

ły się usatysfakcjonowane. Zrezygnowano ze stawiania Stephano zarzutów natury kryminalnej oraz nękania jego zleceniodawców. Służby federalne uzyskały w zamian pisemną obietnicę ujawnienia wszelkich informacji związanych z akcją poszukiwania oraz schwytania Patricka Lanigana.

Detektyw rzeczywiście miał zamiar ujawnić prawie wszystkie zdobyte informacje. Poszukiwania dobiegły końca, uznał więc, że nie musi już niczego ukrywać. Ponadto brutalne przesłuchanie niewiele dało, jeśli nie liczyć nazwiska prawniczki zajmującej się lokatą pieniędzy. Ta jednak również zniknęła, Stephano zaś wątpił, aby FBI chciało poświęcać czas i fundusze na jej wytropienie. Bo i cze-112

muż miałoby się tym zajmować? Ostatecznie skradzione pieniądze były własno-

ścią prywatną.

Starał się niczego po sobie nie okazywać, ale głównie zależało mu na jak naj-szybszym uwolnieniu się spod kurateli służb federalnych. Jego żona zaczynała się uciekać do poważnych gróźb, w domu panowała niezwykle napięta atmosfera. Gdyby w dodatku nie podjął szybko przerwanej działalności biura, zostałby z pewnością wyeliminowany z interesu.

Dlatego też zdecydował, że powinien wyjawić FBI prawdę, a przynajmniej większość poznanych faktów. Zamierzał po raz kolejny przyjąć pieniądze od Benny'ego i dalej prowadzić poszukiwania

dziewczyny, licząc na jakiś łut szczęścia.

Już wcześniej wysłał kilku swoich ludzi do Nowego Orleanu z zadaniem podjęcia obserwacji adwokata Lanigana. W końcu FBI nie musiało wiedzieć o tego typu szczegółach.

W gmachu służb federalnych w Biloxi nie było żadnego wolnego pokoju, to-też Cutter zwrócił się do szeryfa z prośbą o znalezienie zacisznego kąta w budynku aresztu miejskiego. Sweeney spełnił ją niechętnie, gdyż niezbyt mu było w smak udostępnianie FBI swego biura. Uporządkował jednak podręczny magazyn, po czym nakazał wstawić tam stół i kilka krzeseł. Pospiesznie ochrzczono to pomieszczenie pokojem Lanigana.

Do tej pory nie zebrano zbyt wiele materiału dowodowego. Nikt nie podejrzewał morderstwa po śmierci Patricka, toteż nie gromadzono żadnych przedmiotów z miejsca wypadku, przynajmniej przez pierwszych sześć tygodni. Kiedy zaś zniknęły pieniądze i pojawiły się zadziwiające plotki, było już za późno na cokolwiek.

Cutter i Ted Grimshaw, główny oficer dochodzeniowy policji okręgu Harrison, starannie przejrzeni i uporządkowali skąpą dokumentację. Przynajmniej dysponowali dziesięcioma powiększonymi fotografiami wypalonego chevroleta blazera, które teraz porozklejali na ścianie. Zdjęcia te przed czterema laty sporzą-

dził właśnie Grimshaw.

Wówczas wiedziano tylko, że wybuchł nadspodziewanie gwałtowny pożar, ale teraz już można się było domyślać przyczyn. Jedynie bardzo wysoka temperatura mogła doprowadzić do stopienia aluminiowych ram foteli, rozprysnięcia się szyb w drobny mak, doszczętnego wypalenia deski rozdzielczej oraz niemal całkowitego zwęglenia szczątków człowieka. Aż sześć fotografii ukazywało właśnie tę niewielką kupkę popiołów — z jedynym wyróżniającym się elementem, bieleją-

cym kawałkiem kości biodrowej — spoczywającą z przodu na podłodze auta, pod siedzeniem pasażera. Samochód najpierw stoczył się z wysokiego nasypu autostrady, kilkakrotnie koziółkując przez dach, a zapalił się na dole, kiedy spoczął

nieruchomo na prawym boku.

113

Szeryf trzymał wrak na miejskim parkingu przez miesiąc, po czym, wraz z trzema innymi gruchotami, sprzedał na złom. Dopiero później zaczął żałować tej decyzji.

Kilka innych fotografii przedstawiało miejsce wypadku po usunięciu auta, a więc głównie osmalone drzewa i krzaki. Ochotnicy ze straży przez godzinę walczyli z płomieniami, zanim zdołali stłumić pożar.

W tej sytuacji kremacja resztek człowieka była wszystkim na rękę. Według pisemnego oświadczenia Trudy, złożonego miesiąc po pogrzebie, Patrick znacznie wcześniej zdecydował, że jego zwłoki mają zostać spopielone, a prochy po-chowane na cmentarzu Locust Grove, najładniejszym ze

wszystkich cmentarzy w okręgu. Owo postanowienie zapadło niemal jedenaście miesięcy przed wypadkiem. Dokonał wówczas stosownej zmiany w testamencie, wyznaczając na egzekutora swej ostatniej woli żonę, Trudy, a gdyby to ona zmarła pierwsza, o kremację jego zwłok miał zadbać Karl Huskey. W testamencie znalazły się też pewne szczegóły dotyczące samego pochówku oraz ceremonii pogrzebowej.

Jako powód wprowadzonych zmian Patrick podawał przykład jednego ze swoich klientów, który niedostatecznie zatroszczył się o te sprawy, w związku z czym najbliższa rodzina przez miesiąc toczyła zaciekle spory w kwestii pogrzebu, on zaś niechcący stał się jedną ze stron konfliktu. Podjąwszy decyzję, zmusił nawet Trudy do odwiedzenia cmentarza i wybrania najlepszego miejsca na ich wspólny pomnik. Ale już wtedy oboje zdawali sobie sprawę, że gdyby jemu coś się przytrafiło, ona pospiesznie wyprowadzi się z miasta.

Podczas oględzin zwłok Grimshaw usłyszał od grabarza, iż dziewięćdziesiąt procent aktu kremacji dokonało się już we wnętrzu auta. Tamten po zważeniu szczątków stwierdził, że wystarczy umieścić je zaledwie na godzinę w piecu o temperaturze dwóch tysięcy stopni. Orzekł też, że jeszcze nigdy w życiu nie widział, aby po jakimkolwiek wypadku pozostało z człowieka jedynie sto pięć-

dziesiąt gramów zwęglonych resztek. Co zrozumiałe, nie potrafił też powiedzieć o nich niczego konkretnego, ani określić płci, rasy czy wieku, ani też ocenić, czy człowiek żył jeszcze w chwili wybuchu pożaru. Nawet nie próbował snuć żadnych przypuszczeń, oznajmiwszy, iż byłoby to jak wróżenie z fusów.

Nie mieli zatem ani zwłok, ani raportu z autopsji. Ofiara pozostawała nieznaną. Wiadomo, że ogień to najlepszy środek na zniszczenie dowodów przestępstwa, a Lanigan postarał się precyzyjnie zatrzeć swoje ślady.

Spędził wówczas tydzień w niewielkim domku myśliwskim niedaleko miasteczka Leaf, w okręgu Greene, na skraju parku narodowego De Soto. Wraz z przyjacielem ze studiów, pracującym obecnie w Jackson, kupili ten domek dwa lata wcześniej, snując rozległe plany jego przebudowy. W gruncie rzeczy była to skromna drewniana chatka. Jesienią i zimą polowali wspólnie na sarny, wiosną zaś

na bażanty. W miarę jak pożycie z żoną coraz bardziej się nie układało, Patrick częściej wyjeżdżał tam na całe weekendy. Od Biloxi dzieliło go zaledwie półtorej godziny jazdy samochodem. Często zabierał ze sobą jakieś papiery, powtarzając, iż znakomicie mu się pracuje w ciszy i spokoju. Tymczasem przyjaciel zaglądał

tam coraz rzadziej.

Trudy tylko udawała, że dąsa się na jego wyjazdy, bo w rzeczywistości Lance bez przerwy krążył wokół ich domu, czekając z niecierpliwością, aż Lanigan się stamtąd wyniesie.

Dziewiątego lutego 1992 roku, w niedzielę wieczorem, Patrick zadzwonił

z domku myśliwskiego, uprzedzając Trudy, że za parę minut wyruszy w drogę powrotną. Skończył

pisać obszernie uzasadnienie do jakiejś apelacji i był zmęczony. Lance niezbyt chętnie zaczął się zbierać i wyszedł godzinę po tej rozmowie telefonicznej.

Patrick zatrzymał się przed całodobowym sklepem Verhalla przy autostradzie numer piętnaście, na granicy okręgów Stone i Harrison. Na stacji benzynowej kupił czterdzieści litrów paliwa, rachunek w wysokości czternastu dolarów i dwudziestu jeden centów uregulował kartą kredytową. Porozmawiał krótko z panią Verhall, wiekową właścicielką sklepu, z którą już wcześniej się zaprzyjaźnił. Kobieta знаła wielu amatorów polowań odwiedzających tamte strony, gdyż prawie wszyscy lubili odwiedzać jej sklep, żeby poopowiadać o swoich przygodach czy pochwalić się upolowaną zwierzyną. Należał do nich także Patrick. Później pani Verhall zeznała, że był w dobrym nastroju, chociaż skarżył się na silne zmęczenie, gdyż przesiedział cały weekend nad papierami. Przypomniała sobie, iż wtedy wydało jej się to nieco dziwne. A już godzinę później usłyszała syreny wozów policyjnych oraz straży pożarnej.

Czternaście kilometrów dalej blazer Patricka tonął w wirze szalejących płomieni. Spoczywał u stóp wysokiego nasypu, osiemdziesiąt metrów od skraju autostrady. Jako pierwszy ogień zauważył kierowca ciężarówki, który zbiegł na dół

z zamiarem ratowania pasażerów, lecz zdołał się zbliżyć tylko na pięć metrów do wraka, a i tak osmalił sobie brwi. Wezwał pomoc przez krótkofalówkę, po czym usiadł na stopniu swego wozu i przyglądał się bezsilnie, jak chevrolet płonie. Wóz leżał na prawym boku, przednia szyba wyleciała podczas koziółkowania, a zgnieciony dach uniemożliwiał dostrzeżenie, czy ktoś jest w środku. Zresztą nie miało to już większego znaczenia. Było za późno na jakąkolwiek pomoc.

Zanim na miejsce wypadku dotarł pierwszy wóz patrolowy, ogień tak się rozszalał, że nie można już było rozróżnić zarysów płonącego auta. Wiatr roznosił

płomienie po trawie i pobliskich krzakach. Przyjechał niewielki beczkowóz stra-

ży pożarnej, ale zapas wody szybko się wyczerpał. Samochody zatrzymywały się na autostradzie i po pewnym czasie powstał spory zator, gapie w milczeniu patrzyli na buszujący w dole ogień. Przy wozie patrolowym oraz beczkowiezie nie było żadnego rannego czy poparzonego cywila, toteż błyskawicznie rozeszła się 115

plotka, że nieszczęśliwy kierowca usmażył się we własnym aucie.

Później nadjechały dwa większe wozy strażackie i ostatecznie ogień stłumiono. Musiało jednak minąć jeszcze sporo czasu, zanim szeryf Sweeney mógł dokonać oględzin. Dopiero około pomocy któryś z policjantów zwrócił uwagę na zwę-

gloną kupkę, mogącą być szczątkami człowieka. Ściągnięto koronera i już wkrótce odkrycie fragmentu kości biodrowej rozwiało wszelkie wątpliwości. Grimshaw sfotografował miejsce tragedii. Dopiero gdy wrak całkowicie ostygł, można było wydobyć z niego zwęglone zwłoki i przewieźć do miasta w kartonowym pudle.

Za pomocą silnej latarki o wpół do czwartej nad ranem udało się odcyfrować znaki wytłoczone na

tablicach rejestracyjnych. Wkrótce potem Trudy odebrała telefoniczną wiadomość, że została wdową. W każdym razie mogła się za nią uważać przez cztery i pół roku.

Szeryf zdecydował, aby pozostawić wrak u stóp nasypu do rana. O świcie przyjechał w towarzystwie pięciu funkcjonariuszy i razem dokładnie obejrzel

le pogorzelnisko. Na nawierzchni autostrady odkryli ciągnące się aż przez dziewięćdziesiąt metrów ślady ostrego hamowania, doszli więc do wniosku, że zapewne przed maskę auta wyskoczyła sarna, a zmęczony adwokat stracił panowanie nad kierownicą. Ogień strawił wszystko w promieniu wielu metrów wokół wraku, toteż nie znaleziono żadnych przedmiotów mogących dopomóc w dalszym wyja-

śnieniu tragedii. Niespodzianką było odnalezienie jednego buta leżącego w trawie czterdzieści trzy metry od spalonego auta. Był to średnio znoszony air max marki Nike, rozmiar dziesiąty, który Trudy natychmiast rozpoznała jako but używany przez Patricka do joggingu. Wybuchnęła płaczem na jego widok.

W raporcie szeryf napisał, że chevrolet musiał wpaść w poślizg i zsunąć się z autostrady, a podczas koziółkowania z wysokiego nasypu kierowcą, nie przypiętym pasami bezpieczeństwa, miało po całym wnętrzu. To wtedy but musiał

mu spaść z nogi i wylecieć przez otwarte okno. W każdym razie było to jedyne sensowne wytłumaczenie.

Wrak załadowano na platformę i przewieziono do miasta. Już tego samego dnia, późnym popołudniem, domniemane szczątki Patricka Lanigana poddano kremacji. Pochówek odbył się nazajutrz. Tymczasem skromną uroczystość pogrzebową niedoszła ofiara wypadku oglądała z daleka przez lornetkę.

Cutter i Grimshaw zapatrzyli się teraz na ów but, jedyne znalezisko umieszczone na stole. Obok leżał stosik dokumentów — zeznania Trudy Lanigan i pani Verhall, raporty koronera oraz grabarza, a nawet sprawozdania Grimshawa i szeryfa Sweeneya. Wszystkie potwierdzały logicznie spójną teorię. Dopiero w trakcie śledztwa wznowionego po zniknięciu pieniędzy natrafiono na świadka, którego zeznania okazały się zagadkowe. Otóż pewna młoda dama, mieszkająca nieopodal sklepu Verhalla, oświadczyła pod przysięgą, że widziała czerwonego chevroleta 116

blazera stojącego na poboczu autostrady, dokładnie w tym miejscu, gdzie później u stóp nasypu wybuchł pożar. Widziała go nawet dwukrotnie, po raz pierwszy w sobotę wieczorem, a następnie w niedzielę, tuż przed wypadkiem.

Zeznania, które Grimshaw spisywał w domu tejże kobiety, stojącym samotnie na samym końcu okręgu Harrison, dołączono do akt siedem tygodni po pogrzebie Lanigana. Nie wzbudziły one większej sensacji, ponieważ już wtedy, po zniknię-

ciu pieniędzy, panowało powszechne przekonanie, że adwokat wcale nie zginął.

Rozdział 16

Oddano go pod opiekę młodego Pakistańczyka imieniem Hayani, troskliwego i życzliwego lekarza, który posługiwał się łamaną angielszczyzną. Lubił jednak siadać obok pacjenta i wdawać się z nim w rozmowy, dopóki tylko ten miał na to ochotę. Rany szybko się goiły, lecz Patrick wciąż nie mógł odzyskać równowagi psychicznej.

— Tortury były dla mnie czymś, czego chyba nigdy nie zdołam precyzyjnie opisać — rzekł w pewnym momencie, kiedy rozmawiali już od godziny.

Hayani specjalnie nakierował rozmowę na ten temat. Z gazet znał całą sprawę, szczególnie głośną od czasu złożenia przez Lanigana pozwu przeciwko FBI, toteż postanowił wykorzystać sposobność poznania wszelkich medycznych aspektów urazów, zarówno fizycznych, jak i psychicznych, które musiało pozostawić tak brutalne traktowanie porwanego. Poza tym doktor z wielką radością przyjmował

okazję znalezienia się w samym centrum wydarzeń.

Teraz pokiwał smętnie głową, spoglądając na pacjenta. Powiedz coś więcej, bardzo proszę — powtarzał w myślach.

A tego dnia Patrick był wyjątkowo skory do rozmowy.

— W ogóle nie mogę spać — dodał. — Najdalej po godzinie od zaśnięcia zaczynam słyszeć głosy, później dociera do mnie swąd palonego ciała, po czym budzę się zlany potem. Ten stan ani trochę się nie poprawia. Leżę przecież w szpitalu, gdzie nic mi nie grozi, lecz mam wrażenie, że tortury trwają nadal. Dlatego nie mogę spać. Wręcz boję się zasypiać, doktorze.

— Mogę dać panu środki nasenne.

— Nie chcę, przynajmniej jeszcze nie teraz. Zanadto mnie naszprycowano różnymi farmaceutykami.

— Sprawdziłem wyniki analizy krwi. Są pewne pozostałości narkotyków, ale to nic groźnego.

— Mimo to nie chcę jeszcze niczego brać.

— Bardzo potrzebuje pan snu.

— Wiem, ale boję się spać. Znowu zacznę w myślach przeżywać tortury.

Hayani zapisał coś na karcie, którą trzymał na kolanach. Na dłużej zapadła 118

cisza, jak gdyby obaj się zastanawiali, co w tej sytuacji można więcej powiedzieć.

Pakistańczyka uderzyła myśl, że według jego oceny ten człowiek nigdy nie byłby zdolny do popełnienia morderstwa, zwłaszcza w tak wyrafinowany, bezwzględny sposób.

Pokój rozjaśniała tylko wąska smuga światła słonecznego, wpadającego przez szczelinę między żaluzjami a krawędzią okna.

— Czy mogę być z panem całkiem szczery, doktorze? — zapytał cicho Lanigan.

— Oczywiście.

— Powiniennem tu zostać tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Dokładnie tu, w tej izolatce. Za kilka dni policja będzie chciała mnie przetransportować do wię-

zienia okręgowego, gdzie zapewne zostaną umieszczony w ciasnej celi, z dwoma lub trzema ulicznymi, z którymi nie dam sobie rady.

— Dlaczego chcieliby pana przenieść do więzienia?

— Chodzi o wywarcie nacisku, doktorze. Zamierzają poddać mnie presji, do-póki się nie złamię i nie wyznam wszystkiego. Mogą specjalnie wsadzić mnie do celi z gwałcicielami i handlarzami narkotyków, po czym oznajmić wprost, że jeśli natychmiast nie zacznę mówić, spotka mnie marny koniec. Więzienie Parchman to najgorsze miejsce na świecie, doktorze. Był pan tam kiedyś?

— Nie.

— A ja tak. Siedział tam jeden z moich klientów. To prawdziwe piekło. Zresztą areszt okręgowy jest niewiele lepszy. Tylko pan może mnie zatrzymać w szpitalu. Wystarczy szepnąć słówko sędziemu, iż powiniennem ciągle pozostawać pod opieką lekarską. Bardzo pana o to proszę, doktorze.

— Tak, rozumiem.

Hayani znowu coś zapisał. Po raz kolejny zapadła cisza. Patrick zamknął oczy, oddychał głośno, chrapliwie, jak gdyby samo wspomnienie odrażającej więziennej celi spowodowało nawrót panicznego lęku.

— Zamierzam skierować pana na badania psychiatryczne — rzekł Hayani.

Lanigan przygryzł wargi, żeby pohamować radosny uśmiech.

— Po co? — spytał tonem pełnym strachu.

— Ponieważ sam jestem ciekaw, co one wykażą. Ma pan coś przeciwko temu?

— Nie. Kiedy miałbym się im poddać?

— Za kilka dni.

— Nie jestem pewien, czy do tego czasu będę już w pełni sprawny.

— Naprawdę nie ma pośpiechu.

— Oby miał pan rację. Ja wolałbym się z niczym nie śpieszyć, doktorze.

— Rozumiem. Umówmy się wstępnie na przyszły tydzień.

119

— Wolałbym raczej następny.

Matka chłopca nazywała się Neldene Crouch. Żyła w przyczepie mieszkalnej zaparkowanej obecnie na obrzeżu Hattiesburga, lecz w chwili zaginięcia jej syna stojącej w Lucedale, niewielkim miasteczku oddalonym o pięćdziesiąt kilometrów od Leaf. Według jej zeznań chłopak zniknął dziewiątego lutego 1992

roku, czyli dokładnie tego samego dnia, kiedy Patrick Lanigan miał wypadek na autostradzie numer piętnaście.

Ale według raportu, którego kopia trafiła na biurko szeryfa Sweeneya, Neldene Prewitt — nosząca wtedy nazwisko męża — zawiadomiła policję o zaginięciu syna dopiero trzynastego lutego. Wydzwaniała do wszystkich okolicznych biur szeryfów, a nawet do siedziby FBI i lokalnej centrali CIA. Była bardzo zdenerwowana, znajdowała się na pograniczu hysterii.

Syn nosił podwójne nazwisko, Pepper Scarboro: Scarboro po jej pierwszym mężu, natomiast Pepper po domniemanym ojcu, choć w gruncie rzeczy nawet ona nie umiała określić, kto jest jego ojcem. Nikt zaś nie znał bądź nie pamiętał jego imienia. Podczas rejestracji po urodzeniu chłopca Neldene nadała mu imię LaVel-le, on jednak w ogóle nie chciał o nim słyszeć. Już jako paroletni dzieciak kazał

do siebie mówić Pepper, gdyż bezgranicznie nie znosił prawdziwego imienia La-Velle.

Pepper Scarboro w chwili zaginięcia miał siedemnaście lat. Zdołał ukończyć jedynie pięć klas podstawówki, po trzykrotnym powtarzaniu klasy szóstej zrezygnował z dalszej nauki i zatrudnił się jako pomocnik na stacji benzynowej w Lucedale. Jąkał się straszliwie, od wczesnej młodości był uważany za dziwaka.

W wieku lat kilkunastu odkrył wspaniałe uroki leśnej głuszy i od tej pory często wyruszał, zazwyczaj sam, na długie polowania, podczas których nocował w pro-wizorycznych szałasach.

Pepper miał niewielu znajomych, a matka bez przerwy suszyła mu głowę o brak pieniędzy. Zajmowała się dwójką młodszych dzieci i często przyjmowa-

ła najróżniejszych przyjaciół w swojej brudnej, obskurnej przyczepie mieszkalnej, wiecznie wypełnionej smrodliwym zaduchem. Właśnie dlatego Pepper wolał

nocować w lasach. Oszczędzał pieniądze i po pewnym czasie kupił sobie karabin oraz podstawowy sprzęt obozowy. Coraz częściej zniknął na długo w ostępach parku narodowego De Soto, wychodząc z założenia, że już po dwudziestominutowym marszu oddali się na tysiące kilometrów od matki.

Nie znaleziono żadnych dowodów na to, że Pepper i Patrick kiedykolwiek się spotkali. Ale zbiegiem okoliczności Pepper bardzo lubił polować właśnie w okolicach domku myśliwskiego Lanigana. Obaj zresztą byli podobnego wzrostu, chociaż adwokat ważył znacznie więcej. Bardzo istotny był jednak fakt, że pod koniec lutego 1992 roku w domku myśliwskim Patricka znaleziono karabin, namiot oraz 120

śpiwór Peppera.

Obaj zniknęli więc w tym samym czasie i w przybliżeniu na tym samym terenie. Już parę miesięcy później Sweeney i Cutter orzekli stanowczo, iż nie trafili na ślad żadnej innej pary osób w stanie Missisipi, które zaginęłyby jednocześnie około dziewiątego lutego i nie odnalazły się w ciągu następných trzech miesięcy.

Dokładnie sprawdzono wszystkie zgłoszenia zaginięcia z lutego, z których większość dotyczyła sfrustrowanych nastolatków, odnajdowanych później w różnych rejonach kraju. Jedyne wypadek permanentnego zniknięcia zdarzył się dopiero w marcu i dotyczył pewnej gospodyni domowej z Corinth, która najprawdopodobniej porzuciła męża i wyjechała bez pożegnania z innym mężczyzną.

Później, wykorzystując centralny komputer FBI w Waszyngtonie, Cutter sprawdził, że w okolicznych stanach najbliższy wypadek zaginięcia, jaki można było łączyć z pożarem wozu Lanigana, zdarzył się poprzedniego dnia, w sobotę, ósmego lutego, i dotyczył kierowcy ciężarówki z Dothan w Alabamie, odległego od miejsca pożaru o siedem godzin jazdy. Mężczyzna również zniknął bez śladu, pozostawiając za sobą nieudane małżeństwo i stertę nie zapłaconych rachunków.

Przez trzy miesiące analizowano szczegółowo ten wypadek, mimo że Cutter od początku był przekonany, iż nie może mieć on nic wspólnego ze zniknięciem Lanigana.

Choćby tylko ze statystyki wynikało, że powinno się łączyć zaginięcia Patricka oraz Peppera. O ile dotąd nie było żadnej pewności, który z nich spłonął

w rozbitym blazerze, o tyle teraz Cutter i Sweeney zyskali uzasadnione prze-

świadczenie, że zginął Pepper. Co zrozumiałe, była to jedynie poszlaka, zbyt słaba zresztą, by oprzeć na niej proces o morderstwo. Wszak Lanigan mógł równie dobrze zabrać jakiegoś autostopowicza z Australii bądź też włóczęgę czy żebraka, na przykład z dworca autobusowego.

Na wszelki wypadek sporządzili listę ośmiorga innych zaginionych, poczynając od starszego mieszkańca Mobile, widzianego po raz ostatni, kiedy zygzakiem wyjeżdżał z miasta drogą prowadzącą w stronę Missisipi, a skończywszy na młodo-docianej prostytutce z Houston, która oznajmiła wszystkim znajomym, iż przenosi się do Atlanty, żeby zacząć tam nowe życie. Ale każde z tej ósemki zaginęło co najmniej na kilka miesięcy przed lutym 1992 roku. Obaj wywiadowcy od dawna uznawali tę listę za bezwartościową.

Najbardziej prawdopodobną ofiarą Lanigana był Pepper, tyle tylko, że nie mogli tego udowodnić.

Jedynie matka chłopca, Neldene, była o tym całkowicie przekonana i aż się paliła, by ujawnić

wszystko przedstawicielom prasy. Dwa dni po ujęciu Patricka udała się na rozmowę z adwokatem — drobnym krętaczem, który wcześniej za trzysta dolarów przeprowadził jej sprawę rozwodową — i poprosiła go o pomoc w nawiązaniu kontaktu z dziennikarzami. Ten zgodził się ochoczo, gotów służyć jej nawet za darmo, po czym zrobił to, co w podobnej sytuacji uczyniliby wszyscy 121

marni prawnicy: zwołał konferencję prasową w swoim biurze w Hattiesburgu, sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Biloxi.

Przedstawił reporterom swoją zapłakaną klientkę i w ostrych słowach skrytykował nieudolne wysiłki szeryfa okręgu Harrison oraz miejscowego przedstawiciela FBI, zmierzające do odnalezienia zaginionego Peppera. Zarzucił im opieszałość i nieudolność, podczas gdy pani Crouch przez cztery lata żyła w smutku i niepewności. Omal nie ciskał przekleństwami, chcąc do maksimum wykorzystać swój kwadrans wielkiej sławy. Nadmienił, że zamierza wystąpić do sądu przeciwko Laniganowi, który prawdopodobnie zamordował syna jego klientki, po czym spalił zwłoki po upozorowaniu wypadku samochodowego, aby tym sposobem móc ukraść dziewięćdziesiąt milionów dolarów. Umiejętnie jednak unikał

jakichkolwiek szczegółów.

Dziennikarze, jak gdyby zapomniawszy o konieczności zachowania umiaru w podobnej sprawie, natychmiast podchwycili rewelacyjny temat. Wszyscy chcieli dostać odbitkę fotografii młodego Peppera, na której wiejski chłopak z potarganymi włosami zabawnie wydymał policzki. W ten oto sposób nierozpoznawalna kupka popiołów ze spalonego wraka zyskała twarz, przez co stała się człowiekiem. To właśnie tego chłopaka z premedytacją zamordował Patrick Lanigan.

Historia zaginionego Peppera wypłynęła na pierwszych stronach gazet. Autorzy artykułów pisali, co prawda, o „domniemanej ofierze”, lecz słowo „domnie-mana” czytelnicy musieli zgodnie połykać. Patrick zapoznał się z tymi publikacjami w szpitalnej izolatce.

Już parę miesięcy po zniknięciu dotarły do niego wieści, że według plotek to właśnie Pepper Scarboro zginął w wypadku samochodowym. Nikt jednak nie wiedział, że w styczniu 1992 roku Patrick polował razem z nim w lasach otaczających domek myśliwski, a pewnego mroźnego popołudnia wspólnie raczyli się dziczyzną upieczoną nad ogniskiem. Zdziwiło go wówczas niepomiernie, iż chłopak całe dni spędza w leśnej gruszy, którą uznaje za swój dom. Unikał rozmów o najbliższej rodzinie. Odznaczał się niezwykłymi umiejętnościami pustelnika.

To właśnie wtedy Patrick zaproponował mu schronienie w swoim domku na wypadek deszczu lub burzy, ale w ciągu następnego miesiąca ani razu nie napotkał

dowodów korzystania przez chłopaka z gościny pod jego dachem.

Kilkakrotnie spotykali się w lesie. Pepper musiał obserwować domek, widoczny ze szczytu oddalonego o dwa kilometry wzniesienia, gdyż wyglądało na to, że ilekroć dostrzegał zaparkowany przed nim samochód, podchodził bliżej. Lubił posuwać się bezszelestnie śladami Patricka, kiedy ten wychodził na spacer czy też wyruszał na polowanie. Niekiedy rzucał w niego kamykami i szyszkami, dopóki adwokat nie spostrzegł jego obecności. Później zaś rozpalali ognisko i ucinali sobie

pogawędkę. Nawet jeśli Pepper wstydził się swego jąkania i unikał rozmów 122

z obcymi, to zapewne z radością witał miłą odmianę w ciągłej samotności. Patrick natomiast zaczął mu przywozić herbatniki i cukierki.

Stąd też ani trochę nie zaskoczyło go podejrzenie o to, że zamordował chłopaka.

Doktor Hayani z wielkim zainteresowaniem oglądał wieczorne wiadomości.

Regularnie czytywał ostatnio gazety i ze szczegółami opowiadał żonie o swoim słynnym pacjencie. Tego dnia oboje, siedząc w łóżku, z uwagą śledzili dziennik telewizyjny.

Gdy tylko zgasili światło i ułożyli się do snu, zadzwonił telefon. Patrick zaczął

od serdecznych przeprosin, po czym wyznał, że bardzo dokucza mu ból mięśni, a poza tym znowu obleciał go strach, musi więc z kimś porozmawiać. Był więź-

niem, toteż wolno mu się było kontaktować telefonicznie tylko ze swoim adwokatem oraz lekarzem, w dodatku najwyżej dwa razy dziennie. Uprzejmie prosił

zatem doktora o poświęcenie mu paru minut.

Kiedy Hayani wyraził zgodę, Lanigan przeprosił jeszcze raz, powtarzając, iż nie może zasnąć, tym bardziej że zaniepokoiły go ostatnie wieści, a zwłaszcza podejrzenie o zabójstwo młodego chłopaka. Zapytał, czy doktor oglądał dziennik telewizyjny.

Tak, oczywiście.

Patrick leżał w pograżonej w ciemnościach izolatce, w przepoconej pościeli.

Dziękował Bogu, że za drzwiami czuwają strażnicy, ponieważ tak bardzo się bał, że aż wstydził się do tego przyznać. Znowu słyszał różne głosy i jakieś tajemnicze dźwięki, przy czym owe głosy wcale nie dobiegały z korytarza, lecz rozbrzmiewały w jego pokoju. Czy mógł to być jeszcze efekt działania narkotyków?

No cóż, przyczyna mogła być bardzo różnorodna: środki oszłamiające, przemęczenie, uraz wywołany wstrząsającymi przeżyciami, szok, zarówno fizyczny jak i psychiczny.

Rozmawiali przez godzinę.

Rozdział 17

Nie mył włosów od trzech dni, gdyż chciał, żeby wyglądały na przetłuszczone.

Nie golił się również. Zmienił luźną i wygodną szpitalną nocną koszulę z powrotem na wygnieciony zielony kaftan chirurgiczny. Hayani obiecał, że załatwi mu drugi taki sam. Ale dzisiaj Patrick wolał się pokazać w wymiętym stroju. Na prawą stopę wciągnął grubą białą skarpetkę, lecz na lewej łydce

miał dużą, brzydką, ropiejącą ranę, którą chciał pokazać ludziom. Dlatego pozostał w jednej skarpetce, lewą stopę wsunął bosą w czarny piankowy kłapek.

Dzisiaj miał bowiem wystąpić publicznie. Świat na niego czekał.

Sandy zjawił się o dziesiątej. Zgodnie z życzeniem klienta przywiózł parę tanich plastikowych okularów przeciwsłonecznych. Jak również czapkę z obszernym daszkiem, reklamującą baseballową drużynę New Orleans Saints.

— Dzięki — mruknął Patrick.

Staął przed lustrem w łazience, włożył okulary i zaczął układać na głowie czapkę.

Hayani przyszedł minutę później. Lanigan przedstawił sobie obu mężczyzn.

Serce zaczęło mu nagle łomotać, stał się nerwowy. Przysiadł więc na brzegu łóżka i przeciągnął palcami po włosach, próbując uspokoić oddech.

— Nigdy nie myślałem, że do tego dojdzie — bąknął, zwiesiwszy nisko głowę. — Nigdy.

Adwokat i lekarz popatrzyli na siebie nawzajem, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

— Może powinienem to wszystko przespać?

— Ja będę mówił w twoim imieniu — rzekł Sandy. — Postaraj się rozluźnić.

— Tak, to najważniejsze — dodał Hayani.

Rozległo się pukanie, do środka wkroczył szeryf w obstawie kilku swoich zastępców. Wymieniono suche, oficjalne słowa powitania. Patrick jeszcze raz poprawił czapkę, włożył ciemne okulary i wyciągnął przed siebie ręce, żeby mu założono kajdanki.

— A to co takiego? — zapytał McDermott, wskazując trzymany przez jednego z zastępców łańcuch z obręczami do skrępowania nóg.

124

— Pęta na nogi — odparł spokojnie Sweeney.

— Nie sądzę, żeby to było potrzebne — rzekł ostro Sandy. — Ten człowiek ma poranione łydki nad kostkami.

— Przecież to widać — wtrącił Hayani, ochoczo włączając się do tej słownej utarczki. — Proszę tylko popatrzeć.

Wskazał palcem rozległą oparzelinę na lewej nodze Lanigana.

Sweeney zawahał się na moment i w ten sposób natychmiast utracił pierwotną przewagę. Sandy błyskawicznie to wykorzystał:

— Niech pan da spokój, szeryfie. Jakie on ma szansę na ucieczkę? Jest poraniony, skuty kajdankami i pojedzie w licznej obstawie. Co miałby zrobić, do diabła? Zerwać kajdanki i wyskoczyć z samochodu? Przecież pańscy ludzie znają się na rzeczy, prawda?

— Zadzwoń do sędziego, jeśli to konieczne — dodał ze złością Hayani.

— No cóż, przywieziono go tutaj w identycznych łańcuchach — bąknął Sweeney.

— Ale to byli agenci FBI, Raymondzie — odezwał się Patrick. — Poza tym skrępowali mnie tylko łańcuchami, bez tych obręczy, a i tak czułem bóle w nogach jak diabli.

To zadecydowało, zrezygnowano z zakładania pęt. Patrick został wyprowadzony na korytarz, gdzie strażnicy w brązowych mundurach natychmiast zamikli na jego widok. Otoczyli go ciasnym kordonem i powiedli do windy. Tylko Sandy'emu pozwolono iść po lewej stronie więźnia i podtrzymywać go pod rękę.

Winda okazała się zbyt mała dla tak licznej grupy. Część ochrony musiała zbiec po schodach, ale zanim reszta zjechała na dół, tamci już czekali w holu.

Odtworzyli pierwotny szyk i poszli dalej, wzdłuż stanowiska recepcyjnego, przez duże przeszklone drzwi na podjazd, gdzie w łagodnym jesiennym słońcu czeka-

ła kawalkada wymytych i wypolerowanych samochodów. Patricka umieszczono w obszernym czarnym fordzie, obklejonym znakami biura szeryfa okręgu Harrison niemal od jednego zderzaka do drugiego. Po chwili ruszyli, przodem pojechał

identyczny biały ford suburban, wypełniony uzbrojonymi strażnikami. Kolumnę zamykały trzy czyściutkie wozy patrolowe, przed białym fordem posuwały się dwa inne. Kolumna bez zatrzymywania minęła bramę bazy lotniczej i pomknęła w głąb świata cywilów.

Przez ciemne okulary Patrick z zainteresowaniem wyglądał na zewnątrz, na ulice, którymi przejeżdżał setki razy, oraz doskonale mu znane domy. Kiedy skrę-

cili w autostradę numer dziewięćdziesiąt, oczom ukazało się wybrzeże Zatoki Meksykańskiej, jej gęste brunatne wody wyglądały tak samo jak przed laty. I pla-

ża pozostała ta sama — wąski pas piachu rozdzielającego autostradę od morza, zdecydowanie zbyt odległy od hoteli i domów wypoczynkowych stłoczonych po drugiej stronie szosy.

Na wybrzeżu jednak sporo się zmieniło od czasu jego zniknięcia, głównie 125

za sprawą wyrastających jak grzyby po deszczu kasyn. Kiedy po raz ostatni był

w Biloxi, dopiero zaczynały krążyć plotki o planowanym rozwoju sieci domów gry. Teraz zaś jechali

wzdłuż szeregu nowiułkich budowli z krzykliwymi neonami, przed którymi parkingi stopniowo się zapełniały, chociaż była dopiero dziewiąta trzydzieści rano.

— Ile kasyn już otwarto? — zwrócił się do szeryfa siedzącego po prawej stronie.

— Trzynaście, ale kilka się jeszcze buduje.

— Aż trudno w to uwierzyć.

Środek uspokajający zaczął wreszcie działać, tętno wróciło mu do normy, zniknęło dziwne napięcie wszystkich mięśni. Tylko przez chwilę walczył z narastającą sennością, gdyż zaraz skręcili w Main Street, co znów pobudziło jego ciekawość. Zaledwie minęli osiedle bloków mieszkalnych, kiedy znajome otoczenie wywołało falę wspomnień. Najpierw stojący po lewej ratusz, później rozległa Vieux Marche, wreszcie stojąca w długim ciągu sklepów i pracowni wspaniała, duża biała kamienica, będąca niegdyś siedzibą kancelarii adwokackiej i biura doradztwa prawnego Bogan, Rapley, Vitrano, Havarac i Lanigan.

Kamienica nie zmieniła się ani trochę, tylko firma znacznie podupadła.

Wreszcie przed nimi wyłonił się gmach sądu okręgu Harrison, oddalony zaledwie o kilkaset metrów od jego dawnej kancelarii. Była to masywna jednopiętrowa budowla na rogu ulicy Howarda, oddzielona od alei wąskim pasem trawnika.

Teraz przed frontonem kłębił się spory tłum, długi odcinek Main Street był zatłoczony poustawianymi ciasno samochodami. Z obu stron ulicy nadciągały dalsze rzesze ciekawskich. Kolumna wozów policyjnych zwolniła, skręcając na podjazd.

Tłum oczekujący przed gmachem zafalował gwałtownie, lecz policyjne kordony dobrze spełniły swą rolę. Na tyłach gmachu została wydzielona barierkami spora przestrzeń. Patrick kilkakrotnie był świadkiem dostarczania przed tylne wejście różnych groźnych przestępców, toteż domyślał się, co za chwilę nastą-

pi. Kawalkada pojazdów stanęła. Najpierw w pośpiechu wysypało się kilkunastu funkcjonariuszy z biura szeryfa, którzy szczelnym pierścieniem otoczyli czarnego forda. Dopiero wtedy szeryf otworzył drzwi i pozwolił Patrickowi wysiąść.

Jego zielony chirurgiczny kaftan stanowił jaskrawy kontrast z ciemnobrązowymi mundurami obstawy.

Przy najbliższej barierce tłoczyła się olbrzymia grupa dziennikarzy, fotoreporterów i kamerzystów. Inni usiłowali się przepchnąć do pierwszej linii. Lanigan, jakby nagle uświadomiwszy sobie, że jest powodem całego tego zamieszania, wcisnął głowę w ramiona i dał nura między zastępców szeryfa. W ich otoczeniu podreptał szybko ku wejściu do budynku, całkowicie ignorując przecinające mu się nad głową pytania:

— Jak ci podoba powrót do domu, Patricku?!

— Gdzie są pieniądze, Patricku?!

— Kto spłonął w twoim samochodzie, Patricku?!

Poszli na górę wąskimi bocznymi schodami, po których on przed laty wielokrotnie biegał, chcąc złapać sędziego, by zamienić kilka słów lub uzyskać jego podpis. Nawet unoszący się tu zapach przywoływał wspomnienia. Klatka schodowa była tak samo odrapana, nie pomalowano jej w ciągu tych czterech lat. Przeszli przez drzwi i znaleźli się w krótkim bocznym korytarzu, na którego końcu tłoczyła się gromadka sądowych urzędników, ciekawie zerkających w tę stronę. Wprowadzono go do sali konferencyjnej sąsiadującej z główną salą posiedzeń i Patrick z westchnieniem ulgi opadł na krzesło stojące obok stolika z ekspresem do kawy.

Sandy natychmiast pochylił się nad nim, pytając, czy wszystko w porządku.

Sweeney odesłał swoich zastępców na korytarz, gdzie mieli czekać, aż znowu będą potrzebni.

— Napijesz się kawy? — zapytał McDermott.

— Chętnie. Czarnej i gorzkiej.

— Dobrze się czujesz, Patricku? — zainteresował się szeryf.

— Tak, oczywiście. Dziękuję, Raymondzie.

W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała jednak nuta strachu. Ręce i nogi mu się trzęsły, nie potrafił nad nimi zapanować. Nie sięgnął od razu po kubek z kawą, uniósł skute kajdankami dłonie, żeby poprawić ciemne okulary na nosie i głę-

biej naciągnąć baseballową czapkę na czoło. Siedział przygarbiony, jak gdyby załamany.

Rozległo się pukanie do drzwi, uroczą sekretarką o imieniu Belinda wsunęła głowę do środka i oznajmiła pośpiesznie:

— Sędzia Huskey chciałby porozmawiać na osobności z panem Laniganem.

Brzmienie jej głosu przywołało kolejne wspomnienia. Patrick uniósł głowę, spojrzął w kierunku drzwi i rzucił przyjaźnie:

— Witaj, Belindo.

— Dzień dobry, Patricku. Witamy w ojczyźnie.

Odwrócił wzrok. Belinda pracowała w kancelarii i chyba nie było w mieście takiego adwokata, który by z nią nie flirtował. Wyróżniała się nieprzeciętną urodą i miała nadzwyczaj słodki głos. Czy naprawdę minęło cztery i pół roku od ich ostatniego spotkania?

— Gdzie? — spytał szeryf.

— W tej sali, za kilka minut.

— Chcesz porozmawiać z sędzią, Patricku? — zwrócił się do niego Sandy.

Mógł nie wyrazić na to zgody, ale według zwykłej procedury byłoby to po prostu niestosowne.

— Oczywiście — odparł Lanigan, który autentycznie pragnął porozmawiać z sędzią Huskeyem.

Belinda wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

— Zaczekam na zewnątrz — mruknął Sweeney. — Muszę zapalić.

127

W pokoju zostali tylko dwaj prawnicy.

— Kilka spraw. Kontaktowała się z tobą Leah Pires? — szybko zapytał szeptem Lanigan.

— Nie — odparł Sandy.

— Powinna się niedługo zjawić, bądź na to przygotowany. Napisałem do niej długi list i chciałbym, abyś go przekazał.

— Jasne.

— Po drugie, istnieje urządzenie antypodsłuchowe o symbolu DX-130, produkowane przez LoKim, niewielką firmę koreańską. Kosztuje mniej więcej sześć-

set dolarów i jest wielkości dyktafonu. Zdobądź je i noś ze sobą na każde nasze spotkanie. Będziemy sprawdzali pomieszczenia i telefony przed każdą rozmową.

Ponadto wynajmij dobrych nowoorleańskich specjalistów w tym zakresie i zleć im szczegółowe kontrolowanie twego biura dwa razy w tygodniu. To dosyć kosztowne usługi, lecz ureguluję wszystkie rachunki. Masz jakieś pytania?

— Nie.

Znów rozległo się pukanie. Patrick błyskawicznie zgarbił się na krześle. Do sali wkroczył sędzia Karl Huskey. Był bez togi, w samej koszuli i krawacie. Wą-

skie okulary do czytania wisały na samym czubku jego nosa. Z powodu całkiem siwych włosów i gęstej siateczki zmarszczek wokół oczu uchodził za znacznie starszego, choć w rzeczywistości miał dopiero czterdzieści osiem lat. Jemu to jednak było nawet na rękę.

Lanigan powoli uniósł głowę i uśmiechnął się, widząc dłoń sędziego wyciągniętą w jego kierunku.

— Tak się cieszę, że cię widzę, Patricku — rzekł przyjaźnie Huskey, energicznie potrząsając jego ręką, aż zadzwonił łańcuszek kajdanków.

Sędzia miał wielką ochotę uściskać serdecznie starego przyjaciela, uzmysłowił sobie jednak, że wobec oskarżonego o morderstwo powinien zachować powściągliwość.

— Jak się miewasz, Karl — rzekł Lanigan, siadając z powrotem.

— Doskonale. A co u ciebie?

— No cóż, bywało lepiej, ale twój widok sprawił mi ogromną radość, nawet w tych okolicznościach.

— Dzięki. Ja zaś nie wyobrażałem sobie. . .

— Sądziłeś, że wyglądam zupełnie inaczej, zgadza się?

— Tak, właśnie to chciałem powiedzieć. Nie jestem pewien, czy rozpoznałbym cię na ulicy.

Patrick uśmiechnął się szerzej.

Huskey zaliczał się do tych nielicznych osób, które nadal odczuwały sympatię w stosunku do Lanigana, i chociaż w pewnym sensie uważał się za oszukanego, to przede wszystkim odbierał z ogromną ulgą fakt, że jego dawny przyjaciel wcale nie zginął w wypadku samochodowym. Zarazem bardzo go martwiło oskarżenie

o morderstwo z premedytacją. Sprawa rozwodowa i skargi cywilne należały do zupełnie innej kategorii wystąpień.

A z powodu dawnej przyjaźni Huskey nie mógł przewodniczyć rozprawie karnej. Chciał jedynie nadzorować wszelkie posunięcia wstępne, po czym w decydującej fazie ustąpić miejsca komuś innemu. Wszak ich dawna, zażyła przyjaźń już teraz była przedmiotem licznych plotek.

— Chyba nie zamierzasz przyznać się do winy? — rzekł.

— Oczywiście, że nie.

— Zatem nasza pierwsza rozmowa będzie zwykłą formalnością. Nie mogę jednak zwolnić cię za kaucją, oskarżenie jest zbyt poważne.

— Tak, rozumiem to, Karl.

— Nie zajmę ci więcej niż dziesięć minut.

— Przechodziłem już przez to, tyle że zajmowałem inne miejsce na sali.

W ciągu dwunastu lat piastowania stanowiska sędziego Huskey nieraz łapał

się na tym, że zdumiewająco dużo sympatii budzą w nim ludzie, którzy dopuścili się ohydnych zbrodni. Umiał jednak dostrzec człowieka w każdym sędzonym, doskonale widział, jak poczucie winy zżera im dusze. Musiał wysłać do więzienia setki osób, które — gdyby tylko dać im taką szansę — powróciłyby do normalnego życia i już nigdy nie popełniły najmniejszego wykroczenia. Starał się pomagać wszystkim, wybaczać błędy i darować winy.

Tu jednak chodziło o Lanigana, toteż sędzia omal nie wzruszył się do łez.

Nie mógł znieść widoku starego przyjaciela, skutego i ubranego w ten błazeński kaftan, przygarbionego, z przymkniętymi oczyma, odmienionymi rysami twarzy, nerwowego i bezgranicznie przerażonego. Pragnął go zabrać do swego domu, serdecznie ugościć najlepszymi potrawami, no i pomóc jakoś poskładać to rozbite życie do kupy.

Bez wahania przykucnął obok krzesła i rzekł cicho:

— Z oczywistych powodów nie mogę przewodniczyć twojej rozprawie, Patricku. Zajmę się jednak wszelkimi wstępnymi formalnościami, aby umocnić w tobie poczucie bezpieczeństwa. Nadal jestem twoim przyjacielem. Nie krępuj się i dzwoń, gdybyś czegoś potrzebował.

Delikatnie poklepał Lanigana w kolano, mając nadzieję, że tam nie odniósł on żadnych obrażeń.

— Dziękuję, Karl — mruknął Patrick i przygryzł wargi.

Huskey chciał zajrzeć mu w oczy, lecz więzień nosił ciemne okulary. Po chwili sędzia wstał i ruszył w stronę wyjścia.

— Dzisiaj wszystko zgodnie z procedurą, panie pełnomocniku — rzucił w kierunku Sandy'ego.

— Dużo osób zebrało się na sali? — zapytał Lanigan.

— Sporo. Są tam zarówno twoi przyjaciele, jak i wrogowie. Czekają na ciebie, Patricku.

129

Pospiesznie wyszedł z sali.

Na wybrzeżu stanu wcale nie tak rzadko zdarzały się sensacyjne morderstwa i sędzono notorycznych zbrodniarzy, toteż zatłoczone sale były tu dość częstym widokiem. Nikt jednak nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek w sądzie panował aż taki ścisk podczas pierwszej wstępnej rozmowy z oskarżonym.

Przedstawiciele prasy zjawili się na samym początku, żeby zająć jak najlepsze miejsca. W stanie Missisipi obowiązywał jeszcze, będący już rzadkością, przepis zabraniający filmowania i robienia zdjęć na sali posiedzeń, toteż fotoreporterzy nie mieli tu nic do roboty, mogli się najwyżej przysłuchiwać, by później własnymi słowami opisać wydarzenia. Główna rola przypadała jednak w

udziale doświadczonym reporterom sądowym, a takich wcale nie było wielu.

Jak na każdą głośniejszą rozprawę przyszło też wielu stałych bywalców, a więc kancelistki, sekretarki i woźni, którzy nie mieli nic innego do roboty, znudzeni aplikanci, emerytowani gliniarze, miejscowi adwokaci spędzający całe dnie na korytarzach sądu i raczący się darmową kawą w różnych biurach czy kancelarii, roznoszący plotki i zaczytujący się wszelkiego typu ogłoszeniami w oczekiwaniu na zapadnięcie jakiegoś wyroku mogącego zapewnić im pracę. Nic dziwnego, że pojawienie się Patricka Lanigana wzbudzało wśród tych ludzi prawdziwą sensację.

Przyszli zobaczyć go nawet ci prawnicy, którzy nie zjawiali się w sądzie bez potrzeby. Od czterech dni gazety publikowały na pierwszych stronach artykuły na jego temat, ale nikt jeszcze nie miał okazji ujrzeć Patricka żywego. Krążyły przeróżne plotki dotyczące jego obecnego wyglądu, a wieści o straszliwych torturach dodatkowo podsycaly zainteresowanie.

Mniej więcej pośrodku tej gromadki siedzieli obok siebie Charles Bogan i Do-ug Vitrano, również pragnący się znaleźć w centrum wydarzeń i pomstujący na dziennikarzy, którzy okupowali pierwsze rzędy widowni. Obaj zresztą chcieli się znaleźć jak najbliżej stołu obrony, żeby z bliska ujrzeć dawnego współnika, przekazać szeptem różne groźby i przekleństwa, jeśli tylko nadarzy się okazja, mo-

że nawet splunąć mu w twarz, gdyby choć na chwilę zapomnieć o dobrych manierach. Lecz musieli się zadowolić miejscami w piątym rzędzie i tam czekali z utęsknieniem na ten moment, w którego nadejście chyba na poważnie dotąd nie wierzyli.

Trzeci współnik, Jimmy Havarac, stał pod ścianą w głębi sali i rozmawiał

z jakimś urzędnikiem. Udawał, że nie dostrzega zaciekawionych spojrzeń znanych mu osób, w większości także prawników, którzy w głębi ducha bardzo się cieszyli faktem zniknięcia tak olbrzymiej sumy i utratą renomy konkurencyjnej firmy. W końcu chodziło o największe honorarium, jakie w dotychczasowej historii stanu Missisipi miało zostać wypłacone kancelarii adwokackiej. Zawieść to 130

normalny element ludzkiego charakteru, ta jednak wiedzie wprost ku nienawiści, stąd też wielu obecnych na sali prawników otwarcie pogardzało sobą nawzajem.

Havarac uważał ich za obrzydliwe sępy zlatujące się do padliny.

Tenże syn łowcy krewetek, potężnie zbudowany i muskularny, w przeszłości nie stronił od pijackich bójek. Teraz marzył tylko o tym, aby przez pięć minut zostać sam na sam z Patrickiem. Od razu znalazłyby się skradzione pieniądze.

Czwarty z nich, Ethan Rapley, jak zwykle siedział w tym czasie w swoim domowym gabinecie i pracował nad rozwlekłym uzasadnieniem do wniosku formalnego w jakiejś mało znaczącej sprawie. Zamierzał o wszystkim dowiedzieć się następnego dnia z gazet.

Wśród pozostałych prawników była też garstka starych znajomych Patricka, zląknionych rzetelnych

informacji. W końcu o podobnym zniknięciu marzyło wielu z nich, jako że zazwyczaj przedstawiciele tej nudnej profesji mają bardzo wygórowane aspiracje. Laniganowi zaś wystarczyło odwagi, by urzeczywistnić skryte marzenia. I ci byli głęboko przekonani, że znajdzie się jakieś wytłumaczenie obecności zwęglonych zwłok we wraku samochodu.

Lance zjawił się za późno i zostało mu miejsce w samym kącie sali. Przez dłuższy czas krążył wśród dziennikarzy, chcąc wysondować szczelność ochrony więźnia. Ale ta wyglądała wręcz imponująco. Łudził się nadzieją, że gliniarze utracą czujność w miarę upływu dni. Nie był tego jednak wcale pewien.

Do sądu przyszło też wiele osób mieniących się serdecznymi przyjaciółmi Lanigana, choć w rzeczywistości przed laty spotkali się z nim zaledwie parę razy.

Niektórzy z nich nawet nie znali Patricka osobiście, co w żadnej mierze nie przeszkadzało im udawać bliskich znajomych. Na podobnej zasadzie Trudy zyskała nagle grono przyjaciół, głośno pomstujących na człowieka, który złamał jej serce i lekkomyślnie porzucił z maleńką Ashley Nicole.

Tacy ludzie udawali znudzonych, jakby przybyli do sądu z konieczności. Pochylali się nad książkami lub gazetami. Z uwagą jednak odnotowywali ostatnie poruszenia wśród urzędników i stopniowo zapadającą ciszę. Pospiesznie składali gazety i chowali książki.

Wreszcie otworzyły się drzwi za ławą przysięgłych i do sali wkroczyli poli-cjanci w brązowych mundurach. Za nimi pojawił się szeryf Sweeney, który prowadził Lanigana pod rękę. Pochód zamykało dwóch dalszych strażników oraz Sandy McDermott.

Nadeszła w końcu ta chwila! Ludzie pochylali się i wyciągali szyje, żeby zobaczyć na własne oczy osławionego adwokata. Rozpoczęło się wielkie przedstawienie.

Patrick wolnym krokiem, ze zwieszoną głową, przeszedł przez całą salę do stołu obrony. Mimo to zza ciemnych okularów uważnie przyglądał się zgromadzonej publiczności. Zauważył pod ścianą Havaraca, którego pogardliwa mina nie wymagała żadnych komentarzy. Zwrócił też uwagę na obecność ojca Phillipa, 131

pastora z jego dawnej parafii, który znacznie się postarzał, choć nadal sprawiał wrażenie nadzwyczaj energicznego.

Usiadł na krześle, przygarbił się i pochylił głowę na piersi, jakby chciał okazać pokorę. Nie rozglądał się dookoła, gdyż czuł na sobie dziesiątki zaciekawionych spojrzeń. Sandy położył mu dłoń na ramieniu i szepnął do ucha parę banalnych słów pocieszenia.

Ponownie otworzyły się boczne drzwi i do sali wkroczył osamotniony Parrish, prokurator okręgowy. Szybko podszedł do drugiego stołu. Ten z kolei był wręcz podręcznikowym przykładem człowieka o zaspokojonych ambicjach. Nie marzył

o większych zaszczytach. Starannie i metodycznie wykonywał swoje obowiązki, nie starał się przyciągać niczyjej uwagi, toteż był nadzwyczaj skuteczny. Cieszył

się opinią drugiego na liście prokuratorów stanowych pod względem sumarycznych wysokości uzyskanych wyroków. Usiadł obok szeryfa, który wcześniej zajął

miejsce przy stole oskarżenia, chociaż powinien siedzieć przy Patricku. W drugim rzędzie zasiadali już agenci Joshua Cutter oraz Brent Myers w towarzystwie dwóch innych typków z FBI, których Parrish nie znał.

Wszystko do tej pory zapowiadało spektakularną rozprawę, choć dzieliło ich od jej rozpoczęcia jeszcze co najmniej pół roku. Woźny poprosił obecnych o powstanie i na salę wkroczył sędzia Huskey.

— Proszę siadać — rzekł, zajmawszy miejsce za stołem prezydialnym. — Przystępujemy do rozpatrzenia sprawy numer dziewięćdziesiąt sześć łamane przez ty-siąc sto czterdzieści, założonej przez władze stanowe przeciwko Patrickowi Laniganowi. Czy oskarżony jest obecny?

— Tak, Wysoki Sądzie — odparł Sandy, unosząc się z krzesła.

— Proszę powstać, panie Lanigan — polecił Huskey.

Patrick, wyciągając nieco przed siebie skute kajdankami ręce, wstał powoli, odsuwając do tyłu krzesło. Nie wyprostował się do końca, stał pochylony i przygarbiony. Nie musiał zresztą wcale udawać. Środki uspokajające stłumiły ból i zlikwidowały napięcie mięśniowe, lecz zarazem wywołały ospałość.

Jakby uświadomiwszy to sobie, nieco wyżej podniósł głowę.

— Panie Lanigan, mam przed sobą kopię oskarżenia zatwierdzonego przez komisję przysięgłych okręgu Harrison, w którym zarzuca się panu morderstwo nieznannej osoby, popełnione z premedytacją. Czy zapoznał się pan z tym aktem oskarżenia?

— Tak, Wysoki Sądzie — oznajmił Patrick, jeszcze wyżej zadzierając brodę i starając się mówić pewnie oraz głośno.

— Czy naradził się pan ze swoim adwokatem?

— Tak, Wysoki Sądzie.

— I przyznaje się pan do winy?

— Jestem niewinny.

— Pańskie oświadczenie zostało przyjęte. Może pan usiąść.

— Swoim pierwszym orzeczeniem w tej sprawie sąd nakłada obowiązek do-chowania tajemnicy na obrońców, oskarżycieli, funkcjonariuszy policji i inne or-gany dochodzeniowe, jak również na wszystkich powołanych świadków i pracowników sądu, obowiązujący od tej pory do czasu zakończenia rozprawy. Kopie tego orzeczenia zostaną dostarczone zainteresowanym. Każde naruszenie wyszczególnionych postanowień będzie traktowane jak złamanie obowiązujących przepisów prawnych i spotka się z surową karą. Zabraniam przekazywania jakichkolwiek informacji przedstawicielom mediów bez mojej zgody. Czy są jakieś pytania reprezentantów obu stron?

Jego ostry, stanowczy ton sugerował, że Huskey zamierza rzeczywiście suro-wo ukarać każdego, kto naruszy owe postanowienia. Prawnicy zachowali milczenie.

— Doskonale. Przygotowałem już wstępny harmonogram dotyczący zgłasza-nia dowodów i wniosków formalnych, czynności wstępnych oraz właściwego procesu. Będzie dostępny w kancelarii. Czy są jeszcze jakieś pytania?

— Drobną sprawą formalną, Wysoki Sądzie — rzekł Parrish, podnosząc się z krzesła. — Chcielibyśmy przenieść oskarżonego do zakładu zamkniętego najszybciej jak to możliwe. Obecnie przebywa on w szpitalu bazy wojskowej, a co za tym idzie. . .

— Rozmawiałem z lekarzem sprawującym opiekę nad oskarżonym, panie Parrish — przerwał mu sędzia. — Mogę pana zapewnić, że gdy tylko pacjent odzyska w pełni siły, zostanie umieszczony w więzieniu okręgu Harrison.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie.

— Jeśli to wszystko, zamykam dzisiejsze posiedzenie.

Patricka w pośpiechu wyprowadzono z sali i bocznymi wąskimi schodami po-wiedziono do stojącego przed gmachem czarnego forda. Nic go nie obchodziło, że reporterzy biorą go na cel obiektywów kamer i aparatów fotograficznych. Zasnął

w drodze powrotnej do szpitala.

Rozdział 18

Zapewne jedyną zbrodnią, jakiej dopuścił się Stephano, była zgoda na porwanie Patricka i wymuszenie na nim zeznań, ale nie bał się formalnego oskarżenia.

Tamto zdarzyło się bowiem w Ameryce Południowej, daleko poza granicami amerykańskiej jurysdykcji. W dodatku winnymi tychże przestępstw byli inni, w tym grupa obywateli brazylijskich. Toteż jego adwokat nie miał żadnych wątpliwości, że bez trudu się upora z formalnymi zarzutami.

Zupełnie inną sprawą była ochrona klientów Stephano i troska o ich reputację.

A pod tym względem adwokat aż za dobrze znał możliwości i sposoby działania FBI. Stąd też gorąco doradzał detektywowi, aby przystał na proponowaną ugodę i złożył szczegółowe zeznania w zamian za uzyskanie rządowej obietnicy niena-ruszalności immunitetu jego klientów. Był przeświadczony, że

skoro Stephano nie ma nic innego na sumieniu, musi się zgodzić na współpracę.

Nie mógł jednak dopuścić, by zeznania były składane pod jego nieobecność.

Zdawał sobie sprawę, że przesłuchanie może potrwać nawet kilka dni, lecz mimo to chciał w nim uczestniczyć. Jaynes zarządził spotkanie w gmachu Hoovera, w specjalnie przygotowanej sali.

Podano im kawę i herbatniki. W miejsce na koń-

cu stołu, które zajął Stephano, zostały wycelowane dwie kamery wideo. Ten zaś, w koszuli z krótkimi rękawami, był całkiem spokojny, czuł się pewnie w towarzystwie adwokata.

— Proszę podać swoje imię i nazwisko — zaczął Underhill, pierwszy z zespołu dochodzeniowego, który wbił sobie do głowy wszystkie fakty z akt sprawy Lanigana.

— Jonathan Edmund Stephano. Jack.

— Jest pan właścicielem firmy o nazwie. . .

— Edmund Associates.

— Czym się ona zajmuje?

— Przyjmujemy różnorodne zlecenia z zakresu doradztwa i szkolenia personelu straży, ochrony mienia, obserwacji, poszukiwania osób zaginionych.

— Kto jest prawnym właścicielem firmy?

— Tylko ja. To spółka cywilna.

134

— Ilu pracowników pan zatrudnia?

— Różnie. W tej chwili na pełnym etacie jedenastu, około trzydziestu angażuję okresowo. W razie potrzeby mogę przyjąć więcej ludzi.

— Czy został pan wynajęty do odnalezienia Patricka Lanigana?

— Tak.

— Kiedy?

— Dwudziestego ósmego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Stephano miał przed sobą potrzebne dokumenty, lecz nie musiał do nich zaglądać.

— Kto panu to zlecił?

— Benny Aricia, człowiek, którego pieniądze zostały skradzione.

— Ile panu zapłacił za wykonanie roboty?

— Początkowo uzgodniliśmy sumę dwustu tysięcy dolarów.

— A ile pan otrzymał do dnia dzisiejszego?

— Milion dziewięćset tysięcy.

— Co pan zrobił po uzyskaniu zlecenia od Benny'ego Aricii?

— Kilka rzeczy. Najpierw poleciałem do Nassau na Bahamach, żeby porozmawiać z pracownikami banku, z którego skradziono pieniądze. Mówię o filii Zjednoczonego Banku Walijskiego. Mój klient, pan Aricia, wraz z prawnikami kancelarii adwokackiej prowadzącej jego sprawy, otworzył tam specjalne konto w celu ulokowania tej kwoty, ale, jak dzisiaj już powszechnie wiadomo, na ich wpłynięcie czekał już ktoś inny.

— Czy pan Aricia jest obywatelem Stanów Zjednoczonych?

— Tak.

— Dlaczego więc postanowił ulokować pieniądze w banku zagranicznym?

— Chodziło o dziewięćdziesiąt milionów dolarów, z których sześćdziesiąt należało się jemu, a trzydzieści miało stanowić honorarium kancelarii adwokackiej.

Nikt z zainteresowanych nie chciał, aby mieszkańcy Biloxi dowiedzieli się o tak wielkiej sumie. Pan Aricia w tamtym czasie mieszkał właśnie w Biloxi. Uznał, że to dobry pomysł, aby zachować fakt istnienia ogromnej fortuny w tajemnicy.

— Czyżby pan Aricia chciał ominąć amerykańskie przepisy podatkowe?

— Nie wiem, z tym pytaniem proszę się zwrócić do niego. Mnie to ani trochę nie obchodziło.

— Z kim pan rozmawiał w bahamskiej filii Zjednoczonego Banku Walijskiego?

Adwokat prychnął pogardliwie, ale nic nie powiedział.

— Z Grahamem Dunlapem, Brytyjczykiem, jednym z wiceprezesów banku.

— Czego się pan dowiedział?

— Tego samego, co i wy. Że pieniądze zniknęły.

— Skąd pochodziły?

— Stąd, z Waszyngtonu, z Banku Narodowego. Dyspozycja przelewu została wystawiona o dziewiątej trzydziści rano dwudziestego szóstego marca. Była opa-trzona najwyższym priorytetem, co oznaczało, że najdalej w ciągu godziny cała kwota powinna się znaleźć na koncie w Nassau. O dziesiątej piętnaście do Zjednoczonego Banku Walijskiego wpłynęło ostatecznie potwierdzenie transferu, a już dziewięć minut później pieniądze zostały przelane do banku na Malcie, skąd równie szybko przesłano je do Panamy.

— W jaki sposób dokonano przelewu tak wielkiej sumy z konta?

Adwokat Stephano zdradzał coraz wyraźniejsze oznaki irytacji.

— Przecież to strata czasu — rzekł. — Dysponujecie tymi wszystkimi informacjami od czterech lat. Poświęciliście znacznie więcej czasu na rozmowy z bankierami niż mój klient.

— Mamy jednak prawo zadawać takie pytania — odparł niewzruszony Underhill. — Po prostu chcemy zweryfikować nasze ustalenia. Jakim zatem sposobem dokonano przelewu tak wielkiej sumy z konta, panie Stephano?

— W tajemnicy przed moim klientem i jego prawnikami ktoś, jak zakładamy Patrick Lanigan, zyskał hasło dostępu do konta i znacznie wcześniej zdążył przygotować szczegółowe instrukcje transferu pieniędzy na Maltę. Wydał te polecenia w imieniu kancelarii adwokackiej prowadzącej sprawę mojego klienta, fałszując wszelkie podpisy. W tym czasie osoby zainteresowane sądziły, że Patrick Lanigan nie żyje, nie było żadnych powodów do podejrzeń, iż zamierza on zdefraudować pieniądze. Ponadto umowa, na mocy której Bank Narodowy przelał dziewięćdziesiąt milionów dolarów, objęta była ścisłą tajemnicą, toteż nikt poza moim klientem, jego adwokatami oraz garstką pracowników Departamentu Sprawiedliwości w ogóle nie wiedział o dokonanym transferze.

— Jak rozumiem, ktoś w banku bahamskim czekał na finalizację tegoż przelewu?

— Zgadza się. Jesteśmy prawie pewni, że był to Patrick Lanigan. Tego samego ranka dwudziestego szóstego marca przedstawił się Grahamowi Dunlapowi jako Doug Vitrano, jeden ze współników kancelarii adwokackiej. Legitymował się doskonale podrobionymi dokumentami, paszportem i prawem jazdy. Ponadto był

elegancko ubrany i znał wszystkie szczegóły planowanego transferu z Waszyngtonu. Przedstawił potwierdzone notarialnie upoważnienie pozostałych współników do wyłącznego dysponowania pieniędzmi z konta kancelarii i na tej podstawie złożył instrukcje przelania całej sumy do banku na Malcie.

— Doskonale wiemy, że dysponujecie kopiami zarówno tego upoważnienia, jak i zlecenia transferu — wtrącił adwokat.

— To prawda — przyznał Underhill.

Zaczął przeglądać swoje notatki, starając się nie zwracać uwagi na prawnika.

FBI również prześledziło drogę transferu pieniędzy poprzez Maltę do Panamy, gdzie urywały się

wszystkie ślady. Mieli odbitkę kadru zarejestrowanego przez 136

kamerę systemu bezpieczeństwa banku bahamskiego, na którym widać było męż-

czynę podającego się za Douga Vitrano. Agenci FBI także byli przeświadczeni, że jest to ucharakteryzowany Patrick Lanigan. Wyglądał znacznie szczuplej niż przed pozorowaną śmiercią, miał bardzo krótkie, ufarbowane na czarno włosy, dość gęste wąsy i nosił stylowe okulary w kościanej oprawce. Zgodnie z wyjaśnieniami, jakich udzielił Grahamowi Dunlapowi, przyleciał na wyspę specjalnie po to, by osobiście nadzorować transfer pieniędzy, gdyż jego wspólnicy oraz klient bardzo się niepokoją o bezpieczeństwo tak olbrzymiej sumy. Pracownik banku nie dostrzegł w tym niczego niezwykłego i potraktował gościa bardzo uprzejmie. Ale tydzień później został zdjęty ze stanowiska i musiał odlecieć do Londynu.

— Później wróciłem do Biloxi. Przez miesiąc szukaliśmy tam jakichkolwiek wskazówek — ciągnął Stephano.

— I wtedy odkryliście instalację podsłuchową w biurach kancelarii?

— Zgadza się. Z oczywistych powodów zaczęliśmy podejrzewać Lanigana.

Postawiliśmy sobie wówczas dwa główne cele: po pierwsze, odnaleźć winowajcę oraz skradzione pieniądze, a po drugie, poznać metody jego działania. Właściciele kancelarii udostępnili nam swoje pomieszczenia na tydzień, a wynajęci technicy przetrzasnęli całe piętro. Poszukiwania przyniosły skutek. Odkryliśmy pluskwy w każdym aparacie telefonicznym, w każdym gabinecie, pod każdym biurkiem, a nawet w korytarzu i w męskiej toalecie. Tylko jeden pokój był czysty, gabinet Charlesa Bogana. Dowiedzieliśmy się jednak, że zawsze zamykano go na klucz.

W sumie znaleźliśmy dwadzieścia dwa urządzenia najwyższej jakości. Sygnały z mikronadajników przekazywane były przez aparat nadawczy dużej mocy, ukryty w kartonowym pudle ze starymi papierzyskami na strychu, wśród rupieci, do których nikt nie zaglądał co najmniej od roku.

Underhill prawie go nie słuchał. Zdawał sobie sprawę, iż przełożeni będą mogli później obejrzeć na wideo przebieg całego przesłuchania. Znał już omawiane fakty, zapoznał się z grubym czteroczęściowym raportem technicznym, opisują-

cym ze szczegółami zainstalowaną przez Lanigana sieć podsłuchową. Bardzo drogie, miniaturowe, lecz zdumiewająco czułe mikrofony produkowane przez znaną firmę z Malezji fachowcy zaliczyli do arcydzieł najnowszej techniki. W Stanach Zjednoczonych były objęte zakazem handlu, ale z łatwością można je było kupić niemal w dowolnym europejskim mieście. A Patrick wraz z Trudy pięć tygodni przed wypadkiem samochodowym spędzali sylwestra w Rzymie.

Nadajnik odkryty w pudle na strychu wzbudził jeszcze większe zainteresowanie specjalistów. Został wyprodukowany trzy miesiące przed odnalezieniem go przez ludzi Stephano, a technicy FBI po jego zbadaniu przyznali ze skruchą, iż co najmniej o rok wyprzedza on konstrukcyjnie wszelkie znane im do tej pory analogiczne urządzenia. Pochodził z Węgier i mógł niezależnie odbierać sygnały z wszystkich dwudziestu dwóch mikrofonów rozmieszczonych na dole, po czym emitować scaloną

wiązkę radiową prawdopodobnie do jeszcze innego urządzenia, 137

będącego nadajnikiem satelitarnym.

— Czy udało wam się stwierdzić, gdzie były odbierane sygnały z nadajnika?

— spytał z większym zainteresowaniem, gdyż fachowcy z FBI nie potrafili tego określić.

— Nie. Ustaliliśmy jedynie, że ma on zasięg pięciu kilometrów. Nie mogliśmy jednak przeczesać tak olbrzymiego terenu.

— Nic wam nie przyszło do głowy?

— Owszem. Wywnioskowaliśmy, że Lanigan z pewnością nie był na tyle głupi, żeby instalować olbrzymi nadajnik satelitarny w samym centrum Biloxi.

Prawdopodobnie wynajął jakieś pomieszczenie, gdzie ukrył aparaturę odbiorczą, i spędzał tam mnóstwo czasu, na bieżąco podsłuchując prowadzone w kancelarii rozmowy. Już wcześniej dał się poznać ze swoich metodycznych działań. Osobi-

ście podejrzewam, że prowadził nasłuch z pokładu jachtu. Byłoby to rozwiązanie najprostsze i najbezpieczniejsze zarazem. W końcu siedziba kancelarii znajduje się tylko sześćset metrów od plaży, a po zatoce bez przerwy kręci się mnóstwo łodzi. Wystarczyłoby rzucić kotwicę ze dwa kilometry od brzegu i siedzieć tam jak u Pana Boga za piecem.

— Czy Lanigan dysponował własną łodzią?

— Nie udało nam się tego stwierdzić.

— Znaleźliście jakieś dowody na to, że prowadził nasłuch z łodzi?

— Może — mruknął niepewnie Stephano, uświadomiwszy sobie, że dotyczą spraw nie znanych dotąd FBI.

— Mieliśmy grać ze sobą w otwarte karty, panie Stephano — rzucił ze złością Underhill.

— No dobra. Sprawdziliśmy wszystkie okoliczne punkty wynajmu jachtów, od Destin po Nowy Orlean, i znaleźliśmy nikły ślad. Pewna niewielka firma tury-styczna z Orange Beach w Alabamie jedenastego lutego, a więc już po pogrzebie Lanigana, wypożyczyła jakiemuś mężczyźnie dziesięciometrowy jacht motorowy.

Opłata za wynajem wynosiła tysiąc dolarów miesięcznie, lecz klient zaproponował dwa razy tyle, jeśli przyjmą gotówkę i zaniechają wszelkich papierkowych formalności. Właściciel doszedł do wniosku, że chodzi o przemyt narkotyków, i przyjął proponowane warunki. Mężczyzna zgodził się zapłacić z góry cztery tysiące dolarów za dwa miesiące i zastaw w wysokości pięciu tysięcy. W tym okresie panował zastój, a jacht był wysoko ubezpieczony przed kradzieżą, dlatego właściciel firmy poszedł na taki układ.

Underhill słuchał teraz z uwagą. Nie robił jednak notatek.

— Pokazaliście mu zdjęcie Lanigana?

— Owszem. Facet powiedział, że to mógł być ten człowiek, tylko bez brody, ze znacznie ciemniejszymi włosami. Nosił czapkę baseballową i ciemne okulary. Wzrost i waga mniej więcej się zgadzały, a wtedy jeszcze nie używał żadnego 138

rewelacyjnego „Slim-Fastu”. Niemniej właściciel firmy nie rozpoznał poszukiwanego na sto procent.

— Jak się nazywał ów klient?

— Przedstawił się jako Randy Austin. Miał prawo jazdy wystawione w Georgii. Ale nie chciał okazać żadnego innego dokumentu tożsamości. Nie zapomnijcie, że dobrze płacił, i to gotówką. W razie konieczności pewnie byłby gotów zapłacić nawet więcej.

— Co się stało z jachtem?

— Właściciel odzyskał go w końcu. Powiedział nam, że już na początku nabrał podejrzeń, gdyż klient raczej niewiele wiedział na temat żeglarstwa. Kręcił się po przystani, pytał o różne rzeczy. Oznajmił, iż uzyskał właśnie rozwód w Atlancie i jest zmęczony pyskówkami w sądzie oraz kłótniami o pieniądze, zamierza więc popłynąć na dłuższą wycieczkę. Twierdził, że za młodu sporo żeglował i nie boi się teraz popłynąć na południe, w kierunku łańcucha Key West. Wolał jednak trzymać się blisko wybrzeża. Właściciel wypożyczalni przyjął to za dobrą monetę, ale nie pozbył się podejrzeń. Następnego dnia Randy zjawił się jak spod ziemi, nie przyjechał ani własnym samochodem, ani taksówką. Wyglądało na to, że ktoś go podrzucił łodzią na przystań. Po załatwieniu wszelkich formalności wsiadł na jacht i odpłynął. Duża, stabilna żaglówka nie była uzależniona od wiatru, gdyż miała silnik dieslowski dużej mocy i mogła nawet rozwijać prędkość ośmiu wę-

złów. Ale gdy tylko zniknęła za wschodnim horyzontem, właściciel, nie mając nic innego do roboty, pojechał wzdłuż plaży, zamierzając odwiedzić kilka ulubionych barów, a jednocześnie mieć oko na Randy'ego, który rzeczywiście trzymał

się ćwierć mili od brzegu i całkiem nieźle sobie radził. O zmierzchu zawinął do przystani w Perdido Bay i odjechał wypożyczonym fordem taurusem z rejestracją stanu Alabama. Ćwiczył w ten sposób żeglowanie przez trzy lub cztery dni, podczas gdy właściciel jachtu cały czas go obserwował. A z każdym dniem Randy ośmielał się wypływać coraz dalej od brzegu. Wreszcie niespodziewanie skierował łódź na zachód, w stronę Mobile oraz Biloxi, i nie wracał przez trzy dni.

Później zawinął do przystani na jedną noc, rano zaś znowu odpłynął na zachód.

Wyglądało na to, że zrezygnował z wycieczki na południowy wschód, jak to pierwotnie zapowiadał. Niemniej właściciel jachtu przestał się niepokoić, skoro klient nie wypływał nigdzie dalej. Zniknął najwyżej na tydzień, potem znów zawijał na noc do przystani.

— I twoim zdaniem był to Patrick Lanigan?

— Owszem. Jestem o tym przekonany. Zresztą wszystko do niego pasuje. Na morzu był całkowicie bezpieczny, mógł przez wiele dni pływać nie zauważony przez nikogo, a jednocześnie z setek miejsc wzdłuż wybrzeża Gulfport i Biloxi gromadzić informacje przekazywane drogą radiową. Co więcej, pływanie jachtem dawało mu znakomitą okazję do zrzucenia nadwagi.

— Więc jak się to ostatecznie skończyło?

139

— Randy zostawił po prostu jacht na przystani i zniknął bez śladu. Właściciel był szczęśliwy, bo nie tylko odzyskał łódź, ale i zarobił dodatkowo pięć tysięcy wpłaconych jako zastaw.

— Sprawdzaliście ten jacht?

— Przez lupę, lecz niczego nie znaleźliśmy. Facet twierdził, że jeszcze nigdy nikt mu nie zwrócił tak czyściutkiej łodzi.

— Kiedy zniknął Randy?

— Właściciel przystani nie był pewien, gdyż przestał codziennie obserwować poczynania klienta. Znalazł ją przycumowaną trzydziestego marca, cztery dni po kradzieży pieniędzy z banku. Rozmawialiśmy z chłopakiem, który w Perdido Bay pilnował przystani, i według niego Randy przybił po raz ostatni do lądu dwudziestego czwartego lub piątego marca. Nie pokazał się już więcej. Te daty również doskonale pasują do Lanigana.

— A co się stało z wypożyczonym samochodem?

— To również sprawdziliśmy. Pochodził z firmy Avis i został wynajęty na lotnisku okręgowym w Mobile dziesiątego lutego, w poniedziałek rano, a więc oko-

ło dziesięciu godzin po upozorowaniu wypadku samochodowego. Wypożyczył

go biały mężczyzna, bez brody, gładko ogolony, z krótkimi ciemnymi włosami, noszący okulary w kościanej oprawce, w lekkim płaszczu i krawacie; przyleciał

jakoby z Atlanty. Pokazaliśmy pracownikowi biura wynajmu fotografię i ten od razu rozpoznał Lanigana. Klient posługiwał się wystawionym w Georgii prawem jazdy na nazwisko Randy'ego Austina i uregulował rachunek kartą kredytową Vi-sa, jak się później okazało fałszywą, ale obciążającą istniejące rzeczywiście konto bankowe pewnego mieszkańca Decatur, także w Georgii. Powiedział, że jest agentem jakiejś dużej firmy handlu nieruchomościami i przyjechał na wybrze-

że, aby szukać dogodnych terenów pod budowę kasyn gry. Nie zostawił jednak służbowej wizytówki, nie chciał też rachunku. Wypożyczył samochód na tydzień, lecz w biurze Avis nigdy się już nie zjawił. Porzucone auto odzyskano dopiero po czternastu miesiącach.

— Dlaczego nie zwrócił samochodu w terminie? — zapytał lekko rozbawiony Underhill.

— To proste. Kiedy go wynajmował, tuż po fikcyjnej śmierci, nie musiał się jeszcze niczego obawiać. Ale już następnego dnia wszystkie lokalne gazety z Mobile i Biloxi zamieściły zdjęcie szanowanego adwokata, który zginął w wypadku.

Widocznie Lanigan doszedł do wniosku, że nie warto ryzykować ponownej wizyty w biurze. Wóz odnalazł się aż w Montgomery, rozbity i wstawiony do komisju.

— Co się dalej działo z Patrickiem?

— Według moich szacunków wyjechał z rejonu Orange Beach dwudziestego czwartego lub piątego marca i załatwił sobie fałszywe dokumenty na nazwisko Douga Vitrano, wcześniejszego współnika z kancelarii. W każdym razie dwudziestego piątego poleciał z Montgomery do Atlanty, a stamtąd pierwszą klasą 140

do Miami, gdzie przesiadł się na samolot do Nassau. Trzy rezerwacje biletów lotniczych zostały dokonane na nazwisko Vitrano. Także dwie odprawy celne, w Miami i na Bahamach, przeszedł, posługując się fałszywym paszportem na to nazwisko. Wylądował w Nassau o ósmej trzydzieści rano dwudziestego szóstego marca, w banku zjawił się tuż po jego otwarciu, o dziewiętej. Wylegitymował

się tym samym paszportem Grahamowi Dunlapowi i wręczył mu podrobione instrukcje. Po przelaniu pieniędzy odleciał do Nowego Jorku, wysiadł na lotnisku La Guardia o czternastej trzydzieści. Tam straciliśmy trop. Prawdopodobnie pozbył się jednych fałszywych dokumentów i poleciał dalej, wykorzystując inne.

Kiedy wysokość oferty doszła do pięćdziesięciu tysięcy dolarów, Trudy wyraziła zgodę. Chodziło o wywiad dla *Inside Journal*, telewizyjnego programu dyskusyjnego cieszącego się sporą popularnością i dysponującego ogromnymi funduszami. Spuszczono żaluzje i porozstawiano jupitery, po podłodze rozciągnięto grube pęki kabli. Rozmowę miała poprowadzić Nancy de Angelo, która specjalnie w tym celu przyleciała z Los Angeles wraz z liczną grupą cudotwórców fryzjerstwa i charakteryzacji.

Chcąc wypaść jak najlepiej, Trudy spędziła dwie godziny przed lustrem i gdy zjawiała się w salonie, wyglądała wprost cudownie — Nancy oznajmiła, że zdecydowanie za dobrze, powinna bowiem sprawiać wrażenie załamanej, zranionej, smutnej, przytłoczonej decyzją sądu oraz wściekłej na męża za to, co zrobił jej oraz córce. Trudy zalała się łzami i reporterka musiała ją uspokajać przez pół godziny. W końcu przebrała się w dżinsy i bawełnianą bluzkę, dostosowując się do wymagań.

Ashley Nicole także miała do odegrania ważną rolę. Posadzono ją obok matki na kanapie.

— Musisz wyglądać na zasmuconą — poleciła jej Nancy, kiedy technicy koń-

czyli ustawiać oświetlenie. — Przydałoby się też trochę łez — zwróciła się do Trudy — szczerych i autentycznych.

Rozmawiały przez godzinę na temat różnych okropnych rzeczy, których dopuścił się Patrick. Trudy naprawdę zaszlochała, przypomniawszy sobie pogrzeb.

Pokazała do kamery zdjęcie zniszczonego buta znalezione na miejscu wypadku i szczegółowo opisała swoje cierpienia w pierwszych miesiącach wdowieństwa.

Nie, nie wyszła po raz drugi za mąż. Nie miała też żadnej wiadomości od Patricka po jego schwytaniu. Nie, nawet nie próbował się zobaczyć z córką.

Po raz kolejny łzy napłynęły jej do oczu.

Z trudem podjęła decyzję o rozwodzie, ale uznała, że nie ma innego wyjścia.

I ze zgrozą myślała o wystosowanym przeciwko niej pozwie. Wszak towarzystwo ubezpieczeniowe potraktowało ją jak oszustkę, przestępcę.

Postępowanie jej męża było nie do przyjęcia. Czy spodziewała się cokolwiek 141

zyskać w wypadku odnalezienia skradzionych pieniędzy? Ależ skąd! Niemal poczuła się obrażona tym pytaniem.

Z pierwotnego nagrania przygotowano dwudziestominutowy reportaż. Patrick obejrzał go w swojej izolatce. Nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu.

Rozdział 19

Sekretarka McDermotta wycinała właśnie z gazet zdjęcia i relacje z wystą-

pienia szefa w nowoorleańskim sądzie, kiedy zadzwonił telefon. Szybko pobiegła do sali konferencyjnej, wyciągnęła Sandy'ego z narady i przełączyła rozmowę do jego gabinetu.

Dzwoniła Leah Pires. Przywitała się pospiesznie i spytała, czy dokładnie sprawdził swój pokój urządzeniem antypodsluchowym. Tak, robił to poprzedniego dnia. Była w pokoju hotelu przy ulicy Canal, kilkaset metrów od jego kancelarii. zaproponowała, żeby się tam spotkali. Sandy potraktował tę propozycję niczym stanowcze polecenie sędziego federalnego. Serce zaczęło mu walić jak młotem, zaledwie usłyszał w słuchawce jej głos.

Nie kazała mu się śpieszyć, toteż poszedł spacerowym krokiem ulicą Poydras, skręcił w Magazine, wreszcie dotarł do ulicy Canal. Ani razu nawet nie zerknął

za siebie. Doskonale rozumiał obawy Patricka, który ukrywał się przez wiele lat, wypatrując wrogów na każdym kroku. Ale jego nikt nie zdołałby przekonać, że jakieś płatne zbiry mogą go śledzić. Odgrywał teraz ważną rolę w niezwykle głośnej sprawie, zatem ewentualni prześladowcy musieliby stracić rozum, żeby zakładać podsłuch w jego biurze czy łązić za nim po ulicach. Przecież gdyby cokolwiek zauważył i złożył skargę w sądzie, działałoby to jedynie na korzyść Lanigana.

Musiał jednak wynająć agentów firmy ochroniarskiej i zdobyć urządzenie antypodsluchowe, gdyż bardzo wyraźnie zażądał tego klient.

Leah powitała go delikatnym uściskiem dłoni i przelotnym uśmiechem, lecz dało się zauważyć, że

trapi ją wiele spraw. Była boso, w dżinsach i lekkiej ba-wełnianej bluzce. Brazylijczycy pewnie tak się ubierają na co dzień — pomyślał.

Zaciekawiony, rozejrzał się po pokoju. W otwartej szafie wisiało zaledwie parę ubrań. Biedna dziewczyna musiała ciągle podróżować, wręcz żyć na walizkach, podobnie jak Patrick przez ostatnie cztery lata. Nalała kawy do dwóch filiżanek i poprosiła, by usiadł przy stole.

— Jak on się czuje? — zapytała.

— Coraz lepiej. Doktor mówi, że wyjdzie z tego bez szwanku.

— Bardzo cierpiał? — rzekła cicho.

143

Sandy stwierdził, że nadzwyczaj mu się podoba jej delikatny latynoski akcent.

— Raczej tak. — Sięgnął do aktówki, wyjął albumik ze zdjęciami i położył

przed nią. — Proszę.

Zmarszczyła brwi na widok pierwszej kolorowej odbitki. Po chwili mruknęła coś po portugalsku. Kiedy zerknęła na drugą fotografię, łzy napłynęły jej do oczu.

— Biedny Patrick — szepnęła. — Biedactwo.

Powoli przeglądała albumik do końca, odruchowo ocierając łzy wierzchem dłoni, dopóki McDermott się nie zreflektował i nie podał jej chusteczki. Ani trochę się nie wstydziła okazywać przed nim swoje uczucia. Wreszcie doszła do końca, zamknęła album i oddała go adwokatowi.

— Przykro mi — mruknął nieco zakłopotany Sandy. — A tu jest list od Patricka.

Leah osuszyła oczy i dołała sobie kawy.

— Czy zostaną mu po tych ranach jakieś blizny? — spytała.

— Doktor twierdzi, że nie powinny. Początkowo będą widoczne, ale z upływem czasu mają zniknąć.

— A w jakim jest nastroju?

— Trzyma się dzielnie. Narzeka na bezsenność, dokuczają mu koszmary senne, i to zarówno w dzień, jak i w nocy. Ale środki uspokajające przynoszą skutek.

Naprawdę nawet nie umiem sobie wyobrazić, przez co on musiał przejść. — Upił

łyk kawy i dodał: — Prawdopodobnie tylko o włos uniknął śmierci.

— Zawsze powtarzał, że go nie zabiją.

Do głowy cisnęły mu się setki pytań, miał wielką ochotę wyrzucić je z siebie jednym tchem: Czy Patrick wiedział, że tamci są na jego tropie? Zdawał sobie sprawę, iż lada dzień mogą go zidentyfikować? Gdzie ona była w tym czasie, kiedy go porwano? Czy mieszkali razem? W jaki sposób zabezpieczyła pieniądze?

Gdzie je ulokowała? Czy fortunie nic nie grozi? Gotów był błagać, aby uchyliła mu rąbka tajemnicy. W końcu był adwokatem Lanigana, mogła mu zaufać.

— Porozmawiajmy o sprawie rozwodowej — odezwała się, szybko zmieniając temat.

Zapewne wyczuwała rozpierającą go ciekawość. Wstała od stołu, podeszła do komody, wyjęła z szuflady grubą kartonową teczkę na dokumenty i położyła ją przed nim.

— Widziałeś wczoraj w telewizji wywiad z Trudy?

— Owszem. Usiłowała być bardzo patetyczna, prawda?

— Nie sądziłam, że jest taka ładna.

— Zbyt ładna. Moim zdaniem Patrick popełnił wielki błąd, żeniąc się z nią dla jej wyglądu.

— Nie on pierwszy dał się nabrać.

— Nie. To prawda.

144

— Patrick nią gardził. To fałszywa kobieta, była niewierna przez cały okres ich małżeństwa.

— Niewierna?

— Tak. Dowody są w tej teczce. W ostatnim roku małżeństwa Patrick zatrudnił prywatnego detektywa, aby ją śledził. Jej kochanek to niejaki Lance Maxa.

Spotykała się z nim przy każdej okazji. Detektyw zrobił szereg zdjęć Lance'a wchodzącego i wychodzącego z ich domu, kiedy tylko Patrick wyjeżdżał. Udało mu się nawet sfotografować Trudy z Lance'em opalających się przy basenie na tyłach domu, oczywiście nago.

Sandy pospiesznie otworzył teczkę, przerzucił kilka papierów i trafił na fotografie. Rzeczywiście ukazywały Trudy i Lance'a nagich, jak ich Pan Bóg stworzył. Uśmiechnął się ironicznie.

— To bardzo ciekawe dowody do sprawy rozwodowej.

— Patrick chyba ci już mówił, że chce rozwodu. Nie zamierza prowadzić żadnych kłótni na sali sądowej. Ale na razie trzeba Trudy zamknąć usta. Nieźle się bawi, rozpowiadając na lewo i prawo najgorsze rzeczy o swoim mężu.

— Te zdjęcia powinny odnieść pożądany skutek. A co z córką?

Leah usiadła z powrotem i spojrzała mu w oczy.

— Patrick kocha Ashley Nicole, lecz nie będzie walczył o prawa ojca. Dziewczynka nie jest jego córką.

Sandy przyjął tę wiadomość z zadziwiającym spokojem.

— Więc kto jest ojcem?

— Tego nie wiadomo. Prawdopodobnie Lance. Wygląda na to, że Trudy spotykała się z nim od bardzo dawna, bodajże jeszcze przed maturą.

— Skąd Lanigan może wiedzieć, że nie jest ojcem Ashley Nicole?

— Kiedy mała skończyła czternaście miesięcy, po kryjomu wziął jej z palca próbkę krwi i wysłał wraz z próbką swojej do laboratorium wykonującego testy DNA. Jego podejrzenia się sprawdziły. Wyniki analiz wykluczają ojcostwo. Ich kopia również znajduje się w tej teczce.

Sandy wstał i zaczął chodzić z kąta w kąt, gdyż w ten sposób łatwiej mu było uporządkować myśli. Po chwili stanął przy oknie i wyjrzał na ulicę Canal. Oto kolejny element układanki w tej zagadkowej sprawie wpasował się na miejsce.

Kluczowego znaczenia nabierało pytanie: od jak dawna Patrick planował swoje zniknięcie? Żona go zdradzała, musiał wychowywać nie swoje dziecko, wymyślił

więc tragiczny wypadek samochodowy, upozorował własną śmierć, w przebiegły sposób skradł pieniądze, po czym przepadł bez śladu. I przez cztery lata wszystko przebiegało po jego myśli.

— Czemu więc nie zamierza stawać przed sądem w sprawie rozwodowej?

— zapytał, nie odwracając głowy. — Jeśli to nie jego dziecko, powinien ujawnić fakty i pozbyć się kłopotu.

145

Sandy znał odpowiedź, ale chciał usłyszeć wyjaśnienia Pires. Po cichu liczył

na to, że zyska jakiegokolwiek wskazówki, które pozwolą mu rozwikłać dalsze tajemnice.

— Ujawnić je można wyłącznie adwokatowi Trudy — odparła Leah. — Wystarczy mu pokazać zgromadzone materiały. Kiedy pozna prawdę, zapewne zechce pójść na kompromis.

— Chodzi o ugodę w sprawie pieniędzy?

— Zgadza się.

— Jakiego typu?

— Trudy ma zrezygnować z wszelkich roszczeń finansowych.

— A jest o co walczyć?

— To zależy. W innych okolicznościach mogłaby nawet zyskać małą fortunę.

Sandy obrócił się gwałtownie i spojrzał na dziewczynę.

— Nie mogę negocjować żadnych warunków ugody finansowej, jeśli w ogóle nie mam pojęcia, jaką kwotą mój klient dysponuje. Chyba w tej kwestii powinni-

ście mnie oboje nieco bardziej wtajemniczyć.

— Cierpliwości — odrzekła, zachowując powagę. — Z czasem poznasz interesujące cię szczegóły.

— Czy Patrick naprawdę sądzi, że zdoła się wybronić od wszystkich zarzutów?

— W każdym razie będzie próbował.

— Nie widzę większych szans.

— A masz lepszy pomysł?

— Nie.

— Ja także. To jego jedyna szansa.

Sandy pokręcił głową i oparł się ramieniem o ścianę.

— Naprawdę mógłbym więcej zdziałać, gdybyście mi bardziej zaufali.

— Obiecuję, że we właściwym czasie dowiesz się wszystkiego. Na razie trzeba ukreślić łeb sprawie rozwodowej. Trudy odzyska wolność, ale musi zrezygnować z roszczeń finansowych względem Patricka.

— To powinno być proste. Jak również zabawne.

— Więc załatw to. Porozmawiamy w przyszłym tygodniu.

McDermott pojął od razu, że spotkanie dobiegło końca. Leah wstała od sto-

łu i zaczęła zgarniać dokumenty do teczki. Sandy wziął ją od niej i wsunął do aktówki.

— Jak długo zamierzasz tu zostać? — spytał.

— Parę dni — odparła, wyjmując z torebki dużą kopertę. — A tu jest list do Patricka. Przekaż mu, że

czuję się dobrze, ciągle jestem w podróży i dotąd nikt mnie nie zidentyfikował.

Sandy schował również kopertę i popatrzył Pires w oczy. W jej spojrzeniu kryło się zdenerwowanie. Chciał jej jakoś ulżyć, przynajmniej zaproponować pomoc, 146 domyślał się jednak, że zostanie odrzucona.

Leah uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

— Masz do wypełnienia ważne zadanie. A zatem do dzieła! Ja i Patrick za-troszczymy się o resztę.

Podczas gdy Stephano składał wyjaśnienia w Waszyngtonie, Benny Aricia oraz Guy rozbili obóz w Biloxi. Wynajęli trzypokojowy domek letniskowy w Back Bay, po czym zainstalowali w nim telefon i telefaks.

Wychodzili z założenia, że poszukiwana dziewczyna wcześniej czy później musi się pokazać w rejonie Biloxi. Patrick był pilnie strzeżony i wszystko wskazywało na to, że jego najbliższa przyszłość da się łatwo przewidzieć. Z pewnością nie mógł wychylić nosa poza teren szpitala, a więc to ona powinna teraz szukać z nim kontaktu. Chcieli ją pojmać przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Aricia z ciężkim sercem wyłożył na ten cel kolejne sto tysięcy dolarów, po-przysiągł sobie jednak w duchu, że nie wyda więcej ani centa. Utopił już w po-szukiwaniach prawie dwa miliony, musiał się więc opamiętać, póki jeszcze cokolwiek mu zostało. Towarzystwa Northern Case Mutual i Monarch-Sierra, które do tej pory wspomagały jego wysiłki, teraz całkowicie się wycofały. Zostawało jedynie liczyć na to, że agenci federalni, uszczęśliwieni obszernymi zeznaniami Stephano, dadzą im na razie spokój, przez co Guy zyska sposobność pojmania dziewczyny.

Osmar i jego chłopcy wciąż krążyli po ulicach Rio, bez przerwy obserwując wybrane miejsca. Gdyby więc prawniczka wróciła do Brazylii, powinna wpaść im w ręce. Co prawda Osmar musiał w tym celu zatrudnić wielu dodatkowych agentów, ale na szczęście byli oni znacznie mniej kosztowni od swych amerykańskich kolegów.

* * *

Powrót na południowe wybrzeże wywołał z pamięci Benny'ego Aricii przykre wspomnienia. Przeniósł się tutaj w roku 1985 jako przedstawiciel kierownictwa spółki Platt & Rockland Industries, prawdziwie mamuciego koncernu, w którym przez dwadzieścia lat pełnił rolę fachowca naprawiającego błędy innych. Jednym z najbardziej dochodowych oddziałów firmy była wówczas stocznia New Coastal Shipyards z Pascagoula, mieszcząca się w pół drogi między Biloxi a Mobile. Uzyskała ona właśnie olbrzymi, wart dwanaście miliardów kontrakt z dowództwa marynarki wojennej na budowę czterech nuklearnych okrętów podwodnych klasy 147

„Expedition”. I ktoś z zarządu spółki zdecydował, że Benny'emu przydałoby się stałe miejsce zamieszkania.

Wychował się w New Jersey, studiował w Bostonie, a ponieważ mierzył bardzo wysoko, pracę w najdalszym zakątku stanu Missisipi potraktował jak zesłanie.

Nie umiał się tu znaleźć. Po dwóch latach pobytu w Biloxi odeszła od niego żona.

Firma Platt & Rockland była podówczas spółką skarbu państwa, z majątkiem akcyjnym wycenianym na dwadzieścia jeden miliardów dolarów. Zatrudnia-

ła osiemdziesiąt tysięcy robotników i podzielona była na trzydzieści sześć oddzia-

łów, mających swoje zakłady w stu trzech krajach świata. Zajmowała się niemal wszystkim, od zarządzania pomieszczeń biurowych, poprzez wyrąb lasów, produkcję tysięcy różnych artykułów rynkowych, sprzedaż polis ubezpieczeniowych, wydobywanie gazu ziemnego, morski transport kontenerowy, rafinację miedzi, aż po budowę atomowych okrętów podwodnych. W rzeczywistości były to setki bardzo luźno powiązanych ze sobą przedsiębiorstw, gdzie — jak to zazwyczaj bywa — nie wiedziała lewica, czym się zajmuje prawica. Ważne były jedynie gigantyczne zyski, którymi mógł się szczycić zarząd spółki.

Benny zaś marzył o uzyskaniu daleko posuniętej autonomii, wyprzedaniu starego parku maszynowego i poczynieniu rozległych inwestycji. Miał wręcz chorobliwą ambicję i wszyscy, którzy go znali, doskonale wiedzieli, iż marzy mu się najwyższe stanowisko w zarządzie spółki.

Dlatego też przeniesienie do Biloxi uznał za kiepski żart, zepchnięcie na boczny tor wyreżyserowane przez jego wrogów z kierownictwa firmy. Nie w smak mu była realizacja rządowego kontraktu, z pogardą odnosił się do wojskowych tajemnic, waszyngtońskich biurokratów i ważniaków z Pentagonu. Mierziło go żółwie tempo, w jakim powstawały zamówione łodzie podwodne.

W roku 1988 wystąpił o przeniesienie, lecz jego prośba została odrzucona.

A rok później pojawiły się plotki o znacznych przekroczeniach kosztów budowy okrętów powstających w ramach projektu „Expedition”. Prace wstrzymano, w stoczni New Coastal Shipyards zaroilo się od różnorodnych komisji rządowych i wojskowych. Benny’emu grunt zaczął się palić pod nogami.

Tymczasem firma Platt & Rockland znana była z zawyżania kosztów, fałszowania rachunków oraz innych machinacji finansowych w ramach kontraktów dla przemysłu zbrojeniowego. Ilekroć tego typu oszustwa wychodziły na jaw, zarząd spółki natychmiast zwalniał winnych, po czym przystępował do negocjacji z Pentagonem na temat nowych warunków umowy.

Benny nawiązał kontakt z miejscowym adwokatem, Charlesem Boganem, naj-starszym ze współników firmy, w której pracował również Patrick Lanigan. Bliski kuzyn Bogana był natomiast senatorem stanu Missisipi, przewodniczył senackiej podkomisji zatwierdzającej wydatki wojskowe i cieszył się olbrzymim poparciem najwyższego dowództwa sił zbrojnych.

Ponadto promotor pracy dyplomowej Bogana pełnił obecnie stanowisko sę-

dziego federalnego, toteż kancelaria miała powiązania z lokalnymi politykami.

Aricia doskonale o tym wiedział i właśnie dlatego wybrał Bogana.

Ustawa antymalwersacyjna, zwana niekiedy pogardliwie prawem donosicieli, uchwalona została przez Kongres specjalnie w celu zachęty do ujawniania nad-użyć w przedsiębiorstwach realizujących zlecenia rządowe. Benny szczegółowo się z nią zapoznał, zasięgnął nawet opinii radcy prawnego, zanim przedstawił swą sprawę Boganowi.

Oznajmił mu, iż może udowodnić, że w ramach wykonywania projektu „Expedition” spółka Platt & Rockland zawyżyła koszty budowy okrętów o jakieś sześć-

set milionów dolarów. Nie ukrywał też, że sytuacja stała się dla niego nieprzyjemna, a nie zamierza odejść z pracy jako nieudacznik. Doskonale wiedział, iż ujawniając malwersacje zarządu, jednocześnie zamyka sobie furtkę do znalezienia jakiegokolwiek innego równorzędnego stanowiska. Nie miał złudzeń, że kierownictwo spółki wystawi mu wilczy bilet. Skoro więc miał się znaleźć na czarnej liście i zapomnieć o dalszej karierze w przemyśle maszynowym, chciał maksymalnie wykorzystać otwierające się przed nim możliwości.

A w myśl przepisów ustawy człowiek ujawniający aferę finansową mógł uzyskać nawet piętnaście procent sumy, jaką utracił rząd na skutek malwersacji. Aricia dysponował pełną dokumentacją, pomoc adwokata potrzebna mu była jedynie do tego, by wywalczyć owe piętnaście procent sumy.

Bogan bez wahania najął różnorodnych konsultantów, żeby sprawdzili owe setki dokumentów, które Aricia zaczął kopiować w biurach New Coastal Shipyards. Szybko wyszły na jaw mechanizmy gigantycznego oszustwa, które wbrew pozorom wcale nie było tak skomplikowane. Kierownictwo spółki stosowało powszechnie znane metody: wielokrotnie nabywało te same materiały, zawyżało ce-ny, powielalo rachunki. Niemniej o podobnych praktykach wiedzieli wyłącznie przedstawiciele ścisłego kierownictwa. Aricia utrzymywał, że tylko przypadkiem natknął się na trop afery.

Pospiesznie przygotowano dowody i we wrześniu 1990 roku adwokaci wystą-

pili do sądu z pozwem, oskarżając zarząd spółki Platt & Rockland o defraudację sześciuset milionów dolarów. Benny złożył wymówienie tego samego dnia, kiedy wpłynął pozew.

Adwokaci bardzo starannie przygotowywali się do rozprawy, tymczasem kuzyn Bogana podniósł szum w senackiej podkomisji. Znacznie wcześniej został

przygotowany do odegrania właściwej roli, z oczywistych względów nadając bulwersującej sprawie niezwykłą wagę. Wszyscy mieli się na tym nieźle wzbogacić.

Kancelaria adwokacka zażądała standardowego honorarium w wysokości trzeciej części wywalzonego odszkodowania, czyli od piętnastu procent z sześciuset milionów dolarów. Nikt nie wiedział, ile z tego miało wpłynąć na konto senatora.

Bogan umyślnie rozpuścił informacje wśród przedstawicieli miejscowej prasy, natomiast jego kuzyn uczynił to samo w Waszyngtonie. Zarząd spółki Platt 149

& Rockland znalazł się niespodziewanie pod ostrzałem. Wycofała się część kontrahentów, zerwano niektóre umowy, akcjonariusze poczuli się zagrożeni. Niemal natychmiast kilkanaście osób z kierownictwa New Coastal Shipyards znalazło się na bruku, zapowiadano dalsze zwolnienia.

Jak można było oczekiwać, prawnicy firmy przystąpili do negocjacji z urzędnikami Departamentu Sprawiedliwości, ale rozmowy nie były łatwe. Po ro-ku przepychanek zarząd spółki postanowił zwrócić sześćset milionów dolarów i obiecał solennie poprawę. A ponieważ dwa okręty podwodne znajdowały się już na ukończeniu, Pentagon zgodził się nie wycofywać z kontraktu. Ostatecznie firma Platt & Rockland została zobligowana do realizacji zamówienia o pier-wotnej wartości dwunastu miliardów dolarów, tyle że wskutek inflacji oraz po-wtórnego skalkulowania kosztów cena czterech okrętów wzrosła do dwudziestu miliardów.

Po zawarciu ugody Benny Aricia zaczął planować, jak spożytkuje swoją fortunę. Dokładnie tym samym zaprzętały sobie głowy adwokaci. Tymczasem Patrick zniknął, zgarniając im sprzed nosa całą sumę.

Rozdział 20

Pepper Scarboro posługiwał się prostym jednostrzałowym karabinkiem Remingtona kalibru 12, który kupił w sklepie ze starzyzną w Lucedale, kiedy miał

szesnaście lat, a więc był za młody na to, aby zdobyć legalnie broń. Zapłacił za karabin dwieście dolarów i według zeznań matki, Neldene, traktował go jak największy skarb. Sweeney, który tydzień po śmierci Patricka przeszukiwał domek myśliwski w obecności szeryfa okręgu Greene, Tatum, odnalazł pod łóżkiem broń wraz z mocno zniszczonym śpiworem i małym jednoosobowym namiotem. Owa rewizja nie była do końca zgodna z prawem, bo choć Trudy udzieliła na nią zgody, to jednak nie dysponowała żadnym prawem własności domku pod lasem. A co za tym idzie, nie dało się wprost zaliczyć tych rzeczy do materiału dowodowego w sprawie domniemanego morderstwa popełnionego przez Lanigana, ponieważ odnaleziono je w trakcie przeszukania prowadzonego bez nakazu rewizji. Istniała jedynie wątpliwa szansa argumentowania przed sądem, iż przedmioty te zostały znalezione przypadkiem, podczas rutynowej kontroli, jako że w tamtym okresie na Patricku nie ciążyło jeszcze podejrzenie o jakąkolwiek zbrodnię.

Szeryf zamierzał jedynie zebrać rzeczy osobiste zmarłego tragicznie adwokata i przekazać je najbliższej rodzinie.

Trudy jednak nie chciała namiotu i śpiwora. Twierdziła stanowczo, że nie są to rzeczy jej męża. Nigdy wcześniej ich nie widziała. A Patrick z pewnością nie używałby takich starych, zniszczonych sprzętów, zresztą nie musiał obozować w lesie, miał przecież domek myśliwski. Dlatego też Sweeney spisał protokół

i umieścił znalezisko w magazynie rzeczy znalezionych. Zamierzał przetrzymać je tam ze dwa lata, po czym wystawić na dorocznej wyprzedaży organizowanej przez biuro szeryfa. Ale sześć tygodni

później musiał długo uspokajać rozhisteryzowaną Neldene Crouch, która od razu rozpoznała sprzęt obozowy syna.

Karabinek Remingtona spotkał nieco odmienny los. Sweeney bardzo zaskoczył fakt znalezienia broni pod łóżkiem Lanigana w domku myśliwskim. Dało się to jedynie wytłumaczyć pośpiechem właściciela. Zarazem zrodziły się pierwsze podejrzenia. Szeryf sam był zapalonym myśliwym, wiedział zatem doskonale, że nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł zostawić karabinu w opuszczonym budyn-151

ku wystawionym na łup złodziei. Właściciele podobnych domków letniskowych nigdy nie zostawiali w środku żadnych wartościowych rzeczy, zwłaszcza na takim odludziu, na obrzeżu wielkiego kompleksu leśnego. Dlatego też Sweeney poddał

broń szczegółowym oględzinom i szybko odkrył, że numery fabryczne zostały przebite. Należało stąd wnioskować, że karabin pochodził z kradzieży.

Po krótkiej dyskusji z szeryfem Tatumem uzgodnił, że warto zbadać odciski palców na broni. Nie sądzili, żeby wyniki analizy cokolwiek im dały, lecz jako doświadczeni stróże prawa woleli trzymać się ustalonych procedur.

Dopiero znacznie później, po uzyskaniu pisemnej obietnicy nieścigania go za złamanie przepisów, właściciel sklepu ze starzyzną w Lucedale przyznał się, że sprzedał ten karabin Pepperowi.

Sweeney i Ted Grimshaw, główny oficer dochodzeniowy okręgu Harrison, delikatnie zapukali do drzwi szpitalnej izolatki i otworzyli je dopiero wówczas, kiedy zostali zaproszeni do wejścia. W dodatku szeryf wcześniej zapowiedział

telefonicznie swą wizytę, uprzedzając zarazem więźnia o jej celu. Chodziło ponoć o sprawy proceduralne, uzupełnienie danych w kartotece.

Sfotografowali go na krześle, w białej koszulce z krótkimi rękawami i spodenkach gimnastycznych. Siedział sztywno, z potarganymi włosami i posępną miną.

Trzymał na piersiach tabliczkę z numerem identyfikacyjnym, którą przynieśli ze sobą. Następnie zdjęli jego odciski palców, przy czym Sweeney próbował wcią-

gnąć oskarżonego do rozmowy. Patrick nie chciał nawet usiąść, kazał Grimsha-wowi zdejmować odciski na stojąco.

Kiedy zaś szeryf jął zadawać pytania dotyczące Peppera Scarboro, Lanigan natychmiast sobie przypomniał, że ma adwokata, który powinien być obecny podczas przesłuchania. Poza tym i tak nie miał nic do powiedzenia w sprawie zaginionego chłopaka.

Podziękowali mu i wyszli pospiesznie. W pokoju Lanigana czekał już na te odciski palców Cutter wraz z daktyloskopistą FBI ściągniętym z Jackson. Przed laty Grimshaw znalazł na kolbie karabinu kilkanaście doskonale zachowanych, czytelnych odcisków, toteż zdjął je starannie i dołączył do protokołu. Obecnie stare fiszki zostały rozłożone na stole. Karabin znalazł się na półce obok namiotu

i zniszczonego śpiwora, samotnego buta marki Nike i kilku drobiazgów, które miały być użyte podczas rozprawy przeciwko Patrickowi.

Popijając kawę z plastikowych kubeczków, zaczęli cicho rozmawiać na temat wędkarstwa, podczas gdy daktyloskopista przystąpił do porównywania odcisków palców przez dużą lupę. Nie trwało to długo.

— Niektóre odciski zgadzają się idealnie — oznajmił, nie podnosząc głowy.

— Na kolbie broni z całą pewnością znajdowały się odciski palców Lanigana.

To była świetna wiadomość. Teraz trzeba było obmyślić plan dalszego docho-152
dzenia.

Patrick poprosił o udostępnienie mu innego pokoju do narad z adwokatem i doktor Hayani szybko wydał odpowiednie dyspozycje. Zażądał również fotela na kółkach, żeby móc się łatwiej poruszać między piętrami szpitalnego budynku.

Pielęgniarka powiozła go korytarzem do windy. Zostawili dwóch strażników siedzących przed drzwiami izolatki, jak również agenta specjalnego Brenta Myersa.

Na parter zjechał z nimi tylko jeden funkcjonariusz z biura szeryfa.

Udostępniony mu pokój miał służyć pierwotnie jako sala zebrań personelu, ale w tak małym szpitaliku wojskowym był wykorzystywany niezmiernie rzadko.

Sandy złożył zamówienie na opisanie przez Patricka urządzenie antypodsluchowe, ale miał je dostać dopiero za kilka dni.

— Pogoń dostawcę — skwitował tę wiadomość Lanigan.

— Nie przesadzaj, Patricku. Chyba naprawdę nie podejrzewasz, że ktoś mógł

założyć podsłuch w tym pokoju. Przecież decyzja o tym, że będziemy się tu spotykać, zapadła najwyżej godzinę temu.

— Ostrożności nigdy za wiele.

Lanigan szybko wstał z fotela i energicznym krokiem obszedł dookoła stół

konferencyjny. McDermott spostrzegł z pewnym zdumieniem, że jego klient wcale nie utyka.

— Moim zdaniem powinieneś odpoczywać i przede wszystkim zachować spokój. Zdaję sobie sprawę, że przez cztery lata wiodłeś żywot zbiega, kierował tobą ustawiczny strach, wciąż panicznie oglądałeś się za siebie. Ale te dni już minęły.

Teraz jesteś bezpieczny. Uspokój się.

— Nie rozumiesz, że te zbiry ciągle krążą gdzieś w pobliżu? To prawda, złapali mnie, ale nie odzyskali jeszcze pieniędzy. Forsa jest dla nich najważniejsza.

Nie zapominaj o tym, Sandy. Możesz być pewien, że nie spoczną, dopóki jej nie odnajdą.

— Kto jednak miałby tu zakładać podsłuch? Najemne zbiry czy gliniarze?

— Ci, którzy stracili forszę, wydali do tej pory niezłą fortunę na jej odszukanie.

— Skąd o tym wiesz?

Patrick wzruszył ramionami, jakby się obawiał, że powie za dużo.

— O kim mówisz? — zapytał ponownie Sandy, ale odpowiedziało mu milczenie. Dokładnie tak samo reagowała Leah, kiedy usiłował się czegoś od niej dowiedzieć.

— Usiądź — rzucił Lanigan.

Zajęli miejsca przy stole, naprzeciwko siebie. McDermott wyjął z aktówki kartonową teczkę, którą Brazylijka przekazała mu cztery godziny wcześniej.

Patrick musiał ją natychmiast rozpoznać, gdyż zapytał szybko:

— Kiedy się z nią widziałeś?

153

— Dzisiaj rano. Czuje się dobrze i przesyła ci ucałowania. Do tej pory nikt jej nie śledził. Prosiła, abym ci to doręczył.

Przesunął po stole kopertę. Patrick chwycił ją łapczywie, rozerwał i wyciągnął

ze środka trzy zapisane arkusze papieru. Czytał jednak powoli, jakby na śmierć zapomniał o obecności adwokata.

Sandy zaczął po raz kolejny przeglądać materiały zebrane w teczce. Popatrzył

z ironicznym uśmiechem na zdjęcia przedstawiające Trudy i jej żigolaka, opalają-

cych się nago nad basenem kąpielowym na tyłach domu. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł je pokazać adwokatowi tej pary. Byli umówieni na spotkanie za trzy godziny.

Patrick skończył wreszcie czytać, starannie poskładał z powrotem kartki i wsunął je do koperty.

— Mam dla niej następny list — powiedział. W tej samej chwili jego wzrok padł na zdjęcia. — Dobra robota, prawda?

— Przyznam, że byłem zaszokowany. Jeszcze nigdy się nie spotkałem z tak profesjonalnie przygotowanym materiałem dowodowym w sprawie o rozwód.

— Kosztowało mnie to sporo pracy. Mniej więcej dwa lata po ślubie natkną-

łem się przypadkiem na jej pierwszego męża. Spotkaliśmy się na jakimś przyjęciu przed meczem drużyny Saints w Nowym Orleanie. Wypiliśmy parę kolejek i wtedy się dowiedziałem o starym romansie Trudy i Lance'a. To właśnie ten kocur na zdjęciu.

— Leah już mi to wyjaśniła.

— Trudy była wówczas w ciąży, więc zachowałem wiadomość dla siebie.

Między nami nie najlepiej się układało, miałem jednak nadzieję, że przyście na świat dziecka odmieni wiele spraw. Trudy nadal beczelnie wykorzystywała swoje wyjątkowe zdolności do kłamstw, a ja udawałem naiwniaka, potulnie grałem rolę dobrego, troskliwego tatuśka. Ale już po roku przystąpiłem do gromadzenia tych materiałów. Nie wiedziałem jeszcze, kiedy mogą mi się przydać, byłem jednak przekonany, że wcześniej czy później nasze małżeństwo musi się rozlecieć.

Zacząłem wyjeżdżać z miasta przy każdej nadarzającej się okazji, to w sprawach zawodowych, to znów na polowania czy na ryby albo na spotkania ze starymi kumplami. A jej było to bardzo na rękę.

— Spotkam się z adwokatem Trudy o piątej po południu.

— Świetnie, będziesz mógł zasmakować chwili wielkiego triumfu. Wszak to marzenie każdego prawnika. Zażądaj wycofania wszelkich roszczeń, zgódź się tylko na rozwód za obopólnym porozumieniem. I nie popuszczaj, Sandy. Ona musi podpisać wszystkie papiery. Nie dostanie ode mnie ani centa.

— Kiedy będziemy mogli porozmawiać o tym, co masz do stracenia?

— Już niedługo, obiecuję. Na razie trzeba załatwić najpilniejsze rzeczy.

McDermott wyjął z aktówki notatnik.

— Zatem słucham.

154

— Lance to paskudny typek. Wychowywał się wśród spelunek na Point Cadet, nie zrobił matury i siedział przez trzy lata za szmuglowanie narkotyków. Trzeba na niego uważać, ma przyjaciół w światku gangsterskim. Zna takich, którzy są gotowi przyjąć każde zlecenie za odpowiednią sumę. Mam drugą teczkę z dokumentami na jego temat. Pewnie Leah ci jej nie dała?

— Nie. Dostałem tylko tę jedną.

— Poproś ją przy następnym spotkaniu. Ten sam detektyw przez rok zbierał

dla mnie materiały na temat Lance'a. Wierz mi, że to niezłe ziółko. Sam może nie jest nazbyt szkodliwy, ale ma naprawdę niebezpiecznych przyjaciół. A Trudy ma pieniądze. Nie jestem pewien, ile jej jeszcze zostało z odszkodowania po mnie, ale podejrzewam, że zostawiła sobie coś na czarną godzinę.

— I myślisz, że spróbują cię załatwić?

— Owszem. Pomyśl tylko, Sandy. W obecnej sytuacji Trudy na niczym by tak nie zależało jak na mojej śmierci. Gdyby zdołała się mnie pozbyć, mogłaby zatrzymać dla siebie wszystko, co ma, i zapomnieć o roszczeniach towarzystwa ubezpieczeniowego. Znam ją dobrze. Liczy się dla niej jedynie forsa i odpowiedni styl życia.

— Tylko w jaki sposób. . .

— Wszystko da się załatwić, Sandy. Nie takie numery już wyczyniano.

Patrick oznajmił to stanowczym, pewnym tonem człowieka, który dopuścił się najcięższej zbrodni i ma być za nią osądzony. Kiedy McDermott to sobie uświadomił, serce w nim zamarło.

— To nawet nie byłoby takie trudne — dodał Lanigan z roziskrzonym wzrokiem; zmarszczki w kącikach jego oczu zbiegły się w drobniutką siateczkę.

— Rozumiem, tylko co ja miałbym zrobić? Samemu objąć straż przed drzwiami twojej izolatki?

— Wystarczy przejąć inicjatywę, Sandy.

— Jak?

— Najpierw powiedz jej adwokatowi, że dostałeś anonimową wiadomość, iż Lance poszukuje płatnego zabójcy. Rzuć tę uwagę mimochodem, pod koniec dzisiejszego spotkania. Facet powinien być na tyle zaszokowany zdjęciami i dokumentami, żeby przyjąć wszystko na wiarę. Powiedz mu, że zamierzasz również powiadomić gliniarzy. Niechybnie natychmiast zadzwoni do Lance'a, ale tamten żarliwie zaprzeczy. Niemniej wiarygodność jego klientów sporo ucierpi. Natomiast Trudy przyjmie z odrazą myśl, że ktoś ją podejrzewa o snucie razem z kochankiem niecznych planów. A później przedstaw tę samą bajeczkę o anonimowej informacji szeryfowi i chłopcom z FBI. Powiedz, że bardzo się martwisz o moje bezpieczeństwo, i poproś ich, by porozmawiali z Trudy i Lance'em na temat tych niepokojących plotek. Naprawdę znam ją dobrze, Sandy. Gotowa byłaby ozłocić Lance'a za każdą próbę ratowania jej majątku, ale nie będzie chciała mieć z tym nic wspólnego, jeśli się przekona, że może zostać pociągnięta do odpowie-

dzialności. Po pierwszych pytaniach gliniarzy w tej sprawie powinna się z niej błyskawicznie wycofać.

— Widzę, że dobrze to sobie przemyślałeś. Coś jeszcze?

— Owszem. Na samym końcu rozpuść plotkę wśród dziennikarzy. Najlepiej by było, gdybyś znalazł jakiegoś zaufanego reportera. . .

— To nie będzie trudne.

— Ale mnie naprawdę chodzi o zaufanego człowieka.

— Załatwione.

— Jesteś pewien? Przeglądałem gazety i wybrałem kilka nazwisk. Sprawdź

tych ludzi i wybierz takiego, który ci się najbardziej spodoba. Możesz mu obiecać, że jeśli teraz zgodzi się opublikować nie potwierdzone plotki, później dostanie wyłączność na opisanie całej prawdy. Powinien na to pójść. A wystarczy mu jedynie wspomnieć, że szeryf zaczyna sprawdzać pogłoski o żonie usiłują-

cej wynająć płatnego zabójcę, żeby w ten sposób zachować bezprawnie zdobyte odszkodowanie. Temat jest na tyle sensacyjny, że dziennikarz pewnie nawet nie będzie szukał potwierdzenia informacji. W końcu nie on jeden zajmuje się na co dzień publikowaniem rozmaitych plotek.

Sandy sporządzał notatki, nie mogąc się nadziwić, jak doskonale jego klient jest na wszystko przygotowany. Wreszcie schował długopis, zamknął notatnik i zapytał:

— Ile tego jeszcze masz w zanadrzu?

— Takich teczek?

— Aha.

— W sumie ze dwadzieścia kilogramów. Przed wyjazdem zgromadziłem materiały w wynajętym pomieszczeniu w Mobile.

— Co w nich jest?

— Same brudy.

— Czyje?

— Moich byłych współników, innych osób. . . Sam się przekonasz.

— Kiedy?

— Już niedługo, Sandy.

Adwokat Trudy, J. Murray Riddleton, był jowialnym, otyłym sześćdziesię-

ciolatkiem specjalizującym się w dwóch dziedzinach: głośnych i nieprzyjemnych rozwodów oraz finansowego doradztwa w zakresie wystąpień przeciwko agencjom rządowym. Stanowił dość osobliwy zlepek kontrastów: był dobrze sytuowany, lecz źle się ubierał, sposób wyrażania się przeczył wysokiej inteligencji, nawet jego przyjazny uśmiech zawierał odcień ironii, a złośliwość nie

szała w parze z łagodnym charakterem. Obszerne biuro w centrum Mobile było zaśmiecone przestarzałymi podręcznikami prawa i aktami sprzed wielu lat. Uprzejmie powi-156

tał w progu Sandy'ego, wskazał mu krzesło i zaproponował drinka. W końcu, jak nadmienił, minęła już siedemnasta. McDermott jednak odmówił, toteż Riddleton sobie także niczego nie nalał.

— Jak się miewa nasz chłopczyk? — zapytał, uśmiechając się od ucha do ucha.

— To znaczy?

— Nie żartuj. Mówię o Patricku. Znalazłeś już te zaginione pieniądze?

— Nie wiedziałem nawet, że powinienem ich szukać.

Murray potraktował to widocznie jako dowcip, gdyż śmiał się rubasznie przez kilkanaście sekund. Prawdopodobnie nawet do głowy mu nie przyszło, że to spotkanie może mieć inny przebieg od tego, jaki zaplanował. Na skraju biurka piętrzył

się wielki stos różnych dokumentów.

— Widziałem twoją klientkę wczoraj wieczorem w telewizji — zagał Sandy

— w tym łzawym programie. . . Jak on się nazywa?

— *Inside Journal*. Czyż nie była cudowna? A jej córka wyglądała jak prawdziwa laleczka. Obie naprawdę wiele wycierpiały.

— Mój klient żąda stanowczo, aby twoja klientka zaniechała wszelkich publicznych wystąpień oraz komentarzy dotyczących ich małżeństwa i rozwodu.

— Twój klient może pocałować moją klientkę w dupę, podobnie jak ty możesz pocałować mnie.

— Wstrzymam się z tymi czułościami, podobnie jak mój klient.

— Posłuchaj, synu. Jestem naprawdę starym wygą. Możesz gadać, co chcesz, robić, co chcesz, i wypisywać różne bzdury. Prawa mojej klientki zabezpiecza konstytucja. — Tu wskazał szereg zakurzonych i pokrytych pajęczynami grubych ksiąg, zebranych na półce przy oknie. — Żądania twego klienta zostały odrzucone. Moja klientka ma pełne prawo występować, gdzie i kiedy zechce. Nie dość, że została znieważona przez twój klienta, to jeszcze staje przed bardzo niepewną przyszłością.

— Rozumiem. Chciałem tylko wyjaśnić nasze stanowiska.

— No to chyba wszystko jest jasne, prawda?

— Owszem. W takiej sytuacji nie będzie żadnych problemów z uzyskaniem rozwodu. Twoja klientka może też zachować pełne prawa rodzicielskie.

— Stukrotne dzięki. Cóż za wspaniałomyślność!

— Mój klient nie zamierza się nawet domagać możliwości okresowych kontaktów z dziewczynką.

— I bardzo mądrze. Porzucił rodzinę na cztery lata, więc teraz trudno byłoby mu wyjaśnić nagły przypływ ojcowskich uczuć.

— Powód jest nieco inny.

Sandy sięgnął do aktówki, odnalazł w teczce z dokumentami wynik analizy kodu DNA i położył kartkę przed Riddletonem, który nagle spoważniał i skrzywił się z obrzydzeniem.

157

— Co to jest? — zapytał podejrzliwym tonem.

— Coś, co warto przeczytać — odparł McDermott.

Murray sięgnął do kieszeni płaszcza po okulary i niedbałym ruchem wetknął je na nos. Odsunął od siebie formularz na wyciągnięcie ręki i zaczął powoli czytać.

Już po paru sekundach na jego twarzy pojawił się wyraz osłupienia, kiedy zaś doszedł do końca drugiej strony, mimowolnie się przygarbił.

— To straszne, prawda? — odezwał się Sandy, kiedy tamten podniósł wzrok znad kartki.

— Tylko nie próbuj mnie pocieszać. Jestem przekonany, że ten wynik analizy da się jakoś wytłumaczyć.

— Możesz być pewien, że wytłumaczenie jest tylko jedno. A w świetle przepisów obowiązujących w Alabamie wynik testu DNA jest wiążący w wypadkach ustalania ojcostwa. Z pewnością nie jestem takim starym wygą jak ty, domyślam się jednak, że opublikowanie tego dokumentu postawiłoby twoją klientkę w bardzo kłopotliwej sytuacji. Ostatecznie kobieta ma dziecko z innym mężczyzną, chociaż utrzymuje, że była bardzo szczęśliwa w małżeństwie. Obawiam się, iż może to zostać szczególnie źle przyjęte tutaj, na wybrzeżu.

— A publikuj sobie te wyniki, jeśli chcesz — mruknął bez przekonania Riddleton. — Niewiele mnie to obchodzi.

— Na twoim miejscu najpierw omówiłbym tę kwestię z klientką.

— Sądzę, że nie będzie to miało większego znaczenia. Przecież Lanigan, nawet gdy już poznał prawdę, dalej występował w roli ojca, a to oznacza, że się pogodził z takim stanem rzeczy. W każdym razie nie powinien to być mocny argument przetargowy podczas rozprawy.

— Zapomnijmy o rozprawie. Trudy może uzyskać rozwód za obopólnym porozumieniem. To samo dotyczy praw opieki nad dzieckiem.

— Ach, rozumiem wreszcie. Chodzi o ugodę. Jeśli ona zrezygnuje z wszelkich roszczeń, wy nie opublikujecie obciążających dokumentów.

— Coś w tym rodzaju.

— Twój klient rzeczywiście musi mieć nie po kolei w głowie. — Murray poczerwieniał na twarzy i zaczął nerwowo zaciskać i rozwierać pięści.

Sandy, całkowicie opanowany, po raz drugi otworzył teczkę i sięgnął po następną kartkę. Przesunął ją po biurku w stronę adwokata Trudy.

— A to co znowu? — warknął Murray.

— Przeczytaj.

— Dość już mam czytania różnych świstków.

— Jak sobie życzysz. Oto raport prywatnego detektywa, który na zlecenie mego klienta przez rok przed jego zniknięciem śledził twoją klientkę i jej kochanka.

Spotykali się wielokrotnie, w różnych miejscach, ale głównie w domu mego klienta, po kryjomu. Wszystko wskazuje na to, że szli do łóżka co najmniej szesnaście razy w ciągu tamtego roku.

158

— Wielkie mi rzeczy.

— Oto dowód.

McDermott położył na kartce maszynopisu dwie powiększone kolorowe odbitki. Riddleton rzucił na nie pogardliwym spojrzeniem, zaraz jednak podniósł na wysokość oczu, by przyjrzeć się dokładniej.

— Oba zdjęcia przedstawiają parę kochanków nad basenem kąpielowym na tyłach domu mojego klienta, który w tym czasie przebywał na seminarium prawniczym w Dallas. Rozpoznajesz którąś z tych osób?

Murray wydał z siebie gardłowy pomruk.

— Takich fotografii jest znacznie więcej — podsunął usłużnie Sandy, obserwując z narastającym rozbawieniem, jak tamten nerwowo przełyka ślinę. — Dysponuję ponadto raportami trzech innych prywatnych detektywów. Wygląda na to, że mój klient od dawna coś podejrzewał.

Na jego oczach J. Murray Riddleton zaczął się przeistaczać z pewnego siebie bojownika w pokornego mediatora, jak każdy wytrawny adwokat, pozbawiony nagle swej głównej broni,

upodobniał się do kameleona. Po chwili westchnął ciężko i odchylił się na oparcie fotela.

— No cóż, klienci zazwyczaj nie mówią nam wszystkiego, prawda? — mruknął.

Nieoczekiwanie zmienił front, odwołując się do zawodowej solidarności skierowanej przeciwko oszukańczym klientom. W gruncie rzeczy i on, i Sandy jechali na tym samym wózku, powinni więc jakoś wspierać się nawzajem. Ale McDermott nie był jeszcze gotów do zawierania tego rodzaju aliansów.

— Jak już mówiłem, nie jestem takim starym wygą, sędzę jednak, że publikacja tych zdjęć naprawdę postawiłaby twoją klientkę w nadzwyczaj kłopotliwej sytuacji.

Murray lekceważąco machnął ręką i spojrzał na zegarek.

— Na pewno nie chcesz się czegoś napić?

— Nie, dziękuję.

— Jakim majątkiem dysponuje twój klient?

— Przyznam szczerze, że nie wiem. Zresztą nie ma to chyba żadnego znaczenia. Istotne, co mu z tego zostanie po przejściu wszystkich burz, a tego obecnie nikt nie jest w stanie ocenić.

— Nie wątpię jednak, że pozostało mu jeszcze mnóstwo z tych dziewięćdziesięciu milionów.

— Został pozwany do sądu na znacznie wyższe sumy, pomijając już fakt, że będzie odpowiadał za przestępstwo kryminalne i może spędzić wiele lat w wię-

zieniu czy nawet wylądować w celi śmierci. Rozwód jest najmniejszym z jego obecnych zmartwień.

— Po co więc te wszystkie groźby?

159

— Mój klient pragnie po prostu zamknąć usta swojej byłej żonie, uzgodnić warunki rozwodu i uwolnić się od wszelkich roszczeń finansowych z jej strony.

W dodatku chciałby mieć to z głowy jak najszybciej.

— A jeśli moja klientka nie wyrazi zgody?

Murray poluzował krawat i rozsiadł się wygodniej. Poczul nagły przypływ zmęczenia, zapragnął wreszcie pójść do domu po długim dniu pracy. Ale już po chwili zastanowienia sam udzielił sobie odpowiedzi na pytanie:

— Utraci wszystko, co ma. Czy twój klient pomyślał o tym, że towarzystwo ubezpieczeniowe obedrze ją z ostatniej koszuli?

— No cóż, w takich sprawach nie ma zwycięzców — odparł filozoficznie McDermott.

— Muszę z nią porozmawiać.

Sandy szybko zgarnął papiery do aktówki, wstał i ruszył do wyjścia. Murray uśmiechnął się na pożegnanie, ale tym razem był to uśmiech wymuszony. Ściskając mu dłoń, McDermott jakby mimochodem nadmienił, że dotarli do niego niepokojące plotki, iż Lance szuka w nowoorleańskich spelunkach płatnego zabójcy.

Dodał, że nie potrafi ocenić, ile jest w nich prawdy, ale na wszelki wypadek wolał przedstawić tę sprawę szeryfowi oraz agentom FBI.

Riddleton wolał nie podejmować szerszej dyskusji. Obiecał, że poruszy tę sprawę w rozmowie ze swoją klientką.

Rozdział 21

Przed wyjściem ze szpitala doktor Hayani zajrzał do izolatki Patricka. Na ze-wnątrz zapadł już zmrok, pacjent siedział w samych spodenkach przy niewielkim biurku dopełniającym skromnego umeblowania salki. Palila się lampka, którą wyprosił od sanitariusza. W jednym plastikowym kubeczku stała spora kolekcja ołówków i długopisów, w drugim błyskawicznie powiększał się zapas spinaczy, gumek do wycierania, recepturek, pinezek i tym podobnych drobiazgów, znoszo-nych przez pielęgniarki z całego szpitala. Honorowe miejsce zajmowały już trzy notatniki.

Lanigan był pochłonięty pracą. W rogu biurka piętrzył się imponujący stosik różnorodnych dokumentów. Kiedy Hayani zajrzał do pokoju, już po raz trzeci tego dnia, pacjent przeglądał właśnie tekst jednego z pozwów, jakie wpłynęły przeciwko niemu.

— Witam w mojej kancelarii — rzekł radośnie.

Półka z telewizorem znajdowała się tuż nad jego głową, między oparciem krzesła a ramą łóżka pozostawało najwyżej dwadzieścia centymetrów wolnej przestrzeni.

Plotki w szpitalach rozchodzą się chyba jeszcze szybciej niż w środowisku prawników, a już od dwóch dni wśród personelu krążyły anegdoty, że w izolatce numer 312 otwarto właśnie nową kancelarię adwokacką.

— No, ładnie — odparł Hayani. — Mam tylko nadzieję, że nie będzie pan występował przeciwko lekarzom.

— Pod żadnym pozorem. W ciągu trzynastoletniej praktyki ani razu nie skar-żyłem lekarzy czy też administracji szpitali. — Podniósł się z krzesła i odwrócił w stronę Hayaniego.

— Miło mi to słyszeć — rzekł doktor, spoglądając na dużą ranę na piersiach pacjenta. — Jak się pan czuje?

To pytanie również zadał już po raz trzeci tego dnia.

— Doskonale — rzucił niemal odruchowo Patrick. Zdażył się przyzwyczać, że pielęgniarki i sanitariusze, często zaglądający do izolatki ze zwykłej ciekawo-

ści, średnio dwa razy w ciągu godziny, nieodmiennie kończyli te wizyty sakra-161

mentalnym pytaniem: „Jak się pan czuje?” On zaś zawsze odpowiadał: „Doskonale”.

— Zdrzemnął się pan dziś choć trochę? — zapytał Hayani, kucając i obmacując skórę na lewym udzie pacjenta.

— Nie. Wciąż nie mogę spać bez środków nasennych, ale w ciągu dnia wolę ich nie brać.

W gruncie rzeczy nawet nie miał szans, aby się zdrzemnąć, wobec tej usta-wicznej parady pielęgniarek i sanitariuszy.

Przysiadł na brzegu łóżka, spojrzął doktorowi w oczy i zapytał cicho:

— Czy mogę coś panu wyznać?

Hayani natychmiast przerwał zapisywanie obserwacji w karcie chorobowej.

— Oczywiście.

Lanigan nerwowo zerknął na lewo i prawo, jakby się obawiał, że ktoś może ich podsłuchiwać.

— Kiedy jeszcze byłem praktykującym adwokatem — zaczął niepewnym głosem — miałem kiedyś klienta, pracownika banku, który zdefraudował pienią-

dze. Czterdziestoczteroletni, dobrze sytuowany, żonaty, ojciec trojga dorastają-

cych dzieci, postąpił bardzo głupio. Późnym wieczorem aresztowano go w domu i odstawiono do miejskiego aresztu. Ten był zatłoczony, toteż facet wylądował

w jednej celi z dwoma czarnoskórymi ulicznikami, najgorszymi zbirami. Najpierw go zakneblowali, żeby nie krzyczał, później zbili niemal do utraty przytomności, w końcu zaczęli wyczyniać takie rzeczy, o których nawet nie chciałby pan wiedzieć. Zaledwie w ciągu dwóch godzin człowiek oglądający beztrosko telewizję w wygodnym fotelu znalazł się na pograniczu śmierci w areszcie, odległym tylko pięć kilometrów od jego domu. — Patrick zwiesił głowę na piersi i nerwowo potarł palcem skórę na nosie. Hayani współczująco położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech pan nie dopuści, żeby to samo spotkało mnie, doktorze — dodał szeptem Lanigan, ukradkiem ocierając łzy z oczu.

— Proszę się nie martwić.

— Ta myśl mnie przeraża. W sennych koszmarach przeżywam to, co może mnie spotkać w więzieniu.

— Daję panu słowo, że do tego nie dopuszczę.

— Bóg jeden wie, ile dotąd przeszedłem.

— Obiecuję.

* * *

Drugim oficerem śledczym okazał się drobny, przysadzisty agent o nazwi-162

sku Warren, który palił niemal bez przerwy i spoglądał na świat poprzez okulary o grubych, mocno przyciemnionych szklach. Nie było zza nich widać jego oczu.

W lewej dłoni trzymał papierosa, w prawej długopis i tkwił na krześle nieruchomo niczym posąg, poruszając jedynie wargami. Prawie całkiem ukryty za stertą dokumentów, ciskał pytaniami, jakby strzelał do tarczy, podczas gdy Stephano nerwowo wyginał w palcach spinacz do papierów, natomiast jego adwokat wystukiwał coś na klawiaturze przenośnego komputera.

— Kiedy założył pan swoje małe konsorcjum? — spytał Warren.

— Po zgubieniu tropu Lanigana w Nowym Jorku. Bezproduktywnie ocze-kiwaliśmy. Obserwowaliśmy wybrane miejsca, ale nic się nie działo. Nie udało się zdobyć żadnych nowych informacji i wszystko zapowiadało długie, żmudne poszukiwania. Już wtedy Benny Aricia zgodził się finansować dalsze działania.

Przeprowadziłem więc rozmowy z przedstawicielami obu towarzystw ubezpieczeniowych, Monarch-Sierra i Northern Case Mutual, którzy po namyśle postanowili włączyć się do akcji. Northern Case uważało wówczas za bezpowrotnie stracone na rzecz wdowy dwa i pół miliona dolarów. Nie mogło wystąpić do sądu o zwrot odszkodowania, ponieważ nie istniały żadne dowody na to, że Lanigan wciąż żyje. Dlatego też zarząd firmy postanowił wyasygnować na poszukiwania pół miliona. Kierownictwo firmy Monarch-Sierra wahało się trochę dłużej, gdyż wtedy jeszcze nie było stratne, niemniej stało wobec konieczności wypłacenia aż czteromilionowego odszkodowania.

— Monarch-Sierra ubezpieczało kancelarię adwokacką od odpowiedzialności finansowej za defraudację kogoś ze współników?

— Coś w tym rodzaju. Do typowej polisy z tego zakresu została dołączona ja-kaś szczególna klauzula, na mocy której właściciele ubezpieczali się przed skutkami prawnymi defraudacji oraz kradzieży popełnionej przez jakiegoś pracownika. A ponieważ Lanigan formalnie okradł kancelarię, według zapisów polisy towarzystwo musiało wypłacić odszkodowanie w wysokości czterech milionów dolarów.

— Ale te pieniądze miały się stać własnością twojego klienta, Benny'ego Aricii, prawda?

— Tak. Aricia wystąpił do sądu o zwrot całej utraconej sumy, czyli sześćdziesięciu milionów dolarów, ale prawnicy mieli mocne argumenty na swoją obronę.

Zgodzili się pójść na ugodę i przekazać Aricii całość uzyskanego odszkodowania. Doszło do spotkania wszystkich trzech stron. Monarch-Sierra zgodziło się bez oporów wypłacić odszkodowanie, jeśli Aricia przeznaczy z niego milion na poszukiwanie złodzieja. Ten na to przystał, postawił jednak warunek, żeby towarzystwo ze swojej strony wyasygnowało drugi milion.

— Podsumujmy. Aricia wyłożył milion, towarzystwo Monarch-Sierra drugi milion, a Northern Case Mutual pół miliona. Dysponowaliście zatem funduszem w wysokości dwóch i pół miliona dolarów przeznaczonym na poszukiwania La-163

nigana.

— Zgadza się. Takie były początkowe ustalenia.

— A jaką rolę odegrała kancelaria adwokacka?

— Nie chciała w tym uczestniczyć. Podejrzewam jednak, że prawnicy po prostu nie mieli pieniędzy. Poza tym przestraszyli się odpowiedzialności. Niemniej na początku pomagali nam na wszelkie możliwe sposoby.

— I wszyscy udziałowcy wypłacili obiecaną sumy?

— Tak. Pieniądze wpłynęły na konto mojej firmy.

— Ile z nich zostało teraz, kiedy poszukiwania dobiegły końca?

— Marne grosze.

— Więc ile w sumie wydaliście?

— W przybliżeniu trzy i pół miliona dolarów. Mniej więcej rok temu w kasie zostały pustki. Towarzystwa ubezpieczeniowe zrezygnowały z dalszego finansowania poszukiwań. Tylko Aricia dorzucił pół miliona dolarów, a później jeszcze dalsze trzysta tysięcy. Do tej pory zlecenie kosztowało go prawie milion dziewięćset tysięcy.

Stephano pominął milczeniem fakt, że skoro Benny zgodził się potajemnie wyłożyć następne sto tysięcy na poszukiwania dziewczyny, jego koszty osiągnęły już dwa miliony dolarów. Rzecz jasna, FBI nie mogło się o tym dowiedzieć.

— Na co wydaliście pieniądze?

Detektyw zajrzał do swoich notatek, zaraz jednak odpowiedział:

— Prawie milion poszedł na honoraria wywiadowców, podróże i inne wydatki związane bezpośrednio z poszukiwaniami. W przybliżeniu półtora miliona kosztowało zdobycie informacji.

Równy milion stanowiły zyski mojej firmy.

— Zgarnąłeś dla siebie milion dolarów? — zapytał Warren. Nadal nie drgnął

ani jeden mięsień na jego twarzy, o zdumieniu świadczyło tylko nieco odmienne brzmienie głosu.

— Owszem. Weźcie pod uwagę, że na realizację zlecenia poświęciłem ponad cztery lata.

— Jak rozłożyły się koszty zdobycia informacji?

— Musiałbym sięgnąć do szczegółów prowadzonych poszukiwań.

— Posłucham z zainteresowaniem.

— W pierwszej kolejności ustaliliśmy nagrodę za dostarczenie jakichkolwiek wiadomości na temat Patricka Lanigana. Wiedzieliście o tym od początku, sądziliście tylko, że nagrodę wyznaczyła kancelaria adwokacka. Wspólnie ustaliliśmy jej wysokość i przekonaliśmy Charlesa Bogana, żeby zechciał firmować ją swoim nazwiskiem. Początkowo nagroda miała wynosić pięćdziesiąt tysięcy. Bogan zgodził się natychmiast nas poinformować, gdyby ktokolwiek odpowiedział na ogłoszenie.

— FBI nie zostało o tym poinformowane.

164

— Owszem, niemniej po cichu popieraliście tego typu działania. Tajemnicą pozostała jedynie nasza umowa z Boganem. Chcieliśmy jako pierwsi zdobyć informacje. Nie wierzyliśmy w skuteczność waszego dochodzenia, pragnęliśmy na własną rękę odnaleźć Lanigana i skradzione pieniądze.

— Ilu ludzi zajmowało się w tym czasie poszukiwaniami?

— Nie pamiętam. Kilkunastu.

— Zaangażowałeś się osobiście?

— Nie, siedziałem w Waszyngtonie, ale co najmniej raz w tygodniu latałem do Biloxi.

— Czy FBI wiedziało o tych poczynaniach?

— Nie. O ile wiem, FBI dowiedziało się o mojej roli w ujęciu Lanigana dopiero w ubiegłym tygodniu.

Leżące przed Warrenem dokumenty musiały potwierdzać tę wiadomość.

— Proszę mówić dalej.

— Przez cztery miesiące nikt się nie zgłosił, toteż podnieśliśmy wysokość nagrody do siedemdziesięciu pięciu tysięcy, później do stu. Bogan zaczął odbierać telefony od różnych

nawiedzonych maniaków, ale informował o nich wasze biuro. Wreszcie w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku zadzwonił pewien adwokat z Nowego Orleanu i przekazał, że jego klient może coś wiedzieć na temat zniknięcia Lanigana. Postanowiliśmy to sprawdzić i umó-

wiliśmy się na spotkanie.

— Jak się nazywa ten prawnik?

— Raul Lauziere. Ma kancelarię przy ulicy Loyola.

— Kto z nim rozmawiał?

— Ja.

— Sam? Nie było przy tym żadnego z twoich pracowników?

Stephano zerknął na adwokata, który natychmiast zastygł z palcami zawieszonymi nad klawiaturą. Po krótkim namyśle detektyw odparł:

— Te sprawy są objęte tajemnicą zawodową. Wolałbym nie ujawniać nazwisk moich współpracowników.

— Nie widzę takiej konieczności — dodał stanowczo prawnik.

— Dobrze. Proszę mówić dalej.

— Lauziere zrobił na mnie wrażenie wiarygodnego, uczciwego adwokata. Był

zresztą dobrze przygotowany do rozmowy, miał całą teczkę wycinków prasowych, wiedział niemal wszystko na temat zniknięcia Lanigana i kradzieży pieniędzy. Już na początku wręczył mi czterostronicową relację z tego, co spotkało jego klientkę.

— Proszę przedstawić ją w skrócie, przeczytam później.

— Oczywiście — rzekł Stephano, po czym usadowił się wygodniej, przymknął oczy i zaczął opowiadać: — Jego klientką okazała się młoda kobieta o imieniu Erin, usiłująca skończyć studia medyczne na uniwersytecie Tulane. Była wtedy świeżo po rozwodzie, przeszła załamanie nerwowe. Próbując wiązać koniec 165

z końcem, pracowała wieczorami w dużej księgarni, w samym sercu nowoorleań-

skiego ciągu handlowego. Gdzieś w styczniu dziewięćdziesiątego drugiego roku zwróciła uwagę na klienta kręcącego się między regałami z kursami językowymi i przewodnikami turystycznymi. Duży otyły mężczyzna był elegancko ubrany, miał starannie przystrzyżoną szpakowatą brodę, ale sprawiał wrażenie nadzwyczaj zdenerwowanego. Dochodziła dziewiąta wieczorem i oprócz niego w księ-

garni nie było już nikogo. Mężczyzna w końcu wybrał obszerny kurs, składający się z kilku podręczników i dwunastu kaset magnetofonowych spakowanych w po-ręcznym pudełku. Skierował się już w stronę kasy, kiedy Erin zauważyła innego mężczyznę wchodzącego do sklepu. Tamten pierwszy dał nagle nura między re-gały i pospiesznie odłożył pudło z powrotem na półkę. Wyrzwał ostrożnie zza rogu, jakby zamierzał niepostrzeżenie przemknąć obok tego drugiego do wyjścia. Wyglądało na to, że go zna, ale chciałby uniknąć rozmowy. Został jednak zauważo-ny. Ten drugi zawołał radośnie: „Patrick, kopę lat!” Znudzona dziewczyna wyszła zza kasy i nastawiła ucha, nie miała nic innego do roboty. Tamci natomiast zaczęli rozmawiać o swoich karierach adwokackich. Obserwowała ich z zaciekawieniem.

Wreszcie ten nazwany Patrickiem pożegnał się szybko i wyszedł w pośpiechu.

Trzy dni później, mniej więcej o tej samej porze, zjawił się ponownie. Erin tego dnia nie pracowała przy kasie, rozkładała książki na półkach. Rozpoznała go jednak i przypomniawszy sobie dziwne zachowanie, zaczęła ukradkiem obserwować.

Mężczyzna zaś przyjrzał się uważnie stojącej przy kasie ekspedientce i widocznie zadowolony, że nie jest to ta sama dziewczyna, co trzy dni wcześniej, poszedł

śmiało w głąb sklepu i wkrótce wrócił z wybranym wcześniej pudłem kursu ję-

zykowego. Zapłacił gotówką i szybko wyszedł. A kurs kosztował prawie trzysta dolarów. To dodatkowo pobudziło ciekawość Erin. Na szczęście jej nie zauważył.

— O jaki język chodziło?

— Właśnie, to było najważniejsze. Trzy tygodnie później wpadła w ręce Erin prasowa relacja z tragicznego wypadku samochodowego, w którym jakoby zginął Patrick Lanigan. Od razu rozpoznała mężczyznę na zdjęciu. Później, w innej gazecie, przeczytała o skradzionych pieniądzach i znowu ujrzała fotografię tego samego człowieka.

— W księgarni nie było systemu bezpieczeństwa z kamerami wideo?

— Niestety nie. Sprawdziliśmy.

— Więc jaki kurs językowy kupił?

— Tego Lauziere nie chciał zdradzić, przynajmniej na początku. Wyniuchał, że wyznaczono nagrodę w wysokości stu tysięcy za rzetelne informacje o Laniganie, chciał więc zdobyć dla swojej klientki te pieniądze w zamian za ujawnienie nazwy kursu językowego. Przez trzy dni próbowałem dojść z nim do porozumienia, ale twardo obstawał przy swoim. Pozwolił mi nawet porozmawiać z Erin.

Przegadaliśmy sześć godzin, a ponieważ zgadzały się wszelkie szczegóły jej relacji, postanowiłem w końcu wypłacić obiecaną nagrodę.

— Patrick kupił kurs portugalskiego?

— Zgadza się. Mogliśmy wreszcie ukierunkować dalsze poszukiwania.

Jak każdy adwokat J. Murray Riddleton wielokrotnie już musiał prowadzić podobne, nieprzyjemne rozmowy. To, co początkowo uznał za pewny sukces, teraz okazywało się sprawą zagmatwaną i niepewną. Był wręcz przekonany, że utracił

wszelkie atuty.

Chcąc jednak sprawić sobie odrobinę radości, choć w gruncie rzeczy wcale go to nie cieszyło, pozwolił Trudy wyrazić swe rozżalenie, zanim wyłożył karty na stół.

— Niewierność?! — parsknęła z pogardą, robiąc minę obrażonej purytańskiej dziewczicy.

Nawet Lance prychnął z udawanym oburzeniem. Pospiesznie wyciągnął rękę i objął palcami dłoń Trudy.

— Tak, wiem — powiedział Murray współczującym tonem. — Podobne zarzuty są stawiane podczas każdej sprawy rozwodowej. Trudno się przed tym bronić.

— Zabiję go! — warknął Lance.

— O tym porozmawiamy później — odparł adwokat,

— Niby z kim go zdradziłam? — wyskoczyła Trudy.

— Z obecnym tu Lance'em. Pozwany utrzymuje, że wasz związek ciągnie się od dawna, przez cały okres trwania małżeństwa. Podobno zaczął się jeszcze wcześniej, w szkole średniej.

W rzeczywistości było to w dziewiątej klasie.

— To jakieś wariactwo — bąknął Lance bez przekonania.

Trudy energicznie przytaknęła ruchem głowy, potwierdzając w ten sposób, że owe zarzuty są niedorzeczne. Po chwili spytała nerwowo:

— Ma na to jakieś dowody?

— Chcecie się przeciwstawić temu twierdzeniu? — zapytał chytrze Riddleton.

— Oczywiście — rzuciła Trudy.

— Jasne — dodał Lance. — To kłamstwa wyssane z palca.

Murray sięgnął do szuflady biurka i wyjął kopię pierwszego z raportów, jakie przekazał mu Sandy.

— Wygląda na to, że Patrick od początku małżeństwa był podejrzliwy. Wynajął prywatnych

detektywów, żeby was obserwowali. Oto raport jednego z nich.

Trudy i Lance popatrzyli szybko na siebie, jakby uderzyło ich nagle, że zostali przyłapani. W takiej sytuacji nie sposób było dalej zaprzeczać istnieniu związku ciągnącego się od dwudziestu lat. Lecz jednocześnie, jakby na mocy niemego porozumienia, oboje doszli do wniosku, że przecież nic wielkiego się nie stało.

— Pozwolę sobie omówić go krótko — rzekł Riddleton.

167

Zaczął cytować spisane daty, miejsca i czas trwania kolejnych spotkań. Jego klienci sprawiali wrażenie zaszokowanych, lecz bardziej chyba przytłaczała ich świadomość tak rzetelnej dokumentacji niż samego faktu ujawnienia romansu.

— Nadal chcecie wszystkiemu zaprzeczać? — zapytał Murray, skończywszy przytaczać długą listę.

— Każdy może coś takiego nabazgrać — mruknął Lance, ale Trudy zachowywała milczenie.

Adwokat sięgnął po drugi raport, dotyczący ostatnich siedmiu miesięcy przed zniknięciem Patricka. Znow zaczął cytować daty i miejsca schadzek. Wystarczyło, żeby Patrick na krótko wyjechał z miasta, a już Lance pojawiał się przed drzwiami domu.

— Czy ci prywatni detektywi mogą zeznawać przed sądem? — zapytał, gdy Murray odłożył papiery.

— W ogóle nie dojdzie do rozprawy — uciął adwokat.

— Dlaczego? — wtrąciła Trudy.

— Otóż dlatego.

Położył na skraju biurka powiększone fotografie. Trudy chwyciła pierwszą i omal się nie zachłysnęła, ujrawszy siebie nago, w towarzystwie Lance'a, na brzegu basenu kąpielowego. On także wybałuszył oczy, lecz już po chwili uśmiechnął się leciutko. Chyba spodobały mu się te zdjęcia.

Oboje w milczeniu przejrzeni cały komplet odbitek. Murray nie mógł się powstrzymać i rzucił:

— Byliście zbyt nieostrożni.

— Darujmy sobie wykłady — odparł szybko Lance.

Jak należało oczekiwać, Trudy zalała się łzami. Najpierw zamrugnęła energicznie, potem wargi zaczęły jej dygotać, raz i drugi pociągnęła nosem, wreszcie uderzyła w płacz. Riddleton setki razy był świadkiem podobnych scen. Ciekawe —

pomyślał — że kobiety nigdy nie płaczą z powodu własnego postępowania, lecz wobec smutnej

konieczności poniesienia konsekwencji wcześniejszej głupoty.

— Nie oddam mu córki! — syknęła ze złością.

Jakby na wspomnienie dziecka zaczęła szlochać głośniejsz, z pozoru była już bliska hysterii. Lance objął ją czule i szepnął jakieś słowa pocieszenia.

— Przepraszam — mruknęła po chwili Trudy, ocierając łzy.

— Nie ma się o co martwić — powiedział sucho Riddleton, daleki od chęci okazywania współczucia. — On wcale nie chce praw do dziecka.

— Nie chce? — zdumiała się kobieta, błyskawicznie odzyskując panowanie nad sobą.

— Nie, ponieważ to nie jego dziecko.

Trudy i Lance tym razem przez kilka sekund trwali w osłupieniu.

Murray sięgnął po następny dokument.

168

— Kiedy Ashley Nicole miała czternaście miesięcy, pozwany pobrał dziecku próbkę krwi i przekazał do analizy DNA. Wyniki wskazują jednoznacznie, że to nie on jest ojcem.

— Więc kto. . . — zaczął Lance, ale natychmiast ugryzł się w język.

— To zależy, kogo jeszcze powinniśmy brać pod uwagę — usłużnie podsunął

Riddleton.

— Nikogo! — parsknęła ze złością Trudy.

— Oprócz mnie — bąknął Lance.

Świadomość niespodziewanego ojcostwa spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Powoli zamknął oczy i odchylił się na krześle. Nie znosił dzieci. Ashley Nicole tolerował jedynie dlatego, że należała do Trudy.

— Moje gratulacje! — wykrzyknął radośnie adwokat. Sięgnął do szuflady, wyciągnął tanie cygaro i uroczyście wręczył je Lance'owi. — Ma pan córkę!

Wybuchnął gromkim śmiechem.

Trudy z wściekłością popatrzyła na Lance'a, który trzymał cygaro w palcach, jakby nie wiedział, co z nim zrobić. Kiedy Murray wreszcie ucichł, zapytała stanowczym tonem:

— W jakiej nas to stawia sytuacji?

— Dość klarownej. Jeśli zrezygnuje pani z wszelkich roszczeń wobec jego majątku, zgodzi się dać pani rozwód, wyłączne prawa do dziecka i cokolwiek pani sobie jeszcze zażyczy.

— O jaki majątek chodzi?

— Nawet jego adwokat nie umiał tego powiedzieć. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Jeśli facet wyląduje w celi śmierci, forsa może na zawsze pozostać zakopana pod jakimś drzewem.

— Ale to oznacza, że stracę wszystko — szepnęła. — Stawia mnie w sytuacji bez wyjścia. Po jego śmierci dostałam dwa i pół miliona dolarów, a teraz towarzystwo ubezpieczeniowe żąda zwrotu niesłusznie wypłaconego odszkodowania.

— Przecież należy się jej jakaś działka — wtrącił niezbyt rozsądnie Lance.

— Czy mogę go zaskarżyć o psychiczne znęcanie się, zaprzepaszczenie rodzinnego majątku czy cokolwiek innego?

— Nie. Trzeba pójść na ugodę. Dostanie pani rozwód i zachowa prawa rodzicielskie, a Patrick zatrzyma swoje pieniądze. Wszystko pozostanie między nami.

W przeciwnym razie zagroził ujawnieniem tych materiałów w prasie. — Murray postukał palcem w leżące na biurku papiery i fotografie. — Stałaby się pani po-

śmiewiskiem. Jeśli mimo to zechce pani wyciągać przed sądem rodzinne brudy, on z radością odpłaci tym samym.

— To gdzie mam podpisać? — fuknęła ze złością.

Riddleton napełnił trzy kieliszki wódką, lecz już po paru sekundach musiał

169

nalewać jej po raz drugi. W końcu nadmienił mimochodem, iż pojawiły się plotki o tym, że Lance szuka płatnego zabójcy. Oboje gorąco i pospiesznie zaprzeczyli, toteż Murray przyznał z ociąganiem, że on również nie daje wiary takim bzdurom.

Ostatecznie wzdłuż całego południowego wybrzeża bez przerwy krążyły naj-rozmaitsze plotki.

Rozdział 22

Zaczęli śledzić Sandy'ego McDermotta o ósmej rano, kiedy wsiadł do samochodu i ruszył zakorkowanymi ulicami Nowego Orleanu w kierunku autostrady międzystanowej numer dziesięć. Jechali tuż za nim aż do Lake Pontchartrain, gdzie ruch nieco zelżał. Stamtąd przekazali drogą radiową, że adwokat jedzie do Biloxi. Obserwowanie go nie sprawiało większych kłopotów, ale założenie podsłuchu nie było już takie proste. Guy przygotował całą instalację przeznaczoną do biura, domowej linii telefonicznej, a nawet do samochodu, ale decyzja o jej założeniu wciąż nie zapadała. Wszyscy bali się ogromnego ryzyka, zwłaszcza Aricia. Próbował przekonywać zarówno Guya, jak i

Stephano, że adwokat jest zapewne przygotowany na taką okoliczność i zacznie ich zasypywać mylącymi, nieprawdziwymi informacjami. Ostatecznie Lanigan kilkakrotnie już dowiódł, iż jest nadzwyczaj dobrze na wszystko przygotowany. Raz po raz wybuchały w tej sprawie kłótnie.

Sandy niczego nie zauważył. Zapewne nie dostrzegłby wywiadowców nawet wtedy, gdyby mu zagrali na nosie. Jak zwykle w czasie podróży błędził myślami bardzo daleko.

Z czysto strategicznego punktu widzenia wszystkie toczone przez Lanigana bitwy przebiegały dotąd po jego myśli. Pozwy złożone przez towarzystwo Monarch-Sierra, jego byłych współników oraz Benny'ego Aricię musiały spokojnie poczekać na swoją kolej. W ciągu miesiąca Sandy miał obowiązek udzielić formalnych odpowiedzi na stawiane zarzuty. Wstępne posiedzenia we wszystkich sprawach mogły się odbyć najwcześniej za trzy miesiące, a gromadzenie materiału dowodowego musiało potrwać co najmniej rok. Zatem rozprawy mogły się odbyć dopiero za dwa lata. Podobną procedurę czekał pozew wystosowany przez Patricka przeciwko FBI, choć sformułowane w nim oskarżenia z pewnością któ-

regoś dnia trzeba było przedstawić Stephano i finansującym go zleceniodawcom.

Ta rozprawa zapowiadała się wręcz rewelacyjnie, on jednak miał przecucie, że nigdy do niej nie dojdzie.

Sprawa rozwodowa znajdowała się pod pełną kontrolą.

Zupełnie inaczej należało traktować najpoważniejsze oskarżenie, czyli zarzut 171

popęśnienia morderstwa z premedytacją. Było to nie tylko największe zmartwienie Lanigana, ale jeszcze dochodzenie w tej sprawie posuwało się najszybciej.

Zgodnie z przepisami Patrick powinien stanąć przed sądem w ciągu stu siedemdziesięciu dni od daty sformułowania oskarżenia, a czas mijał nieubłaganie.

Zdaniem Sandy'ego dowody w tej sprawie były niewystarczające do orzeczenia winy. Przynajmniej na razie brakowało zasadniczych ogniw w długim ciągu zagadek: nie znano personaliów ofiary wypadku, nie wiedziano, w jaki sposób ten człowiek poniósł śmierć, nie istniały też żadne przesłanki, że to Lanigan go za-bił. Zanosilo się więc na proces poszlakowy, w którym najbardziej na niekorzyść oskarżonego przemawiały okoliczności zdarzenia.

Nie bez znaczenia było więc przekonanie opinii publicznej, a obecnie chyba nikt w promieniu stu kilometrów od Biloxi nie miał najmniejszych wątpliwo-

ści, że Patrick rzeczywiście kogoś zamordował, żeby upozorować własną śmierć i w ukryciu poczekać na dogodną okazję zgarnięcia dziewięćdziesięciu milionów dolarów. Z pewnością dałoby się znaleźć ludzi, którzy mu szczerze zazdrościli, gdyż sami bardzo by pragnęli rozpocząć nowe życie ze zmienionym nazwiskiem i kupą forsy na koncie. Niewielkie były jednak szanse, że tylko tacy zasiądą w ławie przysięgłych. Większość mieszkańców stanu, jak należało wnioskować z plotek krążących wśród prawników oraz opinii wyrażanych w barach i kawiarniach, gotowa była uznać

Lanigana za winnego i wysłać go do więzienia. Na szczęście tylko nieliczni optowali za karą śmierci, gdyż ta była niejako zarezerwowana dla gwałcicieli czy zabójców gliniarzy.

Niemniej bardzo ważnym problemem wydawało się teraz bezpieczeństwo Patricka. Teczka z dokumentami na temat Lance'a, którą poprzedniego wieczoru Leah przekazała mu w innym pokoju hotelowym, pozwalała stworzyć sobie obraz niepozornego raptusa z wyraźnymi skłonnościami do stosowania przemocy.

Uwielbiał się bawić bronią palną, w przeszłości został postawiony w stan oskar-

żenia za bezprawny handel rewolwerami na czarnym rynku, tyle że w toku dochodzenia wycofano stawiane mu zarzuty. Oprócz trzyletniego wyroku za przemyt narkotyków ciążył na nim wyrok dwóch miesięcy aresztu za udział w brutalnej bójce w jakimś barze w Gulfport, którego wykonanie zawieszono z powodu braku wolnych miejsc w więzieniu. Ponadto był jeszcze dwa razy aresztowany, najpierw za udział w innej bójce, później za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym.

A z drugiej strony przystojny Lance odznaczał się olbrzymim urokiem osobistym. Potrafił być szarmancki, czym zjednywał sobie serca kobiet. Umiał się elegancko ubrać i prowadzić rozmowy w towarzystwie dystygowanych osób. Wyglądało jednak na to, że jego przystosowanie do życia w społeczeństwie okresowo zanika. Sercem był chyba zawsze na ulicy, w mrocznych i brudnych zaułkach, gdzie mógł obcować z lichwiarzami, bukmacherami, paserami czy handlarzami narkotyków, a więc średnią klasą lokalnego świata przestępczego. Tam miał swo-

ich przyjaciół, najczęściej tych, z którymi wychowywał się od wczesnej młodości.

Nimi również Patrick się zainteresował, w teczce bowiem znalazło się kilkanaście dosyć obszernych biografii jego najlepszych kumpli, a wszyscy mieli kryminalną przeszłość.

Sandy, początkowo traktujący lęki Patricka jako objaw paranoi, zaczynał teraz podzielać jego obawy. Mało jednak wiedział o świecie przestępczym, chociaż specyfika wykonywanego zawodu kilkakrotnie zmuszała go do nawiązywania kontaktów z kryminalistami. Mimo to był dogłębnie przekonany, że za pięć tysięcy dolarów rzeczywiście można wynająć płatnego zabójcę. Tu, na południowym wybrzeżu, cena prawdopodobnie była jeszcze niższa.

Nie ulegało zaś wątpliwości, że Lance bez trudu może zdobyć owe pięć tyś-

cy. Miał też idealny wręcz motyw do usunięcia Patricka. Polisa ubezpieczeniowa, na mocy której Trudy uzyskała dwa i pół miliona dolarów, obejmowała wszystkie rodzaje zgonu z wyjątkiem samobójstwa. A zatem śmierć wskutek umyślnego zabójstwa musiała zostać potraktowana tak samo jak poniesiona w wypadku samochodowym czy też z powodu ataku serca.

Sandy nie czuł się najlepiej w tej części stanu. Nie znał tutejszych szeryfów i ich zastępców, sędziów, urzędników sądowych oraz kolegów z palestry. Podejrzewał jednak, że między innymi właśnie z tego powodu Patrick wybrał jego.

Podczas rozmowy telefonicznej szeryf Sweeney potraktował go dość obcesowo. Rzekł wprost, że jest bardzo zajęty, a rozmowy z prawnikami to najczęściej zwykła strata czasu. Zgodził się jednak poświęcić mu parę minut o wpół do dziesiątej. Sandy przyjechał nieco wcześniej, toteż poczęstował się kawą z wielkiego ekspresu stojącego obok lodówki. Wokół niego krzątali się funkcjonariusze biura szeryfa, z aresztu na tyłach budynku dobiegały różne hałasy. Sweeney wpadł na niego w korytarzu i poprowadził szybko do swego gabinetu, spartańskiego pokoiku umeblowanego podniszczonymi, najtańszymi sprzętami, z szeregiem wyblakłych fotografii polityków na ścianie.

— Proszę usiąść — rzucił, wskazując mu rozchwierutane krzesło.

Sandy ostrożnie przysiadł na brzeżku. Sweeney zajął miejsce za biurkiem.

— Pozwoli pan, że będę nagrywał? — Nie czekając na odpowiedź, włączył

wielki szpulowy magnetofon stojący pośrodku biurka. — Rejestruję wszystkie rozmowy.

— Proszę bardzo — mruknął Sandy, gdyż nie miał wyboru. — Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

— Nie ma za co.

Nawet się nie uśmiechnął. Zarówno każdy jego gest, jak i mina świadczyły dobitnie, że jest bezgranicznie znudzony. Przypalił papierosa i pociągnął łyk parującej kawy z plastikowego kubeczka.

173

— Przejdę od razu do rzeczy — zaczął Sandy, jakby chciał dać do zrozumienia, że mógłby podjąć dyskusję o pogodzie. — Dostałem anonimową wiadomość, iż życie Patricka jest prawdopodobnie zagrożone.

Brzydził się kłamstwem, lecz w tych okolicznościach musiał realizować plan ułożony przez jego klienta.

— A komu by zależało na informowaniu pana o tym, co może grozić pańskiemu klientowi?

— Korzystam z pomocy prywatnych detektywów przy zbieraniu materiałów.

Pochodzą stąd, znają więc mnóstwo ludzi. I jeden z nich przekazał mi plotki, jakie wpadły mu w ucho. Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego.

Sweeney przyjął wyjaśnienie z kamienną twarzą. W zamyśleniu palił papierosa. W ciągu ubiegłego tygodnia on sam słyszał dziesiątki przeróżnych plotek na temat wyczynów Lanigana, w końcu ostatnio ludzie prawie nie mówili o niczym innym. A wiele z tych plotek dotyczyło także ewentualnego zamachu na życie Patricka. Szeryf doszedł jednak do wniosku, iż znacznie lepiej zna miejscowe środowiska przestępcze od adwokata, zwłaszcza że ten pochodził z Nowego Orleanu. Postanowił więc oddać mu inicjatywę.

— Padło jakieś nazwisko?

— Tak. Człowiek nazywa się Lance Maxa. Zapewne zna go pan.

— Owszem.

— Zajął miejsce Patricka u boku Trudy zaraz po pogrzebie.

— Można by powiedzieć, że to Patrick na krótko zajął miejsce Lance'a —
wtrącił Sweeney, uśmiechając się wreszcie.

W jego przekonaniu Sandy rzeczywiście niewiele wiedział, na pewno mniej od niego.

— Domyślałem się, że zna pan historię związku Trudy i Lance'a — odparł nieco ośmielony
McDermott.

— Zgadza się. Jest ona znana chyba wszystkim tutejszym mieszkańcom.

— Tak myślałem. Zatem wie pan również, że Lance to nieciekawy typek, a według plotek szuka
obecnie płatnego zabójcy.

— Za ile? — rzucił sceptycznie szeryf.

— Tego nie wiem, w każdym razie ma pieniądze, podobnie jak doskonały motyw.

— Do mnie też dotarły podobne wieści.

— To świetnie. I co pan zamierza?

— W jakiej sprawie?

— Zapewnienia memu klientowi bezpieczeństwa.

Sweeney westchnął głośno, jakby z trudem się pohamował od wybuchu złości.

— Przecież Lanigan przebywa na terenie bazy wojskowej, jest pod ochroną dwóch moich ludzi oraz
agentów FBI. Nie sądzę, aby potrzebne były ostrzejsze środki bezpieczeństwa.

174

— Wcale nie zamierzałem dyktować, jak powinien pan wykonywać swoje obowiązki, szeryfie.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Proszę jednak zrozumieć, że mój klient jest bezgranicznie przerażony. Tylko dlatego
zgodziłem się z panem rozmawiać w jego imieniu.

Ukrywał się przez cztery i pół roku, aż w końcu został schwytany. Teraz drę-

czą go głosy prześladowców, widzi ich niemal na każdym kroku. Jest przekonany, że nastąpi próba zamachu na jego życie, toteż zwrócił się do mnie z prośbą o za-pewnienie mu bezpieczeństwa.

— Nic mu nie grozi.

— Na razie. Mógłby pan jednak porozmawiać z Lance'em, powiedzieć mu o krążących plotkach i trochę go nastraszyć. Gdyby zyskał podejrzenia, że jest obserwowany, może zrezygnowałby ze swych idiotycznych planów.

— Lekkomysłność to jego przyrodzona cecha.

— Być może, ale Trudy jest chyba rozsądniejsza. Gdyby poczuła, że może zostać pociągnięta do odpowiedzialności, zapewne szybko przywołałaby Lance'a do porządku.

— To fakt, dość skutecznie trzyma go na smyczy.

— Właśnie to miałem na myśli. Przecież ona nie jest aż tak lekkomyślna.

Sweeney przypalił następnego papierosa i spojrzał na zegarek.

— To wszystko? — zapytał, chcąc najwidoczniej pozbyć się gościa. Dawał

do zrozumienia, że obowiązków szeryfa nie można porównywać ze zwykłą pracą biurową.

— Jeszcze jedna sprawa. Znow proszę nie zrozumieć, że próbuję pana pouczać. Patrick żywi wobec pana głęboki respekt. Ma jednak tę świadomość, że byłby znacznie bezpieczniejszy tam, gdzie się obecnie znajduje.

— Też mi nowina.

— W więzieniu nie da się uniknąć licznych zagrożeń.

— No cóż, mógł o tym pomyśleć, zanim dopuścił się zbrodni.

Sandy puścił tę uwagę mimo uszu.

— Poza tym w szpitalu łatwiej jest mieć go na oku.

— Czy był pan kiedykolwiek w moim więzieniu?

— Nie.

— Więc proszę mi nie wmawiać, że jest tam niebezpiecznie. Zajmuję to stanowisko od dość dawna, jasne?

— Niczego nie chcę panu wmawiać.

— Właśnie słyszę. Zostało panu pięć minut. Coś jeszcze?

— Nie.

— Doskonale.

175

Sweeney poderwał się z miejsca i ruszył w stronę drzwi.

Sędzia Karl Huskey wjechał na teren bazy lotniczej Keeslera późnym popołudniem i bez większego pośpiechu zaczął załatwiać formalności ze służbami ochrony szpitala. Był w trakcie nużącej rozprawy o przemyt narkotyków i odczuwał

silne zmęczenie. Mimo to, kiedy Patrick zadzwonił, zgodził się odwiedzić go po zakończeniu posiedzenia w sądzie.

Przed czterema laty Huskey niósł trumnę Lanigana, w czasie pogrzebu siedział obok Sandy'ego McDermotta. Wcześniej bardzo się zaprzyjaźnił z Patrickiem. Poznali się już podczas pierwszej sprawy cywilnej, w której tamten występował po przeniesieniu się do Biloxi. Szybko nawiązali bliższą znajomość, do czego w znacznym stopniu przyczyniły się częste spotkania na gruncie zawodowym. Zazwyczaj ucinali sobie długie pogawędki podczas comiesięcznych zebrań członków miejscowej palestry, a raz spili się na umór na którejś zabawie świą-

tecznej. Dwa razy do roku grywali wspólnie w golfa.

Przez trzy lata pobytu Lanigana w Biloxi obaj kultywowali tę bliską i za-

żyłą znajomość. Ale dopiero w ostatnich miesiącach przed zniknięciem Patricka wywiązała się prawdziwa przyjaźń. Teraz zaś, z perspektywy czasu, można było ocenić powody, dla których tamten postanowił zacieśnić stosunki z sędzią okrę-

gowym.

W pierwszych miesiącach po wypadku przedstawiciele lokalnego światka prawniczego — a zwłaszcza ci, którzy bliżej znali Lanigana, w tym także Karl —

lubili w piątkowe popołudnia spotykać się przy piwie w sali barowej restauracji Mary Mahoney i podejmować nieskończone próby wyjaśnienia zagadki Patricka.

Sporą część winy zrzucano na jego żonę, chociaż zdaniem Huskeya głównym powodem było to, że Trudy stanowiła najłatwiejszy cel. W końcu, przynajmniej z pozoru, w małżeństwie Laniganów nie działo się aż tak źle. Na pewno Patrick nie zwierzał się ze swych kłopotów, w każdym razie nie mówił o nich nikomu spo-

śród osób, które zaglądały do baru Mary Mahoney. W dodatku poczynania Trudy, a więc zakup wyzywająco czerwonego rollsa, sprowadzenie do domu dawnego kochanka, a przede wszystkim

głęboka pogarda, z jaką zaczęła się do wszystkich odnosić, budziły powszechny niesmak, uniemożliwiając jednocześnie obiektywną ocenę zdarzeń. Nikt nie miał pewności co do tego, z iloma mężczyznami sypiała w czasie trwania małżeństwa. Ale trafiały się i przeciwne opinie. Buster Gillespie, kierownik kancelarii sądu, jawnie wyrażał swój podziw dla Trudy. Jego żona przed laty zaprzyjaźniła się z nią podczas jakiegoś balu na cele dobroczynne i od tamtej pory Gillespie nie przepuścił okazji, aby nie zmącić atmosfery zgorszenia głośnym wychwalaniem Trudy. Był jednak w mniejszości. A ponieważ Trudy 176

stanowiła temat licznych plotek, łatwo było ją publicznie krytykować.

Z pewnością drugim ważnym motywem działań Patricka stał się olbrzymi stres związany z jego zawodem. Kancelaria adwokacka przeżywała okres świetności i jemu nadzwyczaj zależało na wejściu do grona wspólników. Pracował po nocach i podejmował się prowadzenia najtrudniejszych spraw, których żaden ze starszych kolegów nie chciał. Nawet przyście na świat Ashley Nicole nie odmieniło trybu jego życia. I po trzech latach starań został w końcu wspólnikiem firmy, chociaż mało osób spoza kancelarii o tym wiedziało. Niemniej któregoś dnia w są-

dzie z dumą przedstawił ów fakt Huskeyowi. Nie oznaczało to jednak wcale, że zamierza spocząć na laurach.

Był więc stale przemęczony i zestresowany, chociaż to samo dało się powiedzieć o większości prawników, których Karl spotykał na sali sądowej. Najbardziej rzucały się w oczy zmiany w wyglądzie Patricka. Miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i podobno nigdy nie zaliczał się do szczupłych, mimo że utrzymywał, iż podczas studiów sporo biegał, robiąc po sześćdziesiąt kilometrów tygodniowo. Ale po rozpoczęciu kariery adwokackiej przestał dbać o siebie.

Stąd też stopniowo tył, a proces ten nabrał szczególnego tempa w ostatnim roku jego pobytu w Biloxi. Patrick nic sobie jednak nie robił z kpin kolegów. Karl także parokrotnie zwrócił mu uwagę na tuszę, lecz Lanigan dalej obżerał się bez umiaru. Jakiś miesiąc przed wypadkiem wyznał Huskeyowi, iż waży sto pięć kilogramów, a jego wygląd coraz częściej staje się powodem kłótni z żoną. Trudy bowiem z zapalem po dwie godziny dziennie ćwiczyła aerobik, najczęściej podczas programów telewizyjnych prowadzonych przez Jane Fondę, zachowywała więc figurę modelki.

Patrick przyznał także, iż niepokojąco wzrosło mu ciśnienie krwi, musi zatem poważnie rozpatrzyć konieczność przejścia na ścisłą dietę. Karl gorąco go do tego zachęcał. Dopiero po wypadku się dowiedział, że Lanigan wcale nie cierpiał na żadne dolegliwości krążenia.

Teraz zaś całkiem oczywisty wydawał się powód, dla którego Patrick wcześniej nie dbał o tuszę, skoro tak szybko pozbył się nadwagi.

Z tej samej przyczyny zapuścił brodę. Przestał się golić w listopadzie 1990

roku, powtarzając w żartach, iż chce tym sposobem ściągnąć na siebie myśliwskie szczęście. Zresztą gęste brody nie były rzadkim widokiem wśród prawników w Missisipi. Stres zawodowy sprawiał, że wielu przedstawicieli tej profesji pragnęło się pozornie odmłodzić. A zarost Lanigana stał się

kolejną przyczyną kłótni małżeńskich. W dodatku jego szpakowata broda zaczęła się szybko robić siwa, nic więc dziwnego, że Trudy nie mogła znieść widoku, do którego wszyscy zdążyli już przywyknąć.

Patrick zmienił też uczesanie, zaczął nosić dłuższe włosy na czubku głowy i po bokach, spadające do połowy uszu. Tłumaczył, że utracił stałego fryzjera i chwilowo nie może sobie znaleźć innego, zaufanego fachowca. Karl w żartach 177

nazywał to uczesanie fryzurą Jimmy'ego Cartera z okresu kampanii wyborczej 1976 roku.

Coraz częściej wkładał luźne, obszerne ubrania, żeby zamaskować swoją tu-szę. Był jednak zbyt młody na to, żeby całkowicie zrezygnować z prób schudnię-

cia.

Trzy miesiące przed wypadkiem Lanigan zdołał skutecznie wmówić współpracownikom, że kancelarii przydałby się folder reklamowy. Energicznie przystąpił do realizacji własnego pomysłu, gdyż wówczas chyba jeszcze nie wiedział o potajemnej umowie między kolegami a Bennym Aricią, która miała im przynieść prawdziwą fortunę. Tamci zaś, coraz bardziej pęczniejący dumą, jako że ich wiel-ce wpływowa firma powinna niespodziewanie stać się również bardzo bogata, bez większych sprzeciwów zaakceptowali projekt Patricka — choćby tylko po to, by mu zrobić przyjemność. I każdy z nich musiał się udać do fotografa, a później jeszcze poświęcić godzinę na pozowanie do zdjęcia grupowego. Tak oto doszło do wydrukowania pięciu tysięcy broszur, przedstawiających osiągnięcia poszczególnych współwłaścicieli kancelarii. Na drugiej stronie folderu znalazła się fotografia brodatego, długowłosego i otyłego Lanigana, jakże różniącego się wyglądem od człowieka, którego aresztowano w Brazylii.

Ta sama fotografia została zamieszczona w prasie po jego upozorowanej śmierci. Nie tylko było to najświeższe zdjęcie adwokata, ale on sam wcześniej porozsyłał foldery do redakcji, niby to w celach reklamowych. Owo posunięcie stało się później przedmiotem licznych żartów w barze Mary Mahoney. Powszechnie wykpiwano Bogana, Vitrano, Rapleya i Havaraca, którzy z całą powagą, w swoich najlepszych garniturach, pozwali do fotografii reklamowych, podczas gdy Lanigan jedynie wykorzystywał sposobność do zamaskowania swojego późniejszego zniknięcia.

Przez kilka miesięcy po kradzieży pieniędzy wznoszono w barze toasty za po-myślność przebiegłego złodzieja, nieodmiennie przystępując do zabawy w zga-dywanek pod hasłem: „Gdzie on teraz może przebywać?” Wszyscy życzyli mu jak najlepiej, ale i zazdrościli fortuny. W miarę upływu czasu zaskoczenie jęło słabnąć. Po szczegółowym przeanalizowaniu chytrych działań Patricka wygasło też zainteresowanie jego osobą. Życie potoczyło się utartymi szlakami. Wszyscy doszli do wniosku, że już nigdy nie usłyszą o Laniganie.

Karl nadal nie mógł uwierzyć, że w końcu Patricka aresztowano. Pograżony we wspomnieniach, wsiadł do windy i wcisnął guzik drugiego piętra.

Zachodził w głowę, czy i on do niedawna tkwił w takim przeświadczeniu.

Ostatecznie wokół Lanigana nagromadziło się bardzo wiele tajemnic. Wystarczył

jeden zły dzień na sali sądowej, by w wyobraźni automatycznie pojawił się obraz Patricka wylegającego się na plaży, pochłoniętego lekturą książki, popijającego 178

drinki bądź podrywającego młode dziewczęta. Jeśli w którymś roku nie podno- szono mu gaży, myśli natychmiast biegły ku zaginionym dziewięćdziesięciu mi- lionom dolarów. Kiedy pojawiały się takie czy inne plotki na temat powolnego upadku kancelarii Bogana, podświadomie obarczał za to winą Lanigana. Na do- brą sprawę dopiero teraz Huskey uświadomił sobie, że przez te cztery i pół roku z takich czy innych powodów myślał o Patricku niemal codziennie.

W korytarzu na piętrze nie natknął się ani na pielęgniarki, ani na innych pacjentów. Ruszył w kierunku strzeżonych drzwi izolatki. Jeden ze strażników powitał go uprzejmie:

— Dobry wieczór, panie sędzio.

Huskey odwzajemnił powitanie, zapukał i wszedł do tonącego w półmroku pokoju.

Rozdział 23

Patrick siedział w łóżku w samych spodenkach i oglądał teleturniej *Jeopardy*.

Jak zwykle żaluzje były opuszczone, paliła się tylko nocna lampka.

— Siadaj — rzekł ochoczo na widok Karła, wskazując mu miejsce na brzegu łóżka, obok siebie.

Odczekał wystarczająco długo, żeby przyjaciel mógł się przyjrzeć rozległej oparzelinie na jego piersiach, po czym włożył bawełnianą koszulkę i zakrył się do pasa prześcieradłem.

— Dziękuję, że przyjechałeś — dodał, wyłączając telewizor.

W izolatce zrobiło się jeszcze ciemniej.

— Paskudnie wygląda ta rana, Patricku — odezwał się Huskey, siadając uko-sem na skraju łóżka, jak najdalej od Lanigana.

Ten wyprostował się i podciągnął kolana pod brodę. Mimo okrywającego go prześcieradła dało się zauważyć, że jest wręcz chorobliwie wychudzony.

— Sporo przeszedłem — mruknął, obejmując kolana ramionami. — Lekarz twierdzi, że rany ładnie się goją, lecz będę musiał zostać w szpitalu jeszcze przez jakiś czas.

— Z tym nie będzie żadnego problemu, Patricku. Jak dotąd nikt nie wystąpił z wnioskiem, aby już teraz przenieść cię do aresztu.

— Na razie. Przeczuwam jednak, że wkrótce pojawią się różnorodne naciski.

— Uspokój się, ostateczna decyzja należy przecież do mnie.

Lanigan uśmiechnął się lekko.

— Dzięki, Karl. Nie wytrzymałbym w areszcie. Dobrze wiesz, jak tam jest.

— A w więzieniu Parchman? Sto razy gorzej.

Zapadło milczenie. Huskey natychmiast pożałował, że nie ugryzł się w język.

Perspektywa osadzenia w więzieniu musiała spędzać Patrickowi sen z powiek.

— Przepraszam — bąknął. — Niepotrzebnie to powiedziałem.

— Zabiję się, jeśli będę musiał iść do Parchman.

— Nie dziwię ci się. Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

— Nie będziesz mógł przewodniczyć rozprawie, prawda, Karl?

— Oczywiście, że nie. Wycofam się podczas wstępnych przygotowań.

180

— To znaczy kiedy?

— Niedługo.

— Kto przejmie sprawę?

— Albo Trussel, albo Lanks. Zapewne Trussel.

Karl popatrzył na przyjaciela, lecz Lanigan szybko odwrócił wzrok. Oczekiwał, że dostrzeże w jego oczach znane błyski ożywienia, że znów usłyszy radosny śmiech, pozna jakieś szczegóły brawurowej ucieczki. Bardzo chciał powiedzieć:

„Nie myśl o tym, Patricku. Rozchmurz się. Opowiedz mi o wszystkim”.

Ale tamten bał się nawet spojrzeć mu w oczy. Nie był to już ten sam Patrick.

Niemniej Huskey postanowił spróbować.

— Jak sobie załatwiłeś operację plastyczną brody?

— Przekupiłem lekarza z Rio.

— Nos też ci przerobił?

— Owszem. Podoba ci się?

— Tak, rysy ci wy szlachetniały.

— W Rio niemal na każdym kroku można spotkać gabinet chirurgii plastycznej.

— A ja sądziłem, że miasto słynie tylko z plaży.

— To fakt, plaża jest wprost niewiarygodna.

— Poznałeś tam jakieś dziewczyny?

— Kilka.

Seks nie należał jednak do tych rzeczy, którymi Patrick specjalnie by się przejmował. Jak każdy mężczyzna lubił czuć na sobie spojrzenie atrakcyjnej kobiety, lecz przez cały okres trwania małżeństwa był wierny Trudy i Karl dobrze o tym wiedział. Któregoś wieczoru w domku myśliwskim zaczęli porównywać wymagania seksualne swoich żon i Patrick musiał przyznać otwarcie, że zaspokojenie Trudy jest dla niego nie lada wyzwaniem.

Znowu zapadło milczenie, minęła minuta, potem druga. Huskey pojął, iż Lanigan wcale nie zamierza mu niczego wyznać. Cieszył się z przyjazdu do szpitala, widok przyjaciela sprawiał mu radość, ale nie przybył tu z wizytą po to, żeby teraz siedzieć po ciemku i gapić się na ścianę.

— Posłuchaj, Patricku. Skoro nie będę mógł przewodniczyć rozprawie, więc nie przyjechałem tu jako twój sędzia. Nie jestem również twoim adwokatem. Potraktuj mnie zatem jak starego przyjaciela. Możesz chyba ze mną szczerze porozmawiać.

Tamten sięgnął po puszkę soku pomarańczowego stojącą na nocnym stoliku.

— Chcesz się czegoś napić?

— Nie, dziękuję.

Patrick pociągnął łyk soku i odstawił puszkę.

— Wydaje ci się to pewnie bardzo romantyczne, prawda? Tak po prostu odejść, rozplynać się w mroku, a wraz z nadejściem świtu objawić się kimś zu-181

pełnie innym. Pozbyć się wszystkich problemów, uwolnić od codziennej harówki, zapomnieć o kłopotach małżeńskich, uciec od stresu, jakim jest konieczność cią-

głego pomnażania własnego bogactwa. Ty także masz podobne marzenia, prawda, Karl?

— Sądzę, że każdy tego doświadcza na pewnym etapie. Jak długo planowałeś swoje zniknięcie?

— Myślałem o tym od dawna. Kiedy zyskałem przeświadczenie, że Ashley Nicole nie jest moim dzieckiem, postanowiłem. . .

— Co takiego?!

— To prawda, Karl. Nie jestem jej ojcem. Trudy zdradzała mnie od począt-ku małżeństwa. Otaczałem dziecko taką czułością, na jaką mnie tylko było stać, ale efekty okazały się żałosne. Po uzyskaniu dowodu pomyślałem, że nie warto robić Trudy awantury, zdobyłem jednak doskonały motyw do zerwania związku.

Co dziwne, dość szybko pogodziłem się z myślą, że ona ma kochanka. Postanowiłem rzucić wszystko, tylko jeszcze nie wiedziałem, jak tego dokonać. W tajemnicy przeczytałem parę brukowych poradników na temat zmiany tożsamości i sposobów zdobycia nowych dokumentów. To bardzo proste. Wystarczy dobrze obmyślić kolejne posunięcia i stworzyć sobie logiczny plan działania.

— I w tym celu zapuściłeś brodę i utyłeś trzydzieści kilogramów?

— Zgadza się. Sam się zdumiałem, jak bardzo zarost odmienia wygląd człowieka. Mniej więcej w tym samym czasie awansowałem na współnika w kancelarii i poczułem, że jestem dokumentnie wypalony. Żona mnie zdradzała, opiekowa-

łem się nie swoim dzieckiem, na co dzień współpracowałem z ludźmi, których nie mogłem już znieść. Coś we mnie pękło, Karl. Któregoś dnia jechałem na jakieś spotkanie autostradą numer dziewięćdziesiąt i utknąłem w korku. Zapatrzyłem się na zatokę. Było pusto, tylko na horyzoncie białął samotny żagiel. Poczułem nagle nieodpartą chęć pożeglowania gdzieś za morze, gdzie nikt mnie nie zna. Siedzia-

łem za kierownicą, patrzyłem na przesuwaną się z wolna żaglówkę i desperacko pragnąłem znaleźć się na jej pokładzie. Popłakałem się wówczas, Karl. Dasz wiarę?

— Każdy z nas miewa podobne dni.

— Właśnie wtedy coś we mnie pękło, od tamtej pory nie mogłem dojść do siebie. Zyskałem

pewność, że muszę zniknąć.

— Jak długo planowałeś ucieczkę?

— Musiałem się uzbroić w cierpliwość. Większość ludzi w takich okolicznościach działa w pośpiechu i popełnia różne błędy. Ja zaś miałem mnóstwo czasu.

Nie byłem bankrutem, nie musiałem uciekać przed wierzycielami. Wykupiłem polisę ubezpieczeniową na życie, na dwa miliony dolarów. Samo jej załatwienie zajęło mi trzy miesiące. Nie mogłem przecież zostawić żony z dzieckiem bez pieniędzy. Zacząłem też szybko przybierać na wadze, żarłem jak opętany. Zmieniłem testament, przekonałem Trudy, iż powinniśmy spisać szczegółowe dyspozycje na 182

wypadek śmierci któregoś z nas. Udało mi się tego dokonać bez wzbudzenia jej podejrzeń.

— Kremacja zwłok była doskonałym pomysłem.

— Dzięki. Każdemu polecałbym to rozwiązanie.

— W ten sposób uniemożliwia się nie tylko identyfikację zwłok, lecz również rozpoznanie przyczyny śmierci. Odpadają więc podstawowe problemy. . .

— Nie mówmy na razie o tym.

— Przepraszam.

— Później zwęszyłem potajemną wojnę Benny'ego Aricii z Pentagonem i macierzystą firmą Platt & Rockland Industries. Bogan utrzymywał sprawę w najści-

ślejszej tajemnicy. Kiedy zacząłem kopać głębiej, przekonałem się, że są w nią zaangażowani i Vitrano, i Rapley, i Havarac. Wszyscy oprócz mnie. Ich nastawienie do mnie zmieniło się diametralnie. Łatwo było jednak wyczuć, że coś kombinują za moimi plecami. Najpierw jednogłośnie postanowili przyjąć mnie na wspólnika kancelarii, a już dwa miesiące później w tajemnicy przede mną podjęli rozmowy z Aricią. Nagle się okazało, że jestem niezastąpiony, zwłaszcza do załatwiania różnych spraw poza miastem. Zresztą moje podróże były wszystkim na rękę. Trudy mogła bezkarnie spotykać się z kochankiem, wspólnicy bez obaw konspirować z Aricią. Wysyłali mnie w drogę przy każdej nadarzającej się okazji. A i mnie to odpowiadało, gdyż mogłem swobodnie zajmować się własnymi planami. Które-goś razu pojechałem na trzy dni do Fort Lauderdale, żeby spisać zeznania klienta.

Przy okazji wpadłem do Miami i odnalazłem specjalistę od podrabiania dokumentów. Za dwa tysiące dolarów zyskałem nowe prawo jazdy, paszport, kartę ubezpieczenia socjalnego oraz świadectwo wpisu do rejestru wyborców, także stąd, z okręgu Harrison, tyle że na inne nazwisko. Od tej pory nazywałem się Carl Hildebrand. Na twoją cześć.

— Czuję się zaszczycony.

— Z kolei w Bostonie odwiedziłem faceta organizującego zniknięcia. Za ty-siąc dolarów udzielił mi całodziennego wykładu na temat sposobów planowania ucieczki i zacierania śladów. W Dayton zapłaciłem fachowcowi za to, żeby mi przekazał podstawowe wiadomości o mikrofonach, nadajnikach radiowych i me-todach instalowania urządzeń podsłuchowych. Jak widzisz, byłem cierpliwy, Karl.

Bardzo cierpliwy. Wpadałem do biura o najdziwniejszych porach i zbierałem na temat Aricii wszystko, co mi wpadło w ręce. Nadstawiałem ucha, gdzie tylko się da, podpytywałem sekretarki, grzebałem w śmieciach. Później założyłem podsłuch. Zacząłem od kilku mikrofonów, żeby zobaczyć, jak to działa. Wybrałem gabinet Vitrano, a kiedy zarejestrowałem pierwszą rozmowę, nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Oni zamierzali mnie wykopać z interesu, Karl. Możesz w to uwierzyć? Wiedzieli już wtedy, że na sprawie Aricii zarobią trzydzieści milionów, i planowali podzielić forsy tylko między czterech. Zresztą części nie miały być równe. Bogan chciał dla siebie najwięcej, dziesięć milionów. Twierdził, że 183

z tej działki będzie musiał się odwdzięczyć pewnym ludziom z Waszyngtonu. Pozostałym miało przyspaść po pięć milionów, ostatnie pięć chcieli przeznaczyć na kancelarię. Zgodnie z tym planem ja miałem się znaleźć na bruku.

— Kiedy to było?

— Sprawa ciągnęła się niemal przez cały rok dziewięćdziesiąty pierwszy. Departament Sprawiedliwości zaakceptował ugodę z firmą Platt & Rockland dopiero czternastego grudnia. Nagroda dla Aricii miała wpłynąć na konto w ciągu trzech miesięcy od tej daty. Wcześniej nawet osobiste interwencje senatora nie wpłynęły na przyspieszenie obiegu papierków.

— Opowiedz mi teraz o wypadku samochodowym.

Patrick poruszył się nerwowo, wreszcie skopał prześcieradło i wstał z łóżka.

— Wciąż łapią mnie kurcze — mruknął, przeciągając się szeroko.

Podszedł do drzwi łazienki, oparł się o nie plecami i przestępując z nogi na nogę, popatrzył na sędziego.

— To było w niedzielę.

— Dziewiątego lutego.

— Zgadza się, dziewiątego lutego. Spędziłem weekend w domku myśliwskim, a kiedy wracałem do miasta, zjechałem z autostrady, zabiłem się i poszedłem do nieba.

Huskey nawet się nie uśmiechnął, uważnie spoglądał na przyjaciela.

— Może zacznij jeszcze raz.

— Po co, Karl?

— Ciekawość nie daje mi spokoju.

— Nie ma innych powodów?

— Nie, daję słowo. To był prawdziwy majstersztyk. Jak to zrobiłeś?

— Będę jednak musiał przemilczeć niektóre szczegóły.

— Oczywiście, rozumiem.

— Chodź, przejdziemy się trochę. Mam już dość siedzenia w pokoju.

Wyszli na korytarz, gdzie Lanigan pospiesznie wyjaśnił strażnikom, iż obaj z sędzią pragną tylko rozprostować nogi. Tamci ruszyli za nimi w pewnej odległości. Pielęgniarka z uśmiechem spytała, czy nie przynieść im czegoś, toteż Patrick poprosił o dwie puszki dietetycznej coca-coli. Poszedł dalej w zamyśleniu aż do końca korytarza, którego szczytowe okno wychodziło na parking w dole. Po chwili usiadł na ławce ze sztucznego tworzywa, Huskey zajął miejsce obok niego.

Popatrzyli w stronę oddalonych o dwadzieścia metrów strażników, ci zaś, jakby pod wpływem tych spojrzeń, odwrócili się do nich plecami.

Patrick miał na sobie bawełniane szpitalne spodnie, bosa stopy wsunął w skórzane klapki.

— Widziałeś zdjęcia z miejsca wypadku? — zapytał cicho, niemal szeptem.

— Tak.

184

— Wybrałem je dzień wcześniej. Zbocze nasypu jest w tym miejscu dosyć strome, uznałem więc, że to doskonały punkt do upozorowania wypadku drogowego. W niedzielę wieczorem przesiadłem w domku myśliwskim prawie do dziesiątej. Później zatrzymałem się na krótko w sklepie przy drodze.

— U Verhalla.

— Zgadza się, u Verhalla. Zatankowałem na stacji benzynowej.

— Kupiłeś czterdzieści litrów paliwa, a rachunek opiewający na czternaście dolarów i dwadzieścia jeden centów uregulowałeś kartą kredytową.

— Chyba tak. Pogawędziłem chwilę z panią Verhall i odjechałem. Z rzadka mijają mnie jakieś samochody. Pięć kilometrów dalej skręciłem w wysypaną żwirem boczną drogę i dotarłem do wcześniej wyznaczonego miejsca. Wsiadłem, otworzyłem bagażnik i szybko się przebrałem. Uprzednio zaopatrzyłem się w sprzęt wrotkarzy, lekki hełm, wyściełaną na plecach kamizelkę, ochraniacze na kolana i łokcie oraz grube rękawice. Włożyłem to wszystko na siebie, oprócz hełmu, i

usiadłem z powrotem za kierownicą. Pojechałem dalej autostradą na po-

łudnie. Przy pierwszej próbie z tyłu nadjechał jakiś wóz. Przy drugiej pojawił się inny, z przodu. Udało mi się jednak zrobić ostre hamowanie, przez co zostawi-

łem na asfalcie długie ślady opon. Dopiero za trzecim razem znalazłem się nie zauważony na miejscu wypadku. Włożyłem więc hełm, zaczerpnąłem głęboko powietrza i szarpnąwszy kierownicą, zjechałem z szosy. Bałem się jak cholera, Karl.

Huskey bez przerwy myślał o tym, że już wtedy w samochodzie musiał być jeszcze ktoś inny, czy to żywy, czy martwy. Postanowił jednak wstrzymać się z pytaniem i w skupieniu wysłuchać dalszej części relacji.

— Jechałem najwyżej pięćdziesiątką, kiedy wyskoczyłem znad krawędzi nasypu, ale możesz mi wierzyć, że gdy koła straciły przyczepność i znalazłem się na wysokości koron drzew, miałem wrażenie, że sunę co najmniej sto pięćdziesiąt na godzinę. Po chwili auto zaczęło się zsuwać i odbijać od pni młodych drzewek. Wyleciała przednia szyba. Chyliłem głowę to w lewo, to w prawo, usiłując jednocześnie zapanować nad kierownicą. Mimo to lewym błotnikiem zahaczyłem o dużą sosnę i zacząłem koziołkować. Z hukiem napełniła się poduszka powietrzna, przez kilka sekund byłem ogłuszony. Zanim opanowałem mdłości, wszystko ustało. Otworzyłem oczy. Czulem ostry ból w lewym ramieniu, ale ubranie nie było zakrwawione. Wisiałem w pasach bezpieczeństwa, dopiero po jakimś czasie pojąłem, że samochód zatrzymał się na prawym boku. Zanim się z niego wygramoliłem, dotarło do mnie, że miałem cholernie dużo szczęścia. Nie złamałem ręki, tylko zwichnąłem sobie bark. Kilka razy obszedłem blazera dookoła, nie mogąc wyjść z podziwu, że tak doszczętnie go zniszczyłem. Przednia część dachu była do tego stopnia zmiażdżona, że opierała się o maskę. Gdyby wgniotła się o dziesięć centymetrów głębiej, nigdy bym z tego nie wyszedł.

— Podjąłeś olbrzymie ryzyko. Mogłeś nie tylko zginąć na miejscu, ale rów-185

niez odnieść poważne obrażenia. Dlaczego po prostu nie zepchnąłeś auta ze szczytu skarpy?

— To nie to samo. Kraksa musiała wyglądać bardzo realistycznie. Ostatecznie zbocze nasypu to nie przepaść. W tamtej okolicy teren jest stosunkowo płaski.

— Mogłeś ustawić koła, obciążyć pedał gazu cegłą i wyskoczyć jeszcze na szosie.

— Szkopuł w tym, że cegła by się nie spaliła. Gdyby policja znalazła cegłę we wraku, natychmiast nabrałaby podejrzeń. Naprawdę rozważyłem różne warianty i doszedłem do wniosku, że najlepiej jest doszczętnie rozbić wóz, po czym oddalić się pieszo. Nie zapominaj, że byłem przypięty pasami bezpieczeństwa, miałem poduszkę powietrzną w kierownicy, do tego hełm i ochraniacze.

— Zawsze byłeś perfekcjonistą.

W korytarzu pojawiła się pielęgniarka z puszkami coca-coli. Wymieniła z nimi kilka grzecznościowych uwag, wreszcie odeszła.

— Na czym skończyłem? — zapytał Patrick.

— Zdaje się, że następnie podпалиłeś wrak.

— Owszem. Przez chwilę nasłuchiwałem, lecz panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu obracającego się jeszcze koła. Z dołu nie widziałem autostrady, ale nie dolatywały stamtąd żadne hałasy. Doszedłem do wniosku, że nikt mnie nie spostrzegł. Od najbliższych zabudowań dzieliły mnie dwa kilometry. Mimo to musiałem działać w pośpiechu. Ściągnąłem z siebie hełm i ochraniacze, po czym wrzuciłem je do auta. Następnie pobiegłem do miejsca, gdzie ukryłem pojemniki z benzyną.

— Kiedy to zrobiłeś?

— W ciągu dnia, wczesnym rankiem, zaraz po wschodzie słońca. Pospiesznie przyciągnąłem do blazera cztery pięciolitrowe plastikowe kanistry. Było ciemno jak diabli, a nie mogłem skorzystać z latarki, wcześniej oznaczyłem sobie jednak drogę. Wrzuciłem trzy pojemniki do wraka i znów zacząłem nasłuchiwać.

Wciąż panowała cisza. Serce waliło mi jak młotem, podchodziło do gardła. Benzyną z czwartego kanistra polałem rozbity samochód, a pojemnik także cisnąłem do środka. Wycofałem się na dziesięć metrów i przypaliłem papierosa, a następnie rzuciłem go w powietrze i dałem nura za pień drzewa. Spadł na karoserię, benzyna zajęła się błyskawicznie. Huk był taki, jakby eksplodowała bomba. Z okien wraka buchnęły długie jęzory płomieni. Wspiąłem się na zbocze nasypu i znalazłem dogodny punkt obserwacyjny oddalony o jakieś sto metrów. Ciekaw byłem, jak potoczy się akcja ratownicza. Ogień rozbuchał się ponad wszelką miarę, wcześniej nawet nie zdawałem sobie sprawy, iż może tak głośno huczeć. Wkrótce pobliskie krzaki zajęły się płomieniami i zacząłem już żywić obawy, że wzniciłem groźny pożar lasu. Na szczęście w piątek sporo padało, trawa i drzewa były jeszcze mokre. — Pociągnął łyk napoju z puszki. — Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że nawet nie zapytałem, jak się miewa twoja rodzina. Przepraszam, Karl. Co z Iris?

186

— Wszystko w porządku. Wolałbym jednak porozmawiać o mojej rodzinie kiedy indziej. Bardziej ciekawi mnie twoja historia.

— Jasne. Na czym skończyłem? Przez te narkotyki ciężko mi zebrać myśli.

— Obserwowałeś pożar wraka.

— No właśnie. Zrobiło się istne piekło, tym bardziej że eksplodowały pozostałe kanistry z benzyną. Przez chwilę obleciał mnie strach, że się tam usmażę.

Rozżarzone elementy wylatywały wysoko w powietrze i z hukiem spadały na ziemię. Wreszcie usłyszałem jakieś głosy od strony autostrady, ludzie coś krzyczeli.

Nie mogłem nikogo dostrzec, wiedziałem jednak, że zaczyna się robić zbiegowi-sko. W dodatku ogień szybko się rozprzestrzenił, więc tym bardziej musiałem się stamtąd wycofać. Poza tym słychać już było wycie syren. Ruszyłem w kierunku strumienia, który namierzyłem w ciągu dnia. Płynął jakieś

sto metrów dalej przez las. Później poszedłem wzdłuż niego do kępy krzaków, gdzie wcześniej ukryłem zdezelowany motocykl.

— Motocykl? — zapytał zdumiony Karl.

Słuchał z napiętą uwagą, w wyobraźni przeżywał każdą opisywaną scenę, niemal odmierzał kroki przyjaciela umykającego przez las. Domniemana trasa jego ucieczki była bowiem tematem ząartych dyskusji w barze przez kilka miesięcy po wypadku. Jak się teraz okazywało, nikt nie odgadł prawidłowo planu Patricka.

— Tak. To był stary gruchot, który parę miesięcy wcześniej kupiłem za pięćset dolarów od pewnego handlarza z Hattiesburga. Ćwiczyłem jazdę na nim po lesie.

Nikt nie wiedział, że mam motocykl.

— Pewnie nawet go nie zarejestrowałeś?

— Oczywiście, że nie. Musisz wiedzieć, Karl, że kiedy biegłem przez las w stronę strumienia, przerażony jak diabli, gdy słyszałem za plecami krzyki ludzi na autostradzie i narastające zawodzenie syren, miałem świadomość, że pędzę ku wolności, że oto pogrzebałem Patricka Lanigana wraz z jego nędznym życiem.

Zdawałem sobie sprawę, iż otrzyma należne honory, zostanie godnie pochowany, a potem wszyscy o nim zapomną. Ja zaś miałem przed sobą całkiem nowe życie.

Ta świadomość dodawała mi skrzydeł.

Huskey z trudem się powstrzymywał, żeby nie zapytać: „A co z tym biednym chłopakiem, który spłonął we wraku? Ty biegłeś radośnie przez las, podczas gdy ktoś inny za ciebie umierał”. Wyglądało jednak na to, że Patrick świadomie pominął szczegóły dotyczące morderstwa.

— I nagle straciłem orientację — ciągnął Lanigan. — Tantejsze lasy są gęste, a ja musiałem obrąć niewłaściwy kierunek. Miałem przy sobie małą latarkę i nie pozostało mi nic innego, jak z niej skorzystać. Kluczyłem to tu, to tam, aż w końcu przestałem nawet słyszeć wycie syren. Ogarnięty paniką, postanowiłem usiąść na zwalonym pniu i wziąć się w garść. Myślałem, że byłaby to ironia losu, gdybym wyszedł cało z katastrofy i skonał w lesie z głodu i wycieńczenia. Poszedłem dalej i tym razem dopisało mi szczęście, trafiłem na strumień, a później odnalazłem 187

ukryty motocykl. Przepchnąłem go jeszcze ze sto metrów, na szczyt sąsiedniego wzgórza, gdzie biegła stara zarośnięta droga po zwózce drewna. Nie zapominaj, że wtedy ważyłem ponad sto kilogramów i ucieczka przez las kosztowała mnie sporo wysiłku. Ale tam, z dala od ludzkich siedzib, śmiało uruchomiłem motor i pojechałem tą ścieżką. Wcześniej dokładnie spenetrowałem całą okolicę na motocyklu, toteż wiedziałem, któredy się kierować. Bez przeszkód dotarłem do polnej drogi, która prowadziła do samotnej farmy. Na tłumiku motoru zamontowa-

łem dodatkową osłonę z kawałków aluminiowej rury, pracował więc stosunkowo cicho. Wyznaczoną wcześniej trasą dojechałem do podrzędnej asfaltowej drogi, prowadzącej w głąb okręgu Stone. Co

rozumiałe, wolałem się trzymać z dala od głównych szlaków komunikacyjnych. Zatoczyłem wielki łuk i mniej więcej po godzinie jazdy znalazłem się z powrotem w domku myśliwskim.

— Po co tam wróciłeś?

— Żeby coś zjeść i trochę odpocząć.

— Nie bałeś się, że Pepper może cię zauważyć?

Patrick przyjął to pytanie ze stoickim spokojem. Huskey starał się wybrać dogodny moment, aby zaskoczyć nim przyjaciela, ale nic z tego nie wyszło. Tamten przez chwilę wbijał wzrok w podłogę, wreszcie odparł cicho:

— W tym czasie Peppera już nie było.

Rozdział 24

Ponownie miejsce przy stole zajął Underhill. Sprawiał wrażenie wypoczętego, chociaż większość z ośmiu godzin przerwy poświęcił na przeglądanie zapisów wideo i czytanie swoich wcześniejszych notatek w sąsiednim gabinecie. Wkroczył

sprężystym krokiem do pokoju, rzucił zdawkowe: „cześć” w kierunku Stephano i jego adwokata, po czym od razu przystąpił do dzieła.

— Czy mógłby pan podjąć relację od tego miejsca, gdzie wczoraj skończyliśmy?

— To znaczy?

— Od pańskiej inwazji na Brazylię.

— W porządku. Przede wszystkim to wielki kraj, prawie tak duży jak Stany Zjednoczone. Zamieszkuje go sto sześćdziesiąt milionów ludzi. Ponadto Brazylia od dawna cieszy się opinią wręcz wymarzonego azylu dla uciekinierów. Po wojnie osiedliło się tam sporo hitlerowców. Zgromadziliśmy obszerne dossier Lanigana i przetłumaczyliśmy je na portugalski. Policyjny rysownik zrobił dla nas cały szereg rysunków pamięciowych zbiega. Spędziliśmy wiele godzin z właścicielem jachtu z Orange Beach oraz z urzędnikiem banku w Nassau, którzy bardzo nam pomogli ustalić szczegóły aktualnego rysopisu adwokata. Przedstawiliśmy gotowe rysunki współpracownikom kancelarii, ci natomiast zasięgnęli opinii personelu biura. Jeden z nich, pan Bogan, poprosił nawet o ustalenie zgodności wdowę po Laniganie.

— Czy teraz, kiedy zidentyfikowaliście zbiega, owe portrety okazały się wystarczająco dokładne?

— Owszem. Trochę nas tylko zaskoczyły odmienione zarysy szczęki i nosa.

— Proszę mówić dalej.

— Poleciliśmy do Brazylii i tam wybraliśmy trzy spośród najbardziej reno-mowanych firm zajmujących się prywatnymi dochodzeniami: jedną z Rio, drugą z Sao Paulo, a trzecią z Recife na północno-wschodnim wybrzeżu. Płaciliśmy gotówką, w dolarach, mieliśmy więc do dyspozycji najlepszych ludzi. Szybko stworzyliśmy zespół poszukiwawczy, który przez tydzień przechodził szkolenie w Sao Paulo. Uważnie wysłuchaliśmy też opinii tamtejszych fachowców. Doszli 189

do wniosku, iż najlepiej będzie posługiwać się bajeczką, że Patrick jest poszukiwany za uprowadzenie i morderstwo kilkuletniej dziewczynki z bogatej rodziny, ta zaś wyznaczyła sporą nagrodę za jego ujęcie. Chodziło wyłącznie o zdobycie zaufania informatorów. W końcu porywacza i zabójcę ocenia się inaczej niż faceta, który obrobił bogatych współników. Odwiedzaliśmy wszystkie ośrodki prowadzące kursy języka portugalskiego, pokazywaliśmy portrety pamięciowe i proponowaliśmy pieniądze za informacje. W liczących się szkołach zamykano nam drzwi przed nosem, a z pozostałych placówek nie uzyskaliśmy żadnej wiadomości. W tym czasie żywiliśmy już wielki respekt dla Lanigana, byliśmy zatem przeświadczeni, że ktoś taki jak on nie podjąłby ryzyka nauki w ośrodku, do którego możemy z łatwością trafić. W dalszej kolejności zaczęliśmy nachodzić prywatnych nauczycieli języka, a tych jest w Brazylii coś koło miliona. To była mrówcza praca.

— Im także oferowaliście pieniądze za informacje?

— Postępowaliśmy zgodnie z tym, co nam radzili tamtejsi fachowcy, to znaczy pokazywaliśmy portrety pamięciowe, opowiadaliśmy bajeczkę o porwanym dziecku i czekaliśmy na reakcję. Dopiero gdy wywiadowca dochodził do wniosku, że coś może z tego wyniknąć, niby to mimochodem wspominał o wyznaczono-nej nagrodzie.

— Złapaliście jakiś ślad?

— Nawet parokrotnie. Nigdy jednak nie byliśmy zmuszeni zapłacić za informacje, w każdym razie nie nauczycielom portugalskiego.

— A innym osobom?

Stephano leniwie kiwnął głową i zajrzał do swoich notatek.

— W kwietniu dziewięćdziesiątego czwartego roku trafiliśmy do chirurga plastycznego z Rio, który okazał pewne zainteresowanie portretem pamięciowym Lanigana. Przez miesiąc wodził nas za nos, wreszcie dał do zrozumienia, że to on przeprowadzał operację. Miał zresztą fotografie ukazujące Lanigana przed za-biegiem i po nim. Facet bardzo sprytnie rozegrał sprawę, musieliśmy mu zapłacić ćwierć miliona dolarów, oczywiście w gotówce i bez żadnych pokwitowań, za dokumenty i zdjęcia dotyczące Lanigana.

— Cóż to były za dokumenty?

— Opis zabiegu i garść notatek. Dla nas najważniejsze były wyraźne fotografie en face, przedstawiające Lanigana przed operacją i po zdjęciu szwów. Trochę nas zdziwiły, bo przecież on z pewnością nie życzył sobie żadnych zdjęć ani papierków. Płacił gotówką i nie chciał zostawiać po sobie śladów. Okazało się jednak, że podał fałszywe nazwisko i przedstawił się jako kanadyjski

biznesmen po rozwodzie, który zapragnął trochę się odmłodzić. Chirurg wiele razy słyszał

podobne bajki, natychmiast się domyślił, że facet jest zbiegiem. Miał w gabinecie zamaskowany aparat fotograficzny, stąd te zdjęcia.

— Możemy je zobaczyć?

190

— Oczywiście.

Adwokat uniósł głowę znad komputera, lecz Stephano bez wahania położył

na stole szarą kopertę i popchnął ją w stronę Underhilla. Ten pospiesznie wyjął

zdjęcia i rzucił na nie okiem.

— Jak trafiliście do tego chirurga?

— Równoległe ze sprawdzaniem ośrodków nauki języka pukaliśmy również do prywatnych gabinetów chirurgii plastycznej. Poza tym interesowali nas fałszerze dokumentów oraz importerzy.

— Importerzy?

— To dość niefortunne, dosłowne tłumaczenie portugalskiego określenia.

Chodzi o specjalistów od zacierania tropów, ludzi zajmujących się ustalaniem nowej tożsamości i wynajdowaniem najlepszych kryjówek dla zbiegów. Ci jednak w ogóle nie chcieli z nami rozmawiać, podobnie jak fałszerze dokumentów.

Zasłaniali się tajemnicą zawodową, której ujawnienie mogłoby ich na zawsze wyeliminować z interesu.

— A chirurdzy chętnie udzielali informacji?

— Niezupełnie. W gruncie rzeczy też nie chcieli rozmawiać. Wynajęliśmy jednak pewnego specjalistę z tej branży, który dostarczył nam spis lekarzy prze-prowadzających potajemnie zabiegi. Właśnie w ten sposób trafiliśmy do tego chirurga z Rio.

— Było to już dwa lata po zniknięciu Lanigana?

— Zgadza się.

— Te zdjęcia stały się pierwszym konkretnym dowodem pobytu Lanigana w Brazylii?

— Tak, pierwszym.

— W takim razie czym się zajmowaliście przez te dwa lata?

— Wydawaliśmy mnóstwo pieniędzy. Pukaliśmy do różnych drzwi, sprawdzaliśmy liczne mylne tropy. Jak już mówiłem, to ogromny kraj.

— Ilu ludzi pracowało nad twoim zleceniem w Brazylii?

— Okresowo zespół poszukiwawczy liczył nawet sześćdziesiąt osób. Na szczęście tamtejsi wywiadowcy nie są tak drodzy jak amerykańscy.

* * *

Skoro sędzia poprosił o dostarczenie pizzy, jego życzenie potraktowano wręcz jak rozkaz. A ponieważ z bazy było za daleko do centrum pełnego lokali gastro-nomicznych, sanitariusz przywiózł pizzę z cieszącą się wieloletnią tradycją restauracji „Hugo” przy ulicy Division. Patrick łakomie wciągnął nosem powietrze, 191

gdy w korytarzu stuknęły drzwi windy i pojawił się wysłannik z pizzą. Kiedy zaś Huskey otworzył pudełko przy łóżku, najpierw popatrzył na jego zawartość rozszerzonymi oczyma, po czym zacisnął powieki i z wyrazem lubości na twarzy przez chwilę delektował się intensywnym aromatem czarnych oliwek, duszonych grzybków portobello, włoskiego sosu pomidorowego, zielonego pieprzu oraz sze-

ściu różnych gatunków sera. Wielokrotnie raczył się wyśmienitą pizzą z restauracji „Hugo”, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat pobytu w Biloxi, nic więc dziwnego, iż marzył o niej już od tygodnia. Powrót do ojczyzny miał też swoje dobre strony.

— Wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Zjadaj — rzucił Karl.

Pierwszy kawałek pizzy Patrick spałaszował w milczeniu. Szybko sięgnął po drugi.

— Jak ci się udało aż tyle schudnąć? — zagadnął sędzia, przełknąwszy ostatni kęs swojej porcji.

— Warto by to zakropić dobrym piwem — mruknął rozmarzony Lanigan.

— Przykro mi, ale nic z tego. Nie zapominaj, że przebywasz w areszcie.

— Utrata nadwagi to tylko kwestia silnej woli. Wystarczy trwać przy mocnym postanowieniu, a ja miałem ku temu wyjątkową motywację.

— Jak szybko schudłeś?

— W piątek przed wypadkiem ważyłem sto siedem kilogramów. W ciągu pierwszych sześciu tygodni zrzuciłem dwadzieścia jeden kilo. Dziś rano waga pokazała siedemdziesiąt trzy kilo.

— Naprawdę została z ciebie skóra i kości. Zjadaj.

— Dzięki.

— Zatem wróciłeś do domku myśliwskiego.

Patrick sięgał właśnie po trzeci kawałek pizzy, ale po namyśle odłożył go z powrotem do pudełka i otarł usta serwetką. Pociągnął łyk coca-coli z puszki.

— Tak, wróciłem do domku. Było około wpół do dwunastej w nocy. Zakradłem się do środka, nie zapalałem światła. Jakies dwa kilometry dalej, na stoku sąsiedniego wzgórza, stoi podobny domek pewnego małżeństwa z Hattiesburga.

Widać go z moich okien. Byłem przekonany, że o tej porze nikogo tam nie ma, wolałem jednak zachować ostrożność. Zasłoniłem okienko w łazience grubym ręcznikiem, dopiero wtedy włączyłem światło i pospiesznie zgoliłem brodę. Potem skróciłem włosy i ufarbowałem je na ciemno, prawie na czarno.

— Żałuję, że cię wtedy nie widziałem.

— Czułem się bardzo dziwnie. Kiedy spojrzałem w lustro, miałem wrażenie, że stoję twarzą w twarz z obcym człowiekiem. Później dokładnie sprzątnąłem po sobie, spakowałem farbę do włosów, nożyczki i golarkę, starannie zamiotłem pod-

łogę, domyślałem się bowiem, że policja może szczegółowo przeszukiwać domek.

Ubrałem się grubo. Zaparzyłem dzbanek bardzo mocnej kawy i połowę wypilem 192

na miejscu, a resztę przelałem do termosu. Wyszedłem z domku około pierwszej. Nie podejrzewałem, żeby gliniarze zjawili się tam w nocy, mimo to wolałem uniknąć zbędnego ryzyka. Zdawałem sobie sprawę, że minie trochę czasu, zanim zidentyfikują blazera i skontaktują się z Trudy, poza tym decyzja skontrolowania domku też nie mogła zapaść od razu. Nie obawiałem się więc specjalnie, że ktoś mnie tam zauważy, niemniej o pierwszej w nocy wolałem się już stamtąd wynieść.

— Czy wówczas pomyślałeś choć przez chwilę o żonie?

— Raczej nie. Wiedziałem, że powinna dobrze znieść wiadomość o mojej śmierci, nie miałem też żadnych wątpliwości, iż zostaną ściśle wykonane zapisy testamentu dotyczące mojego pochówku. Podejrzewałem, że przez jakiś miesiąc Trudy będzie odgrywała rolę pogrążonej w żałobie wdowy, potem zaś rozpocznie szczęśliwie nowe życie, ciesząc się odszkodowaniem z polisy ubezpieczeniowej.

Zapewne przeżywała swoje chwile triumfu. Miała kupę forsy, mogła więc zwró-

cić na siebie uwagę. Nie, Karl, już wtedy nie żywiłem absolutnie żadnych uczuć względem tej kobiety. Nie musiałem się również martwić jej losem.

— Czy kiedykolwiek jeszcze wróciłeś do domku myśliwskiego?

— Nie.

Huskey nie mógł się opanować, żeby nie zapytać:

— Pod twoim łóżkiem znaleziono karabin, śpiwór i namiot Peppera. Skąd one się tam wzięły?

Patrick zerknął na niego ze zdziwioną miną, po czym szybko odwrócił głowę.

Sędzia natychmiast odnotował w myślach tę reakcję, od lat bowiem wyczekiwał

szczególnie na taką właśnie chwilę. Doskonale rozpoznawał ów błysk zdumienia w oczach, będący efektem nagłego zderzenia z brutalną rzeczywistością, a później wstydlive odwrócenie wzroku.

W którymś ze starych, klasycznych filmów kryminalnych znalazło się takie oto zdanie: „Osoba dopuszczająca się morderstwa popełnia dwadzieścia pięć róż-

nych błędów. Ktoś, kto wcześniej pomyśli o piętnastu z nich, jest prawdziwym geniuszem zbrodni”. Być może Patrick, mimo szczegółowego zaplanowania swojej akcji, po prostu zapomniał o rzeczach Peppera zostawionych w domku my-

śliwskim. Może zanadto się śpieszył.

— Nie wiem — mruknął gniewnie Lanigan, usilnie wpatrując się w przeciwległą ścianę.

Karl zyskał już to, czego oczekiwał, postanowił więc nie naciskać dalej.

— Dokąd pojechałeś?

— Przeistoczyłem się w widmowego motocyklistę rodem z piekieł — odparł z wyraźnym ożywieniem. — Temperatura wynosiła wówczas zaledwie osiem stopni, ale mimo grubego ubrania podczas jazdy wydawało mi się, że spadła do dwudziestu poniżej zera. Trzymałem się bocznych dróg, z dala od ludzkich siedzib, i jechałem bardzo wolno, gdyż lodowaty wiatr chłostał jak nożem. Wyjechałem na szosę tylko na krótko, przekraczając granicę Alabamy, po czym znów 193

skręciłem w boczne drogi. Samotny motocyklista o trzeciej nad ranem z pewnością przyciągnąłby uwagę znudzonych policjantów z patrolu, omijałem więc łukiem wszystkie miasta. Wreszcie około czwartej dotarłem na przedmieścia Mobile. Miesiąc wcześniej znalazłem tam podrzędny motelik, gdzie pobierano opłaty w gotówce i nie zadawano żadnych pytań. Prześliznąłem się przez parking, ukry-

łem motocykl na tyłach budynku i wkroczyłem do motelu frontowymi drzwiami, jakbym przed chwilą zajechał taksówką. Zapłaciłem trzydzieści dolarów za po-kój. Nikt nie żądał wpisu do księgi meldunkowej. Przez godzinę nie mogłem się rozgrzać. Potem przespałem dwie godziny i ocknąłem się o wschodzie słońca.

A kiedy ty się dowiedziałeś o wypadku na autostradzie?

— Mniej więcej o tej porze, kiedy jechałeś na motocyklu bocznymi drogami przez Alabamę. Doug Vitrano zadzwonił do mnie kilka minut po trzeciej. Wybił

mnie ze snu, a ja strasznie tego nie lubię. Siedziałem więc po ciemku, pogrążony w żałobie, podczas

gdy ty udawałeś Easy Ridera i radośnie zmierzałeś ku nowemu życiu.

— Wcale nie było mi tak radośnie.

— Może i nie, ale z pewnością nie zwracałeś sobie głowy starymi przyjaciółmi.

— Naprawdę było mi przykro z tego powodu, Karl.

— Nie chrzań.

— Masz rację, nie myślałem o przyjaciółach.

Lanigan uśmiechnął się szeroko. Sprawiał wrażenie nadzwyczaj ożywionego, wręcz beztróskiego.

— Zatem obudziłeś się o wschodzie słońca jako całkiem inny człowiek w nowym świecie. Mogłeś zupełnie zapomnieć o dotychczasowych kłopotach i zmartwieniach.

— W każdym razie o większości z nich. Byłem jednocześnie podekscytowany i przerażony. Nie mogłem już zasnąć. Do ósmej trzydzieści oglądałem telewizję, ciekaw, czy powiedzą coś o mojej śmierci. Później się wykąpałem, przebrałem w czyste ciuchy. . .

— Zaraz. A co zrobiłeś z farbą do włosów i golarką?

— Wyrzuciłem je do pojemnika ze śmieciami gdzieś w okręgu Washington w Alabamie. Z motelu zamówiłem taksówkę, ale w Mobile trzeba dosyć długo czekać. Wreszcie kierowca podjechał i kazałem się zawieźć do śródmieścia. Nie wymeldowałem się, motocykl zostawiłem na tyłach motelu. Poszedłem do centrum handlowego, które otwierają najwcześniej z rana, i w supermarkecie kupiłem tanią marynarkę, dwie pary spodni oraz pantofle.

— Jak płaciłeś?

— Gotówką.

— Nie miałeś karty kredytowej?

194

— Owszem, fałszerz z Miami dostarczył mi podrobioną kartę Visa, ale mogłem z niej skorzystać tylko raz. Bałem się ujawnienia fałszerstwa. Zostawiałem ją sobie na wynajem samochodu.

— Ile wzięłeś ze sobą gotówki?

— Około dwudziestu tysięcy dolarów.

— Skąd pochodziły te pieniądze?

— Gromadziłem je od pewnego czasu. Nieźle zarabiałem, chociaż Trudy by-

łyby w stanie roztrwonić nawet dwukrotnie wyższą pensję. Po cichu załatwiłem z księgową kancelarii, żeby w tajemnicy przed żoną wpłacała część moich dochodów na drugie konto. Nawet jej to nie zdziwiło, powiedziała, że większość adwokatów postępuje w ten sposób. Założyłem drugi rachunek bankowy. Opróż-

niałem konto dość regularnie, a forszę trzymałem w ukryciu. Ty tego nie robisz?

— Nie. No więc kupiłeś ubranie i pantofle.

— W drugim sklepie wybrałem koszulę i krawat. Przebrałem się w toalecie publicznej. Upodobiłem się do jednego z tysięcy podróżujących bez przerwy handlarzy. Dokupiłem jeszcze trochę ubrań na zapas, zaopatrzyłem się w podstawowe akcesoria podróżne, spakowałem wszystko do nowiutkiej walizki i pojecha-

łem dalej taksówką. Wsiadłem na lotnisku w Mobile. Tam zjadłem śniadanie i czekałem na samolot Northwest Airlinck z Atlanty. Kiedy wylądował, wmieszałem się w tłum pasażerów, rozgorączkowanych i zabieganych, po czym wraz z dwoma innymi podróżnymi wpadłem do biura wynajmu samochodów firmy Avis. Tamci mieli zarezerwowane auta, ja zaś musiałem załatwiać wszelkie formalności. Po-sługiwałem się fałszywym prawem jazdy z Georgii, fałszywym paszportem i podrobioną kartą kredytową, toteż byłem przerażony jak diabli. Numer karty odnosił

się do autentycznego rachunku bankowego jakiegoś faceta z Decatur, bałem się więc, że na koncie może być za mało pieniędzy i system komputerowy podnie-sie alarm. Nic takiego się jednak nie stało. Wypełniłem odpowiednie formularze i odjechałem stamtąd w pośpiechu.

— Na jakie nazwisko miałeś dokumenty?

— Randy’ego Austina.

— No to zadam ci podstawowe pytanie, Randy. — Huskey sięgnął po kawałek pizzy, odgryzł kęs i zaczął przeżuwać w zamyśleniu. — Skoro byłeś na lotnisku w Mobile, to czemu nie wsiadłeś do pierwszego lepszego samolotu i nie odleciałeś stamtąd?

— Przy śniadaniu miałem wielką ochotę to zrobić. Obserwowałem przez okno start dwóch maszyn i tłumilem w sobie żal, że nie znalazłem się na ich pokładzie.

Miałem jednak pewne sprawy do załatwienia, rzekłbym, że dosyć ważne.

— Jakże znów sprawy?

— Chyba wiesz. Wróciłem samochodem na wybrzeże, dotarłem do Orange Beach i wynająłem tam skromny domek letniskowy.

— Który pewnie wcześniej zarezerwowałeś?

— Oczywiście. Wiedziałem też, że właściciel chętnie przyjmie gotówkę.

W końcu był to początek lutego, martwy sezon turystyczny. Wprowadziłem się więc, wziąłem środki nasenne i spałem przez sześć godzin. Wieczorem w dzieńniku telewizyjnym z przyjemnością obejrzałem reportaż z gaszenia pożaru mojego samochodu. Zginąłem tragiczną śmiercią, uprawiając przyjaciół w stan żałoby.

— Żebyś wiedział.

— W pobliskim sklepie kupiłem duży worek jabłek i jakieś tabletki odchudzające. Po zmroku poszedłem na trzygodzinny spacer wzdłuż plaży, co później weszło mi w krew przez cały okres ukrywania się w okolicach Mobile. Następnego ranka pojechałem do Pascagoula, kupiłem gazetę i obejrzałem sobie własną uśmiechniętą głowę na zdjęciu. Przeczytałem relację z tragicznego wypadku, ze wzruszeniem przyjąłem zamieszczone przez ciebie kondolencje, a przy okazji dowiedziałem się, że pogrzeb zaplanowano na piętnastą tego samego dnia. Wróciłem więc do Orange Beach i wynająłem jacht motorowy. Popłynąłem nim do Biloxi, żeby obserwować własny pogrzeb.

— Czytałem w gazetach, że z daleka uczestniczyłeś w ceremonii.

— To prawda. Wdrapałem się na drzewo na skraju lasu za cmentarzem i oglądałem pogrzeb przez lornetkę.

— Moim zdaniem to był szczyt głupoty.

— Masz rację, postąpiłem jak ostatni idiota, ale nie mogłem się opanować.

Musiałem zdobyć pewność, zobaczyć na własne oczy, że sztuczka się udała. Zdążyłem zresztą nabrać pewności siebie, byłem przeświadczony, iż nic mi nie grozi.

— Pewnie nawet to drzewo wybrałeś znacznie wcześniej, żeby mieć doskonały punkt obserwacyjny?

— Nie, wcale nie planowałem powrotu do Biloxi na czas pogrzebu. Prawdę mówiąc, kiedy wyjechałem z Mobile i skierowałem się na zachód, powtarzałem sobie w duchu, że muszę się trzymać z dala od miasta.

— Jak tyś się wdrapał na drzewo?

— Kierowała mną ciekawość. Poza tym znalazłem stary dąb z grubymi, zwieszającymi się nisko konarami.

— Powinieneś Bogu dziękować. Pomyśl, co by się stało, gdyby gałąź pod tobą pękła i złamałbyś

nogę przy upadku na ziemię.

— Ale nie zламаłem.

— Miałeś szczęście. My staliśmy nad grobem, przelękając łzy i składając kondolencje wdowie, a ty siedziałeś nieopodal na gałęzi jak spasiona ropucha i zaśmiewałeś się z nas w duchu.

— Tylko mi nie wmawiaj, Karl, że do dzisiaj czujesz do mnie urazę.

Miał rację. Przez cztery i pół roku wszelkie urazy zdołały zniknąć. W gruncie rzeczy sędzia odczuwał jedynie ulgę i radość z tego powodu, że może siedzieć przy łóżku przyjaciela, dzielić się z nim wyśmienitą pizzą i z zapartym tchem słuchać szczegółowej relacji z tamtych zdarzeń.

196

Ale Patrick nie chciał już mówić dalej. Był zmęczony, poza tym wrócili do izolatki, w której nie czuł się całkiem swobodnie. Ułożył się wygodnie na poduszce, zakrył prześcieradłem i rzekł wesoło, jakby już się cieszył na myśl o tym, co może usłyszeć:

— Teraz ty mi opowiedz o Boganie, Vitrano i reszcie kumpli z kancelarii.

Rozdział 25

Paulo Miranda od dwóch dni nie miał żadnych telefonicznych wiadomości od córki. Po raz ostatni, kiedy dzwoniła z hotelu w Nowym Orleanie, przekazała, że wciąż musi podróżować w sprawach jakiegoś tajemniczego klienta, ostrzegając zarazem, by uważał na śledzących go ludzi, gdyż ów klient ma ponoć wielu wrogów w Brazylii. Tak jak podczas wcześniejszych połączeń mówiła krótko i nerwowo, jakby się czegoś bała, tylko za wszelką cenę usiłowała to zamaskować.

Był coraz bardziej zaniepokojony, chciał wiedzieć coś więcej, a przede wszystkim poznać powód owej niezwyklej troski o jego bezpieczeństwo. Wolał, żeby jak najszybciej wróciła do domu. Nie wytrzymał i powiedział o swoim spotkaniu z jej współnikami z kancelarii adwokackiej, którzy postanowili wyłączyć ją ze wszystkich prowadzonych dotąd spraw. Przyjęła to jednak ze spokojem i wyjaśni-

ła, że obecnie pracuje na własne konto, ponieważ znalazła bardzo bogatego klienta działającego w handlu zagranicznym, a więc będzie się musiała przyzwyczaić do tego typu dłuższych wyjazdów.

Nie chciał się z nią spierać przez telefon, lecz coraz bardziej niepokoiły go poczynania córki.

Miał także dosyć ciągłego towarzystwa jakichś podejrzanych typków, którzy nieodmiennie go obserwowali, czy to wychodził na zakupy, czy jechał do swojego gabinetu w Pontificia Universidade Católica. Przyglądał im się przy każdej okazji, gdyż nie odstępowali go ani na krok. Nadał nawet pseudonimy poszczególnym agentom. Od wyjazdu Ewy rozmawiał kilkakrotnie z dozorcą domu, w którym mieszkała, i tamten przyznał, że również zwrócił na nich uwagę.

Tego dnia ostatni jego wykład z teorii filozofów niemieckich skończył się o trzynastej. Później

Miranda rozmawiał przez pół godziny w swoim gabinecie z pewnym zagrożonym studentem, wreszcie wyszedł z uczelni. Padało, a on nie wziął z domu parasola. Na szczęście zaparkował samochód na niewielkim placu zarezerwowanym dla wykładowców tuż obok tylnego wyjścia z gmachu.

Osmar już czekał na niego. Profesor ruszył energicznym krokiem od drzwi, nisko pochyliwszy głowę, którą osłonił od deszczu gazetą. Myślami musiał błą-

dzić gdzieś daleko, gdyż minąwszy drzewo na skraju chodnika, wdepnął w wielką 198

kałużę przy krawężniku. Nie zwrócił uwagi na czerwonego fiata furgonetkę, stojącego obok jego auta. Tuż przed nim kierowca wysiadł z szoferki i otworzył tylne drzwi. Miranda zdawał się go w ogóle nie dostrzegać. Sięgał już po kluczyki od samochodu, kiedy Osmar energicznie pociągnął go w bok i brutalnie wepchnął do furgonetki. Aktówka profesora wylądowała na asfalcie.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. W ciemności Paulo poczuł, że ktoś przystawił

mu broń do skroni. Szeptem nakazano mu zachować milczenie.

Na parkingu pozostał jego wóz z otwartymi drzwiami i kluczykami tkwiącymi w zamku. Papiery z aktówki rozrzucono po placu od przedniego koła po tylny zderzak.

Furgonetka szybko odjechała.

Anonimowy rozmówca przez telefon zawiadomił policję o porwaniu.

Tymczasem Paulo po półtoragodzinnej podróży znalazł się poza miastem, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku go wywożą. W pozbawionej okien przestrzeni panował zaduch. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zdołał rozróżnić sylwetki dwóch pilnujących go, uzbrojonych męż-

czyn. W końcu zajechali przed jakieś wiejskie zabudowania i został wyciągnięty na zewnątrz. Umieszczono go na tyłach domu, w saloniku wyposażonym w telewizor, sąsiadującym z jednej strony z sypialnią, z drugiej z łazienką. Lodówka była wypełniona zapasami żywności. Porywacze oznajmili mu, iż może się nie lękać o swoje życie, dopóki będzie rozsądny i nie spróbuje ucieczki. Zapowiedziano też, że pozostanie tu mniej więcej przez tydzień, jeśli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego.

Miranda zamknął drzwi pokoju od środka i wyjrzał przez okno. Pod pobliskim drzewem siedzieli dwaj mężczyźni. Popijali herbatę. O pień stały oparte ich pistolety maszynowe.

Anonimową wiadomość o porwaniu przekazano również mieszkającemu w Rio synowi profesora, dozorca budynku, w którym mieszkała Eva, jej współnikom z kancelarii oraz najbliższej przyjaciółce pracującej w agencji turystycznej.

W każdym wypadku informacja brzmiała tak samo: Paulo Miranda został uprowadzony, policja już wszczęła dochodzenie.

Eva zatrzymała się na kilka dni w Nowym Jorku, w hotelu „Pierre”. Robi-

ła zakupy w ekskluzywnych salonach przy Fifth Avenue, spędzała wiele godzin w salach muzealnych. Zgodnie z instrukcjami powinna ciągle zmieniać miejsce pobytu, od czasu do czasu zatrzymując się w Nowym Orleanie. Do tej pory przekazała trzy listy do Patricka i otrzymała od niego dwa, przy czym funkcję listo-nosza zawsze pełnił Sandy McDermott. Wszystko wskazywało na to, że mimo fizycznych urazów Lanigan zachował klarowność myśli. Wciąż tak samo troszczył się o drobiazgi, toteż jego listy zawierały głównie szczegółowe polecenia, 199

dalsze plany oraz schematy postępowania na wypadek takiego czy innego biegu zdarzeń.

Zadzwoiła do ojca, ale nikt nie podniósł słuchawki. Wybrała więc numer swego brata i odebrała przerażającą wiadomość. Tamten nalegał na jej natychmiastowy powrót do kraju. Zdawała sobie sprawę, że nieprzywykły do codziennego stresu brat popadł w panikę. Zawsze łatwo się poddawał, wszelkie trudne decyzje w rodzinie musiała podejmować sama. Rozmowa trwała niemal pół godziny, w tym czasie Eva próbowała bezskutecznie uspokoić brata. Dodatkowo działała na nią kojąco informacja, iż porywacze dotąd nie zgłosili żadnych żądań, w ogóle nie nawiązali kontaktu.

Wbrew surowym zakazom zadzwoniła następnie do Patricka. Zaledwie we-szła do budki telefonicznej na lotnisku La Guardia, zaczęła nerwowo skubać włosy i przez ciemne okulary zerkać trwożliwie na boki. Nie bez oporów nakręciła numer wojskowego szpitala i poprosiła o połączenie z pokojem Lanigana. Postanowiła rozmawiać po portugalsku, ponieważ doszła do wniosku, że nawet jeśli ktoś będzie podsłuchiwał, nie zrozumie niczego, dopóki nie przedstawi nagrania tłumaczowi.

— Patrick? Mówi Leah — zaczęła niepewnie, starając się zachować spokojne brzmienie głosu.

— Co się stało? — zapytał natychmiast, także po portugalsku. Od dawna nie słyszał jej uroczego głosu, ale w tej sytuacji nawet nie umiał się cieszyć, że zadzwoniła.

— Możemy rozmawiać?

— Tak. O co chodzi?

Patrick sprawdzał obecność podsłuchu w swoim aparacie telefonicznym co trzy lub cztery godziny. W znacznej mierze robił to z nudów. Za pomocą dostarczonego przez McDermotta urządzenia kontrolował też wszystkie miejsca w izolatce, gdzie dało się ukryć mikrofon z nadajnikiem. Uspokajał się myślą, że przed drzwiami strażnicy czuwają przez okrągłą dobę. Nigdy jednak nie mógł być pewien linii telefonicznej.

— O mojego ojca — rzuciła dziewczyna i pospiesznie zrelacjonowała mu porwanie Paulo. — Muszę wracać do domu.

— Nie, Leah — odparł spokojnie. — To pułapka. Twój ojciec nie jest bogaty, nie porwali go dla okupu. Chodzi im o ciebie.

— Nie mogę przecież zostawić ojca w takiej chwili.

— Sądziś, że go odnajdziesz?

— Wszystko przeze mnie.

— Nieprawda, to moja wina. Ale nie pogarszaj jeszcze sytuacji, świadomie dając się schwytać w pułapkę.

200

Leah bez przerwy szarpała nerwowo kosmyk włosów i rozglądała się na boki.

— Więc co mam robić?

— Jedź do Nowego Orleanu. Zadzwoń do Sandy'ego, kiedy dotrzesz na miejsce. Ja się przez ten czas zastanowię.

Kupiła bilet, przeszła do poczekalni, usiadła w najdalszym kącie, oparła głowę o ścianę i ukryła twarz za rozpostartą gazetą. Bez przerwy myślała o swoim ojcu oraz cierpieniach, jakie może w tej chwili przeżywać. Obaj mężczyźni, których kochała, zostali uprowadzeni przez tych samych ludzi, przy czym Patrick do tej pory leżał w szpitalu z powodu odniesionych ran. A przecież ojciec był o wiele starszy i nie tak silny jak Lanigan. W dodatku musiał cierpieć z jej powodu, ona zaś nie mogła mu w żaden sposób pomóc.

Po całym dniu poszukiwań policjant z drogówki dwadzieścia minut po dwudziestej drugiej odnalazł wreszcie samochód Lance'a na parkingu przed „Grand Casino”. Zgodnie z rozkazami zatrzymał podejrzanego i powiadomił centralę.

Kiedy Sweeney przybył na plac przed jasno oświetlonym lokalem Burger Kinga, policjant rozmawiał z Lance'em na tylnym siedzeniu wozu patrolowego.

Szeryf bez ogródek zapytał, jak idą obecnie interesy w handlu narkotykami.

Maxa bez mrugnięcia okiem odparł, że dobrze.

— A jak się miewa Trudy? — mruknął Sweeney, przesuwając w wargach wykałaczkę.

Można było wyczuć, że ci dwaj rywalizują ze sobą o zachowanie stoickiego spokoju. Lance, czując chyba, że przegrywa w tej walce, wcisnął na nos wielkie ciemne okulary.

— Doskonale. A jak pańska kobieta?

— Mieszkam sam. Posłuchaj Lance. Dotarły do nas niepokojące informacje, że szukasz na czarnym rynku płatnego zabójcy.

— To stek bzdur. Oszczerstwa.

— Sądzę jednak, że nie. Twój kumple są dokładnie tacy sami jak ty, Lance. Albo przebywają na

zwolnieniu warunkowym, albo się bardzo starają, żeby znów wyłądownąć w pace. Same szumowiny, nic więcej. Zawsze szukają kłopotów, nigdy nie pomyślą o uczciwym zarobieniu choćby jednego dolara. Ale są tacy, którzy nadstawiają ucha plotkom, a potem gonią czym prędzej, żeby przekazać informacje federalnym. Mają nadzieję, że to ich uchroni od kolejnego wyroku.

— To miło z ich strony. Też bym tak postępował na ich miejscu.

— Stąd też wiemy, że masz sporo forsy od kobiety, której grozi utrata wszystkiego, a jej problemom zaradziłoby szybkie pozbycie się Lanigana.

— Kogo?

— Ty zaś wzięłaś na siebie czarną robotę. Lecz zarówno my, jak i federalni obserwujemy cię uważnie, podobnie jak twoją kobietę, i z uwagą zbieramy wszelkie-201

kie plotki. Jak tylko zrobisz fałszywy krok, zgarniemy cię. I ty i Trudy znajdziecie się w znacznie gorszych opałach niż te, w które wpakował się Lanigan.

— I co? Mam się już bać?

— Jeśli masz choć trochę oleju we łbie, to powinieneś się bać.

— Świetnie. Czy teraz mogę już iść?

— Droga wolna.

Policjant z patrolu otworzył drzwi i odprowadził Lance'a do jego samochodu.

W tym samym czasie agent Cutter zapukał do domu Trudy, mając nadzieję, że wyciągnie ją z łóżka. Przez dłuższy czas siedział w pobliskiej kawiarni „Fairho-pe”, czekając na wiadomość o zatrzymaniu Lance'a.

Trudy jednak nie spała. Założyła łańcuch, odsunęła zasuwę i wyjrzała przez szczelinę.

— Czego pan chce? — warknęła, zanim Cutter zdążył pokazać swoją odznakę i rzucić magiczne: „FBI”. Od razu go rozpoznała.

— Czy mogę wejść na chwilę?

— Nie.

— Lance został aresztowany. Sądzę, że jednak powinniśmy porozmawiać.

— Co takiego?!

— Ujęła go policja z Biloxi.

Trudy szybko zdjęła łańcuch, otworzyła drzwi i wpuściła agenta do środka.

Przez parę sekund stali naprzeciw siebie w holu, mierząc się wzrokiem. Cutter miał jednak powody do radości.

— Co on narozrabiał? — spytała w końcu.

— Nic takiego. Pewnie wkrótce zostanie zwolniony.

— Zadzwonię do swojego adwokata.

— Proszę bardzo, ale wcześniej chciałbym pani coś powiedzieć. Otrzymali-

śmy wiadomość z pewnego źródła, że Lance usiłuje nająć płatnego zabójcę do usunięcia pani męża, Patricka Lanigana.

— Niemożliwe!

Błyskawicznie zakryła usta dłonią. Tak doskonale udawała zaskoczenie, że pewnie by się na to nabrał, gdyby nie znał prawdy.

— Niestety, tak. Pani również może być zamieszana w tę sprawę. Ostatecznie to pani majątek Lance próbuje ratować, rodzą się więc uzasadnione podejrzenia, że oboje działacie w zмовie. Jeśli cokolwiek się stanie Laniganowi, od razu przyjdziemy po panią.

— Przecież ja nic nie zrobiłam!

— Jeszcze nie. Będziemy uważnie obserwowali was oboje, pani Lanigan.

— Proszę mnie tak nie nazywać!

— Przepraszam.

202

Odwrócił się i szybko wyszedł, zostawiwszy ją osłupiałą w holu.

Dochodziła już północ, kiedy Sandy zajechał na parking przy ulicy Canal, wysiadł i poszedł ulicą Decatur w głąb dzielnicy francuskiej. Miał świeżo w pamięci ostatnie pouczenia swego klienta dotyczące środków bezpieczeństwa, szczególnie istotnych podczas spotkań z Pires. Tylko Sandy mógł doprowadzić prześladowców do dziewczyny, toteż musiał zachować maksymalną ostrożność.

— Ona jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, Sandy — tłumaczył mu przed godziną Patrick. — Ostrożności nigdy za wiele.

Dlatego też McDermott okrążył grupę budynków aż trzy razy, żeby się upewnić, czy nikt go nie śledzi. Następnie wszedł do baru, zamówił wodę sodową i są-

czył ją parę minut, obserwując przez okno ulicę. Dopiero później prześliznął się do foyer hotelu „Royal Sonesta”, lecz i tu wmieszał się w grupę turystów, żeby w pewnej chwili niepostrzeżenie wskoczyć do windy. Wreszcie zapukał do pokoju na drugim piętrze. Leah wpuściła go do środka i szybko zamknęła za nim drzwi na klucz.

Niezbyt go zdziwiło, że wygląda na przemęczoną i zmartwioną.

— Przykro mi z powodu twojego ojca — rzekł. — Masz jakieś nowe wiadomości?

— Nie. Przecież leciałam samolotem.

Zauważył stojącą na telewizorze tacę z dzbankiem parującej kawy. Podeszedł tam, nalał jej trochę do plastikowego kubeczka, wrzucił kostkę cukru i zaczął powoli mieszać.

— Patrick powiedział mi o wszystkim. Kim są porywacze?

— Tam jest cała dokumentacja — odparła, wskazując leżącą na stoliku następną kartonową teczkę.
— Siadaj.

Zaczekał, aż ona przysiadzie na krawędzi łóżka, po czym zajął miejsce przy stole i postawił przed sobą kubeczek. Nie spieszył się, czuł, że nadeszła pora na szersze wyjaśnienia. Jakby czytając w jego myślach, Leah zaczęła:

— Spotkaliśmy się przed dwoma laty, w roku tysiąc dziewięćset dziewięć-

dziesiątym czwartym, w Rio, zaraz po jego operacji plastycznej. Patrick przedstawił się jako kanadyjski biznesmen poszukujący doradcy prawnego w sprawach handlu zagranicznego. W rzeczywistości zależało mu głównie na jakiejś bliższej znajomości. Przyjaciółmi byliśmy jednak tylko przez dwa dni, potem nawiązał

się romans. Opowiedział mi o sobie wszystko, niczego nie ukrywał. W perfekcyjny sposób zerwał z wcześniejszym życiem, miał bardzo dużo pieniędzy, ale jego przeszłość nie dawała mu spokoju. Bardzo chciał się dowiedzieć, kto prowadzi poszukiwania i do jakiego stopnia depcze mu po piętach. W sierpniu dziewięćdziesiątego czwartego roku przyleciałam do Stanów Zjednoczonych i zgłosiłam się do prywatnej firmy ochroniarskiej z Atlanty, noszącej tajemniczą nazwę Pluto Gro-203

up, ale zatrudniającej byłych specjalistów z FBI. Patrick współpracował z tą firmą przed swoim zniknięciem. Przedstawiłam się fałszywym nazwiskiem, powiedzia-

łam, że pochodzę z Hiszpanii i chciałabym zdobyć wszelkie dostępne informacje dotyczące poszukiwań Patricka Lanigana. Zapłaciłam za nie pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Właściciele firmy wysłali agentów do Biloxi, ci zaś na początku nawią-

zali kontakt ze współnikami Patricka z kancelarii adwokackiej. Napomknęli, że dysponują pewnymi

wiadomościami na temat miejsca pobytu Lanigana, i prawnicy natychmiast potajemnie skierowali ich do waszyngtońskiego prywatnego detektywa o nazwisku Jack Stephano. Okazało się, że prowadzi on bardzo drogą firmę, specjalizującą się w szpiegostwie przemysłowym oraz poszukiwaniu zaginionych osób. Agenci spotkali się z nim w Waszyngtonie, ten jednak był bardzo tajemniczy i nie chciał niczego ujawnić. Dał jednak wyraźnie do zrozumienia, że rzeczywiście zajmuje się poszukiwaniem Lanigana. Specjaliści z Pluto Group rozmawiali z nim parokrotnie, aż w końcu osiągnęli porozumienie. Zaproponowali mu sprzedaż własnych informacji, a Stephano zgodził się zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeśli rzeczywiście te fakty pomogą mu wpaść na trop Patricka.

W trakcie owych negocjacji wyszło na jaw, że Stephano jest dogłębnie przekonany, iż Lanigan osiadł gdzieś w Brazylii. Co zrozumiałe, ta wiadomość przeraziła zarówno Patricka, jak i mnie.

— Wtedy po raz pierwszy się dowiedzieliście, że poszukiwania są prowadzone na terenie Brazylii?

— Tak. Patrick przebywał tam już ponad dwa lata. Kiedy wprowadzał mnie w swoją tajemnicę, nie miał jeszcze pojęcia, że prześladowcy tak bardzo zawęzi-li obszar poszukiwań. Dlatego wiadomość o zainteresowaniu Stephano Brazylią była dla nas prawdziwym szokiem.

— Dlaczego natychmiast nie przeniósł się gdzie indziej?

— Z różnych powodów. Wielokrotnie się nad tym zastanawiał, rozmawiali-

śmy na ten temat godzinami. Byłam gotowa wyjechać razem z nim. Ostatecznie jednak podjął decyzję, że przeniesie się tylko do jakiegoś małego miasteczka na prowincji. Miał pewność, że da sobie radę, dobrze znał język, umiał się dogadać z ludźmi, wiedział, gdzie szukać odpowiedniej kryjówki. Poza tym nie chciał, abym rzuciła dom i pracę. Teraz żałuję, że nie wyjechaliśmy razem do Chin czy gdziekolwiek indziej.

— Może ty nie wytrzymałabyś takiego życia.

— Niewykluczone. W każdym razie pozostałam w kontakcie z Pluto Group.

Zleciłam firmie możliwie najdokładniejsze śledzenie poczynąń Stephano i jego ludzi. Ci porozumieli się też z klientem Stephano, Bennym Aricią, przedstawiając mu tę samą bajeczkę o informacjach dotyczących Patricka, jak również z przedstawicielami obydwu zaangażowanych w poszukiwania towarzystw ubezpieczeniowych. Wówczas wyszło na jaw, że całą akcją kieruje właśnie Stephano. Latałam do Stanów co trzy lub cztery miesiące, zawsze przez Europę, po czym przywozi-

łam najświeższe wiadomości o postępach śledztwa.

— Jak ostatecznie Stephano go znalazł?

— Tego nie mogę ci teraz ujawnić. Zapytaj Patricka.

Jak zwykle najważniejsze elementy wyjaśnień kwitowane były milczeniem.

Sandy w zamyśleniu odstawił kubeczek po kawie na podłogę obok krzesła. Było-by mu znacznie

łatwiej prowadzić sprawę, gdyby został wprowadzony we wszystkie szczegóły, gdyby tych dwoje zechciało opowiedzieć mu całą historię, od początku do końca, by w ten sposób mógł łatwiej ocenić, co ich czeka w najbliższej przyszłości. Miał coraz silniejsze przeczucie, że Patrick i Leah wcale nie potrzebują jego pomocy.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że Lanigan wiedział, jakim sposobem Stephano wpadł na jego trop.

Sandy sięgnął po leżącą na stoliku teczkę z dokumentami.

— To materiały dotyczące ludzi, którzy porwali mojego ojca.

— Czyli agentów Stephano?

— Tak. Jestem jedyną osobą mającą dostęp do pieniędzy Lanigana. Porwanie to pułapka zastawiona na mnie.

— Skąd Stephano dowiedział się o twoim istnieniu?

— Patrick musiał mu powiedzieć.

— Patrick?

— Oczywiście. Nie widziałeś, jak go poparzyli?

Sandy wstał i zaczął chodzić po pokoju, pragnąc uporządkować myśli.

— W takim razie dlaczego Patrick nie zdradził również, gdzie są pieniądze?

— Ponieważ tego nie wiedział.

— Zostawił je całkowicie w twoich rękach?

— Mniej więcej. Przekazał mi kontrolę nad inwestycjami. To z ich powodu jestem teraz poszukiwana, a mój ojciec został uprowadzony.

— I co ja miałbym do zrobienia w tej kwestii?

Leah otworzyła szufladę nocnego stolika i wyjęła drugą teczkę, znacznie cieńszą.

— Oto dokumenty na temat prowadzonego przez FBI śledztwa w sprawie Patricka. Co rozumiałe, niewiele zdołaliśmy się dowiedzieć. Dochodzeniem kieruje agent o nazwisku Cutter, rezydujący w Biloxi. Kiedy tylko zyskałam pewność, że Patricka schwytano, zadzwoniłam właśnie do Cuttera. Zapewne ocaliłam mu w ten sposób życie.

— Zaraz, chwileczkę. Zaczynam się gubić.

— Poinformowałam Cuttera, że Lanigan został schwytany i jest przetrzymywany w nieznanym miejscu przez ludzi Jacka Stephano. Wcześniej doszliśmy do wniosku, że po uzyskaniu takiej wiadomości FBI natychmiast przyciśnie detektywa do muru i zażąda wydania poszukiwanego zbiega. Tymczasem te zbiry dzia-205

łające w Brazylii torturowały Patricka w celu uzyskania informacji. Ostatecznie jednak Stephano musiał go wydać FBI.

Sandy słuchał tego z zamkniętymi oczyma i rozdziawionymi ustami.

— I co było dalej? — zapytał.

— Dwa dni potem Stephano aresztowano w Waszyngtonie, FBI opieczętowało jego biuro.

— Skąd o tym wiesz?

— Wciąż opłacam agentów z Pluto Group. To doskonali fachowcy. Podejrzewamy, że Stephano jakoś się dogadał z FBI, ale jego ludzie potajemnie nadal mnie poszukują. Teraz zaś wprowadzili mojego ojca.

— Sądzisz, że powinienem się skontaktować z Cutterem?

— Tak. Najpierw opowiedz mu o mnie. Przedstaw mnie jako prawnika reprezentującego interesy Lanigana w Brazylii. Możesz zdradzić, że wiem o wszystkim i obecnie podejmuję za klienta decyzje. Później wprowadź go w sprawę porwania mojego ojca.

— Myślisz, że FBI znowu przyciśnie Stephano?

— Nie jestem pewna. W każdym razie nie mamy nic do stracenia.

Dochodziła pierwsza w nocy, Leah już ledwie patrzyła na oczy. Sandy pospiesznie zgarnął obie teczki i ruszył do wyjścia.

— Wkrótce będziemy musieli jeszcze porozmawiać — mruknęła na pożegnanie.

— A, owszem. Z przyjemnością dowiedziałbym się całej reszty.

— Daj nam trochę czasu.

— Nie jestem pewien, czy inni wam go dadzą.

Rozdział 26

Doktor Hayani zawsze rozpoczynał poranny obchód punktualnie o siódmej.

Pamiętając, że Patrick cierpi na bezsenność, ostrożnie zaglądał do izolatki, lecz jego pacjent o tej porze zazwyczaj spał, dopiero później relacjonował mu swoje nocne przeżycia. Ale tego ranka zastał

go siedzącego na krześle przy oknie.

Lanigan był w samych spodenkach. Tkwił nieruchomo z nosem przytkniętym do listewek żaluzji. Na pewno nie wyglądał na zewnątrz, bo przez zamknięte żaluzje nie mógł niczego zobaczyć. Na stoliku przy łóżku paliła się nocna lampka.

— Wszystko w porządku, Patricku? — zapytał Hayani, wchodząc dalej.

Nie było odpowiedzi. Doktor zerknął na drugi stolik w kącie izolatki, gdzie Lanigan śleczął nad papierami. Nic nie leżało na wierzchu, ani jedna książka, ani jeden dokument.

— Tak, nic mi nie jest, doktorze — odezwał się tamten w końcu.

— Spałeś choć trochę?

— Nie. Nawet nie zmrużyłem oka.

— Naprawdę nic ci nie grozi, Patricku. Słońce już wstało.

Nie odpowiedział. Wciąż siedział nieruchomo. Po chwili Hayani wyszedł na korytarz, zostawiając Lanigana w dziwnym letargu, zaciskającego kurczowo palce na poręczy krzesła.

Patrick zwrócił uwagę na dobiegające z korytarza głosy: to Hayani zamienił

kilka słów ze znudzonymi strażnikami. Później rozległy się odgłosy krzątania pielęgniarek i salowych. Roznoszono śniadanie. Jemu prawie wcale nie dokuczał

głód, po czterech latach ścisłej diety rzadko odczuwał łaknienie. Gdy zgłodniał, najczęściej zadowalał się jabłkiem bądź kawałkiem surowej marchewki. Na początku pielęgniarki wzięły sobie do serca konieczność odżywienia wychudzonego pacjenta, ale Hayani stanowczo zaordynował dietę niskotłuszczową i bezcukrową, złożoną głównie z pieczywa i gotowanych jarzyn.

Po pewnym czasie Patrick wstał z krzesła i podszedł do drzwi. Uchylił je i przywitał się uprzejmie z Pete'em oraz Eddiem, dwoma znanymi mu już z imienia funkcjonariuszami biura szeryfa.

— Dobrze pan spał? — zapytał Eddie, jakby odprawiał codzienny rytuał.

207

— Tak, dziękuję, Eddie — odparł Patrick, także wczuwając się w rolę.

W głębi korytarza, na ławeczce przy drzwiach windy, siedział Brent Myers, ten sam agent federalny, który go eskortował z Portoryko. Lanigan skinął mu głową z daleka, lecz Myers nie zauważył tego, pochłonięty lekturą gazety.

Patrick cofnął się do izolatki i jak zwykle rozpoczął gimnastykę od lekkich przysiadów. Teraz już rzadko chwyciły go kurcze, choć mięśnie wciąż miał zeszywniałe, a poraniona skóra dawała się we

znaki. Nieco trudniejsze ćwiczenia, nawet zwykłe pompki, nadal przekraczały jego możliwości.

Rozległo się pukanie, do środka wkroczyła pielęgniarka.

— Dzień dobry, Patricku. Pora na śniadanie — zaszcebiotała radośnie, stawiając tacę na stoliku. — Jak minęła noc?

— Wspaniale. A tobie?

— Cudownie. Nie trzeba ci niczego przynieść?

— Nie, dziękuję.

— Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebował.

Wszystkie poranki były do siebie podobne jak dwie krople wody. Szpitalna rutyna obrzydła Laniganowi, nie zapominał jednak o tym, że mógł trafić znacznie gorzej. W więzieniu okręgowym śniadania podawano na blaszanych tacach, które strażnicy wsuwali do cel przez wąską szczelinę między prętami krat. Zjadać je trzeba było pod czujnym okiem współwięźniów, ci zaś często zmieniali się z dnia na dzień.

Nalał sobie kawy i przeszedł do prowizorycznego biura urządzonego w kącie izolatki. Włączył lampkę, wyciągnął notatnik i popatrzył na swoje dotychczasowe zapiski.

Przebywał w Biloxi od tygodnia. Jego wcześniejsze życie zakończyło się nie-odwoalnie trzynaście dni temu na wąskiej drodze za miastem, oddalonej o tysiące kilometrów od tego szpitala. Tęsknił za Danilo, senorem Silva, który wiódł spokojny żywot w przytulnym domku i do którego gospodyni zwracała się w śpiewnym języku portugalskim, silnie naznaczonym akcentem jej indiańskich przodków. Marzył o długich spacerach wypalonymi słońcem ulicami Ponta Pora oraz joggingu trasą wiodącą wśród pastwisk i pól uprawnych, o rozmowach ze starcami odpoczywającymi w cieniu drzew i sączącymi zieloną herbatę, gotowymi opowiedzieć o swoich losach każdemu, kto zechciałby ich wysłuchać. Brakowało mu nawet zgiełku wypełniającego targowisko na rynku.

Pragnął wrócić do Brazylii, ojczyzny Danilo Silvy, tego gigantycznego, pięknego kraju szokującego swoimi kontrastami, pełnego zadymionych miast i ospa-

łych wiosek — kraju ludzi o nadzwyczaj łagodnym charakterze. Tęsknił też do swojej kochanej Evy, do jej delikatnej skóry, ujmującego śmiechu, dobroci serca i typowo latynoskiej fantazji. Nie wyobrażał sobie życia bez niej.

Zastanawiał się, dlaczego człowiek może mieć tylko jedno życie, na mocy jakiego prawa nie wolno mu zacząć od początku. Ostatecznie Patrick nie żył już 208

od dawna, to Danilo musiał cierpieć za jego grzechy.

Szczęśliwie udało mu się przetrwać śmierć tego pierwszego i cierpienia drugiego. Czemu zatem nie miałby myśleć o kolejnej ucieczce? Kusiło go, aby rozpocząć po raz trzeci, już bez udręki, która

zdominowała jego pierwsze wciele-nie, i bez cieni prześladowających go w drugim. Byłoby wspaniale zacząć od nowa u boku Evy. Znów mogliby być razem, tylko we dwoje, tak długo, dopóki nie dopadłyby ich upiory z przeszłości. Zamieszkaliby w pięknym, wielkim domu i rozmnażali się jak króliki.

Eva była bardzo wytrzymała, lecz i jej odporność miała granice, jak u każdego człowieka. Bardzo kochała swego ojca, a perspektywa powrotu do domu musiała ją kusić jeszcze bardziej niż jego. W końcu żaden „carioca” nigdy nie zapomina o swoim rodzinnym mieście, które uważa za specjalny dar Wszechmocnego.

To on naraził Evę na niebezpieczeństwo i on powinien teraz uczynić wszystko, aby ją uchronić.

Nie wiedział tylko, czy da radę uczynić to jeszcze raz, czy też szczęście opu-
ściło go na zawsze.

Cutter niechętnie zgodził się na spotkanie o ósmej, a uczynił to jedynie z tego powodu, że McDermott usilnie nalegał. O tej porze w budynku służb federalnych panował jeszcze spokój, kręcili się tylko nieliczni urzędnicy. Tłum pracowników miał zapełnić korytarze dopiero przed dziewiątą.

Nie należał do ludzi szorstkich, ale i nie był nazbyt uprzejmy, a to dlatego, że rozmowy z przebiegłymi adwokatami zawsze wprawiały go w zły humor. Niemniej przyniósł dwa plastikowe kubeczki służbowej kawy i zgarnął nieco papierzyska porozrzucane na biurku.

Sandy podziękował mu serdecznie za znalezienie dla niego paru minut, co troszeczkę uspokoiło Cuttera.

— Czy pamięta pan anonimowy telefon w sprawie Lanigana, który odebrał pan przed dwoma tygodniami? — zapytał Sandy. — Od pewnej damy z Brazylii.

— Tak, oczywiście.

— Otóż spotkałem się z nią kilkakrotnie. Jest doradcą prawnym Patricka Lanigana.

— Przebywa w Stanach?

— Krąży po okolicy.

Sandy podmuchał energicznie w silnie parujący płyn, po czym odważył się pociągnąć maleńki łyceczek. Przedstawił pokrótce wszystko, co wiedział o tajemniczej Latynosce, ani razu nie wymieniając jej imienia. Wreszcie zapytał, jak się posuwa śledztwo w sprawie Jacka Stephano.

Cutter natychmiast zrobił się podejrzliwy. Udawał, że coś zapisuje w notatniku, próbując jednocześnie uporządkować w myślach różne fakty.

— A skąd pan wie o Stephano?

— Od mojej informatorki, wspomnianej Brazylijki. Ona wie o nim chyba wszystko. Proszę nie zapominać, że to właśnie ona podała panu nazwisko detektywa przez telefon.

— A skąd ona się dowiedziała?

— To bardzo długa i złożona historia, z której nawet ja nie znam wielu szczegółów.

— Czemu więc podejmuje pan ten temat?

— Ponieważ ludzie Stephano nadal prowadzą dochodzenie w sprawie mojego klienta, chciałbym więc ich powstrzymać.

Cutter znów sięgnął po długopis, pociągnąwszy łyk kawy. Starał się pospiesznie stworzyć schemat ukazujący, kto kogo i o czym poinformował. Dostyc dokładnie znał treść zeznań składanych przez Stephano w Waszyngtonie, ale i te zawierały sporo luk. Niemniej zakładano do tej pory, że detektyw ostatecznie zakończył

poszukiwania.

— A o tym skąd się pan dowiedział?

— Działający w Brazylii ludzie Stephano porwali ojca mojej informatorki.

Cutter przekrzywił głowę i na parę sekund zastygł z rozdziawionymi ustami.

Wreszcie skierował wzrok na sufit, jakby szukał tam klucza do zagadki. Ale niektóre rzeczy świetnie do siebie pasowały.

— Czy to możliwe, żeby ta prawniczka z Brazylii wiedziała, gdzie są pieniądze?

— Niewykluczone.

Zatem sprawa była jasna.

— Porwanie jej ojca ma ją zmusić do powrotu do Brazylii — ciągnął McDermott — gdzie czeka ją zapewne taki sam los, takie samo przesłuchanie, jakie spotkało Patricka. Chodzi wyłącznie o pieniądze.

— Kiedy nastąpiło to porwanie? — zapytał Cutter mimowolnie podniesionym tonem.

— Wczoraj.

Dwie godziny wcześniej, z samego rana, jeden z aplikantów w biurze Sandy'ego odnalazł

doniesienie prasowe za pośrednictwem sieci Internet. Krótka relacja została zamieszczona na szóstej stronie „O Globo”, popularnego dziennika z Rio de Janeiro. Ofiarą uprowadzenia był niejaki Paulo Miranda. Sandy do tej pory nie znał prawdziwych personaliów Pires, wyszedł jednak z założenia, że skoro ma wprowadzić FBI w sprawę porwania, to agenci wcześniej czy później muszą poznać jej nazwisko. Gotów był nawet teraz przytoczyć jej imię, tyle że sam go nie znał.

— Niewiele jednak możemy zrobić w tej sprawie — oznajmił Cutter.

— I tu się pan myli. Za uprowadzeniem stoi Stephano, wystarczy go więc trochę bardziej przycisnąć. Proszę mu przekazać, że moja informatorka nie za-210

mierza dać się schwytać w tę żalostną pułapkę. Może za to przedstawić władzom brazylijskim szczegółowe dossier detektywa Jacka Stephano.

— Zobaczę, co się da zrobić.

Cutter miał w pamięci, że to właśnie McDermott wystąpił do sądu o wielomilionowe odszkodowanie od biura federalnego za przewinienia, których dopuścili się inni. Wolał jednak nie rozmawiać w tej chwili na temat pozwu. Ta sprawa mogła jeszcze zaczekać.

— Stephano nie dba o nic oprócz pieniędzy — dodał Sandy. — Jeśli porwanemu Brazylijczykowi cokolwiek się stanie, nigdy nie odzyska nawet jednego centa ze skradzionej sumy.

— Chce pan dać do zrozumienia, że w tej kwestii mogłoby dojść do negocjacji?

— To pana dziwi? Mojemu klientowi grozi wyrok śmierci. W takiej sytuacji każdy byłby gotów pójść na ugodę.

— Zatem co mam powiedzieć Stephano?

— Żeby natychmiast uwolnił porwanego człowieka, a wówczas będziemy mogli zacząć rozmawiać w sprawie zwrotu pieniędzy.

Dzień Stephano zaczął się wcześniej niż zwykle. Czwarte już przesłuchanie w sprawie poszukiwań Patricka Lanigana miało być ostatnie, toteż zaplanowano je aż do późnego wieczoru. Jego adwokat był tym razem nieobecny, gdyż musiał

się stawić w sądzie. Detektyw zresztą wcale nie potrzebował jego pomocy, a poza tym doskwierała mu świadomość, że musi płacić tamtemu po czterysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Pojawił się też nowy agent o nazwisku Oliver. Dla niego nie miało to jednak większego znaczenia, wszyscy funkcjonariusze biura zachowywali się identycznie.

— Mówił pan o informacjach uzyskanych od chirurga plastycznego — rzucił

agent, jakby przed pięcioma minutami przerwał im rozmowę dzwonek telefonu.

Nigdy wcześniej się nie spotkali, natomiast Jack skończył swą relację ponad trzynaście godzin temu.

— Zgadza się.

— Było to w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku?

— Tak.

— Proszę mówić dalej.

Stephano usadowił się wygodniej na krześle.

— Przez pewien czas te informacje na niewiele się zdały. Mówiąc szczerze, trwało to nawet dość długo. Mimo naszych starań przez wiele miesięcy poszukiwania nie przynosiły rezultatu. Dopiero pod koniec dziewięćdziesiątego czwartego roku skontaktowali się z nami agenci firmy dochodzeniowej z Atlanty, noszącej nazwę Pluto Group.

211

— Pluto?

— Zgadza się. Między sobą nazywaliśmy ich chłopcami z Plutona. To dobrzy fachowcy, większość pracowała wcześniej w waszym biurze. Zaczęli wypytywać o tok poszukiwań Lanigana, dając do zrozumienia, że mogą nam dostarczyć pewnych wskazówek. Mieli jakiegoś tajemniczego klienta, który podobno sporo wiedział o Laniganiu. Co zrozumiałe, wzbudziło to nasze zainteresowanie. Oni jednak przeciągali sprawę, bo ich klient jakoby wciąż się wahał. Jak należało oczekiwać, zażądał w końcu sporej sumy za swoje informacje. Mnie osobiście ta propozycja bardzo podniosła na duchu.

— Dlaczego?

— Skoro ich klient chciał uzyskać znaczną nagrodę, to musiał wiedzieć, że Lanigan wciąż dysponuje skradzionymi pieniędzmi. Dopiero w lipcu ubiegłego roku chłopcy z Plutona zdołali uzgodnić warunki umowy. Zapytali, czy nie chciał-

bym uzyskać adresu, pod jakim ostatnio mieszkał Lanigan. Pewnie, że chciałem.

Zaproponowali, że sprzedadzą mi tę wiadomość za pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Zgodziłem się. Byłem już zdesperowany. Wystawiłem polecenie przelewu na podany mi numer konta w banku panamskim i w zamian zostałem skierowany do Itajaí, małego miasteczka w stanie Santa Catarina, daleko na południu Brazylii. Pod wskazanym adresem, w nowej, eleganckiej dzielnicy, stał niewielki blok mieszkalny. Dozorca okazał się nadzwyczaj rozmowny, zwłaszcza że dostał w łapę. Pokazaliśmy mu portret pamięciowy Lanigana, on zaś odparł, że nie jest pewien. Ale kiedy dostał jeszcze więcej, na sto procent zidentyfikował zbiega, który mieszkał

tam jako Johan Horst, Niemiec, ale zdaniem dozorca biegle posługiwał się portugalskim.

Wynajęliśmy po sąsiedzku trzypokojowe mieszkanie na dwa miesiące, zapłaciwszy gotówką, i podjęliśmy obserwację. Dowiedzieliśmy się, że Horst był

bardzo przyjacielski, lubił wpadać na kawę do dozorcey i jego żony. Ona także rozpoznała oszusta na podstawie portretu pamięciowego. Ujawniła, że tajemniczy lokator przedstawił się jako pisarz i podróżnik, pracujący obecnie nad książką opisującą dzieje niemieckich i włoskich emigrantów w Brazylii. Kiedy wyjeżdżał

po raz ostatni, oświadczył, że wybiera się do Blumenau, żeby obejrzeć tamtejsze przykłady architektury bawarskiej.

— Pojechaliście do Blumenau?

— Ma się rozumieć. I to natychmiast. Tam również podjęliśmy obserwację, ale po dwóch miesiącach kazałem wycofać ludzi. Minęła początkowa ekscytacja, znów zaczęło się żmudne sprawdzanie hoteli, obserwowanie targowisk, pokazywanie ludziom portretów pamięciowych i proponowanie nagrody pieniężnej.

— A co na to chłopcy z Plutona, jak ich ochrzciliście?

— Wyraźnie wzięli na wstrzymanie. Próbowałem ich trochę przycisnąć, lecz w ogóle nie chcieli rozmawiać. Doszedłem do wniosku, że albo ich klient się przestraszył, albo też całkowicie go usatysfakcjonowało owe pięćdziesiąt tysięcy.

W każdym razie przez pół roku nie mieliśmy żadnej informacji z Pluto Group.

212

I oto pod koniec stycznia tego roku znów dali o sobie znać. Widocznie ich klient potrzebował forsy i zdecydował się dokończyć pertraktacji. Wstępne rozmowy trwały przez kilka dni, aż w końcu ujawnili bombę, że za milion dolarów dostaniemy aktualny adres faceta. Początkowo się nie zgodziłem. Nawet nie chodzi-

ło już o pieniądze, ale o to, że transakcja wydawała mi się zbyt ryzykowna. Ich klient w ogóle nie chciał rozmawiać, dopóki nie dostanie forsy, a ja nie zamierzałem płacić w ciemno. Zresztą nie było wcale pewne, czy i te informacje okażą się prawdziwe. W dodatku podejrzewałem, iż w rzeczywistości nie istnieje żaden tajemniczy klient. Dlatego też pertraktacje zostały zerwane.

— Ostatecznie jednak doszliście do porozumienia?

— Tak. Nie było innego wyjścia. Ich klientowi zależało na forsie, my chcieli-

śmy dopaść Lanigana. Zaproponowali nam kolejną transakcję, ujawnienie kolejnego miejsca pobytu zbiega po wyjeździe z Itajaí, za następne pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Przystaliśmy na to ze względu na niską cenę, a poza tym mieliśmy nadzieję, że tym razem natrafimy na jakiś konkretny trop. Oni natomiast chcieli w ten sposób udowodnić wiarygodność swojego klienta. Co rozumiały, pragnęli krok po kroku zbliżyć się do miliona dolarów. Chłopcy z Plutona rozgrywali sprawę po mistrzowsku, wykorzystując naszą desperację. Byłem gotów wypłacić im ten milion, pragnąłem jedynie zdobyć jakiegokolwiek zabezpieczenie.

— Do którego miasta się przenieśliście?

— Do Sao Mateus w stanie Espírito Santo, na wybrzeżu, na północ od Rio. To urocze, sześćdziesięcioletnie miasteczko. Ludzie są tam nadzwyczaj życzliwi.

Przez miesiąc kręciliśmy się w kółko, pokazując portrety pamięciowe. Lanigan wynajmował mieszkanie na podobnych warunkach jak w Itajaí: zapłacił gotówką za dwa miesiące z góry i zameldował się jako Derrick Boone, Brytyjczyk. Nawet bez łapówki dozorca bloku od razu rozpoznał go na portrecie. Miał z nim mały zatarg, gdyż Boone pozostał w mieszkaniu o tydzień dłużej i ociągał się z dodatkową zapłatą. Zachowywał się zresztą zupełnie inaczej niż w Itajaí, był tajemniczy i małomówny, toteż dozorca niewiele umiał o nim powiedzieć. Nie trafiliśmy na żaden inny ślad, toteż na początku marca wyjechaliśmy z Sao Mateus, wróciliśmy do Rio oraz Sao Paulo i zaczęliśmy snuć dalsze plany.

— Jakie?

— Postanowiliśmy wycofać ludzi z północy Brazylii i skoncentrować się na mniejszych miasteczkach w okolicach Rio i Sao Paulo. Tu, w Waszyngtonie, zacząłem coraz bardziej naciskać chłopców z Plutona. Twardo obstawali przy milionie dolarów. Mój klient nie chciał wyłożyć forszy bez zabezpieczenia. Powstała sytuacja patowa, chociaż obu stronom zależało na dobiegu targu.

— Czy zdołaliście się dowiedzieć, skąd klient Pluto Group tak dobrze znał posunięcia Lanigana?

— Nie. Godzinami łamaliśmy sobie nad tym głowę. Według jednej hipotezy miał to być detektyw, który z jakichś powodów na własną rękę ścigał zbiega. Po-213

dejrzewaliśmy nawet, że chodzi o agenta FBI mającego dostęp do waszych materiałów, pragnącego uszczknąć coś dla siebie. Hipoteza była szyta grubymi nićmi, ale szukaliśmy wszelkich możliwych wyjaśnień. Oczywiście najbardziej prawdopodobne wydawało się to, że ktoś z najbliższych znajomych i zaufanych Lanigana postanowił go sprzedać. W każdym razie doszliśmy razem z moim klientem do wniosku, iż nie wolno przepuścić takiej okazji. Poszukiwania ciągnęły się już cztery lata i końca nadal nie było widać. Przekonaliśmy się aż nadto dobitnie, że w Brazylii są wręcz miliony wymarzonych kryjówek, a Lanigan doskonale wie, jak to wykorzystać.

— Ale sytuacja patowa w negocjacjach została w końcu przełamana?

— Owszem. W sierpniu dostaliśmy kolejną propozycję, kupno aktualnych zdjęć Lanigana za następne pięćdziesiąt tysięcy. Natychmiast się zgodziliśmy.

Chłopcy z Plutona przekazali fotografie w moim waszyngtońskim biurze. Były to trzy czarno-białe odbitki. . .

— Czy mógłbym je zobaczyć?

— Oczywiście.

Stephano błyskawicznie odnalazł zdjęcia w teczce z dokumentami i pchnął

je po stole. Pierwsze ukazywało Patricka na zatłoczonym targowisku, zostało zrobione z dość dużej odległości. Nosił ciemne okulary i trzymał w dłoni coś okrągłego-go, zapewne pomidora. Drugie wykonano prawdopodobnie kilka minut później, gdyż Lanigan szedł po chodniku, niosąc siatkę z zakupami. Był w bawełnianej koszulce i dżinsach, nie odróżniał się specjalnie wyglądem od Brazylijczyków.

Trzecie zdjęcie okazało się najciekawsze. Patrick, w podkoszulku i szortach, mył

czerwonego volkswagena „garbusa”. Niestety, nie dało się odczytać numerów rejestracyjnych. Z sąsiedniego domu został uchwycony jedynie sam narożnik. Za to Lanigan nie nosił okularów, fotografia przedstawiała bardzo wyraźnie rysy jego twarzy.

— Nie widać ani tabliczki z nazwą ulicy, ani numerów rejestracyjnych —

mruknął Oliver.

— No właśnie. Oglądaliśmy te zdjęcia godzinami, lecz i to nic nie dało. Jak już mówiłem, ktoś perfekcyjnie obmyślił całą sprawę.

— Co zatem zdecydowaliście?

— Zapłacić ten milion dolarów.

— Kiedy to było?

— We wrześniu. Zgodnie z instrukcjami przelaliśmy pieniądze na konto funduszu powierniczego w Genewie, robiąc jednocześnie zastrzeżenie, że mogą zostać wycofane jedynie za naszą zgodą. Według spisanej umowy ich klient miał

w ciągu piętnastu dni dostarczyć aktualny adres oraz nazwę miasta, gdzie obecnie mieszka Lanigan. No i przez piętnaście dni nerwowo obgryzaliśmy paznokcie, dopiero szesnastego dnia, po naszym ponagleniu, nadeszły obiecane informacje.

Zgodnie z nimi Lanigan mieszkał przy Rua Tiradentes w Ponta Pora. Ekipa po-214

szukiwawcza natychmiast się tam udała. Żywiliśmy olbrzymi respekt dla zbiega, postanowiliśmy więc podjąć kilkudniową obserwację. Wiadomości okazały się prawdziwe, Lanigan osiedlił się w Ponta Pora jako Danilo Silva. Przez tydzień zapoznawaliśmy się z jego trybem życia.

— Przez tydzień?

— Musieliśmy być cierpliwi, wszak istniał jakiś powód, dla którego wybrał

Ponta Pora. Dowiedzieliśmy się, że tamtejsi urzędnicy chętnie idą ludziom na ręk-

kę, jeśli dostaną swoją dolę. Po wojnie w Ponta Pora zamieszkało sporo Niemców.

Istniały zatem obawy, że gdyby Lanigan nas zauważył i powiadomił policję, znaleźlibyśmy się w nie lada kłopotach. Dlatego też ułożyliśmy szczegółowy plan i po cichu zgarnęliśmy Lanigana za miastem, na bocznej drodze, bez świadków.

Wszystko poszło jak z płatka. Wywieźliśmy go na wynajęte ranczo w Paragwaju, po drugiej stronie granicy.

— I tam poddaliście torturom?

Stephano skrzywił się niechętnie, pociągnął łyk kawy, po czym odparł:

— Można to i tak nazwać.

Rozdział 27

Patrick chodził nerwowo wzdłuż ściany udostępnionej im salki konferencyjnej, ćwicząc jednocześnie wymachy ramion. Sandy czekał cierpliwie, przygotowany do sporządzania notatek. Kilka rodzajów ciast, które pielęgniarka przyniosła im na tacy, wciąż stało nie ruszonych pośrodku stołu. Patrząc na nie, McDermott mimowolnie się zastanawiał, ilu aresztantom oskarżonym o morderstwo z premedytacją dostarczano tak smakowite wypieki. Ilu z nich mogło się spokojnie wylegiwać w szpitalnej izolatce strzeżonej przez funkcjonariuszy z biura szeryfa? Do ilu wpadał w odwiedziny sędzieja okręgowy, zamawiając po drodze pizzę z najlepszej restauracji?

— Sytuacja się zmieniła — rzekł Patrick, nie patrząc w jego stronę. — Musimy przyspieszyć bieg rzeczy.

— Jakich rzeczy?

— Leah nie może tu pozostać, dopóki jej ojciec nie odzyska wolności.

— Przyznam, że jak zwykle się gubię. Kiedy tylko któreś z was zaczyna mó-

wić własnym językiem, całkowicie tracę rezon. W końcu jestem twoim adwokatem. Naprawdę nie możesz mnie we wszystko wtajemniczyć?

— To Leah ma w swojej pieczy nagrania i dokumenty, zna też wszelkie szczegóły. Musisz z nią rozmawiać.

— Właśnie rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem.

— Teraz też na ciebie czeka.

— Naprawdę? Gdzie?

— W pewnym domku letniskowym w Perdido.

— I zapewne powinienem natychmiast wszystko rzucić i gnać tam na złamanie karku?

— To bardzo ważne, Sandy.

— Dla mnie każdy klient jest tak samo ważny — rzucił ze złością McDermott.

— Czemu sam nie chcesz mi niczego powiedzieć?

— Przykro mi, ale to niemożliwe.

— Dziś po południu muszę się stawić w sądzie, a mój syn rozgrywa mecz piłki nożnej. Czy rzeczywiście żądam zbyt wiele, prosząc o garść konkretów?

216

— Nie brałem pod uwagę możliwości porwania, Sandy. Musisz przyznać, że postawiło nas ono w dość niezwykłej sytuacji. Spróbuj mnie zrozumieć.

McDermott westchnął ciężko i zapisał coś w notesie. Patrick usiadł przy stole obok niego.

— Nie gniewaj się, Sandy.

— O czym mam z nią rozmawiać w tym domku letniskowym?

— O Aricii.

— Aha, o Aricii — powtórzył adwokat, spoglądając w bok. Niewiele wiedział o tamtej sprawie, tylko tyle, ile wyczytał w gazetach.

— To zajmie trochę czasu, więc lepiej weź ze sobą walizkę z niezbędnymi rzeczami.

— Mam rozumieć, że powinienem przenocować w tym domku?

— Owszem.

— Razem z Pires?

— Tak. To duży dom.

— To może jeszcze zaproponuj, jak mam to wytłumaczyć żonie. Sądzisz, że powiem jej wprost, iż na życzenie klienta spędzę noc w towarzystwie pięknej Brazylijki w domku przy plaży?

— A nie wystarczy, jeśli poinformujesz, że czeka cię długa narada z resztą ekipy moich obrońców?

— To brzmi nieźle.

— Dzięki, Sandy.

Po przerwie na kawę do Olivera dołączył Underhill. Usiedli ramię przy ramieniu pod kamerą wideo wycelowaną w Stephano.

— Kto kierował przesłuchaniem Patricka? — zaczął Underhill.

— Nie muszę wymieniać nazwisk moich współpracowników.

— Czy ten człowiek ma jakiegokolwiek doświadczenie w zakresie przyjmowania zeznań?

— Raczej skąpe.

— Jakich metod używaliście?

— Nie jestem pewien. . .

— Widzieliśmy na zdjęciach rany przesłuchiwanego, Stephano. I to nasze biuro federalne zostało pozwane do sądu za obrażenia cielesne zadane przez twoich ludzi. Chcielibyśmy zatem wiedzieć, jak powstały te rany.

— Nie było mnie przy tym. To nie ja kierowałem przesłuchaniem, ponieważ w ogóle się na tym nie znam. Wiem tylko tyle, że poprzez elektrody przymocowane w kilku czułych miejscach ciała poddano Lanigana szeregowi wstrząsów elektrycznych. Nie znam żadnych szczegółów. Przed opublikowaniem zdjęć nawet nie podejrzewałem, że mogą od tego powstać tak groźnie wyglądające oparzeliny.

217

Zapadło milczenie. Przez kilka sekund Oliver i Underhill patrzyli na siebie, jakby porozumiewali się wzrokiem. Na ich twarzach malował się jednak wyraz niedowierzania. Natomiast Stephano spoglądał na nich z rosnącą pogardą.

— Jak długo to trwało?

— Od pięciu do sześciu godzin.

Tamci zajrzeli do notatek i po chwili zaczęli szeptem wymieniać jakieś uwagi.

Później Underhill zadał kilka pytań dotyczących metod identyfikacji i Stephano szczegółowo opisał proces porównywania odcisków palców. Tymczasem Oliverowi nadal się coś nie zgadzało, gdyż postanowił uściślić dane i jął wypytywać, o której godzinie cała grupa dotarła na ranczo w Paragwaju, ile kilometrów mieli do przejechania i jak wyglądały początkowe fazy przesłuchania. Następnie poprosili o szczegóły podróży z rancza na lotnisko w Concepción. W dość chaotyczny sposób nawiązywali do różnych zdarzeń, w końcu powrócili do zasadniczej kwestii.

— Czy w wyniku przesłuchania dowiedzieliście się czegoś o pieniądzach skradzionych przez Lanigana?

— Niewiele. Ujawnił tylko, gdzie początkowo je ulokował i skąd później przetransferował na inne konta.

— Możemy chyba zakładać, że wyznał to. . . pod niezwykle silną presją.

— Tak. Zgadza się.

— Zyskaliście więc przeświadczenie, że nawet on nie wie, gdzie w tej chwili znajdują się pieniądze?

— Powtarzam, że nie było mnie przy tym, ale taką właśnie informację przekazał mi agent kierujący przesłuchaniem. Powiedział, że w jego przekonaniu Lanigan rzeczywiście nie ma pojęcia, gdzie obecnie są te pieniądze.

— Nie nagrywaliście przesłuchania ani na taśmie wideo, ani na magnetofonie?

— Oczywiście, że nie — odparł śmiało Stephano, jakby taka myśl wcześniej nie przyszła mu nawet do głowy.

— Czy Lanigan wymienił nazwiska osób, które mu pomagają?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo.

— Jak mamy to rozumieć?

— Dokładnie tak, jak powiedziałem.

— Niemniej twój agent kierujący przesłuchaniem musiałby usłyszeć takie nazwiska, gdyby padły z ust torturowanego?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo.

— A zatem według informacji przekazanych do Waszyngtonu Lanigan nie wymienił żadnego nazwiska?

— Zgadza się.

Obaj znów pochylili się nad notatkami i przez kilka sekund wymieniali szeptem uwagi. W zapadłej nagle ciszy Stephano czuł się coraz bardziej nieswojo.

218

Skłamał dwukrotnie, najpierw w kwestii nagrywania zeznań, później zaś w sprawie wymienionego nazwiska. Nie miał jednak najmniejszych powodów do podejrzeń. Wszak nikt z FBI nie mógł wiedzieć, jaki naprawdę efekt dało przesłuchanie w Paragwaju. Niemniej składał oficjalne zeznania wobec urzędników federalnych, musiał więc mieć się na baczności.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Hamilton Jaynes.

Tuż za nim wkroczył Warren, trzeci z agentów odbierających jego zeznania.

— Cześć, Jack — rzucił głośno Jaynes, przysuwając sobie krzesło do stolika.

Warren pospiesznie zajął miejsce obok dwóch swoich kolegów.

— Cześć, Hamilton — mruknął niepewnie Stephano, którego nagle opadły złe przeczucia.

— Przysłuchiwałem się w sąsiednim pokoju — oznajmił z uśmiechem dyrektor. — I wiesz co? Nabrałem przekonania, że usiłujecie nas wykiwać.

— Mówię prawdę.

— Tak, oczywiście. Czy słyszałeś kiedykolwiek nazwisko: Miranda?

— Miranda? — powtórzył wolno detektyw, robiąc zdziwioną minę. — Nie przypominam sobie.

— Eva Miranda jest prawniczką z Rio, bliską przyjaciółką Patricka Lanigana.

— Pierwsze słyszę.

— I to mnie właśnie zaniepokoiło, Jack, ponieważ jestem przekonany, że aż za dobrze wiesz, o kim mówię.

— Nigdy wcześniej nie słyszałem o tej kobiecie.

— Więc dlaczego usiłujesz ją odnaleźć?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — bąknął zdeprimowany Stephano.

— To kłamstwo — rzucił Underhill, zwracając się widocznie do swego szefa, chociaż ani na chwilę nie spuszczał wzroku z detektywa.

— Nie ma żadnych wątpliwości — dodał Oliver.

— Bezczelne kłamstwo — wtrącił Warren.

Detektyw kolejno przenosił wzrok z jednego na drugiego. Otworzył już usta, żeby zaprotestować, lecz Jaynes powstrzymał go ruchem ręki. Znów otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzał kolejny agent, z wyglądu doskonale uzupełniający ekipę Underhilla, Olivera i Warrena.

— Analiza brzmienia głosu wykazuje, że istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, iż przesłuchiwany kłamie — oznajmił, po czym szybko wycofał się na korytarz.

Jaynes położył przed sobą na stole jakąś kartkę.

— Oto kopia notatki, która dziś rano ukazała się w dziennikach z Rio de Janeiro. Przedstawia okoliczności uprowadzenia niejakiego Paulo Mirandy, którego córka jest bliską przyjaciółką Patricka. Uzyskaliśmy potwierdzenie tej informacji od przedstawicieli władz brazylijskich. Porywacze nie zażądali okupu, do tej pory w ogóle nie nawiązali kontaktu.

219

Popchnął kserograficzną odbitkę w stronę detektywa, lecz przytrzymał ją poza jego zasięgiem.

— A więc gdzie jest Paulo Miranda?

— Nie mam pojęcia. W ogóle nie wiem, o co tu chodzi.

Jaynes powiódł wzrokiem po twarzach trzech swoich podwładnych.

— To kłamstwo — orzekł Underhill, a Warren i Oliver aprobująco pokiwali głowami.

— Zawarliśmy umowę, Jack. Miałeś nam powiedzieć całą prawdę w zamian za wycofanie stawianych ci zarzutów. Jeśli dobrze pamiętam, zgodziliśmy się również zrezygnować z aresztowania twoich klientów. Zatem jak powinienem teraz postąpić, Jack?

Stephano popatrzył na Underhilla i Olivera, którzy przyglądali mu się uważ-

nie, gotowi po raz kolejny ocenić fachowo jego prawdomówność.

— Tylko ona zna dokładnie lokatę pieniędzy — bąknął, skruszony.

— Czy wiesz, gdzie jest teraz Eva Miranda?

— Nie. Uciekła z Rio, kiedy schwytaliśmy Patricka.

— I nie wpadliście na jej trop?

— Nie.

Haynes znowu popatrzył na swoją ekipę sędziowską, lecz zgodne potakiwanie głowami świadczyło, że detektyw mówi prawdę.

— Rzeczywiście zgodziłem się opowiedzieć o wszystkim — wtrącił Stephano

— nie obiecywałem jednak, że zrezygnuję z wyjaśnienia sprawy do końca. Mamy prawo poszukiwać tej kobiety.

— Ale nam nic o niej nie powiedziałaś.

— To prawda. Jeśli chcecie na tej podstawie zerwać naszą umowę, z przyjemnością wezwę swojego adwokata.

— Przyłapaliśmy cię na kłamstwie.

— Przepraszam, to się już więcej nie powtórzy.

— Daj spokój tej kobiecie, Jack, i uwolnij jej ojca.

— Zastanowię się nad tym.

— Nie. Zaraz wydasz odpowiednie polecenia.

Domek letniskowy okazał się nowym, trójkondygnacyjnym segmentem w długim ciągu identycznych budynków, stojących przy świeżo wykończonej ulicy wzdłuż plaży. Październik zaliczał się już do martwego sezonu turystycznego, toteż większość z nich wyglądała na opuszczoną. Sandy ustawił auto tuż za elegancką limuzyną z numerami rejestracyjnymi stanu Luizjana, zapewne pochodzącą z wypożyczalni. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, ukośne promienie wzbudzały setki odbłasków na lekko sfalowanej powierzchni zatoki. Na plaży 220

nie było żywej duszy, na horyzoncie nie odcinał się ani jeden żagiel. McDermott wbiegł po schodkach na taras, okrążył róg domu i stanął przed wejściem.

Leah szybko zareagowała na pukanie, otworzyła drzwi i uśmiechnęła się lekko — widocznie miała nadzwyczaj pogodne usposobienie, gdyż okoliczności ich spotkania w żadnej mierze nie dawały powodów do radości.

— Wejdz, proszę — rzekła, wpuszczając go do środka.

Starannie zamknęła za nim drzwi i poprowadziła do salonu, który przypominał hangar. Trzy ściany stanowiły panoramiczne okna, pośrodku czwartej stał

olbrzymi kominek.

— Ładnie tu — mruknął, łowiąc w nozdrza aromatyczne zapachy dolatujące z kuchni. Przez Patricka musiał tego dnia zrezygnować z lunchu.

— Chcesz coś zjeść? — zapytała Pires.

— Umieram z głodu.

— Szykuję właśnie kolację.

— Cudownie.

Podłoga z desek w przejściu do jadalni zaskrzypiała pod jego ciężarem. Na stole stało duże kartonowe pudło, obok leżały poukładane w stosiki dokumenty.

Leah pracowała. Przechodząc obok, rzuciła:

— To materiały dotyczące Aricii.

— Kto je zgromadził?

— Oczywiście Patrick.

— Były gdzieś ukryte przez ostatnie cztery lata?

— Owszem, w wynajętym pomieszczeniu w Mobile.

Jak zwykle Pires odpowiadała krótkimi zdaniami, z których każde rodziło dalsze pytania. Sandy miał wielką ochotę wyrzucić je z siebie jednym tchem.

— Zajmiemy się tym później — upредиła go, lekceważąco machnąwszy ręką.

Obok zlewu w kuchni, na desce do krojenia leżał cały pieczony kurczak.

W półmisku czekała parująca mieszanka brązowego ryżu z duszonymi jarzynami.

— Jedzenie będzie dosyć proste — upредиła. — Po prostu nie umiem się poruszać w nie swojej kuchni.

— Pachnie wspaniale. Czyj to dom?

— Nie wiem. Wynajęłam go w biurze pośrednictwa, na miesiąc z góry.

Zajęła się porcjowaniem kurczaka, Sandy'ego zaś poprosiła, żeby nalał wina, wyśmienitego kalifornijskiego „Pinot Noir”. Usiedli przy niewielkim stole w jadalni, skąd roztaczał się malowniczy widok na słońce zachodzące nad zatoką.

— Na zdrowie — powiedziała, unosząc kieliszek.

— Za Patricka — odparł Sandy.

— Właśnie, za Patricka.

221

W przeciwieństwie do Brazylijki, która chyba nie była głodna, McDermott szybko nałożył sobie porcję pieczeni i z przyjemnością począł zajadać.

— Jak on się czuje? — zapytała po chwili.

Pospiesznie przełknął kęs kurczaka, żeby nie narażać jej na przykre widoki, popił odrobiną wina i otarł usta serwetką.

— Bardzo dobrze. Rany goją się prawidłowo. Wczoraj badał go chirurg plastyczny i orzekł, że nie będą potrzebne żadne przeszczepy skóry. Blizny pozostaną jeszcze przez parę lat, lecz ostatecznie powinny zniknąć. Pielęgniarki przynoszą mu wypieki, sędzia dokarmia go pizzą. Co najmniej sześciu uzbrojonych ludzi strzeże więźnia w dzień i w nocy. Rzekłbym, że powodzi mu się wyjątkowo dobrze, jak na człowieka oskarżonego o morderstwo z premedytacją.

— Wciąż odwiedza go sędzia Huskey?

— Tak, Karl Huskey. Znasz go?

— Nie, ale dużo o nim słyszałam. Byli dobrymi przyjaciółmi. Patrick powiedział kiedyś, że gdyby został schwytany i postawiony przed sądem, to bardzo by chciał, żeby rozprawie przewodniczył właśnie Huskey.

— Zamierza zrezygnować ze stanowiska — odparł Sandy, dodając w myślach, że to niezbyt fortunna sytuacja dla Lanigana.

— Nie będzie mógł poprowadzić sprawy Patricka, prawda?

— Nie. Wkrótce powinien się wycofać.

Włożył do ust znacznie mniejszy kęs mięsa, zwróciwszy uwagę, że Leah nawet nie tknęła do tej pory sztućców. Trzymała wysoko przy policzku kieliszek z winem i spoglądała w zamyśleniu na rozświetlone wszystkimi odcieniami czerwieni niebo za oknem.

— Przepraszam. Zapomniałem spytać o twego ojca.

— Nie ma żadnych nowych wiadomości. Trzy godziny temu rozmawiałam z bratem. Porywacze wciąż nie dali znaku życia.

— Bardzo mi przykro, Leah. Żałuję, że nie mogę ci w żaden sposób pomóc.

— Ja też nie mogę mu pomóc i to mnie przeraża. Nie mogę ani wrócić do domu, ani też zostać tutaj.

— Przykro mi — powtórzył, nie znajdując innych słów pocieszenia.

Zapadło milczenie. Sandy zdobył się na odwagę i nałożył sobie porcję ryżu z jarzynami.

— Mhm, to jest wspaniałe — mruknął. — Naprawdę wyśmienite.

— Dzięki — odparła z lekkim uśmiechem.

— Czym się zajmuje twój ojciec?

— Wykłada na uczelni.

— Której?

— Na uniwersytecie katolickim w Rio.

— A gdzie mieszka?

222

— W Ipanema, wciąż w tym samym mieszkaniu, w którym się wychowywałam.

Trochę się obawiał drażyć drażliwy temat, lecz uzyskawszy odpowiedzi na kilka prostych pytań, zyskał nadzieję, że łatwiej jej będzie mówić o ojcu. Zaczął

obmyślać kolejne pytania, wolał jednak na razie na poruszać tematu porwania.

Leah nawet nie tknęła jedzenia.

Kiedy skończył się posiłek, zapytała:

— Masz ochotę na kawę?

— Zdaje się, że będzie nam niezbędna, prawda?

— Raczej tak.

Razem zebrali plastikową turystyczną zastawę i włożyli ją do zlewu. Zanim Leah przygotowała kawę, zdążył obejrzyć resztę domu. W końcu spotkali się znowu w jadalni i tym razem luźna rozmowa wygasła po paru zdaniach. Przez chwilę w milczeniu spoglądali na siebie ponad szklanym blatem stolika.

— Ile wiesz na temat sprawy Aricii? — zapytała Pires.

— Tyle, ile wyczytałem w gazetach. To właśnie jemu Patrick zwędził owe dziewięćdziesiąt milionów dolarów. Aricia był dyrektorem wydziału w spółce Platt & Rockland i oskarżył macierzystą firmę wobec władz federalnych o oszustwa finansowe, powołując się na przepisy ustawy antymalwersacyjnej. Kontrola rzeczywiście wykazała zawyżenie kosztów produkcji o sześćset milionów. Zatem zgodnie z ustawą Aricia wystąpił o nagrodę w wysokości piętnastu procent ujawnionej kwoty oszustwa i ta została mu przyznana. Bogan oraz jego wspólnicy z kancelarii, w której pracował również Patrick, reprezentowali wówczas Aricię.

To wszystko.

— Całkiem nieźle. Na to, co ci teraz powiem, znajdziesz dowody w zgromadzonych tu dokumentach bądź na kasetach magnetofonowych. Będziemy musieli się przez nie dokładnie przekopać, żebyś naprawdę dobrze poznał ten materiał.

— Chyba wiesz, że tego typu zabawa nie jest mi obca — rzekł, uśmiechając się szeroko, ale Pires

zachowała powagę.

— Otóż podstawą wystąpienia Aricii stały się spreparowane rachunki. —

Urwała na krótko, pragnąc zapewne, aby to twierdzenie dobrze mu zapadło w pamięć. Mówiła powoli, nie było się dokąd śpieszyć. — Benny Aricia wykombinował bardzo sprytną metodę na oszukanie zarówno swoich zwierzchników, jak i rządu. Ochoczo pomagało mu w tym kilku biegłych adwokatów z dawnej firmy Patricka oraz wpływowych polityków z Waszyngtonu.

— Zapewne senator Nye, bliski kuzyn Bogana.

— Tak, przede wszystkim on. Domyślasz się jednak, że Nye ma wielu popleczników w Kongresie.

— Obiło mi się o uszy.

223

— Zatem Aricia ułożył wstępny plan, po czym przedstawił go Boganowi. Patrick był wówczas najmłodszym ze współników i nie został wciągnięty w tę aferę, lecz pozostali ochoczo przystąpili do działania. Zmieniła się atmosfera w kancelarii i na tej podstawie Patrick nabrał podejrzeń, że coś się święci. Zaczął grzebać w śmieciach i podsłuchiwać rozmowy, aż w końcu odkrył istnienie ważnego klienta o nazwisku Aricia i poznał przyczynę owej konspiracji. Uzbroił się w cierpliwość. Udawał, że o niczym nie wie, tymczasem po kryjomu gromadził dowody przestępstwa. Większość z nich masz teraz przed sobą.

Wskazała kartonowe pudło.

— Wróćmy do samego początku. Skąd się wzięły te spreparowane rachunki?

— Aricia kierował stocznia New Coastal Shipyards w Pascagoula. To jeden z większych działów Platt & Rockland Industries.

— Tak, wiem. Stocznia realizuje zamówienia dla wojska i ma dość bogatą historię malwersacji finansowych.

— Zgadza się. Aricia po prostu wykorzystał tę sytuację na swoją korzyść. Kiedy objął stanowisko dyrektora, w New Coastal budowano atomowe okręty podwodne klasy „Expedition”, a już wtedy koszty budowy przekraczały planowane wydatki. Postanowił więc jeszcze bardziej pogorszyć tę sytuację. W stoczni zaczęły powstawać fikcyjne etaty, zleciodawca płacił za wyszane z palca zadania, wykonywane przez nie istniejących pracowników. Doszły do tego horrendalnie zawyżone rachunki. Na przykład kupowano zwykle żarówki po szesnaście dolarów za sztukę czy też szklanki po trzydzieści dolarów. I tak dalej, i tak dalej. Lista oszustw jest bardzo długa.

— I wszystko znajdę w tym pudle?

— Tylko najważniejsze rzeczy. Są tam kopie faktur za systemy radarowe, urządzenia naprowadzające, uzbrojenie, pociski, dziesiątki elementów, których nazwy nic mi nie mówią. Wobec

nich żarówki tracą jakiekolwiek znaczenie. Aricia od dawna pracował w zarządzie spółki i doskonale wiedział, jak to robić, żeby uniknąć zdemaskowania. Wyprodukował setki fałszywych dokumentów, ale tylko na nielicznych widnieje jego podpis. Nie zapominaj, że Platt & Rockland skupia aż sześć gigantycznych, rozbudowanych wydziałów, nic więc dziwnego, że nikt nie jest w stanie zapanować nad papierkami. Aricia umiejętnie to wykorzystywał.

Za każdym razem, gdy występował z czymś do dowództwa marynarki wojennej, dołączał pisemne upoważnienie sygnowane przez któregoś z wiceprezesów spół-

ki. Jest tam nawet kopia zamówienia na kamizelki ratunkowe, z którym zgłosił

się do swoich zwierzchników po zatwierdzenie. Złożona struktura biurokratyczna działała na korzyść Aricii, który nadzwyczaj starannie planował każde swoje posunięcie. W dodatku metodycznie wszystko notował, po czym przedstawił te notatki adwokatom.

— I Patrick zdobył ich kopię?

— Części z nich.

224

Sandy podszedł do stołu i zajrzał do pudła, ale obie górne kłapy były opuszczone i zakrywały jego zawartość.

— To wszystko czekało w ukryciu od chwili jego zniknięcia?

— Tak.

— Czy choć raz Patrick przyleciał do Stanów, żeby skontrolować dokumenty?

— Nie.

— A ty?

— Byłam raz, dwa lata temu, aby uregulować należności za wynajem pomieszczenia. Zajrzałam wówczas do pudła, lecz nie miałam czasu, żeby obejrzeć zawartość. Poza tym byłam przestraszona i zdenerwowana, ponieważ zajmowa-

łam się czymś, na co nie miałam ochoty. Sądziłam wówczas, że te materiały nigdy nie ujrzą światła dziennego, nie będą potrzebne, ponieważ Patrick nie zostanie schwytany. On jednak domyślał się prawdy.

Sandy, w którym obudziła się dusza sędziego śledczego, miał już na końcu ję-

zyka następne pytanie, nie związane bezpośrednio ze sprawą Aricii, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Tylko spokojnie — nakazał sobie w duchu — jeśli nie będziesz zbyt napastliwy, łatwiej znajdziesz wyjaśnienia nurtujących cię szczegó-

łów.

— Zatem plan Aricii się powiódł. Na pewnym etapie został on przedstawiony Boganowi, którego kuzyn jest senatorem i znanym waszyngtońskim lizydupkiem, a najlepszy przyjaciel sędzią federalnym. Czy Bogan wiedział od początku, że to Aricia fałszuje rachunki?

Leah sięgnęła do pudła, wyjęła przenośny bateryjny magnetofon oraz cały ste-laż z ponumerowanymi i szczegółowo opisanymi kasetami. Zaczęła wodzić długopisem po ich grzbietach, aż odnalazła tę, której szukała. Pospiesznie wsunęła ją do kieszeni magnetofonu. Sandy odniósł wrażenie, że sprawność jej działania świadczy o tym, iż nie jeden raz przesłuchiwała nagrania.

— Przekonasz się sam. To zapis z jedenastego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Pierwszy głos należy do Bogana, drugi do Aricii. Ten zadzwonił z miasta, szef kancelarii odebrał telefon w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze.

Sandy pochylił się nad stolikiem, opierając brodę na dłoniach. Pires uruchomiła magnetofon.

BOGAN: Zadzwonił dziś do mnie jeden z radców prawnych zarządu Platta z Nowego Jorku, Krasny.

ARICIA: Znam go. Typowy gryzipiórek.

BOGAN: To fakt, nie był zbyt sympatyczny. Uprzedził jednak, że mają dowód na zdublowanie rachunków za kupione przez stocznię New Coastal od firmy RamTec ekrany Stalkera. Poprosiłem go o okazanie tego dowodu, na co odparł, że skontaktuje się ze mną za tydzień.

225

ARICIA: Uspokój się, Charlie. Nie mogą mi niczego udowodnić, ponieważ nie podpisywałem żadnych rachunków.

BOGAN: Ale wiedziałeś o tym?

ARICIA: Pewnie. Sam to zaplanowałem i zorganizowałem. Realizowałem po prostu kolejny punkt mojego programu. Problem polega na tym, Charlie, że nie zdołają mi niczego udowodnić. Nie mają żadnych dokumentów ani też świadków.

W zapisie na kasecie nastąpiła przerwa.

— Ta sama rozmowa, jakieś dziesięć minut później — wtrąciła szybko Leah.

ARICIA: Jak sobie radzi senator?

BOGAN: Doskonale. Wczoraj rozmawiał z Sekretarzem Marynarki Wojennej.

ARICIA: Z jakim rezultatem?

BOGAN: Pomyślnym. Chyba wiesz, że przyjaźnią się od dawna. Senator oświadczył stanowczo, że

chciałby zaskarżyć zarząd Platta za oszustwa finansowe, ale chce zrobić to tak, by nie ucierpiał projekt „Expedition”. Sekretarz przyznał mu rację i odparł, że również zamierza twardo występować przeciwko spółce.

ARICIA: Nie dałoby się tego trochę przyspieszyć?

BOGAN: Po co?

ARICIA: Potrzebna mi ta cholerna forsa, Charlie. Jesteśmy już tak blisko.

Leah wyłączyła magnetofon, wyjęła kasetę, włożyła ją do pudełka i odstawiła na miejsce.

— Patrick zaczął nagrywać rozmowy na początku dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Zamierzali się go pozbyć z firmy pod koniec lutego, jakoby z tego powodu, że jest za mało wydajny.

— W tym pudle jest więcej kaset?

— Tak, w sumie około sześćdziesięciu. Patrick dokładnie pogrupował nagrania, aby można się było z nimi zapoznać w ciągu trzech godzin.

Sandy mimowolnie spojrzał na zegarek.

— To znaczy, że czeka nas mnóstwo pracy — mruknął.

Rozdział 28

Prośba Paulo o udostępnienie radia została odrzucona, ale kiedy wyjaśnił, że chciałby tylko posłuchać muzyki, przyniesiono mu poobijany magnetofon oraz dwie kasety z nagraniami orkiestry filharmonii z Rio de Janeiro. Bardzo mu to odpowiadało, lubił muzykę klasyczną. Siadał więc przy ściszym magnetofonie i przeglądał stare pisma ilustrowane, gdyż prośba o dostarczenie jakichś książek nadal była rozpatrywana. Jedzenie okazało się nad podziw smaczne, jak gdyby porywaczom szczególnie zależało na jego dobrym samopoczuciu. Widywał jedynie młodych wysportowanych mężczyzn, ale zdawał sobie sprawę, że działają na zlecenie kogoś, z kim nigdy się nie spotka. Ich samych zaś, płatnych najemników, nawet nie było sensu później ścigać.

Drugi dzień niewoli nadzwyczaj mu się dłużył. Paulo liczył na to, że Eva nie da się wciągnąć w pułapkę. Miał też nadzieję, że jego prześladowcy szybko to pojmą. Niemniej gotów był czekać tak długo, jak tylko będzie trzeba.

Następnego wieczoru sędzia sam przyniósł pizzę. Poprzednie spotkanie tak bardzo przypadło mu do gustu, że zaraz po zakończeniu popołudniowej sesji zadzwonił do Patricka i spytał, czy dzisiaj też będą mogli porozmawiać. Lanigan zgodził się z radością.

Huskey wyjął z aktówki parę listów i rzucił je na prowizoryczne biurko przyjaciela.

— Sporo osób, głównie starych znajomych z sądu, prosiło, abym cię pozdrowił, zaproponowałem więc, by napisali do ciebie, a ja dostarczę listy.

— Nie przypuszczałem nawet, że wciąż mam tylu przyjaciół.

— Jest ich więcej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Znużeni urzędnicy sądo-wi mają mnóstwo czasu na pisanie listów, a jedynie w ten sposób mogą ci się przypomnieć.

— Bardzo dziękuję.

Huskey przysunął krzesło do łóżka Lanigana, usiadł i oparł nogi o krawędź

wysuniętej szuflady nocnego stolika. Zaczekał w milczeniu, aż Patrick rozprawi 227

się z dwoma kawałkami wybornej pizzy.

— Będę musiał wkrótce zrezygnować z prowadzenia twojej sprawy — odezwał się w końcu cicho.

— Wiem.

— Dziś rano rozmawiałem już z Trusselem. Domyślam się, że za nim nie przepadasz, ale to naprawdę świetny sędzia. Zgodził się przejąć sprawę.

— Wolałbym sędziego Lanksa.

— Niestety, w tych okolicznościach nie za bardzo możesz dokonywać wyboru.

Lanks ma poważne kłopoty z nadciśnieniem, toteż staramy się zostawiać mu tylko najprostsze sprawy. Poza tym Trussel ma większe doświadczenie niż Lanks i ja razem wzięci, zwłaszcza w wypadku oskarżeń o zabójstwo.

Patrick zmusił się do krzywego, niepewnego uśmiešku, wzruszając zarazem kościstymi ramionami. „Oskarżenie o zabójstwo” — brzmienie tych słów, które czasami powtarzał sobie przed lustrem, nadal zwałało mu się na barki ogromnym ciężarem. I ta reakcja nie uszła uwagi sędziego.

Mówi się, że każdy człowiek jest zdolny do popełnienia najcięższej zbrodni, Huskey zaś w ciągu dwunastu lat pracy na swoim stanowisku miał okazję widywać wielu zabójców. Tym bardziej leżało mu na sercu, że teraz jego najlepszy przyjaciel może zostać skazany na śmierć.

— Dlaczego chcesz zrezygnować ze stanowiska? — zapytał Patrick.

— Ze zwykłych powodów. Znudziło mnie to setnie. Poza tym dobrze wiem, że jeśli nie zrezygnuję teraz, później będzie znacznie trudniej. Dzieciaki wkrótce pójną do college’u i przydałoby się w domu trochę więcej pieniędzy. — Urwał nagle, a po chwili zapytał: — Nawiasem mówiąc, skąd wiesz, że chcę zrezygnować ze stanowiska? Nie przypominam sobie, abym rozpowszechniał tę wiadomość.

— Słyszałem plotki.

— Dotarły aż do Brazylii?

— Miałem swoich szpiegów, Karl.

— W tutejszej palestrze?

— Nie, skądże! Utrzymywanie kontaktów z dawnymi przyjaciółmi byłoby nadzwyczaj ryzykowne.

— A zatem wiadomości musiał ci dostarczać ktoś z Brazylii.

— Owszem. Zaufana osoba, również prawnik.

— I powiedziałeś mu o wszystkim?

— Zgadza się. Powiedziałem jej o wszystkim.

Huskey splótł palce na brzuchu i mruknął:

— Ach, tak, rozumiem.

— To idealne rozwiązanie. Mogę je gorąco polecić każdemu, kto chciałby zniknąć tak jak ja.

— Zapamiętam to sobie. Gdzie teraz przebywa ta prawniczka?

— Prawdopodobnie gdzieś niedaleko.

228

— Jasne. To ona zarządza pieniędzmi, prawda?

Patrick uśmiechnął się szeroko, a po chwili zachichotał. Chyba w końcu lody zostały przełamane.

— Co chcesz wiedzieć na temat pieniędzy, Karl?

— Wszystko. Jak je zwędziłeś? Gdzie zainwestowałeś? Ile jeszcze ci zostało?

— A co głoszą najbardziej wiarygodne plotki krążące wśród tutejszych prawników?

— Jest ich bez liku. Najbardziej podoba mi się ta, według której podwoiłeś fortunę i trzymasz ją na zaszyfrowanym koncie w Szwajcarii, a w Brazylii jedynie odpoczywałeś, żeby później z tym większą przyjemnością korzystać z bogactwa.

— Nieźle.

— Pamiętasz Bobby'ego Doaka, tego pryszczatego kurdupła, który bierze sprawy rozwodowe po dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów od sztuki i jest gotów płuć na każdego adwokata żądającego wyższych stawek?

— Jasne. Ogłaszał się w gazetkach kościelnych.

— Ten sam. Otóż wczoraj wpadł do kancelarii na kawę i uraczył wszystkich opowieścią, jak to przehulałeś wszystkie pieniądze na narkotyki i młode prostytutki, dlatego wiodłeś w Brazylii życie skromnego wieśniaka.

— Jakbym słyszał Doaka.

Na chwilę zapadło milczenie, Patrick chyba znów pogrążył się w smętnych rozważaniach. Sędzia jednak postanowił kuć żelazo póki gorące.

— No więc gdzie są pieniądze?

— Tego nie mogę ci powiedzieć, Karl.

— A ile ich jest?

— Mnóstwo.

— Więcej, niż ukradłeś?

— Owszem, więcej, niż zabrałem.

— Jak to zrobiłeś?

Lanigan spuścił nogi po przeciwnej stronie łóżka, wstał powoli i podszedł do drzwi. Były zamknięte. Przeciągnął się kilka razy, upił łyk wody mineralnej, po czym usiadł tuż obok Karla i popatrzył mu prosto w oczy.

— Po prostu miałem szczęście — odparł niemal szeptem. — Byłem gotów uciekać, z pieniędzmi czy też bez nich. Wiedziałem, że współnicy czekają na ten przelew, i przygotowałem sobie plan zgarnięcia forsy. Gdyby jednak coś nie wypaliło, i tak bym zniknął. Nie umiałbym już wytrzymać nawet jednego dnia z Trudy. Nie cierpiałem swojej pracy, a w dodatku groziło mi wyładowanie na bruk.

Bogan i jego kumple zajmowali się wyłącznie tym gigantycznym oszustwem, a ja byłem chyba jedyną osobą spoza kręgu wtajemniczonych, która знаła wszelkie szczegóły.

— O jakim oszustwie mówisz?

229

— O sprawie Aricii. Opowiem ci o tym kiedy indziej. Dlatego też ściśle trzymałem się swego planu, a reszty dokonało zwyczajne szczęście, które nie opuszczało mnie przez cztery lata, aż to tego pamiętnego dnia sprzed dwóch tygodni.

Naprawdę miałem cholerne szczęście.

— Opowiadałeś o swoim pogrzebie.

— Zgadza się. Otóż później wróciłem do wynajętego domku w Orange Beach i przez kilka dni nie wychylałem stamtąd nosa, pochłonięty nauką portugalskiego. Urozmaicałem sobie czas przesłuchiwaniami nagrań z instalacji podsłuchowej w biurze. Musiałem uporządkować masę dokumentów. Nie marnowałem czasu.

A w ciągu nocy chodziłem pobiegać wzdłuż plaży, wypacałem z siebie zbędne kilogramy, chciałem bowiem jak najszybciej schudnąć. Niemal głodowałem.

— Co to były za dokumenty?

— Dotyczące sprawy Aricii. Potem zacząłem się wprawiać w żeglarstwie. Nie była to dla mnie całkiem obca sztuka, lecz nagle zyskałem motywację do tego, by stać się dobrym żeglarzem. Jacht był na tyle duży, aby wygodnie spędzać na nim po kilka dni. Zacząłem się więc ukrywać na wodach zatoki.

— Tutaj? W Biloxi?

— Owszem. Rzuciłem kotwicę przy wyspie Ship Island i podziwiałem panoramę miasta.

— Po co tak ryzykowałeś?

— W całej kancelarii rozmieściłem mikrofony, poukrywałem je pod biurkami i w aparatach telefonicznych, dosłownie wszędzie z wyjątkiem gabinetu Bogana. Był nawet mikrofon w męskiej toalecie między pokojami Bogana i Vitrano. Przekazywały odgłosy do wielokanałowego nadajnika ukrytego na strychu.

To stara kamienica, setki niepotrzebnych papierzyk gromadzono w kartonowych pudłach na poddaszu. Rzadko ktoś tam zaglądał. A na dachu, przymocowana do komina, sterczała stara, nie używana antena telewizyjna, toteż podłączyłem ją do nadajnika. Odbierałem transmisje za pomocą trzydziestocentymetrowej kierunkowej anteny talerzowej, którą ukryłem na jachcie.

Wykorzystywałem zdobycze najnowszej techniki, Karl. Kupiłem cały ten sprzęt na czarnym rynku w Rzymie, kosztował mnie majątek. A z pokładu widziałem przez lornetkę tenże komin z anteną, skąd płynęły do mnie sygnały radiowe. Rejestrowałem na jachcie wszystko, co wychwytywały mikrofony, a po nocach musiałem przesłuchiwać nagrania i kopiować te, które mogły mi się przydać. Wiedziałem dokładnie, gdzie każdego dnia zjadają lunch i w jakim nastroju są ich żony.

— To niewiarygodne.

— Trzeba ci było słyszeć, z jakim smutkiem mówili o mnie po pogrzebie.

W rozmowach telefonicznych, kiedy przyjmowali kondolencje, wyrażali głębokie ubolewanie, ale między sobą żartowali nieraz, że zaoszczędziłem im przykrości.

To Bogan wziął na siebie zadanie powiadomienia mnie o wylaniu z kancelarii. Następnego dnia po wypadku spotkał się z Havarakiem w sali konferencyjnej i przy 230

whisky zaśmiewali się w głos, ile to miałem szczęścia, że zginąłem w tak korzystnym dla siebie

momencie.

— Nadal masz te nagrania?

— Oczywiście. A jeszcze lepsza jest rozmowa między Trudy i Dougiem Vitrano, gdy godzinę po pogrzebie znaleźli w szufladzie mego biurka tajemniczą polisę z ubezpieczeniem na życie w wysokości dwóch milionów dolarów. Moż-

na się setnie ubawić. Trudy osłupiała co najmniej na pół minuty, zanim zdołała wykrztusić: „To kiedy dostanę te pieniądze?”

— Kiedy będę mógł przesłuchać nagrania?

— Nie wiem, zapewne już niedługo. Mam dziesiątki kaset. Grupowałem i po-rządkowałem zapisy po dwanaście godzin dziennie przez kilka tygodni. Wyobraź

sobie, ile rozmów telefonicznych musiałem dokładnie wysłuchać.

— Nawet przez chwilę nie nabrali żadnych podejrzeń?

— Raczej nie. Tylko raz w rozmowie z Vitrano Rapley zauważył, że moja śmierć nastąpiła w wyjątkowo dogodnym momencie, tym bardziej że osiem miesięcy wcześniej wykupiłem w tajemnicy dodatkową polisę na życie. Nadmienił

też, że jego zdaniem zachowywałem się ostatnio trochę dziwnie, nie były to jednak żadne konkretne podejrzania. Przede wszystkim bardzo się cieszyli, że sam usunąłem im się z drogi.

— Nie założyłeś podsłuchu telefonicznego w domowym aparacie?

— Nie. Przez pewien czas rozważałem taką ewentualność, postanowiłem jednak nie zawracać sobie głowy. Wiedziałem, jak Trudy zareaguje, a miałem przeciwko niej wystarczająco dużo materiałów.

— Wolałeś się skupić na sprawie Aricii?

— Oczywiście. Chciałem poznać każdy jego krok. Zawczasu wiedziałem, że pieniądze wpłyną na tajne konto w banku bahamskim. Później poznałem dokładną datę.

— Wiec jak je zwędziłeś?

— Już mówiłem, dopisało mi szczęście. Całą sprawą zawiadywał Bogan, ale kwestie finansowe załatwiał Vitrano. Poleciałem do Miami, mając w kieszeni doskonale podrobione papiery na nazwisko Douga Vitrano, nie wyłączając karty ubezpieczenia społecznego. Ten fałszerz z Florydy dysponował olbrzymią komputerową biblioteką fotografii, wystarczyło jedynie dobrać odpowiedni stopień podobieństwa i po paru minutach dane zdjęcie figurowało na podrobionym prawie jazdy. Wybrałem coś pośredniego między rysami moimi a Vitrano. Z Miami poleciałem do Nassau, tam zaś czekała mnie najtrudniejsza część zadania. Umówiłem się na spotkanie z tym samym wiceprezesem Zjednoczonego Banku Walijskiego, z którym Vitrano wcześniej prowadził rozmowy, niejakim

Grahamem Dunlapem.

Przedstawiłem mu niezbędne dokumenty, wśród których najważniejsze było upoważnienie wspólników, oczywiście wydrukowane na firmowym papierze kancelarii. Zgodnie z tym pismem miałem prawo wycofać pieniądze z konta zaraz po ich 231

wpłynięciu. Dunlap nie spodziewał się mojej wizyty, był zaskoczony, wręcz oszo-

łomiony, że Vitrano pofatygował się osobiście na archipelag w celu nadzorowania tak błahej, rutynowej operacji. Poczęstował mnie kawą, wysłał nawet sekretarkę po rogaliki z dżemem. Stąd też siedziałem w jego gabinecie, kiedy nadeszło potwierdzenie przelewu.

— Nie wpadł na pomysł, żeby zadzwonić do kancelarii i upewnić się co do wycofania pieniędzy z konta?

— Nie. Byłem zresztą przygotowany na najgorsze. Gdyby Dunlap nabrał

choćby najmniejszych podejrzeń, ogłuszyłbym go, wybiegł z banku, złapał taksówkę i zwiął na lotnisko. Miałem w portfelu trzy bilety na trzy różne samoloty.

— Dokąd byś wówczas uciekał?

— Pewnie i tak do Brazylii. Nie zapominaj, że oficjalnie zostałem pochowany.

Mogłem rozpocząć nowe życie, zatrudnić się jako barman i spędzać wolne chwile na plaży. Skoro już o tym mowa, to wydaje mi się teraz, że powinienem był zapomnieć o pieniądzach. To z ich powodu byłem ścigany i w końcu wylądowałem z powrotem tutaj. W każdym razie Dunlap wypytywał mnie o różne szczegóły, ale znałem właściwe odpowiedzi. No i kiedy nadeszło potwierdzenie przelewu, natychmiast wydałem dyspozycje i kazałem przetransferować całą sumę do banku na Malcie.

— Całą sumę?

— Prawie. Dunlap zaczął kręcić nosem, gdy uzmysłowił sobie, że nie zarobi nawet grosza na takiej forsie. Musiałem się pilnować, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Wspomniał o stosownych opłatach bankowych za przeprowadzone operacje telegraficzne, a kiedy go spytałem, jakie odsetki bank zwykle pobiera, zaczął szybko kombinować, wreszcie wypalił, że pięćdziesiąt tysięcy byłoby jego zdaniem wystarczające. Zgodziłem się i taka suma pozostała na koncie kancelarii, a później zapewne szybko zasilila prywatne konto pana Dunlapa. Filia banku mieści się w samym centrum Nassau. . .

— Mieściła się — poprawił go Huskey. — Została zlikwidowana pół roku po twoim zniknięciu.

— Ach, tak, rzeczywiście. Obiło mi się o uszy. W każdym razie, kiedy wyszedłem na ulicę, z trudem opanowałem chęć puszczenia się biegiem w stronę lotniska. Miałem ochotę wrzeszczeć z radości i skakać jak opętany. Przywołałem się jednak do porządku, złapałem taksówkę i poprosiłem kierowcę, by nie żałował gazu, bo się bardzo spieszę. Samolot do Atlanty startował dopiero za godzinę, do Miami za półtorej. Najwcześniej miałem połączenie do Nowego Jorku, toteż wylądowałem na La Guardia.

— Bogatszy o dziewięćdziesiąt milionów dolarów.

— Bez pięćdziesięciu tysięcy Dunlapa. Możesz mi wierzyć, Karl, że był to najdłuższy lot w moim życiu. Wychyliłem duszkami trzy porcje martini, lecz nadal byłem jednym kłębkiem nerwów. Oczywiście wyobraźni widziałem uzbrojo-232

nych agentów FBI, którzy czekają na mnie w punkcie kontroli na lotnisku. Byłem przekonany, że po moim wyjściu Dunlap nabrał podejrzeń i skontaktował się ze współpracownikami z kancelarii. Gdyby tak się stało, bez większego trudu można by stwierdzić, że poleciałem do Nowego Jorku. Dlatego też w całym dotychczasowym życiu jeszcze nigdy tak nie marzyłem o tym, by jak najprędzej dotrzeć do celu podróży. W końcu wylądowaliśmy, a gdy przechodziłem do hali odpraw, tuż obok błysnął flesz aparatu fotograficznego. Pomyślałem, że już po mnie. Okaza-

ło się jednak, że to tylko jakiś dzieciak postanowił wypróbować swego nowego kodaka. Pognałem w susach do toalety i przesiedziałem w kabinie dwadzieścia minut. Miałem ze sobą jedynie torbę podróżną ze wszystkimi moimi rzeczami.

— Ale miałeś również dziewięćdziesiąt milionów na koncie.

— To prawda.

— Jak przesłałeś pieniądze do Panamy?

— A skąd wiesz, że przesłałem je do Panamy?

— Jestem sędzią, Patricku. Często spotykam się z gliniarzami. To naprawdę małe miasto.

— Telefonicznie przekazałem instrukcje jeszcze z Nassau. Wcześniej otworzyłem oba konta, zarówno na Malcie, jak i w Panamie.

— Gdzie nabyłeś takiej wprawy w obracaniu funduszami?

— To wcale nie wymaga dużej wprawy. Miałem sporo czasu, żeby się tego nauczyć. Czy przypominasz sobie, Karl, kiedy dowiedziałeś się po raz pierwszy o zniknięciu pieniędzy?

Huskey zachichotał. Rozsiadł się wygodniej i splótł ręce za głową.

— Twój dawny kolega z kancelarii bardzo kiepsko się starali, żeby utrzymać wszystko w ścisłej tajemnicy.

— Naprawdę?

— Szczerze mówiąc, całe miasto aż huczało od plotek na temat niezmiernego bogactwa, jakie ma przyspaść w udziale firmie. Nikt nie puścił pary z ust, ale cała czwórka zaczęła nagle szastać pieniędzmi na lewo i prawo. Havarac kupił

sobie największego i najczarniejszego mercedesa, jaki zszedł z taśmy montażowej. Na zlecenie

Vitrano architekt kończył plany luksusowej willi, mającej ponad tysiąc metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Rapley wziął kredyt na zakup dwudziestopięciometrowego jachtu pełnomorskiego i głośno rozważał

możliwość przejścia na emeryturę. Kilkakrotnie dotarło do mnie, że zamierzają kupić wspólnie służbowy odrzutowiec. Trudno jest zachować w tajemnicy perspektywę uzyskania trzydziestomilionowego honorarium, a oni naprawdę kiepsko się starali. W gruncie rzeczy zależało im na tym, by ludzie się dowiedzieli.

— No tak, czego innego można się spodziewać po prawnikach?

— Byłeś w banku w czwartek, zgadza się?

— Tak, w czwartek, dwudziestego szóstego marca.

233

— Już następnego dnia, kiedy rozpoczynałem przygotowania do jakiejś rozprawy, zadzwonił do mnie któryś z zaprzyjaźnionych adwokatów. Przekazał pod-nieconym tonem, że głośna ugoda wywalczona przez kancelarię Bogan, Rapley, Vitrano, Havarac i Lanigan zapewne trafi na wokandę, bo wszystkie pieniądze zniknęły z banku. Ktoś je zwędził na Bahamach.

— Już wtedy wymieniało się moje nazwisko?

— Nie, wypłynęło bodajże po paru dniach. Ktoś rozpuścił wiadomość, że kamery systemu ochronnego banku zarejestrowały wygląd winowajcy i jest to ktoś nadzwyczaj podobny do ciebie. Zaczęto dopasowywać poszczególne elementy ła-mięłówki i natychmiast pojawiły się setki różnorodnych plotek.

— Od razu uwierzyłeś, że to ja zgarnąłem forszę?

— Chyba początkowo byłem zbyt zaszokowany, by dawać wiarę pogłoskom.

Przecież złożyłem twoje prochy do grobu, modliłem się o spokój twej duszy. Zareagowałbyś tak samo na moim miejscu. Ale w miarę upływu czasu, kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, i ja nabrałem podejrzeń. Wszystko do siebie idealnie pasowało: zmiana testamentu, dodatkowe ubezpieczenie na życie, zwłoki zwęglone nie do rozpoznania. No, a później odkryto instalację podsłuchową w kancelarii i agencji FBI zaczęli wszystkich wypytywać na twój temat. Mniej więcej po tygodniu stało się niemal oczywiste, że to ty musiałeś zwinąć pieniądze.

— Nie czułeś się ze mnie dumny?

— Nie sądzę, aby ktokolwiek odczuwał dumę. Przede wszystkim byłem zaszokowany, zdecydowanie oszołomiony. W końcu zostawiłeś po sobie czyjeś zwłoki, toteż sprawa zaczęła być intrygująca.

— Naprawdę nie wywołałem w tobie nawet odrobiny podziwu?

— W ogóle nie myślałem w tych kategoriach, Patricku. Ostatecznie zamordowałeś niewinnego człowieka, żeby zyskać okazję do kradzieży pieniędzy. W dodatku porzuciłeś żonę z małym dzieckiem.

— Dostała po mnie wystarczająco dużo, a dziecko nie było moje.

— Ale wtedy o tym nie wiedziałem. Nikt tego nie podejrzewał. Dlatego też sądzę, że nie masz co liczyć nawet na cień podziwu.

— A jak zareagowali moi współnicy?

— Chyba nikt ich nie widział przez miesiąc. Od razu wpłynął do sądu pozew Aricii, potem sypnęły się następne. Nie mieli z czego spłacać kredytów, więc zagroziło im widmo bankructwa. Potem doszły rozwody, alkoholizm. Wstyd mówić.

Upadek społeczny w najbardziej typowej, wręcz podręcznikowej formie.

Patrick wyciągnął nogi na łóżku i zakrył się prześcieradłem do pasa. Przez cały czas na jego wargach błąkał się chytry uśmieszek. Huskey wstał z krzesła i podszedł do okna.

— Jak długo zostałeś w Nowym Jorku? — spytał, wyglądając na zewnątrz między listewkami żaluzji.

234

— Przez tydzień. Nie chciałem ściągać pieniędzy z powrotem do Stanów, toteż przelałem je różnymi okrężnymi drogami do banku w Toronto. Mało kto wie, że bank panamski ściśle współpracuje z tamtejszą filią banku z Ontario, mogłem zatem bez większych trudności dokonywać przelewów.

— I zacząłeś wydawać pieniądze?

— Nie za bardzo. Skorzystałem z fałszywego obywatelstwa kanadyjskiego, wynająłem niewielkie mieszkanie w Vancouver, wyrobiłem sobie kilka kart kredytowych. Znalazłem prywatnego nauczyciela języka portugalskiego i zakuwałem słówka po sześć godzin dziennie. Parę razy wybrałem się do Europy, żeby zyskać kilka stempli w paszporcie. Wszystko układało się po mojej myśli. Trzy miesiące później wyprowadziłem się z mieszkania i przenieśliem do Lizbony, gdzie przez pewien czas szlifowałem znajomość portugalskiego. Wreszcie piątego sierpnia ty-siąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku wylądowałem w Sao Paulo.

— Pamiętasz to tak dobrze, jakby to było twoje własne święto odzyskania niepodległości.

— Raczej całkowitej wolności, Karl. Wyszedłem z lotniska, mając tylko dwie małe torby podróżne. Wsiadłem do taksówki i po prostu zniknąłem w sercu tego dwudziestomilionowego molocha. Był już wieczór, padał deszcz, na ulicach tworzyły się gigantyczne korki, a ja siedziałem na tylnym siedzeniu taksówki i myślałem z radością, że nikt na świecie nie ma pojęcia, gdzie jestem. Sądziłem wówczas, że nikt mnie nigdy nie znajdzie. Prawie się popłakałem ze szczęścia, Karl. Mogłem wreszcie zaznać niczym nie skrupowanej, bezgranicznej wolności.

Patrzyłem na twarze ludzi, których mijaliśmy na ulicy, i rozmyślałem, że teraz jestem jednym z nich. Miałem brazylijskie dokumenty na nazwisko Danilo Silvy i powtarzałem sobie w duchu, że już nigdy nie zechcę być nikim innym.

Rozdział 29

Sandy przespał trzy godziny na twardym materacu, w jednym z pustych pokoi na piętrze, daleko od sypialni zajmowanej przez Pires, i obudził się wcześnie, kiedy ukośne promienie słońca zaczęły wpadać do środka poprzez szczelinę między zasłonkami. Spojrzał na zegarek, była szósta trzydzieści. Rozstali się o trzeciej w nocy, po siedmiu godzinach spędzonych wspólnie nad dokumentami i przy magnetofonie, z którego głośnika płynęły rozmowy zarejestrowane przez Patricka.

Wziął prysznic, ubrał się i zszedł do jadalni. W dzbanku stała świeżo zaparzona kawa, Leah siedziała właśnie przy śniadaniu. Miała nadzwyczaj poważną minę. Postawiła przed nim talerzyk z paroma tostami z żytniego chleba oraz słoik dżemu. Przyniosła też poranne gazety. Sandy miał ochotę jak najszybciej wrócić do swego biura, by zapoznawać się dalej ze sprawą Aricii w zaciszu własnego gabinetu.

— Masz jakieś wiadomości o ojcu? — zapytał cicho głosem obco brzmiącym w pustych, rozległych pomieszczeniach.

— Nie. Wolałam stąd nie dzwonić. Później wyjdę do sklepu i zatelefonuję z automatu.

— Będę się za niego modlił.

— Dziękuję.

Zapakowali wszystkie materiały sprawy Aricii do bagażnika jego samochodu i pożegnali się przed domem. Sandy obiecał zadzwonić w ciągu dnia. Leah odpar-

ła, że nie zamierza zbyt wcześnie wyjeżdżać. Najpilniejsze dla nich obojga było podjęcie błyskawicznych działań w imieniu Patricka.

Zrobiło się chłodno. Ostatecznie w październiku jesień dotarła również na południowe wybrzeże. Eva włożyła kurtkę i wybrała się na spacer wzdłuż plaży.

Trzymając w jednej ręce kubeczek z kawą, przechadzała się powoli, boso, wzdłuż granicy fal. Twarz ukryła za ciemnymi okularami, chociaż ich noszenie dokumentnie jej zbrzydło. W dodatku na plaży nie było żywej duszy, nie musiała się więc specjalnie maskować.

Była typową „carioką”, od dziecka spędzała mnóstwo czasu na plaży, co stanowiło nieodłączny element brazylijskiej kultury. Ponadto wychowywała się w Ipa-236

nema, tej wspaniale położonej, eleganckiej dzielnicy Rio, z której wszystkie dzieciaki przesiadywały godzinami nad oceanem. Dlatego też czuła się nieswojo na całkiem pustej plaży, kiedy nie musiała lawirować między opalającymi się ludźmi.

Jej ojciec działał w społecznym Komitecie ostro sprzeciwiającym się nie kontrolowanej rozbudowie nadmorskiej dzielnicy. Z pogardą mówił o eksplozji demograficznej i gwałtownym rozrastaniu się miasta, niewiele mającym wspólnego z planową gospodarką przestrzenną. Mobilizował sąsiadów do przeciwstawiania się takim zjawiskom i choć było to sprzeczne z „cariokowską” filozofią życiową

„żyj i pozwól żyć”, spotkało się z szeroką aprobatą. Stąd też Eva, wychowana w takim właśnie duchu, już po rozpoczęciu pracy zawodowej także poświęcała czas na działalność społeczną w kilku organizacjach, zarówno w Ipanemie, jak i w Leblon.

Wkrótce słońce skryło się za chmurami i wiatr przybrał na sile. Zawróciła więc do domu, obserwując przelatujące nad jej głową mewy. Starannie pozamykała wszystkie drzwi i okna, po czym wybrała się samochodem do odległego o pięć kilometrów supermarketu. Chciała kupić sobie szampon i trochę owoców, lecz przede wszystkim zależało jej na znalezieniu budki telefonicznej.

Nie od razu spostrzegła śledzącego ją mężczyznę, kiedy go jednak zauważyła, odniosła wrażenie, że kręci się wokół niej od dłuższego czasu. Oglądała właśnie jakąś odżywkę do włosów, gdy zwróciła uwagę na ciche siąkanie nosem za jej plecami. Obejrzała się szybko, sądząc, że ujrzy jakiegoś zakatarzonego klienta, lecz napotkała czujny wzrok wywiadowcy, który przeszył ją dreszczem. Szybko odwróciła głowę, pojąwszy, że ten nie ogolony trzydziestoparoletni biały mężczyzna uważnie ją obserwuje. Jego zielonkawe oczy zdawały się błyszczeć niezdrowo na tle mocno opalonej twarzy.

Z trudem zachowując obojętność, poszła dalej między regałami, wreszcie przystanęła w najdalszym kącie sklepu, obok szumiącego klimatyzatora. Pocieszała się myślą, że to jakiś miejscowy włóczęga, niegroźny typek, który lubi się kręcić po sali i straszyć klientów, że wszyscy go tu zapewne znają i lekceważą, gdyż jeszcze nigdy nikomu nie zrobił nic złego.

Po raz drugi ujrzała go kilka minut później przy stoisku z wypiekami, gdy niezbyt skutecznie udawał, że jest pochłonięty zajadaniem pizzy, podczas gdy w rzeczywistości niemal przewiercał ją elektryzującym spojrzeniem, śledząc każdy jej ruch. Dopiero wtedy się zaniepokoiła. Zwróciła też uwagę, że nieznajomy nosi szorty i sandały związane na bosych stopach.

Serce podeszło jej do gardła, nogi omal się pod nią nie ugięły. W pierwszej chwili chciała się rzucić do ucieczki, powstrzymała jednak ten odruch i wzięła ze stojaka koszyk na zakupy. Doszła do wniosku, że skoro już została zidentyfikowana, nie zaszkodzi trochę lepiej przyjrzeć się owemu wywiadowcy. Kto wie, w jakich okolicznościach spotkamy się po raz drugi? — pomyślała. Bez po-

śpiechu minęła dział towarów przemysłowych i zaczęła oglądać gatunki serów 237

w ladzie chłodniczej. Przez dłuższy czas nie widziała tamtego nigdzie w pobl-

żu. Ale wkrótce znów ją lekko przestraszył, wyłaniając się niespodziewanie zza regału, z butelką mleka w ręce.

Kilka minut później zauważyła go przed sklepem. Szedł w stronę parkingu z głową przechyloną na bok, rozmawiał przez telefon komórkowy. Nie niósł żadnych zakupów. Więc jednak nie kupił mleka! — przemknęło jej przez myśl. Gotowa była wypaść pędem przez zaplecze sklepu, ale zostawiła

samochód na tym samym parkingu od frontu. Usiłując zachować spokój, podeszła do kasy i zapłaciła za swoje zakupy, ale ręce wyraźnie jej się trzęsły, kiedy odliczała drobne.

Na parkingu stało około trzydziestu samochodów, szybko zdała sobie sprawę, że nie da rady zajrzeć do wszystkich. Zresztą wcale nie chciała tego robić.

Była jednak pewna, że mężczyzna czatuje w którymś z nich. Nie miała też wątpliwości, iż pojedzie za nią. Poszła szybko do samochodu, wyjechała z parkingu i skierowała wóz z powrotem w stronę osiedla przy plaży, chociaż wiedziała już, że nie wolno jej wracać do wynajętego domu. Ujechała mniej więcej kilometr, po czym nagle zawróciła na szerokiej ulicy. Nie pomyliła się, podążał za nią, utrzymując dystans dzielących ich trzech aut. Na krótko pochwyciła jego przenikliwe spojrzenie. To dziwne, że nie używa ciemnych okularów — pomyślała.

Całe otoczenie wydało jej się nagle jak nie z tego świata. Poczowała się osamotniona i zagubiona w obcym samochodzie i obcym kraju, zmuszona do posługiwania się fałszywym paszportem i udawania kogoś, kim nigdy nie chciała być, i konieczności podróży do jakiegoś bliżej nie określonego jeszcze celu. To wszystko było nie tylko dziwne, ale i przerażające. Pragnęła za wszelką cenę stanąć teraz przed Patrickiem i krzyknąć mu prosto w twarz, może nawet obrzucić go wyzwiskami. Zupełnie inaczej miało to wyglądać. W końcu to jego prześladowa-

ły koszmary z przeszłości, ona nie popełniła żadnego przestępstwa. Tym bardziej w niczym nie zawinił jej ojciec.

Wyszkolona w Brazylii, prowadziła z jedną stopą na pedale gazu, a drugą na hamulcu, ale niezbyt duży ruch na szosie wzdłuż plaży nie wymagał częstych manewrów. Mimo to powtarzała sobie w duchu, że powinna zachować spokój. Patrick tłumaczył jej wielokrotnie, iż uciekinier musi się wystrzegać paniki. Należy uważnie obserwować, myśleć logicznie i planować każde następne posunięcie.

Toteż kurczowo trzymała się przepisów, ale bardzo często zerkała we wsteczne lusterko.

Zawsze musisz być świadoma tego, gdzie się znajdujesz — powtarzał Patrick.

Stąd też godzinami ślęczała nad mapami samochodowymi tych okolic. Po pewnym czasie skręciła w drogę wiodącą na północ i zatrzymała się na stacji benzynowej. Nie zauważyła, by nieznajomy o zielonkawych oczach nadal ją śledził.

Nie przyniosło jej to jednak ulgi. Wiedziała już, że została rozpoznana. A skoro agent powiadomił zwierzchników przez telefon, reszta grupy pościgowej zapewne podążała już w tym kierunku.

238

Godzinę później Eva wkroczyła do terminalu lotniska w Pensacola. Musiała zaczekać półtorej godziny na lot do Miami. Gotowa była się udać dokądkolwiek, ale wcześniej nie startował żaden samolot.

Usiadła przy stoliku w kawiarni i znad krawędzi rozpostartego pisma uważnie obserwowała

wszystko dookoła. Na szczęście niewiele osób kręciło się po terenie lotniska. Tylko strażnik spoglądał na nią z zainteresowaniem, lecz postanowiła go zignorować.

Rejs do Miami obsługiwał mały turbośmigłowiec, toteż podróż zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Na pokład weszło zaledwie sześcioro pasażerów. Oczekiwanie, że nic jej z ich strony nie zagraża, Eva zdołała się nawet trochę zdrzemnąć.

W Miami przez godzinę krążyła po wielkiej hali odlotów. Popijała wodę mineralną i obserwowała otaczające ją tłumy. Wreszcie w stanowisku linii lotniczych Varig kupiła bilet do Sao Paulo, w jedną stronę. Postąpiła tak pod wpływem nagłego impulsu. Nadal nie chciała wracać do domu, lecz Sao Paulo leżało przecież dość blisko rodzinnego Rio. Wymyśliła, że zaszyje się w jakimś hoteliku na parę dni. W dodatku mogła tam być bliżej ojca, choć nie miała przecież pojęcia, gdzie jest przetrzymywany. Poza tym z Miami samoloty startowały we wszystkich moż-

liwych kierunkach, zatem powrót do Brazylii wydał jej się równie dobry jak pobyt w obcym kraju.

Zgodnie z rutynowym postępowaniem FBI powiadomiło wszystkie przejścia graniczne, urzędy emigracyjne oraz biura podróży. Poszukiwano trzydziestojed-noletniej białej kobiety, Brazylijki, niejkiej Evy Mirandy, posługującej się prawdopodobnie fałszywym paszportem. Kiedy ujawnione zostało nazwisko porwanego profesora, odkrycie prawdziwych personaliów tajemniczej prawniczki nie nastroczało już większych kłopotów. Zatem gdy Leah Pires zgłosiła się do punktu odpraw paszportowych na lotnisku międzynarodowym w Miami, nie podejrzewa-

ła najmniejszych problemów. Jej jedynym zmartwieniem był mężczyzna, który ją wcześniej rozpoznał i śledził.

Poza tym w ciągu ostatnich dwóch tygodni paszport wystawiony na nazwisko Pires ani razu nie wzbudził żadnych zastrzeżeń.

Zbiegiem okoliczności celnik zapoznał się z informacją FBI podczas niedawnej przerwy na kawę. Natychmiast wcisnął ukryty przycisk alarmowy, udając, że dokładnie sprawdza wpisy w paszporcie. Leah, początkowo znudzona tak drobiazgową kontrolą, szybko pojęła, że coś się dzieje. Podróżni przy innych stanowiskach byli odprawiani szybko, celnicy zaledwie spoglądali na pierwszą stronę i porównywali wygląd człowieka ze zdjęciem. Nieoczekiwanie stanął przy niej jakiś wyższy oficer w granatowym mundurze. Wziął jej paszport z rąk celnika i zapytał uprzejmym, acz stanowczym tonem:

— Będzie pani uprzejma pójść ze mną, panno Pires?

239

Wskazał przy tym boczny korytarz z długim szeregiem drzwi.

— Coś się nie zgadza? — spytała nerwowo.

— Niezupełnie. Chcieliśmy zadać pani kilka pytań.

Nieco dalej stał strażnik z pistoletem w kaburze i pojemnikiem gazu obездnającego przy pasie.

Oficer ostentacyjnie trzymał w dłoni jej paszport. Ludzie czekający w kolejkach do odprawy ciekawie zerkali w tę stronę.

— O co chodzi? — zapytała, ruszając we wskazanym kierunku.

Idący przodem strażnik zatrzymał się przy drugich drzwiach.

— Mamy do pani tylko parę pytań — powtórzył oficer, przepuszczając ją do maleńkiego pokoiku bez okien.

Wewnątrz nie było żadnych sprzętów poza stołem i dwoma krzesłami. A więc musi to być pokój szczegółowej kontroli — pomyślała. Zwróciła uwagę, że na identyfikatorze oficera widnieje nazwisko Rivera, mężczyzna nie wyglądał jednak na Latynosa.

— Proszę mi oddać paszport — rzekła stanowczo, kiedy tylko tamten zamknął drzwi i zostali sami.

— Nie tak szybko, panno Pires. Najpierw chciałbym wyjaśnić parę rzeczy.

— Nie muszę odpowiadać na żadne pytania.

— Proszę się uspokoić i usiąść. Napije się pani kawy? A może wody sodowej?

— Nie, dziękuję.

— Czy wpisany do paszportu adres w Rio jest aktualny?

— Tak, oczywiście.

— Skąd pani przyleciała?

— Z Pensacoli.

— Którym lotem?

— Numer osiemset pięćdziesiąt pięć.

— I dokąd się pani udaje?

— Do Sao Paulo.

— A dokładnie?

— To chyba moja prywatna sprawa.

— Podróżuje pani w interesach czy turystycznie?

— Jakie to ma znaczenie?

— Otóż ma. Według wpisu w paszporcie mieszka pani w Rio de Janeiro. Zatem gdzie zamierza się pani zatrzymać w Sao Paulo?

— W hotelu.

— W którym?

Zawahała się na chwilę, usiłując sobie przypomnieć nazwę któregoś z tamtejszych hoteli. Poniewczasie zrozumiała, że popełniła olbrzymi błąd.

— W. . . „Inter-Continentalu” — odparła szybko, starając się zachować spokój.

Mężczyzna zapisał nazwę hotelu na kartce.

240

— Podejrzewam, że ma pani zarezerwowany pokój na nazwisko Pires, prawda?

— Oczywiście — skłamała, odczuwając nagły przypływ ulgi. Ale to był kolejny błąd. Wystarczyła krótka rozmowa telefoniczna, by sprawdzić, że nie ma żadnej rezerwacji.

— Gdzie jest pani bagaż?

Znowu poczuła się nieswojo. Nerwowo zerknęła w bok, przeczuwając, że wyraz zdumienia na twarzy może ją zdradzić.

— Podróżuję bez bagażu.

Ktoś zapukał do drzwi. Oficer wstał, zabrał kartkę ze stołu i w przejściu zamienił szeptem parę słów ze swoim kolegą. Eva nawet się nie obejrzała, usiłowała za wszelką cenę nad sobą zapanować. Rivera wrócił na miejsce, trzymał przed sobą arkusz wydruku komputerowego.

— Według naszej ewidencji przekroczyła pani granicę przed ośmioma dniami tutaj, w Miami. Przyleciała pani z Londynu samolotem, który wystartował z Zurychu. Osiem dni i żadnego bagażu? To dosyć dziwne, prawda?

— Ale to chyba nie jest jeszcze przestępstwem?

— Nie, ale przestępstwem jest posługiwanie się fałszywym paszportem. Przynajmniej według naszych, amerykańskich przepisów prawa.

Popatrzyła na leżący na stole paszport. Doskonale wiedziała, że jest podrobiony.

— Mój paszport nie jest fałszywy — oznajmiła stanowczym tonem.

— Czy zna pani kobietę o nazwisku Eva Miranda? — zapytał Rivera.

Nie potrafiła ukryć zdumienia. Serce jej w piersi zamarło. Natychmiast zdała sobie sprawę, iż dalsze kłamstwa nie mają żadnego sensu.

Rivera także świetnie wiedział, że trafił bez pudła.

— Będę musiał powiadomić FBI, a to trochę potrwa.

— Zostałam aresztowana?

— Jeszcze nie.

— Jestem prawnikiem, a zatem. . .

— Wiemy o tym. Mamy jednak pełne prawo zatrzymać panią na przesłuchanie. Nasze biura znajdują się piętro niżej. Chodźmy.

Szła jak na ścięcie, kurczowo przyciskając torebkę do piersi. Prawie nie patrzyła przed siebie.

Długi stół konferencyjny był założony papierami i kartonowymi teczkami na dokumenty. Obok nich walały się pomięte kartki z notatnika, serwetki, plastikowe kubeczki po kawie, a nawet nie dojedzone kanapki ze szpitalnego bufetu. Od lunchu minęło już pięć godzin, lecz żadnemu z prawników nie była w głowie 241

przerwa na obiad. Można było odnieść wrażenie, iż czas płynie normalnie tylko za drzwiami, natomiast w tej sali stanął w miejscu.

Obaj byli boso. Patrick miał na sobie bawełnianą koszulkę i spodenki gim-nastyczne, Sandy zaś wymiętą jedwabną koszulę i jasne letnie spodnie, czyli ten sam strój, w którym rano wyruszył sprzed domku przy plaży.

Wielkie kartonowe pudło stało puste w kącie pokoju, wszystkie materiały dotyczące sprawy Aricii zostały porozkładane na stole.

Rozległo się głośnie pukanie. Joshua Cutter wkroczył do środka, nie czekając na odpowiedź. Zatrzymał się jednak przy drzwiach.

— To prywatne spotkanie — oznajmił pośpiesznie McDermott, ruszając w kierunku agenta.

Rozłożonych dokumentów należało strzec przed wzrokiem niepożądanych osób, toteż Patrick także podszedł do wyjścia i stanął obok przyjaciela, zasłaniając Cutterowi widok na stół.

— Nikt pana nie uczył, że należy pukać przed wejściem? — zapytał ostro.

— Przepraszam. Wpadłem tylko na chwilę, żeby poinformować, iż aresztowaliśmy właśnie Evę Mirandę. Została zatrzymana na lotnisku w Miami, kiedy usiłowała wejść na pokład samolotu

odlatującego do Brazylii. Posługiwała się fałszywym paszportem.

Patrick zastygł z rozdziawionymi ustami. Przez chwilę nie potrafił zebrać myśli.

— Eva? — zapytał Sandy.

— Owszem. Znana także jako Leah Pires. Przynajmniej takie nazwisko figurowało w podrobionym paszporcie — odparł Cutter, bez przerwy patrząc na Lanigana.

— Gdzie ona teraz jest? — spytał oszołomiony Patrick.

— W areszcie w Miami.

Patrick odwrócił się i ruszył wzdłuż stołu. Pobyt w żadnym areszcie nie należał do przyjemności, a już szczególnie w Miami.

— Czy można się z nią skontaktować telefonicznie? — zapytał Sandy.

— Nie.

— Ma przecież prawo zadzwonić do adwokata.

— Nikt jej go nie odmawia.

— W takim razie proszę mi podać numer.

— Nie tak szybko. — Cutter wciąż patrzył na Lanigana, mimo że rozmawiał

z McDermottem. — Bardzo jej się śpieszyło. Nie miała bagażu, tylko małą torbę podróżną. Zamierzała się wymknąć do Brazylii i zostawić pana na lodzie.

— Dość tego — rzucił Patrick.

— Proszę nas zostawić samych — dodał Sandy.

— Chciałem jedynie przekazać tę wiadomość — mruknął z uśmiechem Cutter i wyszedł z sali.

242

Patrick usiadł przy stole i zaczął sobie delikatnie masować skronie. W chwili pojawienia się agenta FBI rozboleła go głowa, teraz zaś miał wrażenie, że lada moment rozpęknie się na kawałki. Wraz z Evą dziesiątki razy uzgadniali plan postępowania na wypadek jego ujęcia. Uznali za najważniejsze to, aby Eva pozostawała w ukryciu i na wszelkie sposoby pomagała Sandy'emu. Dopuszczali możliwość schwytania jej przez zbirów Stephano i Aricii, co stanowiłoby prawdziwą katastrofę. Zatrzymanie przez FBI było zdecydowanie mniej groźne, ale i tak przysparzało wielu kłopotów.

Pocieszające było jedynie to, że Eva jest bezpieczna.

W ogóle nie brali pod uwagę czwartej możliwości, czyli jej powrotu do Brazylii i pozostawienia go na łasce losu. W coś takiego Patrick nigdy by nie uwierzył.

Sandy zaczął szybko zgarniać papiery ze stołu.

— O której się z nią rozstałeś? — zapytał Lanigan.

— Około ósmej. Była w doskonałym nastroju, o tym mogę cię zapewnić.

— Nie wspominała, że wybiera się do Miami czy Brazylii?

— Skądże! Odniosłem wrażenie, iż chciałaby odpocząć przez kilka dni w tamtym domku letniskowym. Wynajęła go na miesiąc z góry.

— W takim razie musiała się czegoś przestraszyć, bo z jakiego innego powodu zdecydowałaby się wyruszyć z miasta?

— Nie wiem.

— Znajdź jakiegoś adwokata w Miami, Sandy. I to jak najszybciej.

— Mam kilku znajomych.

— Eva musi być śmiertelnie przerażona.

Rozdział 30

Było już po osiemnastej, a więc Havarac siedział zapewne w kasynie, przy stoliku do gry w oczko, popijał darmową whisky i wodził spojrzeniem za ko-bietami. Bez przerwy krążyły plotki o jego astronomicznych długach karcianych.

Natomiast Rapley z pewnością tkwił w swojej domowej pustelni, jakby uważał, że zdoła się w niej schronić przed całym światem. Sekretarki i aplikanci także wynieśli się już z biura, toteż Doug Vitrano zamknął drzwi wejściowe na klucz i wrócił do gabinetu na tyłach kamienicy, najładniejszego i największego, gdzie czekał Charlie Bogan. Był bez marynarki, w koszuli z podwiniętymi rękawami.

Lanigan zdołał założyć podsłuch w każdym pomieszczeniu oprócz tego jednego, co szef kancelarii wielokrotnie wytykał współnikom podczas kłótni, jakie wywołało zniknięcie pieniędzy. Wychodząc z gabinetu, Bogan zawsze zamykał

drzwi na zasuwkę, podczas gdy jego koledzy zaniedbywali tak elementarne środki ostrożności i to się na nich zemściło. Dotyczyło to zwłaszcza Vitrano, któ-

ry telefonicznie załatwiał wszelkie sprawy finansowe z Dunlapem, umożliwiając w ten sposób Laniganowi ułożenie szczegółowego planu przechwycenia pieni-

dzy. Przed czterema laty kłótnie na tym tle omal nie skończyły się bijatyką.

Lecz mimo swojej przezorności nawet Bogan przyznawał otwarcie, że nie podejrzewał istnienia instalacji podsłuchowej we własnym biurze. Przecież gdyby tak było, z pewnością ostrzegłby lekkomyślnych kolegów. Utrzymanie tajemnicy nie wymagało wszak wielkiego zachodu, wystarczyło jedynie za każdym razem zamykać drzwi na klucz i nie dawać go nikomu, pilnować nawet sprzątaczkę podczas robienia porządków. A Bogan nie tylko wiele zawdzięczał wrodzonej ostroż-

ności, mógł także mówić o szczęściu. W końcu wszystkie najważniejsze rozmowy były prowadzone właśnie w jego gabinecie.

Vitrano wszedł do pokoju, zamknął drzwi i opadł ciężko na obity skórą fotel przy biurku.

— Rozmawiałem dziś rano z senatorem — rzekł Bogan. — Zadzwoił do mnie do domu.

Jego matka i ojciec starszego o dziesięć lat senatora byli rodzeństwem.

— Jak się miewa? — spytał Vitrano.

244

— Rzekłbym, że jest w podłym nastroju. Pytał, co nowego w sprawie Lanigana, musiałem mu więc wszystko zrelacjonować. Wciąż nie wiadomo, gdzie są pieniądze. Senator bardzo się niepokoi tym, że Lanigan może zbyt wiele wiedzieć o jego roli. Zapewniłem go jednak, jak robiłem to już wielokrotnie, że wszystkie telefoniczne rozmowy z nim prowadziliśmy z tego pokoju, a tu nie było podsłuchu. Dlatego też nikt nie powinien go łączyć ze sprawą Aricii.

— Mówisz, że jest zaniepokojony?

— To chyba zrozumiałe. Pytał mnie znowu, czy nie ma żadnych dokumentów, które mogłyby doprowadzić do niego. Odparłem, że nie.

— Co jest szczerą prawdą.

— Zgadza się. Na żadnym świstku nie figuruje jego nazwisko, wszystko zała-twialiśmy ustnie. Spotykaliśmy się najczęściej w klubie golfowym, co przypominałem mu już setki razy, ale on wciąż się martwi, że Lanigan coś wie.

— Nie powiedziałeś mu o „klozecie”?

— Nie.

Obaj przygryźli wargi i zapatrzyli się w blat biurka, wracając wspomnieniami do tamtych wydarzeń. W styczniu 1992 roku, miesiąc po zatwierdzeniu w De-partamencie Sprawiedliwości nagrody i jakieś dwa miesiące przed wpłynięciem pieniędzy do banku, Aricia wpadł bez zapowiedzi do biura. Był w paskudnym nastroju. Patrick jeszcze pracował w kancelarii, miał upozorować swą śmierć dopiero trzy tygodnie później. Niemniej rozpoczął się już generalny remont kamienicy i z tego

powodu Bogan nie mógł przyjąć klienta w swoim gabinecie. Po korytarzu kręcili się malarze, większość sprzętów była pozakrywana wielkimi arkuszami folii. Zaciągnęli więc bojowo nastawionego Aricię do małego, pozbawione-go okien pomieszczenia naprzeciwko gabinetu Bogana, z racji swoich rozmiarów nazywanego powszechnie „klozetem”. Stał tam jedynie mały kawiarniany stolik i dwa krzesła. Sufit opadał skośnie, ponieważ za ścianą znajdowała się klatka schodowa.

Był przy tym również Vitrano, ponieważ pełnił funkcję zastępcy szefa, a ponadto zajmował się sprawami finansowymi klienta. Spotkanie trwało krótko. Aricia dosadnie wyraził swe rozżalenie z powodu niesprawiedliwego podziału nagrody. Wcześniej ani razu nie protestował, lecz gdy wysokość kwoty została zatwierdzona, doszedł do wniosku, że trzydzieści milionów dolarów to zdecydowanie zbyt wysokie honorarium dla adwokatów. Doszło do ostrej wymiany zdań, lecz Bogan i Vitrano nie zamierzali rezygnować ze swojej części. Chcieli nawet pokazać odpowiedni punkt podpisanej przez klienta umowy, lecz Aricia ani myślał

przeglądać jakichkolwiek papierów.

Właśnie wtedy, w porywie wściekłości, zapytał otwarcie, ile z tych trzydziestu milionów dostanie senator Nye. Wówczas Bogan także stracił cierpliwość i warknął, że to nie jego interes. Doprowadzony do szału Aricia wrzasnął, że owszem, jak najbardziej jego, bo i jego pieniądze, po czym wygłosił płomienną diatribę 245

skierowaną przeciwko wszystkim politykom, a zwłaszcza senatorowi. Nic go nie obchodziło, że Nye wykorzystywał swe znajomości w Waszyngtonie, by przepchnąć jego sprawę przez biurokratyczne maszyny dowództwa marynarki wojennej, Pentagonu oraz Departamentu Sprawiedliwości.

— Ile dostanie?! — wykrzykiwał raz po raz.

Ale Bogan nie chciał ujawnić tajemnicy, odparł tylko, że senator z pewnością nie zostanie pokrzywdzony, po czym przypomniał Aricii, że to on sam wybrał ich firmę, i to właśnie ze względu na powiązania z politykami. Wreszcie orzekł ironicznie, iż sześćdziesiąt milionów to całkiem niezła gratka, zwłaszcza że dostaje się te pieniądze za sfałszowanie sterty dokumentów.

Zbyt wiele zostało wtedy powiedziane.

Aricia zaproponował zmniejszenie ich honorarium do dziesięciu milionów, co Bogan i Vitrano skwitowali śmiechem. Dlatego też klient wybiegł z biura, klnąc na czym świat stoi.

W „klozecie” nie było telefonu, ale później odkryto dwa miniaturowe mikrofony: jeden pod blatem stolika, przyklejony kawałkiem taśmy samoprzylepnej i zamaskowany u zbiegu dwóch listew nośnych, a drugi wciśnięty za grzbiet starego podręcznika prawa, stojącego pośród kilku książek na wąskiej półce, które miały pełnić rolę dekoracyjną.

Po zniknięciu pieniędzy z banku i prawdziwym wstrząsie, jakim było odkrycie przez fachowców Stephano rozbudowanej instalacji podsłuchowej, obaj współpracownicy przez dłuższy czas nie wspominali nawet jednym słowem o tamtej kłótni w „klozecie”. Liczyli na to, że nie spowoduje ona żadnych

konsekwencji. Nie rozmawiali także z Aricią, gdyż ten natychmiast wystąpił z pozwem przeciwko kancelarii i zaczynał ciskać klątwami na samo wspomnienie któregoś z adwokatów. Próbowali o tym po prostu zapomnieć, jak gdyby nic podobnego się nigdy nie zdarzyło.

Ale teraz, kiedy Patrick został ujęty, musieli stawić czoło rzeczywistości. Nadal istniała szansa, że mikrofony w „klozecie” źle działały bądź też Lanigan z jakichś powodów przeoczył tę kłótnię. W końcu musiał zwracać uwagę na rozmowy przekazywane przez dziesiątki pluskiew naraz. W gruncie rzeczy obaj byli przekonani, że Patrick nie zarejestrował owych demaskatorskich stwierdzeń, jakie padły wówczas w „klozecie”.

— Nie wierzę, aby nagrywał wszystko i jeszcze trzymał taśmy w ukryciu przez cztery lata — oznajmił Vitrano.

Ale Bogan nie odpowiedział. W zamyśleniu splótł dłonie na brzuchu i z kamienną twarzą wbił wzrok w krawędź biurka. Nadal nie mógł sobie darować.

Gdyby wszystko ułożyło się pomyślnie, zyskałby pięć milionów dolarów, podobnie jak senator, nie przeżyłby upokorzeń bankructwa i rozwodu, wciąż mieszkał-

by z rodziną, we własnym domu, cieszyłby się poważaniem. Przez te cztery lata zapewne podwoiłby swój majątek, a może nawet dociągnął do dwudziestu milio-

nów, zyskując swobodę czynienia wszystkiego, czego dusza zapragnie. Szczęście było tak blisko, Patrick zwinął im pieniądze dosłownie sprzed nosa.

Ale i radość z jego ujęcia trwała bardzo krótko, do czasu, gdy stało się oczywiste, że w ślad za przestępcą nie wróci do Biloxi skradziona forsa. I teraz, z każdym upływającym dniem, wizja bogactwa oddalała się coraz bardziej.

— Sądziś, Charlie, że kiedykolwiek odzyskamy pieniądze? — zapytał niemal szeptem Vitrano, nie podnosząc głowy. Od wielu lat nie zwracał się do niego po imieniu, toteż owa niespodziewana poufałość wydała się teraz nie na miejscu.

— Nie — odparł krótko Bogan, a po dłuższej przerwie dodał: — Będziemy mieli szczęście, jeśli nie zostaniemy postawieni w stan oskarżenia.

Mając przed sobą perspektywę godzinnego mozolenia się z aparatem telefonicznym, Sandy postanowił najpierw załatwić najpilniejsze sprawy. Z samochodu zaparkowanego na placu przed szpitalem powiadomił żonę, że czeka go mnóstwo pracy i może się zdarzyć, iż przenocuje w Biloxi. Kiedy przypomniła mu o meczu futbolowym szkolnej reprezentacji, w której występował ich syn, przeprosił

zdawkowo, obarczając całą winą Patricka, i obiecał, że później wszystko wyjaśni.

Na szczęście nie doszło do kłótni, której tak się obawiał.

Później złapał swą sekretarkę i poprosił o przedyktowanie kilku numerów telefonów. Znał bliżej

dwóch niezłych adwokatów z Miami, ale o tej porze, piętna-

ście po siódmej wieczorem, żadnego z nich nie było już w biurze. Pod domowym numerem pierwszego z nich nikt się nie zgłaszał, żona drugiego wyjaśniła, że mąż wyjechał z miasta na ważne przesłuchanie. Sandy zaczął więc wydzwaniać do swych nowoorleańskich przyjaciół, aż w końcu zdobył numer telefonu Marka Bircka, cieszącego się renomą florydzkiego specjalisty od spraw kryminalnych.

Tamten nie był zbyt zadowolony, iż przeszkadza mu się podczas obiadu, zgodził

się jednak wysłuchać McDermotta. Sandy przedstawił mu dziesięciominutową wersję przygód Patricka, kładąc szczególnie nacisk na rolę Mirandy, przebywają-

cej obecnie w areszcie w Miami. Birck okazał spore zainteresowanie, wykazując się przy tym biegłą znajomością przepisów emigracyjnych. Obiecał natychmiast zadzwonić do dwóch wpływowych osób. Sandy przyrzekł, że połączy się z nim ponownie za godzinę.

Później musiał dzwonić aż w trzy różne miejsca, żeby złapać Cuttera, a w dodatku dogadywać się z nim jeszcze przez dwadzieścia minut, by wreszcie wydebić zgodę na spotkanie w śródmiejskiej kawiarni. Dotarł na miejsce pierwszy i czekając na agenta FBI, po raz drugi wybrał numer Bircka.

Tamten przekazał, że Mirandę umieszczono w areszcie federalnym w Miami.

Nie została jeszcze formalnie oskarżona, ale też i od zatrzymania minęło niewiele czasu. Na pewno nie było żadnych szans, by zobaczyć się z nią dziś wieczorem, a i jutro mogły z tym być pewne kłopoty. Według obowiązujących przepisów, FBI 247

oraz amerykańskie służby celne miały prawo zatrzymać człowieka posługującego się fałszywym paszportem nawet na cztery doby przed obraniem właściwego trybu postępowania. Biorąc pod uwagę okoliczności, to chyba całkiem zrozumiałe —

wyjaśnił Birck. Chodzi wszak o ludzi, którzy pragnęliby jak najszybciej znaleźć się za granicą.

Adwokat dobrze znał areszt federalny, bywał w nim wielokrotnie, odwiedzając swoich klientów, zapewnił więc, że panujące tam warunki nie są złe. Eva została umieszczona w osobnej celi, nic jej nie zagraża. Przy odrobinie szczęścia jutro powinna zyskać dostęp do telefonu.

Przemilczając niektóre szczegóły, Sandy oświadczył, że nie ma specjalnego pośpiechu z wyciąganiem jej z kraterki, gdyż na zewnątrz mogą czyhać niezbyt przyjaźnie nastawieni ludzie. Na co Birck odparł, że z samego rana uruchomi swoje kontakty i spróbuje załatwić widzenie z aresztowaną.

Określił też wysokość swego honorarium na dziesięć tysięcy dolarów, co Sandy zmuszony był zaakceptować.

Kiedy odwieszał słuchawkę, dostrzegł Cuttera wchodzącego do kawiarni. Pospiesznie wysiadł więc z samochodu i ruszył w kierunku drzwi.

Na obiad podano gotowy zestaw, podgrzany w kuchence mikrofalowej i do-starczony na poobijanej plastikowej tacy. Odczuwała głód, ale w tym otoczeniu nic nie chciało jej przejść przez gardło. Obiad przyniosły jej do celi dwie otyłe strażniczki, paradujące z grubymi pękami kluczy u pasa. Jedna z nich zapytała, czy czegoś jej nie trzeba, lecz Eva mruknęła parę słów po portugalsku i straż-

niczki wycofały się na korytarz. W ciężkich stalowych drzwiach znajdowało się prostokątne okienko, przez które wpadały do środka stłumione odgłosy rozmów innych więźniarek. Nie licząc tego, w areszcie panowała cisza i spokój.

Eva nigdy przedtem nie była w więzieniu, nawet w roli odwiedzającej. Pomijając Patricka, żaden z jej znajomych nie wylądował nigdy za kratkami. Dlatego też początkowy szok i lęk przerodziły się szybko w poczucie ostatecznej hańby, jaką było zaliczenie jej do grona zwykłych kryminalistów. Jedyne myślenie o cierpieniach ojca pozwalała zachować zimną krew. Bez wątplenia musiał być przetrzymywany w znacznie gorszych warunkach, toteż Eva modliła się gorąco, aby nic mu się nie stało.

Doszła do wniosku, że modlitwy w celi są jak najbardziej na miejscu, i w drugiej kolejności zaczęła się modlić za Patricka. Siłą powstrzymywała się od obarczania go winą za wszystkie kłopoty, a wcale nie przychodziło jej to łatwo. Cze-

248

ścią winy obarczała siebie, niepotrzebnie dała się ponieść panice i uciekała na ślepo. A przecież Patrick uczył ją, jak się błyskawicznie przemieszczać, nie zostawiając za sobą śladów, i jak znikać w tłumie. To ona popełniła błąd, nie on.

Posługiwanie się fałszywym paszportem nie należało do poważnych przestępstw, liczyła zatem na szybkie uwolnienie. Szczególnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie więzienia ustawicznie były przepełnione, za tak drobne wykroczenie powinna zostać skazana w trybie przyspieszonym. Groziła jej najwyżej spora grzywna oraz natychmiastowa deportacja do ojczyzny.

Dysponowała pieniędzmi, przynajmniej w tym zakresie nie bała się niczego. Jutro trzeba więc było znaleźć telefonicznie jakiegoś dobrego, renomowanego adwokata. On zaś powinien się skontaktować z przedstawicielami władz brazylijskich, Eva знаła kilka numerów telefonów. Gdyby zaistniała taka konieczność, można było nawet przekupić wszystkich zaangażowanych w sprawę. Zatem wkrótce powinna odzyskać wolność i pospieszyć do kraju, żeby pomóc ojcu. Postanowiła ukryć się gdzieś w Rio.

W celi było ciepło, a zamkniętych na głucho drzwi pilnowały uzbrojone straż-

niczki, zatem nic jej tu nie groziło. Doszła do wniosku, że nie ma się czego obawiać. Ci sami ludzie, którzy okaleczyli Patricka i uprowadzili jej ojca, z pewnością nie mieli tu wstępu.

Zgasiła światło i wyciągnęła się na wąskiej pryczy. Domyślała się, iż FBI zechce czym prędzej

powiadomić Patricka o jej ujęciu, niewykluczone, że już o tym wiedział. W wyobraźni ujrzała go pochylającego się nad notatnikiem, gorączkowo sporządzającego notatki i dostosowującego swoje plany do tego niespodziewanego obrotu spraw. Była niemal pewna, że do tej pory obmyślił co najmniej dziesięć sposobów na wyciągnięcie jej z aresztu. Nie zasnąłby, nie przeanalizowałby dokładnie trzech najlepszych jego zdaniem wyjść z tej sytuacji.

Powtarzał przecież nieraz, że zawsze najistotniejszy jest dobry plan.

Cutter zamówił dla siebie lemoniadę i pączka w czekoladzie. Był już po służbie, toteż wyjątkowo stawił się na spotkanie w dżinsach i koszuli z krótkimi rękawami. Ale na jego twarzy widniał nieodmiennie ten sam wyraz pogardy dla całego świata, którą dodatkowo podsyciała świadomość wyraźnej przewagi nad oponentem, wynikającej z aresztowania Evy Mirandy.

Sandy w czterech kęsach pochłonął bułkę z szynką. Dochodziła dziewiąta wieczorem, był bez obiadu, a dietetyczny lunch zjadł w szpitalu razem z Patrickiem, doskwierał mu więc głód.

— Musimy poważnie porozmawiać — zaczął szybko, ściszonego tonem, jako że wszystkie stoliki wokół nich były zajęte.

— Zamieniam się w słuch — mruknął Cutter.

McDermott otarł wargi serwetką, pochylił się jeszcze bliżej do agenta i rzekł: 249

— Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale chciałbym, by przy tej rozmowie byli obecni jeszcze inni ludzie.

— Na przykład?

— Ktoś z pańskich zwierzchników z Waszyngtonu.

Cutter odwrócił głowę i przez parę sekund spoglądał przez szybę na auta prze-mykające autostradą numer dziewięćdziesiąt. Od plaży dzieliło ich nie więcej niż sto metrów.

— Nie ma sprawy, ale najpierw musiałbym im cokolwiek powiedzieć.

Sandy rozejrzał się na boki, lecz nikt nie zwracał na nich większej uwagi.

— Mogę udowodnić, że wystąpienie Aricii przeciwko spółce Platt & Rockland było oparte na sfałszowanych dokumentach, cała ta afera została uknuta do spółki z adwokatami z kancelarii Bogana, którego bliski kuzyn, senator, brał

w tym czynny udział, za co miał dostać po kryjomu kilka milionów dolarów.

— Niezła bajeczka.

— Potrafię to wszystko udowodnić.

— I podejrzewam, że w zamian Patrick Lanigan chciałby otrzymać nagrodę w postaci oczyszczenia z zarzutów.

— Coś w tym rodzaju.

— Nie tak szybko. Nadal pozostaje otwarta sprawa zwęglonych zwłok w jego samochodzie.

McDermott nie odpowiedział. Cutter w zamyśleniu popatrzył na pączka, po czym bez większego apetytu odgryzł niewielki kawałek.

— Co to za dowody? — spytał.

— Dokumenty, nagrane rozmowy telefoniczne, masa różnorodnych rzeczy.

— Nadających się na materiał dowodowy?

— W olbrzymiej większości.

— Wystarczy tego, żeby postawić winnych w stan oskarżenia?

— Na pewno.

— Gdzie są te materiały?

— W bagażniku mojego samochodu.

Cutter niemal odruchowo popatrzył przez ramię na plac parkingowy. Zaraz jednak uważnie zajrzał adwokatowi w oczy.

— Czyżby te materiały zbierał Lanigan przed upozorowaniem swojej śmierci?

— Zgadza się. Znacznie wcześniej wpadł na trop afery. A ponieważ wspólnicy zamierzali się go pozbyć z kancelarii, postanowił gromadzić wszystko, co mu w ręce wpadnie.

— Aha. Do tego nie powiodło mu się w małżeństwie, toteż zgarnął pieniądze i nawiał.

— Odwrotnie. Najpierw zniknął, a dopiero później zgarnął forszę.

— Wszystko jedno. W każdym razie teraz chciałby się z nami dogadać?

— Oczywiście. Czy to nieuczciwa propozycja?

250

— A co z oskarżeniem o zabójstwo?

— To całkiem inna sprawa, nie powinna was obchodzić. Tamtym oskarżeniem zajmijmy się w następnej kolejności.

— Niewykluczone, że to morderstwo zacznie nas żywo interesować.

— Raczej nic z tego. Wam przypadło w udziale oskarżenie o kradzież dziewięćdziesięciu milionów dolarów, sprawa morderstwa pozostała w gestii stanowego wymiaru sprawiedliwości. Jeśli nawet teraz nie bardzo wam to pasuje, i tak nie macie większych szans na zmianę warunków umowy z prokuratorem okręgowym.

Cutter właśnie za to nienawidził prawników, że niełatwo im było zamydlić oczy.

— To spotkanie powinno być czystą formalnością — ciągnął Sandy. — Zwra-cam się do pana, bo nie chcę robić żadnego szumu. Ale gotów jestem jutro od samego rana zacząć wydzwaniać do Waszyngtonu. Chciałem najpierw przedstawić tę propozycję panu, gdyż miałem nadzieję, że będzie pan zainteresowany.

Skoro jest inaczej, załatwię spotkanie przez telefon.

— Z kim chciałby pan rozmawiać?

— Z ludźmi mającymi odpowiednie uprawnienia, zarówno z FBI, jak i z Departamentu Sprawiedliwości. Spotkajmy się w jakiejś sali konferencyjnej, a wtedy wyłożę wszystkie dowody na stół.

— Muszę się skontaktować z Waszyngtonem. I byłoby lepiej dla pana, gdyby to były naprawdę mocne dowody.

Uścisnęli sobie dłonie i Sandy szybko wyszedł na ulicę.

Rozdział 31

Pani Stephano znów mogła spać spokojnie. Denerwujący młodzi ludzie w identycznych ciemnych garniturach w końcu wynieśli się sprzed ich domu, a sąsiedzi przestali wydzwaniać z kłopotliwymi pytaniami. Plotki zaś łatwo było zlekceważyć. No i powrócił wreszcie mąż.

Chrapała więc sobie smacznie, kiedy o wpół do szóstej obudził ją dzwonek telefonu. Sięgnęła po słuchawkę.

— Halo!

— Czy mógłbym rozmawiać z Jackiem Stephano? — zapytał stanowczy, męski głos.

— A kto mówi?

— Hamilton Jaynes z FBI.

— Och, mój Boże! — jęknęła kobieta i zakrywszy dłonią mikrofon, szepnęła do męża, który właśnie siadał w łóżku: — Jack, to znowu FBI!

Ten zapalił nocną lampkę, spojrzął na zegarek i wziął od niej słuchawkę.

— Kto mówi?

— Witaj, Jack. Tu Hamilton Jaynes. Przykro mi, że dzwonię tak wcześnie.

— To trzeba było tego nie robić.

— Chciałem cię tylko powiadomić, że mamy w areszcie tę dziewczynę, Evę Mirandę. Jest bezpieczna, zatem możesz odwołać swoje psy gończe.

Detektyw szybko odrzucił kołdrę i stanął przy łóżku. Oto przepadła jego ostatnia nadzieja. Poszukiwanie zaginionych pieniędzy można było definitywnie za-kończyć.

— Gdzie ją trzymacie? — zapytał, chociaż nie spodziewał się uzyskać konkretnej odpowiedzi.

— Powinno ci wystarczyć, że ją mamy, Jack. Znajduje się pod naszą pieczęcią.

— Gratulacje.

— Posłuchaj, Jack. Wysłałem już swoich ludzi do Brazylii, żeby zbadali okoliczności porwania jej ojca. Daję ci dwadzieścia cztery godziny. Jeśli do jutra, do piątej trzydzieści, Paulo Miranda nie zostanie uwolniony, będę musiał aresztować i ciebie, i Aricię. Do diabła, mam coraz większą ochotę zgarnąć także Atterso-252

na z towarzystwa Monarch-Sierra i Jilla z Northern Case Mutual. Pomijając inne sprawy, chętnie bym z tymi panami porozmawiał na osobności.

— Widzę, że szantaż sprawia ci olbrzymią frajdę.

— Uwielbiam to. Z radością pomógłbym Brazylijczykowi wystąpić o waszą ekstradycję, a pewnie wiesz, że formalności zajęłyby kilka miesięcy. W takich wypadkach nie wchodzi w grę zwolnienie za kaucją, zatem wszyscy spędzilibyście Boże Narodzenie za kratkami. Później, kto wie, może sąd by zatwierdził ekstradycję, toteż wylądowalibyście w Rio. Podobno plaże są tam przeurocze. Jesteś tam jeszcze, Jack?

— Owszem.

— Pamiętaj, dwadzieścia cztery godziny.

Połączenie zostało przerwane. Stephano obejrzał się, lecz jego żona była w łazience, zapewne znów roztrzęsiona, jakby nie miała ochoty widzieć go więcej na oczy.

Zszedł do kuchni i nastawił ekspres do kawy. Nie zapalając światła, usiadł

przy stole i popatrzył na jaśniejące z wolna niebo za oknem. Był już zmęczony sprawą Aricii.

Otrzymał jednak zadanie odnalezienia Patricka i skradzionych pieniędzy. Nic go nie obchodziło, skąd się one wzięły. Wystąpienie Aricii przeciwko macierzystej firmie Platt & Rockland znał tylko w ogólnych zarysach, lecz od początku podejrzewał, że kryje się za tym jakiś szwindel. Kilka razy próbował nakierować rozmowę na temat wydarzeń poprzedzających tajemnicze zniknięcie Lanigana, lecz Aricia milczał jak grób.

Po cichu żywił również przekonanie, że instalacja podsłuchowa w kancelarii adwokackiej miała służyć dwóm celom: odkryciu brudnych sprawek Bogana i jego klientów, a zwłaszcza Aricii, oraz poznaniu szczegółów dotyczących przelewu gigantycznej nagrody. Z pewnością nikt nie zdawał sobie sprawy, może poza adwokatami i Bennym Aricią, jak wiele obciążających dowodów zdołał zebrać Lanigan za jej pośrednictwem. A Stephano był niemal pewien, że jest tego bardzo dużo.

Kiedy pieniądze zniknęły z banku, on zaś przystąpił do realizacji zlecenia, współpracownicy z kancelarii stanowczo odmówili udziału w powstającym konsorcjum.

Stracili trzydzieści milionów dolarów, woleli się jednak wycofać i w zaciszu gabinetów lizać swoje rany. Rzekomo postąpili tak z powodu braku funduszy. To prawda, że byli zrujnowani, a najbliższa przyszłość miała ich doprowadzić do bankructwa, nic więc dziwnego, że nie chcieli partycypować w kosztownych po-szukiwaniach. Niemniej w rozmowach z prawnikami Jack wyczuwał, iż wcale nie zależy im na odnalezieniu Lanigana.

Widocznie obawiali się ujawnienia demaskatorskich nagrań. Patrick musiał

przyłapać ich na gorącym uczynku. Jeśli więc nawet po zniknięciu pieniędzy ich los stał się marny, to i tak był o wiele lepszy od koszmaru, jakim mogło być 253

schwywanie Lanigana.

To samo dotyczyło Aricii. Toteż odczekawszy godzinę, Stephano zadzwonił

do niego.

O wpół do siódmej w gabinecie Hamiltona Jaynesa zrobiło się ciasno. Dwaj agenci rozsiedli się na sofie i zaczęli czytać ostatnie raporty wysłanników z Rio.

Trzeci zajął posterunek tuż przy biurku i czekał na meldunek w sprawie miejsca pobytu Benny'ego Aricii. Ten zaś wciąż przebywał w wynajętym domku letniskowym w Biloxi.

Przy drugim końcu biurka kolejny agent wczytywał się w sprawozdanie z zatrzymania Evy Mirandy. Tymczasem sekretarka wносиła do pokoju kolejne porcje papierów. Jaynes siedział w swoim fotelu, bez marynarki, w poluzowanym krawacie, i rozmawiał przez telefon, starając się nie zwracać uwagi na to, co się wokół

niego dzieje.

Taką sytuację zastał Joshua Cutter, który z podkrążonymi i zaczerwienionymi oczyma wkroczył do gabinetu. Przespał jedynie dwie godziny na lotnisku w Atlancie, gdy czekał na samolot do Waszyngtonu. Szef wysłał po niego służ-

bowy samochód, toteż prosto z lotniska agent trafił do gmachu Hoovera. Na jego widok Jaynes natychmiast odłożył słuchawkę i wyprosił wszystkich z pokoju.

— Zrób nam kawy, byle mocnej i dużo — warknął do sekretarki.

Kiedy zostali sami, Cutter opadł ciężko na krzesło przy wielkim biurku. Mimo zmęczenia starał się zachować klarowność umysłu. Jeszcze nigdy przedtem nie został wezwany na spotkanie w cztery oczy z wicedyrektorem biura.

— No więc słucham — rzucił Jaynes.

— Lanigan chce zawrzeć umowę. Twierdzi, że dysponuje dowodami wystarczającymi do oskarżenia Aricii, jego adwokatów i jakiegoś nie wymienionego z nazwiska senatora.

— Co to za dowody?

— Podobno wielkie pudło pełne kopii dokumentów i kaset z nagranyimi rozmowami, które starannie gromadził przed upozorowaniem wypadku.

— Widziałeś to pudło?

— Nie, ale McDermott utrzymuje, że wozi je ze sobą w bagażniku.

— A co z pieniędzmi?

— W ogóle nie rozmawialiśmy na ten temat. Adwokat chce się spotkać z panem oraz z kimś z Departamentu Sprawiedliwości, żeby szerzej omówić warunki proponowanej ugody. Odniosłem wrażenie, że Lanigan będzie chciał się wykupić od wszystkich stawianych mu zarzutów.

— Zawsze istnieje taka możliwość, gdy się dysponuje kupą skradzionej forsy.

Gdzie chcą zorganizować to spotkanie?

— Na miejscu, gdzieś w Biloxi.

254

— Zadzwoń do Sprawlinga z Departamentu Sprawiedliwości — mruknął

Jaynes, jak gdyby do siebie, sięgając szybko po słuchawkę telefonu.

Sekretarka przyniosła świeżo zaparzoną kawę.

Mark Birck nerwowo postukiwał długopisem w blat stołu, czekając w sali odwiedzin aresztu federalnego. Dochodziła dziewiąta, było więc o wiele za wcześnie na spotkania adwokatów z klientami, on jednak skorzystał ze swoich znajomo-

ści w administracji więzienia. Wyjaśnił krótko, że chodzi o sprawę nie cierpiącą zwłoki. Przepierzenia po obu stronach oddzielały go od innych stanowisk, tafla zbrojonego szkła rozcinała blat na dwie połowy, rozmawiać można było tylko przez wycięty w niej otwór, zabezpieczony gęstą drucianą siatką.

Zmuszony był czekać aż pół godziny, zanim wreszcie bocznymi drzwiami wprowadzono aresztantkę. Miała na sobie żółty jednoczęściowy kombinezon ze spranym szarawym numerem wydrukowanym na piersi. Strażniczka zdjęła jej kajdanki. Miranda szybko rozmasowała sobie nadgarstki.

Kiedy zostali sami, niepewnie usiadła na krześle i spojrzała na niego. Przez maleńką szczelinę pod szybą podała jej swoją wizytówkę. Chwyciła ją pospiesznie i wpatrywała się długo, jakby chciała dokładnie zapamiętać kształt każdej litery.

— Przysłał mnie Patrick — powiedział.

Brazylijka zamknęła oczy.

— Dobrze się pani czuje? — spytał.

Oparła się łokciami o blat, pochyliła ku szybie i odparła cicho:

— Tak, wszystko w porządku. Dziękuję, że pan przyjechał. Kiedy będę mogła stąd wyjść?

— Dopiero za kilka dni. To zależy od decyzji tych z FBI. Będzie kiepsko, jeśli wysuną oficjalnie zarzut posługiwania się fałszywym paszportem. Na szczęście nie jest to zbyt prawdopodobne, gdyż ma pani obywatelstwo brazylijskie i nie by-

ła dotąd notowana. Najpewniej zostanie pani deportowana, przy czym będzie musiała obiecać, że nigdy więcej nie przekroczy granicy Stanów Zjednoczonych. Tak czy inaczej, podjęcie decyzji zajmie kilka dni. Będzie więc pani musiała poczekać w areszcie, gdyż tego rodzaju przestępstwa wykluczają możliwość zwolnienia za kaucją.

— Rozumiem.

— Patrick bardzo się o panią martwi.

— Wiem. Proszę mu przekazać, że nic mi nie jest i także się o niego martwię.

Birck otworzył notatnik i rzekł:

— Proszę mi teraz, na jego prośbę, przedstawić dokładnie okoliczności swego ujęcia.

Eva uśmiechnęła się lekko, sprawiała wrażenie rozluźnionej. To jasne, że Patrick chciał poznać wszystkie szczegóły. Zaczęła więc swoją relację od spotkania 255

z tajemniczym mężczyzną o zielonkawych oczach.

Benny wielokrotnie drwił z wybrzeża zatoki w Biloxi, mawiał, że to parodia prawdziwej plaży, skoro wąziutki pas piasku jest z jednej strony ograniczony przez autostradę, zbyt ruchliwą, by nawet przeskoczyć ją w paru susach, z drugiej zaś przez brunatne, mętne wody, zbyt zdradliwe, by się w nich kąpać. Latem mogła skusić jedynie najuboższych amatorów wypoczynku nad morzem, w czasie weekendów zaś głównie studentów, zapaleńców żeglarstwa oraz nart wodnych.

Gwałtowny rozwój kasyn gry przyciągnął w ten rejon liczną rzeszę turystów, ale miłośnicy hazardu rzadko się pojawiali na plaży.

Wbrew swoim poglądom Aricia zaparkował samochód niedaleko przystani, zapalił długie cygaro, zdjął buty i skarpetki, po czym ruszył bosy po piasku. Na szczęście, także dzięki rozwojowi kasyn, plaża była ostatnio regularnie sprzątana.

Ale o tej porze roku świeciła pustkami. Na wodach zatoki kołysało się tylko parę kutrów rybackich.

Telefoniczna wiadomość od Stephano całkowicie zepsuła mu nastrój. Jeszcze gorsze było to, że miała stać się przyczyną gruntownych zmian w jego życiu. Skoro dziewczyna została ujęta przez FBI, on tracił wszelkie szanse na odzyskanie skradzionych pieniędzy. Ani nie była już w stanie doprowadzić do nich wywiadowców, ani też nie mogła być wykorzystana do szantażowania Lanigana.

Biuro federalne postawiło Patricka w stan oskarżenia, ten jednak dysponował

pieniędzmi oraz dowodami przestępstwa. Według wszelkiego prawdopodobień-

stwa powinno dojść do ugody, a wówczas on znalazłby się w bardzo trudnej sytuacji. Gdyby jeszcze Bogan i jego żalśni konspiracyjni wspólnicy zostali poddani presji, z pewnością cała prawda wyszłaby na jaw. Tak czy inaczej wszystko musia-

ło się skupić na nim, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. W gruncie rzeczy od dawna to podejrzewał, jedynie łudził się jeszcze, że jakimś cudem zdoła odzyskać pieniądze i zniknąć bez śladu, tak jak Lanigan.

Teraz mógł już o tym zapomnieć. Został mu tylko milion dolarów, ale miał

jeszcze wielu przyjaciół i dobrych znajomych na całym świecie. Trzeba było iść w ślady Patricka.

Sandy umówił się na dziesiątą w gabinecie prokuratora okręgowego, Parrisha, miał jednak wielką ochotę odwołać to spotkanie i poświęcić całe przedpołudnie na porządkowanie papierów. Kiedy wychodził z biura o wpół do dziewiątej, wszyscy pracownicy jego kancelarii, nie wyłączając obu współników, pochłonięci byli kopiowaniem dokumentów i sporządzaniem notatek.

To Parrish domagał się tego spotkania, Sandy był jednak prawie pewien, że zna jego powód. Śledztwo w sprawie zabójstwa utknęło w martwym punkcie, 256

pierwsze emocje przygasły, toteż prokurator postanowił przystąpić do rozmów.

Zawsze działało się tak samo, kiedy dowody były niewystarczające do uzyskania pewnego wyroku i zanosilo się na proces poszlakowy.

Przede wszystkim Parrish chciał go wysondować, ale wpierw musiał oczywi-

ście postraszyć, pohuczyć i odegrać swą rolę. To jasne, iż żaden skład ławy przysięgłych nie mógł patrzeć przychylnie na prawnika, który dopuszcza się zbrodni w celu zdobycia pieniędzy. Ale McDermott nie zabierał głosu, tylko słuchał.

A prokurator, co zrozumiałe, zaczął się chełpić swoimi osiągnięciami: zdumiewająco wysokim procentem uzyskanych wyroków skazujących, zwłaszcza w sprawach o morderstwa z premedytacją, z których żadnej nie przegrał, a miał ich na koncie aż osiem.

Na pewnym etapie Sandy doszedł do wniosku, że traci jedynie czas. Miał do omówienia z Parrishem kilka ważnych spraw, lecz musiały one jeszcze poczekać. Zapytał więc, jak tamten zamierza udowodnić, że do tego morderstwa doszło w okręgu Harrison. Później się zainteresował, czy istnieją jakiegokolwiek przesłanki pozwalające określić przyczynę śmierci. Patrick nie miał najmniejszej ochoty udzielać szczegółowych wyjaśnień, zatem te sprawy nadal pozostawały zagadką.

A dochodziło przecież najważniejsze pytanie: kim była ofiara? Według przeprowadzonej przez niego wstępnej analizy w całej historii sądownictwa stanu Missisipi nie zdarzył się jeszcze wypadek oskarżenia kogoś o morderstwo, jeśli nie zdołano wcześniej zidentyfikować ofiary.

Parrish ze spokojem wysłuchał tychże pytań, po czym poświęcił sporo energii na sprytnie uniknięcie jakichkolwiek konkretnych odpowiedzi.

— Czy pański klient rozważał możliwość przyznania się do winy, aby uzyskać łagodniejszy wyrok?
— zapytał.

— Nie.

— A weźmie to pod uwagę?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo to pan wystąpił z wnioskiem do komisji przysięgłych, pan wywalczył

oskarżenie o morderstwo z premedytacją i także pan podał sprawę do wiadomości publicznej, więc teraz proszę udowodnić swoje zarzuty. Bardzo się panu spieszy-

ło, nie pomyślał pan o skonfrontowaniu dowodów z zeznaniami podejrzanego.

Nie może być mowy o przyznaniu się do winy.

— Bez trudu uzyskam wyrok skazujący, jeśli zmienię oskarżenie na nieumyślne zabójstwo — rzucił ze złością Parrish. — A to i tak będzie oznaczało dwadzie-

ścia lat więzienia.

— Niewykluczone — mruknął Sandy znudzonym głosem. — Lecz na razie mój klient jest oskarżony o morderstwo z premedytacją.

— Już jutro mogę złożyć odpowiedni wniosek.

257

— Doskonale. Proszę to zrobić. Będziemy inaczej rozmawiać, kiedy zmieni pan treść oskarżenia.

Rozdział 32

Apartament nosił nazwę „Camille Suit” i zajmował trzecią część ostatniego piętra „Biloxi Nugget”, najnowszego, największego i najwytworniejszego kasyna w stylu Las Vegas na południowym wybrzeżu. Z niewiadomych powodów właściciele kasyna postanowili ochrzcić apartamenty i sale bankietowe imionami słynnych huraganów, jakie pustoszyły rejon Zatoki Meksykańskiej. Dla zwykłego śmiertelnika, któremu zależało na wynajęciu przestronnych pomieszczeń, apartament kosztował siedemset pięćdziesiąt dolarów za dobę. Sandy przystał na tę cenę, a jego klient, przebywający w odległym o pięć kilometrów szpitalu, zaaprobował taki wydatek. McDermott doszedł do wniosku, że będzie to odpowiednie lokum dla przyjeźdnego, świetnie opłacanego adwokata. Nie zamierzał jednak korzystać z pozostałych atrakcji kasyna. Apartament składał się z dwóch sypialni, kuchni, salonu oraz dwóch pokoi gościnnych, oferował wystarczająco wiele przestrzeni na zorganizowanie wszelkiego typu spotkań. Oprócz czterech niezależnych linii telefonicznych był ponadto wyposażony w telefaks oraz telewizor i magnetowid. Aplikant z jego kancelarii szybko przywiózł z Nowego Orleanu komputer i sporą część materiałów dotyczących oszustwa Aricii.

Pierwszym klientem, jakiego Sandy przyjął w tymczasowym biurze, był J.

Murray Riddleton, adwokat prowadzący sprawę rozwodową Trudy. Przedstawił

pisemną propozycję ugody, której warunki podyktował wcześniej Patrick. Niektóre szczegóły przedyskutowali podczas lunchu, a McDermott, będąc obecnie stroną narzucającą swą wolę, poczuł się zobligowany do wytknięcia pewnych nie-dociągnięć. Nanosząc poprawki czerwonym długopisem, kilkakrotnie mruknął od niechcienia:

— To całkiem niezła wstępna wersja umowy.

Riddleton znosił upokorzenie z godnością profesjonalisty. Próbował się spierać w kwestii niektórych

postanowień i otwarcie narzekał na rygorystyczne warunki ugody, niemniej obaj zdawali sobie sprawę, że ostateczna wersja dokumentu będzie miała taką postać, jakiej zażyczy sobie Lanigan. Wyniki analizy kodu DNA dziecka oraz zdjęcia nagich kochanków zadecydowały o wszystkim.

Jako drugi zjawił się w apartamencie Talbot Mims, lokalny radca prawny to-259

warzystwa Northern Case Mutual — nad podziw energiczny i ruchliwy mężczyzna podróżujący po całym stanie wielką furgonetką prowadzoną przez zawodowego szofera, wyposażoną w toaletę i obite skórą meble, stanowisko do pracy z dwoma telefonami, faksem, komputerem, telewizorem i odtwarzaczem wideo, służącym do przeglądania zarejestrowanych uprzednio zeznań świadków, a także sofę, chociaż prawnik rzadko z niej korzystał, ucinając sobie drzemkę jedynie po męczących posiedzeniach w sądzie. Przybył do kasyna w asyście sekretarki i aplikanta, którzy mieli obowiązek zawsze nosić przy sobie telefon komórkowy, oraz pewnego zatrudnianego dorywczo pomocnika, zajmującego się wyszukiwaniem różnych materiałów.

Cała czwórka przedstawiła się uprzejmie przed wejściem do „Camille Suit”.

Sandy powitał ich w dżinsach oraz bawełnianej koszulce i zaproponował napoje gazowane z baru na dole, lecz goście odmówili. Sekretarka i aplikant przeszli do sąsiedniego pokoju i zaczęli natychmiast dokądś wydzwaniać. McDermott poprowadził Mimsa z asystentem do salonu i wskazał im miejsca przy panoramicznym oknie, za którym rozciągał się widok na gigantyczny parking kasyna oraz konstrukcję ze stalowych szyn, zapowiadającą bliskie narodziny kolejnego przybytku hazardu.

— Przejdę od razu do rzeczy — zaczął Sandy. — Czy zna pan niejakiego Jacka Stephano?

— Nie — odparł Mims po krótkim zastanowieniu.

— Na pewno? Ten paskudny typek jest waszyngtońskim prywatnym detek-tywem, wynajętym przez Aricię, Northern Case Mutual oraz Monarch-Sierra do odnalezienia Patricka Lanigana.

— Czyżby?

— Proszę spojrzeć.

Sandy sięgnął do szuflady i wyjął plik fotografii. Mims pospiesznie rozłożył na brzegu biurka zdjęcia ukazujące ze szczegółami obrażenia Patricka.

— To te same zdjęcia, które publikowano w gazetach, prawda?

— Owszem, niektóre.

— Tak, już pamiętam. Pokazywał je pan dziennikarzom, występując z pozwem przeciwko FBI.

— Ale to nie FBI zadało te rany mojemu klientowi, panie Mims.

— Naprawdę?

Radca jednym ruchem zgarnął odbitki i oddał je Sandy'emu.

— To nie FBI odnalazło Lanigana w Brazylii.

— Więc czemu zaskarżył pan biuro federalne?

— Żeby poruszyć opinię publiczną i zyskać choć trochę sympatii dla mojego klienta.

— Chyba nic z tego nie wyszło.

260

— Może pana te zdjęcia nie poruszyły, ale to nie pan zasiądzie w ławie przysięgłych. W każdym razie owe rany są wynikiem długotrwałych tortur, jakim mój klient został poddany przez najemnych zbirów tegoż Jacka Stephano, wykonującego wspólne zlecenie kilku klientów, wśród których znalazło się również towarzystwo Northern Case Mutual, ciesząca się świetną opinią renomowana firma ubezpieczeniowa, operująca funduszami wynoszącymi około sześciu miliardów dolarów.

Talbot Mims był nadzwyczaj pragmatycznym człowiekiem, bo i takim musiał

być na stanowisku radcy prawnego. Mając pod swą pieczęć ponad trzysta otwartych spraw, reprezentując interesy osiemnastu dużych towarzystw ubezpieczeniowych, po prostu nie miał czasu na żadne podejrzane rozgrywki.

— Dwa pytania — rzucił krótko. — Czy może pan to udowodnić?

— Tak. FBI potwierdzi tę informację.

— Więc czego pan żąda?

— Spotkania z przedstawicielem ścisłego kierownictwa Northern Case Mutual, mającym bardzo szerokie uprawnienia. Już jutro, w tym pokoju.

— To bardzo zajęci ludzie, panie McDermott.

— Wszyscy jesteśmy bardzo zajęci. Tu nie chodzi o groźbę wystąpienia są-

dowego. Proszę pomyśleć, jak się odbije na interesach firmy opublikowanie tych informacji.

— Dla mnie nadal brzmi to jak groźba.

— Niech pan to sobie traktuje jak chce.

— O której ma się odbyć spotkanie?

— O szesnastej.

— Załatwione.

Mims pospiesznie uściskał mu dłoń na pożegnanie i wypadł na korytarz, poganiając swoich współpracowników.

Wczesnym popołudniem zjawiała się ekipa Sandy'ego. Sekretarka natychmiast zasiadła przy telefonie, który dzwonił już regularnie co dziesięć minut. McDermott poprosił ją o połączenie kolejno z Cutterem, Parrishem, szeryfem Sweeneyem, Markiem Birckiem z Miami, sędzią Huskeyem, kilkoma adwokatami z Biloxi oraz Maurice'em Mastem, prokuratorem federalnym na zachodni dystrykt Missisipi. Dwukrotnie zadzwonił też do żony, by się dowiedzieć, co słyhać w domu, po czym bez entuzjazmu skontaktował się z dyrektorem podstawówki w sprawie swego syna, trzecioklasisty.

Z Halem Laddem rozmawiał dotąd dwukrotnie przez telefon, lecz poznał go osobiście dopiero tutaj, w apartamencie kasyna. Ladd reprezentował towarzystwo Monarch-Sierra. Przybył na spotkanie sam, co niepomiernie zdumiało Sandy'ego, jako że jego zdaniem obrońcy firm ubezpieczeniowych nieodmiennie występowa-261

li parami. Niezależnie od typu rozpatrywanej sprawy, niczym syjamskie bliźnięta tak samo potakiwali głowami, wysłuchiwali skarg, sporządzali notatki oraz, co najistotniejsze, obaj tymi samymi słowami utyskiwali na klienta. Sandy znał nawet dwie duże, bogate firmy z Nowego Orleanu, które wypracowały system trój-kowy do wszelkich dyskusji na temat roszczeń swoich klientów.

Niemniej Ladd, nadzwyczaj poważny i sumienny czterdziestoparolatek, cieszył się taką renomą wśród miejscowych prawników, że z powodzeniem mógł

występować w pojedynkę. Skorzystał z proponowanego poczęstunku i uprzejmie poprosił o dietetyczną coca-colę, po czym zajął to samo miejsce, które wcześniej zwolnił Mims.

Sandy zaczął od identycznego pytania:

— Czy zna pan niejakiego Jacka Stephano?

— Nie.

Musiał zatem powtórzyć krótkie wprowadzenie w sprawę, a następnie roz-

łożyć na biurku te same odbitki. Przez chwilę rozmawiali na temat ran Patricka, nie będących wynikiem działania agentów FBI, jak szybko wyjaśnił McDermott. Ladd znacznie szybciej domyślił się tego, co nie zostało jeszcze powiedziane wprost. Od wielu lat reprezentując towarzystwa ubezpieczeniowe, zdążył

się nauczyć, iż należy unikać wszelkich głębin, które mogą wciągnąć człowieka w przepastną otchłań.

— Zakładam, że potrafi pan to udowodnić — rzekł, mimo wszystko zdumiony.

— Jestem pewien, że mój klient będzie wolał po cichu zawrzeć ugodę.

— Nic dziwnego. W każdej chwili mogę wycofać pozew przeciwko FBI, a skierować te same oskarżenia wobec pańskiej firmy, Northern Case Mutual, Aricii, Stephano oraz wobec osób

bezpośrednio odpowiedzialnych za torturowanie Lanigana. Wszak chodzi tu o amerykańskiego obywatela, świadomie okaleczo-nego przez przedstawicieli amerykańskich instytucji. Cywilna rozprawa mogłaby przynieść wielomilionowe odszkodowanie. W dodatku toczyłaby się przed tutejszym sądem, w Biloxi.

Co zrozumiałe, Laddowi ta perspektywa całkiem nie odpowiadała. Błyskawicznie zgodził się zadzwonić do centrali towarzystwa i wezwać na spotkanie do Biloxi pełnomocnego reprezentanta firmy. Był wyraźnie rozwścieczony na zarząd spółki, który bez jego wiedzy zlecił poszukiwanie Lanigana.

— Jeśli to wszystko okaże się prawdą — rzekł na pożegnanie — zrezygnuję z przedstawicielstwa.

— Może mi pan zaufać, że nie kłamię — odparł McDermott.

Po zmroku Paulo Mirandę skuto kajdankami, przewiązano mu oczy i wyprowadzono z domu. Tym razem nikt mu nie przystawiał pistoletu do skroni, nikt nie groził, wszystko odbywało się w całkowitym milczeniu. Znalazł się sam na 262

tylnym siedzeniu jakiegoś małego auta, w którym podróżował mniej więcej przez godzinę. Z głośnika radia płynęła ścisza muzyka klasyczna.

Wreszcie wóz się zatrzymał, trzasnęły drzwi i Paulo został wyciągnięty na zewnątrz.

— Chodź — mruknął mu ktoś tuż przy uchu, biorąc go pod ramię.

Miranda wyczuł, że idą po jakiejś wysypanej żwirze nawierzchni. Zatrzymali się sto metrów dalej. Mężczyzna powiedział:

— Jesteś na bocznej drodze dwadzieścia kilometrów od Rio. Trzysta metrów przed tobą, po lewej, są zabudowania, gdzie znajdziesz telefon. Idź tam. Tylko pamiętaj, trzymam pistolet. Jeśli choć raz się obejrzysz, nie będę miał innego wyjścia, jak cię zastrzelić.

— Nie będę się oglądał — odparł szybko rozdygotany profesor.

— To dobrze. Teraz zdejmę ci kajdanki, a później opaskę z oczu.

— Nie będę się oglądał — powtórzył Miranda.

Odzyskał swobodę poruszania rękoma.

— Kiedy tylko zdejmę opaskę, ruszaj natychmiast przed siebie.

Odzyskawszy także wzrok, pochylił głowę i puścił się truchtem drogą. Na-słuchiwał, lecz zza pleców nie doleciał żaden odgłos. Nie miał jednak odwagi zerknąć do tyłu.

Z farmy zawiadomił najpierw policję, później zadzwonił do syna.

Dwie protokolantki sądowe zjawily się punktualnie o ósmej. Obie nosily to samo imię, Linda, tyle że jedna pisala je przez „i”, a druga przez „y”. Wręczyly Sandy’emu swoje wizytówki i ten poprowadzil je do salonu, gdzie meble zostaly porozstawiane pod ścianami, przyniesiono tez dodatkowe krzesla. Lyndę posadzil

w jednym koncu pokoju, tyłem do okna zaciagniętego ciężkimi kotarami, Lindę zaś obok przejścia do sąsiedniego pomieszczenia, tuż przy barku, skąd takze roztaczal się widok na wszystkie przygotowane stanowiska. Obie wyrazily jeszcze chęć wypalenia ostatniego papierosa, toteż zaprowadzil je do ostatniej, nie używanej sypialni.

Następnie przybył Jaynes ze swoją świtą: osobistym kierowcą, starszym agentem federalnym pełniącym jednocześnie funkcje ochroniarza i chłopca na posyłki, oraz radcą prawnym FBI. Przyprowadzil tez ze sobą Cuttera i jego bezpośredniego przełożonego. Biuro prokuratora generalnego reprezentował Sprawling, czar-nooki weteran sal sądowych, znany z tego, że jak magnetofon potrafil rejestrować wypowiedzi. Każdy z tej szóstki był w eleganckim garniturze, czarnym bądź

granatowym, i każdy wręczył gospodarzowi wizytówkę, ten zaś przekazał je aplikantowi ze swojej kancelarii. Kiedy sekretarka zebrała zamówienia na kawę, cała grupa bez pośpiechu przeszła do salonu.

Jako następny przyszedł Maurice Mast, prokurator federalny zachodniego dystryktu Missisipi, któremu towarzyszył tylko jeden asystent. Tuż za nim zjawił się Parrish, wyjątkowo sam, dopełniając listę uczestników spotkania.

Mniej ważni goście, zapewne wypełniając ścisłe polecenia, zajeli wybrane przez siebie stanowiska. Kierowca Jaynesa oraz asystent Masta zostali w kory-tarzyku, gdzie czekała już taca z pączkami oraz świeże gazety.

Sandy zamknął drzwi saloniku, rzucił ogólnie: „dzień dobry”, po czym uprzejmie podziękował wszystkim za przybycie. Szybko przystąpił do rozsadzania go-

ści, którzy zachowywali niezwykłą powagę, jakby unieszczęśliwieni konieczno-

ścią udziału w tym zebraniu. Wyczuwalo się tez spore podniecenie.

Następnie Sandy przedstawił obie protokolantki, wyjaśniając jednocześnie, że zapis prowadzonych rozmów pozostanie ścisłą tajemnicą i posłuży wyłącznie do 264

celów archiwalnych. To oświadczenie wyraźnie rozluźnilo atmosferę. Nie było jednak ani pytań, ani komentarzy w tej kwestii. Wszyscy byli widać dogłębnie przeświadczeni, że znają temat dyskusji.

Na biurku leżał notatnik, czekało kilkanaście stron rozpisanego szczegółowo planu. Sandy przygotował się tak, jakby miał wystąpić przed ławą przysięgłych.

Przekazał zgromadzonym pozdrowienia od swego klienta, informując zarazem, że jego rany stopniowo się goją. Wyliczył następnie wszystkie formalne zarzuty stawiane Laniganowi: ze strony

władz stanowych oskarżenie o morderstwo z premedytacją, ze strony władz federalnych o kradzież, defraudację majątku firmy oraz nielegalne opuszczenie kraju. Za pierwsze przestępstwo groziła kara śmierci, za pozostałe można było dostać łącznie trzydzieści lat więzienia.

— Oskarżenia władz federalnych są bardzo poważne — rzekł posępnym tonem — ale wydają się bez znaczenia w porównaniu z zarzutem popełnienia morderstwa. Dlatego też, przy zachowaniu pełnego szacunku dla poszczególnych instytucji, wolałbym najpierw oczyścić mego klienta z zarzutów władz federalnych, by później skoncentrować się na najcięższym oskarżeniu.

— Czyżby miał pan jakiś plan uwolnienia Lanigana od zarzutów stawianych przez instytucje federalne? — zapytał Jaynes.

— Chcę przedstawić pewną propozycję.

— Czy obejmuje ona także kwestię skradzionych pieniędzy?

— Tak, obejmuje.

— Zatem nas to nie zainteresuje. Pieniądze zostały skradzione osobie prywatnej, a nie instytucjom państwowym.

— I tu się pan myli.

— Naprawdę sądzi pan, że Lanigan zdoła się wykupić od odpowiedzialności?

— wtrącił szybko Sprawling.

Miało to być ewidentne wyzwanie, rzucone stanowczo, lekko chrapliwym głosem, przez człowieka mającego olbrzymią władzę.

Ale Sandy nie przejął się tym, że ów substytut składu sędziowskiego okazuje mu niechęć. Postanowił ściśle trzymać się planu.

— Jeśli panowie pozwolą, przedstawię swoją propozycję, a później będziemy mogli omówić jej szczegóły. Zakładam, że jest panom znane wystąpienie Benjamina Aricii z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, w którym, na podstawie przepisów ustawy antymalwersacyjnej, oskarżył on kierownictwo macierzystej firmy. Od strony formalnej wystąpienie przygotował Bogan, tutejszy prawnik z Biloxi, właściciel kancelarii adwokackiej i ówczesny pracodawca Patricka Lanigana. Otóż to wystąpienie zostało oparte na sfałszowanych dokumentach. Mój klient przypadkiem zwietrył tę aferę, a nieco później, po zatwierdzeniu przez Departament Sprawiedliwości nagrody dla Aricii, ale przed wypłaceniem pieniędzy, dowiedział się również, że współnicy chcą się go pozbyć z firmy.

W ciągu paru następnych miesięcy skrzętnie gromadził materiały, na podstawie 265

których można dowieść niezbicie, iż Aricia i jego adwokaci uknuli spisek zmierzający do wyłudzenia ze skarbu państwa dziewięćdziesięciu milionów dolarów.

Tenże materiał dowodowy jest dostępny w formie kopii różnych dokumentów oraz magnetofonowych zapisów rozmów.

— Gdzie on się znajduje? — zapytał Jaynes.

— Pozostaje pod pieczęcią mojego klienta.

— Chyba wie pan, że i tak możemy go przejąć. Wystarczy nakaz rewizji, na jego podstawie zdobędziemy materiały w dowolnym momencie.

— A jeśli mój klient zlekceważy nakaz? Równie dobrze może zniszczyć dowody bądź ukryć je gdziekolwiek. Co mu zrobicie? Aresztujecie go? Wystąpicie z kolejnym oskarżeniem? Przecież to jasne, że on się nie boi żadnych oficjalnych nakazów.

— Pana to nie dotyczy — odparł Jaynes. — Jeśli natomiast to pan ma te dowody, możemy zaskarżyć również pana.

— To nic nie da. Dobrze wiecie, panowie, że wszystko, czego się dowiaduję od klienta, jest objęte tajemnicą zawodową. A ja wiele rzeczy mogę zaliczyć do kategorii materiałów związanych z prowadzoną sprawą. Proszę też nie zapominać, że Aricia zaskarżył mojego klienta, więc dokumenty mogą być również powiązane z drugą sprawą. Zatem w żadnych okolicznościach nie mógłbym nikomu udostępnić poufnych materiałów mojego klienta bez jego zgody.

— Nawet na mocy wyroku sądowego? — wtrącił Sprawling.

— Gdyby takowy zapadł, natychmiast bym się od niego odwołał. Zresztą nie sądzę, aby zdołali panowie wygrać tego typu sprawę przed sądem.

Zapadło milczenie. Nikt nawet nie okazał zdziwienia wobec takiego ultima-tum, wszyscy zgromadzeni byli prawnikami i doskonale znali stosowne przepisy.

— Ile osób jest wplątanych w tę aferę? — zapytał w końcu Jaynes.

— Czterej wspólnicy z kancelarii adwokackiej i Aricia.

Znów nastała cisza. Wszyscy widocznie się spodziewali, że zostanie ujawnione nazwisko senatora, lecz z jakichś powodów McDermott pominął je milczeniem. Zajrzał do swoich notatek i po chwili mówił dalej:

— Proponowana ugoda jest trywialnie prosta. Przekażemy wam obciążające dokumenty i nagrania, a Patrick zwróci pieniądze, całą kwotę. W zamian panowie wycofają wszystkie oskarżenia instytucji federalnych, żebyśmy mogli się skupić na sprawie kryminalnej. Wnosimy ponadto o zaniechanie postępowania skarbowego wobec Patricka Lanigana oraz natychmiastowe uwolnienie z aresztu Evy Mirandy.

Sandy wyrecytował te warunki niemal jednym tchem, chcąc wykorzystać chwilę skupienia swoich gości. Sprawling pospiesznie sporządzał notatki. Jaynes siedział z kamienną twarzą i wzrokiem

utkwionym w podłodze. Pozostali udawali obojętność, ale z pewnością chcieli usłyszeć odpowiedzi na dziesiątki pytań.

266

— Co najważniejsze, decyzje muszą zapaść już dzisiaj — dodał. — Proszę potraktować tę sprawę jako nadzwyczaj pilną.

— Dlaczego? — zdziwił się Jaynes.

— Ponieważ Eva Miranda jest przerażona pobyt w areszcie, a w tym gronie mogą panowie od razu podjąć stosowne postanowienia. Poza tym mój klient wyznaczył ostateczny termin zawarcia ugody na godzinę siedemnastą. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, on zatrzyma pieniądze, zniszczy dowody i zda się na łaskę przysięgłych, mając głęboką nadzieję, że pewnego dnia odzyska wolność.

Po Patricku można się było wszystkiego spodziewać. Jeszcze nikt do tej po-ry nie oczekiwał na rozprawę kryminalną w luksusowych warunkach szpitalnej izolatki, z pielęgniarkami gotowymi w lot spełnić każdą prośbę pacjenta.

— W takim razie pomówmy o senatorze — odezwał się Sprawling.

— Doskonały pomysł — podchwycił McDermott.

Uchylił drzwi sąsiedniego pokoju i rzucił aplikantowi krótkie polecenie. Tamten wtoczył do salonu barowy stolik na kółkach, na którym stał duży magnetofon kasetowy z kolumnami, ustawił go na środku pomieszczenia i zaraz się wycofał.

Sandy zamknął za nim drzwi, zajrzał do notatek i oznajmił:

— Oto fragmenty nagrania z czternastego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, czyli na trzy miesiące przed zniknięciem Lanigana. Rozmowa odbyła się w biurze kancelarii, na parterze, w pomieszczeniu służącym do organizowania niewielkich spotkań, z racji swoich rozmiarów na-zywanym powszechnie „klozetem”. Pierwszy głos, jaki panowie usłyszą, należy do Charliego Bogana, drugi do Benny’ego Aricii, trzeci do Douga Vitrano. Aricia przyjechał wówczas do kancelarii bez zapowiedzi i, jak się panowie przekonają, nie był w najlepszym nastroju.

Sandy podszedł do stolika i zaczął się przyglądać magnetofonowi, gdyż nie znał tego typu sprzętu. Wszyscy czekali w skupieniu, wychyliwszy się do przodu.

McDermott zlokalizował odpowiednie klawisze i powtórzył:

— Najpierw Bogan, potem Aricia, wreszcie Vitrano.

Włączył odtwarzanie. Przez kilka sekund z głośników wydobywał się jedynie szum, w końcu rozbrzmiały ostre, podniecone głosy.

BOGAN: Uzgodniliśmy przecież, że nasze honorarium, jak zwykle, wyniesie trzydzieści trzy procent.

Podpisałeś umowę. Od półtora roku wiedziałeś, ile weźmiemy za swe usługi.

ARICIA: Nie zasłużyliście na trzydzieści milionów.

VITRANO: Podobnie jak ty nie zasłużyłeś na sześćdziesiąt.

ARICIA: Chcę wiedzieć, jak podzielicie te pieniądze.

267

BOGAN: Zgodnie z umową. Dwie trzecie dla ciebie, jedna trzecia dla nas.

ARICIA: Nie o to mi chodzi. Jak podzielicie między sobą trzydzieści milionów?

VITRANO: To już nie twój interes.

ARICIA: A to ciekawe! Bieriecie honorarium z moich pieniędzy, więc chyba mam prawo się dowiedzieć, kto ile dostanie.

BOGAN: Nie. Nie masz takiego prawa.

ARICIA: Ile chcecie zapłacić senatorowi?

BOGAN: To także nie twój interes.

ARICIA: (krzyczy) A właśnie że mój! Ten facet przez ostatni rok tylko ścisnął

w Waszyngtonie ręce i poklepywał po plecach koleśków z marynarki wojennej, Pentagonu i Departamentu Sprawiedliwości! Do cholery, na pewno więcej czasu poświęcił mojej sprawie niż swoim obowiązkom w Senacie.

VITRANO: Tylko nie wrzeszcz, Benny, dobrze?

ARICIA: Muszę wiedzieć, ile dostanie ten śliski, zakłamany krętacz! Mam do tego prawo, ponieważ wpakujecie mu w kieszeń moje pieniądze!

VITRANO: Wszystko zostanie załatwione po cichu.

ARICIA: Ile?!

BOGAN: Nie martw się, Benny, odpowiednio wynagrodzimy jego wysiłki. Dlaczego tak się przyczepiłeś do tej sprawy? Przecież od dawna znasz szczegóły.

VITRANO: Sądziłem, że specjalnie wybrałeś naszą firmę z uwagi na prywatne powiązania z politykami.

ARICIA: Ile? Pięć milionów? Dziesięć? Jak drogie są takie usługi?

BOGAN: Nigdy się tego nie dowiesz.

ARICIA: Jeszcze zobaczymy. Zadzwońię do tego sukinsyna i zapytam go wprost.

BOGAN: Proszę bardzo.

VITRANO: Co cię ugryzło, Benny? Za parę dni wzbogacisz się o sześćdziesiąt milionów. Doszedłeś nagle do wniosku, że to za mało?

268

ARICIA: Tylko mnie nie pouczaj, zwłaszcza w kwestii chciwości. Kiedy się do was zgłosiłem, wszyscy pracowaliście pilnie po dwieście dolarów za godzinę. A teraz wszelkimi sposobami próbujecie mnie przekonać, iż należy się wam trzydziestomilionowe honorarium. Rozpoczęliście kosztowny remont, kupujecie sobie nowe samochody. Następne będą pełnomorskie jachty, odrzutowce i cała reszta nowoczesnych zabawek bogaczy. I wszystko za moje pieniądze.

BOGAN: Twoje pieniądze? O niczym nie zapomniałeś, Benny? Jeśli się nie mylę, bez naszej pomocy twoje wystąpienie byłoby tyle warte co zeszłoroczny śnieg.

ARICIA: To prawda, ale w końcu wygraliśmy. A to ja zastawiłem pułapkę na zarząd spółki Platt & Rockland, nie wy.

BOGAN: Więc po co nas wynająłeś?

ARICIA: Też mi pytanie!

VITRANO: Chyba szwankuje ci pamięć, Benny. Przyszedłeś do nas ze wstępną propozycją. Potrzebna ci była pomoc adwokatów. To my przygotowali-

śmy całe wystąpienie od strony prawnej, poświęciliśmy na to cztery tysiące godzin. I to my pociągnęliśmy odpowiednie sznurki w Waszyngtonie. Od początku niczego przed tobą nie ukrywaliśmy.

ARICIA: Wyeliminujmy senatora z gry, zaoszczędzimy w ten sposób dziesięć milionów. A gdybyście zmniejszyli honorarium o dalsze dziesięć, to i tak mielibyście dziesięć milionów dla siebie. Moim zdaniem taki podział byłby bardziej sprawiedliwy.

VITRANO: (ze śmiechem) Wspaniała propozycja, Benny! Ty weźmiesz osiemdziesiąt, a my dziesięć.

ARICIA: Zgadza się. I nie będziemy płacić żadnym politykom.

BOGAN: Nic z tego, Benny. Wciąż zapominasz o najważniejszym: Bez pomocy naszej i tych pogardzanych polityków nie dostałbyś nawet złamanego centa.

Sandy wyłączył magnetofon. W zapadłej nagle ciszy wydawało się, że ostre głosy rozbrzmiewają głośniejszym echem jeszcze przez dłuższy czas. Goście wpatrywali się to w sufit, to w podłogę, zapewne odtwarzając w myślach co ciekawsze fragmenty zasłyszanej przed chwilą rozmowy.

— Panowie, to tylko mała próbka — oznajmił McDermott z szerokim uśmiechem.

269

— Kiedy będziemy mogli się zapoznać z resztą? — zapytał szybko Jaynes.

— Nawet już za kilka godzin.

— Czy pański klient zgodzi się zeznawać przed federalną komisją sędziowską? — zainteresował się Sprawling.

— Tak. Nie obiecuje jednak, że będzie zeznawał podczas rozprawy.

— Dlaczego?

— Nie musi motywować swojego stanowiska. Po prostu taką podjął decyzję. — Sandy podtoczył stolik do drzwi, zapukał i aplikant pospiesznie wciągnął

sprzęt do drugiego pokoju. Ten zaś odwrócił się do zgromadzonych i rzekł: —

Chyba powinni się panowie naradzić. Zaczekam w sypialni. Proszę się rozgościć.

— Nie będziemy rozmawiali tutaj — odparł Jaynes, podrywając się z fotela.

W apartamencie znajdowało się zbyt wiele miejsc dogodnych do ukrycia mikrofonów, a Patrick dowiedział już przecież, że potrafi umiejętnie zakładać instalacje podsłuchowe. — Przejdziemy do innej sali.

— Jak panowie sobie życzą.

Wszyscy wstali i sięgnęli po swoje aktówki. Zaczęli pospiesznie wysypywać się na korytarz, a gdy tylko za ostatnim z mężczyzn zamknęły się drzwi, obie Lindy zniknęły błyskawicznie w drugiej sypialni, gdzie mogły zapalić.

Sandy nalał sobie gorącej kawy i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Zasiedli ponownie w wynajętym uprzednio pokoju gościnnym dwa piętra ni-

żej. Salonik był tu znacznie mniejszy, toteż wszyscy pozdejmowali marynarki i rzucili je na łóżko w sąsiedniej sypialni. Jaynes polecił swemu kierowcy, by wraz z asystentem Masta poczekał w korytarzu. W końcu mieli dyskutować o nadzwyczaj ważnych sprawach.

Najbardziej poszkodowany z tej grupy czuł się Maurice Mast. Skoro w ramach ugody trzeba było

wycofać wszelkie zarzuty instytucji federalnych, jemu nie zostałoby nic przeciwko Laniganowi. Odnosił zatem wrażenie, że umyka mu sprzed nosa głośny proces, postanowił więc już na wstępie wyrazić swoje obiekcje, zanim przystąpiono do omawiania poszczególnych aspektów sprawy.

— Wyjdziemy na głupców, jeśli pozwolimy mu się wykupić od jakiejkolwiek odpowiedzialności — mruknął posepnym tonem, z grubsza w kierunku Sprawlinga, który bezskutecznie usiłował zająć wygodną pozycję na zwykłym drewnianym krześle.

Ten znajdował się w hierarchii służbowej zaledwie o stopień niżej od prokuratora generalnego, zatem o parę szczebli ponad Mastem. Mógł wysłuchać w spokoju opinii wszystkich zgromadzonych, lecz ostateczna decyzja zależała wyłącznie od niego oraz Jaynesa.

Wicedyrektor biura federalnego popatrzył uważnie na Parrisha i zapytał: 270

— Czy jesteś przekonany, że na podstawie zdobytych dowodów zdołasz wsadzić Lanigana za morderstwo?

Parrish należał do ludzi bardzo ostrożnych, w dodatku ciążyła mu świadomość, że jakiejkolwiek obietnice złożone w tym gronie pozostaną na długo w pa-mięci.

— Trudno będzie uzyskać wyrok za morderstwo — odparł — ale nie powinno być problemów ze sprawą o nieumyślne zabójstwo.

— Ile mógłby za nie dostać?

— Dwadzieścia lat.

— A ile musiałby odsiedzieć?

— Co najmniej pięć.

Dziwnym sposobem ta odpowiedź zadowoliła Jaynesa, który zawsze wyznawał tezę, iż urzędnicy państwowi muszą się dostosowywać do wymogów chwili.

— Co ty na to, Cutter? — spytał, drepcząc nerwowo w przejściu do sypialni.

— Materiał dowodowy jest słaby — odrzekł agent. — Nie zdołamy udowodnić, ani kto, ani jak, gdzie lub kiedy został zamordowany. Mniej więcej znamy tylko motyw zbrodni, ale proces wytoczony na tej podstawie stałby się istnym koszmarem. Byłoby znacznie prościej, gdybyśmy zmienili oskarżenie.

— A sędzia? — Jaynes zwrócił się ponownie do Parrisha. — Byłby skłonny zasądzić maksymalny wymiar kary?

— Gdyby został przekonany, że Lanigan ponosi odpowiedzialność za śmierć człowieka, zapewne nie miałby nic przeciwko dwudziestoletniemu wyrokowi.

A zwolnienie warunkowe zależy wyłącznie od naczelnego zarządu więziennictwa.

— Czy możemy więc spokojnie założyć, że tak czy inaczej Lanigan spędzi najbliższych pięć lat za kratkami? — Jaynes powiódł wzrokiem po wszystkich zgromadzonych.

— Tak, oczywiście — odparł Parrish. — Zresztą nie chcemy jeszcze wycofywać oskarżenia o morderstwo z premedytacją. Nadal zamierzamy oprzeć rozprawę na poszlacie, że Lanigan dopuścił się zbrodni, by w ten sposób umożliwić sobie kradzież pieniędzy z banku. Kara śmierci raczej nie wchodzi w rachubę, ale wyrok dożywocia jest wciąż bardzo prawdopodobny.

— Czy rzeczywiście stanowi to dla nas tak wielką różnicę, gdzie Lanigan zostanie osadzony? W Parchman czy w więzieniu federalnym? — zapytał Jaynes tonem świadczącym o tym, że jemu jest to całkiem obojętne.

— Nie ulega wątpliwości, że dla niego ma to ogromne znaczenie — mruknął

Parrish, wywołując ironiczne uśmieški.

Jemu z kolei bardzo na rękę było zawarcie ugody z oskarżonym, gdyż w takim wypadku, po wycofaniu się Masta oraz FBI, on zostałby jedynym oskarżycielem występującym przeciwko Laniganowi. Wyczuwał jednak, że sprawa wcale nie jest

jeszcze przesądzona, toteż chcąc ułatwić decyzję prokuratorowi federalnemu, do-dał:

— Nie mam też wątpliwości, że będzie musiał odsiedzieć wyrok w Parchman.

Ale Mast nie zamierzał tak łatwo rezygnować. Zmarszczył brwi, pokręcił głową i rzekł:

— Nadal nie jestem przekonany. Uważam, że opinia publiczna bardzo źle przyjmie wycofanie zarzutów. W końcu nie można dopuścić, żeby facet obrabował bank, a po schwytaniu zaproponował zwrot pieniędzy w zamian za wycofanie oskarżeń. Sprawiedliwość nie jest towarem do kupienia.

— Ale tej sprawy nie można rozpatrywać w tak prostych kategoriach — odparł

Sprawling. — Okazuje się nagle, iż możemy ujawnić aferę, w którą zamieszane są grube ryby, a Lanigan trzyma do niej klucz. Z kolei skradzione przez niego pieniądze zostały zdobyte w nieuczciwy sposób, warto więc je odzyskać i zwrócić podatnikom.

Mast nie miał najmniejszej ochoty spierać się ze Sprawlingiem.

Jaynes znowu popatrzył na Parrisha i powiedział:

— Nie obraż się, ale czy mógłbyś na chwilę zostawić nas samych? My ze służb federalnych musimy przedyskutować niektóre aspekty we własnym gronie.

— Oczywiście — rzekł ochoczo prokurator, po czym wstał i wyszedł z pokoju.

W ten sposób dyskusja została zamknięta. Nadszedł czas, aby Sprawling podjął ostateczną decyzję.

— Panowie, moim zdaniem sprawa jest prosta — zaczął. — Pewne osobistości z Białego Domu uważnie śledzą przebieg zdarzeń. Senator Nye nigdy nie należał

do ulubieńców prezydenta i jeśli mam być szczery, ujawnienie skandalu wokół

jego osoby sprawi naszej administracji wiele radości. Senator zamierza powtórnie kandydować w nadchodzących wyborach, toteż tego rodzaju oskarżenie powinno kazać mu zapomnieć o politycznych zakusach, a jeśli wspomniane powiązania zostaną udowodnione, będzie ostatecznie pogrążony.

— Weźmiemy na siebie dochodzenie — Jaynes zwrócił się do Masta — a tobie przypadłaby rola oskarżyciela.

Dopiero teraz prokurator pojął, że i on może skorzystać na takim załatwieniu sprawy. Zrozumiał także, iż decyzja o zawarciu ugody z Laniganem zapadła wcześniej w gronie ludzi znacznie bardziej wpływowych niż Sprawling i Jaynes.

Ci byli jedynie wykonawcami poleceń, lecz mimo to nie zamierzali go całkowicie wyeliminować. W końcu był prokuratorem federalnym zachodniego dystryktu Missisipi.

Już sama myśl o możliwości sformułowania zarzutów przeciwko senatorowi oraz późniejszym firmowaniu aktu oskarżenia wprawiła Masta w podniecenie.

Oczyma wyobraźni ujrzał siebie na zatłoczonej sali sądowej, przed widzami i sę-

dziami przysięgłymi z uwagą wsłuchującymi się w każde słowo zarejestrowanych przez Lanigana rozmów.

272

— Zatem przyjmujemy warunki umowy? — zapytał, wzruszywszy ramionami, jak gdyby takie wyjście nadal mu nie odpowiadało.

— Tak — odparł Sprawling. — Odrzucenie ich byłoby głupotą. Zwrot skradzionych pieniędzy powinien zjednać nam przychyłność opinii publicznej, a Lanigan i tak na dłużej wyląduje za kratkami. Ponadto zyskamy sposobność ujawnienia bulwersującego oszustwa.

— No i postąpimy zgodnie z wolą prezydenta — dodał Mast, uśmiechając się szeroko, chociaż pozostali spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

— Niczego takiego nie powiedziałem — zaprotestował Sprawling. — Nie rozmawiałem w tej sprawie z przedstawicielami gabinetu prezydenta. Wiem tylko, że mój szef kontaktował się z kancelarią Białego Domu. To wszystko.

Jaynes zaprosił Parrisha z powrotem do pokoju, po czym przez godzinę trwa-

ło omawianie poszczególnych warunków stawianych przez Patricka. Uwolnienie brazylijskiej prawniczki nie nastręczało żadnych trudności. Zdecydowano jednak, że Lanigan będzie musiał dodatkowo zwrócić jakiś procent od sumy, którą bezprawnie obracał przez cztery lata. Pozostawała jeszcze otwarta kwestia jego pozwu skierowanego przeciwko FBI.

Jaynes sporządził listę spraw, które musieli uzgodnić z McDermottem.

* * *

Tymczasem w Miami Mark Birck osobiście dostarczył Mirandzie radosną wiadomość o uwolnieniu przez porywaczy jej ojca. Dodał pospiesznie, że nic mu się nie stało, był traktowany bardzo dobrze.

Szeptem przekazał również, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, jutro lub pojutrze powinna się znaleźć na wolności.

Rozdział 34

Cała grupa w poważnych nastrojach, pełna rezerwy, powróciła do „Camille Suite” i zajęła poprzednie miejsca. Większość mężczyzn zostawiła marynarki w pokoju na dole, w poluzowanych krawatach i z podwiniętymi rękawami koszul sprawiali wrażenie, jakby zamierzali przystąpić do ciężkiej pracy. Zgodnie ze wskazaniem zegarka Sandy’ego naradzali się prawie półtorej godziny. Wspólną decyzję miał przedstawić Sprawling.

— Zaczniemy od kwestii pieniędzy — zaczął, dając McDermottowi do zrozumienia, że godzą się na polubowne załatwienie sprawy, chcą jedynie omówić pewne szczegóły ugody. — Ile pański klient jest gotów zwrócić do skarbu pań-

stwa?

— Całą kwotę.

— To znaczy?

— Dziewięćdziesiąt milionów dolarów.

— A co z odsetkami?

— Kto będzie sobie zawracał głowę odsetkami?

— My.

— Po co?

— Bo powinno się to załatwić uczciwie.

— Wobec kogo uczciwie?

— No. . . podatników.

Sandy z ledwością powstrzymał się od śmiechu.

— Dajcie spokój, panowie. Jesteście urzędnikami instytucji federalnych, a od kiedy to służby federalne troszczą się o pieniądze amerykańskich podatników?

— Zawsze dolicza się odsetki w sprawach obejmujących kradzież lub defraudację — wtrącił Mast.

— W jakiej wysokości? Według jakiej stopy?

— Zwykle przyjmuje się dziewięć procent — odparł Sprawling. — Moim zdaniem to byłoby uczciwe.

— Naprawdę? A jakie odsetki płacą urzędy skarbowe, jeśli udowodnię, że naliczono mi zbyt wysoki podatek?

274

Nikt nie odpowiedział.

— Sześć procent — wyjaśnił McDermott. — Władze zwracają podatnikom zaledwie marne sześć procent.

Sandy miał tę przewagę nad oponentami, że wcześniej wszystko starannie skalkulował. Przewidział tego typu pytania i miał na nie gotowe odpowiedzi. Sprawiało mu więc teraz ogromną radość obserwowanie zdziwionych min, zmarszczo-nych brwi i przygryzionych warg.

— Zatem proponuje pan sześć procent? — zapytał ostrożnie Sprawling.

— Oczywiście, że nie. To mój klient ma pieniądze i on decyduje, ile jest go-tów zwrócić. Według identycznej reguły postępują urzędy państwowe. W dodatku podejrzewamy, że te pieniądze zostaną przeznaczone na zapchanie jakiejś czarnej dziury w Pentagonie.

— Nie mamy prawa decydować o ich przeznaczeniu — wtrącił Jaynes, które-mu sprzykrzył się ton tej dyskusji i stanowczość adwokata.

— Już wyjaśniam, jak widzi tę sprawę mój klient. Pieniądze zostały wypłacone przebiegłemu oszustowi i gdyby nie on, Patrick Lanigan, nigdy by nie wróciły do skarbu państwa. To mój klient udaremnił defraudację, zaopiekował się całą kwotą i teraz chce ją zwrócić.

— I utrzymuje, że należy mu się jakaś nagroda? — burknął Jaynes.

— Nic podobnego. Chodzi wyłącznie o waszą rezygnację z odsetek.

— W tej kwestii będzie musiała zapaść decyzja na wyższym szczeblu, w Waszyngtonie — rzekł równie zde gustowany Sprawling. — Proszę nam tylko przedstawić konkretną propozycję.

— Zapłacimy odsetki według połowy stopy procentowej stosowanej przez urzędy skarbowe i ani centa więcej.

— Przekażę tę propozycję prokuratorowi generalnemu. Pozostaje mieć nadzieję, że będzie w dobrym nastroju.

— Proszę jeszcze dołączyć moje serdeczne pozdrowienia — dorzucił Sandy.

Jaynes uniósł wzrok znad notatnika i spytał:

— Trzy procent. Zgadza się?

— Tak. Cała suma z odsetkami za okres od dwudziestego szóstego marca ty-siąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku do pierwszego listopada dziewięćdziesiątego szóstego roku wyniesie w zaokrągleniu sto trzystaście milionów dolarów. Proponuję darować sobie lichwiarskie rozliczenia co do centa i uzgodnić taką właśnie sumę, sto trzystaście milionów.

Wymieniona kwota brzmiała nieźle, powinna się była spodobać urzędnikom z Departamentu Skarbu. Wszyscy uwiecznili zatem stosowną liczbę w notatkach, stwierdzając, że dziewięciocyfrowy zapis robi jeszcze większe wrażenie.

Któż mógł się sprzeciwić ugodzie, w wyniku której tak niebagatelna suma miała trafić z powrotem do skarbu państwa?

275

Ale zarazem wysokość tejże propozycji mogła oznaczać tylko jedno: Patrick dobrze zainwestował skradzione pieniądze i przez cztery lata musiał na nich nie-

źle zarobić. Poprzedniego dnia Sprawling zlecił swoim podwładnym przeprowadzenie wstępnych kalkulacji. Okazało się, że gdyby całą kwotę przeznaczyć na cel przynoszący osiem procent rocznego zysku, do tej pory urosłaby do stu trzydziestu jeden milionów. Gdyby zaś chodziło o inwestycję dającą dziesięć procent zysku, majątek wynosiłby obecnie sto czterdzieści cztery miliony. Co zrozumia-

łe, dochody z tejże inwestycji były wolne od podatku. Wyglądało więc na to, że Lanigan niewiele wydał na siebie, zatem nadal był bardzo bogaty.

— Niepokoi nas również pozew złożony przeciwko władzom federalnym w imieniu Patricka Lanigana — rzekł Sprawling.

— Oczywiście wycofamy go, ale wcześniej chciałbym poprosić o drobną przysługę pana Jaynesa. Proponuję wrócić do tego później. Naprawdę chodzi o drobiazg.

— W porządku, przejdźmy do następnego punktu. Kiedy pański klient będzie mógł złożyć zeznania przed komisją federalną?

— Kiedy panowie sobie zażyczą. Jest gotów zeznawać choćby i zaraz.

— Chcielibyśmy nadać tej sprawie przyspieszony bieg.

— No cóż, im wcześniej odbędzie się przesłuchanie, tym lepiej dla mojego klienta.

Sprawling zakreślił kolejny punkt w notatniku.

— Chcemy także nalegać na zachowanie ścisłej tajemnicy. Żadnych kontaktów z prasą. Szczegóły naszej ugody spotkałyby się z powszechną falą krytyki.

— Oczywiście zachowamy milczenie — obiecał Sandy.

— Kiedy panna Miranda powinna zostać zwolniona z aresztu?

— Jutro. Prosiłbym także o przewiezienie jej pod eskortą z centrum Miami do indywidualnej odprawy celnej. Chciałbym, aby znajdowała się pod opieką FBI do chwili wejścia na pokład samolotu.

Jaynes wzruszył ramionami, jakby nie mógł zrozumieć przyczyn owej prośby.

— Nie ma sprawy — rzekł.

— Coś jeszcze? — spytał McDermott, zacierając ręce, jakby miał zaprosić gości na część artystyczną spotkania.

— Nie. Z naszej strony to wszystko — oświadczył Sprawling.

— Doskonale. Proponuję zatem następujące rozwiązanie. Mam tu dwie sekretarki przy komputerach. Przygotowałem już wstępną wersję pisemnej ugody wraz ze stosownymi rezygnacjami z wcześniejszych wystąpień do sądu. Uzupełnienie omawianych szczegółów nie zajmie dużo czasu, mogliby więc panowie od razu złożyć swoje podpisy. Natychmiast zawiózłbym wszystkie dokumenty do mojego klienta i gdyby on nie miał żadnych zastrzeżeń, za kilka godzin sprawa byłaby załatwiona. Panie Mast, czy mógłby się pan skontaktować z sędzią federalnym 276

i jak najszybciej zwołać posiedzenie? Prześlemy mu telefaksem gotowe pisma dotyczące wycofania złożonych pozwów.

— Kiedy będziemy mogli przejąć materiały Lanigana, papiery i taśmy z nagraniami? — wtrącił Jaynes.

— Jeśli nie zajdą nieprzewidziane wypadki, a dokumenty zostaną zatwierdzone i podpisane przez wszystkie strony, przekażę materiał dowodowy dzisiaj o siedemnastej.

— Muszę natychmiast skorzystać z telefonu — rzucił Sprawling.

Takie samo pragnienie wyrazili Mast i Jaynes. Sandy wskazał im aparaty w oddzielnych pokojach.

Mimo chłodnego październikowego dnia i nieba zaciągniętego chmurami Patrick postanowił wykorzystać przysługujące każdemu więźniowi prawo do spędzenia godziny na świeżym powietrzu. Strażnicy stanowczo się temu sprzeciwili, twierdząc, że szeryf nie wyraził zgody na jego spacer.

Lanigan musiał więc zadzwonić do Huskeya i poprosić go o interwencję. Zaproponował także, by przyjaciel po drodze wstąpił do restauracji Rosettiego przy ulicy Division i kupił trochę tamtejszych specjałów, sandwichów z mięsem kraba oraz serowych drożdżówek, po czym zjadł z nim lunch na szpitalnym dziedzińcu.

Karl oznajmił, że będzie zachwycony.

Usiedli na drewnianej ławce pod bezlistnym skarłowaciałym klonem, przy obmurówce małej nieczynnej fontanny. Z trzech stron otaczały ich skrzydła wojskowego szpitala. Sędzia kupił również torbę drożdżówek dla strażników, tamci zajęli więc posterunek na drugiej ławce, kilkadziesiąt metrów dalej.

Huskey nie wiedział o odbywającym się w kasynie spotkaniu, a Patrick wolał go o tym nie informować. W naradzie uczestniczył także Parrish, więc zapewne tuż po jej zakończeniu musiał powiadomić o jej rezultatach sędziego.

— Co ludzie o mnie mówią? — zapytał Patrick, rozprawiwszy się z trzecim sandwichem i wytarłszy usta serwetką.

— Plotki stopniowo przycichają, wszystko wraca do normy. Ale na swoich dawnych przyjaciół nadal możesz liczyć.

— Właśnie piszę do nich listy. Czy mógłbyś je dostarczyć w moim imieniu?

— Oczywiście.

— Bardzo dziękuję.

— Słyszałem, że schwytano twoją dziewczynę na lotnisku w Miami.

— To prawda, ale wkrótce powinni ją wypuścić. Chodzi jedynie o drobne nieścisłości w paszporcie.

Huskey ugryzł spory kęs kanapki i zaczął przeżuwać w milczeniu. Zdążył się już przyzwyczać, że w ich rozmowach niespodziewanie pojawiają się długie przerwy. Nie bardzo zresztą wiedział, o czym mogliby jeszcze mówić, skoro Patrick

277

wolał zachować tajemnicę.

— Takie rześkie powietrze dobrze mi robi — odezwał się tamten w końcu. —

Dziękuję, że wyraziłeś zgodę na mój spacer.

— Ostatecznie masz konstytucyjne prawo do przebywania na świeżym powietrzu.

— Czy byłeś kiedykolwiek w Brazylii?

— Nie.

— To powinieneś odwiedzić ten kraj.

— Pójść w twoje ślady czy może wyjechać z rodziną?

— Nie. Zrobić sobie wycieczkę.

— I podziwiać tamtejsze plaże?

— Nic podobnego. Zapomnij o plażach, o wielkomiejskim życiu. Pojedź na prowincję, na tę bezkresną otwartą przestrzeń pod nieopisanie błękitnym niebem, gdzie powietrze jest nadzwyczaj orzeźwiający, krajobrazy przepiękne, a prości ludzie bardzo serdeczni. Tam jest mój dom, Karl. Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjadę.

— To może trochę potrwać.

— Wiem, ale i tak nie mogę się doczekać. Nie jestem już Patrickiem Laniganem, tamten nie żyje. Dał się oszukać i nie zaznał szczęścia, był gruby i żaloszny.

Dzięki Bogu odszedł. Nazywam się teraz Danilo Silva i jestem o wiele szczę-

śliwszym człowiekiem, bo mogę wieść proste życie w pięknym kraju. Danilo jest bardzo cierpliwy.

Ma też piękną kobietę i gigantyczną fortunę — dodał Huskey w myślach.

— Więc jak Danilo zamierza wrócić do Brazylii? — spytał.

— Jeszcze nad tym pracuję.

— Posłuchaj, Patricku. . . Mam nadzieję, że cię nie obrażę, nazywając wciąż imieniem Patricka zamiast Danilo?

— Nie, skądże!

— Otóż sądzę, że najwyższa pora, abym się wycofał z twojej sprawy i przekazał ją sędziemu Trusselowi. Wkrótce trzeba będzie przystąpić do rozpatrywania wniosków formalnych i zajdzie konieczność podjęcia pewnych decyzji. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby ci pomóc.

— Ktoś wywiera na ciebie presję?

— Owszem, ale się tym nie przejmuję. Nie chciałbym cię urazić, lecz nie mogę dłużej mieć pieczy

nad twoją sprawą, gdyż byłoby to bardzo źle widziane.

Wszyscy wiedzą, że jesteśmy przyjaciółmi. Ostatecznie sam wybrałeś mnie do grona najbliższych, którzy nieśli twoją trumnę.

— Czy dziękowałem ci już za tę przysługę?

— Nie. Uważałem cię za zmarłego, więc lepiej teraz nie wracajmy do tamtych zdarzeń. Możesz uznać, że było zabawnie.

— Tak, masz rację.

278

— W każdym razie rozmawiałem już z Trusselem, jest gotów przejąć sprawę.

Mówiłem mu również o twoich rozległych oparzeniach i wyjaśniłem powody, dla których pragniesz zostać tu jak najdłużej. Doskonale rozumie twoją sytuację.

— Dzięki.

— Musisz jednak stawić czoło rzeczywistości. Wcześniej czy później zostaniesz przeniesiony do więzienia i możesz tam pozostać bardzo długo.

— Naprawdę podejrzewasz, Karl, że zabiłem tego chłopaka?

Sędzia odłożył resztkę sandwicza do pudełka i upił parę łyków zimnej herbaty.

Nie zamierzał okłamywać przyjaciela w tej kwestii.

— No cóż, sprawa wygląda podejrzanie. Po pierwsze, we wraku samochodu odnaleziono zwęglone szczątki ludzkie, a zatem ktoś zginął. Po drugie, FBI przeprowadziło szczegółową analizę komputerową wszystkich osób, których zaginię-

cie zgłoszono tuż po lub przed dziewiątym lutego tysiąc dziewięćset dziewięć-

dziesiątego drugiego roku. Pepper jest jedyną osobą, jaka w promieniu pięciuset kilometrów od miejsca wypadku nie dała po tym terminie znaku życia.

— Ale to jeszcze za mało, żeby mnie skazać.

— Twoje pytanie nie dotyczyło dowodów przestępstwa, na podstawie których można wydać wyrok skazujący.

— Jasne. Czy zatem twoim zdaniem zabiłem Peppera?

— Nie mam wyrobionego zdania, Patricku. Piastuję stanowisko sędziego od dwunastu lat i nieraz

widywałem ludzi, którzy przyznawali się przede mną do popełnienia zbrodni, chociaż sami nie potrafili uwierzyć, że to zrobili. W pewnych okolicznościach człowiek jest zdolny do wszystkiego.

— To znaczy, że wierzysz w moją winę?

— Tego bym nie powiedział. Sam nie jestem pewien, w co mogę wierzyć.

— Sądziś jednak, że byłbym zdolny zabić człowieka?

— Kiedyś bym w to nie uwierzył, ale tak samo bym nie uwierzył, że jesteś w stanie upozorować własną śmierć i zgarnąć dziewięćdziesiąt milionów dolarów.

Twoje postępowanie już nieraz mnie zaskoczyło.

Znów na dłużej zapadło milczenie. Karl spojrział na zegarek. Patrick podniósł

się ociężale i ruszył powoli wokół szpitalnego dziedzińca.

* * *

Lunch w „Camille Suite” składał się ze zwykłych kanapek podanych na plastikowej tacy, został zresztą przerwany telefonem od sędziego federalnego — tego samego, który przed czterema laty na podstawie werdyktu komisji przysięgłych oficjalnie oskarżył Patricka o kradzież pieniędzy. Sędzia przewodniczył jakiejś 279

rozprawie w Jackson i miał tylko parę minut w trakcie przerwy. Mast opisał mu pobieżnie skład uczestników narady i warunki osiągniętego porozumienia, sędzia zażyczył sobie jednak zorganizowania prowizorycznej konferencji telefonicznej.

I Mast musiał przy świadkach powtarzać jeszcze raz swą opowieść. Następnie sę-

dzia poprosił Sandy’ego o przedstawienie własnej wersji wydarzeń, co ten ochoczo uczynił. Później musiał się wypowiedzieć Sprawling, przez co konferencja znacznie się wydłużyła, tym bardziej że pracownik Departamentu Sprawiedliwo-

ści w pewnym momencie przeszedł do drugiego pokoju, by na osobności porozmawiać z sędzią z innego aparatu. Zdołał jednak przekonać tamtego, że pewne wysoko postawione osobistości z Waszyngtonu nalegają na zawarcie ugody z Laniganem, by w ten sposób móc zaskarżyć znacznie grubsze ryby. Wreszcie sędzia poprosił o prywatną rozmowę z Parrishem, chciał bowiem osobiście uzyskać za-pewnienie prokuratora okręgowego, iż po wycofaniu zarzutów instytucji federalnych Lanigan nie odzyska wolności, lecz będzie musiał odpowiadać za znacznie poważniejsze przestępstwa i według wszelkiego prawdopodobieństwa, chociaż niczego nie można jeszcze zagwarantować, spędzi wiele lat w więzieniu.

Sędziemu bardzo się nie podobało działanie w tak wielkim pośpiechu, biorąc jednak pod uwagę naciski polityczne, jak również jednomyślną opinię wszystkich uczestników spotkania w Biloxi, z wyraźnym ociąganiem zgodził się podpisać dokumenty wycofujące wszelkie oskarżenia instytucji

federalnych wobec Lanigana. Papiery zostały mu więc przesłane faksem, po czym wróciły zatwierdzone tą samą drogą.

Zaraz po zakończeniu lunchu McDermott przeprosił swoich gości i pojechał

do szpitala. Zastał Patricka w izolatce, piszącego list do matki. Wpadł do środka i krzyknął od drzwi:

— Załatwione! — Rzucił dokumenty na stolik i dodał: — Wywalczyłem wszystko tak, jak sobie życzyłeś.

— Wycofali oskarżenia?

— Tak. Sędzia podpisał papiery.

— Ile pieniędzy mam zwrócić?

— Dziewięćdziesiąt milionów z trzyprocentowymi odsetkami.

Patrick zamknął oczy i zacisnął pięści. Jego fortuna doznała poważnego uszczerbku, ale zostało wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wraz z Evą i nie na-rodzonymi jeszcze dziećmi osiąść w jakimś bezpiecznym miejscu, w przytulnym, eleganckim, przestronnym domu pełnym dzieci.

Pospiesznie przebiegł wzrokiem treść umowy, po czym złożył swój podpis.

Sandy pospiesznie zawiózł dokumenty z powrotem do kasyna.

W następnym spotkaniu, które rozpoczęło się o drugiej po południu, uczestniczyło już mniej osób. McDermott uprzejmie powitał Talbota Mimsa oraz jego 280

klienta, niejakiego Shenaulta, wiceprezesa towarzystwa Northern Case Mutual, który przyjechał w towarzystwie dwóch radców prawnych firmy, lecz ich nazwiska natychmiast uleciały Sandy'emu z pamięci. Z kolei Mims ściągnął jednego ze swoich współników oraz aplikanta z kancelarii adwokackiej. Jak poprzednio, po zebraniu wizytówek, Sandy wprowadził gości do salonu. Obie protokolancki sądowe czekały już na swoich posterunkach.

Jaynes i Sprawling wciąż przebywali w sąsiednich sypialniach, rozmawiając telefonicznie z jakimiś ludźmi z Waszyngtonu. Swoich podwładnych odesłali na dół, do sal kasyna, zabroniwszy im stanowczo spożywać alkohol.

Reprezentacja towarzystwa Monarch-Sierra okazała się jeszcze skromniejsza.

Oprócz Hala Ladda, któremu towarzyszył asystent, przybył dyrektor działu prawnego firmy, mały fertyczny mężczyzna o nazwisku Cohen. Wymieniono grzecznościowe formułki zapoznawcze, po czym wszyscy zamienili się w słuch, aby poznać propozycję Sandy'ego. Ten miał przygotowane odpowiednie dokumenty, toteż szybko rozdał gościom plastikowe foliały i poprosił o dokładne zapoznanie się z materiałami. Ale w teczkach znajdowały się jedynie kopie pozwu wystosowanego w imieniu Lanigana przeciwko FBI oraz kolorowe odbitki ukazujące je-go obrażenia. Przedstawiciele

towarzystw ubezpieczeniowych zostali uprzedzeni przez swoich radców prawnych, toteż żadnego z nich nie zaskoczyły te materiały.

McDermott powtórzył to, co wyjaśniał prawnikom poprzedniego dnia — że uwidocznione rany nie zostały w rzeczywistości zadane przez agentów FBI, gdyż to nie służby federalne odnalazły go w Brazylii, lecz wysłannicy Jacka Stephano.

Ten zaś realizował wspólne zlecenie swoich klientów, Benny'ego Aricii oraz towarzystw Northern Case Mutual i Monarch-Sierra. A więc to wymieniona trójka była w pierwszym rzędzie odpowiedzialna za cierpienia jego klienta i przeciwko niej Patrick Lanigan zamierzał wystąpić do sądu.

— Jak chce pan udowodnić rolę detektywa Stephano w tych zdarzeniach? —

zapytał Mims.

— Proszę chwilę poczekać.

Uchylił drzwi od sypialni i poprosił Jaynesa na parę słów. Ten wkroczył do salonu, przedstawił się oficjalnie, po czym jął z wyraźną satysfakcją relacjonować zeznania Stephano dotyczące poszukiwań Lanigana. Zaczął od składu potajemnego konsorcjum i udziałów finansowych poszczególnych uczestników, omówił

po krótko najważniejsze elementy realizacji zlecenia, a więc rolę, jaką odegrały informacje uzyskane u chirurga plastycznego oraz „chłopców z Plutona”, wreszcie porwanie zbiega i zastosowane tortury. Podkreślił parę razy, iż wszystko to odbywało się za pieniądze Aricii i obu towarzystw ubezpieczeniowych, jako że rzeczywistym celem poszukiwań było odzyskanie pieniędzy utraconych przez każdego ze zleceńodawców.

Wystąpienie dyrektora FBI zrobiło wstrząsające wrażenie, co ten przyjął z niezwykłą satysfakcją.

281

— Czy są jakieś pytania do pana Jaynesa? — zapytał radośnie Sandy, kiedy opowieść dobiegła końca.

Żaden z gości się nie zgłosił. W ciągu ostatnich osiemnastu godzin ani Shenault z Northern Case Mutual, ani też Cohen z Monarch-Sierra nie byli w stanie ustalić, kto z zarządu ich firmy podjął decyzję o wynajęciu detektywa Stephano.

Obaj doszli szybko do wniosku, że nigdy się tego nie dowiedzą, jako że wszelkie ślady zostały skutecznie zatarte.

Towarzystwa należały jednak do bogatych, miały wielu klientów i operowały znacznym kapitałem. Sporo też poświęcały na ochronę dobrego imienia firmy.

Żadne z nich nie chciało się pakować w kłopoty.

— Bardzo dziękuję, panie Jaynes — rzekł McDermott.

— Będę w sąsiednim pokoju, gdyby mnie pan jeszcze potrzebował — oznajmił dyrektor takim tonem, jakby największą radość sprawiało mu dostarczanie tego typu relacji osłupiałym przedstawicielom firm.

Co więcej, jego obecność na spotkaniu miała też złowieszczą wymowę. Bo i czemu sam wicedyrektor miałby się fatygować do Biloxi oraz z tak wielkim zaangażowaniem występować w obronie człowieka czekającego na rozprawę?

— A oto moje propozycje — ciągnął Sandy, kiedy zamknęły się drzwi sypialni. — Obie są proste, klarowne i nie do negocjacji. Zacznę od pana Shenaulta z Northern Case Mutual, którego macierzysta instytucja jako ostatnie posunięcie w tej drobnej wojnie potraktowała wystąpienie z pozwem, mające na celu odzyskanie niesłusznie wypłaconego dwuipółmilionowego odszkodowania od pani Trudy Lanigan. Otóż mój klient chciałby, aby państwo wycofali ten pozew, zapomnieli o pieniądzach i pozwolili Trudy żyć dalej w spokoju. Nie dość, że samotnie wychowuje dziecko, to olbrzymią większość uzyskanego odszkodowania już wydała, byłby więc olbrzymi problem z odzyskaniem pieniędzy. Jeżeli pozew zostanie wycofany, mój klient na piśmie zrzeknie się jakichkolwiek roszczeń wobec towarzystwa za rany odniesione z jego przyczyny.

— Tylko tyle? — zapytał wyraźnie zdumiony Mims.

— Tak. Nie chcemy niczego więcej.

— Załatwione.

— Wolałbym mieć chwilę na zastanowienie — wtrącił Shenault z kamienną twarzą.

— Nic z tego — uciął Mims. — To wspaniałomyślna propozycja, którą powinniśmy natychmiast przyjąć. Dlatego wyrażam zgodę. Koniec, kropka.

Shenault wcale nie był o tym przekonany.

— Chciałbym jednak przeanalizować. . .

— Nie! — przerwał mu adwokat, obrzucając tamtego piorunującym spojrzeniem. — Przyjmujemy warunki umowy. Jeśli będzie pan chciał, aby od jutra kto inny reprezentował wasze towarzystwo, proszę bardzo. Lecz dopóki ja jestem wa-282

szym pełnomocnikiem, podejmuję decyzję o akceptacji ugody. I to już, w tej chwili.

Shenault miał taką minę, jakby został spoliczkowany.

— Przyjmujemy propozycję — powtórzył Mims.

— Co pan na to, panie Shenault? — zagadnął McDermott.

— Ech. . . Tak, oczywiście. Zgoda.

— Doskonale. W sąsiednim pokoju czeka już przygotowany tekst umowy.

Byłbym wdzięczny, gdyby panowie zechcieli się z nim teraz zapoznać i zostawili nas na parę minut samych, gdyż wolałbym porozmawiać z panem Laddem i jego klientem na osobności.

Mims wyprowadził swoją ekipę do drugiego pokoju. Sandy zamknął za nimi drzwi, po czym zwrócił się do Cohena i Ladda:

— Propozycja dla państwa, niestety, jest nieco odmienna. Z Northern Case Mutual poszło tak łatwo, ponieważ toczy się sprawa rozwodowa, dość trudna i skomplikowana, a mój klient mógłby z łatwością wykorzystać pozew przeciwko towarzystwu ubezpieczeniowemu do uzyskania rozwodu. Zatem z przykrością muszę stwierdzić, że panowie znajdują się w trochę gorszej sytuacji. Tamci zapłacili Stephano pół miliona dolarów, wasza firma wyłożyła dwa razy tyle. A więc i wasza odpowiedzialność jest większa, pomijając już fakt, że Monarch-Sierra dysponuje znacznie wyższym kapitałem.

— Jaką sumę ma pan na myśli? — zapytał szybko Cohen.

— Mój klient nie chce dla siebie ani centa. Martwi go jednak sytuacja sze-

ścioletniej córki, której beztroska matka szasta pieniędzmi na lewo i prawo.

To również jeden z powodów, dla których radca prawny Northern Case Mutual tak szybko przyjął propozycję. Naprawdę bardzo trudno byłoby wywalczyć zwrot odszkodowania od pani Lanigan. Dlatego też Patrick chciałby zapewnić córce skromny fundusz powierniczy, niedostępny dla jej matki.

— Jak duży?

— Ćwierć miliona dolarów. Chciałby również dostać drugie tyle na pokrycie kosztów rozpraw sądowych. W sumie chodzi zatem o pół miliona, w dodatku wyegzekwowane jak najszybciej, aby nikt z zarządu waszej firmy nie znalazł się w kłopotliwej sytuacji po opublikowaniu przedstawionych panom zdjęć.

Sądy południowego wybrzeża wyróżniały się bezprzykładną hojnością w przyznawaniu odszkodowań ludziom występującym w sprawach cywilnych przeciwko różnego rodzaju instytucjom. Przed spotkaniem Ladd wytłumaczył Cohenowi, że gdyby doszło do rozprawy o celowe spowodowanie rozległych obra-

żeń cielesnych, najpewniej zapadłby wielomilionowy wyrok na niekorzyść Aricii i obu towarzystw ubezpieczeniowych. Cohenowi, który sam był prawnikiem z Kalifornii, nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zresztą jego zwierzchnicy stanowczo wyrazili chęć polubownego załatwienia sprawy.

— Krótko mówiąc, mielibyśmy wyasygnować pół miliona dolarów w zamian za pisemną rezygnację

z wszelkich roszczeń wobec firmy? — spytał teraz.

— Zgadza się.

— Przyjmiemy takie warunki.

Sandy pospiesznie sięgnął do aktówki i wyjął plik papierów.

— Dla panów mam również przygotowany wstępny tekst umowy. Proszę się z nim zapoznać.

Wręczył prawnikom dokumenty i wyszedł z salonu.

Rozdział 35

Psychiatra był bliskim przyjacielem doktora Hayaniego. Jego drugie spotkanie z Laniganem trwało dwie godziny i okazało się równie bezproduktywne jak pierwsze. Dalsze konsultacje były bezcelowe.

Patrick poprosił o skrócenie rozmowy, chciał bowiem wrócić do izolatki i w spokoju zjeść obiad. W rzeczywistości jednak ledwie tknął przyniesioną porcję, oglądając wieczorny dziennik telewizyjny. Ani razu nie padło jego nazwisko.

Później wyszedł na korytarz i zaczął gawędzić ze strażnikami. Przez całe popołudnie Sandy informował go telefonicznie o rozwoju wydarzeń, on jednak nie mógł

się doczekać na stosowne dokumenty. Obejrzał teleturniej *Jeopardy*, próbował się też skupić na lekturze nudnej powieści.

Dochodziła już ósma, kiedy z korytarza doleciał głos McDermotta, pytające-go strażników, jak się miewa więzień. Można było odnieść wrażenie, iż Sandy z wyraźną satysfakcją używa słowa „więzień”.

Patrick powitał go w drzwiach. Jego adwokat wydawał się skrajnie wycieńczony, był jednak uśmiechnięty.

— Wszystko załatwione — oznajmił, przekazując mu stos papierów.

— A co z dokumentami i nagraniami?

— Przekazałem materiały godzinę temu. Odbierali je w obstawie kilkunastu federalnych tajniaków. A Jaynes oświadczył przy pożegnaniu, że jego ludzie będą mieli co robić przez całą noc.

Patrick usiadł przy swoim prowizorycznym biurku, tuż pod stojącym na wy-sięgniku telewizorem. Zaczął dokładnie czytać treść umów, jakby delektował się każdym słowem. Sandy przyniósł ze sobą obiad, szarą papierową torbę z hot do-gami, toteż jął się posilać oparty o poręcz łóżka, oglądając transmisję jakiegoś meczu rugby z Australii na kanale sportowym.

— Krzywili się na te pół miliona? — zapytał Patrick, nie podnosząc głowy znad papierów.

— Ani trochę. Wszyscy z ochotą przystali na twoje propozycje.

— W takim razie żałuję, iż nie zażądałem więcej.

— Myślę, że i tak masz wystarczająco dużo.

285

Lanigan podpisał pierwszą umowę i odłożył ją na bok.

— Dobra robota, Sandy. Załatwiłeś to po mistrzowsku.

— To prawda, miałem dobry dzień. Wywalczyłem cofnięcie wszystkich oskar-

żeń instytucji federalnych i uzgodniłem warunki rezygnacji z pozwów w sprawach cywilnych. Przy okazji zdobyłem fundusz na swoje honorarium i zapewni-

łem przyszłe finanse Ashley Nicole. Jutro uzyskamy polubowny rozwód z Trudy.

Jesteś na fali, Patricku. Można jedynie żałować, że na twojej drodze nadal straszy widmo zwęglonych zwłok.

Lanigan odsunął papiery na brzeg stołu, podniósł się i stanął przy oknie, plecami do Sandy'ego. Wyjątkowo żaluzje były otwarte, a jedna część okna uchylona na szerokość paru centymetrów.

Nie przestając jeść, McDermott popatrzył na przygarbione plecy przyjaciela i mruknął:

— Chyba powinieneś mi wreszcie coś wyznać, Patricku.

— Co?

— Raczej dużo tego. . . Może byś zaczął od Peppera?

— Jak sobie życzysz. Nie zabiłem go.

— To może ktoś inny zabił Peppera?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo.

— Czyżby więc sam się zabił?

— O tym też nic nie wiem.

— Czy to znaczy, że Pepper żył jeszcze w chwili twojego zniknięcia?

— Prawdopodobnie tak.

— Do jasnej cholery! Miałem naprawdę długi i ciężki dzień! Nie jestem w nastroju do takich zgadywanek!

Lanigan odwrócił się od okna i rzekł spokojnie:

— Nie krzycz, proszę. Za drzwiami siedzą strażnicy, którzy pilnie nastawiają ucha. Usiądź.

— Nie mam ochoty siadać!

— Proszę.

— Lepiej mi się słucha na stojąco. No więc?

Patrick bez pośpiechu zamknął okno, zasłonił żaluzje, sprawdził zamknięcie drzwi i zgasił telewizor, po czym zajął swoją zwykłą pozycję na łóżku z wysoko spiętrzonymi poduszkami i zakrył się do pasa prześcieradłem. Cichym, monotonnym głosem zaczął swoją opowieść.

— Znałem Peppera. Zapukał któregoś dnia do mego domku myśliwskiego z prośbą o coś do zjedzenia. Było to przed Bożym Narodzeniem dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Powiedział, że większość czasu spędza w okolicznych lasach. Usmażyłem mu jajka na bekonie i pochłonął całą porcję z takim apetytem, jakby głodował od tygodnia. Był bardzo skrępowany i zawstydzony, mocno się jąkał. Co zrozumiałe, zainteresował mnie jego los. W końcu rzadko się spotyka 286

chłopaka, siedemnastoletniego, lecz wyglądającego młodziej, czystego i zadbanego, nieźle ubranego, który ma jakichś krewnych w odległym o trzydzieści kilometrów miasteczku, ale mieszka w lesie. Nakłoniłem go do wyznań. Zapytałem o rodzinę i dość niechętnie opowiedział mi swoją smutną historię. Kiedy tylko skończył jeść, chciał ruszać w dalszą drogę. Zaproponowałem, aby spędził noc ze mną pod dachem, wolał jednak wrócić do swego obozowiska. Następnego dnia poszedłem samotnie na polowanie i natknąłem się na Peppera. Pokazał mi swój mały namiot i śpiwór. Miał podstawowy sprzęt obozowy, naczynia do gotowania, rożen, lampę naftową, karabin. Wyznał, że nie zaglądał do domu od dwóch tygodni, bo jego matka sprowadziła sobie nowego kochanka, a ten jest najgorszy ze wszystkich, jakich dotąd miała. Zaprowadził mnie głębiej w las i pokazał miejsce, gdzie często przychodzą sarny. Godzinę później zabiłem dziesięciopunktowego rogowca, największego w mojej krótkiej karierze myśliwskiej. Chłopak znał

tamtejsze lasy jak własną kieszeń i obiecał pokazać mi najdogodniejsze stanowiska do polowania na sarny.

Kilka tygodni później znów przyjechałem na weekend do domku. Życie z Trudy stawało się nie do zniesienia, toteż oboje staraliśmy się przy każdej okazji schodzić sobie z oczu. Pepper zjawił się niedługo po moim przyjeździe. Ugotowałem treściwą zupę i zrobiliśmy sobie ucztę, bo wtedy dopisywał mi nadzwyczajny apetyt. Pepper wyznał, że wrócił do domu na trzy dni, ale uciekł znowu po awanturze z matką. Zauważyłem, że im dłużej mówi, tym mniej się jąka. Powiedziałem mu, że jestem adwokatem, on zaś zdradził, że ma pewne kłopoty z prawem. Przez jakiś czas pracował jako pomocnik na stacji benzynowej w Lucedale, gdzie systematycznie ginęły drobne sumy z kasy. Powszechnie był uważany za półgłówka, toteż obarczono go winą, chociaż Pepper nie ukradł ani

centa. Zyskał w ten sposób kolejny powód, aby uciec i zamieszkać w lesie. Obiecałem, że się tym zainteresuję.

— I w ten sposób wciągnąłeś chłopaka do swojej rozgrywki — wtrącił Sandy.

— Można to i tak nazwać. Widywaliśmy się jeszcze kilkakrotnie w lesie.

— Aż wreszcie zaczął się zbliżać dziewiąty lutego.

— Owszem. Powiedziałem Pepperowi, że szuka go policja. To było kłamstwo, gdyż nie przeprowadziłem ani jednej rozmowy w jego sprawie. Wołałem jej nie rozgrzebywać, bo im więcej o niej dyskutowaliśmy, tym bardziej zyskiwa-

łem przeświadczenie, że Pepper jednak coś wie na temat skradzionych pieniędzy.

Przestraszył się i poprosił o radę. Zaczęliśmy omawiać różne wyjścia z tej sytuacji, z których jednym było całkowite zniknięcie.

— Oho! Skądś to znam!

— Dogłębnie nienawidził matki i bał się gliniarzy, toteż ogarnęło go przera-

żenie. Zdawał sobie sprawę, że nie da rady spędzić reszty życia w lesie. Bardzo mu się spodobał pomysł wyjazdu na zachód i podjęcia pracy przewodnika my-

śliwskiego gdzieś w górach. Szybko przygotowaliśmy plan działania. Zacząłem regularnie przeglądać gazety, aż trafiłem na notatkę o nieszczęśliwym maturzy-287

ście, który zginął w wypadku kolejowym niedaleko Nowego Orleanu. Nazywał

się Joey Palmer. Zadzwoiłem więc do fałszerza z Miami, ten zaś już miał w komputerze numer ubezpieczenia społecznego tego chłopaka. No i cztery dni później dostałem komplet nowych dokumentów dla Peppera: prawo jazdy wystawione w Luizjanie ze zbliżoną podobizną na fotografii, a oprócz tego kartę ubezpieczenia społecznego, świadectwo urodzenia, a nawet paszport.

— Według twojej relacji to takie proste.

— Bo to jest o wiele prostsze, niż ci się wydaje. Wystarczy tylko mieć forszę i trochę wyobraźni. Pepperowi bardzo się spodobały te dokumenty, w dodatku wizja podróży autobusem aż na środkowy zachód przeszywała go dreszczem emocji.

Wcale nie żartuję, Sandy. Ten chłopak bez wahania chciał wszystko rzucić, nawet nie pomyślał o matce. W ogóle nie interesował go jej los.

— Twój typ.

— No właśnie. I tak w niedzielę, dziewiątego lutego. . .

— Czyli w dniu twojej śmierci.

— Owszem, choć dzisiaj to określenie wydaje się śmieszne. W każdym razie zawiozłem Peppera na dworzec linii Greyhound w Jackson. Kilkakrotnie go pyta-

łem, czy się nie rozmyślił i nie chce zrezygnować. Ani myślał wracać, był podekscytowany. Wyobraź sobie, że ten biedny chłopak nigdy nie bywał poza granicami Missisipi. Już sama podróż do Jackson stała się dla niego niezapomnianym wydarzeniem. Dałem mu jasno do zrozumienia, że już nigdy, pod żadnym pozorem nie będzie mógł wrócić w rodzinne strony. Ani razu nie wspomniał o matce. Rozmawialiśmy przez trzy godziny jazdy, a on nawet nie wymienił słowa „matka”.

— Dokąd miał się udać?

— Wyszukałem dla niego turystyczną leśniczówkę w Oregonie, na północ od Eugene. Spisałem wcześniej z rozkładu jazdy połączenia autobusowe i kazałem mu się nauczyć na pamięć, gdzie i kiedy powinien się przesiąść. Dałem mu dwa tysiące dolarów w gotówce i wysadziłem kilkaset metrów od dworca. Była pierwsza po południu i nie chciałem ryzykować, że ktoś mnie tam zobaczy. Wtedy właśnie widziałem Peppera po raz ostatni, kiedy z plecakiem, szeroko uśmiechnięty, ruszył śmiało ulicą w stronę hali dworca autobusowego.

— Lecz jego karabin i sprzęt obozowy zostały w domku myśliwskim.

— A co miał z tym zrobić?

— Zatem spreparowałeś mylny element do swojej układanki.

— Oczywiście. Bardzo mi zależało, aby wszyscy myśleli, że to Pepper spłonął w moim samochodzie.

— Gdzie on teraz przebywa?

— Nie wiem. To chyba nie ma żadnego znaczenia.

— Dobrze wiesz, że nie o to pytałem, Patricku.

— To naprawdę nieistotne.

288

— Do diabła, może jednak przestałbyś się ze mną bawić w ciuciubabkę. Za-dałem ci pytanie i oczekuję konkretnej odpowiedzi.

— Udzieliłem ci takiej odpowiedzi, jaką uznałem za stosowną.

— Dlaczego traktujesz mnie jak swego wroga?

McDermott znów zaczął mówić podniesionym głosem, toteż Lanigan odczekał chwilę, aby tamten zdążył ochłonać. On także odczuwał zmęczenie, choć zapewne innego rodzaju, niemniej również sporo wysiłku kosztowało go panowanie nad sobą.

— Wcale nie traktuję cię jak wroga, Sandy — odparł w końcu.

— Na pewno. Staram się jak diabli, żeby wyjaśnić jedną zagadkę, a tymczasem po drodze pojawia się dziesięć następnych. Dlaczego nie chcesz powiedzieć mi całej prawdy?

— Ponieważ nie musisz jej znać.

— Nie sądzisz, że byłoby mi łatwiej?

— Tak uważasz? A kiedy to po raz ostatni klient kryminalista wyznał ci całą prawdę?

— Śmieszne. Ani razu nie pomyślałem o tobie jak o kryminaliście.

— Więc za kogo mnie masz?

— Pewnie za przyjaciela.

— Z pewnością byłoby ci łatwiej, gdybyś uważał mnie za zwykłego kryminalistę.

Sandy wstał ociężale, zgarnął podpisane dokumenty i ruszył do wyjścia.

— Jestem piekielnie zmęczony, muszę odpocząć. Wrócę jutro, wtedy opowiesz mi resztę.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Guy po raz pierwszy zauważył, że są śledzeni dwa dni wcześniej, kiedy wracali z kasyna. Mężczyzna w ciemnych okularach za szybko odwrócił wzrok, później zbyt nachalnie jechał za nimi. Miał spore doświadczenie w tych sprawach, toteż od razu dał znać Benny'emu, który prowadził wóz.

— To pewnie chłopcy z FBI — mruknął. — Kto inny mógłby nas obserwować?

Pospiesznie ułożyli plan wymknięcia się z Biloxi. W wynajętym domku letniskowym odłączyli telefony, odesłali pozostałych agentów.

Odczekali do zmierzchu. Guy wyjechał pierwszy i skierował się na wschód, w stronę Mobile, gdzie spędził noc, po czym odleciał rannym samolotem. Benny pojechał na zachód autostradą numer dziewięćdziesiąt, prowadzącą wzdłuż wybrzeża. Minął Lake Pontchartrain i dotarł do Nowego Orleanu, który znał niemal na pamięć. Zachowywał czujność, lecz nie zauważył, by ktokolwiek go śledził.

W dzielnicy francuskiej zjadł na obiad porcję duszonych ostryg, a następnie zła-289

pał taksówkę i udał się na lotnisko. Odleciał do Memphis, gdzie spędził noc w poczekalni dworca

lotniczego. O świcie złapał połączenie do Nowego Jorku.

Tymczasem FBI zajęło posterunki w Boca Raton i podjęło obserwację domu Aricii. Jego szwedzka przyjaciółka nadal tam przebywała, zatem kierujący akcją doszli do wniosku, że znacznie łatwiej będzie śledzić ją zamiast Benny'ego.

Rozdział 36

Chyba jeszcze nikt nigdy nie został zwolniony z aresztu w tak ekspresowym tempie. Już o wpół do dziewiątej rano Eva wyszła z budynku służb federalnych jako wolna kobieta. Miała na sobie te same dżinsy i bluzkę, w których została aresztowana. Strażniczki były dla niej bardzo uprzejme, oficer dyżurny błyskawicznie załatwił formalności, wreszcie kierownik placówki pożegnał ją, życząc wszystkiego najlepszego. Mark Birck zaprowadził ją do swego auta — eleganckiego starego jaguara, którego kupił okazjnie od jednego z klientów — i ruchem głowy wskazał wóz z dwoma mężczyznami z obstawy.

— Tam siedzą agenci FBI, którzy będą panią chronili.

— Myślałam, że ostatecznie się od nich uwolniłam.

— Jak widać, niezupełnie.

— Mam się z nimi grzecznie przywitać, czy co?

— Nie, wystarczy, jeśli wsiądzie pani do samochodu.

Otworzył przed nią drzwi, a gdy zajęła miejsce, zatrzasnął je delikatnie, po raz kolejny spojrzał z podziwem na starannie wywoskowany lakier, odbijający światło słoneczne na łagodnej krzywiznie błotnika, wreszcie usiadł za kierownicą.

— Oto list, który przesłał mi faksem Sandy McDermott — rzekł, uruchomiwszy silnik. Podał jej kartkę i zaczął wycofywać wóz z parkingu. — Proszę przeczytać.

— Dokąd jedziemy?

— Na lotnisko. Czeka tam już na panią mały prywatny odrzutowiec.

— Dokąd mnie zabierze?

— Do Nowego Jorku.

— A stamtąd?

— Odleci pani concorde'em do Londynu.

Jechali ruchliwą ulicą, toteż agenci FBI trzymali się tuż za nimi.

— Dlaczego wciąż jadą za nami? — spytała Eva.

— Już mówiłem, to nasza obstawa.

Zamknęła oczy i w zamyśleniu potarła czoło. W wyobraźni ujrzała Patricka siedzącego w szpitalnej izolatce, śmiertelnie znudzonego, który mimo własnych 291

kłopotów nie zapominał też o jej bezpieczeństwie. Dopiero teraz spostrzegła w samochodzie aparat komórkowy.

— Mogę skorzystać? — zapytała, sięgając po niego.

— Oczywiście.

Birck prowadził ostrożnie, bez przerwy zerkał we wsteczne lusterko, jakby wiózł samego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Eva zadzwoniła do Brazylii i drogą satelitarną, po portugalsku, wyraziła swą ogromną radość z powrotu ojca do domu. Czuł się dobrze, oznajmiła więc szybko, że jej także nic nie jest. Oboje przebywali na wolności, zatem wolała nie zdradzać ojcu, gdzie spędziła trzy ostatnie noce. Zażartowała, że wbrew pozorom porywacze wcale nie okazali się tacy straszni. Paulo potwierdził, że był traktowany bardzo dobrze, nie odniósł nawet jednego zadrapania. Obiecała, że wkrótce wróci do ojczyzny. Prawie uporała się już z zadaniem wykonywanym w Stanach i nadzwyczaj tęskniła za domem.

Birck mimowolnie przysłuchiwał się tej rozmowie, lecz nie rozumiał z niej ani słowa. Kiedy Eva odwiesiła aparat i otarła łzy z oczu, powiedział:

— W piśmie znajdzie pani awaryjny numer telefonu, na wypadek, gdyby celnicy znów chcieli panią zatrzymać. FBI wycofało list gończy i wyraziło zgodę, by mogła się pani swobodnie poruszać z dotychczasowym paszportem przez następny tydzień.

Eva słuchała w milczeniu.

— Znajduje się tam również odpowiedni numer londyńskiego telefonu, gdyby coś się przydarzyło na Heathrow.

Dopiero teraz sięgnęła po kartkę i rozłożyła ją. List został wydrukowany na firmowym papierze kancelarii Sandy'ego McDermotta. Adwokat pisał, że w Biloxi sprawy posuwają się błyskawicznie i wszystko jest na dobrej drodze. Prosił, żeby zadzwoniła do jego pokoju hotelowego z lotniska Kennedy'ego. Miał dla niej dalsze instrukcje.

Należało zatem wnioskować, że chciał jej przekazać coś, o czym Birck nie powinien się dowiedzieć.

Zajechali przed niewielki budynek specjalnego terminalu na północnym skraju lotniska międzynarodowego w Miami. Agenci pozostali w swoim samochodzie, tylko Birck odprowadził ją do środka. Samolot rzeczywiście na nią czekał. Przyszło jej nagle do głowy, że ten połyskujący

srebrzyście, zgrabny mały odrzutowiec mógłby ją zabrać do ojczyzny. Z trudem się powstrzymała, aby nie powiedzieć pi-lotowi: „Proszę mnie zawieźć do Rio. Błagam”.

Pożegnała się z Birckiem, podziękowała mu za pomoc i weszła na pokład maszyny. Nie miała żadnego bagażu, nawet jednej sztuki odzieży na zmianę. Po-myślała, że Patrick jej za to zapłaci. Zaraz jednak uzmysłowiła sobie, iż gdy tylko znajdzie się w Londynie, wystarczy przecież kilka godzin w salonach przy Bond Street lub Oxford Street, aby zyskać tyle rzeczy, że nie zmieściłyby się w tym 292 odrzutowcu.

O tak wczesnej porze Murray Riddleton sprawiał wrażenie szczególnie zmęczonego i zaniedbanego. Bąknął zdawkowe powitanie sekretarce, która otworzyła mu drzwi, i ochoczo przystał na propozycję wypicia mocnej, gorzkiej kawy.

Sandy przywitał go uprzejmie, wziął z jego rąk wymiętą marynarkę i poprowadził adwokata do salonu, gdzie usiedli wygodnie, żeby omówić ostatnie szczegóły ugodowego podziału rodzinnego majątku.

— No to jesteśmy w domu — rzekł Sandy, ujrzawszy podpis Trudy na nie wypełnionych do końca papierach.

Murray nie wyobrażał sobie jeszcze jednego spotkania z egzaltowaną damul-ką i jej żigolakiem, toteż wymusił podpisanie ugody in blanco. Z pogardą wyrażał

się o awanturze, jaka wybuchła między parą kochanków poprzedniego dnia w je-go gabinecie. Od wielu lat prowadził sprawy rozwodowe, toteż teraz gotów był

postawić grube pieniądze, że dni Lance’a w roli pana domu są już policzone.

Wcześniej czy później Trudy musiała się ugiąć pod presją sytuacji finansowej.

— Zaraz uzupełnimy te punkty — oznajmił McDermott.

— Po co ten pośpiech? Przecież i tak macie wszystko, czego chcieliście.

— Biorąc pod uwagę istniejącą sytuację, zaproponowane przez nas warunki wydają się całkiem uczciwe.

— Tak, jasne.

— Jeszcze nie wiesz, Murray, że nastąpił znaczny postęp w spornej sprawie między twoją klientką a towarzystwem Northern Case Mutual.

— Jaki znów postęp?

— Nie będę omawiał okoliczności, które w gruncie rzeczy nie są istotne dla twojej klientki. Najważniejsze, że Northern Case Mutual zgodziło się wycofać pozew przeciwko Trudy Lanigan.

Riddleton przez kilka sekund gapił się na niego wybałuszonymi oczami, a jego dolna szczęka powolutku opadała. Chyba nie był pewien, czy rozmówca nie kpi sobie z niego.

Sandy wyjął z szuflady kopię podpisanej umowy, na której wcześniej zaczernił wszystkie paragrafy nie dotyczące Trudy Lanigan. Ale i tak pozostało sporo do czytania.

— To jakiś żart? — spytał niepewnym głosem Riddleton, nie podnosząc głowy.

Bez cienia podejrzliwości ominął zamalowane fragmenty i szybko odnalazł kluczowe dla siebie zapisy, dwa obszerne akapity, nie tknięte przez wiadomego cenzora. Dwukrotnie przeczytał sformułowane ścisłym, prawniczym językiem zdania o natychmiastowym i całkowitym zaniechaniu wszelkich roszczeń wobec jego klientki.

293

Nie interesowało go, z jakiego powodu została spisana ta umowa. W końcu każde poczynanie Patryka spowijała nieprzenikniona mgła tajemnicy. Wolał też nie zadawać żadnych pytań.

— Cóż za miła niespodzianka — mruknął.

— Byłem przekonany, że zostanie to dobrze przyjęte.

— Naprawdę może zatrzymać cały majątek?

— Wszystko, co jej zostało.

Murray po raz kolejny przeczytał wnikliwie zdumiewający zapis.

— Mogę wziąć tę umowę? — spytał.

— Nie. To poufne pismo. Lecz jeszcze dzisiaj powinien wpłynąć do sądu wniosek o wycofanie pozwu, prześlę ci jego kopię.

— Dzięki.

— Jest jeszcze coś — dodał Sandy, wręczając Riddletonowi analogicznie ocenzurowaną umowę z towarzystwem Monarch-Sierra. — Zajrzyj na czwartą stronę, trzeci akapit od góry.

Murray z taką samą uwagą zapoznał się z punktem ustalającym fundusz powierniczy do wyłącznej dyspozycji Ashley Nicole Lanigan, w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Kontrolę nad nim miał sprawować Sandy McDermott, a pieniądze były przeznaczone tylko na cele zdrowotne oraz edukację dziewczyny, przy czym pozostała, nie spożytkowana suma powinna jej zostać

wypłacona dopiero na trzydzieste urodziny.

— Nie wiem, co powiedzieć — mruknął, chociaż w myślach już układał plany, jak wykorzystać owe zdobycze ku swojej chwale.

Sandy lekceważąco machnął ręką.

— Coś jeszcze? — zapytał Murray, uśmiechając się chytrze.

— Nie, to wszystko. Rozwód doszedł do skutku. Miło mi się załatwiało z tobą sprawy.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie i Riddleton wyszedł, już znacznie energiczniejszym krokiem. Zjeżdżając windą do holu, rozmyślał gorączkowo, jak najlepiej przedstawić klientce swą zaciętą walkę o jej prawa, skutkiem której będzie mogła zachować posiadany majątek. Rozważał wszelkie możliwe groźby wystą-

pień sądowych, do jakich musiał się uciec w zażartej kłótni, by ostatecznie odnieść zwycięstwo. W końcu prowadził wiele tego typu spraw, był wziętym specjalistą od rozwodów.

Przestały się liczyć sprawozdania prywatnych detektywów i wykonane potajemnie zdjęcia nagiej pary przy basenie. Jego klientka postąpiła lekkomyślnie, lecz miała przecież prawo do godnego traktowania. A w dodatku trzeba było po-myśleć o przyszłości niewinnego dziecka!

Zamierzał jej więc opowiedzieć, jak to przymuszeni jego argumentami opo-nenci wycofali swoje żądania. Domagał się ustanowienia funduszu powierniczego na rzecz córki, a Patrick, przytłoczony ciężarem winy, ostatecznie zgodził się 294

na takie rozwiązanie. Tak oto zarezerwowana została niebagatelna suma dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, mająca służyć wyłącznie dobru dziecka.

On zaś musiał walczyć jak lew o ochronę majątku swojej klientki, która nie popełniła wszak żadnego przestępstwa, przyjmując odszkodowanie w wysokości dwóch i pół miliona dolarów. I tak umiejętnie nastraszył stronę przeciwną, że zdołał ocalić wszystkie dobra Trudy. Szczegóły w tym momencie nie miały większego znaczenia, można je było ustalić w trakcie godzinnej podróży do biura.

Nic więc dziwnego, że zanim Riddleton dotarł do swego gabinetu, dysponował

gotową bajeczką opisującą jego błyskotliwe zwycięstwo.

W punkcie odpraw na lotnisku powitały ją zdumione spojrzenia, gdyż nie mia-

ła ze sobą żadnego bagażu. Urzędniczka wezwała nawet kierownika zmiany, ten jednak szybko załatwił sprawę. Ale Eva z trudem trzymała nerwy na wodzy. Nie zniosłaby powtórnego aresztowania. Kochała Patricka, lecz tego rodzaju nieprzy-jemności wykraczały poza granice jej oddania. W końcu jeszcze nie tak dawno, zanim w jej życiu pojawił się Lanigan, była znanym prawnikiem i miała przed sobą obiecującą karierę w ukochanym mieście.

Na szczęście kłopoty się skończyły i w poczekalni Eva natrafiła jedynie na uprzejme uśmiechy angielskich stewardes. Kupiła sobie filiżankę kawy i z automatu zadzwoniła pod numer tymczasowego gabinetu Sandy'ego w Biloxi.

— Wszystko w porządku? — zapytał szybko, rozpoznawszy jej głos.

— Tak, w porządku. Jestem na lotnisku Kennedy'ego, przed wejściem na pokład concorde'a odlatującego do Londynu. Jak się czuje Patrick?

— Doskonale. Zawarliśmy ugody z przedstawicielami instytucji federalnych.

— Ile trzeba zwrócić?

— Sto trzysta milionów.

Przez chwilę McDermott w milczeniu czekał na jej reakcję. Patrick przyjął

wielkość tej sumy z całkowitym spokojem i powagą, jakby niewiele go to obchodziło. Eva zareagowała podobnie.

— Kiedy? — spytała rzeczowo.

— Przekażę ci instrukcje, gdy znajdziesz się w Londynie. W tamtejszym hotelu „Four Seasons” zarezerwowałem pokój na nazwisko Pires.

— Czyli dla mnie?

— Oczywiście. Zadzwoń, kiedy dotrzesz na miejsce.

— Przekaż Patrickowi, że nadal go kocham, nawet jeśli będzie musiał pójść do więzienia.

— Zobaczę się z nim dziś wieczorem. Uważaj na siebie.

295

— Cześć.

W mieście przebywali znamienici goście, toteż Mast nie mógł przepuścić okazji, żeby nie zrobić na nich wrażenia. Poprzedniego wieczoru, kiedy tylko przejęli od McDermotta obciążające materiały, nakazał swoim podwładnym indywidualnie powiadomić każdego członka federalnej komisji przysięgłych o posiedzeniu zwoływanym w pilnym trybie. Wraz z pięcioma asystującymi mu prokuratorami oraz specjalistami z FBI przystąpił niezwłocznie do katalogowania i porządkowania dokumentów oraz nagrań. Wyszedł ze swego biura dopiero o trzeciej nad ranem i wrócił już po pięciu godzinach.

Posiedzenie komisji zostało wyznaczone na dwunastą, lunch miał być im dostarczony na salę obrad. Hamilton Jaynes zdecydował się zostać i śledzić przebieg dyskusji, podobnie uczynił też Sprawling.

Jako jedyne go świadka do wystąpienia przed komisją powołano Patricka Lanigana.

Zgodnie z wcześniejszym porozumieniem był bez kajdanek na rękach. Został

przywieziony nie oznakowanym samochodem służbowym FBI i wprowadzony bocznym wejściem do gmachu służb federalnych w Biloxi. Sandy nie odstępował

go ani na krok. Patrick miał na sobie ubranie, w które zaopatrzył go adwokat: luźne jasne spodnie, sandały i bawełnianą koszulkę. Wyglądał źle, był blady i wychudzony, ale szedł pewnie o własnych siłach. Nie dawał po sobie poznać, że jest w wyśmienitym nastroju.

Szesnastu przysięgłych ze składu komisji zajmowało miejsca przy jednym końcu wielkiego stołu konferencyjnego. Mniej więcej połowa z nich siedziała ty-

łem do wejścia, kiedy otwarto drzwi i do środka wkroczył śmiertelnie poważny więzień. Ci właśnie jak na komendę odwrócili głowy. Jaynes i Sprawling także z ciekawością popatrzyli z przeciwległego krańca sali na człowieka, którego jeszcze nie mieli okazji poznać.

Patrick usiadł przy stole, na wskazanym mu krześle dla świadków. Po krótkim wprowadzeniu Masta zaczął relacjonować zdarzenia spokojnym, łagodnym tonem. Był całkowicie rozluźniony i pewny siebie, gdyż owo surowe gremium nie mogło mu już nic zrobić. Wszak w ramach zawartej ugody został uwolniony od wszelkich zarzutów służb federalnych.

Zaczął od przybliżenia zebranych swej dawnej kancelarii adwokackiej, krótko scharakteryzował poszczególnych współników, omówił najważniejszych klientów, typ rozpatrywanych spraw, aż wreszcie doszedł do umowy z Aricią.

W tym momencie prokurator mu przerwał i pokazał kopię dokumentu, który Patrick błyskawicznie zidentyfikował jako umowę zawartą między właścicielami kancelarii adwokackiej a Bennym Aricią. Liczyła aż cztery strony wydrukowane drobnym maczkiem, lecz w największym skrócie dotyczyła prawnej reprezentacji klienta w sprawie jego wystąpienia przeciwko spółce Platt & Rockland, za co

kancelaria miała otrzymać honorarium w wysokości jednej trzeciej sumy wywalczonego odszkodowania.

— Jak pan wszedł w posiadanie tego dokumentu? — zapytał Mast.

— Sekretarka Bogana przepisywała umowę na komputerze, a nasze maszyny były ze sobą sprzężone. Po prostu skopiowałem plik z twardego dysku komputera.

— I dlatego ta kopia nie jest podpisana?

— Oczywiście. Oryginał powinien się znajdować w archiwum kancelarii.

— Czy miał pan dostęp do materiałów przechowywanych w gabinecie Charlesa Bogana?

— Bardzo ograniczony.

Patrick zaczął wyjaśniać obsesję szefa na punkcie zachowania tajemnicy służ-

bowej, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że miał o wiele łatwiejszy dostęp do gabinetów pozostałych wspólników. Przeszedł następnie do fascynującej relacji ze swej przygody z nowoczesną instalacją podsłuchową. Objął, iż nabraw-szy podejrzeń co do sprawy Aricii, starał się zebrać na ten temat tyle informacji, ile tylko było możliwe. Opisał swoje potajemne przyswajanie wiedzy z zakresu elektroniki użytkowej, co pozwoliło mu zakraść się do materiałów przechowywanych w innych komputerach firmy. Skrzętnie gromadził wszystkie plotki, ostrożnie rozpytywał sekretarki i aplikantów. Szperał nawet w koszach na śmieci.

A przede wszystkim zaglądał do biura po godzinach pracy, licząc na to, że któryś z pracowników zostawi otwarte drzwi pokoju.

Po dwóch godzinach zeznań Lanigan poprosił o coś do picia, toteż Mast zaproponował piętnastominutową przerwę. Ta jednak trwała krócej, gdyż członkowie komisji aż się palili do wysłuchania dalszej części opowieści.

Kiedy wszyscy pospiesznie zajęli z powrotem swoje miejsca, prokurator za-dał kilka pytań w kwestii wystąpienia Aricii przeciwko zarządowi macierzystej spółki. Patrick zaczął więc przybliżać komisji tę sprawę.

— Aricia wykazał się wielkim sprytem. Sam preparował zamówienia i fałszował rachunki, lecz czynił to w taki sposób, aby winą można było obarczyć ściśle kierownictwo firmy. Ale w gruncie rzeczy to on był sprawcą tej gigantycznej malwersacji.

Mast ułożył obok świadka wielką stertę dokumentów. Patrick sięgnął po pierwszą kartkę z góry i ledwie rzucił na nią okiem, przystąpił do wyjaśnień.

— Oto próbka listy płac stoczni New Coastal Shipyards, obejmująca jakoby pracowników zatrudnionych przy realizacji zamówienia rządowego. Przygotowana została na komputerze i obejmuje tygodniowy fundusz płac z lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Wyszczególniono na niej osiemdziesięciu czterech robotników, ale wszystkie nazwiska są fikcyjne. Zatem tylko w ciągu tego jednego tygodnia oszukano zleceniodawcę na siedemdziesiąt jeden tysięcy dolarów.

297

— W jaki sposób przygotowywano listy fikcyjnych pracowników? — zapytał

Mast.

— W tamtym okresie stocznia zatrudniała osiem tysięcy ludzi. Wystarczyło więc ściągnąć z prawdziwej listy płac często spotykane nazwiska, takie jak Jones, Johnson, Miller, Green czy Young, a następnie pozamieniać losowo imiona.

— Ile powstało takich fikcyjnych list?

— Według materiałów dołączonych do wystąpienia Aricii, w ciągu czterech lat tym sposobem wyłudżono od państwa dziewiętnaście milionów dolarów.

— Czy Aricia wiedział o istnieniu fałszywych list płac?

— Oczywiście, skoro były drukowane z jego inicjatywy.

— Skąd pan może o tym wiedzieć?

— A gdzie są moje kasety?

Prokurator wręczył mu spis ponad sześćdziesięciu skatalogowanych w nocy taśm. Patrick przez chwilę wpatrywał się w listę.

— Poproszę o kasetę numer siedemnaście.

Asystent Masta pospiesznie wyciągnął z pudła kasetę oznaczoną tym właśnie numerem i włożył ją do kieszeni magnetofonu ustawionego pośrodku stołu.

— Oto rozmowa dwóch współników, Douga Vitrano oraz Jimmy'ego Havaraca, jaka odbyła się w gabinecie Vitrano trzeciego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

Magnetofon został włączony, wszyscy w skupieniu czekali na początek nagrania.

Wreszcie z głośnika padło zdanie: „Jak to się stało, że nikt nie wykrył tych dziewiętnastu milionów funduszu płac na fikcyjnych listach zatrudnienia?”

— To Jimmy Havarac — wyjaśnił szybko Lanigan.

”Przecież to proste”.

— A to Doug Vitrano.

VITRANO: Cały fundusz osobowy wynosił około pięćdziesięciu milionów rocznie, co w ciągu czterech lat daje dwieście milionów. Skoro zakładano co-roczny dziesięcioprocentowy wzrost płac z powodu inflacji, tych dziewiętnaście milionów bez trudu utonęło w masie papierków.

HAYARAC: I Aricia o tym wiedział?

VITRANO: Czy wiedział? Daj spokój, przecież to on sam kazał sporządzać fikcyjne listy płac.

HAYARAC: Bez żartów, Doug.

VITRANO: To wszystko jedna wielka lipa, Jimmy. Cały materiał dowodowy jest spreparowany. Nie tylko listy płac, ale także sumy na fakturach bądź

dwu- lub trzykrotnie powtarzane zamówienia na ten sam kosztowny sprzęt. Aricia planował swoje wystąpienie od początku pracy w stoczni. Umiejętnie wykorzystał to, że w jego firmie już kilka razy wcześniej dochodziło do podobnych afer finansowych. Doskonale znał biurokratyczne metody działania zarządu spółki, 298

znał też opieszałość urzędników z Pentagonu. Był na tyle sprytny, żeby wykorzystać nadarzącą się okazję.

HAYARAC: A skąd ty o tym wiesz?

VITRANO: Od Bogana. Aricia nie ma przed nim żadnych tajemnic. W dodatku Bogan musiał powiedzieć senatorowi prawdę. Wystarczy trzymać gębę na kłódkę i robić swoje, a już wkrótce wszyscy zostaniemy milionerami.

Zapadła cisza. Przed czterema laty Patrick, przegrywając i systematyzując fragmenty rozmów, specjalnie powstawał dłuższe przerwy, by zachować przej-rzystość nagrań.

Członkowie komisji jak urzeczeni wpatrywali się w magnetofon.

— Czy możemy jeszcze posłuchać jakichś rozmów? — wyrwało się któremuś z nich.

Mast wzruszył ramionami i spojrzął na Lanigana, który podjął ochoczo:

— Moim zdaniem to doskonały pomysł.

Odtwarzanie fragmentów podsłuchanych rozmów, przetykanych przez niego krótkimi wyjaśnieniami bądź kwiecistymi opisami różnych sytuacji, zajęło w sumie aż trzy godziny. Patrick zachował nagranie kłótni w „klozecie” na koniec, nie przypuszczał jednak, że komisja będzie chciała go wysłuchać aż czterokrotnie, zanim ostatecznie padnie wniosek o zwolnienie świadka. O osiemnastej zamówiono obiad z pobliskiej restauracji.

Dopiero po nim, o dziewiętnastej, Lanigan mógł opuścić salę obrad.

Już w trakcie obiadu Mast zagaił dyskusję nad bulwersującymi zdarzeniami znajdującymi odzwierciedlenie w dokumentach. Skrzętnie przytaczał numery paragrafów kodeksu federalnego, którego przepisy zostały naruszone. A utrwalone na kasetach rozmowy uczestników spisku nie zostawiały cienia wątpliwości co do charakteru uknutego oszustwa.

O dwudziestej trzydziestej komisja jednogłośnie podjęła decyzję, iż należy Benny’ego Aricię, Charlesa Bogana, Douga Vitrano, Jimmy’ego Havaraca oraz Ethana Rapleya postawić w stan oskarżenia za sprzeniewierzenie pieniędzy z bu-dżetu państwowego, dokonane na podstawie ustawy antymalwersacyjnej. Każde-mu z oskarżonych groziła kara do dziesięciu lat więzienia oraz grzywna w wysokości do pięciuset tysięcy dolarów.

Senator Harris Nye został uznany za nie wymienionego z nazwiska współ-

uczestnika spisku i w wypadku udowodnienia mu zarzutów miał dołączyć do grona oskarżonych.

Taką decyzję podjęto na wniosek Sprawlinga, Jaynesa i Masta, którym zależało na aresztowaniu mniej ważnych winowajców i podjęciu pró-

by wydobywania z nich zeznań w zamian za obietnicę łagodniejszego wyroku. Już wcześniej obmyślili, iż należałoby w pierwszej kolejności ostro przycisnąć Rapleya i Havaraca, gdyż ci dwaj dogłębnie nienawidzili Bogana i jego wpływowego kuzyna.

Posiedzenie zakończyło się o dziewiątej wieczorem. Prokurator natychmiast 299

udał się na spotkanie z szeryfem federalnym, by zaplanować z nim szczegóły jednoczesnego aresztowania wszystkich winowajców następnego dnia rano. Natomiast Jaynes i Sprawling odlecieli ostatnim samolotem z Nowego Orleanu do Waszyngtonu.

Rozdział 37

— Przed laty, zaraz po rozpoczęciu pracy w kancelarii, prowadziłem sprawę dotyczącą wypadku samochodowego. Kraksa zdarzyła się na szosie numer czterdzieści dziewięć, w okręgu Stone, niedaleko miasteczka Wiggins. Nasz klient jechał na północ, kiedy niespodziewanie tuż przed nim z bocznej drogi wyjechała na autostradę ciężarówka z naczepą. Kierowca nie zdążył wyhamować, zginął na miejscu. Jego żona odniosła bardzo poważne obrażenia, a dziecko jadące na tylnym siedzeniu złamało nogę. Ciężarówka należała do dużej firmy przetwórstwa papieru, ta zaś była wysoko ubezpieczona, zarysowała się więc szansa wywalczenia dużego odszkodowania. Byłem nowy w kancelarii, kiedy więc dostałem tę sprawę, zabrałem się do niej z zapałem. Nie było najmniejszych wątpliwości, że to kierowca ciężarówki spowodował wypadek, ten jednak, wyszedłszy cało ze zderzenia, zasłaniał się tym, że samochód osobowy pędził z nadmierną szybkością. Zatem najważniejsze stało się ustalenie, z jaką rzeczywistą prędkością jechał

wóz osobowy. Według przeprowadzonej przeze mnie rekonstrukcji wydarzeń mogła ona wynosić najwyżej sto kilometrów na godzinę, co nie byłoby jeszcze takie złe. Na autostradzie obowiązuje ograniczenie do dziewięćdziesięciu, lecz wszyscy jeżdżą co najmniej dziewięćdziesiąt pięć na godzinę. Ale mój klient zamierzał odwiedzić rodzinę w Jackson i pewne fakty wskazywały na to, że się śpieszył. Firma papiernicza także wynajęła specjalistę z zakresu ruchu drogowego i ten ocenił, że samochód osobowy musiał pędzić co najmniej z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Sam rozumiesz, że gdyby okazało się to prawdą, mógłbym zapomnieć o jakimkolwiek odszkodowaniu. Każdy skład przysięgłych musiałby wziąć pod uwagę, że kierowca jechał o trzydzieści kilometrów na godzinę powyżej dopuszczalnej prędkości. Znalazłem więc świadka, staruszkę, który jako drugi lub trzeci zjawił się na miejscu wypadku. Nazywał się Clovis Goodman, miał osiemdziesiąt jeden lat, był ślepy na jedno oko, a na drugie niewiele widział.

— Mówisz poważnie? — zdumiał się Sandy.

— Może trochę przesadziłem, w każdym razie nie miał najlepszego wzroku.

Nadal jednak prowadził samochód i tamtego dnia jechał swoim półciężarowym chevroletem autostradą, kiedy wyprzedził go wóz mojego klienta. No i kawałek 301

dalej, po minięciu szczytu wzgórza, Clovis zobaczył tragiczny wypadek. Był bardzo wrażliwym człowiekiem starej daty, mieszkał sam, zapomniany i porzucony, nie miał najbliższej rodziny, toteż widok zmasakrowanego auta dogłębnie go poruszył. Usiłował jakoś pomóc ofiarom, kręcił się przez pewien czas wokół wraku, wreszcie odjechał. Nic nikomu nie powiedział, był za bardzo wstrząśnięty. Dopiero znacznie później wyznał mi, że nie mógł spać przez tydzień. Wróćmy jednak do sprawy. Otóż dostałem poufną wiadomość, że ktoś z podróżnych zarejestrował

kamerą wideo miejsce zdarzenia, tyle że nieco później, gdy były tam już wozy patrolowe, strażackie i karetki pogotowia. Wstrzymano cały ruch, ludzie czekali zniecierpliwieni, zatem nic dziwnego, że ktoś z nudów sięgnął po kamerę. Udało mi się pożyczyć kasetę, a jeden z aplikantów przeanalizował zapis i zanotował mi numery rejestracyjne stojących pojazdów. Zacząłem wydzwaniać kolejno do wła-

ścicieli aut, usiłując znaleźć świadka. W ten sposób trafiłem do Clovisa. Bąknął

przez telefon, że dokładnie widział wrak, ale jest tak wzburzony, że nie chce o tym rozmawiać. Zapytałem więc, czy mogę mu złożyć wizytę, a on się zgodził.

Mieszkał na odludziu, parę kilometrów za Wiggins, w niewielkim drewnianym domku, który postawił własnymi rękoma jeszcze przed wojną. Jego żona zmarła wiele lat temu, syn zszedł na złą drogę i zginął tragicznie. Clovis miał

dwoje wnucząt, z których jedno mieszkało w Kalifornii, a drugie gdzieś w okolicach Hattiesburga, ale żadne z nich nie utrzymywało z nim kontaktu. Tyle się dowiedziałem w ciągu pierwszej godziny rozmowy. Jak każdy starszy człowiek, był początkowo nieufny, wręcz opryskliwy, jakby chciał mi dać do zrozumienia, iż uważa każdą rozmowę z prawnikiem za stratę czasu. Lody szybko jednak stopniały i wkrótce nastawił wodę, zrobił dwie kawy rozpuszczalne i zaczął opowiadać o rodzinnych sekretach. Siedzieliśmy na werandzie, w fotelach na biegunach, a wokół nas kręciło się kilkanaście zdziczałych kotów. Rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o wypadku. Na szczęście była to sobota, mogłem więc sobie pozwolić na trochę odpoczynku i zapomnieć o innych sprawach. Clovis okazał się wyśmienitym gawędziarzem, najbardziej lubił wracać wspomnieniami do czasów wielkiego kryzysu i drugiej wojny światowej. Dopiero po kilku godzinach nie-

śmiało nawiązałem do kraksy, on zaś poinformował mnie smętnym głosem, że do tej pory nawet bał się wspomnieć tamto zdarzenie. Oznajmił, iż wie coś ważnego w sprawie wypadku, ale nie może jeszcze teraz o tym mówić. Zapytałem go, jak szybko jechał, kiedy wóz osobowy go wyprzedził. Odparł, że nigdy nie przekracza osiemdziesiątki. Spytałem więc, czy dałby radę ocenić prędkość tamtego auta, lecz tylko pokręcił głową.

Dwa dni później odwiedziłem go znowu późnym popołudniem i znów spędziliśmy ileś czasu na werandzie, podczas gdy Clovis opowiadał o swoich wojennych przygodach. Punktualnie o osiemnastej oświadczył, że jest głodny i ma ochotę na smażoną rybę, po czym zapytał, czy nie zjadłbym z nim obiadu. Wtedy byłem jeszcze kawalerem, toteż z ochotą podjąłem się zawieźć go do miasta. Przez całą 302

drogę także rozmawialiśmy. Kupiłem dwie olbrzymie porcje smażonego dorsza za sześć dolarów.

Wystarczyło, żeby się najeść do syta. Stary delectował się rybą, siedział z nosem zwieszonym nisko nad talerzem i wciąż opowiadał, nawet z peł-

nymi ustami. Kelnerka przyniosła rachunek i położyła go na skraju stolika, lecz Clovis nawet na niego nie spojrział. Rachunek leżał w tym samym miejscu przez dziesięć minut. Co zrozumiałe, szybko doszedłem do wniosku, że warto staremu zafundować obiad, jeśli rzeczywiście wie o czymś, co może się przydać w sądzie.

Kiedy wyszliśmy z baru i ruszyliśmy w drogę powrotną, mruknął, że chętnie by się napił piwa, żeby przepłukać nerki. A tak się złożyło, że dojeżdżaliśmy wła-

śnie do supermarketu. Skręciłem na parking. Clovis nawet się nie ruszył, zatem wysiadłem i kupiłem kilka puszek. Popijaliśmy, jadąc dalej, kiedy oświadczył niespodziewanie, iż chciałby mi pokazać, gdzie się wychowywał. Miało to być gdzieś niedaleko. Skręciłem w jedną boczną drogę, potem w następną i po dwudziestu minutach całkowicie straciłem orientację. Jak się okazało, niedowidzący Clovis także ją stracił, za to miał ochotę na dalsze przepłukiwanie nerek. Zapytałem więc o drogę w wiejskim sklepiku i pojechaliśmy dalej. Znow zaczął mną kierować, aż w końcu dotarliśmy do miasteczka Necaise Crossing w okręgu Hancock. Wtedy oznajmił, że skoro już znaleźliśmy tę dziurę, to możemy wracać, bo on nie ma ochoty odgrzebywać wspomnień z dzieciństwa. Otworzył sobie trzecie piwo, a ja musiałem dalej rozpytywać o drogę w mijanych wioskach. Dopiero w okolicy jego domu odzyskałem orientację w terenie i zacząłem wówczas natarczywiej pytać o wypadek, którego był świadkiem. Mruknął jednak, że nadal są to dla niego zbyt bolesne wspomnienia, żeby je teraz przywoływać. Pomogłem mu wysiąść z samochodu i wprowadziłem do domu. Klapnął ciężko na sofę i natychmiast zapadł

w drzemkę. Dochodziła już pomoc.

Tak mniej więcej wyglądały nasze spotkania przez miesiąc. Kawa w fotelach na werandzie, smażony dorsz we wtorki i piwo podczas jazdy, w celu przepłukania nerek. Polisa ubezpieczeniowa firmy papierniczej była wystawiona na dwa miliony dolarów. Naszym klientom należało się takie odszkodowanie w całości, a zeznania starego, chociaż nie miał o tym pojęcia, mogły mieć w sądzie kluczowe znaczenie. Zapewniał mnie, że nikt inny się z nim nie kontaktował w sprawie wypadku, a więc tym bardziej zależało mi na poznaniu jego wersji, dopóki jeszcze nie odnaleźli go przedstawiciele towarzystwa ubezpieczeniowego.

— Ile czasu minęło od tragicznego wypadku? — zapytał Sandy.

— Cztery lub pięć miesięcy. W końcu postanowiłem go przycisnąć. Powiedziałem, że nasze wystąpienie sądowe znalazło się w ślepych zaułku i już najwyż-

sza pora, by ujawnił wszystko, czego był świadkiem. Odparł, że jest gotów o tym rozmawiać. Zapytałem go ponownie, z jaką prędkością jechał nasz klient, kiedy go wyprzedził na autostradzie, na co Clovis odparł ze łzami w oczach, iż widok poranionych i zakrwawionych ludzi uwięzionych w rozbitym aucie był dla niego wielkim wstrząsem. Minutę później powtórzyłem pytanie, prosząc o ocenę prędkości-303

kości tamtego samochodu. On zaś bąknął, że bardzo chciałby pomóc poszkodowanej rodzinie. Wtrąciłem, że byłoby to bardzo mile widziane. A Clovis popatrzył

mi prosto w oczy i rzekł w zamyśleniu: „Twoim zdaniem, jak szybko mógł jechać ten samochód?” Odparłem, że prawdopodobnie nie szybciej niż dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a on na to: „I mnie się tak zdaje. Jechał dziewięćdziesiąt-ką. Ja na pewno trzymałem się poniżej osiemdziesiątki, a tamci mnie dość powoli wyprzedzili”.

W końcu doszło do rozprawy i Clovis Goodman okazał się najlepszym świadkiem, jakiego miałem w dotychczasowej karierze. Sprawiał wrażenie starego niedołęgi, ale był sprytny i mówił pewnie, przekonująco. Przysięgli zlekceważyli wszelkie naukowe wywody świadków strony przeciwnej i oparli wyrok na zeznaniach Clovisa. Wywalczyliśmy dwa miliony trzysta tysięcy dolarów odszkodowania.

Pozostaliśmy w kontakcie. Jakiś czas potem spisałem jego testament. Niewiele miał, tylko ten stary dom, sześć akrów ziemi i siedem tysięcy na koncie w banku.

Chciał, aby po jego śmierci cały majątek został sprzedany, a pieniądze przekazane na rzecz Stowarzyszenia Cór Konfederacji. W testamencie nawet nie wspomniał

o swoich najbliższych. Mieszkający w Kalifornii wnuk nie dawał znaku życia od dwudziestu lat, od wyjazdu z Missisipi, a z wnuczką z Hattiesburga widział się po raz ostatni w sześćdziesiątym ósmym roku na rozdaniu matur w tamtejszej szkole średniej. On zresztą również nie próbował odnowić kontaktów. Bardzo rzadko wspominał o swoich wnuczętach, wiedziałem jednak dobrze, jak bardzo brak mu jakichkolwiek kontaktów z rodziną i jak czuje się samotny.

Później rozchorował się ciężko. Nie dawał sobie sam rady, toteż załatwiłem mu miejsce w domu opieki społecznej w Wiggins. Później sprzedałem dom oraz ziemię i zaopiekowałem się funduszem. Byłem wówczas jego jedynym przyjacielem. Wysyłałem mu kartki i drobne upominki, a ilekroć musiałem jeździć do Hattiesburga bądź Jackson, odwiedzałem go w domu opieki. Co najmniej raz w miesiącu zabierałem do miasta na smażonego dorsza, po czym wyruszaliśmy na przejażdżkę, z nieodłącznym piwem, a Clovis wciąż raczył mnie swymi opowieściami.

Któregoś dnia zabrałem go na ryby. Spędziliśmy we dwóch osiem godzin w łodzi i muszę przyznać, że chyba nigdy się tak dobrze nie ubawiłem.

W listopadzie dziewięćdziesiątego pierwszego roku Clovis złapał zapalenie płuc i ledwie wyszedł z życia. Przestraszył się nie na żarty i polecił mi przerobić testament. Postanowił przekazać część pieniędzy na rzecz miejscowego kościoła, a resztę na fundusz stowarzyszenia. Wybrał sobie miejsce na cmentarzu i zawarł

w ostatniej woli zalecenia dotyczące pogrzebu. Bardzo mu przypadł do gustu mój pomysł, aby dodać też specjalną klauzulę, w której nie życzył sobie specjalnego utrzymywania przy życiu przez aparaturę medyczną. Uparł się przy tym, abym to ja został wykonawcą tego punktu, rzecz jasna w porozumieniu z jego lekarzem.

Wtedy miał już dosyć przebywania w domu opieki, sprzykrzyła mu się ciągła sa-304

motność, był zmęczony życiem. Powtarzał, że jest gotów się pogodzić z wyrokiem boskim i odejść, kiedy tylko zostanie wezwany.

W styczniu następnego roku wystąpił ostry nawrót zapalenia płuc. Załatwiłem przeniesienie Clovisa do szpitala w Biloxi, żeby łatwiej się nim opiekować. Odwiedzałem go codziennie, nikt inny do niego nie zaglądał. Nie miał przyjaciół ani krewnych, nie chciał nawet widzieć kapelana; nikogo oprócz mnie. Leki niewiele skutkowały, wkrótce stało się jasne, że Clovis już z tego nie wyjdzie. Zapadł

w śpiączkę i został podłączony do respiratora, lecz jakiś tydzień później opiekują-

cy się nim lekarz oznajmił, że mózg Goodmana już obumarł. Zwołałem więc małe konsylium i w obecności trzech lekarzy odczytałem stosowny punkt z testamentu, po czym wspólnie odłączyliśmy Clovisa od respiratora.

— Kiedy to było? — spytał pospiesznie Sandy.

— Szóstego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

McDermott głośno wciągnął powietrze, a po chwili zamknął oczy i ze zrozumieniem pokiwał smętnie głową.

— Clovis nie życzył sobie kościelnej ceremonii pogrzebowej, gdyż wiedział, że nikt na nią nie przyjdzie. Został pochowany na wiejskim cmentarzyku na przedmieściu Wiggins. Zgodnie z jego wolą odprowadziłem go w tę ostatnią drogę.

W pogrzebie uczestniczyły ponadto trzy stare wdowy z miasteczka, które oplakiwały zmarłego, odniosłem jednak wrażenie, że tak samo oplakiwały każdego chowanego tam w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Poza tym nad grobem stanął miejscowy ksiądz, grabarz z czterema pomocnikami i jakichś dwóch nie znanych mi mężczyzn, czyli w sumie dwanaście osób. Po krótkiej żałobnej modlitwie trumna została złożona do grobu.

— Podejrzewam, że była wyjątkowo lekka. Zgadza się?

— Owszem.

— A gdzie w tym czasie Clovis był naprawdę?

— Jego dusza dołączała do anielskich zastępów.

— Pytałem o ciało.

— Spoczywało w zamrażarce, na tyłach mojego domku myśliwskiego.

— Ty zboczony łajdaku!

— Nikogo nie zabiłem, Sandy. Stary Clovis naprawdę był już w niebie, kiedy jego zwłoki płonęły we wraku mego auta. Nie sądzę, aby miał mi to za złe.

— Ty chyba naprawdę masz gotowe wytłumaczenie na wszystko, czego dokonałeś, prawda?

Patrick nie odpowiedział. Podłożył sobie ręce pod uda, siedział na krawędzi łóżka i delikatnie wymachiwał nogami kilka centymetrów nad podłogą.

McDermott wstał, przeszedł w drugi koniec izolatki i oparł się ramieniem o ścianę. Wiadomość, że jego przyjaciel w rzeczywistości nikogo nie zabił, prawie wcale nie przyniosła mu ulgi. Z obrzydzeniem myślał o tym, że we wraku samochodu spłonęły zwłoki starego człowieka.

305

— W takim razie przedstaw mi już wszystko do końca — odezwał się po chwili. — Nie wątpię, że od dawna masz przygotowany plan wyjścia z tej opresji.

— To prawda. Miałem sporo czasu na to, żeby przemyśleć najdrobniejsze szczegóły.

— No więc zamieniam się w słuch.

— W kodeksie karnym Missisipi jest paragraf dotyczący rabowania grobów, ale on w moim wypadku nie będzie miał zastosowania, gdyż nie wykradłem ciała Clovisa z mogiły. Wcześniej zwyczajnie wyjąłem je z trumny. Jest też inny paragraf, dotyczący profanacji zwłok. I tylko na jego podstawie Parrish będzie mógł

mnie oskarżyć. Za profanację grozi najwyżej rok więzienia. A ponieważ tylko ten jeden zarzut będzie wchodził w grę, Parrish na pewno zażąda dla mnie najwyższej kary.

— Nie przypuszczałeś chyba, że pozwoli ci się wykręcić sianem?

— Nie, to jasne. Ale i temu można zaradzić. Prokurator nic nie wie na temat Clovisa, będę musiał jednak wyznać mu prawdę, aby uwolnił mnie od zarzutu morderstwa. Nie zapominaj, że złożenie zeznań a występowanie przed sądem to dwie zupełnie różne sprawy. Mogę odmówić składania zeznań przed ławą przysię-

głych, jeśli zostanę oskarżony o profanację zwłok. Z drugiej strony Parrish stanie na głowie, aby mnie postawić przed sądem, gdyż, jak sam powiedziałeś, nie mo-

że mi pozwolić wykręcić się sianem. Stąd też, nawet gdyby doszło do procesu, uzyskanie wyroku skazującego jest bardzo wątpliwe, gdyż tylko ja znam prawdę, nie ma żadnych świadków i nie da się udowodnić, że to właśnie zwłoki Clovisa spłonęły w rozbitym aucie.

— I Parrish zostanie zapędzony w ślepy zaułek.

— Zgadza się. Teraz, gdy wycofano wszelkie zarzuty władz federalnych, a pod jego nosem wybuchnie ta bomba, poczuje się zobligowany do tego, żeby oskar-

żyć mnie o cokolwiek, bo w przeciwnym razie będę miał spore szanse na wyrok uniewinniający.

— Więc jaki masz plan?

— Bardzo prosty. Trzeba uwolnić prokuratora od tej niesamowitej presji i dać mu szansę zachowania twarzy. Skontaktujesz się z wnukami Goodmana, opowiedz im prawdę i zaproponujesz jakąś skromną rekompensatę. Przy okazji na-pomkniesz także, iż w tej sytuacji mają pełne prawo wystąpić przeciwko mnie z pozwem cywilnym. Gotów jestem się założyć, że to zrobią. W rzeczywistości ich roszczenia będą niewiele warte, gdyż przez wiele lat żadne z nich nawet się nie zainteresowało losem dziadka, ale na początku trzeba tak pokierować sprawą, aby złożyli pozew. Gdy już tak się stanie, zaproponujemy polubowne wypłacenie odszkodowania w zamian za wywarcie nacisku na Parrisha, aby zrezygnował

z oskarżenia karnego.

— Jesteś przebiegłym łobuzem.

— Dziękuję za uznanie. Dostrzegasz jakieś słabe punkty tego planu?

306

— Parrish może doprowadzić do procesu mimo żądań rodziny zmarłego.

— Nie zrobi tego, bo szanse na wyrok skazujący są znikome. Z jego punktu widzenia najgorsze byłoby postawienie mnie przed sądem i przegranie sprawy.

Parrish nie jest głupi i na pewno dojdzie do wniosku, że znacznie bezpieczniej będzie się wycofać tylnymi drzwiami, zasłaniając się stanowczymi żądaniem rodziny Clovisa, a tym samym uniknąć bardzo kłopotliwej sytuacji, w jakiej by się znalazł wobec uniewinniającego wyroku w procesie o profanację zwłok.

— Nad tym właśnie planem rozmyślałeś przez ostatnie cztery lata?

— No cóż, nie będę kłamał, że nie poświęciłem mu trochę czasu.

Sandy zamyślił się głęboko i ruszył powoli w drugi koniec pokoju. Usilnie starał się znaleźć słaby punkt w sposobie rozumowania swego klienta.

— Sądzę, że byłoby lepiej dać Parrishowi jakąś namiastkę zwycięstwa —
mruknął, jakby sam do siebie.

— Znacznie bardziej martwi mnie mój los niż jego dobre samopoczucie —
odrzekł Patrick.

— Nie chodzi mi o samego Parrisha, ale o cały wymiar sprawiedliwości. Gdyby twój plan się

powiódł, wyglądałoby to dokładnie tak, że się wykupiłeś od wię-

zienia. Wszyscy wyszliby na głupców oprócz ciebie.

— Właśnie dlatego, że myślę głównie o sobie.

— To naturalne. Zakładasz jednak, że uda ci się wymierzyć wszystkim solidnego prztyczka w nos, a następnie uniknąć kary i swobodnie odjechać w dal.

— W końcu nikt nie poganiał Parrisha, żeby czym prędzej formułował oskar-

żenie o morderstwo z premedytacją. Równie dobrze mógł zaczekać parę dni. Nikt też go nie poganiał z organizowaniem konferencji prasowej. Nie spodziewasz się chyba, że zacznę wylewać nad nim łzy?

— Nie o to mi chodzi. Wydaje mi się jednak, Patricku, że narzucasz zbyt twarde reguły gry.

— W porządku, złagodzę swoje stanowisko. Zgodzę się przyznać do profanacji zwłok, jeśli on odstąpi od żądania kary więzienia. Nie chcę ani jednego dnia za kratkami. Niech dojdzie do procesu, a ja się przyznam i zapłacę stosowną grzywnę, żeby zapewnić Parrishowi poczucie dobrze spełnionego obowiązku, lecz zaraz potem odzyskam wolność.

— Ale wtedy znajdziesz się w gronie skazanych przestępców.

— I co z tego? Ważne, że odzyskam wolność. Kogo w Brazylii będą obchodziły wpisy do rejestru karnego?

McDermott zatrzymał się nagle i po chwili przysiadł na łóżku obok przyjaciela.

— A więc zamierzasz wrócić do Brazylii?

— Oczywiście. Tam jest mój dom, Sandy.

— I czeka dziewczyna?

307

— Owszem. Będziemy mieli dziesięcioro lub jedenascioro dzieci. Ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła.

— Ile pieniędzy ci zostało?

— Miliony. Musisz mi pomóc z tego wyjść, Sandy. Czeka na mnie całkiem nowe życie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pielęgniarka zajrzała do środka, włączyła światło i powiedziała:

— Już jedenasta, Patty. Pora odwiedzin dawno minęła. — Podeszła do łóżka i położyła pacjentowi

dłoń na ramieniu. — Dobrze się czujesz, skarbie?

— Tak, doskonale.

— Niczego ci nie trzeba?

— Nie, dziękuję.

Kiedy wyszła, Sandy sięgnął po swoją aktówkę.

— Patty? — spytał zdumionym tonem.

Lanigan tylko wzruszył ramionami.

— Skarbie?

Odpowiedzią był taki sam gest.

McDermott uśmiechnął się szeroko i ruszył do wyjścia. Przystanął przed drzwiami, obrócił się i rzekł:

— Jeszcze tylko jedno pytanie. Gdzie był Clovis, kiedy zjeżdżałeś samochodem z autostrady?

— W tym samym miejscu, gdzie pozostał: przypięty pasami bezpieczeństwa do fotela pasażera. Wstawiłem mu puszkę piwa między nogi i pożegnałem się z nim serdecznie. Miał na wargach tajemniczy uśmiezek.

Rozdział 38

Do dziesiątej rano instrukcje dotyczące sposobu przekazania pieniędzy nie dotarły jeszcze do Londynu. Dlatego też Eva wyszła z hotelu i urządziła sobie spacer wzdłuż Piccadilly. Nie miała żadnego konkretnego celu, z przyjemnością wmieszała się w tłum turystów i wędrowała bez pośpiechu, oglądając wystawy sklepowe. Trzy dni spędzone w areszcie obudziły w niej tęsknotę do zgiełku codziennego wielkomiejskiego życia. Kupiła sobie na lunch zapiekankę z kozim serem i zjadła ją z apetytem w mrocznym kąciku zatłoczonego pubu. Cieszyło ją wszystko, i blask słońca, i głosy obcych ludzi, nie mających zielonego pojęcia, kim ona jest. A przede wszystkim nie zwracających na nią większej uwagi.

Kiedyś Patrick relacjonował jej obszernie swoje doznania z pierwszego roku pobytu w Sao Paulo, lecz wtedy nie mogła zrozumieć, jak przebywanie wśród całkiem obcych ludzi może napawać dreszczem podniecenia. Teraz jednak, w tym londyńskim pubie, sama czuła się bardziej jak Leah Pires niż Eva Miranda.

Na Bond Street jęła robić pierwsze zakupy — najpierw z konieczności, gdyż musiała się zaopatrzyć w środki higieniczne czy bieliznę — szybko jednak poczę-

ła zaglądać do ekskluzywnych salonów, Armaniego, Versace'a oraz Chanel, nie przywiązując

większej wagi do cen. Ostatecznie mogła się już zaliczyć do bardzo bogatych kobiet.

Byłoby o wiele prościej, bez wzbudzania niepotrzebnej sensacji, zaczekać do dziewiątej i aresztować wszystkich współników w biurze kancelarii. Ale nikt nie miał pewności, że adwokaci zjawią się w pracy, co szczególnie dotyczyło Rapleya, który tylko sporadycznie wychodził z domu.

Zapadła więc decyzja o przeprowadzeniu akcji wczesnym rankiem. Nikogo nie obchodziło, że prawnicy zostaną poniżeni wobec swoich rodzin, a sąsiedzi z pewnością natychmiast rozpuszczą plotki. Ustalono zatem, że najlepiej będzie wyciągnąć adwokatów z łóżek bądź spod prysznica.

Charles Bogan otworzył drzwi w piżamie. Zaczął płakać, kiedy szeryf federalny, z którym znali się od lat, zakuł go w kajdanki. Szef kancelarii od rozwodu 309

mieszkał sam, toteż zaoszczędzono mu upokorzenia w oczach rodziny.

W domu Douga Vitrano drzwi otworzyła żona adwokata i natychmiast zaczęła się zachowywać bardzo agresywnie. Obrzuciła obelgami dwóch młodych agentów FBI, ci jednak zczekali cierpliwie, aż kobieta w końcu pójdzie na górę i wycią-

gnie męża z łazienki. Na szczęście dzieci jeszcze spały, kiedy Vitrano, skutego niczym pospolitego kryminalistę, bezceremonialnie wyprowadzili na ulicę i wepchnęli na tylne siedzenie samochodu. Jego żona wyszła w szlafroku na ganek i pożegnała odjeżdżających kolejną porcją wyzwisk, zalewając się jednocześnie łzami.

Jimmy Havarac jak zwykle padł do łóżka pijany jak bela, nawet dobijanie się do drzwi nie przyniosło rezultatu. Agenci wrócili więc do samochodu blokującego podjazd i tak długo wydzwaniali z aparatu komórkowego, aż prawnik w końcu odebrał, później zaś zwłókł się z łóżka i został aresztowany.

Ethan Rapley, jakby nieświadom tego, że niedawno wzeszło słońce, siedział

w swoim gabinecie i pracował nad jakimś sprawozdaniem. Nie docierały do niego żadne odgłosy z zewnątrz. Na łomotanie do drzwi odpowiedziała żona, po czym smętnie powlokła się na górę, żeby zanieść mężowi smutne wieści. Wcześniej jednak ukryła rewolwer, który adwokat trzymał w szufladzie komody w sypialni.

Ten zaś, udając, że potrzebna mu para czystych skarpetek, dokładnie przetrząsnął

całą szufladę. Nie miał jednak śmiałości zapytać żonę, gdzie się podziała broń.

W głębi duszy chyba sam się obawiał, że ona powie mu prawdę.

Założyciel kancelarii adwokackiej Bogana już od trzynastu lat piastował stanowisko sędziego federalnego. Mianował go senator Nye, żeby umożliwić krew-niakowi objęcie kierownictwa firmy. Cztery współnicy utrzymywali bliskie kontakty z wszystkimi pięcioma urzędującymi sędziami federalnymi, toteż ich domowe telefony zaczęły dzwonić, jeszcze zanim cała czwórka spotkała się w areszcie.

O ósmej trzydzieści zatrzymanych przewieziono oddzielnymi samochodami do gmachu służb federalnych w Biloxi i pospiesznie załatwiono wszelkie formalno-

ści z dyżurującym urzędnikiem magistratu.

Cutter wpadł w złość, dowiedziawszy się, w jakim tempie Bogan zdołał powiadomić swoich wysoko postawionych popleczników. Co prawda, wcale nie liczył na to, że uda mu się zatrzymać czterech oszustów w areszcie aż do procesu, niemniej ością w gardle stało mu wezwanie do natychmiastowego stawienia się przed komisją magistratu. Dlatego też błyskawicznie powiadomił kilka agencji prasowych oraz reporterów z lokalnej stacji telewizyjnej.

Stosowne dokumenty zostały podpisane w błyskawicznym tempie i cała czwórka wyszła na ulicę. Podjęli decyzję, aby przejść pieszo kilkaset metrów do biur kancelarii. Tuż za nimi podreptał rubaszny olbrzym uzbrojony w przenośną kamerę oraz młody, niedoświadczony reporter, który nie był jeszcze pewien, o co tu chodzi, gdyż przekazano mu jedynie, że zapowiada się głośna afera. Ale żaden z nich nie zdołał zarejestrować choćby najkrótszej wypowiedzi któregoś ze 310

wspólników. Tamci pospiesznie weszli do starej kamienicy przy Vieux Marche i zatrzasnęli dziennikarzom drzwi przed nosem.

Charles Bogan od razu zamknął się w swoim gabinecie i zadzwonił do senatora.

Prywatny detektyw, wybrany osobiście przez Patricka, już po dwóch godzinach siedzenia przy telefonie odnalazł szukaną kobietę. Mieszkała w Meridian, dwie godziny drogi na północny wschód od Biloxi. Nazywała się Deena Postell, pracowała jako kelnerka w niewielkim barze szybkiej obsługi i dorabiała na drugą zmianę w kasie nowo otwartego supermarketu na obrzeżach miasta.

Sandy bez trudu odnalazł wskazany bar i wszedł do środka. Przez jakiś czas stał przed oszkloną ladą i udając, że podziwia świeżo wyłożone porcje pieczonych piersi kurcząt oraz frytek, ukradkiem obserwował pracowników krzątających się za kontuarem. Jego uwagę przyciągnęła mocno zbudowana kobieta o przetykanych siwizną włosach i donośnym głósie. Jak reszta koleżanek, miała na sobie firmową koszulę w pionowe białe-czerwone pasy oraz identyfikator z wydrukowanym imieniem Deena.

Chciał zrobić na kobiecie dobre wrażenie, toteż był w dżinsach i swetrze, bez krawata.

— Czym mogę panu służyć? — zapytała uprzejmie.

Była dopiero dziesiąta, zdecydowanie za wcześnie na frytki z kurczakiem.

— Poproszę dużą kawę — odparł, także uśmiechając się przyjaźnie.

Kelnerka puściła do niego oko, widocznie lubiła flirtować z klientami. Podeszedł bliżej kasy, lecz zamiast pieniędzy wyjął swoją wizytówkę.

Kobieta rzuciła na nią okiem i odsunęła na bok. Wychowywała dwoje małych wnucząt, nic więc dziwnego, że do prawników odnosiła się ze skrajną nieufnością.

— Dolar dwadzieścia — rzuciła, nerwowo uderzając w klawisze i zerkając na boki.

— Mam dla pani dobre nowiny — rzekł Sandy, odliczając drobne.

— Czego pan chce? — zapytała cicho.

— Proszę o dziesięć minut rozmowy. Usiądę przy tamtym stoliku.

— Ale czego pan chce? — powtórzyła opryskliwie, zgarniając pieniądze.

— Bardzo proszę. Ręczę, że pani nie pożałuje.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Najwyraźniej lubiła męskie towarzystwo, a elegancki nieznajomy wyglądał znacznie lepiej od stałych bywalców lokalu. Zaczęła poprawiać ustawienie tac w przeszklonej ladzie, później wsypała świeżej kawy do ekspresu, wreszcie zakomunikowała kierownikowi, iż robi sobie krótką przerwę.

Sandy cierpliwie obserwował te zabiegi, siedząc przy niewielkim stoliku w rogu sali, obok dużej lodówki na piwo i automatu do lodów.

311

— Dziękuję — powiedział, kiedy usiadła przy nim.

Nie miała jeszcze pięćdziesiątki, malowała się niezbyt mocno, lecz stosowała najtańsze kosmetyki.

— Adwokat z Nowego Orleanu, co? — mruknęła.

— Zgadza się. Zapewne nie słyszała pani o tej głośnej sprawie ujęcia prawnika, który zwędził duże pieniądze z konta swojej kancelarii?

Energicznie pokręciła głową, jeszcze zanim dokończył zdanie.

— Nie mam czasu na lekturę gazet, kochasiu. Pracuję tu po sześćdziesiąt godzin tygodniowo i mam na głowie dwójkę wnucząt. Mój mąż się nimi opiekuje.

Jest na rencie, kłopoty z kręgosłupem. A ja niczego nie czytam, niczego nie oglą-

dam i nie mam czasu na żadne rozrywki, tylko biegiem wracam z pracy, żeby zmienić malcom pieluchy.

Sandy'emu zrobiło się przykro, że tak niezręcznie sformułował pytanie. Deena musiała mieć przygnębiające życie.

W olbrzymim skrócie przedstawił jej historię Patricka. Kobieta, początkowo zainteresowana i rozbawiona, szybko zaczęła przejawiać oznaki znudzenia.

— Powinien dostać wyrok śmierci — oznajmiła stanowczo, kiedy skończył.

— Przecież nikogo nie zabił.

— Sam pan mówił, że w spalonym wraku znajdowały się czyjeś zwłoki.

— Owszem, ale ten człowiek wcześniej zmarł śmiercią naturalną.

— I to nie on go zabił?

— Nie. Można powiedzieć, że wykradł ciało nieboszczyka.

— Ach tak. Wie pan co? Muszę wracać do pracy. Proszę się nie gniewać, ale co to wszystko może mnie obchodzić?

— Otóż były to zwłoki Clovisa Goodmana, pani zmarłego dziadka.

Deena przechyliła głowę na bok.

— Spalił zwłoki Clovisa?

Sandy przytaknął. Kobieta zmarszczyła brwi, usiłując szybko zebrać myśli.

— Po co?

— Żeby upozorować własną śmierć.

— Ale dlaczego wybrał Clovisa?

— Był jego adwokatem i przyjacielem.

— Też mi przyjaciel!

— Proszę posłuchać. Wcale mi nie zależy na tym, aby pani wszystko zrozumiała. Zdarzyło się to przed czterema laty, na długo przedtem, zanim ktokolwiek z nas mógł mieć w tej sprawie jakiś udział.

Deena zabębniła nerwowo palcami o blat stolika, obgryzając jednocześnie paznokcie drugiej dłoni. Szybko doszła do przekonania, że siedzący obok niej mąż-

czyzna musi być wytrawnym i biegłym adwokatem, toteż nie ma większego sensu odgrywanie przed nim roli strapionej okrutnym losem zmarłego dawno dziadka.

Poczuła się więc zmieszana i postanowiła oddać inicjatywę w jego ręce.

312

— Słucham dalej — rzuciła.

— Mojemu klientowi grozi oskarżenie o profanację zwłok.

— I słusznie.

— Z podobnym zarzutem można wystąpić również na drodze powództwa cywilnego. Innymi słowy najbliższa rodzina Clovisa Goodmana może zaskarżyć mojego klienta o zbezczeszczenie ciała zmarłego.

O to chodziło! Kobieta zaczerpnęła głęboko powietrza, uśmiechnęła się chytrze i mruknęła:

— Teraz rozumiem.

Sandy również się uśmiechnął.

— Właśnie w tym celu tu przyjechałem. Mój klient chciałby zaproponować bezpośrednim krewnym Clovisa warunki polubownego załatwienia sprawy.

— Bezpośrednim krewnym. . . To znaczy komu?

— Żyjącym potomkom, dzieciom oraz wnukom.

— A więc to mnie dotyczy.

— Tak. Pani i jej brata.

— Luther nie żyje od dwóch lat. Narkotyki i alkohol.

— W takim razie jest pani jedyną osobą, która może wystąpić z pozwem do sądu.

— Ile? — rzuciła pośpiesznie, nie mogąc się doczekać szczegółów oferty, szybko się jednak zawstydziała.

Sandy pochylił się bliżej w jej kierunku.

— Gotów jestem zaproponować od ręki dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Podpisany czek mam w portfelu.

Deena również się pochyliła nad stolikiem, lecz usłyszawszy sumę, osłupia-

ła. Rozdziawiła usta, po chwili do oczu napłynęły jej łzy, a dolna warga zaczęła wyraźnie dygotać.

— Mój Boże. . . — szepnęła.

McDermott rozejrzał się na boki.

— Dokładnie tak, dwadzieścia pięć tysięcy.

Błyskawicznie sięgnęła po papierową serwetkę ze stojaka, przewracając przy tym solniczkę. Osuszyła oczy i wysiadała nos. Sandy rozejrzał się ponownie, jak gdyby nabrał obaw, że będzie świadkiem dramatycznego przedstawienia.

— I to wszystko dla mnie? — wydukała łamiącym się głosem, próbując nad sobą zapanować.

— Tak, oczywiście.

Jeszcze raz otarła oczy i rzuciła:

— Muszę się czegoś napić.

Niemal jednym tchem wypila zawartość puszki coca-coli. Sandy drobnymi 313

łyżkami pociągał lurowatą kawę i bez zainteresowania spoglądał na samochody przejeżdżające za oknem. Nie śpieszył się specjalnie.

— Moim zdaniem — odezwała się w końcu Deena pewnym głosem — jeśli zadał pan sobie trud, żeby tu przyjechać i zaproponować mi dwadzieścia pięć tysięcy, to znaczy, że pewnie mógłby pan zapłacić znacznie więcej.

— Nie zostałem upoważniony do pertraktacji w kwestii tej oferty.

— Gdybym wystąpiła do sądu, pański klient znalazłby się w kłopotach, prawda? Przysięgli wysłuchaliby mnie z uwagą, rozmyślając o szczątkach biednego Clovisa, które spłonęły we wraku po to, żeby pański klient mógł ukraść dziewięć-

dziesiąt milionów dolarów.

Sandy'ego nawet to nie zaskoczyło. Upił jeszcze łyk kawy i smętnie pokiwał

głową. Zaczynał darzyć podziwem tę kobietę.

— A gdybym wzięła dobrego adwokata — ciągnęła — zapewne wywalczyłby dla mnie znacznie większe odszkodowanie.

— Możliwe, ale trwałoby to jakieś pięć lat. Poza tym musiałaby pani się liczyć z innymi kłopotami.

— Jakimi?

— Nie utrzymywała pani żadnych kontaktów z dziadkiem.

— A skąd pan to wie?

— Gdyby było inaczej, przyjechałaby pani na jego pogrzeb. Ujawnienie tych faktów z pewnością zrobiłoby złe wrażenie na przysięgłych. Proszę posłuchać, Deena. Naprawdę zależy mi na ugodowym załatwieniu sprawy. Jeśli pani sobie tego nie życzy, proszę powiedzieć wprost, a zaraz stąd wyjdę i

pojadę z powrotem do Nowego Orleanu.

— Ile pan może maksymalnie zaoferować?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— No to zgoda.

Energicznie wyciągnęła do niego pulchną dłoń, wciąż jeszcze wilgotną od rosy okrywającej zimną puszkę coca-coli. Sandy uścisnął ją po męsku.

Wyciągnął z portfela czek i szybko wpisał na nim uzgodnioną kwotę. Oprócz tego podsunął kobiecie dwa przygotowane dokumenty: standardową umowę dotyczącą polubownego zaspokojenia roszczeń powoda oraz list napisany w imieniu Deeny do prokuratora okręgowego.

Wszystko to zajęło mniej niż dziesięć minut.

* * *

Wreszcie w domu nad kanałem Boca coś się zaczęło dziać. Zgrabna Szwedka 314

w wyraźnym pośpiechu zapakowała walizki do bagażnika BMW należącego do Aricii i szybko odjechała. Agenci śledzili ją przez całą drogę na lotnisko międzynarodowe w Miami, gdzie kobieta odczekała dwie godziny, po czym weszła na pokład samolotu odlatującego do Frankfurtu.

Inna ekipa miała tam już na nią czekać. Otrzymała rozkaz, aby cierpliwie obserwować Szwedkę do czasu, aż ta popełni błąd, który umożliwi im odnalezienie Benny'ego Aricii.

Rozdział 39

Ostatnią decyzją sędziego prowadzącego dotychczas sprawę było polecenie doprowadzenia oskarżonego na poufną rozmowę do jego gabinetu, bez udziału adwokata, jak również prokuratora. Nie zachodziła konieczność protokolowania rozmowy. Patricka ponownie dowieziono przed tylne wejście i trzech strażników wprowadziło go bocznymi schodami na piętro, gdzie czekał już na niego Huskey.

Był bez togi. Chwilowo nie miał na wokandzie żadnych rozpraw. W innych okolicznościach tego dnia w całym gmachu panowałby wyjątkowy spokój, rozeszła się już jednak plotka o porannym aresztowaniu czterech znanych miejscowych adwokatów, toteż wśród urzędników panowała atmosfera podniecenia.

Patrick wciąż miał opatrunki na najpoważniejszych ranach, dlatego nie mógł

jeszcze korzystać ze zwykłych ubrań. Czuł się doskonale w obszernym, bardzo luźnym zielonym stroju chirurgicznym, który ponadto przypominał wszystkim, że nadal jest on hospitalizowany, a nie przebywa w areszcie ze zwykłymi kryminalistami.

Kiedy zostali sami w gabinecie, Huskey podał mu kartkę maszynopisu.

— Przeczytaj to.

W kilku zdaniach zostało sformułowane polecenie sędziego Huskeya, w któ-

rym on sam wycofywał się z prowadzenia sprawy „Władze stanu Missisipi przeciw Patrickowi S. Laniganowi”. Decyzja miała wejść w życie o dwunastej tego dnia, a więc za trzy kwadransy.

— Rozmawiałem przez dwie godziny z sędzią Trusselem. Niedawno stąd wyszedł.

— Potraktuje mnie łagodnie?

— Mam nadzieję. Powiedziałem wprost, że moim zdaniem nie może tu być mowy o morderstwie z premedytacją. Przyjął to z wyraźną ulgą.

— Chyba nawet nie dojdzie do rozprawy, Karl.

Patrick stał przed wielkim rozkładanym kalendarzem wiszącym na ścianie.

Przyjaciel od lat używał takiego samego. Rubryki odpowiadające poszczególnym dniom października były gęsto wypełnione wpisami dotyczącymi różnorodnych przesłuchań i posiedzeń, łącznie w takiej liczbie, że wystarczyłoby na obdzielenie 316

nimi pięciu sędziów.

— Wciąż nie kupiłeś sobie komputera? — zapytał.

— Nie. Wystarczy ten jeden, którego używa moja sekretarka.

Przed laty poznali się właśnie w tym pokoju. Lanigan był wówczas młodym, nikomu jeszcze nie znanym adwokatem, prowadzącym sprawę cywilną o odszkodowanie dla rodziny, która ucierpiała w tragicznym wypadku na autostradzie. Karl przewodniczył tamtej rozprawie, trwającej tylko trzy dni. Zdążyli się jednak zaprzyjaźnić. Przysięgli zasądzić klientom Patricka dwa miliony trzysta tysięcy dolarów odszkodowania, co w tamtych latach było jednym z najwyższych werdyktów na całym południowym wybrzeżu. Wbrew jego opinii szef kancelarii, Charles Bogan, po złożeniu apelacji zgodził się polubownie na obniżenie tej kwoty do dwóch milionów. Trzecia część sumy przypadła w udziale prawnikom, przez co firma mogła spłacić wszystkie długi, zatrudnić kilka dodatkowych osób, reszta zaś została podzielona między czterech wspólników. Patricka uhonorowali specjalną premią w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, nie uczynili tego jednak zbyt chętnie.

Właśnie podczas tamtej rozprawy zabłysła na krótko gwiazda Clovisa Goodmana.

Zauważywszy, że w rogu pokoju łuszczy się farba na ścianie, Patrick zadarł

głowę i popatrzył na wielki zaciek na suficie.

— Nie możesz złożyć wniosku, żeby ci odmalowano gabinet? Nic się tu nie zmieniło od chwili mojego wyjazdu.

— Za dwa miesiące chcę zrezygnować ze stanowiska. Mało mnie to już obchodzi.

— Pamiętasz sprawę Hoovera? To był mój pierwszy proces pod twoim przewodnictwem i zarazem pierwszy wielki sukces w karierze adwokackiej.

— Jasne, że pamiętam.

Karl rozsiadł się wygodnie, oparł stopy o krawędź biurka i splótł palce za głową.

Lanigan bez pośpiechu zrelacjonował mu swoją znajomość z Clovisem Goodmanem.

Przerwało mu głośnie pukanie do drzwi. Okazało się, że woźny przyniósł im lunch, który nie powinien być wystygnięty. Postawił na biurku duże kartonowe pudełko, cały gabinet wypełnił się smaczkowym aromatem. Patrick podszedł bli-

żej i łakomym wzrokiem popatrzył na torbę z grzankami, miseczkę duszonych szczypców krabów oraz dwa duże pojemniki z gumbo, zaprawioną pomidorami mieszaniną duszonych jarzyn, kawałków okry i owoców morza.

— To z restauracji Mary Mahoney — wyjaśnił Karl. — Kiedy Bob się dowiedział, że zjemy razem lunch, kazał ci przekazać pozdrowienia.

317

Restauracja Mary Mahoney była nie tylko stałym miejscem piątkowych spotkań tutejszych prawników, lecz zaliczała się też do najstarszych lokali w okolicy i słynęła z doskonałych, wykwintnych potraw, a głównie z tego owianego wręcz legendą gumbo.

— Przy okazji przekaz mu pozdrowienia ode mnie — rzekł Lanigan, częstując się porcją kraba. — Mam nadzieję, że niedługo osobiście będę mógł go odwiedzić.

O dwunastej sędzia włączył niewielki telewizor wciśnięty między opasłe tomi-ska na półce i obaj w milczeniu obejrzel relację z aresztowania czterech adwokatów. Widowisko było raczej żałosne. Nikt nie chciał udzielić żadnych wyjaśnień, a zwłaszcza sami oskarżeni, którzy zamknęli się na głucho w swoim biurze. Ku ogólnemu zaskoczeniu nawet prokurator federalny, Mast, oraz szef okręgowego biura FBI nie mieli nic do powiedzenia w tej sprawie. A ponieważ nie można było uzyskać żadnych konkretów, jak zwykle w takich sytuacjach autor reportażu odwołał się do plotek. Wtedy po raz pierwszy pojawiło się nazwisko Patricka.

Komentatorka oświadczyła, że według dobrze poinformowanych źródeł przeprowadzona akcja ma ścisły związek z dochodzeniem w sprawie Lanigana — jakby na potwierdzenie tych słów pokazano zdjęcia ukazujące Patricka wprowadzane-go tylnym wejściem do gmachu sądu. Później oddano głos innemu reporterowi, sfilmowanemu na tle drzwi do biur Harrisa Nye, ten zaś szczegółowo objaśnił

więzy pokrewieństwa łączące senatora z Charlesem Boganem, jakby zachodziła obawa, że ktokolwiek może przeoczyć tę oczywistą zależność. Senator przebywał

w tym czasie w Kuala Lumpur, gdzie usiłował wyjednać u władz malezyjskich obniżenie ceł na niektóre amerykańskie produkty przemysłowe, a zatem nie mógł

skomentować bulwersujących wydarzeń w Biloxi. Żaden z ośmiu pracowników jego biura nic nie wiedział o tej sprawie, dlatego również nie mógł się wypowiedzieć przed kamerą. Cały reportaż trwał dziesięć minut.

— Czemu się uśmiechasz? — zapytał Huskey.

— Bo to mój wymarzony dzień. Mam tylko nadzieję, że federalnym wystarczy odwagi, żeby przyskrzyknąć senatora.

— Słyszałem już, że wycofali wszelkie zarzuty wobec ciebie.

— To prawda. Wczoraj zeznawałem przed komisją przysięgłych. Ubawiłem się setnie, Karl. Mogłem wreszcie zrzucić z siebie ten balast, który trzymałem w tajemnicy przez lata.

Patrick odstawił jedzenie, kiedy zaczął się reportaż w telewizji, teraz zaś sprawiał wrażenie, jakby całkiem stracił apetyt. Sędzia obserwował go uważnie, toteż naliczył, że przyjaciel zjadł tylko dwa małe kawałki kraba i ledwie napoczął porcję gumbo.

— Jedz. Wyglądasz jak chodzący kościotrup.

Lanigan sięgnął po grzanekę i podszedł z nią do okna.

— Pozwól, że zrobię małe podsumowanie — zaczął Huskey. — Rozwód załatwiłeś polubownie. Służby federalne wycofały wszelkie stawiane ci zarzuty, przy 318

czym zgodziłeś się zwrócić skradzione dziewięćdziesiąt milionów z niewielkimi odsetkami.

— Tak, w sumie sto trzynaście milionów.

— Oskarżenie o morderstwo z premedytacją także będzie musiało zostać oddalone, gdyż nie popełniłeś żadnej zbrodni. Władze stanowe nie mogą cię oskar-

żyć o kradzież pieniędzy, gdyż wcześniej z tym zarzutem wystąpił prokurator federalny. Towarzystwa ubezpieczeniowe również wycofały swoje pozwy. Pepper nadal żyje gdzieś na środkowym zachodzie, jego miejsce zajmie Clovis Goodman.

Ten jednak zmarł śmiercią naturalną, pozostaje więc jedynie zarzut zbezczeszczenia grobu.

— Blisko. Formalnie określa się to mianem profanacji zwłok, powinieneś sprawdzić stosowny przepis kodeksu i zobaczyć, jaka za to grozi kara.

— Jeśli się nie mylę, jest to jedynie drobne wykroczenie.

— Zgadza się.

Karl w zamyśleniu pogrzebał widelcem w swojej porcji gumbo, spoglądając na wychudzonego przyjaciela, który stał przy oknie i bez apetytu przeżuwał drobne kęsy grzanki. Zapewne obmyślał przy tym swoje kolejne sprytne posunięcie.

— Czy możesz mnie zabrać ze sobą? — spytał.

— Dokąd?

— Tam, dokąd się wybierasz. Wkrótce stąd wyjdiesz, spotkasz się ze swoją dziewczyną i zamieszkasz w jakimś uroczym miejscu, blisko plaży, żeby się wylegiwać po całych dniach na pokładzie jachtu. Chciałbym tylko, żebyś mnie zabrał na krótką przejażdżkę.

— Jeszcze nie jestem wolny.

— Już niedługo.

Huskey zgasił telewizor i przesunął resztę jedzenia na skraj biurka.

— Jedna rzecz pozostaje dla mnie zagadką — rzekł. — Clovis zmarł i został pochowany. Mam rozumieć, że nie złożono zwłok do grobu? Co się stało między jego śmiercią a pogrzebem?

Patrick zachichotał i spytał:

— Ciekawią cię szczegóły, prawda?

— Jestem sędzią, najważniejsze znaczenie mają dla mnie fakty.

Lanigan usiadł z powrotem i oparł boscie stopy o krawędź biurka.

— O mało nie wpadłem. Nawet nie przypuszczasz, jak trudno jest wykraść zwłoki.

— Uwierzę ci na słowo.

— Zależało mi na tym, aby Clovis dołączył ściśle instrukcje do swego testamentu. Na własną rękę dopisałem nawet szczegółowe zalecenia dla obsługi domu pogrzebowego: zakaz publicznego wystawiania zwłok, żadnych kwiatów i muzyki, żadnego uroczystego pożegnania. Miał być pochowany w prostej trumnie z desek, w ziemnej mogile.

319

— Trumna z desek?

— Owszem. Zależało mu na tradycyjnym pochówku. „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”. Najprostsza trumna z desek, żadnych nagrobków. Dokładnie tak samo, jak został pochowany jego dziad. W każdym razie byłem w szpitalu, kiedy zmarł, czekałem więc na przyjazd grabarza z Wiggins, żeby przekazać mu te zalecenia. Facet nazywał się Rolland i prowadził jedyny zakład pogrzebowy w miasteczku. Ponurak w nieodzownym czarnym garniturze. Dałem mu kopię instrukcji z testamentu, zgodnie z którym miałem się zatroszczyć o wszelkie formalności. Rolland przyjął to bez zdziwienia. Było około trzeciej po południu, ocenił więc, że zdąży przygotować zwłoki do wieczoru. Zapytał mnie nawet, czy Clovis ma jakiś strój do trumny, ale ja o tym wcześniej nie pomyślałem. Zresztą nigdy nie widziałem Goodmana w garniturze. Rolland zaproponował więc, że dobierze coś ze swoich zapasów, na co chętnie przystałem. Powinienem dodać, że początkowo Clovis obstawał przy pochowaniu go za domem, zdołałem go jednak przekonać, że według przepisów stanowych musi zostać złożony na cmentarzu.

Jego dziad walczył w wojnie domowej i jeśli wierzyć Clovisowi, odznaczył się bohaterską postawą. Zmarł, kiedy ten miał siedem lat, i został pochowany według tradycyjnego obrządku trwającego przez trzy dni. Otwarta trumna stała na stole, w przedsionku, a wszyscy sąsiedzi przychodzili, by go osobiście pożegnać.

Clovisowi się to bardzo podobało i chciał dla siebie czegoś podobnego. Musia-

łem przysiąc, że zorganizuję analogiczne wystawienie zwłok. Kiedy wyjaśniłem to Rollandowi, nie zdziwił się ani trochę, odparł, że zadba o wszystko.

Przyjechał zaraz po zmroku. Czekałem na werandzie domu Clovisa i we dwóch przenieśliśmy trumnę z samochodu. Wtaszczyliśmy ją po schodach przez wąski ganek, a że w sieni nie było miejsca, więc ustawiliśmy ją w pokoju, obok telewizora. Pamiętam, że już wtedy mnie uderzyło, jak bardzo jest lekka. Ciężka choroba go wycieńczyła, tuż przed śmiercią Goodman ważył zaledwie czterdzieści pięć kilogramów.

— Sam pan będzie czuwał? — zapytał Rolland, rozglądając się po domu.

— Tak. Zmarły nie miał przyjaciół i rodziny — odparłem. Kiedy poprosiłem go o otwarcie trumny, zawahał się na moment, dodałem jednak szybko, że powinienem włożyć do środka pewne pamiątki z wojny domowej, które Clovis życzył

sobie zabrać ze sobą do grobu. Obserwowałem go uważnie, gdy otwierał zamek trumny zwykłym surowym kluczem, pocieszając się myślą, że nie będę się musiał

przy tym napocić. Na szczęście Clovis wyglądał tak jak przed śmiercią. Ułoży-

łem mu na piersi należącą do dziadka czapkę szeregowca piechoty, a obok, przy łokciu, umieściłem wystrzępiony i spłowiały sztandar siedemnastego regimentu strzelców Missisipi. Rolland zamknął trumnę i odjechał.

Nikt się nie zjawił, aby pożegnać zmarłego. Absolutnie nikt. Około północy zgasłem światło w

pokoju i zamknąłem frontowe drzwi. Do otwarcia zamka trumny wystarczyłby kawałek zagiętego drutu, a ja miałem cały zestaw wytry-320

chów. Zajęło mi to nie więcej niż minutę. Wyciągnąłem zwłoki Clovisa. Były bardzo lekkie, ale już zeszywniałe. No i bez butów. Uderzyło mnie wówczas, że za trzy tysiące dolarów ten łobuz mógłby znaleźć choćby stare zniszczone ka-masze. Ułożyłem trupa na kanapie, a do trumny wsadziłem cztery przywiezione wcześniej pustaki i z powrotem ją zamknąłem.

Wpakowałem Clovisa na tylne siedzenie samochodu, zakryłem go kocem i bardzo ostrożnie przewiozłem do domku myśliwskiego. Prowadziłem z duszą na ramieniu, bo gdyby mnie zatrzymał patrol, pewnie bym się nie zdołał wytłumaczyć przed gliniarzami.

Miesiąc wcześniej kupiłem dużą używaną zamrażarkę i ustawiłem ją pod ścianą na tyłach domku. Ledwie zdążyłem wpakować Clovisa do środka, usłyszałem jakiś szelest w krzakach. To Pepper podkrażał się do mnie. Nawet o drugiej w no-cy musiał siedzieć na czatach. Nakłamałem mu, że właśnie się pokłóciłem z żoną, jestem w podłym nastroju i wolałbym zostać sam. Chyba nie widział, jak przenosiłem zwłoki z samochodu do zamrażarki. Zamknąłem ją na gruby łańcuch z kłódką, po czym narzuciłem na wieko trochę szczap drewna opałowego i ustawiłem kilka pustych kartonów. Zaczekałem do świtu, gdyż byłem przekonany, że Pepper będzie się kręcił wokół domku. Wymknąłem się o wschodzie, pojechałem do do-mu, przebrałem się i o dziesiątej zjawiłem ponownie w domu Clovisa. Niedługo przyjechał Rolland i z posępną miną zapytał, jak przebiegło pożegnanie zmar-

łego. Doskonale — odparłem. Ceremonia pogrzebowa miała być ograniczona do niezbędnego minimum. We dwóch załadowaliśmy trumnę do karawanu i pojechaliśmy na cmentarz.

Karl słuchał tej opowieści z zamkniętymi oczyma i tajemniczym uśmieszkiem błakającym się po wargach, z lekka kiwając głową.

— Postąpiłeś jak nikczemnik — mruknął w końcu, jak gdyby sam do siebie.

— Zgadza się. W piątek po południu jak zwykle przyjechałem do domku na weekend. Byłem umówiony z Pepperem, wstawiłem więc do kuchenki pieczone-go indyka i poszedłem sprawdzić zamrażarkę. Wyglądało na to, że nikt się nią nie zainteresował. W niedzielę wyruszyłem jeszcze przed świtem, aby ukryć przy autostradzie stary motocykl i pojemniki z benzyną. Później odwiozłem Peppera na dworzec autobusowy w Jackson. Po zmroku wyciągnąłem zwłoki Clovisa z zamrażarki i ułożyłem je przy kominku, żeby odtajały. Około dziesiątej przeniósłem je do bagażnika samochodu. A godzinę później zostałem uznany za zabitego.

— Nie miałeś żadnych wyrzutów sumienia?

— Pewnie, że miałem. Postąpiłem jak łajdak, ale wcześniej podjąłem stanowczą decyzję co do swego zniknięcia i musiałem jakoś je zaaranżować. Nie mogłem nikogo zabić, pozostawało jedynie zdobyć czyjeś zwłoki. Nie miałem innego wyj-

ścia.

— Trudno ci odmówić logiki.

— Kiedy Clovis zmarł, doszedłem do wniosku, iż nadarza się wyjątkowa oka-321

zja do realizacji mych planów. Naprawdę miałem cholernie dużo szczęścia. Przecież tak wiele rzeczy mogło się nie udać.

— I nadal masz szczęście.

— Zobaczymy.

Huskey spojrział na zegarek i sięgnął po kawałek kraba.

— Ile z tego mogę powiedzieć sędziemu Trusselowi?

— Wszystko oprócz imienia i nazwiska Clovisa. Muszę sobie coś zostawić na później.

Rozdział 40

Patrick siedział u szczytu stołu, miejsce obok zajmował jego adwokat, któ-

ry w przeciwieństwie do swego klienta porozkładał przed sobą dwa grube sprawozdania i kilka notatników, pełniących rolę oręża przygotowanego na stoczenie batalii. Po lewej zasiadł Parrish, tylko z jednym notatnikiem, lecz za to uzbrojony w magnetofon kasetowy, gdyż Lanigan wyraził zgodę na rejestrację zeznań.

Sprzeciwił się obecności jakichkolwiek aplikantów, asystentów czy protokolantek, ale zdając sobie sprawę, iż prawnikom niezbędna jest weryfikacja rozmów, zgodził się na wykorzystanie magnetofonu.

Po wycofaniu wszelkich zarzutów służb federalnych prokurator odczuwał

wielką presję konieczności ukarania Patricka. Miał jednak złe przeczucia. Nie podobało mu się, że gdy tylko doszło do zawarcia polubownej umowy między prokuratorem federalnym a obwinionym, na podstawie której FBI mogło się za-jąć większą aferą finansową i skoncentrować na formułowaniu oskarżenia wobec senatora, Lanigan zdecydował się ujawnić pewne fakty, według niego mające doprowadzić do ważnego zwrotu w prowadzonym przeciwko niemu dochodzeniu.

Dlatego też Parrish czuł się niejako uwiązany na smyczy.

— Możesz sobie darować oskarżenie o morderstwo z premedytacją, Terry —

zaczął Patrick. Prokurator poczuł się tym bardziej nieswojo, bo choć przyjaciele zwracali się do niego po imieniu, nie spodziewał się takiej poufałości ze strony człowieka, którego przed laty widział zaledwie parę razy. — Nikogo nie zabiłem.

— Więc kto spłonął w rozbitym aucie?

— Pewien człowiek, który już nie żył od czterech dni.

— Ktoś, kogo znałem?

— Nie. To był stary samotnik, nie miał nikogo bliskiego.

— W jaki sposób zmarł?

— Ze starości.

— Gdzież niby ten człowiek zmarł ze starości?

— Tutaj, w Missisipi.

Parrish w zamyśleniu zaczął rysować w notatniku różne zawijasy. Intuicja go nie zawiodła. Wycofanie oskarżeń federalnych było dla Patricka niczym otwar-323

cie drzwi, którymi ten mógł wyjść na wolność, bez kajdanków, z podniesionym czołem. I wyglądało na to, że nic nie jest w stanie go zatrzymać.

— A zatem w samochodzie spłonęły zwłoki?

— Zgadza się.

— Czy to nie jest przypadkiem objęte przepisem kodeksu karnego?

Sandy szybko położył przed nim odbitkę strony z kodeksu. Parrish przebiegł

wzrokiem zaznaczony paragraf i rzekł:

— Tak, już wiem. Proszę wybaczyć, ale nie co dzień zajmuję się ściganiem tego rodzaju przestępstw.

— W każdym razie nic więcej na mnie nie masz, Terry — powiedział Lanigan tonem człowieka, który dawno temu w szczegółach zaplanował przebieg tej rozmowy.

Parrish doskonale o tym wiedział, lecz nie mógł tak łatwo zrezygnować.

— Grozi za to kara jednego roku więzienia — mruknął. — A rok w Parchman powinien ci dobrze zrobić.

— Problem polega na tym, że wcale nie wybieram się do Parchman.

— A więc dokąd?

— Obojętne. Ważne jest tylko to, że z biletem lotniczym pierwszej klasy.

— Nie tak szybko. Nadal mamy tajemnicze zwłoki.

— Mylisz się, Terry. Nie macie żadnych zwłok. Trudno byłoby wam zgadnąć, czyje ciało zostało poddane kremacji, a ja nie zamierzam tego ujawnić, dopóki nie zawrzemy ugody.

— A więc mamy kolejną ugodę?

— Tak. Jeśli zrezygnujesz z oskarżenia, wyjawię prawdę. Obie strony spakują manatki i rozejdą się w pokoju.

— Jak to pięknie brzmi! Łapiemy człowieka, który obrabował bank, on zwraca pieniądze, dyktuje warunki ugody, a my po przyjacielsku ściskamy mu dłoń i rozchodzimy się w pokoju. Nie sądzisz, że byłby to wspaniały prezent dla czterystu innych obwinionych, przeciwko którym szykujemy obecnie akty oskarżenia?

Jestem pewien, że ich adwokaci w lot zrozumieliby takie wskazówki. I wspólnie zadalibyśmy cios w plecy amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości i całego systemu demokratycznego.

— Nie obchodzi mnie ani jeden z tych pozostałych czterystu, podobnie jak żaden z nich nawet za grosz nie dba o mnie. Wobec zarzutów natury kryminalnej, Terry, każdy musi myśleć tylko o sobie.

— Ale nie każda sprawa kryminalna jest tematem z pierwszych stron gazet.

— Ach, wreszcie rozumiem. Martwisz się głównie opinią publiczną. Kiedy są następne wybory? Za rok?

— Nie mam kontrkandydata, więc nie muszę się zbytnio martwić opinią publiczną.

324

— Ale się przejmujesz. W końcu jesteś wybieralnym urzędnikiem państwowym, więc troska o zdanie opinii publicznej należy do twoich obowiązków. Toteż tym chętniej powinieneś wycofać zarzuty. Nie masz szans na wygranie rozprawy.

Jeśli niepokoją cię pierwsze strony gazet, to pomyśl, jak będą wyglądały, kiedy przegrasz na sali sądowej.

— Najbliższa rodzina zmarłego także prosi o wycofanie zarzutów karnych —

dodał szybko McDermott, machając prokuratorowi przed nosem kolejną kartką papieru. — Jest również gotowa ujawnić szczegóły sprawy na łamach prasy.

Przesłanie było ewidentne: znamy prawdę, dysponujemy dowodami, utrzymujemy kontakt z rodziną zmarłego, a ty nadal o niczym nie masz pojęcia.

— To naprawdę wyglądałoby fatalnie w czołówkach gazet — ciągnął Lanigan.

— Najbliższa rodzina występuje do prokuratora o wycofanie oskarżenia.

Parrish miał już na końcu języka pytanie, ile to kosztowało, ale w porę się powstrzymał. Ostatecznie jego to nie powinno obchodzić. Coraz gęściejsze esy-

-floresy na kartce jak gdyby odzwierciedlały zwężającą się spiralę topniejących z minuty na minutę możliwości. Magnetofon cierpliwie rejestrował przedłużające się milczenie.

Tymczasem Patrick, osaczywszy przeciwnika przy linach, zbierał siły do zadania nokautującego ciosu.

— Posłuchaj, Terry — rzekł przymilnym tonem. — Nie możesz mnie oskar-

żyć o zabójstwo. To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Nie możesz także oskarżyć o profanację zwłok, ponieważ nie wiesz, czyje zwłoki spłonęły w aucie. Nie masz absolutnie nic. Zdaję sobie sprawę, że to gorzka pigułka do przełknięcia, ale nie zmienisz faktów. Pewnie trochę ci się dostanie, spróbuj to jednak zaliczyć na karb zawodowego ryzyka.

— Dzięki za pocieszenie. Mimo wszystko mogę wystąpić z oskarżeniem o profanację, nawet jeśli nie znam nazwiska tego faceta.

— A czemu nie kobiety? — wtrącił McDermott.

— To bez znaczenia. Wystarczy, że przejrzę rejestry samotnych starych ludzi, którzy pożegnali się z życiem na początku lutego dziewięćdziesiątego drugiego roku, a potem porozmawiam z najbliższymi krewnymi i sprawdzę, z kim nawiąza-liście kontakt. Mogę nawet zdobyć sądowe nakazy i rozkopać parę grobów. Czasu mam dużo. Ty zaś zostaniesz przeniesiony do więzienia okręgowego, natomiast szeryf Sweeney już się zatroszczy o przydzielenie ci kilku odpowiednich współ-

więźniów. Sprzeciwię się uwolnieniu za kaucją, argumentując przed sędzią, że wcześniej wykazałeś się umiejętnością znikania bez śladu. Upłyną miesiące. Na-dejdzie lato. W więzieniu okręgowym nie ma klimatyzacji, zatem będziesz miał

okazję, żeby jeszcze trochę schudnąć. Bez pośpiechu zaczniemy rozkopywać gro-by, aż w końcu, przy odrobinie szczęścia, trafimy na pustą trumnę. I dokładnie po dziewięciu miesiącach, po upływie przewidzianych prawem dwustu siedemdziesięciu dni od chwili wystąpienia z oskarżeniem, zorganizujemy proces.

325

— Jak zamierzasz udowodnić, że to ja się dopuściłem profanacji zwłok? Nie masz żadnych świadków, a jedynie garść niewiele znaczącego materiału dowodowego.

— To już bez znaczenia. Chciałem ci unaocznic co innego. Jeśli przeciągnę proces do dwóch miesięcy, i tak prawie na rok zdołam cię uziemić w więzieniu okręgowym. A jedenaście miesięcy to bardzo długo, zwłaszcza dla kogoś, kto dysponuje grubą forszą.

— Jakoś sobie poradzę — odparł Lanigan, śmiało patrząc prokuratorowi w oczy, choć w głębi ducha się modlił, aby to Parrish pierwszy odwrócił wzrok.

— Może i tak. Niemniej mimo wszystko postawiłbym cię w stan oskarżenia.

— Czego więc żądasz? — zapytał wprost Sandy.

— Spróbujcie na całą tę sprawę popatrzeć z boku. — Parrish szeroko rozłożył

ręce. — Zrobiłeś z nas wszystkich ostatnich głupców, Patricku. Służby federalne pospiesznie wycofały się rakiem, a i my zostaliśmy niemal z pustymi rękoma. Daj nam cokolwiek, jeśli chcesz, żebyśmy rzeczywiście rozstali się w pokoju.

— W porządku. Sformułuj oskarżenie. Przebrniemy wstępne formalności i staniemy przed sędzią, po czym przyznam się do sprofanowania zwłok i po-proszę o łagodny wyrok. Żadnego więzienia. Już na wstępie wyjaśnisz sędziemu, że najbliższa rodzina złożyła wniosek o wycofanie zarzutów karnych. Wystąpisz o dowolną karę, wyrok w zawieszeniu, kuratelę sądową, grzywnę, zwrot kosztów procesowych i odszkodowanie za swój stracony czas. Będiesz mógł nawiązać do tego, że byłem torturowany i wiele wycierpiałem. Zrobisz wszystko, Terry, żeby zachować twarz. Najważniejsze jest to, abym nie musiał spędzić ani jednego dnia w więzieniu.

Parrish zastanawiał się przez chwilę, nerwowo bębniąc palcami o blat stołu.

— I zgodzisz się ujawnić nazwisko ofiary?

— Tak, ale dopiero wówczas, gdy podpiszemy papiery.

— Mamy nawet zgodę najbliższych krewnych na rozkopanie grobu — wtrą-

cił Sandy, machnął w powietrzu następnym świstkiem i natychmiast odłożył go z powrotem do teczki.

— Śpieszy mi się, Terry. Tam czeka na mnie nowe życie.

— Muszę się skontaktować z sędzią Trusselem. Zdajesz sobie sprawę, że powinienem uzyskać jego akceptację dla tego typu umowy.

— Na pewno się zgodzi — odparł Lanigan.

— Czy to znaczy, że osiągnęliśmy porozumienie? — zapytał McDermott.

— Z mojej strony nie będzie żadnych sprzeciwów. — Parrish wyłączył magnetofon i zaczął pospiesznie zgarniać swoje rzeczy do aktówki.

Patrick puścił oko do Sandy'ego.

— Jeszcze jedno — rzekł prokurator, wstając od stołu. — Co możesz nam powiedzieć na temat Peppera Scarboro?

— Ujawnię jego fałszywe personalia i podam numer karty ubezpieczenia socjalnego.

— To znaczy, że nadal żyje?

— Chyba tak. Możecie go odnaleźć, ale zróbcie to ostrożnie, żeby go nie spłoszyć. Nie zrobił przecież niczego złego.

Parrish obrócił się na pięcie i bez pożegnania wyszedł z sali.

O drugiej po południu przysłała na umówione spotkanie z wiceprezesem londyńskiej filii DeutscheBank. Doskonale mówiący po angielsku Niemiec, odznaczający się wyszukаныmi manierami i nienagannie ubrany w elegancki dwurzędowy garnitur, przyjął ją z pełnym szacunku uśmiechem. Zaledwie obrzucił przelotnym spojrzeniem jej zgrabne nogi, po czym szybko przeszedł do interesu. Z filii macierzystego banku w Zurychu przesłano mu telefaksem instrukcję nakazującą przelać sto trzysta milionów dolarów z zaszyfrowanego konta do waszyngton-

skiej filii AmericaBank. A jego gość miał podać hasło, numer konta i potwierdzić owe instrukcje. Sekretarka przyniosła herbatę i ciasteczka, prezes zaś przeprosił

uroczą prawniczkę, tłumacząc, że musi zadzwonić do Zurychu.

— Wszystko w porządku, panno Pires — oznajmił po powrocie, usiadł za biurkiem i sięgnął po herbatnika.

Eva spoglądała mu śmiało w oczy, nawet przez chwilę nie podejrzewała jakichkolwiek kłopotów.

Po chwili cicho zaszumiała drukarka komputerowa, Niemiec podsunął jej arkusz wyciągu. Po dokonaniu przelewu na koncie w DeutscheBank pozostało milion dziewięćset tysięcy dolarów, nie licząc drobnej końcówki. Eva przebiegła wzrokiem wydruk, po czym złożyła starannie arkusz i wsunęła go do torebki —

nowiutkiej, eleganckiej, prosto z salonu Chanel.

Na innym szwajcarskim koncie pozostały jeszcze trzy miliony. W filii banku kanadyjskiego na Kajmanach znajdowało się sześć i pół miliona. Pewien renowany inwestor z Bermudów obracał w ich imieniu funduszem w wysokości czterech milionów dolarów, a dalsze siedem milionów dwieście tysięcy było bezpiecznie ulokowane w banku luksemburskim, lecz te pieniądze miały być wycofane w pierwszej kolejności.

Dopełniwszy wszelkich formalności, Miranda wyszła z banku i wsiadła do wynajętej limuzyny z szoferem. Musiała jeszcze zadzwonić do Sandy'ego i poinformować go o wykonaniu poleceń.

Benny bardzo krótko grał rolę przestępcy poszukiwanego federalnym listem gończym. Jego przyjaciółka spędziła noc we Frankfurcie, po czym wsiadła do samolotu i koło południa wylądowała na londyńskim Heathrow. Tam już na nią cze-327

kano, celnik na lotnisku bez pośpiechu dwukrotnie sprawdził jej paszport. Szwedka była w ciemnych

okularach, ręce jej się trzęsły. Wyraźnie było to widać na obrazie utrwalonym na kasiecie wideo.

Na postoju przed terminalem zaopiekował się nią policjant w cywilu, tymczasowo pełniący rolę portiera przywołującego taksówki. Poprosił ją, aby cierpliwie zaczekała, obok tamtych dwóch dam, podczas gdy on zajął się rozładowywaniem korka. Kierowca taksówki nie był podstawiony, lecz parę minut wcześniej odebrał

szczegółowe instrukcje i został wyposażony w krótkofalówkę.

— Hotel „Athenaeum” przy Piccadilly — poleciła, usadowiwszy się w środku.

Taksówkarz włączył się do ruchu na zatłoczonej drodze dojazdowej i z udawaną nonszalancją przekazał cel kursu przez radio do centrali.

Specjalnie się nie śpieszył. Dopiero po półtoragodzinnej podróży zatrzymał

wóz przed wejściem do hotelu. Następnie kobieta musiała ponadto poczekać w recepcji, wreszcie kierownik zmiany przeprosił ją uprzejmie za zwłokę, wyjaśniając, że właśnie zepsuł się komputer.

Kiedy w końcu nadeszła wiadomość, że w aparacie w zarezerwowanym pokoju został założony podsłuch, otrzymała klucze, a boy zawiózł ją na piętro. Szybko dała mu napiwek, zamknęła drzwi na klucz i od razu usiadła przy telefonie.

Pierwsze słowa, jakie nagrała dyżurująca ekipa, brzmiały:

— Cześć, Benny. To ja. Jestem już na miejscu.

— Dzięki Bogu — odparł Aricia. — Wszystko w porządku?

— Tak. Tylko diabelnie się boję.

— Ktoś cię śledził?

— Nie, chyba nie. Byłam bardzo ostrożna.

— Wspaniale. Słuchaj uważnie. Przy Brick Street niedaleko Down, kilkaset metrów od twojego hotelu, znajduje się niewielki barek kawowy. Spotkamy się tam za godzinę.

— Dobrze. Naprawdę strasznie się boję, Benny.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie. Bardzo się za tobą stęskniłem.

Kiedy dotarła do kawiarni, Benny’ego jeszcze nie było. Czekwała przez godzinę, wreszcie ogarnięta przerażeniem wróciła szybko do hotelu. Więcej do niej nie zadzwonił. Spędziła bezsenłą noc.

Następnego ranka kupiła w hotelowym kiosku gazetę, zamówiła w barze kawę i zaczęła przeglądać wiadomości. Na końcu drugiej strony „Daily Mail” przeczytała króciutką notatkę o ujęciu

amerykańskiego oszusta poszukiwanego listem gończym, niejakiego Benjamin Aricii.

Szybko spakowała walizki i zarezerwowała miejsce w samolocie do Sztokholmu.

Rozdział 41

Porozumiewając się szeptem, obaj sędziowie, Karl Huskey oraz Henry Trussel, doszli do wniosku, że sprawa Patricka Lanigana powinna zostać uznana za precedens, zanim ostatecznie przekaże się ją do archiwum. Cały świątek prawniczy Biloxi zelektryzowały plotki o zawarciu bulwersującej ugody, przy czym atmosferę podsycali jeszcze najróżniejsze spekulacje na temat przewinień Bogana i jego współników z kancelarii adwokackiej. W gruncie rzeczy o niczym innym nie mówiono od samego rana w gmachu sądu.

Trussel rozpoczął urzędowanie od telefonicznego wezwania Parrisha i McDermotta na krótką naradę, która w efekcie przemieniła się w wielogodzinną nasia-dówkę. Kilkakrotnie włączano do dyskusji Patricka, korzystając z telefonu ko-mórkowego doktora Hayaniego. Ci dwaj zaś, lekarz i jego pacjent, przez cały czas grali w szachy w szpitalnej kawiarence.

— Rzeczywiście nie widzę podstaw, aby wnioskować o karę więzienia dla obwinionego — oznajmił Trussel po drugiej rozmowie z Laniganem.

Był wyraźnie zadowolony z takiego obrotu sprawy, z ulgą przyjął możliwość uwolnienia Patricka od najcięższych zarzutów. Ze swej strony także nie zamierzał

wnioskować o wysoką karę. Więzienie okręgowe było zapchane handlarzami narkotyków bądź zboczeńcami, skazanymi za molestowanie dzieci, sędzia mógł więc z czystym sumieniem przymknąć oko na grzeszki wyrafinowanego profanatora zwłok. Materiał dowodowy w tej sprawie wydawał się niepodważalny, a wzięwszy pod uwagę, że do tej pory Lanigan nadzwyczaj sprytnie uwalniał się od wszelkich oskarżeń, należało wątpić, aby w tym wypadku mógł zapaść wyrok skazujący.

Większość czasu poświęcono na uzgadnianie warunków zwolnienia po przyznaniu się przez Patricka do zarzucanych mu czynów. Najpierw trzeba było za-

łatwić formalności związane z wycofaniem wcześniejszego oskarżenia. Dopiero później sędzia mógł przyjąć nowe oskarżenie, wreszcie zaakceptować sformułowane wspólnie przyznanie się Lanigana do winy. Już w trakcie tego pierwszego posiedzenia Trussel musiał się naradzać telefonicznie z szeryfem Sweeneyem, prokuratorem Mastem, agentem Cutterem oraz dyrektorem FBI Hamiltonem Jaynesem. Dwukrotnie też wychodził na krótką rozmowę z Karlem Huskeyem, który 329

— na wszelki wypadek — siedział przez cały czas w swoim gabinecie.

Obaj sędziowie, podobnie jak Parrish, piastowali stanowiska podlegające co cztery lata reelekcji w wyborach powszechnych. Trussel nigdy do tej pory nie miał kontrkandydata, w pewnym sensie miał więc polityczny immunitet. Natomiast Huskey zamierzał zrezygnować z pełnionej funkcji. Najwięcej do stracenia miał Parrish, choć i on niezbyt się obawiał o swoją przyszłość, ponieważ dał się poznać jako umiejętny strateg, forsujący swoje decyzje bez zbędnego oglądania się na opinię społeczną. Ci

trzej byli więc postaciami publicznymi od dłuższego czasu, a obracając się w świecie polityki, wyznawali starą, sprawdzoną zasadę: jeśli musisz zrobić coś, co może zostać przyjęte niezbyt przychylnie, uczyn to jak najszybciej. Trzeba więc było błyskawicznie się uwolnić od kłopotów, aby wahanie nie wzbudziło niczyich podejrzeń. Nikt nie miał żadnych wątpliwości, że gdy tylko dziennikarze zwietrzą sensację, zaczną ją w kółko maglować, dolewając tym samym oliwy do ognia.

Potwierdzenie zeznań Patricka nie przysparzało większych trudności. Po ujawnieniu nazwiska ofiary, na podstawie uzyskanej wcześniej zgody najbliższej rodziny na rozkopanie grobu, należało wydobyć i otworzyć trumnę. Gdyby ta rzeczywiście okazała się pusta, przyznanie się Lanigana do winy zostałyby poparte dowodami. A ponieważ do tego czasu nie istniał sposób na rozwianie wszelkich wątpliwości, w umowie zawarto klauzulę, że gdyby jakimś cudem we wskazanej trumnie znaleziono zwłoki, natychmiast się ją unieważni i powróci do wcześniejszego oskarżenia o morderstwo z premedytacją. Patrick jednak z takim przekonaniem opowiadał o swojej ofercie, iż nikt nie miał żadnych podejrzeń co do wyniku ekshumacji.

Po spotkaniu Sandy pojechał do szpitala, gdzie zastał swego klienta w otoczeniu licznego grona pielęgniarek asystujących doktorowi Hayaniem w opatrywaniu ran pacjenta. Oznajmił, że przybywa z niezwykle pilną sprawą, toteż Patrick przeprosił wszystkich i po chwili zostali w izolatce sami. Wspólnie przejrzelі uważnie wszelkie dokumenty, wnioski formalne i polecenia sędziego, większość zapisów odczytując na głos. Wreszcie Lanigan podpisał papiery.

McDermott zwrócił uwagę, że obok prowizorycznego stanowiska pracy przyjaciela stoi na podłodze duże kartonowe pudło, w którym na wierzchu spoczywają książki, jakie on sam pożyczył Patrickowi. A zatem jego klient zaczął się już pakować.

Nie miał czasu na lunch, zatem w hotelowym barze kupił sobie kilka kanapek, przy czym jadł je na stojąco, zerkając ponad ramieniem sekretarki przepisującej na komputerze szereg dokumentów. Obaj aplikanci oraz druga sekretarka z jego kancelarii wrócili już wcześniej do Nowego Orleanu.

Kiedy zadzwonił telefon, Sandy błyskawicznie chwycił słuchawkę. Rozmówca przedstawił się jako Jack Stephano, waszyngtoński prywatny detektyw. Zapytał, czy adwokat o nim słyszał. Tak, oczywiście, że słyszał. Stephano dzwonił

330

z recepcji hotelu i prosił o krótką rozmowę. Sandy wyraził zgodę. Miał trochę czasu, Trussel zarządził przerwę do czternastej.

Usiedli w salonie i przez chwilę mierzyli się wzrokiem nad zawalonym papierzyskami stolikiem do kawy.

— Poprosiłem o tę rozmowę z czystej ciekawości — zaczął Stephano.

McDermott mu jednak nie wierzył.

— Czy nie powinien pan zacząć od przeprosin? — zapytał.

— Ma pan rację. Moi ludzie zdecydowanie przekroczyli swoje uprawnienia.

Nie musieli się aż tak znęcać nad pańskim klientem.

— Tak, według pana, powinny wyglądać przeprosiny?

— Bardzo przepraszam. Postąpiliśmy źle.

Powiedział to jednak nieszczerze, bez przekonania.

— Przekażę te słowa mojemu klientowi. Jestem pewien, że będą miały dla niego olbrzymią wagę.

— Rozumiem. No więc. . . przyszedłem tu, rzecz jasna, nie mając już żadnych powiązań z tą sprawą. Postanowiliśmy z żoną wybrać się na krótki odpoczynek na Florydę, ja zaś zdecydowałem się zboczyć nieco z trasy. Nie zajmę panu więcej niż kilka minut.

— Czy schwytano Aricię? — zapytał Sandy.

— Tak. Został ujęty przed kilkoma godzinami w Londynie.

— Świetnie.

— Nie pracuję już na jego zlecenie. W ogóle nie miałem nic wspólnego z tą aferą spółki Platt & Rockland. Zostałem wynajęty z powodu zaginionych pieniędzy,

miałem je odnaleźć. Wykonywałem zadanie, za które mi zapłacono, ale teraz sprawa jest zamknięta.

— Więc po co pan przyjechał?

— Nie daje mi spokoju pewien problem. Otóż odnaleźliśmy Lanigana w Brazylii jedynie dzięki poufnyom informacjom, ujawnionym przez kogoś, kto musiał

go dobrze znać. Dwa lata temu skontaktowała się z nami prywatna firma docho-dzeniowa z Atlanty, nosząca nazwę Pluto Group. Ich klient z Europy chciał od-sprzedać informacje dotyczące Lanigana. Wtedy mieliśmy jeszcze spore fundusze, przystaliśmy więc na tę propozycję. Tenże klient zaproponował kilka wstępnych wskazówek po przystępnej cenie. Kupowaliśmy je kolejno, a po sprawdzeniu wychodziło na jaw, że jego informacje są zdumiewająco dokładne. Owa tajemni-cza osoba musiała wiedzieć bardzo dużo na temat Lanigana, znała dokładnie je-go kolejne adresy, tryb życia, przybrane nazwiska. Wyglądało to na ukartowany, przemyślny spis. Szybko nabraliśmy przeświadczenia, czym to się musi skoń-

czyć. Z zainteresowaniem czekaliśmy na ostateczną propozycję. I ta w końcu została złożona. Za milion dolarów tajemniczy informator podał nam aktualny adres, dołączając do tego kilka świeżo wykonanych fotografii, przedstawiających zbiega 331

myjącego swój samochód, czerwonego volkswagena „garbusa”. Pieniądze zostały wypłacone i

schwytaliśmy Lanigana.

— Kto był owym tajemniczym klientem tamtej firmy? — zainteresował się McDermott.

— To mnie właśnie dręczy. Wszystko wskazuje na tę brazylijską prawniczkę.

Sandy w pierwszej chwili chciał wybuchnąć głośnym śmiechem, zdołał się jednak opanować, z jego gardła wydobył się tylko stłumiony pomruk. Natychmiast przypomniał sobie, jak Leah opowiadała mu o nawiązaniu kontaktu z agentami Pluto Group, którzy otrzymali zadanie śledzenia poczynań Stephano kierującego poszukiwaniami Patricka.

— Gdzie ona teraz jest? — zapytał detektyw.

— Nie wiem — odparł Sandy.

Znał na pamięć numer telefonu londyńskiego hotelu, nie zamierzał go jednak nikomu ujawniać.

— W sumie zapłaciliśmy temu informatorowi milion sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie daje mi jednak spokoju podejrzenie, iż pertraktowaliśmy z judaszem.

— Mimo wszystko sprawa została zamknięta. Czego pan po mnie oczekuje?

— Jak już mówiłem, kierowała mną czysta ciekawość. Byłbym wdzięczny za telefon, gdyby udało się panu poznać prawdę. Nie mam już w tym żadnego interesu, ale coś mi się zdaje, że nie będę mógł spać spokojnie, jeśli się nie dowiem, czy to rzeczywiście ta prawniczka wzięła od nas pieniądze za informacje.

Sandy obiecał, że zatelefonuje, jak się czegoś dowie, i Stephano wyszedł.

Szeryf Raymond Sweeney podczas lunchu usłyszał plotkę o bulwersującej umowie i bardzo mu się to nie spodobało. Zadzwoił najpierw do Parrisha, potem do sędziego Trussela, obaj jednak byli zbyt zajęci, żeby udzielać mu wyjaśnień.

Agenta Cuttera nie zastał w biurze.

Postanowił zatem udać się do gmachu sądu. Zajął miejsce w korytarzu, w po-

łowie drogi między gabinetami obu zaangażowanych sędziów, wychodząc z za-

łożenia, że gdyby plotka miała się okazać prawdziwa, on powinien się znaleźć w samym centrum wydarzeń. Zwrócił jednak uwagę na szepczących między sobą strażników i woźnych, zatem coś naprawdę musiało się tu święcić.

Około czternastej kolejno pojawili się na piętrze nadzwyczaj poważni prawnicy. Ale wszyscy w milczeniu znikali w gabinecie Trussela. Zdenerwowany Sweeney po dziesięciu minutach zapukał do drzwi. Bezceremonialnie przerwał naradę, żądając wyjaśnień dotyczących losów jego więźnia. Trussel spokojnie wy-tłumaczył mu, że oskarżony przyznał się do winy i według niego, jak również

w zgodnej opinii pozostałych uczestników zebrania, owo przyznanie się zostanie przyjęte, co leży w najlepiej pojętym interesie całego wymiaru sprawiedliwości.

Sweeney miał jednak w tym względzie własne zdanie.

332

— No to wszyscy wyjdziemy na idiotów. Plotka już obiegła całe miasto.

Zamiast wsadzić za kratki przebiegłego oszusta pozwolimy mu się wykupić od wszelkich zarzutów. Potraktował nas jak marionetki.

— Więc co proponujesz, Raymondzie? — zapytał prokurator.

— Cieszę się, że ktoś w końcu postawił to pytanie. Najpierw przeniósłbym oskarżonego do więzienia, żeby przez jakiś czas posmakował życia wśród innych kryminalistów. A potem bym go osądził i wymierzył najwyższą karę.

— Za jakie przestępstwo?

— W końcu ukradł pieniądze z banku, prawda? No i spalił we wraku samochodu zwłoki. Nie powinno się za to odsiedzieć z dziesięciu lat w Parchman? Tak byłoby sprawiedliwie.

— Nie ukradł pieniędzy na naszym terenie, nie podlega więc naszej jurysdykcji — wyjaśnił sędzia.

— To sprawa służb federalnych, które już wcześniej wycofały oskarżenie.

Sandy siedział w rogu gabinetu. Udawał, że całkowicie pochłania go lektura jakichś papierków.

— To znaczy, że ktoś nie dopełnił swoich obowiązków, prawda?

— Ale to nie nasza sprawa — wtrącił Parrish.

— Wspaniale. W takim razie opowiedzcie tę bajeczkę ludziom, którzy na was głosowali. Zwalcie całą winę na służby federalne, bo to przecież nie nasza sprawa, nie nasz teren. A co ze spalaniem zwłok? Wyjdzie na wolność po przyznaniu ze skruchą, że tego dokonał?

— Uważasz, że powinniśmy go ścigać na podstawie prawa karnego? — zapytał Trussel.

— Oczywiście, że tak.

— Świetnie. W takim razie poradź nam jeszcze, w jaki sposób mielibyśmy to udowodnić? — burknął Parrish.

— Ty jesteś prokuratorem. To twoje zadanie.

— Owszem, ale to ty nam przerywasz takim tonem, jakbyś wszystko wiedział.

Dlatego powinieneś zdradzić, jak miałbym udowodnić popełnienie tej profanacji.

— Przecież już się przyznał, prawda?

— Tak, ale czy sądzisz, że jeśli wytoczmy proces karny i postawimy Lanigana przed ławą przysięgłych, to wtedy również się przyzna? Taką strategię masz do zaproponowania?

— Na pewno się nie przyzna — podsunął ochoczo Sandy.

Sweeneyowi krew uderzyła do twarzy, z każdą chwilą robił się coraz bardziej czerwony. Kilka razy machnął rękoma w powietrzu, przenosząc wzrok z Parrisha na McDermotta i odwrotnie.

Dotarło do niego, że prawnicy we własnym gronie wszystko już ustalili. I wtedy stracił panowanie nad sobą.

— Kiedy to ma się stać?! — warknął.

333

— Dziś po południu — odparł sędzia.

Tego Sweeneyowi było już za wiele. Zagryzł zęby, wbił dłonie głęboko w kieszenie spodni, wykonał zwrot na pięcie i wymaszerował z gabinetu.

— Prawnicy zawsze troszczą się tylko o siebie — bąknął od drzwi, lecz na tyle głośno, by wszyscy go słyszeli.

— Jedna wielka, szczęśliwa rodzinka — odparł ironicznie Parrish.

Szeryf z hukiem trzasnął drzwiami i pognął schodami na dół. Odjechał sprzed gmachu sądu nie oznakowanym służbowym wozem. Z telefonu komórkowego połączył się szybko ze swym potajemnym informatorem, pracującym w redakcji jednego z popularnych miejscowych dzienników.

Wobec dwóch pisemnych zezwoleń, jedynej żyjącej krewnej, wnuczki zmar-

łego, oraz Patricka, wykonawcy jego ostatniej woli, rozkopenie grobu było czystą formalnością. Zarówno Trussel, Parrish, jak i Sandy, zwrócili uwagę na ironię tej sytuacji, w której Lanigan, jedyny przyjaciel Goodmana, musiał wyrazić swą zgodę na otwarcie trumny, żeby w ten sposób oczyścić się od zarzutu popełnienia morderstwa. Zresztą nie tylko ten jeden fakt zdawał się mieć podobnie ironiczny wydźwięk.

Nie chodziło jednak o ekshumację, do której niezbędna byłaby decyzja sędziego poprzedzona stosownym wnioskiem, czy nawet będąca wynikiem oddzielnego posiedzenia. Chodziło wyłącznie o sprawdzenie zawartości mogiły, a ponieważ kodeks prawny stanu Missisipi nie obejmował tego rodzaju działań, sędzia Trussel postanowił nie zawracać sobie głowy formalnościami. W końcu nikt nie mógł

się poczuć przez to poszkodowany, a już z pewnością nikt z najbliższej rodziny.

Nie było także mowy o naruszeniu nietykalności zwłok, skoro w grobie spoczywała pusta trumna, nie będąca miejscem wiecznego spoczynku zmarłego.

Rolland wciąż prowadził dom pogrzebowy w Wiggins. Doskonale pamiętał

starego Clovisa Goodmana i jego adwokata oraz to niezwykle czuwanie przy zwłokach, kiedy nikt nie przyszedł, aby pożegnać zmarłego. Tak, doskonale wszystko pamiętał, jak kilkakrotnie zapewnił sędziego przez telefon. Owszem, czytał w gazetach artykuły o schwytaniu Patricka Lanigana, ale jakoś nie skojarzył tych faktów.

Trussel zrelacjonował mu krótko przebieg wydarzeń, kładąc szczególny nacisk na rolę Clovisa w całej sprawie. Rolland przyznał, że nie otwierał już trumny następnego dnia, bo nie było takiej potrzeby. Nigdy się tego nie robi. Sędzia na chwilę przerwał rozmowę, żeby Parrish mógł tamtemu przesłać faksem kopie obu pism, jednego podpisanego przez Deenę Postell, drugiego przez Patricka Lanigana, wykonawcę testamentu.

Rolland wykazał wielką ochotę do współpracy z sędzią. Nigdy dotąd nie skradziono mu zwłok, bo mieszkańcy Wiggins po prostu takich rzeczy nie robią.

334

A mógł przystąpić do rozkopywania grobu w dowolnej chwili, gdyż jednocześnie był zarządcą miejscowego cmentarza.

Trussel wysłał tam dwóch urzędników sądowych oraz woźnego. Rolland czekał na nich w towarzystwie dwóch grabarzy przy mogile z kamieniem nagrobnym, na którym widniał wykuty napis:

CLOVIS F. GOODMAN

23 I 1907 — 6 II 1992

ODSZEDŁ KU WIECZNEJ CHWALE

Pospiesznie wydał polecenia i łopaty zagłębiły się w miękką, wilgotną ziemię. Niespełna kwadrans zajęło odsłonięcie wieka trumny. Rolland przejął sprawę w swoje ręce, zeskoczył na dno mogiły i zaczął zgarniać resztki ziemi, odsłaniając nadgniłe już krawędzie desek. Następnie wyjął klucz, wsunął go w otwór, mocował się przez chwilę, wreszcie otworzył zamek i szybkim ruchem, przy wtórze głośnego skrzypienia zawiasów, uniósł wieko.

Jak należało oczekiwać, wewnątrz nie było zwłok.

Leżały jedynie cztery pustaki.

Mimo wszystko trzeba było zwołać posiedzenie sądu, gdyż tego wymaga-

ły przepisy prawa, prawnicy postanowili jednak zaczekać do siedemnastej, kiedy większość urzędników sądowych zakończy pracę i rozejdzie się do domów.

Późna pora odpowiadała wszystkim, a zwłaszcza sędziemu oraz prokuratorowi, którzy mieli pewność, że postępują właściwie, niemniej byli nadzwyczaj zdenerwowani. Od samego rana Sandy stanowczo nalegał, aby zwołać posiedzenie jak najszybciej, skoro tylko przyznanie się do winy zostanie przyjęte, a otwarcie grobu potwierdzi zeznania Patricka, umożliwiając zarazem sfinalizowanie sekretnej umowy. Nie było na co czekać. Powtarzał, że jego klient, poraniony i wycień-

czony, przebywa pod strażą w szpitalnej izolatce, chociaż tym stwierdzeniem nie mógł już zjednać więcej przychylności członków narady. Przeważył jednak argument, że skoro nie odbywają się obecnie inne rozprawy, to tę jedną można załatwić w trybie przyspieszonym, ponieważ dalsza zwłoka niczego już nie zmieni.

Sędzia Trussel przystał na takie rozwiązanie, a Parrish nie zgłosił sprzeciwu.

Miał na wokandzie osiem innych spraw, z którymi musiał się uporać w ciągu najbliższych trzech tygodni, zatem i jemu zależało na szybkim pozbyciu się z barków ciężaru, jakim był dla niego Lanigan.

Siedemnasta odpowiadała również obronie. McDermott świetnie wiedział, że przy odrobinie szczęścia powinno im się udać wyjść razem z sądu po dziesięciu minutach. Nieco więcej szczęścia potrzebowali zapewne, aby wymknąć się niepostrzeżenie. Patrick ocenił, że i jemu wydaje się to najlepszą porą. W końcu nie miał nic innego do roboty.

Przebrał się w luźne jasne spodnie i nową białą koszulę. Stopy wsunął tak-335

że w nowe sandały, ale nie włożył skarpetek, gdyż rana nad kostką wciąż lekko ropiała. Uściskał serdecznie doktora Hayaniego i podziękował mu za wszystko.

Następnie pożegnał się z pielęgniarkami i salowymi, obiecując, że w najbliższej przyszłości odwiedzi ich ponownie. Nikt nie miał jednak złudzeń, iż tak się nie stanie.

Po dwóch tygodniach pobytu w izolatce Patrick wyszedł po raz ostatni ze szpitala, u boku swego adwokata, w otoczeniu jak zwykle czujnych, uzbrojonych strażników z biura szeryfa.

Rozdział 42

Okazało się nagle, że siedemnasta odpowiada nie tylko prawnikom. Ani jeden urzędnik czy woźny sądowy nie poszedł do domu, gdyż lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że proces zapewne potrwa jedynie parę minut.

Pewna pracownica dużej firmy adwokackiej zajmującej się nieruchomościami sprawdzała jeszcze w kancelarii sądu czyjeś prawa do własności jakichś gruntów, kiedy dotarła do niej informacja o zwołanej naprędce rozprawie. Natychmiast zadzwoniła do swoich zwierzchników i wiadomość

lotem błyskawicy obiegała całe prawnicze środowisko miasta. Przekazywano sobie nawzajem, że w sprawie Lanigana nastąpiła zmiana oskarżenia, na podstawie jakiejś potajemnej umowy wię-

zień szybko przyznał się do winy, a formalna rozprawa miała się odbyć już dzisiaj, o siedemnastej, w głównej sali posiedzeń.

Wieści o niespotykanym dotąd zdarzeniu, zgodnym jednak z wszelkimi procedurami, sprawiły, że wszyscy chcieli być świadkami tej niecodziennej rozprawy.

Każdy czuł się też w obowiązku powiadomić krewnych i znajomych, zaprzyjaź-

nionych reporterów i dziennikarzy, a nawet współpracowników przebywających obecnie w terenie. Tak oto, w ciągu niespełna pół godziny, połowa mieszkańców Biloxi wiedziała już, że Lanigan stanie przed sądem, przyzna się do winy i prawdopodobnie odzyska wolność.

Posiedzenie zapewne przyciągnęłoby znacznie mniejszą uwagę, gdyby wiadomość o nim ukazała się w czołówkach gazet, a na wszystkich tablicach informacyjnych porozwieszano zwykle zapowiedzi. Nikt nie miał wątpliwości, że ów niezwykle pośpiech jest związany z chęcią zachowania tajemnicy. A w tym wypadku chodziło o szczególnie elektryzującą tajemnicę: wymiar sprawiedliwości dążył do ochrony jednego z przedstawicieli prawniczej maszyny.

W sali posiedzeń szybko zaczęły się zbierać grupki porozumiewających się szeptem ludzi, pospiesznie rezerwowano miejsca w ławach. Stopniowe gęstnienie tłumu odbierano powszechnie jako potwierdzenie bulwersujących plotek, a kiedy na salę wkroczyli znani reporterzy sądowi, atmosfera napięcia sięgnęła zenitu.

— Już go przywieźli — powiedział głośno ktoś w pierwszych rzędach i jak na komendę ciekawscy, oczekujący jeszcze na korytarzu, zaczęli gorączkowo szukać

wolnych miejsc.

Patrick szerokim uśmiechem przyjął widok dwóch fotoreporterów pędzących w jego kierunku, ledwie skręcił z klatki schodowej w boczny korytarz. Wprowadzono go do tej samej sali konferencyjnej co poprzednio. Strażnik zdjął mu kajdanki. Kupione przez Sandy'ego spodnie okazały się o parę centymetrów za długie, oskarżony usiadł więc i zaczął bez pośpiechu podwijać nogawki i starannie układać prowizoryczne mankiety. Po chwili do pokoju wszedł Karl Huskey i poprosił strażników, żeby zaczekali przed drzwiami.

— Wygląda na to, iż możemy zapomnieć o błyskawicznym, sekretnym posiedzeniu — odezwał się Patrick.

— No cóż, w naszej społeczności wieści rozchodzą się błyskawicznie. Ładne ubranie.

— Dzięki.

— Ten mój znajomy dziennikarz z Jackson prosił, abym cię zapytał, czy. . .

— Nic z tego, Karl. Nie udzielam żadnych wyjaśnień prasie.

— Tak myślałem. Kiedy wyjeżdżasz?

— Jeszcze nie wiem. Ale niedługo.

— Gdzie czeka ta dziewczyna?

— W Europie.

— Możesz mnie zabrać ze sobą?

— Po co?

— Chciałem tylko popatrzeć.

— Przyślę ci nagranie na kasecie wideo.

— Wielkie dzięki.

— Naprawdę chciałbyś pójść w moje ślady? Gdybyś miał szansę rzucić wszystko i zniknąć, już teraz, zrobiłbyś to?

— Z dziewięćdziesięcioma milionami dolarów czy bez nich?

— Obojętne.

— Nie uciekłbym, moja sytuacja jest zupełnie inna. W przeciwieństwie do ciebie kocham żonę. Mam trójkę wspaniałych dzieci, podczas gdy ty wychowywałeś nie swoją córkę. Nie zrobiłbym tego. Ale w pełni ciebie rozumiem.

— Nie kłam, Karl. Wszyscy tego pragną. Na pewnym etapie każdy zaczyna marzyć o rzuceniu wszystkiego. To jasne, iż życie jest o wiele piękniejsze na słońecznej plaży czy górskich szlakach. Można się pozbyć wszelkich problemów.

To pragnienie mamy zakodowane w genach. Ostatecznie wszyscy jesteśmy po-tomkami emigrantów, którzy postanowili zerwać z przytłaczającą biedą i przybyli do Ameryki, żeby tu szukać szczęścia. Nadal trwa wędrówka na zachód, ludzie pakują manatki i ruszają w nieznane, łudząc się nadzieją, że odnajdą swoją żyłę złota. Tyle że zmieniły się warunki, coraz trudniej znaleźć eldorado.

— O rety! Nigdy nie oceniałem tego z tak głębokiej, historycznej perspektywy.

338

— Ale to prawda.

— Pozostaje mi tylko żałować, że moi dziadkowie nie skubnęli kogoś na dziewięćdziesiąt milionów

dolarów, zanim wyemigrowali z Polski.

— Przecież zwróciłem pieniądze.

— Owszem, ale obilo mi się o uszy, że zostało ich jeszcze trochę na wymoszczenie pięknego gniazdka.

— To kolejna, złośliwa plotka.

— Chcesz mi więc wmówić, że nastanie moda na zgarnianie forsy klientów, palenie zwłok we wrakach samochodów i odlatywanie do Ameryki Południowej, gdzie, rzecz jasna, wszystkie piękności tylko czekają na pieszczoty podtatusia-

łych, lecz nadzianych prawników.

— W moim wypadku ten schemat się sprawdził.

— No to Brazylijczyków spotka marny los, gdy ich kraj się zapełni przebiegłymi oszustami.

Do sali wszedł Sandy z kolejnym plikiem dokumentów do podpisania.

— Trussel jest strasznie zdenerwowany — rzekł do Huskeya. — Nie wiem, czy wytrzyma tę presję. Telefon w jego gabinecie dzwoni bez przerwy.

— A jak się zachowuje Parrish?

— Jak dziwka przed spowiedzią.

— Spróbujmy wykorzystać tę przewagę, zanim odzyskają zimną krew —

mruknął Lanigan, odsuwając ostatni podpisany świstek.

W głównej sali woźny oznajmił głośno, że za chwilę Wysoki Sąd rozpocznie posiedzenie, toteż publiczność proszona jest o zajęcie miejsc. Na krótko wszczęła się gorączkowa krzątanina. Drugi woźny zamknął duże, dwuskrzydłowe drzwi.

Sala była zapchana do ostatnich granic, ludzie stali pod ścianami. Wszyscy pracownicy sądu zasiedli w pierwszych rzędach, jakby przygnały ich tu jakieś pilne sprawy. Dochodziło wpół do szóstej wieczorem.

Ludzie wstali z miejsc, kiedy sędzia Trussel ze zwykłą sobie godnością zajmował miejsce za stołem prezydialnym. Uprzejmie powitał zebranych i podziękował

za troskę w dążeniu do sprawiedliwości, zwłaszcza o tak późnej porze. Uprzedził również, że w jego obecności prokurator okręgowy osiągnął porozumienie z rzecznikiem oskarżonego, toteż posiedzenie powinno być krótkie. Wspomniał

przy tym, że szczegółowo dyskutowana była propozycja przesunięcia tego posiedzenia na inny termin, zapadł jednak wspólny wniosek, iż odraczenie rozprawy mogłoby zostać uznane za celową próbę ukrycia czegoś przed opinią publiczną.

Bocznymi drzwiami za ławą przysięgłych wprowadzono Patricka i ten stanął

obok McDermotta na wprost stołu prezydialnego. Usilnie starał się nie patrzeć na zatłoczoną widownię. Po jego drugiej stronie stanął Parrish. Sędzia Trussel przez chwilę spoglądał na dokumenty, choć do tej pory musiał znać niemal na pamięć każde zapisane tam słowo.

339

Wreszcie zaczerpnął powietrza i jakby chcąc dać do zrozumienia, że w ciągu najbliższych trzydziestu minut wszystko powinno się odbywać w zwolnionym tempie, zaczął z namaszczeniem:

— Panie Lanigan! Złożył pan kilka wniosków formalnych.

— Tak, Wysoki Sądzie — odparł Sandy. — W pierwszej kolejności wnioskujemy o zmianę kwalifikacji czynu z morderstwa z premedytacją na profanację zwłok.

Jego słowa niemal odbiły się echem od ścian. Ludzie powtarzali w myślach: profanacja zwłok?

— Panie Parrish? — sędzia zwrócił się do prokuratora, jako że wcześniej zostało ustalone, iż większość wyjaśnień weźmie na siebie oskarżyciel.

Przypadła mu w udziale niewdzięczna rola, musiał bowiem mówić w ten sposób, aby nie tylko zapis w protokole był klarowny, lecz przede wszystkim zawi-

łości sprawy stały się jasne dla zgromadzonych dziennikarzy oraz publiczności.

Doskonale jednak wywiązał się ze swej roli. Już na początku stwierdził, że nie zostało popełnione żadne morderstwo, a przewinienia oskarżonego mają znacznie mniejszą wagę. Dlatego też prokuratura nie sprzeciwia się zmianie kwalifikacji czynu ujętego w oskarżeniu, gdyż w świetle ujawnionych ostatnio faktów stało się oczywiste, iż Patrick Lanigan nie popełnił żadnej zbrodni. Parrish z wolna przechadzał się po sali, wykorzystując dobre wzorce z filmów o Perrym Masonie, nie zważając na przyjęte obyczaje i procedury. Ostatecznie był główną postacią tego spektaklu.

— Następnie wpłynął do sądu wniosek pełnomocnika o przyjęcie przyznania się przez oskarżonego do sprofanowania zwłok — odezwał się Trussel. — Panie Parrish?

Drugi akt przedstawienia był niemal kopią pierwszego. Prokurator pokrótce przybliżył zebrany losy biednego Clovisa Goodmana. Patrick czuł przez cały czas krzyżujące się na nim spojrzenia widzów, którzy z zapartym tchem wyławiali wszelkie szczegóły, jakie pozwolił Sandy'emu ujawnić wobec opinii publicznej.

Miał wielką ochotę wykrzyknąć na cały głos: „Teraz sami widzicie, że nikogo nie zamordowałem!”

— Czy nadal potwierdza pan, że popełnił zarzucane mu czyny? — sędzia zwrócił się bezpośrednio do niego.

— Tak, przyznaję się — rzekł Patrick pewnym tonem, ale bez cienia dumy w głosie.

— Jakiej kary domaga się oskarżyciel? — Trussel ponownie spojrzał na prokuratora.

Parrish podszedł do stołu, wziął kilka dokumentów i stanąwszy pośrodku sali, oznajmił:

— Chciałbym przedstawić Wysokiem Sądowi list, jaki otrzymałem od pani Deeny Postell z Meridian w stanie Missisipi. To jedyna żyjąca krewna, wnucz-340

ka Clovisa Goodmana. — Przekazał pismo Trusselowi, ten zaś popatrzył na nie z zaciekawieniem, jakby widział je po raz pierwszy. — Otóż w swym liście pani Postell zwraca się z prośbą o zaniechanie postępowania karnego wobec Patricka Lanigana, który dopuścił się spalenia zwłok jej dziadka. Ofiara zmarła przed czterema laty, a członkowie najbliższej rodziny nie życzą sobie przeżywać od nowa smutku i udręki wywołanych tamtymi wspomnieniami. Nie wątpię, że pani Postell była bardzo związana ze swoim dziadkiem i głęboko przeżyła jego śmierć.

Patrick szybko popatrzył na Sandy'ego, ten jednak wcale nie zamierzał odwzajemnić się tym samym.

— Czy rozmawiał pan z tą kobietą? — zapytał sędzia.

— Tak, mniej więcej godzinę temu. Pani Postell była bardzo zdenerwowana i prosiła mnie przez telefon, bym odstąpił od wytaczania publicznej rozprawy, a tym samym nie rozdrapywał jej starych ran. Oznajmiła stanowczo, że nie chce składać zeznań i w żaden inny sposób nie zamierza ułatwić dochodzenia w tej sprawie, gdyby takowe zostało wszczęte. — Parrish ponownie cofnął się do sto-

łu i przerzucił jakieś papiery, a kiedy podjął przerwana mowę, dało się wyczuć, że bardziej zwraca się do zgromadzonej publiczności niż do Wysokiego Sądu. —

Biorąc pod uwagę życzenie wnuczki Clovisa Goodmana, oskarżenie wnosi o najwyższy wymiar kary, czyli dwanaście miesięcy więzienia, której wykonanie by-

łoby zawieszony ze względu na dobre sprawowanie oskarżonego, pozostającego jednak pod opieką kuratora sądowego, a ponadto o wpłacenie grzywny w wysokości pięciu tysięcy dolarów oraz pokrycie wszelkich kosztów sądowych.

— Panie Lanigan, czy godzi się pan na taki wyrok? — zapytał Trussel.

— Tak, Wysoki Sądzie — powiedział głośno Patrick, zwiesiwszy głowę nisko na piersi.

— Wyrok zostaje więc zatwierdzony. Czy są jeszcze jakieś wnioski?

Sędzia uniósł młotek i powiódł wzrokiem po zainteresowanych. Obaj prawnicy energicznie pokręcili głowami.

— Zamykam posiedzenie sądu.

Trussel energicznie uderzył młotkiem.

Lanigan odwrócił się i szybko wyszedł z sali, jakby czym prędzej chciał zniknąć z oczu ludziom przeszywającym go spojrzeniami.

W towarzystwie Sandy'ego musiał jeszcze odczekać godzinę w gabinecie Huskeya, aż zapadnie zmrok i ostatni maruderzy spośród sądowych gapiów stracą wreszcie cierpliwość i przestaną czatować w pobliżu gmachu. Ledwie mógł się powstrzymać, żeby nie wybiec na ulicę.

Dopiero o dziewiętnastej pożegnał się z Karlem. Uściskał go serdecznie oraz podziękował za opiekę, duchowe wsparcie i wszelką pomoc, obiecując przy tym, że pozostanie z nim w kontakcie. A tuż przed wyjściem na korytarz po raz kolejny podziękował przyjacielowi, że tak wiernie służył mu w trakcie pogrzebu.

341

— Zawsze do usług — odparł z uśmiechem Huskey.

Wyjechali z Biloxi toyotą McDermotta. Sandy prowadził, Patrick siedział za-głębiony w fotelu pasażera i jakby ze smutkiem, żegnając się na zawsze, odpro-wadzał wzrokiem światła przesuwane się za oknami. Minęli długi szereg kasyn gry wzdłuż plaż Biloxi oraz Gulfport, potem przystań w Pass Christian, wreszcie przejechali most nad zatoką Saint Louis i znaleźli się poza obszarem zwartej zabudowy.

Sandy podał przyjacielowi kartkę z numerem pokoju hotelowego i Lanigan szybko sięgnął po aparat komórkowy. W Londynie była trzecia w nocy, lecz Miranda odebrała natychmiast, jakby czekała przy telefonie.

— Eva? To ja — rzekł z wahaniem w głosie.

Sandy miał ochotę zatrzymać wóz i przejść się kawalek, żeby umożliwić Patrickowi nieskrępowaną rozmowę. Starał się nie słuchać.

— Właśnie wyjeżdżamy z Biloxi do Nowego Orleanu. . . Tak, wszystko w po-rządku. Chyba nigdy nie czułem się lepiej. A ty?

Przez dłuższy czas panowała cisza. Lanigan słuchał z zamkniętymi oczyma i głową odchyłoną do tyłu.

— Jaki dzisiaj dzień? — zapytał nagle.

— Piątek, szósty listopada — odparł Sandy.

— Zatem spotkamy się w Aix, w „Villa Gallici”, w niedzielę. . . Tak, dobrze. . .

Naprawdę wszystko w porządku. . . Ja też cię kocham. Wracaj do łóżka. Zadzwoń za parę godzin.

W milczeniu dotarli do granicy Luizjany. Dopiero w pobliżu Lake Pontchartrain Sandy powiedział:

— Dziś po południu odwiedził mnie bardzo ciekawy gość.

— Naprawdę? Kto taki?

— Jack Stephano.

— Jest tutaj, w Biloxi?

— Był przejazdem. Odnalazł mnie w hotelu i powiadomił, że zamknął zlecenie Aricii i udaje się teraz na krótki wypoczynek na Florydzie.

— Dlaczego od razu go nie zabiłeś?

— Powiedział, że jest mu bardzo przykro, iż jego chłopcy przekroczyli swoje uprawnienia, kiedy cię w końcu odnaleźli. Prosił też, abym ci przekazał jego przeprosiny.

— Co za tupet! Jestem pewien, że nie wpadł do ciebie tylko w tym celu, aby to powiedzieć.

— Nie, masz rację. Opowiedział mi o tajemniczym informatorze z Brazylii, od którego kupowali wiadomości za pośrednictwem agentów z Pluto Group, i bardzo

chciał się dowiedzieć, czy to przypadkiem nie Eva wcieliła się w twojego judasza.

Odparłem, że nic mi w tej sprawie nie wiadomo.

— A co go to obchodzi?

— Dobre pytanie. Rzekł, iż ciekawość nie da mu spokoju. Zapłacił ponad milion dolarów za te informacje i, co prawda, odnalazł zbiega, ale nie trafił na ślad skradzionych pieniędzy, dlatego uważa, że nie będzie mógł spać po nocach, jeśli nie dowie się prawdy. Muszę przyznać, że jego podejrzenia również dla mnie były przekonujące.

— Z pozoru brzmi to logicznie.

— W końcu nie ma już nic do zyskania w tej sprawie, zamknął dochodzenie.

Tak się przynajmniej wyraził.

Patrick założył lewą stopę na kolano i zaczął delikatnie masować palcami duży strup nad kostką.

— Jak on wygląda?

— Mniej więcej pięćdziesiąt pięć lat, typowy Włoch: strzecha zmierzwionych szpakowatych włosów, czarne oczy. Dość przystojny. Czemu pytasz?

— Ponieważ w koszmarach widywałem go wszędzie wokół siebie. Przez ostatnie trzy lata co

najmniej połowa nieznanym, którzy chodzili za mną ulicami, w mojej wyobraźni była Jackiem Stephano. A w snach napadały mnie stuoso-bowe bandy zbirów, z których każdy był tym samym Jackiem Stephano. Odnosi-

łem wrażenie, że kryje się przede mną za rogami budynków i pniami drzew, łązi wszędzie ulicami Sao Paulo, śledzi raz na skuterze, kiedy indziej w limuzynie.

O tym przeklętym Jacku Stephano myślałem więcej niż o rodzonej matce.

— Masz to już za sobą.

— Bo mnie to w końcu zmęczyło, Sandy. Poddałem się. Życie zbiega to ekscytująca przygoda, romantyczna i emocjonująca, ale tylko do czasu, gdy się dowiesz, że ktoś ci depcze po piętach. Od tej pory już wiesz, że kiedy śpisz, ten ktoś skrada się twoim śladem; kiedy w restauracji dziesięciomilionowej metropolii jesz obiad w towarzystwie pięknej kobiety, ten ktoś puka do drzwi różnych ludzi, pokazuje dozorcóm twoje zdjęcie i proponuje forszę za informacje. Ukradłem za dużo pieniędzy. To z ich powodu mnie ścigali. Toteż gdy się dowiedziałem, że węższą już w Brazylii, zyskałem przeświadczenie, że wcześniej czy później moja przygoda dobiegnie końca.

— Czy mam rozumieć, że się poddałeś?

Patrick westchnął ciężko i poprawił się na siedzeniu. Przez pewien czas spoglądał na wody Zatoki Meksykańskiej za szybą, jak gdyby zbierał chaotyczne myśli.

— Dosłownie, Sandy. Po prostu miałem dosyć ciągłego uciekania i postanowiłem się poddać.

— Już raz to powiedziałeś.

343

— Wiedziałem, że w końcu mnie znajdą, toteż zdecydowałem, iż odbędzie się to na moich warunkach, a nie ich.

— Mów dalej. Słucham.

— To ja wpadłem na pomysł zarobienia dodatkowych pieniędzy za informacje. Eva latała do Madrytu, a dopiero stamtąd do Atlanty, gdzie spotykała się z agentami Pluto Group. Dostali sowite honorarium za to, by nawiązać kontakt ze Stephano i zorganizować sprzedaż poufnych informacji. Tak więc to my uszczupiliśmy portfel Jacka Stephano, w dodatku właśnie po to, by jego ludzie odnaleźli mnie w Ponta Pora.

Sandy powoli obrócił głowę i przechylił ją, po czym z rozdziawionymi ustami zagapił się na przyjaciela.

— Lepiej patrz, dokąd jedziesz — mruknął Patrick, wskazując szosę przed nimi.

McDermott szybko oprzytomniał i szarpnął kierownicą, wprowadzając wóz z powrotem na prawy

pas.

— Kłamiesz — syknął przez zaciśnięte zęby. — Nie wierzę w ani jedno słowo.

— Jak chcesz. W każdym razie naciągnęliśmy Stephano na milion sto pięć-

dziesiąt tysięcy dolarów, które spoczywają teraz na jednym z kont, zapewne w Szwajcarii, razem z resztą pieniędzy.

— To ty nawet nie wiesz, gdzie jest ta forsa?

— Nie. Eva nad nią czuwa. Dowiem się wszystkiego, kiedy wyląduję w Europie.

McDermott sprawiał wrażenie zaszokowanego, toteż Patrick pospieszył z dalszymi wyjaśnieniami:

— Byłem pewien, że mnie złapią i złączą zmuszać do ujawnienia prawdy, ale nie przypuszczałem, oczywiście, że tak to się skończy. — Wskazał ranę na łydce.

— Podejrzywałem, że będę musiał sporo wycierpieć, tymczasem niewiele brakowało, żeby mnie zabili, Sandy. Złamali mnie w końcu i musiałem im ujawnić nazwisko Evy. Ale wtedy jej już nie było w Rio, nie mieli więc szans na odzyskanie pieniędzy.

— Przecież mogłeś zginąć, wariacie. — W zamyśleniu potarł czoło, trzymając kierownicę tylko jedną ręką.

— Zgadza się, mogli mnie zabić. Ale już dwie godziny po moim porwaniu dyrektor FBI odebrał wiadomość, że ludzie Jacka Stephano odnaleźli mnie w Brazylii. To mi ocaliło życie. Stephano musiał zrezygnować z dalszych tortur, bo agenci FBI zaczęli go przyciskać.

— Jakim sposobem. . .

— Eva zadzwoniła do Cuttera, ten zaś powiadomił centralę w Waszyngtonie.

Sandy ponownie miał ochotę zatrzymać samochód, wysiąść i w jakiś sposób się wylądować, na przykład oprzeć o barierkę i cisnąć w mrok nocy długi ciąg naj-gorszych błuźnierstw. Do reszty krew wzburzyła mu świadomość, że mimowolnie 344

został wplątany w ten ohydny spisek, mający korzenie w wydarzeniach sprzed lat.

— Postąpiłeś jak ostatni idiota, świadomie oddając się w łapy tych zbirów.

— Naprawdę? Przecież w końcu wyszedłem z gmachu sądu jako wolny człowiek. A przed chwilą rozmawiałem telefonicznie z kobietą, którą szczerze kocham i która zbiegiem okoliczności sprawuje pieczę nad moją skromną fortuną.

Uwolniłem się wreszcie od swojej przeszłości, Sandy. Nie rozumiesz tego? Już nikt nie będzie mnie szukał.

— Tak wiele elementów twojego planu mogło się nie powieść.

— Owszem, lecz wszystko skończyło się dobrze. Miałem pieniądze i kasety z nagranyimi rozmowami, a Clovis zapewnił mi alibi. Poza tym opracowywałem szczegóły tego planu przez cztery lata.

— Nie uwzględniłeś jednak tortur.

— To prawda, ale blizny się zagoją. Dlaczego chcesz zepsuć tę chwilę mego triumfu, Sandy? Wciąż jestem górą.

McDermott podwiózł go pod rodzinny dom, gdzie matka Patricka już czekała z ciastem świeżo wyjętym z piekarnika. Poprosiła Sandy'ego, żeby został, ten jednak nie chciał psuć podniosłego nastroju, w dodatku od czterech dni nie był

w domu i stęsknił się za żoną oraz dziećmi. Odjechał więc, nadal czując zamęt w głowie.

Rozdział 43

Obudził się jeszcze przed wschodem słońca, w tym samym łóżku, w którym nie sypiał już od dwunastu lat, i w pokoju, do którego nie zaglądał od dziesięciu.

Odegnął jednak od siebie wspomnienia należące do innego życia. Pokoik wydał mu się teraz znacznie mniejszy i niższy, niż widział go kiedyś. Zniknęły też wszystkie pamiątki z lat szkolnych, plakietki baseballowej drużyny Saints i plakaty z blond pięknościami w obcisłych kostiumach kąpielowych.

Jak każde dziecko ludzi, którzy ledwie zamieniają ze sobą po kilka słów, uczynił kiedyś z tego pokoju swoje sanktuarium. Już jako parolatek starannie zamykał

za sobą drzwi, a rodzice mogli tu wchodzić tylko wtedy, gdy im na to pozwolił.

Matka krzątała się w kuchni, cały dom wypełniał zapach smażonego bekonu.

Mimo że siedzieli do późnej nocy, ona była już na nogach, jakby nie mogła się doczekać dalszej rozmowy. Zresztą trudno ją było za to winić.

Przeciągnął się ostrożnie. Pergaminowata skóra wokół największych oparzelin, ściągnięta i spękana, trzeszczała cicho przy każdym ruchu. Musiał uważać, bo każde głębsze pęknięcie oznaczałoby ponowne krwawienie. Delikatnie pomasaował opuszkami palców ranę na piersiach, chociaż miał ochotę podrapać ją silnie paznokciami. Wyciągnął przed siebie nogi, skrzyżował stopy i splótł dłonie za głowę. Uśmiechnął się szeroko do sufitu, jakby i jemu chciał okazać swą radość z pełni odzyskanej swobody. Nie było już Patricka, ale nie było też Danilo Silvy.

Mroczne cienie z przeszłości zostały pokonane w ostatecznej walce. Można było wreszcie zapomnieć o Stephano, Aricii, Boganie i pozostałych współnikach, jak również o agentach federalnych i Parrishu, wraz z wywalczonym przez niego ma-

to znaczącym, wręcz śmiesznym wyrokiem. Nie było już nikogo, kto potajemnie podążałby jego śladem.

Kiedy promienie słońca wkradły się do pokoju, jak gdyby jeszcze bardziej go zmniejszając, Patrick wziął prysznic, a następnie posmarował swoje rany maścią i nałożył świeże opatrunki.

Uroczyście obiecał matce, że będzie miała gromadkę wnucząt, które zajmą w jej sercu miejsce Ashley Nicole, gdyż bardzo za nią tęskniła. Opowiedział jej za to najpiękniejsze rzeczy o Evie i przysiągł, że w najbliższej przyszłości zawi-

ta wraz z nią do Nowego Orleanu. Nie miał jeszcze skonkretyzowanych planów małżeńskich, niemniej ślub powinien się odbyć niedługo.

Zjedli na śniadanie grzanki z bekonem, po czym usiedli z kawą na patio wychodzącym na starą ulicę, powoli budzącą się do życia. Z obawy przed tym, że lada moment mogą zacząć ich odwiedzać sąsiadki złaźnione sensacyjnych opowieści, namówił matkę na długą, wspaniałą przejażdżkę. W dodatku chciał zobaczyć rodzinne miasto, choćby pobieżnie.

Dokładnie o dziewiątej wkroczyli razem do salonu braci Robilio przy ulicy Canal, gdzie Patrick zaopatrzył się w nowe spodnie i koszule, kupił także elegancką skórzaną walizkę. Wpadli na francuskie rogaliki do „Café du Monde” przy ulicy Decatur, a później zjedli lunch w pobliskim barze.

W poczekalni lotniska siedzieli ponad godzinę, trzymając się za ręce. Niewiele już rozmawiali. Kiedy zapowiedziano jego lot, Patrick serdecznie uściskał

matkę i obiecał codziennie do niej telefonować. Bardzo chciała zobaczyć swoje wnuczeta, i to jak najszybciej, dodała ze smutnym uśmiechem.

Udał się do Atlanty, stamtąd zaś — posługując się prawdziwym paszportem na nazwisko Lanigan, który Eva przekazała mu za pośrednictwem Sandy’ego —

odleciał do Nicei.

Od ich ostatniego spotkania w Rio, kiedy to spędzili razem długi, upojny weekend, nie odstępując się ani na krok, upłynął miesiąc. Patrick już wtedy przeczuwał, że pościg jest blisko, zbliżał się nieuchronny koniec.

Właśnie dlatego przytuleni do siebie chodzili po zatłoczonych plażach w Ipanema oraz Leblon, ignorując zaciekawione spojrzenia obcych. Na obiady rezerwowali sobie miejsca w ulubionych restauracjach, „Antiquariusie” oraz „U Antonia”, chociaż żadne z nich nie miało apetytu. Porozumiewali się zaś krótkimi, urywanymi zdaniami, a jedyna dłuższa dyskusja zakończyła się obopólnymi łza-mi.

Niewiele brakowało, by Eva namówiła go wówczas do podjęcia nowych wy-siłków, wspólnego wyjazdu i wynajęcia czy to starego zamczyska w górach Szkocji, czy też małego mieszkanca w śródmieściu Rzymu, gdzie nikt nigdy nie mógł-

by ich odnaleźć. On jednak nie dał się skusić, rola zbiega doszczętnie mu obrzydła.

Późnym popołudniem wjechali kolejką linową na szczyt górującej nad Rio

„Głowy Cukru”, by popatrzeć na zachód słońca. Po zmroku roztaczał się stamtąd niezwykle malowniczy widok na miasto, ale w tych okolicznościach żadne z nich nie umiało się nim cieszyć. Właśnie wtedy, tuląc Evę do siebie i zasłaniając ją przed porywami chłodnego wiatru, przysiągł jej, że pewnego dnia, kiedy cały ten koszmar dobiegnie końca, ponownie staną w tym samym miejscu i oglądając za-chód słońca, będą wspólnie układać plany na przyszłość. Nie był pewien, czy mu 347 uwierzyła.

Pożegnali się na chodniku, nieopodal bloku, w którym mieszkała. Po ojcow-sku pocałował ją w czoło, odwrócił się i odszedł, szybko znikając w tłumie. Zostawił ją zapłakaną na ulicy, chciał bowiem uniknąć rzewnych scen w poczekalni lotniska. Odleciał na zachód, kilkakrotnie przesiadając się z jednego samolotu do drugiego w coraz mniejszych miastach. Dotarł do Ponta Pora następnego dnia po zmroku, wsiadł do swego „garbusa” czekającego na parkingu przed terminalem i pojechał opustoszałą Rua Tiradentes do swego skromnego domku, gdzie po załatwieniu ostatnich spraw nie zostało mu już nic innego, jak podjąć od nowa denerwujące oczekiwanie.

Dzwonił do Evy codziennie między czwartą a szóstą po południu, za każdym razem przedstawiając się innym nazwiskiem.

Aż w końcu i te telefony się urwały.

Został schwytyany.

Pociąg z Nicei przybył do Aix punktualnie, kilka minut przed dwunastą, w nie-dzielne południe. Patrick wysiadł na peron i zaczął się uważnie rozglądać. Nie liczył na to, że Eva będzie tu na niego czekała, choć w głębi duszy miał taką nadzieję. Niosąc swoją nowiutką walizkę z nowiutkimi ubraniami, przeszedł na postój taksówek i zamówił krótki kurs do „Villa Gallici” na skraju miasta.

Pokój był zarezerwowany na dwa prawdziwe nazwiska: Evy Mirandy i Patricka Lanigana. Nie zdążył się jeszcze nacieszyć możliwością podróżowania z podniesionym czołem, bez konieczności ukrywania twarzy za ciemnymi okularami czy postawionym kołnierzem płaszcza, bez lęku o wiarygodność podrobionego paszportu na fałszywe nazwisko, kiedy zmroziła go wiadomość recepcjonisty, że pani Miranda jeszcze nie przyjechała. Przez całą drogę marzył o tym, iż w pokoju padną sobie w objęcia i zasypią się nawzajem pocałunkami. Niemalże czuł dotyk i zapach jej ciała.

— Kiedy zrobiono rezerwację? — zapytał, nieco zmieszany.

— Wczoraj. Pani Miranda dzwoniła z Londynu i powiedziała, że przyjedzie dziś rano. Widocznie musiało jej coś przeszkodzić.

Zamknął się w pokoju i wziął prysznic. Rozpakował swoje rzeczy, po czym zamówił herbatę i przekąskę. Zasnął, kołyszany marzeniami o pukaniu do drzwi i nagłym pojawieniu się Evy w przejściu.

Później zostawił dla niej wiadomość w recepcji i poszedł na długi spacer ulicami tego pięknego, zabytkowego miasta. Powietrze było nadzwyczaj orzeźwiający, jak zwykle w listopadzie w Prowansji. Przyszło mu nawet na myśl, że mogliby tu zamieszkać. Spoglądając na piętra kamienic sfalowanych przy wąziutkich uliczkach, powtarzał w duchu, iż życie tutaj powinno być bardzo uroczne. W końcu było to miasto uniwersyteckie, gdzie pielęgnowano wszystkie rodzaje sztuk pięknych.

348

Eva doskonale znała francuski, a i jemu by się przydało podszlifować ten język.

Tak, warto by sobie przypomnieć francuski. Mogliby zostać przez tydzień, a potem wrócić na jakiś czas do Rio. Przecież nie musieliby na stałe mieszkać w Brazylii. Wciąż oszołomiony odzyskaniem wolności, Patrick gotów był zamieszkać w dowolnym miejscu, byle tylko poznawać inne kultury, uczyć się obcych języków.

Osaczyła go grupa emisariuszy jakiejś sekty mormonów, toteż uwolnił się od nich szybko i skręcił w Cours Mirabeau. Wypił kawę z ekspresu w tej samej kafejce, w której kiedyś trzymali się za ręce, obserwując pary spacerujących, zakochanych studentów.

Nie poddawał się jeszcze panice, ostatecznie z byle powodu można się spóźnić na samolot. Toteż zmusił się do dalszego spaceru i dopiero po zmroku, z udawaną obojętnością, wkroczył z powrotem do hotelu.

Evy wciąż nie było, nie nadeszła też żadna wiadomość. Zadzwoił do hotelu w Londynie, lecz powiedziano mu, że pani Miranda wymeldowała się wczoraj, w sobotę, jeszcze przed południem.

Znalazł sobie miejsce w kącie tarasu sąsiadującego z salą restauracyjną, skąd mógł przez okno obserwować recepcję. Zamówił dwa podwójne koniaki, żeby się rozgrzać. Postanowił czekać tam na przyjazd Evy.

Coś mu podpowiadało, że gdyby tylko spóźniła się na samolot, do tej pory pewnie by zadzwoniła. Zrobiłaby to samo, gdyby znów przydarzyły się jakieś kłopoty z fałszywym paszportem. W każdym wypadku, czy to ze względu na paszport, wizę, bilety, czy cokolwiek innego, powinna była zadzwonić.

Przecież nikt jej już nie ścigał. Wszystkie zbiry zostały albo wyłączone z gry, albo przekupione.

Kolejne porcje koniaku na pusty żołądek sprawiły, że zaszumiało mu w głowie, toteż zamówił mocną gorącą kawę, żeby się otrzeźwić.

Wrócił do pokoju dopiero po zamknięciu baru. W Rio była już ósma rano, pokonując więc psychiczne opory, zadzwonił do ojca Evy, Paulo, którego spotkał do tej pory dwukrotnie. Eva przedstawiła go jako kanadyjskiego klienta, a zarazem przyjaciela. Patrick doskonale wiedział, ile biedny profesor musiał wycierpieć, doszedł jednak do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Powiedział, że przebywa obecnie we Francji i musi przedyskutować pewne szczegóły ze swą

brazylijską prawniczką, której nigdzie nie może znaleźć. Przepraszył, że zakłóca profesorowi spokój, oświadczył jednak, że chodzi tu o bardzo ważną i pilną sprawę. Paulo początkowo w ogóle nie chciał rozmawiać, ale uderzyło go, że tajemniczy przyjaciel bardzo dużo wie o jego córce.

Przyznał więc, że Eva musi być w Londynie, bo w sobotę rano dzwoniła do niego stamtąd, z hotelu. Nic więcej jednak nie wiedział.

Patrick odczekał dwie koszmarnie długie godziny i zadzwonił do Sandy'ego.

— Zniknęła — wyznał z bólem, starając się nie okazywać przerażenia.

349

Adwokat także nie miał od niej żadnych wiadomości.

Przemierzał ulice Aix przez trzy dni, łażąc tu i tam bez celu. Sypiał o najróż-

niejszych porach, nic nie jadł, raczył się koniakiem i mocną kawą, dzwonił do McDermotta i niepokoił biednego Paulo ciągłymi telefonami. Miasto całkowicie straciło dla niego urok. Kiedy był sam w pokoju, szlochał nad swym złamanym sercem, a kiedy chodził samotnie po ulicach, przeklinał pod nosem tę kobietę, którą nadal kochał do szaleństwa.

Recepcjoniści hotelu patrzyli na niego z coraz większą podejrzliwością. Po-czątkowo rozpytywał regularnie, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości, ale później przemykał przez hol, ledwie pozdrawiając ich skinieniem głowy. Przestał

się golić, zaczynał przypominać włóczęgę. No i pił zdecydowanie za dużo.

Wymeldował się po trzech dniach pobytu, oznajmiwszy, że wraca do Ameryki.

Poprosił najbardziej zaprzyjaźnionego recepcjonistę o zachowanie listu w zaklejonej kopercie, na wypadek, gdyby pani Miranda się jednak pojawiła.

Poleciał do Rio, choć sam nie umiał powiedzieć, w jakim celu. Zdawał sobie sprawę, że choć Eva była bardzo przywiązana do rodzinnego miasta, to z pewnością tu jej nie znajdzie. Była zbyt sprytna na to, aby tam wracać. Doskonale wiedziała, gdzie może się ukryć, jak bezustannie przenosić pieniądze z jednego banku do drugiego i jak je wydawać, żeby nie zwracać niepotrzebnie uwagi.

Wiele skorzystała z udzielonych lekcji. A Patrick przybliżał jej ze szczegółami trudną sztukę zachowania bezpieczeństwa w roli zbiega. Dlatego też był teraz pewien, że nikt jej nie odnajdzie, dopóki ona sama do tego nie dopuści.

Przeżył tragiczne spotkanie z Paulo, podczas którego wyznał mu całą prawdę. Profesor na jego oczach niemalże postarzał się o kilka lat. Płakał i przeklinał

Patricka za sprowadzenie jego ukochanej córki na drogę przestępstwa. Ten zaś, zdecydowawszy się na szczerą rozmowę w przyływie skrajnej desperacji, nie odniósł z niej najmniejszych korzyści.

Mieszkał w podrzędnych hotelikach niedaleko budynku, w którym niegdyś Eva mieszkała, chodził w kółko tymi samymi ulicami i zaglądał ludziom w twarze. Nieoczekiwanie role się odmieniły. Nie był już ofiarą, lecz myśliwym, do tego pozostającym w rozpacz.

Ale w głębi duszy wcale nie liczył na to, że gdziekolwiek dostrzeże znajomą postać, bo przecież on sam nauczył Mirandę, jak należy ukrywać swoje rysy.

Wreszcie skończyły mu się pieniądze, zadzwonił więc do Sandy'ego z pokorną prośbą o pożyczenie pięciu tysięcy dolarów. McDermott zgodził się natychmiast, zaproponował nawet większą sumę.

Lanigan poddał się po miesiącu. Kupił bilet na autobus i ruszył w długą podróż do Ponta Pora.

Przez całą drogę się zastanawiał, czy sprzedać dom i samochód, za które łącz-350

nie mógł uzyskać około trzydziestu tysięcy dolarów, czy też zamieszkać tam i znaleźć sobie jakieś zajęcie. Ostatecznie przeważyła chęć pozostania w drugiej ojczyźnie, w tym uroczym, niewielkim miasteczku, z którym czuł się już związany.

Mógł podjąć pracę nauczyciela języka angielskiego i wrócić do spokojnego trybu życia przy Rua Tiradentes, gdzie bosonodzy chłopcy zawsze tak samo kopali piłkę na chodnikach.

No bo dokąd miałby jeszcze podróżować? Jego wielka przygoda dobiegła koń-

ca. Należało ostatecznie zamknąć drzwi odgradzające go od przeszłości.

Poza tym był pewien, że któregoś dnia Eva przyjedzie tam do niego.

PODZI ,

EKOWANIA

Jak zwykle, w trakcie pisania powieści wykorzystywałem wiedzę moich przyjaciół, którym pragnę teraz podziękować. Swych doświadczeń oraz pomocy w wyszukiwaniu drobnych, interesujących faktów użyczył mi Steve Holland, Gene McDade, Mark Lee, Buster Hale oraz R. Warren Moak. Po raz kolejny Will Denton uważnie przeczytał maszynopis i wprowadził poprawki w zakresie obowiązujących przepisów prawa.

W Brazylii towarzyszył mi Paulo Rocco, przyjaciel i mój tamtejszy wydawca. Wraz z czarującą żoną, Angelą, zapoznawali mnie ze swym ukochanym Rio, najpiękniejszym miastem świata.

Jeżeli zaistnieją jakiegokolwiek wątpliwości, wymienieni przyjaciele opisali mi prawdziwe zdarzenia, za wszelkie błędy i uchybienia winić należy jedynie mnie.